

SPISEK FRANCISZKANÓW


JOHN SACK



SPISEK FRANCISZKANÓW

JOHN SACK





Prawie 800 lat temu za przzwoleniem
generała zakonu franciszkanów grupa
spiskowców porwała i ukryła
w niedostępnym miejscu szczątki
świętego Franciszka z Asyżu.
Pozostawały tam przez następnych
600 lat. Jaką tajemnicę zabrał do
grobu zmarły? Dlaczego tak pilnie jej
strzeżono? Czy stanowiła zagrożenie
dla Kościoła?

Oparta na faktach powieść
historyczna napisana w konwencji
słynnego IMIENIA RÓŻY
Umberta Eco.

40 lat po śmierci świętego Franciszka
brat Konrad i towarzysząca mu młoda
kobieta wyruszają do Asyżu, by
odkryć prawdę o okolicznościach
jego zgonu. W tym śledztwie
niebezpieczeństwo czai się na
każdym kroku...



SPISEK

FRANCISZKANÓW

JOHN SACK

Z angielskiego przełożył

JACEK MANICKI

Tytuł oryginału:

THE FRANCISCAN CONSPIRACY

Copyright © John Sack 2005

All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by

Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2007

Copyright © for the Polish translation by Jacek Manicki 2007

Cover art © Milwaukee Art Museum Francisco de

Zurbaran (1598-1664) *Saint Francis of Assisi in Tomb* Redakcja: Beata Słama

Konsultacja historyczna: prof. Zbigniew Mikołajko Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7359-466-1

Dystrybucja

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Poznańska 91, 05-850 OŜarów Maz.

t./f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009

www.olesiejuk.pl

SprzedaŜ wysyłkowa - księgarnie internetowe www.merlin.pl

www.empik.com

www.ksiazki.wp.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS

ANDRZEJ KURYŁOWICZ

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

2007. Wydanie II Druk:

WZDZ - Drukarnia Lega, Opole

Dziękuję

Northwest Writing Institute of Lewis i Clark College za udostępnienie mi Walden Residency i za cenny dar czasu.

Literatom z Blue Mountain oraz czytelnikom z White Cloud za nieocenione rady i zachętę.

A nade wszystko Franciszkowi, który nalegał, by ta historia została opowiedziana. Grazie molte .

Gdyby szatan istniał, dalsze losy zakonu założonego przez świętego Franciszka przyniosłyby mu najwyższą satysfakcję... Uwieńczeniem Śycia świętego Franciszka stało się powstanie jeszcze jednego opływającego w dostatki i skorumpowanego zakonu, umocnienie hierarchii i ułatwienie prześladowania każdego, komu miła była czystość moralna i wolność myśli. Mając na uwadze jego ideę i charakter, nie sposób sobie wyobrazić bardziej gorzkiego rezultatu.

Bertrand Russell

Nie mówcie mi, że Franciszek poniósł klęskę. Duch kompromisu ogarnął i okroił jego marzenie; ogarnął jego braci... i zmienił ich, tak jak od początku próbował zmienić jego, w zacnych, ale zwyczajnych mnichów. Ogarnął jego ciało i pochował je w jednym z najwspanialszych kościołów Itali . Ogarnął niebezpieczną historię jego Śycia i wtłoczył ją w ramy ocenzurowanych i zaadaptowanych biografii . Ale nie zdołał ogarnąć samego Franciszka... Franciszkowi się udało; to inni zawiedli.

Ernest Raymond

Postaci

BRACIA MNIEJSI (FRANCISZKANIE)

Ministrowie generalni (1212—1279)

1212—1226 Święty Franciszek z AsyŜu

Wikariusze: Pietro Caetani, 1212—1221

Eliasz Bonbarone, 1221—1227

Sekretarz: Leon z AsyŜu

1227—1232 Jan Parenti

1232—1239 Eliasz Bonbarone

Sekretarz: Iluminat da Chieti

1239—1240 Albert z Pizy

1240—1244 Hajmon z Faversham

1244—1247 Krescenty z Iesi

1247—1257 Jan z Parmy

1257—1274 Bonawentura da Bagnoregio

Sekretarz: Bernard z Bessa

1274—1279 Girolamo d'Ascoli

BRACIA

Konrad da Offida, pustelnik z frakcji spirytualnej Federico, gość w AsyŜu

Lodovico, bibliotekarz w Sacro Convento

9

Salimbene, skryba i kronikarz

Tomasz z Celano, pierwszy biograf świętego Franciszka Ubertino da Casale, nowicjusz

Zefferino, towarzysz brata Iluminata

ZE WSPÓLNOTY ASYŚU

Angelo di Pietro Bernardone, handlarz wełną

Dante, najstarszy syn Angela

Piccardo, syn Angela

Orfeo, Śeglarz, najmłodszy syn Angela

Francesco di Pietro Bernardone (święty Franciszek z AsyŚu), brat Angela

Giacoma dei Settisoli, owdowiała szlachcianka, dawniej z Rzymu

Roberto, lokaj Donny Giacomy

Neno, woźnica

Primo, kmić

Simone della Rocca Paida, pan na głównej cytadeli AsyŚu Calisto di Simone, jego syn

Bruno, najemnik Calista

Matteus Anglicus, medyk z Anglii

Z FOSSATO DI VICO

Giancarlo di Margherita, dawny rycerz, były burmistrz AsyŚu ZE WSPÓLNOTY GENUI

Enrico, syn kmićcia z Vercelli

Z ANKONY

Rosanna, przyjaciółka brata Konrada da Offida

ZE WSPÓLNOTY TODI

Z Coldimezzo

Capitano di Coldimezzo, donator działki pod bazylikę di San Francesco

Buonconte di Capitano, syn Capitano

Cristiana, jego Śona

Amata, jego córka

Fabiano, jego syn

10

Guido di Capitanio, brat Buonconte

Vanna, jego córka

Teresa (Teresina), jego wnuczka

Z miasta Todi

Jacopo dei Benedetti (Jacopone), pokutnik

kardynał Benedetto Gaetani

Roffredo Gaetani, brat Benedetto

Bonifazio, biskup Todi, brat Capitanio di Coldimezza Z WENECJI

Lorenzo Tiepolo, doŜa Wenecji

Maffeo Polo, handlarz klejnotami

Nicolo Polo, brat Maffea

Marco Polo, syn Nicola

PAPIEŚE (1198—1276)

1198—1216 Innocenty III, zatwierdził zakon braci mniejszych 1217—1227 Honoriusz III

1227—1241 Grzegorz IX (Ugolino da Segni, były kardynał

protektor braci mniejszych, 1220—1227)

1241 Celestyn IV

1241—1243 Dwunastomiesięczny wakans

1243—1254 Innocenty IV

1254—1261 Aleksander IV

1261—1264 Urban IV

1265—1268 Klemens IV

1268—1272 Czteroletni wakans

1272—1276 Grzegorz X (Tebaldo Visconti di Piacenza, były legat papieski w Akce w Ziemi Świętej)

PROLOG

AsyŚ

25 marca, 1230

Simone delia Rocca Paida wpatrywał się w wylot zaułka, z którego lada chwila mieli się wyłonić zakonnicy. Śwawiej, wynijdźcieŚ tu do mnie, wy parszywe kościelne myszy. Niechaj się juŚ stanie. Rycerz wyprostował się w siodle, sprawdził, czy miecz luźno chodzi w pochwie. Język wysechł mu na wiór.

Ta tłuszcza działała mu na nerwy. Przez cały poranek tłumy wlewały się na piazza, nie zwaŚając na głębokie po kostki błocko i kolejną ulewę wiszącą w powietrzu. Burmistrz Giancarlo ogłosił dzisiejszy dzień świę-

tem, i ludziom nie mogły popsuć radosnego nastroju ani wiosenny desz-czyk, ani nawet wzniesiona w ciągu nocy zapora. żołnierze straŚy miejskiej Giancarla naŚciągali belek i marmurowych bloków z na pół ukoń-

czonego górnego kościoła nowej bazyliki i sklecili z nich niski murek w poprzek placu. Teraz straŚnicy zaganiaли za ten murek mieszczan niczym ryby do stawu. Motłoch kotłował się i walczył na łokcie o miejsce, z którego 13

najlepiej będzie widać. Ścisk robił się coraz większy, wrzawa narastała.

Ten, kto wyteŚał słuch w nadziei, Śe w tym tumultie wyłowi zawczasu śpiew mnichów, próŚno się wysiłał. Pozostawało mu jedynie patrzeć w tym samym kierunku co Simone.

W końcu z zaułka buchnęły kłęby kadzidlanego dymu i w tym dymie rycerz dojrzał kiwający się krzyŚ oraz piuski chłopców wymachujących kadzielnicami. Procesja wkraczała na plac. Za późno na rozterki.

Simone rozstawił juŚ swoich konnych twarzą do kruchty górnego kościoła. Teraz dał jeźdźcom znak głową i pogłodziwszy na szczęście pióropusz, nałoŚył hełm. Z suchym jak dratwa gardłem i dłonią na ręko-jeści miecza ścisnął kolanami boki wierzchowca i skierował go między ciŚbę a procesję.

Młaskanie błota pod końskimi kopytami i zwodniczo łagodne pobrzękiwanie rycerskich pancerzy tonęło w monotonnym śpiewie, z któ-

rym dwuszereg kardynałów w czerwonych sutannach i pelerynach sunął

na podobieństwo barwnej stonogi po pomoście z desek ułoŚonym w poprzek placu. Ani oni, ani kroczący za nimi biskupi w gronostajach nie okazywali najmniejszego zaniepokojenia widokiem zbliŚających się jeźdźców. Tak samo lud Śegnąjący się i przyklękający za zaporą.

Bo i czym tu się niepokoić? Wszak to rycerze z Rocca Paida, twierdzy na szczycie wzgórza,

czuwającej nad bezpieczeństwem miasta. O

tym, że perugianie zamierzają wykraść szczątki świętego męŜa, słyszał

tu chyba kaŜdy. Taką przynajmniej nadzieję miał Simone. Zaskoczenie było jego najlepszym sprzymierzeńcem.

Za biskupami kroczyli bracia zakonni, a w połowie ich kolumny kolebała się dźwigana na ramionach trumna. Przecięli plac skrajem ograniczającej go od południa skarpy. Krucyfiks, kardynałowie i biskupi znikali stopniowo z oczu, zstępując po stromej ścieŜce, która prowadzi-

ła do dolnego kościoła. Czoło procesji zatrzymało się juŜ i czekało w szyku na jego podwórcu.

Nadszedł moment, na który czekał Simone.

14

— Adesso! Teraz! — ryknął, kiedy trumna pochyliła się i teŜ zaczę-

ła znikać za krawędzią skarpy. Dźgnięty ostrogami perszeron stanął

dęba i wierzgając przednimi nogami, tak jak go przyuczono do zachowania w bitwie, runął na pochód. Trzasnęła pękająca kość i jakiś mnich z okrzykiem bólu znikł pod wierzchowcem, inny, uskakując przed szar-

Ŝującą bestią, sturlał się po skarpie. Simone, uśmiechając się pod heł-

mem, rozdzielał na prawo i lewo razy płazem miecza. Zawróciwszy konia w miejscu, dojrzał straŜników miejskich staczających potyczkę z grupą męŜczyzn próbujących przeleźć przez zaporę dla gawiedzi.

— Odciać szczyt ścieŜki! — krzyknął do najbliższego jeźdźca.

Dwóch jego ludzi galopowało juŜ za trumną, pędząc tych, którzy ją nieśli, ku podwórcowi dolnego kościoła. Oszołomieni mnisi zachowywali się tak, jak to było do przewidzenia: biegli przed siebie, by schronić się za plecami burmistrza, który z resztą straŜników czekał u stóp ścieŜki, i szukać azylu w kościele. Lecz ludzie Giancarla przepędzali juŜ pikami kościelnych dostojników z podwórca dolnego kościoła, i ci pierzchali w furkocie inful, ornatów i podkasanych sutann, pnąc się ścieŜką na spotkanie trumny. Kiedy zakonnicy zrozumieli, że wzięto ich w dwa ognie, było juŜ za późno.

Simone galopował ścieŜką w dół. Przed nim jakiś mnich, ucapiwszy za ramię straŜnika, wyrzaskiwał coś piskliwym głosem. StraŜnik obalił go na ziemię ciosem Őelaznej rękawicy i koń Simone musiał prze-skoczyć nad staczającym się po pochyłości nieszczęśnikiem, żeby go nie stratować.

Rycerz obejrzał się dopiero u stóp wzgórza. Spod kaptura, który zsunął się mnichowi z głowy, wymknął się długi, gruby, czarny warkocz.

Rzymska wdowa! A Œeby ją pokręciło! Co robi pośród zakonników?!

Krew ciekła jej po policzku, kiedy w końcu wstała, ale ona albo nie zdawała sobie z tego sprawy, albo o to nie dbała. Pogroziła mu pięścią, jej zielone oczy pałały.

— Jak śmiesz, Simone! — wrzasnęła. — Jak śmiesz podnosić rękę na naszego świętego!

15

Rycerz sapnął gniewnie na dźwięk swojego imienia. Od początku był zdania, Œe burmistrz powinien nająć do tej brudnej roboty Œołnierzy z innego miasta.

Bez słowa zawrócił konia i pogalopował do drzwi kościoła. StraŒni-cy miejscy mieli juŒ trumnę, odrywali wlaŒnie od wieka ostatniego niepozornego mnicha, który uczepił się go jak rzep. To ani chybi ten pokurcz Leon, domyślił się Simone. Dźwigając drewnianą skrzynię, ludzie Giancarla, obrzucani przez służy Kościoła obelgami, schowali się za plecy Simone. Rycerz zeskoczył z konia i podał wodze jednemu ze straŒników.

— Będziesz się za to w piekle smaŒył, Simone! — krzyknął ktoś nad samym jego uchem. Odwrócił się i uniósł miecz, ale biskup AsyŒu zasłonił się noszonym na piersiach krzyŒem. Simone, przygryzając dolną wargę, wszedł do kościoła. TuŒ za nim wpadł tam burmistrz. W

kruchcie czekali juŒ handlarz wełną i kasztelan ze wspólnoty Todi.

— Postawić trumnę! — krzyknął Giancarlo do swoich ludzi.

Kiedy to uczynili, wypchnął ich na zewnątrz, by strzegli podwórca, a sam zatrzasnął za nimi odrzwia i z pomocą rycerza zaryglował je grubą belką. Potem, dysząc cięŒko, oparł się plecami o ich rzeźbioną powierzchnię, Simone zaŒ zdjął hełm i otarł pot z czoła rękawem pikowa-nego kubraka. Dopiero teraz, chowając miecz do pochwy, zobaczył na głowni krzepnące karmazynowe zacieki. Coraz gorzej, pomyślał ponuro.

Mrok panujący w kruchcie i stłumiona wrzawa dobiegająca sprzed kościoła działały nań kojąco. Potoczył wzrokiem po twarzach pobladle-go kasztelana, kupca krzywiącego usta w pogardliwym grymasie, zaciskającego szczęki burmistrza, zachodząc w głowę, co teŒ skłoniło kaŒ-

dego z nich do wplątania się w tę świętokradczą awanturę. Podejrzewał, Œe kupiec rad by wyprzedał szczątki kostka po kosteczce na relikwie, nic sobie nie robiąc z tego, Œe naleŒą do jego jedyne go brata.

— Prędeż — dobiegło z końca nawy. — Nieście tu trumnę. —

Dwaj zakonnicy, mistrz mularski, brat Elias, i jego zauszniak czekali po obu stronach głównego ołtarza. Smolne łuczywa płonące w uchwytych 16

za nimi przywodziły Simone na myśl ognie piekielne, którymi groził

mu biskup. Ich blask rzucał na kościół cień brata Eliasza o wiele większy niż ten drobnej postury spiskowiec, prowodyr kradzieży. Pomimo chłodnego cugu przepływającego przez kościół twarz Simone poczerwieniała z gorąca. Zastanawiał się, czy nim opuszczą świątynię, Eliasze, mimo że współwinnym tego grzechu, będzie mógł udzielić mu rozgrzeszenia. Wzdrygał się stawać przed zgromadzoną na zewnątrz tłuszcą z grzechem śmiertelnym na sumieniu.

Doszedłszy do czoła nawy, czterej spiskowcy stwierdzili, że główny ołtarz jest odsunięty, a w miejscu, w którym stał, zaje głęboka dziura wykuta w skalnym podłożu. Postawili trumnę na powrozech rozciągnię-

tych równoległe do dziury i z pomocą zakonników opuścili ją do sarkofagu. Rzucili powrozy na wieko trumny i Eliasze obrócił jedną z ozdobnych miniaturowych kolumnienek w tylnej części ołtarza. Dał się słyszeć cichy trzask i masywny blok zaczął obracać się z chrobotem kamienia trą-

cego o kamień, nasuwając na dziurę. Na koniec zakonnik zamaskował

ziemią szparę u dołu marmurowej podstawy i zatarł ją sandałem.

— Kamieniarze zaczęli wczoraj układać posadzkę w absydzie —

powiedział. — Jutro dotrą tutaj. Nie pozostanie najmniejszy ślad. Nikt nie będzie wiedział, gdzie spoczywa.

Przyklęknął przed ołtarzem na jedno kolano i pochylił głowę.

— Najmniejszy ślad, ojciec Franciszku — powtórzył szeptem. —

Zabrałeś swoją tajemnicę do grobu.

Simone wrócił myślami do spotkania w pałacu Giancarla, gdzie ten zakonnik, Eliasze, upierał się, że zwłoki trzeba ukryć nawet przed wierznymi, by uchronić je przed łowcami relikwii. Z początku z rezerwą podchodził do wytaczanych przez mnicha argumentów. Jego zdaniem Eliasze do tej pory nie mógł pogodzić się z porażką w wyborach na stanowisko ministra generalnego, wakujące od śmierci świętego Franciszka. Bractwo na sukcesora zmarłego świętego wybrało innego zakonnika, posuniętego w latach uduchowionego człowieka, którego cała wiedza o zarządzaniu zmieściłaby się w małym palcu Eliasza. Eliasze przekuł jednak porażkę w triumf, kiedy papież poprosił go osobiście

wzniesienie tej bazyliki. Teraz brał odwet na tych, którzy go odrzucili, ukrywając najcenniejszą relikwię zakonu tam, gdzie nigdy jej nie znajdą. Następnym razem bracia dobrze się zastanowią, zanim zagłosują przeciwko niemu.

Uprzątnąwszy podłogę wokół ołtarza, Eliasze skinął na swego zausznika.

— Bracie Iluminacie, przynieście szkatułkę.

Młodzian rozplątał się w mrokach transeptu. Po chwili wrócił z ma-

łym złotym relikwiarzem. Eliasz uniósł wieczko i wyjął pierścień z bladoniebieskim kamieniem. Wsunął go z namaszczeniem na palec, a asystujący mu mnich rozdał podobne pierścienie wszystkim obecnym.

— Dnia dzisiejszego założone zostaje Compari delia Tomba, Bractwo Grobu — rzekł uroczyście Eliasz. — Przysięgnijmy na nasze Śycie nie wyjawić nigdy miejsca spoczynku tych kości.

— I niechaj szczególnie kaŜden, kto odkryje to miejsce przypadkiem

— dodał posępnym głosem Giancarlo. — Bóg nam świadkiem.

— Bóg nam świadkiem — powtórzyli pozostali. Uniosły się i zetknęły zaciśnięte w pięść dłonie. W blasku łuczyw zaskrzyły się pier-

ścienie. Potem kaŜdy z męŜczyzn rozprostował palce i zacisnął je ponownie na nadgarstku sąsiada.

— Amen! Niechaj tak będzie! — zakrzyknęli chórem.

CZEŚĆ PIERWSZA

Dzieci świętego Remigiusza

1 października, 1271

Brat Konrad przystanął u szczytu ścieżki pnącej się zakosami ku jego chacie i patrzył, ściągając brwi. Wiewiórka, która na jego widok zamachała puszystym ogonem i zeskoczyła z parapetu okna, dawała mu do zrozumienia, że ma gościa i że nie jest nim nikt ze sług Rosanny.

— Sza, bracie Szary! — upomniał zwierzątko pustelnik, zrzucając z ramion wiązkę chrustu. — Witaj obcego, jak mnie samego. A nuż to któryś z aniołów boskich?

Wziął wiewiórkę na ręce i podrzucił ją lekko na poczerniały pień pobliskiej sosny. Wspięła się na wyższą gałąź, a Konrad przestąpił próg chaty.

Nieświadom tej pogwarki braciszek zakonny spał, złożony głowę na stole, jego twarz zakrywał kaptur. Konrad odchrząknął z zadowoleniem. Skoro ma już znieść czyjąś obecność i zabawić gościa rozmową, to niech to przynajmniej będzie dyskurs na wzniosłe tematy.

23

Skórzane sandały i miękki, nowy mysiego koloru habit przybysza mniej mu się już spodobają. Ani chybi konwentuał, jeden z tych rozpieszczonych braci, którzy swoimi zwyczajami bardziej przypominali klasztornych czarnych zakonników niż wolnych synów świętego Franciszka. Miał nadzieję, że rozmowa nie zejdzie na zadawniony spór o istotę prawdziwego ubóstwa. Był już nim zmęczony i wystrzegał się go; przynosił tylko ból.

Wrócił po zebrany chrust i podniósł wiązkę za biały postronek, któ-

rym była przewiązana. W te jesienne popołudnia słońce wcześniej chowało się za Apeniny, a nocami w górskim powietrzu czuć już było zapowiedź pierwszych przymrozków. Nazbierał suchych liści, sosnowych igiełek i szyszek i usypał z nich stosik na kręgu z płaskich kamieni, który zajmował środek izby i służył za palenisko. Kiedy krzesał ogień, z kąta doleciało senne mamrotanie.

— Brat Konrad da Offida? — Głosik był zadziwiająco piskliwy, mógłby należeć do chłopca przed mutacją śpiewającego w kościelnym chórze. Znaczący, gość to nowicjusz, domyślił się Konrad, a do tego pewnikiem nieletni. W zasadzie zakon nie przyjmował kandydatów poniżej czternastego roku życia, ale zwierzchność często przymykała oko na ten zakaz.

— Tak, to ja, brat Konrad — mruknął, nie oglądając się. — Niech Bóg ci darzy, młody braciszku. — Nadal klęczał nad paleniskiem.

— I wam. Zwą mnie Fabiano. — Dzieciak otarł nos grzbietem dłoni.

— Fabiano. Ładnie! Witaj. Zaraz rozpalę ogień, ugotuję zupy. Bób moczy się już w kociołku.

— Myśmy teŜ przynieśli jadło — powiedział chłopiec i pokazał

kciukiem siatkę zwisającą z krokwi. — Chleb, ser i winogrona.

— Wy?

— Przyprowadził mnie tutaj pacholek Monny Rosanny. Jego pani 24

przesyła wam więcej niŜ zwykle, na wypadek, gdybyście nie mieli mnie czym ugościć. Konrad uśmiechnął się.

— To cała ona, szlachetna pani.

Ogień trzaskał juŜ głośnie na palenisku, w powietrzu rozchodził się aromat płonącej sośniny. Dym unosił się meandrami ku poczerniałej od sadzy powale i uchodził na zewnątrz przez wycięty w niej mały otwór.

Blask ognia odbijał się w oczach przybysza, i te świeciły spod kaptura ciemną zielenią dojrzałych oliwek. Konrad zawiesił kociołek nad płomieniem i zdjął z krokwi siatkę z jedzeniem. Rosanna, niech błogosławione będzie jej dobre serce, przysłała teŜ cebulę. Odkroił dwa plasterki, które zje później na surowo z serem, resztę zaś posiekał i wrzucił do zupy.

— Kto cię posłał do Monny Rosanny? — spytał chłopca.

— Moi zwierzchnicy z AsyŜu. Kazali mi jej szukać w Ankonie i pod Ankoną spotkałem dwóch braci, którzy mi powiedzieli, jak trafić do domu signory. Bardzo się zaciekawiała, kiedy jej powiedziałem, Ŝe muszę się z wami widzieć... — Chłopiec zawiesił głos i spojrzał pytają-

co na Konrada.

— Wychowywaliśmy się razem — wyjaśnił pustelnik — byliśmy prawie jak brat i siostra. I ona... znaczy, ona i jej mąż, nadal dbają o mnie, jak potrafią. — Powróciły wspomnienia: dwoje dzieci dzieli się ciastkiem w porcie, a pod ich stopami skrzy się w słońcu woda. Obraz rozplynał się momentalnie, tak jak ich odbicia tyle lat temu w zmarszczonej bryzą tafli, bowiem gość podjął:

— Jesteście sierotą? To dlatego mieszkaliście przy jej rodzinie?

Konrad wydał policzki i wypuścił powoli powietrze.

— Przeszłość moja, maluczkiego, jest nieważna — burknął.

Nie był to wzniosły dyskurs, na który tak się nastawiał.

I na tym rad by zakończył temat, jednak na widok zawiedzionej mi-ny Fabiana dodał:

— Tak. Mój ojciec był rybakiem w Ankonie. Bóg zabrał go podczas 25

sztormu, kiedy byłem jeszcze pacholęciem. Przygarnęli mnie rodzice Monny Rosanny. Posłali mnie do szkół, a kiedy skończyłem piętnasty rok Śycia, oddali do braci. Minęło piętnaście lat i siedzę teraz tutaj. Ot, i cała historia mojego Śywota. — Zamieszał zupę i otarł rękawem łzy, które napłynęły mu do oczu. Już chciał obwinie o te łzy cebulę, kiedy chłopiec znowu go uprzedził:

— A gdzie była wasza matka?

— Pewnie w niebiesiech. Tato mówili, że umarła z imieniem Błogosławionej Dziewicy na ustach, wydając mnie na świat.

Izbę wypełniał powoli aromat gotującego się bobu. Młodziak wciąż gnął go z lubością, po czym podrapał się po głowie.

— Lubię słuchać Śywotów ludzi. Chciałbym wędrować po świecie i zbierać takie historie. Jak brat Salimbene. Znacie brata Salimbene?

Konrad spojrział na niego z przyganą.

— Brata Salimbene nie radziłbym ci naśladować — burknął. —

Może mi wreszcie powiesz, co cię do mnie sprowadza? — Popatrzył

znowu w ciemne oczy chłopca, które posmutniały nagle, zachodząc niemal łzami, i już wiedział.

— Ojciec Leon? — spytał cicho.

— Tak.

— Odszedł w pokoju?

— Tak, w tej samej chacie co święty Franciszek.

— Pewnie iśej mu było umierać.

Pustelnik przysiadł na piętach. Śmierć przyjaciela i mentora nie była dlań wielkim zaskoczeniem. Leon dzwigał już ósmy krzyżyk. Ale mimo wszystko był to cios.

Któż zdoła zgłębić boski plan? Leon błagał, by dane mu było odejść wraz z jego mistrzem, świętym Franciszkiem, a przecieś Bóg kazał mu żyć jeszcze przez połowę stulecia, pracować i pisać. Ten niepozorny kapłan był osobistym pielęgniarzem założyciela, zmieniał mu opatrunki i nacierał maściami stygmaty, które otworzyły się na jego dłoniach, stopach i w boku po tamtej strasznej wizji na górze Alwernia. Leon sprawował również potencjalnie najwyższe w zakonie funkcje spowiednika i 26

sekretarza świętego męża, które mógłby z powodzeniem wykorzystać, gdyby interesowała go władza. Lecz Franciszek wybrał go sobie na towarzysza przez wzgląd na jego niespotykaną skromność. Znany

z upodobania do nadawania przydomków, Leona, czyli lwa, nazwał —

Fra Pecorel o di Dio, bratem Owieczką BoŜą.

Nawet młodszy bracia, tacy jak Konrad, słyszeli o słynnej scysji Leona z Eliaszem po śmierci Franciszka, kiedy to Leon roztrzaskał w drobny mak wielką wazę, do której minister generalny zbierał datki na budowę nowej bazyliki. Eliaz kazał go za ten akt buntu wychłostać i wygnać z Asyŝu. Leon usunął się w cień i zaczął pisać traktaty piętnują-

ce rozprzęŜenie i naduŜycia w łonie zakonu. Powołując się na reguły i nauki świętego Franciszka, stał się sumieniem braci i frakcja konwentuałów nienawidziła go za to.

Konrad był ciekaw, czy brat Bonawentura, ostatni w linii sukcesorów Eliasza, wzniesie się ponad tamten stary zatarg.

— Czy minister generalny godnie pochował brata Leona? — spytał.

— O tak. W bazylice, obok jego towarzyszy. Powiadają, ŝe z najwyŜszymi honorami.

— Bo i zasłuŜył sobie na to — westchnął Konrad, wracając do mieszania zupy.

Chłopiec ŝciągnął kaptur. Włosy miał czarne, proste, krótko obcięte, dotykające czubków uszu. W migdałowych oczach malowała się łagod-ność łani, co podkreślały dodatkowo długie rzęsy. Mlecznobiała skóra policzków i skroni była tak delikatna, ŝe aŜ przezroczysta, i nawet w tym słabym oświetleniu Konrad mógłby porachować pulsujące pod nią ŝyłki. Uśmiech chłopiec miał szeroki, nos długi i prosty z rozdętymi nozdrzami. Szlachetny nos, pomyślał Konrad. Za gładki ten dzieciak, by mieszkać pod jednym dachem ze starszymi braćmi, zwłaszcza tymi, którzy próbują naśladować czarnych mnichów. Bóg jeden wie, ile klasztornych przywar zdąŜyli juŜ sobie przyswoić.

27

Kiedy Konrad przerwał mieszanie, chłopiec sięgnął po swoją sakwę, którą rzucił był pod stół, i wyciągnął z niej zwinięty pergamin.

— Mój opiekun kazał mi oddać wam to pismo. Brat Leon powiedział, ŝe po jego śmierci musi ono koniecznie trafić do waszych rąk.

Pustelnik rozwinął welin z wyprawionej koźlęcej skóry i przysunął się z nim do ognia. Kilka razy przebiegł treść wzrokiem.

— Co tam stoi napisane? — spytał Fabiano.

— Nie ma pieczęci. Dziw, ŝe ŝe jeszcze nie przeczytał. Twój opiekun nie nauczył cię liter?

— Nie wszystkich. Niewiele jeszcze słów potrafię przesyłabizować.

Poprosiłem braci, których spotkałem po drodze, Œeby mi przeczytali, ale powiedzieli mi tylko, Œe nie ma tam niczego ciekawego.

Konrad wznosił oczy do nieba. Ten chłopiec nie miał wstydu. I mógł być w swej naiwności niebezpieczny.

— Czy ci bracia podali ci swoje imiona? — spytał.

— Nie. Ale jeden był stareŒki, a drugi miał jasne włosy. Mówi wam to coŒ?

Konrad wyduł usta.

— Nic. — Niepokoili go ci dwaj. Oby tylko łatwowiernoŒć chłopca nie okazała się zgubna.

Jeszcze raz przebiegł wzrokiem welin.

— MoŒe ty mi powiesz, czy w tym piŒmie jest coŒ interesującego —

rzekł. — Doradza mi się tu dobroć, co jest podobne do Leona, ale reszta nie wygląda mi na słowa, które skreŒliłby ksiądz, którego znałem. —

Przysuwając pergamin jeszcze bliŒej ognia, przeczytał na głos: Konradowi, memu bratu w Chrystusie, brat Leon, jego niegodny towarzysz, składa wyrazy szacunku w imię Pana naszego, Boga w Trójcy Jedynego.

28

— To jeszcze Leon. Ale posłuchaj dalej:

Pamiętasz, jak doradzaliŒmy ci uczyć się i zdobywać wiedzę? Czytaj oczami, poznawaj rozumem, sercem wydobądź prawdę zawartą w legendach. *Servite pauperes Christi* .

Konrad pokazał pergamin Fabianowi.

— *Servite pauperes Christi* . SłuŒ biedaczkom Chrystusa? —

Zawiesił głos, jakby oczekiwał od chłopca, Œe pojmie znaczenie tych słów, a potem machnął z rezygnacją ręką i doczytał do końca: *Napisano w AsyŒu, w czternastym roku administracji Bonawentury di Bagnoregio, generała zakonu braci mniejszych.*

Pustelnik podrapał się w kark.

— Leon nigdy by mnie nie zachęcał do zdobywania wiedzy, nawet tej o Œyciu Œwiętego Franciszka — jeŒli ją mają oznaczać owe „legendy”. Franciszek twierdził, Œe uczeni trwonią tylko czas, który mogliby lepiej spoŒytkować, modląc się. Co zaŒ do słuŒenia biedaczkom, to właŒnie Leon wysłał mnie w te góry. A teraz chce, Œebym poŒwięcił się słuŒbie? Dziwne to jakieŒ.

Postukał w welin paznokciem.

— I to nie jest nawet pismo Leona. Litery za duże, za koślawe. Leon był eleganckim skrybą.

Pustelnik po raz ostatni przyjrzał się w blasku ognia pergaminowi.

Treść listu otaczała owalna obwódka, ale nadal nie dostrzegął w nim żadnego sensu. Przeczytawszy go, skłonny był przyznać rację dwóm podróżującym braciom. Nie było w nim niczego ciekawego.

Rzucił pergamin na stół i ten zwinął się z powrotem w rulon. Może to zwyczajny bełkot dzieciinniałego staruszka? Z drugiej strony Leon znał tyle tajemnic... Zważwszy na nieznaną pismo, mógł to być jakiś podstęp Bonawentury, ale w jakim celu sprofanowany? No tak, ale chłopak był z Sacro Convento, matecznika zakonu, i już samo to budziło

podejrzliwość Konrada.

— Nakarmię cię i pójdziesz spać — odezwał się wreszcie do chłopca. — Pewnieś zdrowy. — Rozważ pismo, odpoczywając i może o pierwszym brzasku spłynie na niego olśnienie.

Nalał zupy do dwóch drewnianych misek. Włosy Fabiana, które ten czochrał w zamyśleniu, stały już dęba jak szpilki u Jeśa.

— śal ci było ją porzucić? — spytał w końcu.

Ale Konrad ani myślał rozdrapywać tej rany z dzieciństwa. Przyło-

żył palec do ust.

— Podczas posiłku powinniśmy przestrzegać reguły milczenia, młody bracie. Nasz założyciel zalecał też swoim braciom oszczędność w słowach od wieczora do świtu. Dostyc się już nagadaliśmy jak na jeden dzień.

Leon, ten przebiegły bękart, wiedział od samego początku. Przez ca-

łe czterdzieści pięć lat wysiadywał tę wiedzę jak troskliwa kwoka, i to z takim samozaparciem, że miał po śmierci porzucić gniazdo i zabrać swoje tajemnice do grobu, jakby to uczynił każdy rozsądny człek, pod-rzuca owego nie wyklutego zbuka jednemu ze zbuntowanych pustelników.

Brat Iluminat pacnął dłonią komara, który przyssał mu się do nadgarstka. Ach, gdyby z równą łatwością dało się rozgnieść tego eremity.

Ściągając cugle, zatrzymał osiołka i otarł czoło rękawem habitu. Nawet w październiku dzień spędzony na słońcu może wycieńczyć podróżnego, zwłaszcza tak jak on posuniętego w latach. Po śmierci Leona, z pierwszego pokolenia braci, którzy obcowali ze świętym Franciszkiem, pozostał tylko on.

— Muszę odpocząć, bracie Zefferinie — zwrócił się do towarzysza.

— Moje stare kości dosyć się już dzisiaj wytrzęsły.

— Jak sobie Śyczysz, padre . — Młodszy zakonnik przerzucił nogę nad szyćką osiołka, zeskoczył na ziemię i pomógł bratu zsiąść.

30

Iluminat wziął się pod boki i wygiął grzbiet, przeciągając się jak stary kocur. Potem rozprostował ramiona i kuśtykając, przeszedł kilka kroków, jakie dzieliły ich od szczytu wzniesienia.

— Przepięknie — westchnął, ogarniając zamaszystym ruchem ręki dolinę wyrzeźbioną przez rzekę Tescio. Szpaler lombardzkich topoli przystrojonych w jesienne złoto ciągnął się niczym dwuszereg straŚni-ków wzduŚ biegającej dołem drogi. Wieczną zieleń bezkresnych igla-stych lasów pstrzyły tu i ówdzie plamami Śółci i brązów rozsiane z rzadka skalne dęby. Murowany kościół z dzwonnica u stóp wzgórza otaczało skupisko drewnianych domów i gdzieś wśród nich droga się rozwidlała: ku północnemu zachodowi, do Gubbio, i na południowy zachód, w kierunku AsyŚu.

Towarzysz Iluminata jedną ręką trzymał oba osiołki za uzdy, drugą opędzał się od muchy bzyczącej nad jego tonsurą wygoloną we włosach koloru słomy.

— Przenocujemy dzisiaj w Fossato di Vico? — zapytał. — Mam przyjaciela wśród kanoników z tamtejszej katedry.

— Czy przenocujemy? Nie, Zefferinie — odparł ksiądz. — Ty tej nocy nie zaznasz snu.

Iluminat spojrział w zdziwione oczy braciszka.

— Nie mamy czasu do stracenia — podjął. — Ja tu zaczekam, a ty udasz się do wioski. Na wzgórzu, naprzeciwko katedry, zobaczysz palazzo . Zapytasz tam o signore Giancarla i powiesz mu, Śe dziś wieczorem zawita do niego Amanuensis .

— Amanuensis?

— Będzie wiedział, co to znaczy. Poproś go równieŚ, powołując się na to samo imię, Śeby wymienił ci osiołka na wypoczętego wierzchowca, moŚliwie najszybszego. — Stary ksiądz wskazał na rozwidlenie. —

Popędzisz co koń wyskoczy drogą na północ do domu braci w Gubbio.

Powiesz przeorowi, Śe pustelnik Konrad schodzi z gór i zostanie u nich, by odpocząć. Musi go zatrzymać — jeśli trzeba będzie, siłą. Ja pojedę do AsyŚu i ostrzegę generała.

31

— A jak przeor pozna tego pustelnika?

Iluminat zmarszczył porośnięty włoskami nos, oczy mu zabłyśły.

— Ha! To radykał, jeden z tych cuchnących zelanti, szczycących się jak sam diabeł tym, że nigdy się nie kąpią. Wyczują go z daleka, zanim zobaczą. Nosi też czarną brodę niewiernego Saracena i szopę skołtu-nionych kudłów miast tonsury, jak na zakonnika przystało.

Splunął na zakurzoną drogę, by podkreślić swoją odrazę, i dodał:

— Może mu towarzyszyć tamten chłopiec, ale z nim nie powinno być kłopotu. Jego przeor niech też zatrzyma.

Iluminat odebrał od zakonnika cugle.

— Ruszaj, bracie, i niech Bóg cię prowadzi. Obu nas czeka za to nagroda.

Odprowadzał wzrokiem Zefferina zjeżdżającego na osiołku ze wzgórza, dopóki ten nie znikł mu z oczu za zakrętem drogi. Wtedy ruszył niespiesznie jego śladem, prowadząc zwierzę za uzdę. Omdlewa-

ły mu mięśnie starczych ud, chude pośladki też dosyć już miały wycierania się na oślim grzbiecie.

Czyż nie odradzał przed laty Eliaszowi chłostania tego zatraconego pokurcza Leona? „Niech sobie gada, co mu ślina na język przyniesie!”, mówił. Ale to był rok 1232 i Eliasz, upojony nową władzą — wreszcie minister generalny zakonu — wygnał Leona z Asyżu, tworząc w ten sposób szczelinę, która rozrosła się teraz do rozmiarów piekielnej otchłani, gotowej pochłonąć obie frakcje zakonu.

Ksiądz zazgrzytał pieńkami zębów, zły na Eliasza i na siebie samego. Powinien odebrać chłopcu list Leona. Rozum mu chyba zaćmiło, że tego nie uczynił. W palazzo poprosił starego signora o pergamin. Musi spisać to, co zapamiętał. Stary Giancarlo nosi pierścień konfraterni; dołoży wszelkich starań, by zaświecić to najnowsze niebezpieczeństwo wyjawienia tajemnicy, której przysięgli strzec.

II

Konrad i Fabiano leŚeli okutani w opończe po przeciwnych stronach paleniska. Chłopiec oddychał juŚ miarowo, pustelnik zaś patrzył w po-wałę zmieniającą stopniowo barwę z cynobrowej na szarą. Myszy uwijały się po izbie w poszukiwaniu okruszków i skórek chleba. Więksi nocni łowcy buszowali w zaroślach na zewnątrz, a od odległego stawu dolatywał aŚ tutaj rechot Śab. Od okna powiało chłodem i Konrad za-drŚał. Normalnie spałby juŚ snem sprawiedliwego, nie bacząc ani na zimno, ani na nocne zwierzęta.

Dzisiaj sen spędzał mu z powiek list od Leona. Nic się tu nie zga-dzało — ani charakter pisma, ani uŚyte słowa, ani nawet ten kremowy welin, na którym je spisano. Leon czcił Panią Biedę tak Śarliwie jak sam święty Franciszek. Gdyby miał pieniądze, nie przepuściłby ich z pewnością na drogi pergamin z kozłej skóry. GdzieŚby tam, oddałby wszystko jakiemuś biedakowi.

Zastanawiała teŚ Konrada osoba posłańca. Nie mieściło mu się w głowie, Śeby Leon mógł powierzyć misję dostarczenia jakiegoś waŚne-go pisma temu dzieciuchowi z Sacro Convento.

33

On nie ufał nikomu z tego matecznika. Przez ostatnie dziesięciolecia ukrywał skrzętnie swoje traktaty przed braćmi w obawie, Śe zostaną skonfiskowane. Nawet Konradowi, którego uwaŚał za swojego duchowego syna, dał na przechowanie tylko jeden zwój. Resztę zdeponował

u Ubogich Pań z San Damiano. W tamtejszym klasztorze, do którego z męŚczyzn wstęp miał tylko spowiednik sióstr, jego manuskrypty były bezpieczne, pozostawały poza zasięgiem szpicli Bonawentury.

Z drugiej strony ten Fabiano przetrwał niebezpieczną podróŚ przez Apeniny i odnalazł Konrada w jego pustelni. Rezolutne musiało być z niego chłopię. O bracie Salimbene mówił tak, jakby go znał, chociaŚ

Konrad nie wyobraŚał sobie, co ta kijanka mogłaby mieć wspólnego z tamtą starą ropuchą. Pamiętał, jak kiedyś, w trakcie jednej ze swych niekończących się wędrówek, spasiony kronikarz zawitał do Sacro Convento. Gromada braci do wieczora słuchała z zapartym tchem jego rubasznych opowiadań. Na wspomnienie puciołowatej gęby i obwisłego podgardla mnicha — świadectwa biesiadowania na szlacheckich dwo-rach — tego łysego, róŚowego czerepu, z którego w palącym słońcu ściekały struŚki potu, Konrada, tak jak wtedy, przeszedł dreszcz odrazy.

Pustelnik spojrział na chłopca śpiącego po drugiej stronie paleniska i w tym momencie Fabiano teŚ się wzdrygnął. Dzieciak nie nawykł do zimnych górskich nocy. Konrad przekręcił się na bok i rozdmuchał

dogasający Śar. Spod popiołu strzeliły pomarańczowe iskierki. Dorzucił

drew i poszturchiwał je patykiem, dopóki nie zajęły się ogniem.

— Przestań! — krzyknął nagle Fabiano.

Konrad znieruchomiał. Czymś tak wystraszył chłopca?

— Co mam przestać? — zapytał cicho.

Fabiano nie odpowiedział i Konrad domyślił się, że nowicjusz wcale się nie obudził, a ten okrzyk wydał przez sen, dręczony jakimś koszmarem. Teraz zawierzgał pod opończą nogami, jakby chciał nimi coś albo kogoś odepchnąć.

Konrad obserwował Fabiana, dopóki ten się nie uspokoił, i na powrót

znieruchomiał. Wtedy zamknął wreszcie oczy. Nie ścisnęło go już tak w dołku z niepokoju, serce tak nie waliło, galopada myśli zamierała.

Nie wiedział, ile czasu trwał tak na pograniczu snu i jawy, kiedy nagle pod jego zamkniętymi powiekami rozlała się blado-niebieskawa jasność. Pochylały się nad nim dwie niewyraźne sylwetki mnichów w obszarpanych habitach. Młodszy trzymał zakrwawioną dłoń na ramieniu starszego.

— Konradzie! — zawołał ten siwy, nie poruszając ustami. Łagodność i ciepło tego głosu sprawiły, że pustelnikowi mrówki przebiegły po krzyżu. Poznał po nim swojego mentora, a po ranie na dłoni jego towarzysza. „Bracie Leonie! Ojciec Franciszku!”, chciał krzyknąć, ale żaden dźwięk nie opuścił jego gardła.

— Wydobądź prawdę zawartą w legendach — powtórzył Leon frazę z listu i te słowa odbiły się echem w głowie Konrada, chociaż Leon nie tyle je wypowiedział, co pomyślał.

— A więc to pismo naprawdę jest od ciebie? Wydało mi się jakieś...

— Bądź śyczliwy dla tej, która ci je przyniosła. Kosztowało ją to wiele trudu. Nie zważaj na jej młody wiek. W wypełnieniu zadania, które przed tobą stoi, będziesz potrzebował jej pomocy.

Konrad otworzył oczy i zobaczył nad sobą majaczącą w mroku po-wałę.

Ona? Jej pomocy?

Usiadł gwałtownie i spojrzał ponad płomieniem na wąskie ramiona śpiącego plecami do ognia Fabiana. Czyżby to była krągłość biodra, której wcześniej nie dostrzegł?

Wizje boskich świętych trzeba traktować poważnie. Głosy słyszane podczas śarliwej modlitwy albo w głębokim śnie zawsze mówią prawdę. Teraz mówiły mu, że nie wolno mu pozostać w chacie z tym Fabianem. Czyż Jan Chryzostom nie ostrzegał: „To poprzez kobiety szatan dostaje się do męskich serc”?

Konrad wrzucił w ogień resztkę suchych patyków. Ściągnął opoń-

czę, okrył nią śpiącego nowicjusza i na palcach ruszył po zasłanym słomą

klepisku ku drzwiom. Myszy rozbiegły się po kątach i czekały, aś

przejdzie.

Zimne powietrze zaatakowało policzki i uszy pustelnika. Ukucnął

pod ścianą przy drzwiach, skulił się, objął rękoma kolana i spojrzał w bezchmurne czyste niebo.

Leonie, cóś mi uczynił? Wiesz, że nie mam z kobietami żadnego doświadczenia. Był podrostkiem, kiedy rozstał się z rodziną Rosanny, i od tamtego czasu nie stykał się z niewiastami. Podczas ostatniego lata, jakie spędzali razem, nawet ona jednym sugestywnym uśmiechem albo powłóczyłym spojrzeniem czarnych oczu potrafiła przyprawić go o szybsze bicie serca i zawrót głowy. Z biegiem lat wmówił sobie, że ból, jaki czuł, kiedy ich rozdzielono, był błogosławieństwem zesłanym przez Boga. Nie dane mu było nawet po ludzku się z nią pożegnać. W

dniu, kiedy ojciec Rosanny odwiózł go ni z tego, ni z owego do domu braci w Offidzie, jej matka powiedziała, że dziewczynka zaniemogła i nie może zasiąść z rodziną do śniadania.

Jego wzrok przyciągnął błysk oka rocznej sarenki skubiącej trawę kilka kroków od chaty. Kiedy była jeszcze cielątkiem, nazwał ją Chiara

— Jasna — bo miała lekki chód, a ruchy płynne. Uśmiechnął się po raz pierwszy od przeczytania listu Leona, szczęśliwy, że coś jednak pozostało na tym świecie takie jak dawniej.

Wyciągnął rękę i zwierzę podeszło. Drapał je przez chwilę po szyi, z której co tydzień wydłubywał kleszcze, a potem odepchnął lekko. Oto forma płci nadobnej, w której towarzystwie przystoi przebywać pustelnikowi. Bo że, oszczędź mi towarzystwa kobiety, poprosił, znowu zapadając w drzemkę.

Zwykle Konrad z radością witał świt. Wdychał wtedy czyste chłodne powietrze i przy wtórze świergotu budzących się wróbli oraz pochu-kiwania turkawek odmawiał na głos poranną modlitwę. Dzisiaj jednak, kiedy światło pierwszego brzasku zaczęło przesączać się przez korony 36

drzew, jego głowa wciąż była pełna myśli o kobietach.

Jeśli Fabiano w istocie jest dziewczyną, rozumował, to wyjaśniałoby to jego frywolne pytania. Ale jak Leon mógł powiedzieć, że będzie potrzebował pomocy tej gadatliwej dzierlatki?

Pamiętał, jak Leon kochał i czcił świętą Klarę. Założycielka zakonu Ubogich Pań wykazała się nieugiętą wolą i siłą charakteru, trwając w ubóstwie po śmierci Franciszka, czego nie dało się powiedzieć o braciach. Trawiona przez chorobę, wycieńczona postami i umartwieniami, przeżyła jeszcze trzydzieści lat i doczekała dnia, kiedy Ojciec Święty zatwierdził wreszcie surową regułę Ubogich Pań. Dwa dni po wydaniu bulli przez papieża Leon klęczał przy jej sienniku w San Damiano i patrzył ze smutkiem, jak Klara, ucałowawszy dekret, oddaje w końcu ducha Bogu. Ale ten sowizdrzał Fabiano — to chuchro — i błogosławiona Klara, prócz płci, nie mają ze sobą nic wspólnego.

Leon wyrażał się również z uznaniem o innej kobiecie — bogatej wdowie, która doglądała Franciszka na łożu śmierci. A potem przez dziesiątki lat pomagała Leonowi, dając mu pieniądze na habit, kiedy stary wisiał już na nim w strzępach, uśycząc mu dachu nad głową podczas długich lat wygnania. Donna Giacomina dei... Konrad nie pamię-

tał, skąd dokładnie pochodziła, w każdym razie z jakiejś dzielnicy swojego rodzinnego Rzymu.

Rozcierając zdrętwiałe z zimna policzki, rozważał teraz jeszcze jedną możliwość. W takie wyborne materiały piśmienne mogła — i uczyniłaby to z ochotą — zaopatrzyć Leona donna Giacomina — jego dobro-dziejka. Jeśli jeszcze żyje, bo była wszak w wieku Leona, a kiedy świę-

ty Franciszek ją poznał, już owdowiała. Gdyby jednak założyć, że to ona dała welin na list, to cała ta niejasna sprawa nabrałaby jakiegoś sensu.

Konrad usłyszał, jak nowicjusz — jeśli w istocie nim był czy była —

wierci się na słomie. Zwiesił czym prędzej głowę i udał, że śpi.

Zaspany Fabiano wyszedł z chaty i skierował się między drzewa.

Konrada korciło, żeby podejrzeć, czy stoi, czy kuca, lecz powstrzymała go skromność.

Miał inny pomysł. Jak większość seminarzystów, czytał Liber de contemptu mundi (O pogardzie świata) papieża Innocentego. Pamiętał

jeszcze ustęp wyrażający odrazę, jaką w tym wielkim śludze Kościoła budziła krew menstruacyjna. Ziarno, które się z nią zetknie, nie wykieł-

kuje, krzewy zmarnieją, trawa uschnie, drzewa stracą owoce, a pies, który ją polisie, wścieknie się. Jeśli Fabiano jest dziewczyną i jeśli okres dojrzewania ma już za sobą, a do tego jakimś trafem akurat teraz przypadło jej comiesięczne krwawienie, to wystarczy mu tylko spojrzeć potem na to miejsce.

Na samą tę myśl pustelnikowi krtań się ścisnęła, a ślōdek podszedł

do gardła — tak samo zareagował, kiedy pierwszy raz usłyszał od Rosanny o tym niewieścim przekleństwie, i jakiś czas potem, kiedy spotkał wiedźmy z Południa, które podobno dodawały tej złej krwi do swoich miłosnych wywarów. Miał jedenaście lat, kiedy Rosanna, o rok od niego starsza, wyjaśniła mu, dlaczego nie może z nim tego popołudnia pobiegać po wzgórzach. Weszła w wiek kobiecy, dorosając z dnia na dzień, i od tamtej pory patrzył na nią z szacunkiem.

Konrad podjął już decyzję. Nie będzie obcował z tą dziką pierwotną kobiecością. Podźwignął się na nogi i oddalił od pustelni w kierunku przeciwnym niż Fabiano. Musi znaleźć inny sposób na upewnienie się co do tożsamości nowicjusza.

Fabiano wydał mu się nadąsany, kiedy spotkali się potem w drzwiach chaty i skinęli sobie na powitanie głowami. Konrad wskazał

gestem stół i zdjął z krokwi siatkę z jadem. Napełnił dwa kubki wodą z glinianego dzbana, przekroił bochen chleba, położył na obie połówki po kilka plasterów sera, a na ser po kilka winogron.

— Czy opiekunem nowicjuszy w Sacro Convento nadal jest brat Hi-larion? — spytał niby od niechcienia, podając Fabianowi deseczkę z tak przygotowaną pajdą.

— Oho, zatem przerywamy milczenie? — Fabiano sprawiał wrażenie bardziej zagniewanego niż zaskoczonego pytaniem pustelnika. —

Bracie Konradzie, jeśli chcecie się czegoś dowiedzieć, pytajcie wprost.

Widzę przecie, że podejrzewacie, iż jestem kobietą. Nie musicie uciekać się do głupich podstępów.

— Nnnie... nie rozumiem — wyjąkał zaskoczony Konrad.

— Obudziłam się przykryta drugą opończą, a wy spaliście przed chatą. Co miałam sobie pomyśleć? Dworny męŜczyzna odkrył, Őe dzieli izbę z kobietą, oddaje jej więc swoje okrycie. Za to mu dziękuję. Z drugiej strony ten bezmyślny męŜczyzna woli zamarznąć, niŜ znieść bliskość kobiety, bo to w jego mniemaniu się nie godzi, czmycha więc, by ratować swoją czystą duszyczkę. Za to mu nie dziękuję!

Oderwała kawał chleba i zatopiła w nim zęby z taką złością, jakby wyobraŜała sobie, Őe to jego ciało.

— Przejrzałam was? — spytała. Mleczna skóra jej policzków i szyi nabrała róŜowego odcienia, czarne oczy zabłyśły złowróŜnie.

Konrowi krew uderzyła do twarzy. Jej zuchwałość wprawiała go w kontuzję i zbijała z pantałyku. Zgoda, przejrzała go, ale wytykając mu nieporadne zabiegi, nie okazywała najmniejszego szacunku dla jego kapłańskiego stanu. Powinien ją za to zgromić, przywołać do porządku.

— Naprawdę mam na imię Amata — podjęła, zanim zdąŜył cokolwiek powiedzieć. — Imię Fabiano nosi, a raczej nosił, mój brat.

Jadła i jednocześnie, bawiąc się pergaminem Leona, mówiła z pełnymi ustami:

— Powinnam powiedzieć suor Amata. Jestem siostrą słuŜebną z San Damiano. Sługa pewnej zacej pani przyniósł ten list do naszego domu i matka przeorysza powierzyła go mnie. Załatwiam wiele jej spraw. — Spojrzała mu w oczy. — Czy wiesz, bracie, jak niebezpieczna nawet dla męŜczyzny, nawet dla mnicha, jest przeprawa przez te góry? Gdyby szajka banditi stwierdziła, Őe w ich łapy wpadła kobieta...

39

a nie tylko sakiewka srebra czy para nowych sandałów, to nie skończy-

łoby się na poderŐnięciu mi gardła. Mój los byłby gorszy od śmierci, nawet od wiecznej męki w piekle.

— Miarkuj się, dziecko! Bluźnisz! — upomniał ją Konrad. — Nie ma nic gorszego od wiecznego potępienia.

Amata obrzuciła go ironicznym spojrzeniem.

— Wiem, co mówię, bracie, za to ty chyba nie. Taki jest świat, któ-

rego, jak podejrzewam, od lat nie oglądałeś. I jeszcze jedno, nie nazywaj mnie dzieckiem! Mam prawie siedemnaście lat. Gdybym nie wstą-

piła do zakonu, miałabym teraz dom, męŜa, a mej sukni czepiałyby się raczkujące maleństwa. — Uśmiechnęła się, ale nie był to uśmiech we-soły. — CzyŜ twoja Rosanna nie wyszła za mąż, będąc w moim wieku?

Konrad poczerwieniał. Wara jej od Rosanny. Basta!

Jego przyjaciółka wyszła za mąż nawet wcześniej, mając zaledwie szesnaście lat. W drugim miesiącu pobytu u braci dostał od niej list.

Donosiła w nim, Ŝe rodzice zaręczyli ją z kupcem Quinto, i prosiła o modlitwę oraz błogosławieństwo. Pościł przez kilka dni, by odpokutować myśli, które go naszły, kiedy to przeczytał. Dopiero tak oczyszczony, zaczął się modlić.

Amata rozprostowała łokciem list Leona, wolną ręką wrzucając sobie do ust winogrona. I nagle w jej oczach pojawiło się zaniepokojenie.

RozdraŜnienie opuściło ją tak szybko, jak marudzącego noworodka, któremu podano nową grzechotkę.

— Czy to są słowa? — zapytała, sunąc palcem po obwódce okalającej treść listu. — Widzę tu M, a to wygląda jak A.

— Gdzie? PokaŜ.

Konrad wyrwał jej pergamin i jednym susem znalazł się przy drzwiach. Obwódkę rzeczywiście tworzył ciąg drobniutkich literek.

Rozpoznawał charakter pisma Leona. Szukał wzrokiem miejsca, w któ-

rym tekst bierze początek i biegnie dalej szeregiem wyrazów i zdań układających się w logiczną całość, ale udało mu się tylko rozróżnić kilka oderwanych fragmentów.

40

Tekst obwódki zaczynał się od tego samego zalecenia, które kończy-

ło główny list: *Servite pauperes Christi*. Zaczął czytać na głos: SłuŜ biedaczkom Chrystusa. Brat Jakubina wiele wie o idealnej pokorze. Kto okaleczył Towarzysza? Skąd Serafin? Pierwsza Tomasza zaznacza początek ślepoty; Testament rzuca pierwsze okruchy światła. Prawda z dłoni martwego lepera przebija. *Servite pauperes Christi*.

Przeczytał całą owalną obwódkę dokoła, lecz nadal nie był mądrzejszy, niŜ kiedy zaczynał.

— Dlaczego on pisze zagadkami? — spytała Amata.

— Przypuszczam, Ŝe jeśli ja nic z tego nie pojmuję, to tym bardziej nie pojąłby Bonawentura, gdyby pismo wpadło w jego ręce. — Konrad zrolował pergamin i schował go za pazuchę habitu. — Tyle

pojmuję.

Muszę zapoznać się z legendami i testamentem, o których wspomina tutaj Leon. Są przechowywane w bibliotece Sacro Convento.

I powiedziawszy to, zeszywniał. Bracia tacy jak on, praktykujący bezwzględne ubóstwo, nie byli w mateczniku mile widzianymi gośćmi.

Mieszkając tam jako młody ksiądz, popadł w powaśne tarapaty, kiedy wytknął braciom fałszywe pojmowanie „własności”.

Braciom nie wolno posiadać na własność niczego, ani domu, ani miejsca, ani w ogóle czegokolwiek — zacytował wtedy fragment z Regu-

ły świętego Franciszka. — „A spójrzcie tylko na nasze miękkie szaty, rumiane lica i wykwintne jadło. Posiadamy księgi. Posiadamy ten okazały klasztor. Tylko Śon nam jeszcze brakuje”.

Było to siedem lat temu, w roku Pańskim 1264*, wkrótce po tym, jak wrócił z ParyŜa, a brat Bonawentura był juŜ generałem zakonu po odsuniętych Janie z Parmy. Bonawentura nie tolerował takich swarliwych

* W rzeczywistości św. Bonawentura został generałem z 1257 roku.

41

niesubordynowanych braci jak Konrad. Natychmiast wtrącił młodego duchownego do jednego z ciemnych wilgotnych lochów, wydrąŜonych głęboko pod Sacro Convento. Gdyby nie wstawiennictwo brata Leona i gdyby Konrad nie obiecał, Śe wyprze się swoich słów krytyki i od tej pory Śyć będzie w izolacji od świata,gniłby tam po dziś dzień — jak sam Jan.

— Jan z Parmy to Śywy męczennik — powiedział. Tak przywykł

mówić do siebie albo do zaprzyjaźnionej wiewiórki, brata Szarego, Śe zapomniał zupełnie o siedzącej wciąż przy stole Amacie. Spojrzał na nią. Przyglądała mu się, przekrzywiając głowę, w wyzywającej pozie, którą tak często przyjmowało zwierzątko.

— Niech się dzieje wola Boga — mruknał. — Muszę do AsyŜu, siostrzo. Jeszcze tego ranka ruszam w drogę.

— Mogę iść z tobą? Czuję się bezpieczniejsza, gdybyśmy po-dróŜowali razem.

Konrad zawahał się. Kolejny orzech do zgryzienia. Święty Franciszek napominał swoich pierwszych uczniów, Śeby nigdy nie podróŜowali z kobietami, Śeby nawet nie jedli z nimi z tego samego talerza wytwornym zwyczajem arystokracji. Kto wie, czy nie złamał juŜ tej zasady, śniadając z nią dzisiaj przy tym samym stole?

— Obiecuję zachowywać się jak najobyczajniej — dodała Amata.

UłóŜyła usta w ciup, robiąc błagalną minkę, ale oczy jej się skrzyły, co nie uszło uwagi Konrada. Ta dziewczka drwi sobie ze mnie, pomyślał.

Ale co do bezpieczeństwa we dwoje, ma rację.

I tu pustelnik przypomniał sobie drugą wersję Reguły Franciszka, w której stało tylko, Őe bracia nie powinni obcować z kobietami w sposób mogący budzić podejrzenie. A kto będzie podejrzewał o coś mnicha podróŜującego z nowicjuszem o imieniu Fabiano? Co więcej, święty Franciszek nakazywał wręcz swoim zakonnikom, by podróŜowali parami, a zatem podejrzenie wzbudzałby dopiero zakonnik wędrujący bez towarzysza, tak jak pewnie wzbudziła je Amata u tamtych dwóch zakonników, 42

których spotkała po drodze. I nie pogwałci nawet ducha Reguły, bo nic nie czuje do tego niesfornego elfa o niewyparzonym języczku. Pokusa ciała nie wchodziła tu w rachubę.

— Zobaczymy, czy dotrzymasz obietnicy — burknął i rozejrzał się po izbie, zastanawiając się, co teŜ naleŜałoby zabrać, a co zabezpieczyć przed wyruszeniem w drogę. Znowu się zawahał. — Nie zauwaŜyłaś, czy mnisi, którzy czytali list Leona, odczytali równieŜ obwódkę?

— Mogli. Ten stary kręcił pergaminem na boki. Źle uczyniłam, pokazując im pismo?

— Obawiam się, Őe tak! Czy ten list moŜe Őciągnąć na nasze głowy niebezpieczeństwo czy nie, powiedzieć nie potrafię, bo nie wiem, co znaczy. Ale moi konwentualni bracia podejrzewają, Őe podŐeganiem do buntu pachnie wszystko, co napisał Leon.

I moŜe mają rację.

Schylił się i z mroku zalegającego za stołem wyciągnął dzban i postawił go na ławie.

— Powinnaś wiedzieć, gdzie szukać traktatu Leona, na wypadek, gdybym ja nie mógł tu wrócić.

Zdjął z dzbana pokrywkę i wyjął ze środka cylindryczną paczkę. Po izbie rozszedł się silny odór gnijącej ryby miły dla nosa Konrada, który dzieciństwo spędził u boku ojca w ankońskim porcie. OstroŐnie odwinął zielonkawoŐóltą, zaimpregnowaną olejem tkaninę, a potem kilka warstw wyblakłego płótna, spod których wyłonił się w końcu gruby manuskrypt. Pustelnik rozwinął go na całą długość stołu. Amata ujęła jego róg między palce i potarła.

— To papierowy zwój — wyjaśnił Konrad. — Brat Leon powiedział, Őe to nowy materiał sprowadzony z Hiszpanii, podejrzewam, Őe przez tę samą damę, która dostarczyła jego list do San Damiano. Był

nim zachwycony. Gładki i lekki, nigdy się nie skleja. Przysłał mi go tej wiosny, wiedząc, Őe jego dni są policzone. Prosił, Őebym sporządził

kopie tej kroniki dla braci spirytualnych ukrywających się w Romanii i 43

w Marche. Tylko nasza garstka moŜe ocalić prawdę od zapomnienia.

— Jaką prawdę?

— Prawdziwą historię braci mniejszych po śmierci świętego Franciszka. Nasz zakon stał się, niestety, potwornym gryfem. W połowie jest orłem, który szybuje na skrzydłach świętości i pobożności. Mogę ci wymienić tuzin braci, którzy na takich skrzydłach się wznoszą. Ale w drugiej połowie jest lwem i ukrywa pazury okrucieństwa i nieprawości.

Leon był świadkiem cierpień braci, którzy pozostali wierni Regule .

Eliasz, zostawszy ministrem generalnym, uwięził i torturował wielu z nich, a nawet zamordował ojca Cezarego ze Spiry. Później Krescenty, który nastąpił po Eliaszu, rozpędził ich grupę. Część zesłał na poniewierkę do Armenii Mniejszej. Bonawentura...

— Przecie brat Eliasz zbudował bazylikę — wpadła mu w słowo Amata. — Z całego świata ciągną do Asyŝu tłumy, ŝeby ją zobaczyć!

Konrad odetchnął głęboko, nakazując sobie w duchu cierpliwość. Ta Amata najwyraźniej niewiele wie o podziale w zakonie. Wiele przed nią nauki, zanim będzie mógł liczyć na jej obiecaną przez Leona pomoc. Przyjął pobłaŝliwy ton nauczyciela:

— Eliasz, chociaŝ był ze świętym Franciszkiem tak samo blisko jak kaŝdy z braci, nie zrozumiał celu, do którego przez całe ŝycie zdąŝał

nasz załoŝyciel. Franciszek, w swej pokorze, prosił, by pochowano go poza murami miasta, na Colle d'Inferno, ŝmietniku Asyŝu, gdzie grzebie się przestępców. A co uczynił brat Eliasz? Doprowadził do tego, ŝe zakonowi, który za ŝycia swego mistrza nie posiadał niczego, podarowane zostało całe wzgórze, i wybudował na nim najwspanialszą w ca-

łym chrzeŝcijańskim ŝwiecie bazylikę — olbrzymie mauzoleum dla Il Poverel o, Biedaczka Boŝego, jak nazywał go lud. Oto, jak opacznie Eliasz pojął nauki Franciszka.

Amacie pojaŝniała twarz.

44

— Znam Colle d'Inferno — oŝywiła się. — To mój dziadek Capitano podarował je bratu Eliaszowi.

Konrad spojrział na nią z niedowierzaniem. Najpierw twierdziła, ŝe zna takiego upadłego brata jak Salimbene, teraz znowu ma czelność przyznawać przed nim, ŝe to jej rodzina podarowała grunt pod wielką bazylikę?

Amata rozwinęła zwój.

— Nie zabierzemy tego ze sobą. Moglibyśmy go ukryć u matki przeoryszy.

— Nie. Gdyby nas z nim przyłapano, inkwizytorzy posłaliby nas na stos, a ta kronika posłuŝyłaby im za podpałkę. Zakopię ją w tym dzbanie. ŝe istnieje, wiemy tylko ty i ja. Gdyby nie dane mi było tu

wrócić...

— O nie! — Amata zamachała rękami jak karczmarka opędzająca się przed komarami. — W tym ci nie pomogę. Nie wolno mi chodzić samej. Nie pozwolę mi drugi raz iść w te góry.

— Bóg jeden wie, dlaczego zostałam wciągnięta w tę sprawę, siostrze, ale skoro On chce, byś stała się Jego narzędziem, to ci to umożliwi.

Śeby włożyć manuskrypt z powrotem do dzbanka, Konrad musiał

wyjąć wprawdzie z niego płócienny woreczek przewiązany sznurkiem.

Woreczek wysunął mu się z dłoni i upadł z klekotem na rozsypaną na klepisku słomę. Wysypały się z niego gęsie pióra, kałamarz z rogu, pumeks, linijka, rylec i kreda. Zawstydzony swoją niezgrabnością, pochylił się i zaczął zbierać przybory.

— Jak widzisz, mam wszystko, czego trzeba do sporządzania kopii, prócz pergaminu. Muszę poprosić Monię Rosannę, Śeby przysyłała mi po kilka arkuszy z każdą dostawą jadła.

Amata parsknęła śmiechem, ale to nie jego niezgrabność tak ją rozbawiła.

— I ty nazwałeś uczonych trwonicielami czasu?! Wiedziałam od razu, Śe sam w to nie wierzysz.

45

— Takaś sprytna? A po czym poznałaś?

— Wystarczy popatrzeć na twój habit. Na siedzeniu i łokciach bardziej wytarty niż na kolanach. Na zadku spędzasz tyle samo czasu, co skryba przy swoim pulpicie.

Konrad nie wiedział, czy się roześmiać, czy obrazić. Zdecydował

się na to pierwsze.

— Przyznaję — powiedział. — Studiowałem w Paryżu i prowadzi-

łem tam dyskursy z wielkimi tego świata. Nam, studentom, kiedy tak uczenie rozprawialiśmy, dzieląc włos na czworo, wydawało się, Śe w ręce wpadły nam klucze do wszechświata. Głowa mnie boli, kiedy wspominam tamte czasy.

Uśmiechnął się, wychodząc do ogródka po szpadel. I nadal nie wiem, ile odcieleśnionych dusz mieści się w misce do zupy, pomyślał.

— Zaczekaj tam chwilę! — zawołała przez okno Amata. —

Muszę załatwić... pewną kobiecą sprawę.

Słyszając to, Konrad odwrócił się natychmiast plecami do chaty.

Znowu te kobiece sprawy! Rozmyślanie o nich już wystarczająco popsuło mu dzisiaj apetyt.

Skorzystał ze sposobności i zapatrzył się na drzewa skrzące się wciąż milionami maleńkich iskierek rosy. Już teraz czuł, jak bardzo będzie mu brakowało tego lasu. Amata strasznie się grzebała, ale jemu nie było już tak pilno ruszać w drogę. Uświadomił sobie, że być może na zawsze opuszcza to miejsce, które pokochał i uważał za przedsionek nieba. Pragnął ten ostatni raz upoić się jego spokojem, pogodą ducha, którą tutaj, czuł. Postanowił, że drzwi chaty zostawi otwarte na wypadek, gdyby jego leśni przyjaciele potrzebowali schronienia. Ciekaw był, czy będą za nim tęsknili, ale czy to aby nie herezja przypisywać ludzkie uczucia pozbawionym duszy zwierzętom?

— Jestem już gotowa! — krzyknęła w końcu Amata. —

Wyręczyłam cię i powkładałam wszystko z powrotem do dzbana.

Pustelnik wykopał dołek w kącie, w którym stał stół, włożył do niego dzban i przykrył słomą. Amata przytrzymała pokrywkę, kiedy go

zasypywał i ubijał ziemię. Oczyszczając drewniany szpadel, Konrad odniósł wrażenie, że widzi na twarzy dziewczyny zdecydowanie, które-go wcześniej tam chyba nie było. Czy to możliwe, żeby w tej imperty-nenckiej, dziecinnie zarozumiałej siostrze drzemała odwaga i stanowczość mężczyzny? Będzie jej potrzebne jedno i drugie, pomyślał, jeśli ma przetrwać burzę, która nadciąga. Bo ta burza na pewno się rozpęta.

I w tym momencie przed oczami stanął mu ojciec tonący w czarnej, spienionej szkwałem, morskiej kipieli. Boże, zmiłuj się nad nami wszystkimi, pomyślał.

III

Orfeo Bernardone otarł twarz szerokim rękawem arabskiego burnu-sa. Przeczesał palcami wilgotne, lepiące się do karku włosy i poprawił

czerwoną lewantyńską czapkę, zwisającą mu jak sakwa nad prawym uchem. Słońce nad portem w Akce praŝyło niemiłosiernie w ten nietypowy poranek, nietypowy, bo od morza nie nadlatywała najlŝejsza bryza i Ziemia Ŝwięta kojarzyła się bardziej z rozpaloną pustynią niŝ Ziemią Obiecaną. Ŝeglarz mruŝył oczy przed blaskiem bijącym od białych ścian mauretańskich domostw oraz rysujących się w dali na tle błękit-nego nieba kopuł meczetów i pałaców. Wysokie palmy stulały rzadkie wiechcie postukujących o siebie liści, wieńczących wysmukłe pnie, jakby Ŝałowaly cienia przechodzącym pod nimi ludziami.

— Podziwiam cię, Marco — powiedział do swojego towarzysza. —

Twój zawój jest tak samo suchy, jak w chwili, kiedy owijałeś nim sobie głowę. — Pociągnął za kosmyk jasnych kędziorów wymykających się spod nakrycia głowy młodego pana Polo. — A i teraz tylko jeden włos masz w nieładzie.

48

Młodzieniec odtrącił jego rękę.

— Początkujący kupiec nie moŝe wyglądać na zgrzanego — rzekł.

— Inny kupiec, widząc go spoconym, będzie się tym zawzięciej targował.

Weszli między ocienione stragany i przecinające się alejki bazaru.

Orfeo zaciągnął się głęboko mieszaniną zapachów czosnku, kwiatu muszkatołowego i gałki muszkatołowej, worków cynamonu i imbiru z Indii, piŝma z Tybetu. W Rzymie ksiąŝęta dworu i Kościoła płacili za te przyprawy małe fortuny, a on mógł się rozkoszować tymi samymi wra-

ŝeniami zmysłowymi za darmo, przy okazji zwyczajnej porannej prze-chadzki. Cudowny Orient!

Po targowisku uganiała się obszarpana dzieciarnia, a nieśmiałe kobiety z zasłoniętymi twarzami i z dzbanami na głowach przypominały mu czerpiące wodę gospodynie z górskich wiosek jego rodzinnej Umbrii. W porównaniu z Akką Umbria była jednak zimna jak dziewicze śluby. W portowych uliczkach krzyŝowcy ocierali się o Saracenów, czarni Mauretanie i ŝydzi targowali się z Ormianami i nestoriańskimi chrześcijanami — a wszystkich, niby szprychy koła, łączyła piasta pieniędzy. Podobnie jak Ŝeglarze przybijający do brzegu wyspy zamiesz-kiwanej przez zjadaczy lotosu, mieszające się tu rasy szybko zapomina-

ły o swoich świętych krucjatach i dŝihadach, nawet o ojczystych kra-jach, i pragnęły tylko jednego — pozostać na wieki na tym rajskim wybrzeŝu.

Jeszcze bardziej niż mieszkańcy miasta zadziwiła Orfeę wszechobecna tu tolerancja. W Umbrii człowiek mógł spłonąć na stosie tylko za to, że obraził swoimi porwanymi łachmanami oko bogatego biskupa, albo za to, że w jakimś teologicznym wywodzie porównał niebo do gromki sera. Tutaj, w Akce, każda kultura i filozofia traktowana była tak samo. W panoramie miasta minarety, z których mueżini wzywali wiernych muzułmanów do modlitwy, sąsiadowały zgodnie z bastionami europejskiej obecności: wieżami księżnej Blois i króla Henryka II, szpi-talników, templariuszy i teutońskich rycerzy, a tam gdzie mury miasta 49

spotykały się z portem — wznosiły się zamki patriarchy Akki oraz legata papieskiego, Tebalda Viscontiego da Piacenzy. W labiryncie placów i wąskich uliczek Orfeo napotykał Greków, Normanów, Ara-gończyków, Kurdów, Turków, no i oczywiście kupców z Pizy i Genui.

Głównie przez wzgląd na tych ostatnich, swoich krajanów, obaj młodzieńcy mieli u pasa miecze.

Tego poranka ich celem nie był jednak bazar, lecz jeden z odchodzących od niego wąskich krętych zaułków, gdzie prowokujący śpiew grajków akompaniujących sobie na cytrach wabił do domu, w którym oczekiwały ich dwie ciemnoskóre kurtyzany bliźniaczki. „Jeszcze ten jeden raz i ruszamy w rejs do Laiaissy”, obiecali sobie dwaj Italczycy poprzedniego dnia. Perspektywa pączkującej przygody podniecała ich tak samo, jak myśl o zaznaniu po raz ostatni rozkoszy z namiętymi siostrami.

— Marco, dlaczego ociążasz się z wyjawieniem mi odpowiedzi twojego ojca? — spytał Orfeo, kiedy kluczyli między straganami. —

Powiedz wreszcie, czy i mnie będzie dane zostać początkującym kupcem?

Twarz Marca stała się nieprzeniknioną maską.

— On myśli praktycznie, amico . Kieruje się logiką. — Teraz zrobił

minę starszego Polo i ta maska sposepniała. — „Orfeo jest wioślarem.

Prócz pirackich napaści na statki genueńskich kupców, jakie ma do-

świadczenie we władaniu oręszem? Taki człowiek miałby stanowić naszą zbrojną eskortę? Czy on w ogóle potrafi utrzymać się na koniu, nie wspominając o wielbłądzie? Czy Tatarzy nie wyśmieją nas, kiedy zobaczą, kogo nazywamy jeźdźcem?”.

Posępność twarzy Marca udzieliła się duszy Orfeę. Tego się właśnie obawiał. Od kiedy zaciągnął się na śmigłą galerę rodziny Polo, śnił o wyprawie z ich karawaną przez Armenię Mniejszą i Większą, Turcję i Kitaj, aż na dwór samego Kubłaj-chana. Jezusie, cóż by to była za przygoda! Był zaledwie kilka lat starszy od Marca i wróciłby pewnie bogaty, na tyle bogaty, by jak Marco wieść Sycie pełne podniet? Słuchając 50

jednak z drugiej ręki trzeźwej opinii Nicola Polo, czuł się teraz bardziej niż kiedykolwiek skazany na szarą egzystencję wśród Sęglarskiej braci.

Nigdy nie odłóży tyle, by móc zostać kupcem, a już dawno zerwał

wszelkie więzy ze swoim ojcem, który też był kupcem, i z braćmi.

Zwiesił głowę i wpatrzył się w swoje sandały wzbijające pył z uliczki.

— Aha, a na koniec powiedział coś jeszcze — dodał Marco. — Cytuję słowo w słowo: „Z drugiej jednak strony, to przecież twój przyjaciel, synu. Skoro tak go kochasz, znajdziemy dla niego jakieś miejsce”.

— Co?! Naprawdę?

Marco się uśmiechnął.

— Niech będą pochwaleni wszyscy święci spowiednicy! Ruszam do Kitaju! — wykrzyknął Orfeo. Porwał przyjaciela w ramiona, ucałował

go w oba policzki, a potem uniósł w górę i uściskał z taką siłą, że ten jęknął z bólu.

— Masz mnie bronić, a nie łamać żebra — stęknął Marco.

Orfeo roześmiał się na całe gardło i nagle spowaśniał.

— Kto wie, czy nie od zaraz — rzekł, obserwując ponad ramieniem Marca trzech nadchodzących mężczyzn w barwach Genui.

Ocenił ich jednym rzutem oka. Do rosłych się nie zaliczali, za całą trójkę na targu niewolników nie dano by pewnie stu drachm. Orfeo zaś miał posturę zapaśnika i chełpił się często, że potrafi powalić wołu.

Lata spędzone za wiosłem zrobiły swoje. Inna sprawa, że tamtych było trzech i zapewne ani im w głowie się z nim mocować, od czego mają miecze.

Czy to podekscytowany dobrą nowiną przekazaną mu przez Marca, czy po prostu przejęty swoją nową rolą jego straszy przybocznej, poczuł

nieprzepartą pokusę wszczęcia awantury.

— Czyż nie jest prawdą, Marco, że Genuę zaludniają wałachy, któ-

rym brak wiary w siebie, i kobiety, niewiedzące, co to wstyd? — powiedział głośno, tak żeby tamci usłyszeli.

Patrzył przy tym na nich wyzywająco. Oni też na niego spojrzeli i jeden odparował:

— Nie, ale prawdą jest, że wszyscy Wenecjanie to liśacy rzyci łga-rze.

Marco odwrócił się na pięcie i stanął ramię w ramię z Orfeem twarzą do Genuńczyków. Cała piątka równocześnie dobyła mieczy.

— Sior Polo! Sior Polo! — rozległ się za nimi zdyszany piskliwy głosik. — Chodźcie prędko. Wasz ojciec każe wam wracać co tchu do obozu.

— Och, sior Polo — zakpił jeden z Genuńczyków, naśladując po-słańca. — Biegnijcie lepiej, bo się jeszcze tatulo rozeżlą.

— Błagam was wszystkich, schowajcie miecze — zapiszczał eunuch. — To bardzo ważna sprawa.

— O co chodzi? — warknął Marco, nie odrywając oczu od trzech przeciwników i ich oręża. — Jaka to ważna sprawa?

— Mamy papieża, sior Polo! Po trzydziestu jeden miesiącach mamy wreszcie papieża!

Tebaldo Visconti da Piacenza, osuszając wonną haftowaną chusteczką wilgotne skronie, czekał w wielkiej sali swego zamku na braci Polo i ich towarzyszy. Jasne słońce wlewało się przez łukowate okna w zachodniej ścianie budowli.

Czyżby to już dwa lata, jak Nicolo ze swoim bratem Maffeem przybyli do Akki z posłaniem od Wielkiego Chana? Im był starszy, tym szybciej upływały mu miesiące. Pamiętał pierwsze wrażenie, jakie zrobili na nim ci dwaj weneccy kupcy: wykształceni, rzeczowi. Przywieźli Tebaldowi, legatowi papieskiemu w Akce, pismo od imperatora.

Kubłaj-chan, naczelny wódz wszystkich Tatarów, zwraca się do Wielkiego Biskupa Rzymu z prośbą o przysłanie stu uczonych mężów, dobrze obeznanych z religią chrześcijańską, jak również z siedmioma 52

sztukami, zdolnych dowieść rzetelną argumentacją, że bogowie Tatarów i bałwany, które czczą oni w swoich domostwach, są złymi duchami, oraz że wiara wyznawana przez chrześcijan opiera się na prawdzie lepiej ugruntowanej niż wszystkie inne. Wielki Chan prosi również o flakonik oliwy z lampy płonącej w grobie Pana Jezusa Chrystusa, którego głęboko poważa i uznaje za prawdziwego Boga.

Ale był to rok Pański 1269 i rok wcześniej zmarł papież Klemens IV.

— Jego fotel wciąż stoi pusty — powiedział Tebaldo braciom Polo.

— Wracajcie do Wenecji. Odwiedźcie swoje domy i rodziny i czekajcie na elekcję nowego papieża.

Tak też uczynili i Nicolo stwierdził, że Sona, którą przed piętnastu laty zostawił brzemienną, powiła mu syna. Dała mu na imię Marco, po świętym patronie miasta. Nicolo dowiedział się również, że zmarła, wydając chłopca na świat. W końcu, dwa lata po pierwszym spotkaniu z Tebaldem, bracia wrócili do Akki z Markiem. Powiedzieli, że nie mogą dłużej czekać. Zachodziła obawa, że Kubłaj-

Chan uzna ich przedłuŜaj-

cą się nieobecność za afront, a skutki tego byłyby dla wszystkich chrze-
ścijan oplakane.

I teraz, kiedy szykowali się juŜ do powrotu na dwór Wielkiego Chana, konklawe kardynałów, nie ulegając naciskom przedstawicieli frakcji andegaweńskiej, optujących za papieŜem Francuzem, ogłosiło swój wybór. Kolejnym papieŜem został legat papieski w Akce.

Słyszając zbliŜające się głosy i kroki, które odbijały się echem w kamiennym korytarzu prowadzącym do wielkiej sali, Tebaldo podniósł się z tronu z libańskiego cedru. Na czele rodziny kroczył Maffeo Polo.

Ukląkł i pocałował pierścień na palcu Tebalda.

— Wasza Świątobliwość — rzekł — cóŜ za cudowna niespodzianka. Pod jakim imieniem będziemy was znali w przyszłości?

53

— Zdecydowałem się na Grzegorza. Grzegorz, dziesiąty papieŜ te-go imienia.

Usiadł, a goście stali przed jego tronem. Zawsze odnosili się do niego z szacunkiem jako do legata, ale najwyŜszy respekt, który malował

się teraz na ich twarzach, krępował go. W swoich najambitniejszych marzeniach nie widział siebie w roli papieŜa. I teraz, kiedy wybrano go na pasterza całego Kościoła chrześcijańskiego, wolał określać się w myślach jedną ze skromniejszych definicji papiestwa: Servus servorum Dei, sługa Sług BoŜych.

— Ta wieść nie mogła nadejść w stosowniejszym czasie — zagaîł.

— Jeszcze dzień, a odpłynęlibyście do Armenii Mniejszej. — Skinął na kleryka, który czekał w na wpół otwartych bocznych drzwiach. Kleryk dał znak ręką i do sali weszli dwaj korpulentni dominikanie.

— Signori, przydzielam wam brata Guielma da Tripoli oraz brata Nicola da Vicenzę. Z łaski Boga przebywali tutaj, w Akce, kiedy z Rzymu nadeszła wieść o moim wyborze. Nie jest to wprawdzie stu uczonych męŜów, o których prosi Wielki Chan, ale obaj bracia biegli są w piśmie i naukach. — Naprawdę nie mógł zebrać liczniejszej grupy misyjnej w tak krótkim czasie i modlił się, Őeby ta więcej niŜ skromna liczba misjonarzy nie stała się decydującą przeszkodą na drodze do nawrócenia pogańskich Tatarów na wiarę chrześcijańską. Przyglądając się dwóm pulchnym zakonnikom, zastanawiał się, czy w ogóle zniosą trudy podróŜy i dotrą Őywi do Kitaju.

Do tronu zbliŜył się kleryk i wręczył Tebaldowi welinowy pergamin z jego osobistą pieczęcią.

— Ten list papieski, prócz pozdrowień dla Kubłaj-chana, zawiera również upoważnienie dla tych tu braci do wyświęcania w moim imieniu księży, konsekrowania biskupów oraz do udzielania rozgrzeszeń.

Macie moje błogosławieństwo, Śyczę wam zdrowia i bezpiecznej podróży. Wiem, że napotkacie na swej drodze lód, piasek, powodzie, wojny, barbarzyńskich zbójców i wiele innych niebezpieczeństw. — Te ostatnie słowa wypowiedział z myślą o dwóch dominikanach i zauwa-

żył, jak wymieniają nerwowe spojrzenia. Obawiał się, że jego wybór może

okazać się niezbyt fortunny, ale naprawdę byli jedynymi doświadczonymi uczonymi, jakich tego dnia miał pod ręką w Akce. W ostateczności

może jeszcze dodać braciom Polo swojego kleryka.

Złatwiwszy formalności związane z misją kupców, Tebaldo pozwolił sobie odchylić się na rzeźbione oparcie tronu. Odetchnął głęboko i znowu osuszył skronie.

— Szczerze mówiąc, przyjaciele, opuszczam Akkę bez Salu. Kupcy tacy jak wy, a nawet nasi dzielni krzyżowcy, przez cały mój pobyt tutaj przysparzali mi tylko kłopotów.

Na te słowa obecni zmieszali się, nie bardzo wiedząc, czy mają spu-

ścić ze wstydem wzrok, czy okazać skruchę, ani w ogóle jakiej reakcji się od nich oczekuje. Widząc ich niepewne miny, Tebaldo uśmiechnął

się ze znużeniem.

— Chyba mnie zrozumieliście? — podjął. — Ściągnęliśmy tu kwiat rycerstwa świata chrześcijańskiego, żeby odzyskać Ziemię Świętą. A przeciw Bajbars Bandukdari i jego mamelucy nadal się ją śmierć i zniszczenie. Nie dalej jak tego roku zdobyli zamek templariuszy w Sa-fedzie i wycięli w pień załogę. Złupili Antiochię i wymordowali osiemdziesiąt tysięcy mieszkańców. Ocalała jedynie garstka, która Śycie zawdzięcza temu, że żołnierzom Bajbarsa ręce omdlały od wywijania mieczem, i ci są teraz w niewoli. Nim minie dziesięć lat, spodziewam się go u bram samej Akki. I wiecie co? On ją weźmie, bo my, chrześ-

cijanie, tak się między sobą wadzimy, że nigdy nie zdołamy się zjednoczyć, by stawić mu czoło. Wasi bracia Wenecjanie ślą Bajbarsowi broń. Genuńczycy pomagają mu w handlu niewolnikami.

Templariusze i szpitalnicy kłócą się i niweczą nasze wysiłki w negocjacjach z Saracenami, odmawiając wydania muzułmanów, których wzięli w niewolę. „Potrzebujemy ich, bo są dobrymi rzemieślnikami”, mówią mi. Nikt nie patrzy dalej własnego nosa. Za nic mają wolę boską, a co dopiero nasze wspólne dobro.

Odchylił w tył głowę i westchnął głośno.

— Wybaczcie, signori . Wy tylko handlujecie drogimi kamieniami i dobrze słuŝyliŝcie naszej sprawie. Nie na was się skarŝę. Pobyt tutaj zrobił swoje. Jestem juŝ zmęczony i pragnę wrócić do ojczyzny. —

Wyprostował się i spojrział na obecnych. — Ach, a więc jest tutaj twój Marco. Ale młodzieńca, który stoi obok niego, chyba nie znam. To teŝ

twój syn, sior Polo?

— Nie, Wasza Świątobliwość. Pozwól, ŝe go przedstawię. To Orfeo di Angelo Bernardone, przyjaciel mego syna i członek zbrojnej eskorty naszej wyprawy.

— A więc teŝ Wenecjanin?

— Asyŝyjczyk, Ekscelencjo — sprostował kupiec, a potem, ŝeby wybrnąć z niezręcznej sytuacji, dodał: — Jest bratankiem błogosławionego świętego Franciszka z tego miasta.

— Doprawdy?

Tebaldo zmierzył krzepkiego młodziana taksującym wzrokiem.

Uwaŝał się za nieomylnego sędziego ludzkich charakterów. Męŝczyzna dobrze się prezentował, Tebaldowi podobała się energia i ciekawość wyczynająca z jego brązowych oczu. Świadczyły o ŝywotności i inteligencji. Szkoda, ŝe nie ma teologicznego przygotowania, pomyślał, i nagle coś przyszło mu do głowy.

— Sior Bernardone — rzekł — chciałbym, ŝebyś po wyruszeniu pa-nów Polo w drogę popłynął ze mną do Wenecji. Mając cię na pokładzie, zyskamy sobie z pewnością ochronę twojego świętego wuja. Nie wątpię, ŝe stoi bliŝej tronu Boga niŝ jakikolwiek inny święty, nie licząc błogosławionej matki Pana Naszego.

Bracia Polo skłonili się szybko z aprobatą, lecz Tebaldo spostrzegł

cień rozczarowania i zmieszania, który przemknął przez smagłą twarz asyŝyjczyka. Nie wyglądał na zachwyconego pomysłem papieŝa. Marco spojrział groźnie na przyjaciela i szepnął mu coś do ucha. Młodzieniec kiwnął głową i wystąpił sztywno naprzód. Ukląkł przed tronem, pochylając się, dotknął czołem białego jedwabnego pantofla Tebalda i ucałował kraj jego szaty.

— Jestem słuŝgą twoim i Boga, Wasza Świątobliwość. Całego siebie i wszystko co mam oddaję do waszej dyspozycji.

IV

Konrad zatrzymał się pośród wielkich głazów prastarego skalnego rumowiska, położył na ziemi sakwę z prowiantem i czekał na Amatę.

Słońce przebyło dopiero połowę drogi do zenitu, ale skały były już nagrzane i nadal się nagrzewały — zaczynał się jeden z tych dziwnych październikowych dni, które z uporem czepiają się lata. Przed ponad godziną zostawili za sobą linię drzew i od tamtej pory nie uświadczyli skrawka cienia, a słaby wietrzyk powiewający od czasu do czasu nad zboczem nie przynosił ulgi.

Pustelnik wypuszczał się niekiedy poza granice swego lasu, żeby zejść do którejś z nadmorskich wiosek albo wspiąć się tutaj, na to niegościnne pustkowie, ale czynił to rzadko. Jeśli wdrapywał się na jakiś szczyt, to zwykle po to, by uczcić tam kontemplacją jakiś szczególnie święty dzień. Z turni roztaczała się dzika panorama zachodzących na siebie błękitnych i purpurowych górskich pasm pokrytych śniegiem, tu i ówdzie przeciętych wodospadem. Konrad pełził przez owo zapierające dech w piersiach świadectwo boskiej mocy stwórczej niczym mały szary

pajaczek, wędrujący po ścianie jego chaty. Mieszkańcy miast, stłoczeni w gęstych labiryntach uliczek i domów, które sami wzniesli, mogli czuć się kreatorami swojego otoczenia, ale czymś były dzieła ich rąk wobec majestatu boskich Apeninów.

Oderwał wzrok od widnokregu i obejrzał się na ścieżkę, którą się tu wspiął.

— Nadal twierdzisz, że masz w sobie coś z górskiej kozicy?! —

zawołał do wlokącej się za nim Amaty.

Dziewczyna klapnęła bez tchu na najbliższy głaz i przyłożywszy dłoń do falującej piersi, z trudem łapała w płuca nagrzane powietrze.

— Moje ździebko przesadziłam — burknęła, odsapnąwszy nieco.

— Nie zwykłam drapać się na takie wysokie góry.

— Czy mówiąc, że nie lękasz się wysokości, też przesadzałaś?

— Nie gadaj tyle, tylko prowadź. Dotrzymam ci kroku. Skoro twój skrót ma nam oszczędzić tygodnia podróży, to warta skórka wyprawki.

— Dojdziemy niedługo do ścieżki, którą kozice wydeptały w skalnej ścianie — uprzedził ją Konrad. — Najwęższy odcinek ma sto kroków, ale zrobisz jeden fałszywy i polecisz w przepaść. — Skrobiąc bezwiednie paznokciem kamyczek leżący na głazie i z rozmysłem unikając jej wzroku, dodał: — Po mojemu, tylko niewinna istota nielekają-

ca się Sądu Bożego odważyłaby się tamtędy przejść. — Dziewczyna musiała to rozstrzygnąć w swoim sumieniu, a nie chciał śledzić tego procesu w jej oczach, będących wszakże zwierciadłem

duszy.

— Skoro ty się nie boisz, to ja teŜ nie — powiedziała Amata. — Ale wspinaczka byłaby łatwiejsza bez tych długich habitów. Kraj mojego zaczepia co rusz o kamień i potykam się. Słyszałam, Ő zakon zamierza wrócić do krótkich tunik, jakie nosili pierwsi bracia. Nie mogę się juŜ

tego doczekać.

— Pierwsi bracia pracowali na chleb jak zwyczajni robotnicy — zauwaŜył Konrad. — My, ich następcy, większą część dnia, jak to słusznie

dziś rano zauwaŜyłaś, spędzamy na swojej tylnej części ciała. Bracia z Sacro Convento poszli w ślady czarnych mnichów i dorabiają sobie ostatnimi czasy kopiowaniem manuskryptów. A zresztą, jeśli nawet zakon przywróci krótkie tuniki, to tylko dla braci. Wy, siostry klasztorne, nadal w imię skromności nosić będziecie habit do samej ziemi.

— A szkoda, nie uwaŜasz? — westchnęła za jego plecami Amata.

Konrad odwrócił się, Őby powiedzieć jej coś do słuchu. Stała uśmiechnięta od ucha do ucha, z habitem podkasany powyŜej kolan.

Pustelnik czym prędzej zakrył dłońmi oczy i odwrócił twarz.

— Sostro! Na miłość najczystszej Dziewicy, okryj się!

— O co ci chodzi? — spytała rozbawiona. — Gdybyś był oraczem, a ja twoją oblubienicą, ubierałabym się tak codziennie, idąc z tobą do pracy w polu, Őbyś miał czym oko nacieszyć.

— Ale ja nie jestem oraczem, a ty juŜ na pewno nie jesteś moją oblubienicą. Jestem zakonnikiem i księdzem konsekrowanym na Sługę BoŜego. Gdybym choć przez chwilę cieszył oko widokiem twoich długich nóg, to ta chwilka mogłaby się stać pierwszym ogniwem łańcucha, który wciągnie mnie w otchłań. Obiecałaś w chacie zachowywać się obyczajnie.

Sam nie wiedział, dlaczego powiedział „długich” nóg. Nie dało się jednak ukryć, Őe wzburzyło go to, co zobaczył, i nie dziwota. Workowały habit maskował skutecznie kobiece kształty. Do tej pory nie my-

ślał o Amacie w kategoriach kończyn i tułowia — ani długości nóg.

A ona, jeśli nawet wychwyciła ten niuans, była na tyle wyrozumiała, Őe pominęła to milczeniem — co jego zdaniem świadczyło o tym, Őe jednak nie wychwyciła. Znał ją juŜ na tyle, by wiedzieć, Őe nie przepu-

ści okazji do wbicia mu szpilki. Kiedy ruszyli dalej, zmieniła, ku jego uldze, temat.

— Dziwny z ciebie ksiądz, wiesz? Nie wzięłaś jeszcze do ręki brewiarza, a tu juŜ prawie południe.

Konrad się uśmiechnął. A to przechera, nic nie ujdzie jej uwagi.

Gdyby nie urodziła się niewiastą, mogłaby z powodzeniem studiować prawo kanoniczne albo cywilne.

— Dróg do nieba jest wiele, siostró — odparł, przyjmując znowu ton mentora, którym wcześniej wyjaśniał jej kwestię Eliasza i bazyliki.

— Jedni, na ten przykład, obierają drogę fizyczną i starają się zapewnić sobie zbawienie za cenę własnego ciała. KrzyŜownicy, dajmy na to, odnajdują Boga w skróconych o głowę Saracenach albo w umartwianiu się. A tacy flagel anti * biczują się rzemiennymi dyscyplinami przy wtó-

rze pokutnych psalmów.

— Faj! — skrzywiła się Amata. — Widziałam w dzieciństwie zgraję tych flagel anti . Przechodzili przez naszą wspólnotę w drodze do To-di. Krew pryskała na wszystkie strony. Było to tak odraŝające, Őe zakry-

łam oczy.

— Przez ostatnich jedenaście lat pełno ich było wszędzie. Wielu ludzi myślało, Őe rok tysiąc dwieście sześćdziesiąty będzie rokiem apoka-lipsy. — Konrad wspomniał znowu Jana z Parmy uwięzionego w celi. I za co? Za to tylko, Őe nadal wierzył w przepowiednie obdarzonego darem jasnowidzenia opata Joachima z Fiore, które wśród kościelnej hierarchii wyszły juŜ z mody. Po krótkiej przerwie na pozbieranie myśli podjął:

— Po drugiej stronie są zamknięci w klasztorach zakonnicy, tacy jak czarni mnisi od świętego Benedykta, którzy kroczą ku zbawieniu ścieŜką poboŝności, śpiewając i modląc się z ksiąŜki. — Wyciągnął zza pazuchy brewiarz i przerzucił kilka stron. — Siedem razy dziennie i ósmy w Őrodku nocy, jak zaleca psalmista. Sam próbowałem tej intelektualnej drogi, poczynając od trivium i quadrivium .

— Od czego?

* Flagel anti (wł.) — biczownicy; członkowie róŜnych chrześcijańskich grup pokut-nicznych, umartwiających się poprzez drastyczne biczowanie; pojawili się w IX w. jako ruch wewnętrzny w niektórych zakonach.

— Od siedmiu sztuk, które trzeba opanować, by studiować teologię: trivium — gramatyka, retoryka i dialektyka — oraz quadrivium — mu-zyka, arytmetyka, geometria i astronomia.

Zwolnił, by odetchnąć, bo ścieŜka przed nimi wciąż pięła się stromo.

— Potem, ukończywszy studia teologiczne na uniwersytecie w Pa-ryŜu — podjął — wróciłem do AsyŜu i w mateczniku zacząłem praktykować surowe reguły Ŝycia klasztornego. Dziwna rzecz, ale po siedmiu latach studiów i modlitw stwierdziłem, Ŝe coraz dalej mi nie tylko do Pana Naszego, ale i do moich braci. W zakonnym Ŝyciu czegoś mi brakowało. To wtedy zacząłem myśleć o braciach pustelnikach i zastanawiać się, czy nie Ŝyją aby bliŜej Boga niŜ reszta z nas.

Zapalił się do tego tematu. Tyle mógłby nauczyć Amatę.

— Dopiero w tych górach, siostrze, zacząłem wreszcie dostrzegać Boga — wciąż jeszcze, „jakby w zwierciadle, niejasno”, jak to określił

święty Paweł, ale chyba tak wyraźnie, Ŝe lepiej na tym padole juŜ się nie da. I jak to osiągam, zapytasz? Siedzę. Tylko tyle, po prostu siedzę.

Opieram się o ścianę mojej pustelni i czekam, aŜ Bóg do mnie przyjdzie. Jeśli siedzę z zamkniętymi oczami, On pojawia się we mnie. Jeśli otworzę oczy, widzę Go w kaŜdym stworzeniu, które przechodzi albo przepęłza przed moimi drzwiami. On jest w kaŜdym drzewie, w kaŜ-

dym krzaczku, w kaŜdym...

Amata przerwała mu machnięciem ręki. Zatrzymała się, wzięła pod boki i zmierzyła go spojrzeniem szlachcianki, która zastanawia się, czy kupić tego niewolnika, czy nie.

— Tak, dziwny z ciebie ksiądz, i okazuje się, Ŝe wielce wymowny.

Coś mi się nie widzi, Ŝeby pustelniczy Ŝywot był twoim powołaniem.

MoŜe zamiast do braci mniejszych, powinieneś wstąpić do braci kaznodziejów od świętego Dominika?

Konrad, któremu przerwano w połowie zdania, słuchał tego z otwartymi ustami. Co go podkusiło, by rzucać perły przed to prosię? Uczony nie powinien pouczać Ŝadnej niewiasty — a co dopiero zakonnicy.

61

Doszli do przepaści i dalej ścieŜka wiodła skrajem pionowego urwiska. Nisko w dole po zielonej łące wiła się wąska, skrząca się w słońcu wstąŜeczka. Konrad, choć ubodła go przekora Amaty, zainspirowany tym widokiem, nie mógł oprzeć się pokusie udzielenia jej jeszcze jednej lekcji.

— Oto przykład przewag pustelniczego Ŝycia. Nawet mocarny Herkules nie zdołałby przerzucić kamienia przez rzekę, która płynie tam w dole. Drzewa nad jej brzegiem, które stąd wydają się zielonymi kropkami, są wyŜsze niŜ dziesięciu rosnących męŜczyzn. Z tej wysokości widzi się świat oczyma samego Boga, w całej jego marność. To widok wart tomów filozoficznych rozpraw. Chłoń go, siostrze, póki masz po temu okazję.

Czy naprawdę chłoneła, trudno było stwierdzić, ale przynajmniej nie wygłosiła Ŝadnego

uszczypliwego komentarza. Doprowadził ją skrajem urwiska do wąskiej półki biegnącej w poprzek zbocza na zachód.

— Oto nasza ścieśka. Zdejmij lepiej sandały i przywiąś je sobie do sznura. Idąc bosy, będziesz się mogła przytrzymywać palcami u stóp —

poradził jej, a potem dodał: — Stracimy tylko jeden dzień, jeśli stąd zawrócimy i jutro ruszymy od chaty inną trasą.

Amata patrzyła spod przymrużonych powiek na kozią perć. Porusza-

ła przy tym ustami i Konrad ciekaw był, czy odmawia pacierz, czy tylko zbiera się tym sposobem na odwagę. Już chciał spytać, czy czułaby się bezpieczniej, trzymając się sznura, którym miał przepasany habit, ale uświadomił sobie w porę, że od tego tylko krok od kontaktu fizycznego, i ugryzł się w język.

— Gotowa? — spytał w końcu.

Dziewczyna przełknęła z trudem, wzięła głęboki oddech i kiwnąwszy głową, ściągnęła sandały.

— Nie patrz w dół — ostrzegł ją, kiedy przywiązywała je do sznura.

On też przywiązał sobie do sznura sakwę z prowiantem. — Posuwaj się bokiem, twarzą do ściany, i wymacuj na niej występy, których można się przytrzymać. Nie niecierpliw się, jeśli to będzie długo trwało. Cała 62

uwagę skupiaj na następnym kroku.

Przyglądał się jej twarzy. Była jeszcze bledsza niż zwykle. Przygryzała nerwowo wargę, ale w jej oczach płonęła ta sama determinacja, którą w nich widział, kiedy wyruszali z pustelni.

— No to raz kozie śmierć. Niech Bóg ma nas w swojej opiece —

powiedział.

Prześlęgnali się i ramię przy ramieniu wstąpili na krawędź świata.

Wcześniej Konrad wyczekiwał z utęsknieniem chłodzących powiewów wietrzyka, teraz dziękował Bogu, że powietrze znieruchomiało.

Pot ściekał mu strumyczkami po karku i plecach, mruganiem odpędzał

od oczu komary. Przez cały czas miał świadomość, że w każdej chwili silny wstępujący prąd powietrza może wydać im habity jak śagle, oderwać od ściany i ponieść jak nasionka dmuchawca.

Sunąc bokiem, krok za kroczkiem, zgarniał stopą z półki drobne kamyczki, oczyszczając Amacie drogę. Trzymała się tuż za nim, milcząca jak te kamienie lecące w przepaść. Wiedział, że tak jak

jego, ją teŹ wszystko Źwierzbi. Poza tym jej nowy habit był o wiele cięŹszy od przetartego łachmana, który miał na sobie on. Chętnie by spytał, co chodzi jej teraz po głowie, ale nie chciał jej rozpraszać. Jeśli juŹ się odzywał, to tylko pomrukami: „Kroczek... kroczek...”.

Dotarli do zakrętu w połowie ŹcieŹski. Wiedział, Źe za nim ŹcieŹska nieco się rozszerza i wchodzi pod skalny nawis, w niszę, gdzie będą mogli odsapnąć i rozprostować omdlałe ramiona i barki. Odwrócił gło-wę, Źeby powiedzieć to Amacie, i w tym właśnie momencie kamień, którego się przytrzymała, został jej w dłoni. Krzyknęła i tracąc równowagę, zaczęła odchyłać się od Źciany. Konrad złapał ją za rękaw. Z

góry doleciało grzechotanie i po chwili posypał się na nich grad drobnych kamyczków.

63

— Prędeziej! Musimy przejść za ten zakręt — wycodził przez zaci-
Źnięte zęby.

Amata odzyskała równowagę i przywarła do Źciany. Kamyków leciało więcej i więcej, były coraz większe. Kamień wielkości jej głowy uderzył ją w ramię. Krzyknęła. Konrad objął ją w talii i chwytając pełną garścią materiał habitu, przyciągnął do siebie.

— Zostań ze mną! — pisnęła. — Nie zostawiaj mnie teraz.

Jej nogi zaczęły przesuwać się sztywno. Przytrzymując się wolną ręką czego popadło, Konrad przeprowadził ją przez zakręt, za którym ŹcieŹska robiła się szersza. Pomógł jej usiąść pod Źcianą niszy, po czym sam teŹ usiadł i otoczył ją ramieniem. DrŹsała na całym ciele. Chciała coś powiedzieć, ale zęby tak jej szczękały, Źe z gardła wydobył się tylko szloch.

Widział juŹ taki strach u lisa, który umykając przed sforą ujadają-

cych psów, wpadł kiedyś do jego chaty. Konrad zatrzasnął drzwi, zanim psy zdąŹyły dobiec do pustelni. Przytrzymując je ramieniem, czuł, jak dygocze przeraŹony zwierzak, który schował się za nim i przywarł do jego łydek.

— Sanktuarium! — krzyknął zza zamkniętych drzwi do zdyszanych jeźdźców, którzy przy cwałowali z tętentem w ślad za psami. — Brat Lis obrał sobie tę pustelnię na swoje sanktuarium! — Przez dziurę po sęku obserwował grupę rozgrzanych łowami szlachciców z nadzieją, Źe powstrzyma ich reputacja ekscentrycznego Źwiętego męŹsa, jaką miał

wśród okolicznej ludności. Czy dla głupiego lisa warto naraŹać się na jego przekleństwo i skazywać dusze na wieczne potępienie? WŹciekle spojrzenia utkwione w chacie złagodniały. Naradzali się przez chwilę, wciąŹ jeszcze niezdecydowani, aŹ w końcu zawrócili konie, odwołali psy i odjechali.

— Dreszcze zaraz ci przejdą, siostró — powiedział. — To taniec Źwiętego Wita. Najdzielniejszych rycerzy nachodzą takie po zwycię-

skiej bitwie. — Zaczął ją łagodnie kołysać jak ojciec uspokajający prze-straszone dziecko, i ku swojemu zaskoczeniu, nucić kołysankę. Odniósł

wraŜenie, Œe obejmuje cząstkę swojego dzieciństwa, bo zamrugawszy, 64

wyobraził sobie, Œe obejmuje Rosannę. Rosannę taką, jaką zapamiętał, kiedy miała szesnaście lat, nie tą pulchną trzydziestoletnią kobietę po ośmiu ciążach i trzech szczęśliwych porodach, która raz w tygodniu przysyłała mu do pustelni Œywność. Amata cuchnęła nawet trochę rybą, co przypominało mu dzieci z Ankony. Pewnie przeszedł na nią odór tkaniny nasączonej olejem, w którą owinięty był manuskrypt Leona.

Za zakrętem ścieŜki widok się zmienił. Konrad wskazał dolinę. Tu i ówdzie na skalnych łysinach piętrzyły się głazy koloru umbry.

— To wioska Sassoferrato, a tam, na prawo, widać Fossato di Vico.

Idąc na południe, dotarlibyśmy tam za cztery dni.

Jego serce wypełniała czułość. Nie dziwiłby się, gdyby działo się to podczas medytacji o Świętym Dzieciątku. Nie był jednak przygotowany na odczuwanie takich emocji wobec kobiety z krwi i kości. Ogarnął go nagle lęk, Œe jeśli ulegnie chociaż odrobinę temu impulsowi, Bóg straci go ze skalnej grzędy, na której siedzą. Spróbował odnowić w sobie niechęć do tej dziewczyny, którą odczuwał, kiedy wchodzili na ścieŜkę, ale jej bezradność wypłukała juŜ do cna z jego duszy wszelką awersję.

Pomimo całej swojej rezolucji i zuchowatości, potrzebowała jego opieki.

Dreszcze w końcu ustały i zabrał rękę z jej ramion.

— No, juŜ dobrze — powiedział, siląc się na chłodny ton. Musiał

zmienić nastrój, i to szybko.

— Jak twoja ręka? — spytał. — MoŜesz ją unieść?

Ujął ją za przedramię, Œeby pomóc w tej pierwszej próbie. I zamiast ciała wyczuł przez rękaw habitu coś twardego, długiego i grubszego niŜ

kość. Amata wyrwała mu rękę i skrzywiła się z bólu.

— Złamana nie jest — mruknęła. — Ale nie będzie ze mnie chyba wielkiego poŜytku przy winobranii, kiedy wrócę do San Damiano. — Podciągnęła pod siebie nogi i chciała się podnieść, ale bezskutecznie. — Ruszajmy dalej.

65

Dotykając tego czegoś, co ukrywała w rękawie, zmobilizował ją do działania. Chciał zapytać, co to takiego, ale uznał, Œe to nie najlepszy moment.

— MoŜe byś jeszcze odpoczęła? Ludzie, którym śmierć zajrzała w oczy, nie dochodzą tak szybko do siebie. Zwłaszcza tacy wychuchani jak ty.

Poczerwieniała, zmruŜyła oczy.

— Wychuchani? Co ty o mnie wiesz? — warknęła. Odwróciła głowę i spojrzała na odcinek ścieŜki, który mieli jeszcze do przebycia.

— Czasami wyłazi z ciebie bezdenny głupiec, bracie, ale przypomniałeś mi właśnie, Ŝe mam jeszcze jeden powód, by wrócić do AsyŜu cała i zdrowa. — Znowu spróbowała się podnieść, podpierając nadwyręŜoną ręką.

— Posiedź jeszcze chwilę, siostró — powstrzymał ją. — Posiedź i wytłumacz mi, co chciałaś przez to powiedzieć. — A na usta cisnęło mu się: Gdybym wiedział o tobie więcej, nie robiłbym głupich uwag.

— MoŜe wytłumaczę, jeśli bezpiecznie dotrzemy do końca tej ścieŜki — powiedziała Amata.

Zaczynało się chmurzyć i od południowego wschodu dolatywały grzmoty nadciągającej burzy. Odległe granie nabrały złowróŜbego wyglądu, zerwał się wiatr, pociemniało. Zaraz lunie deszcz. A co gorsza, spadająca gwałtownie temperatura mogła wywołać wstępujące prądy powietrza, których tak obawiał się Konrad. Musieli ruszać dalej.

Wziął Amatę za łokieć i pomógł jej wstać. Kiedy złapała równowagę, rozwiązał sznur, którym był przepasany, i podał go jej.

— Przewlec go pod swoim sznurem, a ja zawiąŜę sobie potem końce na nadgarstku — powiedział.

— Nie boisz się, Ŝe jeśli noga mi się omsknie, pociągnę cię za so-bą?

— Cokolwiek się przydarzy, przydarzy się nam obojgu, siostró.

Bóg połączył nas w tej misji. Wierzę, Ŝe chce, byśmy ją wypełnili, albo razem dokonali Ŝywota.

66

— Ładnie powiedziane jak na księdza. — Amata się uśmiechnęła.

— JakŜe romantycznie by zabrzmiało, gdybym usłyszała to od zalotnika. — A potem, powaŜniejąc, dodała: — Dzięki za troskę. Wiem, Ŝe zalaŜłam ci za skórę. Nie mam szczególnego sentymentu do habitu, który oboje nosimy, ani do męŜczyzn, na których natknęłam się w przeszłości. Jesteś dobrym człowiekiem i dobrze mnie traktowałeś. Zanim ruszymy dalej tą ścieŜką, chcę cię za wszystko przeprosić.

— Ja ciebie teŜ, za niechęć, jaką ci okazywałem.

Amata znowu się uśmiechnęła, ale jej oczy posmutniały.

— Mój brat, Fabiano, mawiał: „Całusek na poświęcenie, na wypadek, gdybym nie dożył następnego razu”. — Konrad zauważył, że jest bliska łez. Pochylił się i musnął ustami jej czoło.

— Na wypadek, gdybyśmy nie dożyli, siostrzyczko — szepnął.

Amata zarumieniła się i spuściła wzrok. Mięła przez chwilę w palcach sznur jego habitu, po czym przewlekła go pod swoim.

Osunęli się bez sił na ziemię na rozległym płaskowyżu, do którego doprowadziła ich ścieżka kozic. Amata leżała na wznak, wymachując ręką i śmiejąc się do rozpuku. Konrad, wciąż połączony z dziewczyną sznurem, wyciągnął się obok. Serce waliło mu jak młot, z członków powoli uchodziło napięcie.

— O Boże, przeszliśmy! — wykrzyknęła Amata.

— Ano przeszliśmy — wysapał pustelnik. — Bogu niech będą dzięki.

Jaśniejsza plama w powłoce chmur znaczyła miejsce, gdzie słońce chowało się za najwyższe szczyty.

— Trza nam znaleźć miejsce na obozowisko — dodał po chwili. —

Dosyć się natrudziliśmy, jak na jeden dzień.

Z płaskowyżu roztaczał się widok na północ i wschód, jak równieś

na południe. U podnóżu gór przycupnęły wioski i pojedyncze zagrody.

Do pierwszych ludzkich siedzib mieli jeszcze szmat drogi, ale powinni tam dotrzeć w jeden dzień.

— Musimy przejść aż za tamto najdalsze pasmo — wyjaśnił

Konrad. — Jeśli wieczorem chmury się rozstąpią, bacz, gdzie będzie

zachodziło słońce. Wskażę nam kierunek na Gubbio. Z Gubbio podą-

żemy brzegiem Chiagio. Zaprowadzi nas do Asyżu. Będziemy tam za dwa, góra trzy dni.

Amata usiadła i spojrzała na góry rysujące się na północy.

— A będziemy przechodzili koło zamku Malatestów? Bardzo bym go chciała zobaczyć, choćby z daleka.

— Nic z tego — powiedział Konrad ze śmiechem. — To wiele mil stąd, prawie na samym wybrzeżu.

Amata wzruszyła ramionami.

— Nie cierpię dziedziców. A już najbardziej takich starych, pokręconych, złych dziedziców jak Gianciotto Malatesta.

Konrad znał tę historię, była tak wyborna, że nawet sługa Rosanny, przyszedłszy kiedyś z jadłem, nie

wytrzymał i mu ją powiedział. Otóż

ród Malatestów z Rimini oraz rodzina Polentów z Ravenny zapragnęły zawrzeć sojusz i uradziły, że w tym celu połączą węzłem małżeńskim Gianciotta z Francescą Polentą. Konrad przypuszczał, że panna młoda musiała być mniej więcej w wieku Amaty. Malatestowie, obawiając się, że Francescą odrzuci posuniętego w leciech i szpetnego Gianciotta, wydelegowali jego młodszego brata Paola, Il Bel o, by zastąpił go na zaślubinach. Jakiś czas po ceremonii Paolo i Francescą siedzieli w ogrodzie i czytali romans o sir Lancelocie. Poruszeni uczuciem, jakim darzył ów urodziwy rycerz zamężną Ginewrę, zaczęli się obejmować i całować. Nie dane im było czytać dłużej jak jeden dzień. Najwyraźniej namiętność wzięła górę nad ostrożnością, bo jeden ze sług Gianciotta zobaczył, co się święci, i doniósł o tym swemu panu. Skończyło się tragedią. Śywcem wyjętą z tych kiczowatych romansów, za którymi przepadają młode panny w wieku Amaty.

— Gianciotto z pewnością smażyć się będzie w piekle za zamordowanie Sony i brata — orzekł Konrad. — Ale kochankowie też bez wątpienia odpokutują za swój grzech.

— Za swój grzech? To miłość jest grzechem? Czyż Jezus nie kazał nam się miłować?

— Ale tak jak On miłował nas, siostró. Mówiąc to, nie miał na myśli

69

cielesnej sądy. Poza tym Francesca była siostrą brata Paola.

— Ale nikt jej nie pytał, czy chce za niego wyjść. Ci zepsuci panowie poślubiają, kogo chcą, i nigdy nie czynią tego z miłości. Tylko za ziemię, dla pieniędzy, albo żeby przypieczętować jakiś traktat. Nigdy z miłości. Biorą, co chcą, i zabijają tych, którzy stają im na drodze. Nienawidzę ich z całej duszy!

— Tak czynią źli panowie, zauważ jednak, że istnieją również lordowie zacni, tak samo jak istnieją źli i zacni chłopcy. Wszyscy oni są częścią boskiego planu.

— Wiem, że istnieją również prawi mężczyźni. — Do głosu Amaty wkradło się rozmarzenie. — Mój ojciec taki był. Ale ludzie pokroju Gianciotta Malatesty... — Zaciśnęła usta i posmutniała, a potem jej twarz wykrzywiła wściekłość. Konrad wyczuł, że zaraz ją z siebie wyrzuci.

Patrzył w milczeniu na powykręcane dęby na zboczu pod nimi. Między konarami uwijały się z ćwierkaniem jakieś ptaszki.

Wciągnął w nozdrza powietrze. Pachniało nadciągającą burzą i ptaki też ją chyba wyczuwały. Pierwszy deszcz o tej porze roku bywał zwykle ulewny. Będą przynajmniej mieli przy czym się wysuszyć. Pod drzewami leżało mnóstwo połamanych przez wiatr gałęzi; dębina pali się lepiej niż

inne drewno.

Pomyślał o rzekomo szlachetnym wieśniaku, którym zapewne był

ojciec Amaty — łatwo to było odgadnąć, bo przecieŜ dziewięciu męŜ-

czyzn na dziesięciu utrzymywało się z pracy na roli. Wiedział z do-

świadczenia, Ŝe większość chłopów i dzierŜawców nie zawraca sobie głowy wyŜszymi ideałami.

Nie mają na to czasu. Ich religijność ledwie wykracza poza czary i zaklęcia na odpędzenie choroby i obfity plon.

Kiedy nadchodzi dzień Ŝwięty, miast wypoczywać po harówce od Ŝwitu do nocy i Ŝwięcić go jak naleŜy, upijają się, wszczynają burdy i oddają wszelkiej maŝci rozpuŝcie. Będąc spowiednikiem, Konrad znał jednak wyjątki od tej reguły — chłopów pańszczyźnianych daleko przewyŜszających cnotą swoich panów.

— Czy pan bardzo gnębił twego ojca? — zapytał w końcu.

Amata prychnęła.

— Czy pan go gnębił? Mój ojciec modlił się do swojego Pana nie-uzbrojony, z Sóną i dziećmi, w rodzinnej kaplicy, kiedy wtargnął tam szatan w ludzkiej skórze i zarąbał go na śmierć. Mama rzuciła się na jego ciało, a wtedy brat tego szatana przeciął ich oboje mieczem. Mój brat próbował uciec przez okienko kaplicy... — Urwała. — Padł z mo-im imieniem na ustach i więcej się już nie odezwał. — Ukryła twarz w dłoniach. Jej ramionami i plecami wstrząsnął niemy szloch. — Nawet nie wiem, czy ich po chrześcijańsku pogrzebano.

Konrad odwrócił wzrok i zapatrzył się w gęstniejący pod dębami cień. Bał się zadać następne pytanie, ale usłyszawszy już tyle, musiał

dowiedzieć się reszty.

— A jak tobie udało się ujść z Syciem?

— Rzuciłam się do ucieczki, ale pośliznęłam się na krwi rodziców.

Cała posadzka kaplicy była nią zbryzgana. Pamiętam, jak pomyślałam, że ta krew i ta posadzka są prawie tego samego koloru. że to tylko zły sen, z którego zaraz się obudzę i wszystko będzie jak dawniej. Przekre-

ciłam się na plecy i zobaczyłam nad sobą uniesiony topór. Pomyślałam, że wybiła moja godzina, i przygotowałam się na śmierć. Ale niestety ich herszt krzyknął do rycerza, żeby zostawił mnie przy Syciu. Miałam jedenaście lat i chciał mnie na słuškę dla swej córki. Dosiedli koni, zabierając mnie ze sobą.

— I tej kobiecie usługujesz teraz w San Damiano?

— Tak. Nienawidzi tej bandy tak samo jak ja. — Amata wyprostowała się. Głos miała już spokojny.

— Wniosła mnie do zakonu jako swój posag. Byłam wniebowzięta, chociaż po prawdzie nie zależało mi nic a nic na Syciu. Zabiłabym się, gdyby mnie zostawiła ze swoim ojcem i braćmi.

— W ten sposób skazałabyś duszę na wieczne potępienie, Amato —

przypomniał jej Konrad. — Czy wasze rodziny toczyły między sobą wojnę? Była między wami jakaś zadawniona waśń albo przelana krew?

— Nie. Poszło srebro i złoto. Zginęło troje ludzi. Co najmniej, bo nie wiem, jaki los spotkał nasze sługi. Nasz majątek leży tam, gdzie spotykają się granice okręgów Perugii, Asyśu i Todi.

Nazywaliśmy go Coldimezzo — wzgórze pośrodku. Naturalnie pobieraliśmy opłatę od kupców, którzy przejeżdżali z towarem przez nasze włości. Handlarze wełną z Asyżu pomstowali i odgrażali się, ale tato i jego brat Guido tylko się śmieli. Moja pani powiedziała mi później, że to jeden z handlarzy wełną zapłacił jej ojcu, żeby na nas najechał.

Zdawała się obserwować cień podpełzający ku nim w górę stoku, ale Konrad domyślał się, że tak naprawdę ma przed oczyma skąpaną we krwi kaplicę w Coldimezzo. Po długiej chwili milczenia spojrzała na niego i wzruszyła ramionami.

— I takie to moje życie — westchnęła. Z jej głosu ulotniły się już strach i nienawiść.

I to pewnie powód, dla którego tak bardzo chce wrócić do Asyżu, pomyślał Konrad, i powód, dla którego on powinien zastać tutaj, na swoim odludziu. Gdzie dużo ludzi, tam zaraz wybucha wojna. Miasta i kraje walczą ze sobą o szlaki handlowe i terytoria. W obrębie murów miejskich zamożni mieszczaństwo i arystokracja wszczynają bunt, wypowiadając posłuszeństwo papieżowi i świętemu cesarzowi rzymskiemu. Rodziny biorą się za łby, żeby wyrównać jakieś porachunki sprzed wieków, a dzieci zabijają rodziców i siebie nawzajem, żeby szybciej zagarnąć schedę. Szlachetnie urodzeni giną zazwyczaj gwałtowną śmiercią, pojedynki zaś i procesy sądowe to teatr życia dla pospólstwa.

Przybywa wdów, wdowców i sierot, a każda z nich pała żądzą zemsty.

Iskra vendetty utrzymuje przy życiu wielu pokrzywdzonych w takich waśniach.

— A co z resztą twojej rodziny? — spytał w końcu. — Z wujem Guidem i jego bliskimi? Oni nie ucierpieli podczas tej napaści?

— Nie. Ci tchórze wiedzieli zresztą, że ich nie zastaną. Moja kuzynka, Vanna, miała wyjść za miesiąc za notariusza z Todi. Wuj i ciotka pojechali z nią do miasta, żeby poczynić przygotowania do uczty

weselnej. My za kilka dni też mieliśmy tam jechać.

Położyła się na wznak i przymknęła oczy. Po chwili zaczęła nucić cicho znaną pieśń ślubną wieśniaków. Zatopiła się w sobie i Konrad zrozumiał, że nic więcej już od niej nie usłyszy.

Przez tych pięć lat musiała często wspominać tamtą tragedię i podsycając w sobie nienawiść, planować zemstę. Może zastanawiała się, dlaczego wuj nie próbował jej odbić. A on może nie wiedział nawet, gdzie jej szukać ani kto dokonał rzezi. Po powrocie z Todi zastał pobożowisko. Służba może się rozpięchła, a nawet jeśli nie, to nie potrafiła wskazać napastników.

On też był ciekaw, co to za rycerz zgodził się za pieniądze dokonać mordu. I dlaczego Amata została w San Damiano? Dlaczego z narażeniem życia przyniosła mu list od Leona, skoro mogła machnąć ręką na powierzoną jej misję i zamiast do niego, bezpieczniejszymi i lepszymi drogami powędrować do Coldimezzo? Czyżby obawiała się tego, co może tam zastać? Im lepiej poznawał tę dziewczynę, tym bardziej go intrygowała i tym bardziej wydawała mu się tajemnicza.

Naszła go pokusa, Œeby pogłaskać ją po głowie, jak wtedy tamtego dygoczącego liska po łepku. Wyciągał już rękę, ale uczucie mrowienia w łędźwiach odwiodło go od tego zamiaru.

— Bardzo ci współczuję, Amato — powiedział.

— Wsadź sobie w zadek swoje współczucie — odburknęła. — Nie wróci Śycia mojej rodzinie. — Zaciskała mocno powieki, ale widział

łzy zbierające się w kącikach jej oczu.

Skorzystał z tej sposobności i przyjrzał się lepiej jej twarzy w nadziei, Œe znajdzie w niej coś, co pomoŒe mu zrozumieć tę tajemniczą kobietę dziecko. Zaciskała mocno szczęki, a łzy spływały jej po skroniach i skapywały na ziemię. Odsłoniła przed nim swoje najwraŒliwsze miejsce i czuł się przez chwilę jak łotr, który bezwzględnie wykorzystał

tę chwilę słabości. Lecz jej grubiańska odpowiedź w jakimś sensie go rozgrzeszała i przywołała do rzeczywistości. Patrzył z niedowierzaniem na swoją dłoń, tę, którą omal jej przed chwilą nie pogłaskał. A był już bliski 73

zniweczenia wszystkiego, co osiągnął przez lata medytacji w głuszy.

W dzieciństwie nurkował często w ankońskim porcie po gąbki.

Pewnego razu, podczas medytacji, zaczął porównywać te stworzenia do ludzkich dusz. Schnąc na słońcu, gąbka staje się lekka i zwiewna niczym dusza opromieniana oślepiającym blaskiem boskiego majestatu.

Przed przybyciem Amaty wydawało mu się, Œe jego dusza również

bliska jest osiągnięcia tego stanu. Ale przez dwa ostatnie dni znów przybrała na wadze i rozděła się, nasiąkając troskami najpierw Leona, potem dziewczyny. Nagle zapragnął być sam.

— Idę poszukać jakiegoś schronienia — powiedział. — W nocy będzie ulewa. Niedługo wrócę.

Amata znowu zaczęła nucić Œalobną pieśń. Rozwiązał sznury, wstał

i otrzepał habit z kurzu. Schodząc z płaskowyŒu ku drzewom, obejrzał

się na samotną postać leŒącą na szczycie, potem zwiesił głowę i zagłę-

bił się w mrocznej dąbrowie.

Orfeo patrzył rozŒalony, jak odpływ unosi przyjaciela ku otwartemu morzu. Poruszana wiosłami galera sunęła płynnie przez osłonięty falochronem portowy basen.

śegnaj, Marco, pomachał. Powodzenia w podróŜy twojego Śycia.

Będę o tobie myślał, spacerując po placach Wenecji, kaŜdą kurtyzanę dedykował będę tobie.

Gdyby tak moŜna było usunąć z pamięci opowieści starszego Polo o gładkoliczych elegantkach z Kinsai, najpiękniejszych na świecie, noszonych w zdobnych lektykach, wpinających grzebienie z kości słoniowej w kruczoczarne włosy, a jadeitowe koła w uszy. Albo opowieści o da-mach dworu, które znudziwszy się wyścigami królewskich psów, zrzucają szaty i całkiem nagie kąpią się z chichotem w jeziorach niczym ławice srebrnych rybek.

Addio, compare, pomachał po raz ostatni do galery znikającej juŜ za falochronem. Addio, Kitaj .

74

Nie zwaŜając na unoszący się w powietrzu ostry zapach soli ani wrzask krąŜących w górze mew, powlókł się na koniec nabrzeŜa, gdzie cumował angielski okręt wojenny przygotowywany do rejsu do Wenecji. Angielski ksiąŜę Edward, nowy wódz krzyŜowców, dowiedziawszy się o wyborze Tebalda na papieŜa, przydzielił mu natychmiast eskortę swojej floty.

śeglarz drzemiący w młodzieńcu nie mógł przejść obojętnie obok tej jednostki. Pokładnice wystawały południowym zwyczajem poza burty i zabezpieczone były czopami, ale stosunek szerokości do długości ka-dłuba wynosił mniej więcej trzy do pięciu, a nie jeden do pięciu, jak w przypadku wąskich galer weneckich. Ten okręt budowany był z myślą o trudnych warunkach Śeglugi po burzliwych północnych morzach i otwartym oceanie, podczas gdy galera, którą pływał Niccolo Polo, sprawowała się lepiej na spokojnych wodach Morza Śródziemnego. Forkasztel i kasztel rufowy miały, podobnie jak karaki Saracenów, po kilka pokładów, przy czym najwyższy wznosił się ponad pojedynczy maszt.

Łucznicy i procarze z tego okrętu mieli zdecydowaną przewagę wysokości nad załogami niskich galer. Jego budowniczowie między dulkami rozmieścili dodatkowo, w odstępie dwóch szerokości dłoni, otwory na wiosła, dzięki czemu dwustu wiosłarzy mogło wiosłować w dwóch albo trzech rzędach. Przy silnym wietrze od rufy jednostka mogła rozwinąć do dwunastu węzłów. śaden pirat nie ośmieliłby się zaatakować floty składającej się z takich okrętów.

Orfeo westchnął z Śalem. Szkoda, piraci mogliby trochę urozmaicić podróŜ, która go czekała. Z cięŜkim sercem i zwieszoną głową zawrócił

w kierunku miasta. W wodach portu widział jak w lustrze falujące i rozpraszające się niczym miraŜ odbicia najeŜonych wieŜami bastionów Akki. Jeśli papieŜ elekt nie myli się w swoich papieskich wizjach, z tych pomników potęgi za kilka lat nie zostanie kamień na kamieniu. Na razie jedno było pewne: z kaprysu tego samego arcykapłana w gruzach legł dopiero co wzniesiony gmach nadziei i marzeń Orfea.

75

Uniósł głowę i popatrzył na wieŜe portu. Stały wysokie, zimne i sztywne jak ojciec i starsi bracia,

którzy zdominowali jego dzieciństwo.

Uciekł do babki, kiedy próbowali stłamsić jego młodego ducha. Od tamtego czasu pociechę znajdował tylko w ramionach kobiet. MęŜczyź-

ni z jego rodziny, jego towarzysze i kamraci z załogi, zadawali mu tylko ból.

I dzisiejszej nocy teŜ jej tam poszuka. Nie oglądając się na okręt wojenny, skierował kroki ku zaułkowi, ku któremu w takich wyśmienitych humorach zmierzali z Markiem tego ranka.

VI

— Zatracone błocko! Obesrany zatracony wół! — Primo rąbnął

wielką jak bochen pięścią w deskę kozła dwukołowej fury. Ściągnął

drewniaki, rzucił je na piętrzący się za nim ładunek chrustu, zszedł z wozu i zapadł się po golenie w błoto. Obrzucił wściekłym spojrzeniem najpierw wołu, potem pełne drewniane koła zaryte niemal po osie w błotnistej mazi. Burza, która przeszła nocą nad górami, rozmyła drogę, zmieniając ją w trzęsawisko. — Marne twoje widoki, jeśli znowu będę musiał zwalać ten chrust na ziemię. Tak skórę wygarbuję, Œe długo popamiętasz!

Brodząc wąską dróŜką, podszedł do pobliskich sosen i ze złością odłamał kilka gałęzi. PodłóŜył je pod oba koła, Œeby zyskały przyczep-ność, i stanął za furą.

— Hej-ho! — wrzasnął. — Z Œyciem, Jupiterze! — I postękując, pchnął wóz ze wszystkich sił. Osie zaskrzypiały, koła zrobiły ćwierć obrotu. — Rusz ten swój chudy zad! — Obrócił się tyłem, zaparł plecami o ładunek, wbił pięty w błoto i pośliznąwszy się, klapnął na tyłek.

Fura z cichym jękiem cofnęła się w koleiny.

— Porco Dio! Putana Madonna! — Zaczepnął garść czerwonej glinki i ulepioną z niej pecyną cisnął w kierunku dwóch nadchodzących traktem zakonników. Szli kolejnami wyślubionymi przez koła jego wozu. Ten słuszniejszej postury niósł na ramieniu sakwę i zdawał się nic sobie nie robić z rozmiękłego podłoża. Maszerował długimi krokami jak po suchym, podczas gdy młodszy, podkasując habit i unosząc wysoko nogi, płaśtał obok niego w komicznym tańcu.

Merda! Tych mi jeszcze brakło! Diabli klechów nadali. I na dokładkę kwestarze. Primo spotkał kiedyś księdza i na drugi dzień śmiertelna choroba złożyła jego mamę. Pierwotna wiedza, jaką nosił w kościach, nie pozostawiała wątpliwości, że gdyby nie to niefortunne spotkanie, mama byłaby do dziś. Podobnie jak ludziska z jego wioski panicznie bał się duchownych, ale w odróżnieniu od ziomków starał się zwalczać w sobie ten strach. I teraz patrzył na zbliżających się braciszków z nieskrywaną, płynącą z głębi serca niechęcią.

— Nie mam pieniędzy, nie mam ścierca na zbyciu i nie chcę zbawienia! — wywrzeszczał. Młodszy zachichotał piskliwie, prawie po dziewczęńsku. Wieśniak pokręcił ze zgorszeniem głową. Tfu, obraza boska.

Księżulo sodomita ze swoim chłoptasiem nowicjuszem. Sam był jurny, jak zresztą każdy zdrowy na ciele mężczyzna, i nie było festynu, żeby po zmroku nie pochoł się sobie w krzakach — ale nie robił tego nigdy z młodymi chłopaczkami jak jakiś pogański Grek.

Primo złapał się dyla sterczącego z furki, podciągnął na nim i wstał.

Chciał obetrzeć tunikę z błota, ale rozmazał je tylko po zgrzebnej wełnie. Gлина zlepiła mu nawet gęste włosy na gołych łydkach.

Tamci dwaj zatrzymali się kilka kroków od fury.

— Servite pauperes Christi, ojciec — zapiszczał młodszy. — Jak ci przykazał Leon.

— Co on powiedział? — zapytał Primo. — Bo jak sobie ze mnie dworuje, to nowicjusz nie nowicjusz łeb rozwałę.

— Powiedział, że powinniśmy ci pomóc — odparł starszy braciszek.

Primo ściągnął z głowy okrągłą czapkę i otarł nią sobie twarz.

— Co? I ubrudzić sobie te święte paluszki? Myślałem, że wolno wam dotykać tylko świętych rzeczy i pieniędzy.

— Chcesz naszej pomocy czy nie? — spytał mnich bezbarwnym głosem. Najwyraźniej nie miał

poczucia humoru.

— Wybaczcie, wybaczcie, ojcze. Pewnie, Œe chcę. Darowanemu koniowi nie zaglądam nigdy w zęby, jak mawiają.

Rzucił nowicjuszowi bodziec do poganiania wołu.

— Trzymaj, fratel ino *. Obaczym, czy zdołasz wykrzesać trochę Œycia z tego, poŒal się BoŒe, wołu. My popchniemy z tyłu, jeśli ojciec pozwoli.

Mnich przyjrzał się zwierzęciu.

— Mały jakiś.

— A juŒci. I w tym właśnie sęć. Drugi rok mu dopiero idzie, ale on jeden mi został. Resztę wziął pleban za pochówek, kiedy mama mnie odumarła. Samiście z tego złodziejskiego plemienia, to i wiecie, jak jest.

— Twój pleban miał prawo pobrać podatek od pochówku. Starym zwyczajem naleŒy mu się najlepsze zwierzę z inwentarza rodziny zmar-

łego. — Mnich wlepił w Prima bezbarwne bezy. — Bardzoś śmiały w gębie, jak na człeka w potrzebie.

Primo wyprostował się na całą wysokość i juŒ miał mu puścić wią-
zankę, kiedy chłopiec krzyknął:

— MoŒecie pchać, ja jestem gotowy!

Mnich wciąż przewiercał Prima tymi strasznymi szarymi oczyma, które samym patrzeniem mogą rzucić na człowieka urok. Kmieć spuścił

wzrok. Nie będzie sobie robił wroga z zakonnika w takiej chwili.

Wskazał na tył fury.

— Wy przodem, ojcze.

Naparli ramionami na wielkie koła. Chłopiec, pohukując, zaczął cią-
gnąć wóz od przodu, a drugą ręką poganiać bodźcem wołu. Gałęzie sosny

* Fratel ino (wl.) — braciszek.

zwierzęcia. Fura drgnęła i ze skrzypieniem ruszyła powoli do przodu. Dzwonek na szyi wołu pobrzękiwał

rytmicznie.

— Pchać, nie ustawać! — krzyczał Primo. — Podepchnacie mnie na sam szczyt tego wzniesienia, to was podwiozę. Przez następne dwie mile jest z górki.

Cała trójka zdwoiła wysiłki i nawet wół jakby odświł, zachęcony tym, że coś się wreszcie ruszyło.

— Dobry wół. Dobry Jupiter. Chwackie chłopię. Ciągnij, pokaż, co potrafisz.

Na szczycie wzniesienia zakonnicy wydali okrzyki triumfu, a Primo walnął starszego w plecy. Męszczyznę na chwilę zatkało, ale zaraz uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Dobra robota — wysapał.

Primo wdrapał się na kozioł. Był teraz w wyśmienitym humorze.

— Ktoś się zmachał? Mam tu miejsce tylko dla jednego.

— Nie, my zwykliśmy chodzić piechotą — odparł zakonnik. — Ale tak czy owak, dziękujemy.

— Ja bym tam pojechał — odezwał się nowicjusz. Wyciągnął prawą rękę. — Pomożesz mi? Boli mnie drugie ramię.

Primo chwycił wyciągniętą dłoń.

— Dajcie mu dubla w zadek, ojcze.

Chłopiec roześmiał się serdecznie.

— Słyszeliście, bracie Konradzie? Dajcie mi dubla w zadek.

— Fabiano! Bacz, do kogo mówisz.

Primo zaniósł się rubasznym rechotem i mocno szarpnął. Poderwany w górę chłopiec wylądował na koźle obok woźnicy. Zakonnik ściągnął

gniewnie brwi, jego mars jeszcze się pogłębił, kiedy nowicjusz pokazał mu język.

— Mam nadzieję, że nie będzie ci ze mną za ciasno. Wąska ta deska

— powiedział chłopiec.

— Miałem kiedyś krowę dwadzieścia razy taką jak ty — odrzekł Primo. — Bałem się ją doić przy

ścianie, bo jakby mnie do niej przyparła, to 80

przeleciałbym na drugą stronę. — Zerknął na chłopca spod oka. — Ale coś mi się widzi, Őe twój księŕulo o ciebie zazdrosny. — Zmruŕył oko, zadowolony, Őe udał mu się przytyk, i zaintonował jak gdyby nigdy nic: Jedzie sobie Bovo przez las na dereszu,

A jego Rosabel a dyrda obok pieszo.

— Fabiano! — warknął nagle zakonnik. — Nogi masz zdrowe, mogą cię nieść.

— Niech ŕpi ten zielonooki potwór, ojczy — powiedział Primo. Zachichotał i dorzucił: — Nie mam chrapki na twojego nowicjuszka.

Zakonnik poderwał gwałtownie głowę i otworzył usta, ale chłopiec go uprzedził:

— Jesteŕcie Őonaci, signore ?

— Nie, ale od kiedy mamie się zmarło, gotów jestem do Őeniaczki.

Przywykliŕmy z tatą, Őe po obejŕciu kręci się kobita.

— Ja teŕ kiedyŕ o tym myślałem — westchnął nowicjusz. — Poŕlu-bić kogoŕ i mieć dzieci.

— No, dzieci narobić jeszcze moŕesz, jak cię w twoim klasztorze nie wywałaszą i pozwolą wychodzić — stwierdził Primo. — Niejeden mały bękart z naszej wioski ma niebieskie ŕlepka plebana. — Klepnął

pasaŕera w chudą nogę z taką siłą, Őe chłopiec się skrzywił.

Zakonnik dosyć się juŕ nasłuchał i napatrzył. Narzucił na głowę kaptur i ruszył szparko przed siebie. Nogi ŕlizgały mu się w błocie, ale brnął przez nie uparcie i po chwili wysforował się na sporą odległość przed furkę.

— Hej! Zaczekajcie, ojczy! — zawołał za nim Primo. — Mam do was pytanie. W powaŕnej kwestii.

Zakonnik zatrzymał się i czekał na furę, ale kaptura nie ŕciągał. Kiedy Jupiter się z nim zrównał i stanął, Primo zapytał z kozła:

— Słyszeliŕcie to o tańcach na cmentarzu?

Kmieć nie widział twarzy zakonnika, ale gardłowy pomruk oznaczał, Őe ten ŕłucha.

81

— Mieliŕmy festyn z okazji ŕwięta Dziewicy, cała wioska spita jak wieprze płaŕała między grobami i ŕpiewała. Przez całą noc tę samą ŕpiewkę: Dzieweczko, miej litoŕć. I niektóre litowały się pod osłoną ciemności, no wiecie. I stary pleban przez całą noc nie zmruŕył oka, bo to wszystko działo się

pod oknami jego izby.

MoŜecie sobie wyobrazić, jak wyglądał nazajutrz na mszy. Oczy przekrwione, musiał przytrzymywać się ołtarza, bo ledwie mógł ustać na nogach. Unosi oczy do nieba, Őeby zmówić pacierz i zamiast: Panie, zmiłuj się nad nami, mówi: Dzieweczko, miej litość . — Primo ryknął

śmiechem i znowu walnął nowicjusza pięścią w udo. — Taki wstyd. Do dzisiaj śmieję się do łez, jak sobie przypomnę.

Chłopiec złapał się z bólu za nogę, ale teŜ się roześmiał. Jednak zakonnik, ku rozczarowaniu Prima, ruszył bez słowa dalej.

— Nie bierzcie tego do siebie, ojczulku! — zawołał za nim kmięć.

— Zawsze kiedy siedzę tu na wozie i patrzę na zad Jupitera, przypomina mi się zaraz ksiądz, który pobrał ode mnie opłatę. Do ciebie nic nie mam. — Zgiął się na koźle w pól i zaniósł rechetem.

Zakonnik oddalił się juŜ na dobre sto kroków i chłopiec zaczął się nerwowo wiercić. Drapał się po szyi, a do jego ciemnych oczu wkradł

się niepokój.

— Za daleko się posunąłeś — powiedział do Prima. — Naprawdę się rozeźlił.

— E tam. PrzeŜyje. Skórę ma grubą, a ja po tej nocnej ulewie muszę się trochę rozweselić.

— Ale niekoniecznie jego kosztem. Pójdę z nim porozmawiać. Lepiej, Őebyśmy trzymali się razem.

Zeskoczył z wozu i w rozbryzgach błota pobiegł za zakonnikiem.

Kiedy go dogonił, Primo poczuł się jak na przedstawieniu. Aj aj, młó-dzianek obrywa teraz za swoje, pomyślał. I nie pozostaje dłuŜny. W

tych ubłoconych habitach, kłóćący się zawzięcie i wymachujący rękami jak cepami, dwaj mnisi przypominali mu kukiełkę Puncinella i jego Őonę. Tylko patrzeć, kiedy ten dzieciuchowaty oberwie w ucho, tak jak 82

mama od taty, kiedy zalazła mu za skórę. Ale moŜe braciszkom nie wolno bić swoich kochasiów?

W końcu zakonnik zwolnił kroku i zaczekał, aŜ wół i furka się z nim zrównają.

— Dokąd zmierzacie, signore! — burknął.

Primo zdjął czapkę i przyjął uniŜoną postawę.

— Do opactwa Sant'Ubaldo pod Gubbio, Wasza Wielbność. Wiozę to drewno tamtejszym mnichom. Za to będę mógł narąbać drewna na opał dla siebie z ich lasu. Jeśli znowu nie lunie i

grzbiet Jupitera wytrzyma, przed wieczorem będziemy u bram.

— Znaczy słuŝysz czarnym mnichom od świętego Benedykta?

— Gorzej! Nie posłuchałem kazania i słuŝę dwóm panom. Nie mogę jednak powiedzieć, ŝe jednego kocham, a drugiego nienawidzę, bo zaraz nie miałbym ŝadnego. Mój pierwszy pan, hrabia Alessandro, zabił

jednego ze swoich kmieci za to, ŝe nie dość szybko zszedł mu z drogi.

Stratował go koniem. Wyspowiadał się, a jak ŝe, i dostał rozgrzeszenie, bo kmieć był jego poddanym, ale jako pokutę uŝycza teraz mnichom kawałka swojego pastwiska, połowę lasów i połowę mnie. Patrzycie, ojczulku, na połówkę człowieka. Jedna moja połowa jest na kaŝde skinienie mnichów, druga naleŝy do hrabiego, ale nie potrafię ci powiedzieć, która cięŝej haruje — za to o mnie jako całość nikt nie dba.

Zakonnik ŝciągnął kaptur. Kroczył obok furki zamyślony, nowicjusz został kilka kroków z tyłu. Przez dłuŝszy czas słychać było tylko dzwo-neczek wołu, poskrzypywanie fury i mlaskanie błota pod racicami.

— Święty Franciszek słusznie prawil — odezwał się w końcu zakonnik. — Smutny to dzień, kiedy boŝy ludzie uznają, ŝe potrzeba im czegoś na własność. A jeszcze smutniejszy, kiedy postanawiają zdobyć to coś na własność za cenę odpuszczenia grzechów.

— Wasz święty mówił wiele słusznych rzeczy, tyle ŝe sam był poniekąd 83

odraŝający w swoim ŝebractwie. Rozumiecie, o co mi idzie, ojcze? —

Primo zerknął na twarz zakonnika. — Nie, widzę, ŝe nie rozumiecie —

podjął. — Był rok tysiąc dwieście dwudziesty piąty, kiedy mój wieko-wy teraz tato widział na własne oczy tego świętego człeka. Braciszkanie prowadzili go na osiołku, ślepego jak nietoperz za dnia, ze stopami i dłońmi owiniętymi dla zasłonięcia chrystusowych ran.

— Nie ma niczego odraŝającego w jego ślepotcie i ranach — odezwał się zakonnik. — Choroby oczu nabawił się w Egipcie, próbując nawrócić sułtana na chrześcijaństwo. Co zaś do stygmatów ukrzyŝowanego Chrystusa, to był to największy dar, jaki kiedykolwiek otrzymał

syn śmiertelnika.

— Tak, tak, na pewno, ale nie dosłuchałeś mnie do końca. Mój tato patrzył na niego, jak juŝ mówiłem, a tu naraz z krzaków wyłazi kulawy leper — no wiecie, trędowaty — potrząsa kołatką i wyciąga miseczkę na jałmuŝnę. „Podprowadźcie do mnie mego brata”, mówi święty i maca w powietrzu ręką, szukając głowy ŝebraka. Znajduje jego lico, wargi, i całuje go jak najpiękniejszą z pięknych, najśłodsza z słodkich.

Mówcie sobie, co chcecie, ale po mojemu to obrzydliwe.

— Nie ty jeden tak myślisz — przyznał zakonnik. — Ja nie znalazł-

bym w sobie takiej siły. Święta gorliwość teŝ jest darem od Boga.

Tak rozmawiając, pokonali zakręt błotnistej drogi. Poranna mgła unosiła się pośród błękitnych gór pierzastymi kłaczkami. Kmieć widział

juŝ odległe o kilka mil, wielkie, szare, monolityczne wieŝe opactwa wykutego w zboczu Mont' Inghino. Poniŝej, u podnóŝa góry, przycupnę-

ła wioska Gubbio.

— Widzicie, braciszku — powiedział, pokazując palcem. —

Oto, gdzie kończy się mój dzień. Wy teŝ dobrze byście zrobili, zostając tam na noc. Dom Vittorio dobrze karmi.

Mgła wreszcie się rozwiła i słońce szybko wysuszyło drogę na za-skorupiałą margiel. ZaprzęŜona w wołu fura toczyła się po niej juŝ bez 84

przeszkód. Gdzieś między noną a nieszporamai trzej podróżni stanęli u bram klasztoru.

Konrad podkurczył jedną, potem drugą nogę, ŝeby rozluźnić mięśnie łydek. Rad był, ŝe kończy się drugi dzień wędrówki, rad, ŝe uwolni się wreszcie od towarzystwa tego czupurnego kmiecia. Szkoda tylko, ŝe nie pozbędzie się Amaty. Podbechtywana przez tego prostaka, cały dzień bawiła się kosztem Konrada. Jakimŝ utrapieniem musi być ta dziewczyna dla matki przeorowskiej i jej siostrzyczek w San Damiano! Im szybciej odprowadzi ją za mury klasztoru, i im szybciej zostanie sam, tym lepiej.

Odetchnął głęboko, wciągając w płuca rześkie powietrze pachnące jeszcze deszczem. Chłodny wietrzyk zaszeleścił w poŝółkłych liściach lasu i ucichł tak samo szybko, jak się był zerwał.

Z małej stróŜówki przed drewnianym mostkiem przerzuconym nad wezbraną rzeką Chiagio i prowadzącym do masywnych, okutych ŝelazem wrót właściwego klasztoru, wyjrzał stary mnich. Grubych murów, z ambrazurami i szczelinami strzelnic, nie powstydziałaby się potężna twierdza obronna. Konrad podejrzewał, ŝe za wrotami znajduje się nawet spuszczana krata.

W zbrązowiałych szuwarach po drugiej stronie rzeki unosiła się na falach samotna turkawka, co chwila wyławiając z wody jakieś nasionko strącone z drzewa przez burzę. To samo mnie czeka za kilka dni, pomy-

ślał pustelnik. Jak ta turkawka wertował będąc stare pergaminy z nadzieją, ŝe znajdzie w nich choćby jedno ziarno, które nada sens tej podróŜy.

Ostatnia godzina wędrówki, kiedy Amacie i kmieciowi znudziły się w końcu docinki, a słońce przygrzewało, upłynęła Konradowi na rozpamiętywaniu listu Leona. Przygnębiała go myśl, ŝe wkrótce znajdzie się w Asyŝu i nadal nie będzie wiedział, czego właściwie ma tam szukać. Wydobać prawdę z legend, pisał Leon — substancji w tej wskazówce nie więcej niŝ w nasionku

wyłowionym z wody przez turkawkę.

— Bywaj, Primo! — zawołał odźwierny. — Dawnośmy cię tu nie widzieli. Jedź z tym do północnej bramy i kaŃ piwnicznemu utoczyć sobie czarę.

85

Wymienili uprzejmości i fura potoczyła się dalej. Teraz stary mnich spojrzał pytająco na dwóch wędrowców.

— Niech ci Bóg błogosławi, bracie — pozdrowił go Konrad.

— I wam — odparł mnich. — Zostajecie u nas na noc?

To nie wchodziło Ńadną miarą w rachubę. Wprowadzenie niewiasty, nawet w przebraniu, w klasztorne mury, byłoby cięŃkim grzechem.

Zresztą Konrad nie miał pewności, czy Amata się czymś nie zdradzi.

Nawet gdyby zaszyli się w goŃcinnych kwaterach zakonników, to w końcu i tak musieliby się z nimi zetknąć.

— Bóg zapłać za goŃcinnoŃć — powiedział pustelnik — ale jeszcze przed zmrokiem chcemy dotrzeć do Gubbio.

Kiedy to mówił, zadudniło i ziemia zatrzęsała się nagle pod ich stopami. Stary mnich nie okazał najmniejszego zaniepokojenia. Pokazał

palcem dolinę, od której galopowało ku nim pod górę pół tuzina cięŃsko zbrojnych zakonników, i to nie na zwyczajnych wierzchowcach, lecz zwalistych bojowych perszeronach, które w kłębie sięgały roŃtemu męŃczyźnie po brodę, a piersi miały szerokie jak baryłki. TuŃ za nimi, uskakując przed kopytami i rozbryzgami błota, gnała sfora psów. Konie, połoŃywszy uszy po sobie, tocząc pianę z pysków, pędziły wprost na wędrowców. PrzeraŃony Konrad zasłonił twarz skrzyŃowanymi ramionami. Mnich pędzący na czele w ostatniej chwili Ńciągnął wodze i zapierając się w strzemionach, osadził konia w miejscu. Wyglądał na siłacza, a z wysadzanego klejnotami krzyŃa, który dyndał mu na piersi, moŃna było wnosić, Ńe to dom Vittorio, opat Sant'Ubaldo.

— KogóŃ moje oczy widzą, braciszku! — huknął, stając w strzemionach i spoglądając na Konrada i Amatę. MoŃna było odnieŃć wraŃenie, Ńe zwraca się do nich z wierzchołków drzew, które okalały jego łysiejacą głowę. — Boska opatrzoŃć was do mnie pewnikiem sprowadza, znaczy ten dzieŃ nie będzie tak do cna stracony.

86

Konrad wytrzeszczył oczy na widok pik i halabard w rękach zakonników, wypchanych strzałami kołczanów na ich plecach, maczug i kuszy przytroczonych do siodeł. Oni polowali na grubszego niŃ jelenia zwierza.

Opat pobiegł za jego spojrzeniem.

— To ci przekłęci perugianie — wyjaśnił. — Bóg usmaŹy ich dusze w piekle. Najęli bandę zbójów, Źeby grasowała po naszych drogach, ale nie natrafiliŹmy dzisiaj na Źaden Źlad tej hołoty.

Konrad przypomniał sobie, Źe do opactwa Sant'Ubaldo naleŹy większoŹć ziem uprawnych i lasów w okolicach Gubbio, co, jak na kaŹdego feudała, równieŹ na opata nakładało obowiążek przepędzania ze swego lenna wszelkiej maŹci grasantów i łupieŹców. Jeszcze jedno przekleń-

stwo własności, pomyŹlał. Jeszcze jeden dowód na to, Źe jego zakon słusznie wielbi Madonnę Ubóstwa. Przynajmniej teoretycznie.

Dom Vittorio machnął na swoich mnichów, wskazując klasztor.

CięŹkie wrota rozwarły się ze zgrzytem łańcuchów i skrzypieniem zawiasów. Kiedy zniknął za nimi ostatni koń i ucichł tupot kopyt na mo-

Źcie, opat znowu zwrócił się do Konrada i Amaty. Pustelnik zrobił juŹ

kilka kroków w stronę Gubbio, Amata dreptała za nim.

— Zaczekajcie, bracia. Bądźcie dziś moimi goŹćmi.

— Grazie molte, wielebny ojcze! — zawołał przez ramię Konrad.

— W Gubbio mamy jednak dom naszego własnego zakonu. Tam przenocujemy. — W miasteczku znajdował się równieŹ klasztor Ubogich Pań, gdzie mogła zatrzymać się Amata. On tak czy owak spędzi tę noc w lesie. Będąc juŹ tak blisko AsyŹu, wolał uniknąć komplikacji.

— Bzdura! Zapraszam do nas, nalegam! — Nacisk, jaki połoŹył

opat na słowo „nalegam”, Źwiadczył, Źe ten człowiek zawsze stawia na swoim. — Odprawicie jutrzejszą mszę. Wszak to Źwięto waszego zało-

Źyciela.

To juŹ czwarty paŹdziernika? Konrad nie mógł uwierzyć, Źe zapomniał o najwaŹniejszym dniu w kalendarzu zakonu, dniu Źwiętego Franciszka.

87

Oto, jakie są skutki rozbratu z brewiarzem. CoŹ Źcisnęło go w piersiach.

— Nie znamy waszego obrządku — odparł zdławionym głosem.

— Oj, ale lektury na nocnym czuwaniu potraficie chyba z brewiarza odczytać. Będę zobowiążany, jeśli się zgodzicie. — Z tonu opata moŹ-

na było również wnosić, że odmowę potraktuje jako osobisty afront.

Szach i mat! Jak tu odmówić zakonnikowi, nie wyjawiając, że od dwóch dni podróżuje z kobietą? Konrad zerknął na Amatę. Prosił ją oczami o wsparcie. Sprytu jej nie brak, może wykoncytuje jakieś wyj-

ście z tej sytuacji i przyjdzie mu już teraz z zapowiadaną przez Leona pomocą.

Amata, odwrócona do opata plecami, posłała Konradowi przewrotny uśmiezek.

— Zostańmy, ojcie — rzekła z niewinną miną. — Nie nocowałem jeszcze w opactwie tych mnichów.

W tym momencie Konrad zapragnął oćwiczyć ją najgrubszym ki-jem, jaki zdoła oburącz unieść.

— Wielkie dzięki, młody bracie! — huknął z galanterią dom Vittorio z wyszyn swego perszerona. — Ugościmy was jak kardynała, co ja gadam, jak papieskiego wysłannika. A jeśli twój towarzysz upiera się przy kontynuowaniu podróży, to krzyś mu na drogę. Niech idzie.

Konrad pochylił głowę, by ukryć irytację, która ściągała mu kąciki ust. Pokonali go. Nie pozostawało mu nic innego, jak powlec się za opatem, który skierował już swego rumaka na most, i posłusznie drep-czącą za nim Amatę. Musiał, choćby po to, by mieć na oku tę dziewczkę.

Bóg jeden wie, co mogłaby nawyczyniać pozostawiona samej sobie.

VII

Konrad, patrząc na dwuszeręg zakonników wpływający po nieszpórach do refektarza, naliczył około stu dwudziestu męszczyzn i młodzianków — klasztor był ogromny. Mnisi zajęli miejsca przy dwóch drewnianych stołach ciągnących się przez całą długość wąskiej prostokątnej sali. Dom Vittorio zaprosił Konrada, Amatę i swojego przeora do osobnego stołu na podwyższeniu pod krótszą ścianą refektarza. Ustalający w tym tygodniu porządek czytania lektor wspiał się po schodkach na ambonę.

Konradowi po całym dniu drogi burczało w brzuchu, ale nie spodziewał się obfitego poczęstunku. W klasztorach o surowej regule mnisi spożywali główny posiłek po południu. Z drugiej strony, dom Vittorio na surowego nie wyglądał. Bardziej przypominał kasztelana, jednego z tych gościnnych, zamieszkujących wieś reliktyw zamierającej epoki feudalnej, jakim był pewnie również ojciec Amaty. Utwierdzały go w tej opinii smakowite zapachy napływające z kuchni.

Z nadejściem wieczoru ochłodziło się szybko, ale przewidujący brat kuchmistrz napalił już w kominku. Konrad zauważył, że refektarz pełni 89

również rolę klasztornej zbrojowni. Blask ognia odbijał się w polerowanych kuszach, tarczach, napierśnikach i broni siecznej, którymi obwieszono były ściany. Można by pomyśleć, że wieczerzają w wielkiej sali księcia Spoleto.

Na znak dany przez dom Vittoria lektor zaczął odczytywać z nekrologium zakonu biografię jakiegoś benedyktyńskiego świętego. Szepty przy stołach natychmiast przybrały na sile, przechodząc w gwar. Głowy obracały się jedna po drugiej w ich stronę. Konrad zauważył, że coraz więcej spojrzeń kieruje się na Amatę; co gorsza dziewczyna odpowiadała na nie tym swoim szerokim ujmującym uśmiechem. Czyżby nie zdawała sobie sprawy, że nawet przebrana za chłopca, wśród tych rozbisurmanionych mnichów narażona jest na takie samo niebezpieczeństwo jak dziewczyna? Poczuli się jak Lot ochraniający swych anielskich gości przed męszczyznami z Sodomy i Gomory. Inna sprawa, że Amaty śadną miarą nie dało się porównać do anioła. Aliści był za nią odpowiedzialny. Nachylił się do dziewczyny i szepnął:

— Skromności, bracie, skromności.

Na szczęście w tym momencie podano do stołu. Zamiast skromnej mnisiej kolacji złożonej z cienkiej polewki, razowego chleba i suszonego groszku, jakiej spodziewał się Konrad, kucharz z małą armią kuchcików wnieśli półmiski z pieczystym i grubymi plastrami sera. Młody pomocnik postawił przed nimi wiklinowy koszyk z pajdami wyborowego białego chleba. Drugi napełnił pucharki aromatycznym czerwonym winem, a dom Vittorio, uśmiechnięty od ucha do ucha, zachęcał gości:

— Jedzcie, bracia, jedzcie. Jutro znowu ruszacie w drogę. Musicie nabrać sił.

Wcześniejszy gwar jeszcze bardziej narósł, lektora nie było już prawie słyhać. Między stołami kręciły się psy myśliwskie, których nie wiedzieć kiedy znalazło do sali. Od czasu do czasu któryś z mnichów rzucał w powietrze ochłap mięsiwa albo skórkę chleba, prowokując je tym do żartej walki wśród powarkiwań i kłapania zębiskami. W końcu sali, 90

gdzie siedzieli nowicjusze, trwała zabawa polegająca na rzuceniu skrawka jadła tak, by wylądował na brzegu stołu naprzeciwko, zmuszając braciszka nowicjusza do ratowania swego posiłku przed doskakują-

cym psem.

Chociaś sumienie strofowało pustelnika za naśladowanie zakonników w śarłoczności, to domagający się swego śoładek zagłuszał te połajanki. Pochłonał do ostatniego kęsa gruby plaster pieczeni wie-przowej. Amata również pałaszowała z apetytem i na koniec posiłku wiwatowała wraz z mnichami, kiedy przechylono drewniane stoły.

Opróśnione cynowe miski posypały się z grzechotem na posadzkę wraz z resztkami jadła, psy, jak to psy, rzuciły się ze skomleniem i ujada-niem dopełnić dzieła. Zakotłowało się, zrobił się harmider nie do opi-sanja, lecz lektor na ambonie, jakby niepomny tego, śe nikt go nie słuha, a nawet gdyby chciał, to nie usłszy, nadal poruszał ustami. W

końcu zamknął księgę i prześegnał się znakiem krzyśa.

Wieczera dobiegła końca.

Kuchcikowie ustawili się pod ścianami i czekali, aś psy skończą.

Mnisi, uformowawszy dwuszereg, podreptali do bazyliki opactwa na kompletę, ostatnie nabośeństwo dnia. Kiedy wchodzili do nawy i zajmowali przypisane sobie miejsca w ławkach, Konrad z Amatą odłączyli się. Stojąc w północnym transepcie, dwaj bracia szarzy przysłuchiwali się, jak czarni zakonnicy modlą się o spokojny sen i obronę przed Złym, który, jak ostrzegały ich psalmy, pośród nadchodzącej nocy bę-

dzie sicut leo rugiens, krąśył jak ryczący lew, szukając ofiary do pośarcia. Konrad pochylił głowę. śałował, śe Amata nie zna tak dobrze łaciny, by wziąć sobie tę przestrogę do serca.

Od tak dawna śył poza jakąkolwiek religijną społecznością, śe zapomniał juś, jakie potęśne wraśenie robi na słuchaczu chór tylu młodych i starszych męskich głosów. Przyznawał w duchu, śe pomimo całego swego rozprzęśenia, śpiewać ci mnisi potrafią. Zwłaszcza basy poruszały w jego piersiach czułą strunę. W bazylice robiło się coraz 91

ciemniej, na wiernych opadał coraz gęstszy mrok, pozwolił więc łzom wzbierającego w sercu wzruszenia potoczyć się po policzkach. Nie wiedział, czy Amata je zauwaśyła, i nie dbał o to. Przez chwilę czuł się w zatłoczonej bazylice tak samo samotny jak ona, kiedy wczoraj zawodziła na płaskowyśu.

Przebrzmiał ostatni psalm, nastąpił czas cichej medytacji, a potem dom Vittorio odszukał w transepcie dwóch braci szarych i skinął, śeby za nim szli. Zaprowadził ich do łośnicy sąsiadującej z jego gabinetem.

— Zwykle ja tu sypiam — powiedział — ale tak się nieszczęśliwie składa, śe nasz domek gościnny jest obecnie w remoncie. Odstępuję więc naszym szacownym gościom własne łośe.

Izbę oświetlała jedna świeca, ale nawet w jej nikłym blasku w oczy bił przepych, którego Konrad nie spodziewał się zastać w klasztorze.

Pod oknem z oprawionymi w ołów szybkami stał głęboki fotel, a przy biurku opata wysoki wyściełany stołek. Kamienne ściany zdoły dwa arras — jeden przedstawiający odyńca osaczonego przez myśliwych, drugi sokolnika zdejmującego kapturek z łepka sokoła. Ale największe wrażenie robiło łóŜe opata. Mnich powinien sypiać na prostym sienniku wypchanym słomą. To łóŜe miało drewnianą ramę unoszącą siennik wysoko ponad zimną posadzkę. Pomiędzy zasłonami uwiązany do słupków podtrzymujących baldachim widać było puchową pierzynę, a na niej poduchy wielkie jak wory na ziarno. Po spuszczeniu, zasłony chroniły w zimie przed cugami, w lecie zaś przed dokuczliwymi komarami. Bez wątpienia materac teŜ był wypchany gęsim pierzem. Dla Konrada było to posłanie godne papieŜa.

Opat nachylił się do Konrada i zniŜając głos, zapytał:

— Pomieścicie się na tym łóŜu czy mam kazać przynieść osobny siennik dla twojego nowicjusza? — Przyglądał się przy tym bacznie twarzy Konrada. Była to nie tyle propozycja, co test.

92

— O nie, nie! — wybąkał Konrad, cofając się do drzwi. — W jednej izbie? Nie uchodzi...

Opat kiwnął głową i uniósł ręce.

— Nic nie mów, bracie. Słusznie czynisz, pragnąc uniknąć nawet podejrzenia o zdroŜność. Są pod moim dachem tacy, wyznają to ze wstydem, którym umysły zaprzęta zbytnio kwestia nieczystości cielesnej. Mogliby źle zinterpretować fakt dzielenia przez was jednej łóŜni-cy. Chłopiec powinien nocować w dormitorium dla nowicjuszy. — Tu zwrócił się do Amaty: — Pójdź ze mną, synu.

Amata spojrzała na Konrada i wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: Cóż począć? Nie ma innego wyjścia — i pospieszyła z uśmiechem za dom Vittorioem.

— Zaczekaj! — krzyknął Konrad. Bez zastanowienia złapał dziewczynę za bolące ramię. Pisnęła przeraźliwie z bólu, wprawiając całą trójkę w konsternację.

— Nie wspomniałem jeszcze, wielbny ojcie — wyrzucił z siebie wzburzony Konrad, by czym prędzej odwrócić uwagę mnicha — Œe Fabiano miał wczoraj przykry wypadek i uraził się w rękę. — Głos tak mu drŜał, Œe zachodziła obawa, iŜ wszystko się wyda, ale jedyną nadzieję dla nich upatrywał w mówieniu. — Powinien spać na wygodnym posłaniu. Dla mnie zaś prycza w dormitorium nowicjuszy będzie więcej niŜ w sam raz. Zwykle sypiam na gołej ziemi.

Dom Vittorio, obrzuciwszy Amatę zaciekawionym spojrzeniem, ruszył za pustelnikiem do drzwi.

— Jak sobie Œyczycie, bracie Konradzie. — Obejrzał się jeszcze raz, kiedy wychodzili z izby. — Nie zwracajcie uwagi na dzwony wzywający na nocne czuwanie, braciszku, potrzebujecie wypoczynku. JeŜli to kon-tuzjowane ramię rankiem nadal będzie dokuczało, kaŜę naszemu medykowi

obejrzyć je przy świetle dziennym.

Amata skłoniła się — zdaniem Konrada trochę za gorliwie. Biedna dziewczyna bała się znowu odezwać, Őeby nie zdradzić się głosem.

93

Konrad wiedział juŜ, Őe nie zazna spokoju, dopóki nie znajdą się za bramą tego klasztoru. Szedł za opatem ze ŐciŐniętym Őoładkiem, soczy-sta, tłusta pieczeń wieprzowa gulgotała mu w kiszka. Klapanie sandałów dom Vittoria i cichy tupot bosych stóp Konrada odbijały się od klasztornych murów niesamowitym pogłosem w mrocznej ciszy obcego otoczenia. Pustelnik rozglądał się niespokojnie po ciemnym po-dwórku. Wydawało mu się, Őe za kaŜdą oŐwietlaną przez księŜyc kolumną kruŜganka dostrzega czające się, przestępujące niecierpliwie z nogi na nogę, zakapturzone postaci. Błagam cię, Amato, bądź tej nocy rozsądna, powtarzał w duchu, ale ona tego, oczywiście, nie słyszała, układając się do snu w ogromnym łoŜu.

Konrad, nienawykły do nocnych hałasów donoŐniej szych od spora-dycznego skrobnięcia gałęzi sosny o Őcianę jego chaty, długo przewracał się z boku na bok na macie. Dormitorium podzielone było tak, by kaŜdy nowicjusz miał swoją małą celę, ale przepierzenia wysokości dorosłego męŜczyzny nie stanowiły Őadnej bariery dla kakofonii, na jaką składało się chrapanie kilkudziesięciu Őpiących tu zakonników.

Ale nawet gdyby było cicho jak w grobie, to i tak nie pozwoliłby mu zmruŜyc oka niepokój o Amatę. O szybsze bicie serca przyprawiał go kaŜdy szelest siennika, kaŜde skrzypnięcie podłogi. Godzina za godziną rozbudzona wyobraźnia podsuwała mu wizje mnichów opuszczających cichcem prycze i wracających na nie ukradkiem. W końcu, w Őrodku nocy, zmęczenie wzięło górę i zapadł w niespokojny półsen. Lecz nie na długo. Miał wraŜenie, Őe dopiero co przymknął oczy, kiedy zakonnik z nocnej warty uderzył w dzwon na nocne czuwanie.

Półprzytomny z niewyspania Konrad powtórzył za psalmistą słowa, które poprzedniego dnia cytował Amacie:

94

— Siedem razy dziennie będę Cię błogosławił, i w nocy wzywał imienia Twego*. — Przeklęty król David i jego bezsenność, wyburczał w duchu, ale natychmiast ofuknął się za tę bluźnierczą myśl i gnuŐność.

Rozleniwił się w swojej leŐnej samotni. Zawstydzali go nawet ci rozpa-sani czarni mnisi. Przetarł oczy, przeciągnął się i powlókł za milczący-mi braćmi do bazyliki. Idąc, rozcierał dłonie i ramiona; noc wyziębiła klasztor, a do wschodu słońca pozostało jeszcze pięć godzin. W koŐciele czarni mnisi ustawili się w cztery rzędy, po dwa z kaŜdej strony na-wy, ojcowie na stopniach ciągnących się pod Őcianami, nowicjusze poniŜej, przed nimi. Konrad, niemający swojej pozycji w tej hierarchii, zajął miejsce na szarym końcu jednego z rzędów ojców. Nie widział

Amaty. Pewnie posłuchała rady *dom Vittoria* i pozostała w łoŜu.

Pustelnik uciął sobie króciutką drzemkę na stojąco, podczas gdy je-go sąsiad zakładał jedwabnymi zakładkami stronicę w Wielkim Psalme-rzu i antyfonarzu rozłożonym na pulpicie, który dzielili. Poczł się trochę usprawiedliwiony, kiedy zmusiwszy się do otworzenia oczu, stwierdził, że nie tylko jemu kleją się powieki. Nawet dom Vittorio wyglądał na rozspanego. Oczy miał opuchnięte, policzki w plamach, a głos skrzypiał mu niczym zardzewiałe łańcuchy zwodzonego mostu, kiedy zaintonował błogosławieństwo na rozpoczęcie nabożeństwa: Jube, Domine, benedicere .

Z języka Konrada spływały jeden po drugim hymny, psalmy i anty-fony, a nadeszła wreszcie pora pierwszego czytania. Na znak dom Vittoria skłonił się i wszedł na ambonę za stallą opata. Jeden z zakonników otworzył już księgę na właściwej stronicy.

W miarę zagłębiania się w tekst, a były to pierwsze cztery lekcje z Reguł dla spowiedników, czuł się coraz pewniej i zaczynała mu się podobać rola, jaką odgrywał w tym nabożeństwie czarnych mnichów. Był

dumny, że członkowie innego, czasami nawet współzawodniczącego

* To swobodna trawestacja dwóch fragmentów Psalmu 119.

95

zakonu, tak honorują świętego Franciszka. Kiedy jednak odwrócił stronicę, by przejść do czytania piątej lekcji, odjęło mu mowę. Trzy razy przebiegł wzrokiem nagłówek: Lectio de Legenda Maior Ministri Bonaventurae.

Czy to dlatego Bóg zesłał na mnie tę noc udręki? — przemknęło mu przez myśl. Tekst pochodził z Legenda Maior — syciorysu większego,

biografii świętego Franciszka pióra Bonawentury. Może tutaj znajdzie w końcu klucz do zrozumienia przesłania Leona? Stał oniemiały, z dłońmi zaciśniętymi na krawędziach ambony, a w głowie rozbrzmiewał

mu znowu fragment listu mentora: Czytaj oczami, poznawaj rozumem, sercem wydobądź prawdę zawartą w legendach .

Do rzeczywistości przywołało go znaczące pokastywanie dobiegają-

ce spod ambony. Z oświetlonych łuczycami naw popatrywały na niego rzędy bladych zniecierpliwionych twarzy. Dom Vittorio ponownie znacząco zakaszał. Konrad skłonił się przepaszająco i podjął lekturę.

— Franciscus, Assisi in Umbria natus — zaczął. — Franciszek urodzony w Asyżu w Umbrii... — I po chwili znów wpadł w rytm, by zaciąć się ponownie w połowie siódmego czytania opisującej, jak to dwa lata przed śmiercią ukazał się Franciszkowi serafin o sześciu gorejących błyszczących skrzydłach i odcisnął na dłoniach, stopach i boku świętego rany ukrzyżowanego Chrystusa.

Prawdopodobnie Konrad w tym miejscu i tak by przerwał. Moment, w którym anioł odciska święte

stygmaty na ciele świętego Franciszka, był najdramatyczniejszy i najbardziej podniosły w kronikach zakonu.

Poruszyłby każdego mnicha. Lecz on przerwał, bo w tym momencie przypomniało mu się jedno z pytań Leona: Skąd serafin? Czyżby tego serafina miał na myśli Leon? Najprawdopodobniej nie, bo ten anioł

przybywał przecież z nieba. Co więc rozumiał Leon pod sformułowaniem skąd pochodzi?

Najchętniej zrobiłby przerwę na poukładanie sobie tego wszystkiego w głowie, ale musiał czytać dalej. Dobrnął wreszcie do końca ustępu i kiedy 96

mnisi śpiewali responsorium i versicle *, spróbował zebrać myśli. Przeszkodziło mu w tym jednak zamieszanie, jakie nagle powstało w bazylice. Jeden z nowicjuszy przybył dopiero teraz i padł krzyżem przed głównym ołtarzem, by odpokutować spóźnienie. Po chwili zajął miejsce wśród innych nowicjuszy, osłaniając dłonią usta, szepnął coś na ucho sąsiadowi i obaj zachichotali. Konrad podążył za ich spojrzeniami i zobaczył wchodzącą do bazyliki Amatę. Dołączyła do rzędu nowicjuszy stojących naprzeciwko spóźnialskiego i (czyż to możliwe?) posłała mu ukradkowy uśmiech. Konrad zmrużył oczy i wyteńczył wzrok. Czy naprawdę widział ten uśmiech, czy tylko mu się zdawało? W słabym migotliwym blasku łuczyw i z takiej odległości mógł ulec złudzeniu.

Audytorium znowu przypominało mu o obowiązku. Mnisi pokasztywali unisono, nieco głośniejszym i z bardziej ostentacyjnym zniecierpliwieniem niż za pierwszym razem. Zaczął czytać ostatnią lekcję. Jego umysł, wciąż nie do końca rozbudzony, a do tego obciążony bagażem tyłu nowych pytań, pracował powoli i ociężałe jak wół Prima.

Co go w końcu obchodzi, co robi Amata? Kończył ostatni ustęp tekstu, kiedy niespodziewanie wezbrał w nim gniew. Scena śmierci świę-

tego Franciszka nie mogła konkurować z natłokiem kłębiących się w jego głowie myśli.

Czy słusznie się gniewam? Mimo wszystko jestem za nią odpowiedzialny.

Ale nie do końca. Bóg dał jej, tak jak każdej ludzkiej istocie, wolną wolę. A poza tym, nie spałaby tu dzisiaj, gdyby nie jej przewrotność.

*Responsorium (łac.) — wyrażenie brewiarzowe składające się z dwóch zdań, z któ-

rych pierwsze odmawia (śpiewa) kapłan, a drugie — czyli responsus — chór albo reszta kongregacji, recytująca określoną godziną kanoniczną, zwaną hora canonica .

Versicle — w chrześcijańskim obrządku łacińskim fraza lub sentencja z Pisma Świę-

tego, której ton podaje sprawujący uroczystość oficjant, a która zostaje następnie podję-

ta przez chór lub całe zgromadzenie.

Lecz kobieta jest słabszym naczyniem. Potrzebuje mojej siły. Powinienem był obmyślić jakiś sposób chronienia jej łośnicy.

Udało mu się jakoś zakończyć czytanie i zszedł po schodkach z ambony. I wtedy ten natrętny wewnętrzny głos zasugerował: Bracie Konradzie, czyŚbyście byli zazdrośni?

Absurd! Ruszył nawą na swoje miejsce. Mijając Amatę, posłał jej wściekłe spojrzenie. Dziewczyna drgnęła, a on szybko odwrócił głowę.

Stanąwszy w rzędzie obok sąsiada, spojrział z góry na krótko ostrzy-

Śoną, pochyloną głowę na końcu rzędu nowicjuszy. Czerwony rumieniec krasiał tył jej smukłej szyi, wąskie ramiona drŚały ledwie zauwaŚalnie. Kiedy wokół rozbrzmiała gregoriańska pieśń, pustelnik westchnął

cięŚko i przeniósł wzrok na złote tabernakulum zdobiące główny ołtarz.

BoŚe, wybacz mojemu podejrzliwemu sercu, poprosił. Skrzywdziłem ją, bardzo skrzywdziłem.

VIII

— Konradzie, weź ode mnie tę sakwę! Ramię strasznie mnie rwie.

— Amata i pustelnik zeszli dopiero co z mostu pod klasztorem i wciąż

znajdowali się w zasięgu wzroku starego odźwiernego.

— Mi scus *i*, siostró. Cierpliwości. Musimy pokazać dom Vittoriowi, *Śe* z twoim ramieniem ju^Ś lepiej. Inaczej pośle cię do medyka.

— Nie uczyni tego — odparła z przekonaniem dziewczyna.

— Skąd wiesz? Słyszałaś, co mówił wczoraj.

— A ja nadal twierdzę, *Śe* nigdzie mnie dzisiaj nie pośle. Zauwa^Ś, *Śe* nie jesteśmy ju^Ś w opactwie.

— Krzywiąc się z bólu, *ściągnęła cię^Ś*-

ką sakwę z ramienia i podała ją pustelnikowi. Piwniczny hojną ręką uzupełnił ich zapasy.

Tam, gdzie trakt zaczynał opadać ku miastu, Amata zatrzymała się i wskazała za siebie na czarny bastion Sant' Ubaldo, rysujący się na tle *ró^Ś*owiejącego nieba. Szare chmury, wiszące nad opactwem niczym ubłocone baranki, *te^Ś* zaczynały *ró^Ś*owieć.

99

— Nie wydaje ci się dziwne, *Śe* słońce zawsze wstaje na wschodzie? — zapytała.

— Co? A co to ma...

— Nigdy się nad tym nie zastanawiałaś? *Ka^Ś*dego wieczoru słońce znika za zachodnim skrajem świata, a o brzasku znowu jest z powrotem tam, gdzie się wyłoniło. Jak tam w ciągu nocy przechodzi? Nie zastanawia cię to?

— Nie, nie zastanawia. Wiem, *Śe* dla Boga nie ma rzeczy niemo^Ś-

liwych, i to mi w zupełności wystarcza.

— A więc przez cały ten czas, kiedy mu śpiewaliśmy po ciemku, słońce ogrzewało ju^Ś nowego papie^Śa. Dom Vittorio powiedział, *Śe* on *Śe*gluje teraz pewnie przez morze z Ziemi Świętej do Wenecji. Modliłaś się dziś rano o jego bezpieczeństwo i bezpieczeństwo wszystkich młodych *Śe*glarzy, którzy z nim płyną?

— O elekcji dowiedziałem się dopiero po prymie, kiedy przerwali-

śmy milczenie. Ale jak najbardziej *Śycę* nowemu Ojcu Świętemu po-myślnych wiatrów. Tak... i tym,

którzy z nim Śęglują, takŚe.

Amata uśmiecnęła się, i takiego afektowanie skromnego i błogiego uśmiechu Konrad jeszcze u niej nie widział. Od nocnego czuwania starał się być dla niej łaskawy, uwaŜajac, Śe to pokuta za wcześniejsze posadzenie. Nie komentowała tej zmiany w jego nastawieniu, ale bez wątpienia ją zauwaŜyła i była mu wdzieczna. WciaŜ jednak, zadajac niby to niewinne pytania, nawiązywała do nocy, którą spędziła w łoŚni-cy dom Vittoria. Konrad podejrzewał, Śe celowo się z nim droczy, na co z pewnością sobie zasłuŜył, podejrzewajac ją o najgorsze. Zdawał sobie równieŜ sprawę, Śe wypytywanie ją o spóźnialskiego nowicjusza było-by stratą czasu.

Krętym traktem doleciało z dołu bicie w dzwon na Angelus, będące dla nocnej straŜy miasta sygnałem do otwarcia bram. Rozciągajace się na dnie doliny Gubbio przywodziło na myśl wielką zakurzoną stopę z wielkim paluchem wciśniętym w wąwóz między górami Calvo od za-chodu i Ingino, na której teraz stali. Poza murami Konrad widział ruiny 100

staroŜytnego rzymskiego amfiteatru. Wyglądało na to, Śe Iguvium, jak zwało się miasto za rządów cesarów, rozciągało się daleko na równinę rzeki Chiagio — i dopiero wieki wojen z wrogimi miastami-państwami zmusiły je do wycofania się w obręb obecnych murów.

W senną ciszę świtu wdarł się przeraźliwy skrzyp zawiasów rozwie-rajacych się bram miejskich, obwieszczajac nastanie nowego dnia. Pustelnik wspomniac swojā ostatniā bytność w Gubbio. Było to wiosnā tamtego roku, kiedy brat Leon powierzył mu manuskrypt.

— Słyszalaś o Corso dei Ceri, siostró? — spytał.

Amata pokręciła głowā.

Konrad zatrzymał się i połoŜył sakwę na ziemi.

— Widzialem go kiedyś. Piętnastego maja kaŜdego roku, w wigilię święta swego patrona, gubbiańczycy urzadzajac wyścig od tej tam bramy, pod górę Ingino, aŜ do opactwa. Trzy druŜyny, po dziesięciu męŜ-

czyzn kaŜda, pna się tym traktem, dzwigajac trzy ogromne świece z drewna. Świece są wysokie na sześciu chłopa i cięŜkie jak z Śelaza, kaŜdā zaś wieńczy woskowa figura świętego — jednā świętego Ubalda, ma się rozumieć, drugā świętego Jerzego, a trzeciā świętego Antoniego Opata. To przepiękny festiwal. DruŜyny wspinajac się, posapujac i po-stękujac, święci kołyszą się na swoich świecach-słupach, a za nimi biegnie całe miasto. To przepiękny widok.

— I który święty wygrał, kiedy tu byleś?

Konrad wzruszył ramionami.

— Tak po prawdzie, to nie jest wyścig. Święty Ubaldo, jako patron miasta, musi być zawsze zwycięzcā. Święty Jerzy dobiega zawsze do mety drugi, a święty Antoni jest zawsze ostatni.

— To po co się ścigajac? — roześmiała się Amata.

Pustelnik schylił się po sakwę i ruszył traktem w dół.

— Musisz zrozumieć, siostrze, że rytuał ten służy tylko podtrzymaniu wiary wśród wieśniaków. W odróżnieniu od biskupów i księży są niepiśmienni i nie mogą czerpać natchnienia z Pisma Świętego.

101

Oni potrzebują obrazu albo przedstawienia, które ich przyciągnie i porwie. I owo corso odświeża każdą wiosną drzemającą w nich wiarę. Ten doroczny wyścig jest dla ich dusz tym, czym powracające ciepło dla ich pól.

Byli już w dolinie, dwa tysiące stóp poniżej klasztoru. Pozdrowili strażnika przy bramie i wkroczyli do miasta. Mały chłopiec na chudych podrapanych nogach przepędzał obok stadko kóz. Dzwoniły hałaśliwie dzwoneczki na szyjach kozłat brykających wesoło obok swoich mlecznych matek albo trykających się między sobą małymi łepkami w udawanych pojedynkach. Konrad spojrzął krzywo na zwierzęta. Był za pan brat ze wszystkimi stworzeniami żyjącymi w lasach otaczających jego pustelnię, nie wyłączając kozic, ale podzielał powszechną niechęć do ich udomowionych krewniaków. Nie to, żeby zaraz widział w nich demony, ale w tych niesamowitych ślitych oczach czaiło się jednak coś szatańskiego. Z rozrośniętymi klatkami piersiowymi, zakręconymi rogami, dyndającymi wymionami albo jądrami i zmierzwionymi rzadkimi bródkami miały w sobie coś ze starożytnych satyrów, a niektóre bestia-riusze utrzymywały, że ich krew jest tak gorąca, że roztopi diament.

Konrad wzdrygnął się i na wszelki wypadek przesegnął.

W tej wyżej położonej części miasta wiele domów wzniesionych by-

ło z kamienia. Otwierały się drzwi i okiennice, słuchające rozpoczynają poranną krzątanie. Wąskie, strome, niewybrukowane uliczki były jeszcze rozmiękłe po ulewie, jaka przeszła nad okolicą dwie noce temu, musieli więc dobrze patrzeć pod nogi, żeby się nie pośliznąć albo nie wdepnąć w kałużę nieczystości, które wylewano przed domy drzwiami i oknami.

Konrad dobrze znał plan Gubbio. Zamierzał przeciąć Piazza Grande, ulicą Paola dotrzeć do Piazza del Mercato, minąć targowisko i przez Porta Marmorea jak najszybciej opuścić miasto. Złe się czuł w Gubbio.

Te stojące jeden przy drugim budynki i wąskie uliczki przyprawiały go o klaustrofobię. Jednak Amata była w Gubbio po raz pierwszy i wszystko ją interesowało. Wypytywała go o każdy okazalszy budynek, 102

odrobiącej wrażenie katedry Santi Mariano e Jacopo Martire, jakby osadzonej tylną ścianą w zboczu wzgórza, po Palazzo Praetorio. Zachwycało ją wszystko — i strzelające w niebo ślepe mury warownych wielkich szlacheckich rodów, i drewniane rudery niższych stanów stłoczone w ciasnych zaułkach. Zanim dotarli do Piazza del Mercato, kupcy zdążyli już pootwierać kramy i zachwalając z animuszem swój towar, burzyli resztki porannego spokoju.

— Buon giorno, braciszku — pozdrowiła ich wesoła kobieta z dzbanem na głowie. Za nią dreptała malutka spłoszona dziewczuszka, dźwigająca bochen chleba wielki jak ona sama. Dziecko było w habicie i barbecie zakonnicy, bez wątpienia wypełniało jakiś ślub złoŝony przez rodziców. Bose stopki miało zaróŝowane z zimna i Konrad oburzył się w duchu, Ŝe matka nie sprawi córce butów, choć sama je nosi. A moŜe mała była tylko sługą?

Wiejski piekarz tradycyjnie jako pierwszy rozłoŝył się ze swoim towarem i Konradowi ślina napłynęła do ust, kiedy w nozdrza podraŝniła go smakowita woń świeŝego pieczywa. Amata spojrzała nań błagalnie i złoŝyła dłonie jak do modlitwy, ale zbył ją wzruszeniem ramion.

— Wszak wiesz, Ŝe nie mamy denara przy duszy, siostró. A jedzenia u nas dostatek, więc Ŝebrać nie musimy. — Udał, Ŝe nie widzi jej nadąsanej minki. JakaŜ ona frywolna dzisiejszego ranka!

Ruszył skrajem placu, kierując się ku wznoszącemu się po drugiej stronie Convento di San Francesco. Dawniej przedłuŝyby moŜe po-dróŜ, by odwiedzić braci zakonników z Gubbio, ale teraz, po latach, które spędził w samotności, byli mu juŜ właściwie obcy. Kiedy mijali mur klasztoru, doznał dziwnego uczucia niepokoju i zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Przed sobą widział juŜ otwartą Porta Marmorea, a za nią pusty goŝciniec prowadzący do AsyŜu. Przyspieszył kroku, ta narastająca wrzawa i tumult działały mu na nerwy.

103

Byli juŜ prawie po drugiej stronie placu, kiedy nagle z przeciwległego rogu dobiegł ŝwidrujący uszy dźwięk trąbki, w którym utonęły pokrzykiwania kupców.

— OkaŜcie skrucę! OkaŜcie skrucę! — huknął męski głos. —

Penitentiam agite! Królestwo Niebieskie blisko, bliŜej niŜ myŝlicie.

Poranni klienci targujący się przy straganach stracili zainteresowanie zakupami i ruszyli tłumnie tam, skąd dobiegał głos.

— To Jacopone! — wołano do ludzi wystawiających głowy z drzwi i okien.

Kilku chłopców, zniechęconych bezskutecznymi próbami spędzenia z daszku kota, który się tam przed nimi schronił, oŝywiło się i z gar-

ściami pełnymi kamieni wmieszało między dorosłych. Powetują sobie z nawiązką nieudany poŝcig za kotem, obrzucając kamieniami obłąkanego. Stanowił łatwy cel, bo przewyŝszał o głowę gromadzących się wo-kół niego ludzi.

— Wynoŝmy się stąd, dopóki są czymś zajęci — rzucił przez ramię Konrad. Nie słysząc odpowiedzi Amaty, obejrzał się i stwierdził, Ŝe pobiegła za urwisami.

Wypatrzył ją w pierwszym rzędzie kręgu gapiów i przepchnął się tam przez tłum. Człowiek zwany Jacopone stał na podstawie marmurowej fontanny poŝrodku placu i wodził rozplómiennym wzrokiem po zbiegowisku. W otaczających plac domach otwarto juŜ wszystkie okna, a kilka

bladoliczych szlachcianek wyszło nawet na balkony, pokazując się publicznie, co nieczęsto czyniły. Takie wielkie damy, Œeby bez potrzeby nie tyłtać sobie w błocie trenów strojnych sukien, z domu wychodziły jedynie w niedzielę na mszę. Z niewiast na ulicy spotykało się w zasadzie tylko słuŒące i kobiety z gminu.

Jacopone wznosił ręce do nieba i okręcił się powoli, sunąc płonący-mi, głęboko zapadniętymi, nabiegłymi krwią, orzechowymi oczyma po zgromadzonej gawiedzi. Z wychudzonej twarzy sterczały mu wydatne kości policzkowe, których nie była w stanie zamaskować nawet bujna zmierzwiona broda. Na sobie miał tylko przepaskę na biodra i płaszcz z czarnej owczej skóry z wielkim czerwonym krzyŒem wymalowanym na 104

plecach od kołnierza po kraj i w poprzek ramion.

— Przybywam prosto z Rzymu — zaczął. — Udałem się tam obaczyć papieski dwór.

Paru mieszczan zachichotało, ale nie był to śmiech szczery i sąsiedzi szybko ich uciszyli. Nie więcej niŒ trzech słuchaczy mogłoby powiedzieć o sobie to samo. Jacopone nie zwracał uwagi na dobiegające z tłumu pomruki.

— Opowiem wam, jak wygląda dzień pracy kardynałów z Rzymu, cardinales carpinales . KaŒdego ranka, po papieskim konsystorzu, na którym rozprawiają o królach, procesach sądowych i innych przyziem-nych sprawach, ci grabinales obŒerają się i chłają jak tuczniaki. Potem kładą się na swoich miękkich sofach i ucinają sobie południową drzemkę. A całe popołudnie snują się po swoich pałacach zmęczeni bezczyn-nością albo zabijają czas, doglądając swoich psów i koni, swoich drogich kamieni albo szlachetnie urodzonych bratanic i bratanków.

Dotąd przemawiał spokojnie. Przerwał na moment, a potem oskar-

Œycielskim gestem wskazał kościół San Giovanni Battista stojący przy placu i zagrzmiął:

— Czy to dziwota, Œe Frankowie odgrzebali straszny list, list z najgłębszych otchłani piekieł spisany krwią przez samego Lucyfera i adre-sowany dwornie do jego najlepszych przyjaciół, hierarchów Kościoła?

„Nie wiemy, jak wam dziękować — stoi w nim — za wszystkie te powierzone waszej pieczy dusze, które nam przesyłacie”.

Konrad nie słyszał o Œadnym takim liście. PrzerzaŒenie przykuło go do miejsca, w którym stał, zupełnie jakby jakiś zły duch z podziemnego Œwiata przeniknął jego ciało, pozostawiając po sobie rigor mortis . Na tłum padł niemal namacalny strach. A Jacopone wyrzaskiwał dalej swoją oskarŒycielską mowę:

— Czy to tylko przypadek, Œe słowa prealatus i Pilatus są do siebie tak podobne, skoro bogaci i szlachetnie urodzeni prałaci swoimi poczy-naniami ukrzyŒowują zuboŒałego Chrystusa tak samo skutecznie, jak 105

uczynił to przed dwunastoma wiekami zły Piłat?

Znowu zawiesił głos i czekał, aŜ te słowa dotrą do słuchaczy, ale tym razem jakaś szlachcianka w karmazynowej sukni krzyknęła drŜą-

cym głosem z drugiej strony placu:

— ŁŒesz! Nigdy nie byłeś w Rzymie, bo nie wygadywałbyś takich rzeczy o tamtejszych świętych męŜach! — Przciskała dłoń do falują-

cej ze wzburzenia piersi, przebierając w palcach przypiętą do niej pięknej roboty broszę. Na balkon wyszedł za nią sługa i okrył nagie ramiona pani zimową mantel o o obszytych czarnym futerkiem brzegach.

— Mów dalej, Jacopone! — zawołała jakaś kobieta z tłumu. — Jej wuj jest właśnie takim spasionym kardynałem!

Jacopone otulił się ciaśniej płaszczem, popatrzył na balkon i przymknął oczy.

— Powiem wam o kobietach, o vanitas feminarum * — zaintonował

śpiewnie Œe wciąż zamkniętymi oczyma, jakby przywoływał z pamięci jakąś pieśń albo wiersz. — Kobieto, posiadasz moc zadawania ran śmiertelnych. Bazylijszkowe spojrzenie zabija, twoje jednak. Ale bazy-liszek, jeśli człek na niego przez nieuwagę nie nastąpi, nikomu krzywdy nie wyrządzi, ty zaś chadzasz po tym świecie samopas, bez przesko-dy, i zatruwasz spojrzeniem. Malujesz sobie lico — dla męŜa, powiadasz, Œeby się tobą zachwycił. Ale to nieprawda. Jemu na nic twoja próŜność, bo wie, Œe upiększasz się dla innych.

Ty jednak jesteś szczwana, szatańsko szczwana. Marnością będąc, potrafisz udawać stateczną damę. Twoja blada cera nabiera kolorów od pudru, a twoje czarne włosy jaśniejają, kiedy nałóŜysz perukę ze śmierdzących włókien. Wygładzasz lico, wcierając w nie mazie dobre do smarowania starych pomarszczonych butów. A kiedy wydasz na świat córkę i jej nosek nie jest taki jak trzeba, będziesz go szczypała i wycią-

gała, dopóki nie nabierze poŜądane-go kształtu. Nie staje ci sił do walki, ale słabość ramienia z nawiązką rekompensujesz sobie ciętością języka.

* Vanitas feminarum (łac.) — próŜność kobieca.

106

Jacopone mówił to z pogodną twarzą i nie otworzył oczu, nawet kiedy szlachcianka krzyknęła:

— On jest niespełna rozumu! Przepędźcie go za mury!

Chłopiec stojący obok Konrada wziął krzyk kobiety za sygnał.

— Pazzo! — wrzasnął — Pazzo! Wariat! — Uniósł rękę, Œeby ci-snąć w kaznodzieję kamieniem, ale

Konrad złapał go za nadgarstek i kamień, nie osiągając celu, potoczył się z klekotem po podstawie fontanny.

— To nie wariat. To święty bizzocone — powiedział Konrad, uśywając słowa, jakim określano wędrownych pokutników. — W tym, co mówi, jest mądrość skierowana nawet do takich jak ty niedorostków.

Jacopone otworzył oczy i sprawiał wrażenie jakby dopiero teraz dostrzegł Konrada i Amatę. Jego oblicze posmutniało. Pochylił głowę i podjął z przygnębieniem:

— Bracie Rinaldo, dokąd odszedłeś? Czyś w chwale, czyś jeszcze bardziej zapalczywy tam, gdzie teraz jesteś? A przebywasz teraz tam, gdzie Prawda jest oczywista, karty na stole, zło i dobro oddzielone. Za późno na układanie sofizmatów, prozy czy rymów. Zrobiłeś w ParyŜu doktorat. Wielki to był honor i wiele cię to kosztowało, ale teraz nie Őyjesz i zaczyna się ostatni egzamin. Do ciebie tylko jedno pytanie: czy naprawdę powodem do chluby jest Őywot ubogiego i pogardzanego zakonnika?

Te słowa wzburzyły Konrada. Piętnowanie próŜności kobiet owszem, ale naigrawać się ze zmarłego zakonnika?!

— Kalasz pamięć dobrego człowieka, sior Jacopone — powiedział

na tyle głośno, Őeby wszyscy wokół usłyszeli. — Studiowałem z bratem Rinaldem w ParyŜu. Nigdy nie szukał dla siebie zaszczytów. Bóg obdarzył go skromnością.

Jacopone nie odpowiedział od razu. Przymknął znowu powieki, zło-

Őył dłonie jak do modlitwy. I dopiero wtedy, ku zaskoczeniu Konrada, odezwał się głosem do złudzenia przypominającym jego własny: 107

— Jestem zakonnikiem. Studiowałem Pismo Őwięte. Modliłem się, z pokorą znosiłem chorobę. Pomagałem biednym, dotrzymywałem ślubów posłuszeństwa, ubóstwa równieŜ, nawet czystości...

— Tu Jacopone otworzył jedno oko i mrugnął do Amaty. — ...na ile mi woli stawało, bez skargi znosiłem ból i chłód, wstawałem wcześniej, by odmawiać pacierze, budziłem się na nocne czuwanie i śpiewałem hymny pochwalne. — Nagle głos pokutnika stwardniał, a lico pociemniało od gniewu. — Ale niech ktoś rzeknie słowo, które mi nie w smak, wnet zieję z ust ogniem. Macie tutaj naoczny przykład, co uczynił z tego mnicha habit. Usłyszę jedno słówko, które mnie urazi, a nie zapomnę juŜ i nie przebaczę.

Jacopone patrzył spokojnie na Konrada, a gawieź buczała pogardliwie. Pchnięty przez kogoś w plecy, poleciał do przodu i znalazł się pośrodku kręgu gapiów, omal nie wpadając na pokutnika.

— UłoŜyłem jeszcze jeden hymn wychwalający pokorę — szepnął

mu nad uchem Jacopone. — Chcesz posłuchać?

Konrad dygotał z furii, lecz gardło miał tak ściśnięte, Őe nawet gdyby chciał, nie mógł odpowiedzieć.

Ktoś wziął go pod rękę i pociągnął.

— On ma rację, padre — usłyszał głos Amaty. — Bardzo poryw-
czy. — Ułagodzony uśmiechem
dziewczyny przestał się opierać i pozwolił, by wciągnęła go w tłum.

Reszty kazania słuchał już jednym uchem. Słowa Jacopone i Amaty obudziły w nim skruchę. Ludzie wokół zaczęli szlochać i bijąc się w piersi, błagali o przebaczenie Boga i siebie nawzajem, a Konrad przeproszał w duchu za pychę, którą okazał. Zawodzenie przybrało na sile, a potem nagle ucichło.

Jacopone przysiadł, wyczerpany, na brzegu fontanny.

— Idźcie, dzieci — machnął ręką. — Jestem zmęczony. Idźcie w pokoju i słuŹcie Bogu. — Nabrał w garść wody i wychłęptał ją. Mieszczanie wracali między stragany wolniej i stateczniej, niż kiedy stamtąd biegli, bo słowa kaznodziei dały im do myślenia.

108

Kiedy środek placu się wyludnił, Konrad podszedł do pokutnika.

— Wybaczcie, sior Jacopone. Sam nie wiem, co we mnie wstąpiło.

Od lat się tak nie uniosłem. DuŹo jeszcze muszę nad sobą pracować.

Przerwał mu stłumiony chichot. Stanęła przed nim podparta pod bo-ki Amata.

— Bracie Konradzie — powiedziała zrzędliwie — nie uniosłeś się tak od lat, bo nie miałeś na kogo.
— Spojrzała na Jacopone i przewróci-

ła oczyma. — Właśnie ściągnęłam go z gór.

— Jesteś pustelnikiem? — spytał Jacopone.

Konrad skinął głową.

— I postanowiłeś wrócić do miasta?

— Na jakiś czas. Mam misję do wypełnienia. W AsyŹu. Nie wiem, jak długo tam zabawię.

— Ja teŹ wolałbym być pustelnikiem, ale widać pisane mi spędzić Źycie wśród ludzi. Musisz pamiętać, bracie Konradzie, Źe jeśli człowiek dobrze czyni, to Bóg tak naprawdę jest w nim i towarzyszy mu wszę-

dzie, takŹ na ulicy pośród przechodniów, jak w kościele, na odludziu czy w celi anachorety. Taki człowiek widzi tylko Boga, myśli tylko o Bogu i prócz Boga nie istnieje dla niego nikt ani nic. I nie moŹe rozeŹlić go Źaden śmiertelnik, bo dla niego waŹny jest tylko Bóg. Człowiek, który musi szukać Go za pomocą specjalnych rytuałów albo w specjalnych miejscach, taki człowiek nie dostąpił jeszcze łaski obcowania z Nim.

Konrad spuścił głowę i zaczerwienił się jak mały chłopiec napomniany przez nauczyciela.

— I tak jest ze mną — przyznał.

— I tak jest z każdym, kogo spotkałem na swej drodze — powiedział pokutnik. — Nawet ze mną.

— Dokąd się teraz wybierasz? — spytał Konrad.

Jacopone wzruszył ramionami.

— Wszędzie. Nigdzie.

— Chodź zatem z nami. Spragnionym spirytualnego dyskursu.

109

— Jeśli taka twoja wola. Widać Bóg ma jeszcze wobec mnie jakieś plany na dzisiaj. — Jacopone podniósł się sztywno z cembrowiny i strzepnął fałdy cięskiego płaszcza.

Od jakiegoś czasu rozmowie mężczyzn przysłuchiwał się z pewnego oddalenia jasnowłosa kilkunastoletni chłopiec. Teraz, widząc, że gotują się do drogi, podszedł do nich nieśmiało, ale nadal się nie odzywał.

— Pokój niech będzie z tobą, synu — zwrócił się do niego Konrad.

— śyczysz sobie czego?

— Na imię mi Enrico — wybąkał chłopiec. Zawahał się, wyraźnie zaskoczony, że starczyło mu śmiałości na wyduszenie z siebie aż tylu słów naraz. Przełknął nerwowo, zebrał się znowu na odwagę i zapytał:

— Mówiliście, że idziecie do Asyżu?

— W rzeczy samej.

— Czy mógłbym się do was przyłączyć? Też tam zmierzam... by zostać zakonnikiem w Sacro Convento.

IX

Enrico wyciągnął zza pasa arkusz pergaminu.

— Mam tu list od biskupa Genui. Prosi w nim generała braci, żeby przyjął mnie do nowicjatu.

— Od razu poznałem, żeś z północy — wtrąciła się Amata.

Chłopiec uśmiechnął się i już trochę swobodniejszy, pociągnął się za kosmyk włosów.

— Tak, z parafii Vercelli. Chyba nieczęsto widujecie blondynów tu, w Umbrii.

Dziewczyna odwzajemniła uśmiech.

— Mniej więcej tak często, jak dostajemy nowego papieża. Chociaż

cztery dni temu spotkałem zakonnika o jasnych włosach i niebieskich oczach.

Podobał jej się. Z filcowych łapci, krótkiego wełnianego kaftana i kapuzy z kapturem wnioskowała, że jest chłopskim synem. Na pewno wie, co to ciężka praca; świadczyły o tym spękane dłonie i umięśnione nogi. Jak wielu ludzi z północy był równie mocno budowy. Kiedy zmęcznieje, dorówna być może posturą potężnemu dom Vittoriowi.

Uśmiech też miał miły, może tylko zbyt często się uśmiechał. Jednak 111

najbardziej intrygowały ją te jasnolazurowe oczy — czyste i piękne.

Ale czegoś w nich brakowało, jakiejś iskry żywotności. Bez tej iskry zdradzały jego nieśmiałość, słabą wolę urodzonego poddanego.

Łagodne niebieskie oczy maminsynka, pomyślała Amata. Jemu zawsze kobieta będzie musiała podpowiadać, co ma począć ze swym Syciem. I jeśli nawet odejdzie z zakonu, będzie mężem, na którym nie można polegać.

Uśmiechnęła się do siebie. Chłopak ma za dwa dni zostać zakonnikiem, a ja już go widzę w roli pantoflarza.

Konrad oddał Enricowi list.

— Nie muszę go czytać. Naturalnie, że możesz się do nas przyłą-

czyć. Opowiemy ci po drodze o zakonie. Na początek powinieneś wiedzieć, że jeśli pragniesz przestrzegać reguły świętego Franciszka, to Asyż niekoniecznie jest najlepszym do tego miejscem.

Amata ziewnęła. Stary poczciwy Konrad. Zawsze wierny swej obsesji — wlezie zaraz na ambonę i zacznie rozprawiać o przepaści dzielą-

cej braci konwentualnych i spirytualnych. Jacopone dotrzymywał męś-

czynom kroku, jego teś to wyraźnie interesowało. Jej nie. Kiedy opuszczali miasto, została trochę z tyłu. Woląa obserwować budzącą się do Śycia okolicę, wieśniaków pracujących w podmiejskich winnicach. Sądząc po ponagląjącym porykiwaniu długorogich wołów, dzieci z zagród jeszcze ich nie nakarmiły. Na łąkach suszyło się słodko wonie-jące, świeśo skoszone siano, ułośone w stośkowe stogi wokół wbitych w ziemię śerdzi i dociśnięte gałęziami. Na dachach chat dojrzewały dynie, z gałęzi drzew zwisały worki z suszącym się ziarnem. Chłodny wietrzyk przyniósł klekot kołatek i gniewne pokrzykiwania — to grupka kmieci przepędzała z pola jelenia. Niedługo nadejdzie zima. Jak to opisywał ją ojciec? Pora roku, która oddziela zadowolenie z obfitych zbiorów od wiosennej chuci.

Znudzona podziwianiem okolicy, zajęła myśli wyobraśaniem sobie 112

skrytych pod ubraniami ciał trzech idących przed nią męśczyzn. Jacopone pod płaszczem do ziemi był chudy jak szkielet. Tyle juś wiedziała.

Przepaska, którą nosił na biodrach, nie pozostawiała wyobraźni pola do popisu — mośna się było co najwyśej zastanawiać, czy długość tego, co zasłaniała, jest proporcjonalna do jego wybujałego wzrostu. To by dopiero był widok! Konrad, z drugiej strony, był drobnej budowy, nie więcej niś o grubość kciuka wyśszy od Enrica i prawdopodobnie nie cięśszy. Pomimo przyjaźni z Monną Rosanną nadal pewnie był pra-wiczkiem. Chód miał sztywny, ruchy pozbawione płynności. Ale przecieś pewnie zdąśył juś zapomnieć, śe nadal śyje w tym ciełe. Och, ale Enrico... Przyglądała się z podziwem jego pięknie umięśnionym łyd-kom i wyobraśała sobie, jak teś muszą wyglądać jego nogi wyśej, jak przechodzą w wąskie biodra i jędrne pośladki... Rozkosznie było tak fantazjować.

Jeszcze jeden dzień i znowu znajdzie się w San Damiano, znowu stanie się siostrą Amatą. Przygnębiła jata myśl. Dobrze jej było przez te cztery dni z Konradem, pomimo jego fochów i gburowatości. Dobrze się czuła w towarzystwie tych trzech męśczyzn, chociaś wlokła się z tyłu nieciekawa ich rozmowy. Męśczyźni nie czuli albo nie zwracali uwagi na drobne skaleczenia, z którymi siostry jak dzień długi przybie-gały z płaczem i skargą do matki przełośonej. Jednak swoim darem wymowy tych trzech mogło zaimponować co najwyśej ograniczonym poczciwym kmieciom, których teraz mijali.

Bośe, jakśe nie chciało jej się wracać do klasztoru! Nie śeby matka przełośona źle ją traktowała. Wprost przeciwnie, w porównaniu z pełną wyrzeczeń egzystencją zakonnice z powołania, śyła jak pączek w maśle.

Dokąd by jednak poszła? Nie miała rodziny, nie miała pieniędzy, nie potrafiłaby się obronić ani utrzymać.

Pozostawało jednak prawdą, śe świętoś i bośa miłość nigdy jej nie kusily. Miłość ludzka, miłość, której matka zaznawała z ojcem i do której ją przygotowała — oto, czego pragneła doświadczyć. Prawdziwej miłości, nie lubieśnych obmacywanek stryjecznego dziadka Bonifazia czy 113

brutalnej śadzy Simone delia Rokki i jego synów. Przyłośyła skryte w długich rękawach habitu

dłonie do podbrzusza i zaczęła się pocierać, fantazjując. Jęk, który mimowolnie wydała, dotarł do uszu Konrada.

Pustelnik zatrzymał się i obejrzał.

— Brzuch cię boli, bracie Fabiano? — zapytał ze szczerą troską.

O święta niewinności!

— Tak, ojcie — wyjęczała. — MoŜna to tak nazwać. — Skrzywiła się, Ŝeby uwiarygodnić swoje cierpienie. — Ale nie zwalnijcie kroku z mego powodu. NadaŜę.

Ruszyli dalej.

— Nie, Enrico — podjął przerwana rozmowę Jacopone — wiersz nie wyraŜa tak po prostu uczuć, wiersz opowiada o doœwiadczeniu.

Ŝeby ułoŜyć jedną linijkę, poeta musi wpierw odwiedzić wiele miast, poznać wielu ludzi. Musi ryc i kwiczeć ze zwierzętami, szybować w przestworzach z ptakami, przeciągać się najdrobniejszymi ruchami budzącego się pączka kwiatu. Musi podjąć podróŜ pod prąd czasu ku obcym drogom i przypadkowym spotkaniom, wrócić do dziecięcych chorób, a nawet — wybac, ojcie — nawet do upojnych miłosnych nocy, z których Ŝadna nie jest podobna do innych, i do jasnej skóry kobiet... kobiet... śpiących w pościeli.

Ledwie wspomniał o miłości, głos mu się załamał. Odwrócił głowę i Amata zobaczyła w jego zapadniętych oczach udrękę. Po arogancji i pewności siebie okazywanych na placu nie pozostał ślad. Pobladł, przygarbił się.

Matko Boska, pomyślała Amata. Tamta kobieta z balkonu miała ra-cję. On jest szalony — szaleje z rozpaczy po utraconej miłości jakiejś damy. Nie sądziła, Ŝeby Konrad i Enrico to zauwaŜyli.

Wędrowcy długi czas szli w milczeniu. W końcu Jacopone odchrząknął i odezwał się znowu, słysząc jednak było, Ŝe mówienie nadal sprawia mu trudność i wciąż targają nim emocje.

114

— Poeta musi siedzieć przy łoŜu konającego, słuchać zawodzenia dolatującego zza otwartego okna i nierównego oddechu w izbie. Na sam koniec zaś musi pozwolić swoim wspomnieniom zblaknąć, a potem czekać cierpliwie, aŜ powrócą.

— Iz tych wspomnień rodzą się strofy? — spytał Enrico.

— Jeszcze nie, synu. Jeszcze nie. Strofy zrodzą się dopiero, kiedy te wspomnienia wejdą mu w krew i ciało, staną się bezimiennymi myśla-mi i jego nierozróŜnialną częścią. Wtedy, w tej najczystszej, najrzad-szej z chwil, poeta moŜe wydestylować z nich pierwsze słowo strofy.

— Skosztujcie i zobaczcie, jak dobry jest Pan* — zacytował Konrad.

Amatę rozbawiła zakłopotana mina Enrica. Jacopone teŜ ją zauwa-

Ŝył.

— Brat Konrad chciał powiedzieć, Ŝe Psalmista, którego zacytował, będąc poetą i mistykiem, rozumiał, Ŝe doświadczenie jest dla obu tych ról podstawą. Nie wystarczy czytać o Panu w Piśmie Świętym ani słuchać, co prawią o Nim kaznodzieje. Musisz Go skosztować, doświadczyć Go samemu. Kmieć moŜe ci zachwalać niezrównany smak swoich oliwek, ale jego słowa nic nie znaczą, dopóki jednej nie przegryziesz.

Doświadczenie jest esencją wszystkiego.

TeŜ wybrał sobie chwilę, Ŝeby mu to mówić. Wszak chłopiec ma się właśnie zamknąć w klasztorze na Bóg jeden wie ile lat, pomyślała Amata. Jeśli jest inteligentny, zrobią z niego scholastyka, tak jak to próbowali z Konradem. Czego wówczas doświadczy? Długich, do niczego niepro wadzący eh dyskursów! Lepiej dla niego będzie, jeśli okaŜe się matołkiem. Wtedy przynajmniej nigdy sobie nie uświadomi, co traci.

Pięli się drogą, która łączyła Gubbio z Perugia i biegła granią gór Gualdo. W przerwie w ciernistym Ŝywopłocie, oddzielającym od go-

ścińca ciąg zagród, Amata zobaczyła, daleko na południu, AsyŜ.

* Psalm 34,9 — wszystkie cytaty pochodzą z Biblii Tysiąclecia, wydawnictwo Pal-lotinum, Poznań 1986 r.

115

Gubbio zrobiło na niej wrażenie miasta ponurego, brązowego, błotni-stego. Za to AsyŜ, wzniesiony na skale, zawieszony między Monte Subasio a dolinami rzek Tescio i Chiagio, przywodził na myśl przezro-czysty wisior spoczywający na zielonym filcu. W porannym słońcu połyskiwały obłoŜone róŜowym i koralowym marmurem kościoły, mury i wieŜe. Ciepło promieniujące z tego miasta kontrastowało ostro z ponurym Gubbio, podobnie jak balsamiczne powietrze, unoszące się z dolin AsyŜu, w niczym nie przypominało zimnych wiatrów hulających wokół górskich warowni Gubbio.

Filozofowie poezji, zajęci rozprawianiem o przewagach do-

świadczenia, przegapili ów widok. Próbowwała go im pokazać, ale Konrad powrócił do swojego ulubionego tematu.

— A jakŜe, Enrico, idź do Sacro Convento. Dowiedz się, ile moŜesz, o naszej tradycji, naucz się czytać i pisać, ukończ studia w ParyŜu, jeśli zechcą cię tam posłać. Lecz nie zapominaj, Ŝe nadejdzie taki dzień, kiedy staniesz przed wyborem: czy chcesz być prawdziwym synem świętego Franciszka i Ŝyć w zgodzie z jego regułą i testamentem, czy podąŜyć łatwiejszą ścieŜką braci konwentualnych? Ale wiedz równieŜ, Ŝe gdybyś postanowił przyłączyć się do braci spirytualnych, wybrać drogę całkowitego ubóstwa, wstąpisz tym samym na drogę prze-

śladowań. Bracia umierali już za ten wybór.

Amata jęknęła. Powinni go nazywać bratem Ponurakiem! Korciło ją, żeby podbiec na palcach, złapać go od tyłu w pole, unieść w górę i nie postawić z powrotem na gościńcu, dopóki nie obieca, że każdego dnia roześmieje się przynajmniej dwanaście razy. Gawiedź się z niego śmia-

ła, nawet on sam śmiał się z siebie, opowiadając jej o swoich uniwersyteckich czasach, ale ten podział w zakonie zgasił w jego duszy radość życia. Co gorsza, im bliżej byli Asyżu, tym gęstszym całunem zdawał

się go spowijać ów ponury nastrój.

A może on się zwyczajnie boi? Może, rozmawiając w takim tonie z Enrikiem, przypomina sobie, że sam dokonał już wyboru, i przygotowuje się na to, co z tego wyniknie.

116

Męscyźni bywają dziwni. To, co uważają za sprawy najwyższej wagi, sprawy, za które gotowi byli cierpieć — nawet umierać — jej wydawało się mało znaczące. Jak mogą dyskutować o doświadczeniu, skoro cały czas spędzają w swoich głowach? Tępi brutale! No, może nie wszyscy, poprawiła się. Jacopone jest myślicielem, ale najwyraźniej zna życie, a namiętność o mało go nie zabiła. Enrico, skoro odważył się wychylić nos zza tatowej stodoły, a miał oczy i uszy otwarte, to powinien wiedzieć coś o świecie.

Kiedy obserwowała rozbujaną tunikę chłopca, przyszła jej do głowy rozkosznie zdrośna myśl, nieprzyzwoita. Może pod osłoną tej nocy, w jakimś ciemnym lasu, w którym zatrzymają się na nocleg...

Uświadomiła sobie nagle, że tamci trzej znowu się zatrzymali i na nią czekają.

— Tutaj zejdziemy z gościńca — oznajmił Konrad. — Ta ścieżka zaprowadzi nas do rzymskiego mostu na dnie wąwozu.

Jak większość górskich ścieżek, ta też była stroma i wąska. Amata nie dała po sobie poznać, jak ją to uradowało, bo byli teraz zmuszeni iść gęsiego, co położy na jakiś czas kres kazaniom Konrada. Znajdą się również w cieniu drzew, a słońce wspięło się już prawie na sam środek bezchmurnego nieba i mocno przygrzewało. Daleko w dole widać było wijącą się, zamuloną po ulewie sprzed dwóch dni rzekę Chiagio, a na jej brzegach wieś Santa Maria di Valffabrica oraz zamek Coccarano.

Amata знаła te okolice z konnych przejażdżek ze swoją panią. Do-myślała się, że pustelnik będzie chciał ominąć szerokim łukiem Valffabricę — jeszcze jedno opactwo czarnych mnichów — i bardzo prawdopodobne, że zamek również. Noc spędzona w Sant'Ubaldo zbyt wiele kosztowała go nerwów. Bez wątplenia będzie czuł się o wiele bezpieczniej, nocując wśród dzikich leśnych zwierząt. Coś, ona nie miała nic przeciwko temu, byle tylko przez całą noc płonęło spore ognisko. A w ciemnościach może się też wydarzyć wiele przyjemnych rzeczy. Zwalczyła 117

pokusę położenia dłoni na barkach idącego przed nią Enrica pod pretekstem, że się potknęła, i

pokusę zagrania tym sposobem jeszcze raz na nerwach Konradowi. Cierpliwości, Amato. Wszystko w swoim czasie.

Czy to myśl o dzikich zwierzętach sprawiła, że w pewnej chwili zatrzymała się i rozejrzała po zacienionym lesie, a potem obejrzała na ścieżkę za sobą? Odniosła przelotne wrażenie, że są śledzeni, ale ścież-

ka była kręta i widziała tylko krótki jej odcinek. Wzdrygnęła się i pobiegła za mężczyzami. Odechciało jej się zostawać w tyle.

Myślała, że tam, gdzie ścieżka się poszerzała, Konrad zatrzyma się i otworzy sakwę z prowiantem, ale on, oczywiście, nie raczył jeszcze poczuć głodu. Maszerował przed siebie dziarsko, jakby go coś goniło.

Pewnie bliskość opactwa tak go nastrajała. Miała nadzieję, że nie ma to żadnego związku z jej osobą. Z tym że po jutrze opinia, jaką sobie o niej wyrobił, nie będzie jej ani ziębiła, ani grzała. Ona znajdzie się z powrotem w San Damiano, a on zajmie się rozwikływaniem zagadki Leona.

Jezu Chryste! Powrót do Asyżu ją tę przytłaczał, i to o wiele bardziej, niżby się spodziewała. Będzie za murami klasztoru tęskniła za wolnością, za wędrowaniem drogą, chociaż tyle na niej niewiadomych i tyle czyha niebezpieczeństw — kto wie, czy za tymi niewiadomymi i niebezpieczeństwami nie będzie tęskniła najbardziej. Brakowało jej takich podniet w monotonii klasztornej życia San Damiano.

Tak jak się domyślała, prowadzeni przez Konrada minęli po południu Valffabricę i szli dalej. Jacopone i Enrico rozprawiali o prawie cywilnym, jakby się na nim znali, ale pustelnik maszerował, milcząc, zatopiony w myślach. Zatrzymał się dopiero pod wieczór, kiedy również Enrica rozboleł brzuch. Jacopone ogryzał korę z odłamanej po drodze gałązki, ale poza tym wydawał się być tak samo uodporniony na głód jak Konrad. Prawdopodobnie potrafiłby przeżyć niczym jakiś nawiedzony prorok o samej szarańczy i miodzie albo żywić się jedynie powietrzem, gdyby nie dało się inaczej.

118

W głębi gęstego dębowo-sosnowego lasu Konrad wreszcie się zmiłował.

— Tutaj odpoczniemy — oznajmił. — Niedaleko jest jaskinia.

Przed zapadnięciem zmroku zdążyliśmy jeszcze nazbierać chrustu. —

Uśmiechnął się do nich z dumą. — Szmat drogi dzisiaj przeszliśmy.

Jutro do południa będziemy w Asyżu.

— Ja zacznę — powiedział Konrad, kiedy się posilili. Siedzieli we czwórkę wokół ogniska. Przed

jaskinią pohukiwały dwie sowy. — Dla mnie wzorem cnoty jest pewien święty ubóstwa...

A jakŜeby inaczej, pomyślała Amata.

— ...ale to nie brat mniejszy, jak sobie zapewne pomyśleliście, ani Őaden członek religijnego zakonu — ciągnął pustelnik. — Bankier Donato zawstydza nawet tych z nas, którzy złoŜyli formalne śluby ubó-

stwa. Był kiedyś bogatym człowiekiem, ale miłość do Boga obudziła w nim takie współczucie dla innych, Őe rozdał biednym wszystko, co posiadał. Gdyby wstąpił do naszego zakonu, poszedłby tylko za przykładem naszego brata Bernarda, pierwszego towarzysza świętego Franciszka. On jednak posunął się dalej. Sprzedał się w niewolę, a pienią-

dze, które za siebie uzyskał, takoŜ samo rozdał biednym.

— Ja teŜ słyszałem o jednym takim — mruknął Jacopone. — Był

toskańskim lichwiarzem i zwał się Lucheshio z Poggibonsi.

Pokutnik zwiesił głowę. Dym z ogniska okadzał jego zgarbioną postać, ale jemu to widać nie przeszkadzało. Wydał się Amacie nieruchomy jak kamień, na którym siedział. Ale przypomniała sobie wnet, Őe juŜ

raz tego dnia dostrzegła w tym kamieniu pęknięcie.

— Wyznaję ze wstydem, przyjaciele, Őem w swoim poprzednim Őyciu był lichwiarzem — zaczął. — Wbrew prawom Boga i Kościoła poŜyczałem pieniądze, Őądając niebotycznych odsetek, a nie tylko tym jednym grzeszyłem. Podobnie jak w młodości Lucheshio, nie przebiera-

łem w środkach, by piąć się po drabinie społecznej, za szczeble mając 119

swoje i nie swoje pieniądze. Udało mi się awansować na tyle wysoko, Őe zostałem jednym z pierwszych w gildii naszego miasta. — Podniósł

wzrok i z ironicznym uśmieszkiem potrząsnął połą swojego wystrzę-

pionego płaszcza. — Trudno w to uwierzyć, prawda? — Ale sior Lucheshio miał nade mną jedną przewagę. Będąc dopiero na początku tej ŐcieŜki głupoty, spotkał na swej drodze świętego Franciszka, który na-kłonił go do okazania skruchy. Sprzedał wszystko, co posiadał, i całą uzyskaną sumę przeznaczył na wspomaganie wdów, sierot i pielgrzymów. Potem na osiołku obładowanym lekami wyruszył na objęte zarazą moczary. Őona z początku go wyszydzała i nazywała idiotą — czego moŜna się było spodziewać po opływającej w dostatki kobiecie, która nagle dowiaduje się, Őe zuboŜała z dnia na dzień wskutek szczodrości męŜa. Z czasem jednak zrozumiała, co nim kieruje, i włączyła się w jego dzieło, zapracowując sobie na przydomek buona donna .

A jak ty zuboŜałeś? — miała na końcu języka Amata. To rada bym usłyszeć. Jej ciekawość pozostała jednak niezaspokojona, bo Jacopone znowu pogrąŜył się w milczeniu. Wpatrywał się tępo w

płomienie, a potem w jego oczach jał stopniowo odśywać ból, który widziała w nich po drodze.

— A ja mam przykład na sprawiedliwość — odezwał się Enrico, unosząc rękę jak uczeń, który wrywa się do odpowiedzi.

Konrad skinął przyzwalająco głową.

— Mój ojciec był kiedyś straŚnikiem u bram Genui. Opowiadał mi, jak to ojcowie miasta zawiesili na murach przed bramą dzwon powództwa. Kto czuł się niesprawiedliwie potraktowany, mógł uderzyć w ten dzwon i sędziowie rozpatrywali wtedy jego sprawę. Po paru latach sznur do pociągania za dzwon przetał się i urwał, i ktoś zastąpił go pńczem winorośli.

Wkrótce potem zdarzyło się, Śe pewien rycerz, któremu szkoda było pieniędzy na spyŚę dla swojego bojowego konia, puścił zwierzę luzem 120

na łaki za murami, Śeby samo szukało sobie posiłku. Koń był tak wy-głodzony, Śe zaczął skubać tę winorośl i dzwon się rozdzwonił. Przybyli sędziowie i uznali, Śe koń domagał się wysłuchania swoich racji.

Zbadawszy sprawę orzekli, Śe rycerz, któremu koń w młodości tak wiernie słuŚył, ma obowiązek utrzymywać go równieŚ na starość. A król przyznał im rację; zagroził równieŚ rycerzowi, Śe jeśli nadal będzie głodził swego konia, to wtrąci go do lochu i podda torturom.

Jacopone otrząsnął się z zadumy, podniósł zapadnięte oczy i zachichotał.

— Dobrze opowiedziane, chłopcze — pochwalił. — Co się zaś tyczy sprawiedliwości, to mam dla was zagadkę. Powiedzcie mi, jak by-

ście rozsądził ten przypadek.

OtóŚ pewien słynny kucharz pozywa do sądu swojego kuchcika —

dodam, Śe kuchcika o bardzo duŚym nosie — no więc pozywa go do sądu, bo w jego mniemaniu chłopak, skoro tym swoim ogromnym nosem wdycha dzień w dzień niebiańskie aromaty unoszące się z przyrzą-

dzanych przezeń wykwinnych potraw, to powinien mu za tę zmysłową rozkosz zapłacić. NaleŚało mu się odszkodowanie czy nie?

— Powinni wtrącić tego kucharza do ciemnicy za zawracanie ludziom głowy — obruszyła się Amata.

Enrico rozłoŚył ręce. Konrad teŚ zbył to pytanie prychnięciem.

— Nigdy nie pojmowałem zasad, którymi kierują się sądy, wydając wyroki — mruknął.

Jacopone potoczył wzrokiem po twarzach towarzyszy i mrugnął po-rozumiewawczo.

— Dlatego właśnie jedni zostają sędziami, a inni nie. Ten sędzia wykazał się rzadko spotykaną mądrością, o wiele większą niż ja, kiedy mój mistrz po raz pierwszy zadał mi tę zagadkę. Przyznał rację kucha-rzowi.

— No, nie! — Śachnęła się Amata.

— A tak. — Jacopone uśmiechnął się. — I kazał wielkonosemu 121

kuchcikowi zapłacić za zapachy potrząśnięciem kilkoma monetami tak głośno, Œeby kucharz usłyszał, jak brzęczą. Enrico i Konrad parsknęli śmiechem.

— Sprawiedliwy wyrok — stwierdził pustelnik. — Salomon by się nie powstydział.

— To wy sędzią teŚ byliście, sior Jacopone? — spytała Amata.

— Notariuszem, bracie, ale sędzią nigdy. NaleŚeliŚmy wszyscy do tej samej szacownej gildii jurystów, ale nie mogę z ręką na sercu powiedzieć, bym uczciwie wypełniał swoje powinności. — Szybko zmienił temat. — No, a ty? Masz dla nas jakąś przypowiadkę?

Amata zerknęła na Konrada, lecz szybko uznała, Œe woli mówić, patrząc na Enrica.

— Mam. O głupocie.

— O głupocie? — W głosie Konrada pobrzmiwała miła dla jej ucha nutka nerwowości.

— Tak. O głupocie wędrownego kupca. Opowiedział mi to Salimbene.

— Salimbene? — ponownie powtórzył za nią jak echo zakonnik.

Teraz był juŚ nie na Śarty zaniepokojony.

— Był sobie raz wędrowny kupiec — zaczęła Amata, zanim zdąŚył

jej przeszkodzić — który wybrał się w daleką podróżŚ. Wrócił po dwóch latach i zastał w domu nowe niemowlę. „Hola, Śono! — krzyknął — a skąd się wzięło to dziecko? Bo na pewno nie jest moje”. „Och, drogi męŚu — Śona na to — Wybacz mi moją beztroskę. Wybrałam się pewnego zimowego popołudnia samojedna w góry i pobłądziłam. A wtedy spadł na mnie zniecka Król Śnieg i wziął gwałtem. Stąd, jak mniemam, ten chłopczyk”.

Kupiec nic nie powiedział, ale płynąc kilka lat później w interesach do Egiptu, zabrał ze sobą chłopca i sprzedał w niewolę. Kiedy wrócił do domu, Śona pyta: „A gdzie mój syn, męŚu?”. „Niestety, moja wierna Śono — załkał kupiec — przez całuski tydzień tak zlewaliśmy się potem w tych tropikalnych krainach, ŚeŚmy byli bliscy delirium. Ale twój 122

nieszczęsny chłopiec, będąc synem Króla Śniegu, znosił upał najgorzej z nas wszystkich i w końcu zupełnie się rozpuścił”. Enrico parsknął

śmiechem, a Konrad wybурczał:

— I jaki, według brata Salimbene, płynie morał z tej przypowieści?

— Œe kupiec postąpił jak ostatni głupiec, pozostawiając Œonę odłogiem na dwa lata.

— Przypowieść miała być o cnocie... — zaczął gniewnie Konrad, ale urwał w pół zdania.

Pokutnik siedzący po drugiej stronie ogniska szlochał z twarzą ukrytą w dłoniach. Amata dotknęła jego ramienia.

— Co wam, sior Jacopone? — spytała. — Tak źle opowiadałem?

Jacopone pokręcił głową i otarł oczy rąbkiem płaszczka.

— Darujcie, bracia — powiedział, uspokoiwszy się trochę. — My-

ślałem o Umilianie de Cerchi, której historię uwaŜam za wzór pokuty, i chciałem ją tu wam przytoczyć.

Zaczął opowiadać, wyrzucając z siebie słowa:

— Mieszkała w izbie bez Œadnych sprzętów na tyłach jednego z najbogatszych domów bankierskich we Florencji i wiodła tam Œywot pustelnicy... poszcząc i wypłakując oczy... by odpokutować za

oszukań-
cze machinacje swoich zamoŜnych braci zza Œciany. — Powiódł znowu wzrokiem po twarzach towarzyszy. Rozpacz malująca się w jego oczach omal nie doprowadziła Amaty do łez. Machinalnym gestem odpędził sprzed oczu dym.

— Taką samą kobietą, swego rodzaju świętą, była teŜ moja ukocha-na Œona. Podczas gdy ja zarabiałem w moim kantorze wielkie sumy, podczas gdy ja zarządzałem majątkami i kontami swoich klientów...

zawsze z korzyścią dla siebie... podczas gdy ja ryzykowałem swoje zyski i dobre imię rodziny, grając w kości... przez cały czas zmuszając tę poboŜną kobietę do strojenia się w najfrymuśniejsze fatałaszk i bły-skotki i grania roli bezmyślnej ozdoby mojego prestiŜu — ona pokutowała skrycie w nadziei, Œe wyrwie moją zbłąkaną duszę ze szponów Księcia Zła.

123

— I dlaczego juŜ z nią nie jesteŒ? — spytała Amata. — Gdzie ona przebywa teraz?

— Odeszła, dziecko. Od czterech lat nie Œyje. Pewnego wieczoru posłałem ją na ucztę weselną mojego klienta, by mnie tam reprezentowała. Pochłonięty księgami i liczeniem bogactwa, powiedziałem jej, Œe przyjdę później. Kiedy wchodziła na salę, balkon nad wejściem zarwał

się, nie wytrzymując cięŜaru stłoczonych na nim weselników.

Przynieśli jej zmasakrowane ciało do naszego domu. Kiedy jej pokojówka i niańka naszego dziecka zdjęły z niej drogą suknię, by obmyć nieszczęsną przed pochówkiem, okazało się, Őe pod spodem nosiła szorstką włosiennicę. Przez cały rok naszego małŜeństwa katowała za moje grzechy swą delikatną skórę. Nigdy nie znałem jej od tej strony.

Przez myśl mi nawet nie przeszło, Őe tak się dla mnie umartwiała.

Zamknął oczy, tak jak tego ranka na Piazza del Mercato, i zaintonował śpiewnie:

— Pamiętam kobietę o oliwkowej skórze, miękkich kruczoczarnych włosach, strojnie odzianą. To wspomnienie wciąż mnie prześladowuje; tak bardzo chciałbym z nią porozmawiać!

Amata przysunęła się do pokutnika. Najchętniej otoczyłaby kobiecym gestem jego ramiona i pocieszyła — ale nie mogła. Z tych stoickich męŜczyzn jeden tylko Konrad wiedział, Őe nie jest chłopcem i nie ma na imię Fabiano. Mogła jedynie szepnąć:

— Tak wam współczuję, sior Jacopone.

Nikt inny się nie odezwał. Na dłuŜszą chwilę zaległo brzemiennie bólem tego męŜczyzny milczenie. Przerwał je w końcu pustelnik:

— Czas spać — powiedział cicho — ale jeden z nas musi czuwać i dorzucać do ognia. Będziemy się zmieniali.

Po całodziennym marszu w narzuconym przez Konrada forsownym tempie Amatę bolały wszystkie mięśnie, lecz teraz, kiedy nastrój wieczoru nieco się poprawił, przypomniła sobie swój dzisiejszy sen na jawie — sen o spędzeniu tej ostatniej nocy na wolności na jakiejś ustronnej

polance obok muskularnego ciała Enrica.

— Ja i tak bym teraz nie zasnął — zgłosiła się na ochotnika. —

Brzuch mnie wciąż boli. Wezmę pierwszą wartę. — Jej fantazje byłyby po dwakroć słodsze, gdyby widziała w chłopcu choć cień namiętności Jacopone.

Wędrowcy zaczęli mościć sobie z dala od ogniska, poza zasięgiem strzelających iskier, posłania z nazbieranych wcześniej sosnowych ga-

łązek. Uporawszy się ze swoim, Amata ruszyła na czworakach ku wyłotowi jaskini. Przełaząc przez posłanie Enrica, szepnęła do niego:

— Postaraj się nie zasypiać. Mam coś jeszcze do opowiedzenia, ale nie jest to przeznaczone dla uszu tych dorosłych.

X

Orfeo zwlóknął się z koi tuŜ przed świtem. Niebo miało zmatowiały połysk cynowej tacy, w ciemnościach nie moŜna było rozróŜnić konturów okrętu. Kajuty sypialne w kasztelu rufowym, które dzielił z papie-

Ŝem elektem Tebaldem i resztą jego świty, skropiono obficie perfumami, Őeby zabić smród unoszący się z pokładu wioŝlarzy. W odróŜnieniu od Wenecjan, którzy mustrowali na swoje galery wioŝlarzy spoŝród wolnych ludzi, Anglicy, zwyczajem genueŝskim, obsadzali okręty wojenne tureckimi niewolnikami. Za dnia przykuci łańcuchami do wiosła, a nocą do pokładu sypialnego, nurzali się we własnych odchodach i z radoŝcią witali kaŜdą wyŜszą falę przelewającą się przez nadburcie. To, Őe Őeglarze króla Edwarda tolerowali ów odór, utwierdzało tylko Orfeą w nie najlepszej opinii, jaką miał o ludziach z pólnocy.

Pozdrowił sennym skinieniem głowy sternika pełniącego wachtę pod baldachimem rozpiętym nad kołem sterowym, przeszedł na palcach międy ławkami Őiających galerników na dziób okrętu, wspiął się na pomost na najwyŜszym poziomie forkasztelu i z luboŝcią wystawił twarz

na podmuchy wiatru. Rzeŝka morska bryza oczyszczała płuca, uspokajała i przywracała chęć do Őycia. Usiadł, opierając się plecami o parapet, i podciągnął kolana pod brodę.

Przez ostatnie dwie godziny przewracał się na koi z boku na bok, zaciskał pięŝci i nasączał poŝciel swoim potem. Brakło mu powietrza.

Kiedy w koŝcu zmorzył go sen, przyŝniło mu się, Őe jest oblegany przez hordę pozbawionych twarzy, zakapturzonych postaci, które atakują z gęstej mgły i szybko z powrotem w nią odskakują, a on wciąŜ

nie wie, jaką taktykę obrony obrać. RównieŜ teraz, choć juŜ nie spał, przecucie zagroŝenia nadal go nie odŝtępowało. Morze było jednak spokojne, na niebie ani jednej chmurki. Wiatr ledwie wydymał prostokątny Őagiel. Konwój płynął nienapastowany — trzy okręty wojenne i galera z zaopatrzeniem. Őeglarz nie mógł sobie wymarzyć spokojniej-szego Őwitu.

Na reling naprzeciwno niego padł Őwietlisty prąŜek. Orfeo spojrzął

w kierunku rufy. Spoza wschodniego horyzontu wylaniał się rąbek wstającego słońca, w jego pierwszych promieniach mienił się Őlad po-zostawiany przez statek na powierzchni morza. Podstawił dłoń pod wiązke słonecznego Őwiatła i patrzył, jak skóra zmienia odcieŝ z róŝowego na koralowy, potem na pomaraŝczowy, zupełnie jakby jego palce wciąŜ ociekały barwnikami z farbiarni wełny ojca.

Orfeo wyciągnął przed siebie nogi i oparł stopy o masywną Őelazną kotwicę. Znowu zamknął oczy i spróbował sobie przypomnieć, co wła-

ŝciwie mu się Őniło. Czy naprawdę coŝ mu grozi? MoŜe Bóg chce go przed kimŝ ostrzec? Na przykłąd przed tym spasionym mordercą, które-go nazywał kiedyŝ „sir”. CzyŜby ojciec odszedł w

końcu na wieczne potępienie? Spróbował przywołać z pamięci jego twarz, lecz bez powodzenia. Zamiast niej przed oczyma stawały mu, jedna po drugiej, twarze braci. Nie, to nie one mu się śniły. Skupił teraz wyobraźnię na Marcu, który wędrował przez Armenię w nieznaną, ale i tym razem intuicja pozostała w uśpieniu. Przyszła kolej na tamtą dziewczynę — właściwie 127

dziecko jeszcze — której nawet nie poznał. Na to wspomnienie puls mu przyśpieszył. Znowu ona!

Widział ją tylko raz, kiedy stała na jednej z wieŹ strzegących bramy zamku jej rodziny, patrząc na niego ciemnymi oczyma w kształcie migdałów. Przez ramię miała przerzucony długi czarny warkocz, związany na końcu rzemykiem. Kiedy ich ojcowie wyklócali się o nałóŹone przez kasztelana myto, Orfeo odwiązał z ramienia Źółtą jedwabną szarfę i uformował z niej kukiełkę. Potem wsunął w tę kukiełkę palec i zgiał go w geście wyszukanego ukłonu. Kiedy naśladował dworność kukiełki, sam teŹ się skłonił, dziewczyna uskokczyła spłoszona za blankę.

Stąd mogło tryskać źródło jego sennego koszmaru. W miarę jak z kaŹdym dniem Źeglugi zbliŹał się do ojczystej ziemi, coraz dokuczliwiej dręczyło go wspomnienie wydarzeń, w następstwie których kiedyś ją opuścił. Często stawał mu przed oczyma obraz zamku po napaŹci: skruszone mury, drewniane chaty podgrodzia w ogniu, mieszkańcy zasieczeni albo błagający w przedśmiertnych konwulsjach o dobiecie, wśród nich tamta urocza dziewczynka z wieŹy. Simone delia Rocca, zbir jego ojca, był równie skrupulatny, co bezwzględny.

Czy muszę wciąż na nowo to wszystko przeŹywać? — pomyślał.

Czy to dlatego, Panie, odebrałeś mi nadzieję, odarłeś z marzeń? Zadygotał i skulił się, bo przesycone solą morskie powietrze nagle wydało mu się chłodniejsze.

Z papieŹem ma dopłynąć tylko do wyspy Negropont, a stamtąd do Wenecji, przypomniał sobie. Ojciec Źwięty tylko o to go prosił. Potem zaciągnie się na jakąś galerę wracającą do Lewantu.

Poderwał głowę na dźwięk gongu budzącego galerników. Chrobot i szczęk łańcuchów zmieszał się z chórem postękiwań i jęków. Orfeo, sam będąc wioŹlarzem, dobrze wiedział, jakie katusze cierpią w tej chwili niewolnicy. Znał tę poranną sztywność członków. Znudzony rolą pasaŹera, zazdrościł niewolnikom ich pracy, ale współczuł męki.

128

Biedaczyska! Znienawidzili wiosła. Symbolizowały ich upadek i poniŹenie, podczas gdy on widział w nich ucieczkę od przeszłości. Orfeo mógłby godzinami obserwować wioŹlarzy, jak równocześnie wstają, odpychając od siebie trzony cięŹkich wiosel najdalej jak się da, a potem przyciągają je powolnym płynnym ruchem, siadając jak jeden mąŹ z powrotem na ławkach. Fascynował go ten taniec w rytm wybijany przez sternika na gongu.

Pocieszał się myślą, Źe przed nowym rokiem wróci na morze. A tam, wyczerpany harówką od świtu do nocy przy wiosle, zasypiał bę-

dzie kamiennym snem i uwolni się wreszcie od tego natrętnego koszmaru.

Konrad i Jacopone spali, posapując cicho. W domu mama i tato swoim chrapaniem nie dawali mu spać. ŁóŜko, które Enrico dzielił z braćmi, stało na wyciągnięcie ręki od łóŜka rodziców, w tej samej izbie, w której rodzina gotowała i jadła. Zdarzały się noce, kiedy to chrapanie urastało do ryku. Wstawał wtedy i przeszedłszy po omacku przez niską furtkę w przepierzeniu oddzielającym część mieszkalną chaty od obory, układał się do snu na słomie między zwierzętami.

Spojrzał w ciemność zalegającą przed jaskinią. Fabiano spacerował

gdzieś tam sam jeden. Podziwiał odwagę tego nowicjusza. Bracia podjudzali go często, by dowiódł, Ŝe nie jest tchórzem podszyty, spędzając noc w lesie, pod którym stała ich chata; z dwojga złego wybierał zawsze ich drwiny i docinki

Enrico próbował walczyć z sennością, bo ciekaw był opowieści chłopca, ale obawiał się, Ŝe długo juŜ nie strzyma. Powieki coraz bardziej mu ciąŜyły i w momencie kiedy ostatecznie opadły, usłyszał ciche wołanie Fabiana:

— Bracie Konradzie? Sior Jacopone?

Chwilę potem nowicjusz ukląkł przy jego poŝaniu i połoŜył mu palec na ustach. Enrico przekręcił się na bok i uniósł na łokciu. Fabiano dał mu znak ręką, Ŝeby za nim szedł.

129

— Zaczekaj tutaj — powiedział, kiedy wymknęli się z jaskini. —

Dorzucę tylko do ognia i zaraz wracam.

Drzewa w poŝwiacie bliskiego pełni księŜyca, zmieszanej z blaskiem ogniska, który wysączał się z jaskini, wyglądały upiornie. Szele-

ściły cicho liście poruszane lekkim wietrzykiem. W ciemnościach, tam gdzie światło nie sięgało, coś chrumkało, popiskiwało, chrobotać, zza pni wyglądały to zapalając się, to gasnąc, pary błyszczących ślepi. Enrico odetchnął z ulgą, kiedy Fabiano wreszcie wrócił. Chłopiec wziął

go za rękaw i pociągnął za sobą, oddalając się od jaskini.

— Nie lepiej to zostać blisko ognia? — spytał szeptem Enrico.

— Znalazłem polankę po drugiej stronie drogi. Chyba nie boisz się ciemności, co?

— Miałeś tu czuwać — mruknął Enrico, uchylając się od odpowiedzi.

— Będziemy w pobliŜu. A opowieść nie jest długa.

Kiedy zagłębili się w ciemne zarośla, kroki Enrica stały się mniej pewne, pod jego cięŜarem pękła z trzaskiem sucha gałązka. Fabiano zatrzymał się i obejrzał na jaskinię.

— Uważaj, bo się obudzą.

Dotarli do polanki i nowicjusz odwrócił się twarzą do Enrica. W

księżycowej poświacie wydawał się o wiele niższy niż za dnia. Stali tak blisko siebie, że musiał zadrzeć głowę, by spojrzeć Enricowi w oczy.

— To opowieść o młodym pustelniku Rusticu i pięknej dziewczynie imieniem Alibech.

— Nie o pustelniku Konradzie?

— Nie. Zdecydowanie nie o pustelniku Konradzie!

Fabiano zachichotał.

— No więc ta Alibech — zaczął — mając kilkanaście lat, uciekła z domu, bo nie chciała wychodzić za męża. Jej pragnieniem było spędzać życie na modlitwie z dala od ludzi. Wędrowała od jaskini do jaskini i prosiła zamieszkujących je pustelników, by nauczyli ją, jak obcować z Bogiem. Kiedyś mądry starzec, zdając sobie sprawę, że nawet on może

ulec pokusie, obdarowywał ją ziołami i korzonkami, dzikimi jabłkami i daktylami, i odsyłał na naukę do innego pustelnika. I tak trafiła w końcu

do jaskini Rustica.

Rustico, w swej młodzieńczej pysze, postanowił wystawić swoją wolę na próbę, i przyjął Alibech do swojej jaskini. Wkrótce jednak stwierdził, że nie może się oprzeć jej urodzie i niewinności, odkrył

bowiem, że nie wiedziała zupełnie nic o męszczyznach. Po kilku dniach uległ wreszcie Sarowi, który palił go w lędźwia. Powiedział dziewczynie, żeby przed nim uklękała, a on nauczy ją, jak wepchnąć diabła do piekła.

Fabiano pociągnął za przód tuniki Enrica.

— Uklęknij — powiedział. — Będiesz odgrywał rolę Rustica.

Enrico zrobił, co mu kazano, nowicjusz też uklęknął. Suche liście zatrzeszczały głośno pod ich kolanami, ale tym razem Fabiano nie zwrócił

na ten hałas uwagi.

— „Najpierw — powiedział do dziewczyny Rustico — musimy zdjąć z siebie habity i to, co mamy pod nimi”.

— Ja też muszę? — spytał płaczliwym głosem Enrico. — Zimno tutaj, z dala od ogniska.

— Słuchaj, jak będziesz na wszystko wybrzydzał, zepsujesz mi całą opowieść.

— Przepraszam. Nigdy jeszcze czegoś takiego nie robiłem.

Nowicjusz uśmiechnął się.

— To widać.

Enrico ściągnął przez głowę kapuzę z kapturem i tunikę. Słyszał, jak Fabiano czyni to samo. Dygocząc z zimna, spojrział pytająco na nowicjusza... i dech mu zaparło.

Widował już młodszą siostrę nago, ale jej piersi dopiero pączkowa-

ły, podczas gdy te, które miał teraz przed sobą, były w pełni dojrzałe i kołysały się, prawie tak samo wielkie jak cycki mamy, kiedy karmiła nowe dzieciątko. Przesunął wzrokiem w dół po smukłej kibici do bioder, a potem w poprzek ud i zatrzymał na gęstwie czarnych włosów, która aś się prosiła o pieśczoćę, i na pępku głębokim jak wir. Przybli-

Śył dłoń do miękkiego brzucha, by namacalnie przekonać się, czy nie śni, 131

ale go nie dotknął. Chciał coś powiedzieć, ale dziewczyna znowu przy-

łoŚyła mu palec do ust. A potem, jak gdyby nigdy nic, podjęła watek swej opowieści:

— „Rustico — krzyknęła Alibech — a cóś to takiego, czego ja nie mam, a przed tobą sterczy jak drąg?!”. „Otóś to, córko — odparł Rustico. — To właśnie ów Il diavolo, ten diabeł, o którym wspominałem.

Bóg zesłał na mnie tę bestię, przez którą przez całe dni cierpię takie męki, Śe często wydaje mi się, Śe juś nie zdzierŚę. Ale widać wysłuchał

wreszcie moich modlitw i przysłał mi ciebie. Bo tobie dał coś, czego nie mam ja: piekło, do którego wystarczy wsadzić tego diabła, a moje katusze się skończą”.

Dziewczyna sięgnęła do krocza Enrica.

— Pewnie ci zimno — wymruczała. — Mnie teś, ale z odwrotnym skutkiem. — Przyciągnęła jego dłoń do piersi i przytknęła czubek palca wskazującego do twardego nabrzmiałego sutka.

— Nie mogę ciągnąć dalej swojej opowieści, dopóki nie zaczniesz wczuwać się w rolę Rustica. Słyszałeś, co powiedziała Alibech? Musi ci stanąć jak drąg — upomniała go łagodnie. — Denerwujesz się? Musisz się rozluźnić. Pamiętaj, co mówili Konrad i Jacopone? Powinieneś doświadczać Śycia. Nawet nocy z jasnoskórymi kobietami.

Enrico z zaciekawieniem, delikatnie, Śeby nie zadać jej bólu, ścisnął

sutek między palcem wskazującym a kciukiem. Dyszał teraz cięśko, płytko, krew pulsowała mu w

skroniach. Zamrugał, bo pociemniało mu w oczach.

— O, już lepiej — wymruczała dziewczyna, wciąż go pocierając. —

Nie bój się, to nic złego. Nie składałeś jeszcze śladnych ślubów. O tak, o wiele lepiej. Będę na ciebie wołała „duŜy Rico”. A ty możesz mi mówić Amata, tak naprawdę mam na imię.

Enrico roześmiał się i obiema dłońmi zaczął miętosić jej piersi.

132

— DuŜy Rico — powiedział. — Tak jak sior Jacopone. Przytrzymała wolną dłońią jego rękę.

— Jacopone? Czemu wspominasz o nim w takiej chwili? Enrico otworzył oczy.

— Jacopone to jego przydomek, nie prawdziwe imię. Powiedział mi, Őe to znaczy „duŜy Jacopo”. Mieszkańcy jego miasta tak go przezwali, bo jest wysoki.

Ręka Amaty znieruchomiała. Palce jej zeszywniały, ścisnęła go mocno.

— Au! Co ja takiego powiedziałem? Puściła go.

— Mieszkańcy jakiego miasta? — spytała. — Gubbio?

— Nie. Nie Gubbio. Powiedział mi, Őe jest z Todi, z najdalszego zakątka Umbrii.

Dziewczyna usiadła na piętach, oddalając się od jego dłoni. Objęła się w talii rękami i zaczęła zawodzić.

— BoŜe, dlaczego? — jęknęła. — Dlaczego zabierasz kaŜdego, kto jest mi drogi?

Wepchnęła sobie pięść do ust i wbiła zęby w kłykcie. Usta miała rozwarte szeroko, jak do krzyku, ale jej cierpienie wypływało z takich głębi, Őe dźwięk nie mógł go wyrazić.

— Co ci? — spytał zdziwiony Enrico.

Ale on już dla niej nie istniał. Wciąż ściskając się za brzuch i jęcząc, przewróciła się na bok na leśną ściółkę i zwinęła w kłębek.

— O, moja biedna kuzynko, umrzeć taką straszną śmiercią...

Bredzi, pomyślał Enrico. Przemknęło mu przez myśl, Őe te lamenty mogą obudzić Konrada i Jacopone. Ubrał się szybko. Tego by tylko brakowało, Őeby przyłapali go na golasa, i to z dziewczyną. Zastanawiał

się już, czy nie lepiej by było wrócić już do jaskini, kiedy Amata przekręciła się na plecy.

Che bel a! Che grazia di Dio! Jej skóra lśniła w blasku księżyca, idealna, nieskazitelna, a wypełnione łzami oczy skrzyły się jak klejnoty.

Wyciągnięta na czarnym torfie, przypominała mu istotę z bajki, leśną nimfę. Poglądził ją po brzuchu.

133

— Nie. — Odepchnęła jego rękę. — Nie mogę teraz.

— Co się stało?

Nie odpowiadała. W Enricu zrodziła się obawa, że zaraz zaczną ich szukać. Kiedy uznał w końcu, że najwyższa pora wracać do jaskini, Amata przemówiła:

— Signore Jacopo Benedetti z Todi, słynny notariusz. — Wypowiedziała to nazwisko powoli, z szacunkiem. — Tak mówili o nim, kiedy

był

jeszcze

przy

zdrowych

zmysłach.

Najwyższy

meścizna w Todi. Kiedy zabierano mnie z domu, był zaręczony z moją kuzynką Vanną. Dzisiaj po raz pierwszy go zobaczyłam.

Enrico, to moją ukochaną kuzynkę zmiażdżył tamten balkon. Była dla mnie jak starsza siostra — najwspanialsza siostra, jaką może mieć dziewczyna. Ona najlepiej mnie rozumiała.

Usiadła i zaczęła się powoli ubierać. Enrico patrzył w milczeniu, jak to czyni, zaintrygowany nie tyle częściami garderoby, co przedmiotami, które miała pod nimi podczepione — coś białego i szeleszczącego na brzuchu, czarna pochwa w rękawie, na wysokości przedramienia. Podniosła wzrok i podchwyciła jego spojrzenie.

— Ten zwój to kronika dziejów braci mniejszych — powiedziała uroczystym tonem. — Oddam to jutro w San Damiano. Kilka sióstr stamtąd potrafi pisać. Poproszę, żeby skopiowały mi ten zwój, bo chcę zrobić niespodziankę bratu Konradowi, a więc nic mu nie mów. Ten zaś nóś noszę dla obrony — powiedziała z dumą i wyciągnęła rękę, żeby mógł pomacać. — Meścizna, który dotknął mnie ostatnio bez mojego przyzwolenia, nie może się teraz doliczyć dziesięciu palców.

Była już całkiem ubrana. Przewiązała się w pasie sznurem i wzięła Enrica za rękę.

— Przepraszam, Enrico. Nie wyszło tak, jak sobie umyślałam. Może jutro dokończę ci tę opowieść. Ale zapamiętasz przynajmniej suor

Amatę i to, co tej nocy widziałeś. — Zdobyła się na melancholijny uśmiech.

— Amata — powiedział. — Kochana. Pasuje do ciebie. Już wiem, że cię Kocham.

134

— Nawet o tym nie myśl. Miłość do mnie przynosi pecha. Naprawdę. — Spojrzała mu poważnie w oczy, uśmiech zniknął z jej warg. —

Musimy wracać.

Ruszył za nią w stronę drogi i migotliwej poświaty sączącej się z jaskini. Nagle zatrzymała się i dała mu znak, żeby był cicho. Poszedł za jej przykładem, kiedy przykucnęła za pnem drzewa.

Nasłuchiwała przez chwilę, a potem zakłęła pod nosem.

— Jacyś ludzie nadchodzą drogą.

Amata naliczyła pięć ciemnych postaci. Przypomniał jej się dom Vittorio, wracający ze swoimi ludźmi z pościgu za zbrojami nasłanymi przez perugiańczyków, by napadali na podróżnych. Czyżby to ci zbrojcy szli za nimi aż od Gubbio? Tamto przecucie, które naszło ją po drodze... Modliła się, żeby to nie była ta sama ani żadna inna banda, ale wiedziała, że nic to nie da. Tylko złodzieje i rzezimieszki mogli iść drogą ciemną nocą, wypatrując ognisk. Ogień chroniący śpiących przed zwierzętami mógł też zwabić takich jak ci złoczyńców.

Mełszyżni zatrzymali się nieopodal drzewa, za którym skryła się z Enrikiem, i zaczęli naradzać się szeptem. Po chwili rozwinęli się w szeroką tyralierę, pewnie żeby podkraść się do jaskini z kilku stron.

Amata widziała maczugi i piki, a domyślała się, że pod opończami mają również ukrytą inną, krótszą broń.

— Zabijają Konrada i Jacopone — szepnęła chłopcu do ucha. — Muszę ich ostrzec. Zaczekaj tutaj.

Z duszą na ramieniu i szeroko otwartymi oczyma podpełzła na czworakach na skraj drogi. Wzięła kilka głębokich oddechów, odsuwając w czasie ten nieunikniony moment, kiedy będzie musiała podjąć próbę przedarcia się między zbrojcami. Pomyślała o Konradzie. On też

narażał się, pomagając jej na ścieżce kozic podczas przeprawy nad przepaścią. To wspomnienie zdecydowało.

135

— Bracia, obudźcie się! — wrzasnęła, zrywając się na równe nogi. — Banditi! Obudźcie się!

I jak wystrzelona z procy popędziła ku drzewom po drugiej stronie drogi. Niestety, jeden z męŝczyzn złapał ją za rękaw, zatrzymał i zamachnął się maczugą. Amata doskoczyła do niego, umykając instynktownie spod spadającej broni. Zderzyli się. Drab stęknął, a zaraz potem zawył z bólu i wypuszczając maczugę, złapał Amatę obiema dłońmi za nadgarstek ręki, którą wbiła mu nóż w brzuch. Usiłował odepchnąć ją od siebie. Strumień ciepłej krwi oblał zaciśniętą na rękojeści dłoń Amaty. Nagle męŝczyzna puścił jej rękę, zataczając się pod ciężarem ładują-

cego mu na plecach Enrica.

— Uciekaj, Amato! — krzyknął chłopiec ściągany ze zbroja przez dwóch jego kamratów.

Napastnik słabł i Amata naparła mocniej, wbijając nóż po samą rę-

kojeść. Ostrze dosięgło serca. Zbójca z nieopisanym smutkiem w oczach osunął się na kolana, a potem padł twarzą do ziemi. Schyliła się po maczugę. Enrico wołał gdzieś z płataniny cieni o pomoc.

W ostatniej chwili dostrzegła biegnącego na nią męŝczyznę z piką i odskoczyła. Uniknęła pchnięcia o włos; ostrze rozpruło jej habit na wysokości brzucha i ześliznęło się po zwoju Leona. Kiedy zbójca zamierzał się piką do następnego pchnięcia, w krzakach za Amata zakotłowało się, wypadł z nich Konrad i z całym impetem runął na złoczyń-

cę, zbijając go z nóg.

— W imię Boŝe, odejdźcie! — krzyknął.

— Oni się Boga nie boją! — wrzasnęła Amata, wpychając mu maczugę w dłoń. — Bierz to i walcz albo poleć duszę niebu.

Człowiek z piką zawahał się.

— Ku mnie, bracia! — zawołał.

Do herszta podbiegli dwaj ludzie, którzy przed chwilą odciągali w ciemność Enrica. Zły znak, pomyślała Amata. Nie dbali już o chłopca.

Do bandy dołączył czwarty zbójca i mieli ich teraz czterech przeciwko sobie. Konrad stał nieruchomo z maczugą w opuszczonej ręce.

136

Nastąpiła chwila zawieszenia broni, herszt bandy, ten z piką, oceniał sytuację.

— To nasz człowiek — warknął wreszcie. — Kończmy, pocośmy tu przyszli, i wracajmy.

Amata, chwyciwszy rękaw habitu Konrada, cofnęła się ku drzewom, pociągając za sobą pustelnika. Ale ten zaparł się, ani myślał ustępować pola.

— Co mnie czyni waszym człowiekiem? Znacie mnie? Nie jestem Umbryjczykiem.

Przeraźliwy sygnał trąbki Jacopone dobiegający od strony jaskini przerwał pełne napięcia zawieszenie broni. Amata, widząc przestach na twarzach napastników, znowu spróbowała odciągnąć Konrada. Tymczasem Jacopone szarŝował juŝ ku nim przez zaroŝla z pohukiwaniem, rykiem i trzaskiem łamanych gałęzi.

— Święci pańscy! Aniołowie ich strzegą! — wrzasnął herszt.

— Un drago! * — zawył inny.

Amata obejrzała się i zobaczyła dwoje wielkich płonących ślepi, ani chybi jakiejś bestii zbiegającej z pagórka.

Zbójcy na chwilę zmartwieli, wybałuszając przeraŝone oczy na zbli-

ŝającą się zjawę, i zanim się opamiętali, Jacopone wpadł jak burza mię-

dzy nich. Jedną płonącą gałąź wraził człowiekowi z piką w twarz, drugą przejechał po jego opończy. Zbójca zawył nieludzko, odskoczył i oślepiiony, pognął w las niczym ŝywa pochodnia. Pozostali trzej rzucili się do ucieczki drogą w kierunku Valffabriki, ŝcigani, w swoim przekonaniu, przez ryczącego, ziejącego ogniem smoka. Jacopone podpalił jeszcze opończę na jednym z nich, po czym zaniechał pogoni.

Kiedy zbójcy zniknęli im z oczu, Konrad ukląkł przy męŝczyźnie, który zaatakował Amatę. Przewrócił go na plecy i przyłoŝył dłoń do zbroczonej krwią piersi.

— Za późno na ostatnie namaszczenie — mruknął. — Jego dusza odeszła juŝ w zaświaty.

* Drago (wł.) — smok.

137

— Mam nadzieję, ŝe do Hadesu — dodała Amata.

— To ty go zabiłaŝ?

Dziewczyna wychwyciła w jego tonie nutkę podziwu.

— Nie był z niego wielki wojownik — odparła.

Zostawiwszy Konrada klęczącego przy martwym zbójcy przebiegła kawałek drogą w kierunku Asyŝu i z powrotem.

— Enrico! — wołała. — Enrico!

W blasku pochodni niesionych przez wracającego Jacopone dostrzegła nieruchomy kształt na skraju zarośli. Nie mogła się zdobyć na dotknięcie go, ale był to zdecydowanie człowiek. Śołądek podszedł jej do gardła, poczuła, że zaraz zwymiotuje.

Padła na klęczki przy leżącym.

— Nie, Rico, nie! — zaskowyczała. — Tylko nie znowu!

Tylko nie ty!

XI

Konrad ukląkł obok Amaty i jak wcześniej zabitemu, tak teraz przy-

łóŜył dłoń do piersi Enrica. Potem pochylił się i przyjrzał bacznie twarzy chłopca.

— Dycha jeszcze, ale ledwie — orzekł, zwracając się do Amaty, która splótszy dłonie, modliła się i rozpaczała jednocześnie. — Gdzie sior Jacopone?

— JuŜ wraca, padre — powiedziała płaczkliwie. — Tutaj jesteśmy!

— zawołała do nadchodzącego drogą pokutnika. — ŝywiej!

ZbliŜywszy się do nich, Jacopone uniósł wysoko obie pochodnie i wydał ryk triumfu.

— Ufff, nie nawojowałem się tak od czasu, kiedyśmy przepędzali z Todi Benedetta Gaetaniego i jego zgraję gibelinów* — wysapał.

* Gibelinowie, gibellini — stronnictwo popierające cesarzy niemieckich, zwalczające zwolenników papieżstwa, gwelfów, w XII — XV wieku we Włoszech.

139

— Nas, jak widać, ocaliłeś, bracie—przyznał Konrad. — Ale dla Enrica odsiecz przyszła chyba za późno. Jest jedną nogą na tamtym świecie. Musimy go stąd zabrać, zanim banditi wrócą, — Wskazał ruchem głowy las. — Zostaw Fabianowi jedną pochodnię, sior Jacopone, a z drugą rozejrzyj się za dwoma długimi mocnymi gałęziami, które zdałyby się na ŝerdzie do noszy.

Jacopone patrzył przez chwilę na chłopca, zdałoby się, dopiero teraz go zauwaŜył, po czym odwrócił się bez słowa i pognął z powrotem między drzewa. Konrad przygarbił się i wsparł czoło na dłoni. Trwał

tak w zamyśleniu jakiś czas, potem jął się rozglądać, jakby czegoś szukał.

— Chodź ze mną, siostró — powiedział w końcu, wstając z klęczek.

— Nie godzi się obdzierać trupa, ale potrzebna nam opończa tego złoczyńcy na nosze dla Enrica. ŝerdzie przewlecemy przez rękawy.

Powlokła się za nim otępiała. Po głowie tłukła jej się tylko jedna myśl: gdyby nie ona, Enrico nie leŜałby teraz półŜywy przy drodze. Z

kolei gdyby nie on, sama mogłaby juŜ nie ŝyc. Ale tak by chyba było lepiej. Nie dało się ukryć, ŝe Bóg postanowił doŝwiadczać kaŜdego, na kim jej zaleŜało.

Konrad, zanim przystąpił do rozbierania nieboszczyka, kazał jej się odwrócić. Posłuchała i wpatrzyła się w mrok. Z otępienia wyrwał ją okrzyk pustelnika:

— Dio mio, siostro! Cóż najlepszego uczyniła?! Zabiłaś zakonnika.

Amata obejrzała się. Konrad ściągnął już z martwego oponczę. Mę-

czyzna miał pod nią szary habit przepasany takim samym sznurem, jakim przepasywała się ona. Na jego piersi spoczywał prosty drewniany krzyż uwiązany do spletanego skórzanego rzemienia.

— On chciał mnie zabić — wykrztusiła ochryplym szeptem, czując, że traci władzę we wszystkich członkach. Nie miała nawet siły się bronić. Opuszczała bezwiednie płonąca pochodnię, a ta dotknęła niemal łysej czaszki mężczyzny i oświetliła zastygłe rysy jego twarzy.

140

— Padre! Ja go znam! Widziałam go dziś rano!

— W Gubbio?

— Tak. Na piazza. Stał na skraju zbiegowiska z kilkoma braćmi z naszego zakonu. Miał ściągnięty kaptur i pamiętam, jak pomyślałam, że chyba lubi chłodzić sobie głowę.

— Ale co miała znaczyć ta napaść?

Amata uniosła rękę.

— Jeden z nich mówił, że szukali ciebie. — Obejrzała się na le-

cego nieruchomo Enrica i szarpnęła Konrada za rękaw. — Lękam się o ciebie, padre — powiedziała. — Proszę cię, zaniechaj wizyty w Sacro Convento. Wchodzisz w paszczę lwu.

— Sam podjąłem tę decyzję — przypomniał jej — i nie widzę na razie innego sposobu. — Przyglądał się przez chwilę martwemu zakonnikowi. — Zresztą, czyś ty jest aż tak ważna? Gdyby tym ludziom udało się dzisiaj mnie zabić, byłbym już razem z bratem Leonem i świę-

tym Franciszkiem. — Poklepał się z uśmiechem po piersi i dodał: — I wiedziałbym, co znaczy ten list.

— Ale brat Leon chce, żebyś ty i rozgłosił to, co odkryjesz. Jestem tego pewna.

Z krzaków wyłonił się Jacopone, wlokąc za sobą dwa młode mocne drzewka z pooblamywanymi już gałęziami. Położył je obok Enrica i podszedł do Konrada i Amaty.

— Nim ruszymy w drogę, trzeba wpierw pogrzebać tego brata —

powiedział Konrad.

— Pogrzebać? — Śachnęła się Amata. — Nie mamy na to czasu!

Musimy czym prędzej zabrać stąd Enrica.

— Ten człowiek był zakonnikiem. Należy mu się chrześcijański pochówek. Zgrzeszylibyśmy, zostawiając ciało na pastwę padlinoŚer-ców. — Konrad zdjął zabitemu krzyŜ z szyi i wręczył go Amacie. —

Potrzymaj, zaznaczmy nim jego mogiłę. Sior Jacopone, pomoŚecie mi Őciągnąć z niego habit. Owiniemy go w opończę i usypimy nad nim kopiec.

— Przynieście jego sznur — powiedziała Amata. — Potrzebny mi.

141

MęŚczyźni wciągnęli trupa do lasu, a ona została na drodze z pochodnią w jednej i krzyŜem w drugiej ręce. Co i rusz popatrywała niespokojnie w stronę zakrętów z obu stron, za którymi droga znikaa z oczu. Obawiała się powrotu bandy. Trzech uciekło w kierunku Gubbio, ale ten z piką mógł się tu jeszcze gdzieś kręcić. Jego wrzaski dawno juŚ

ścichły w chłodnym nocnym powietrzu. WyteŚała słuch, starając się wychwycić jakieś podejrzone odgłosy, które mogły tonąć w szeleście dobiegającym z zaroŚli, gdzie Konrad i Jacopone przysypywali trupa ziemią, suchymi liŚciami i sosnowymi igiełkami. Nadstawiała teŚ ucha pełna nadziei, Őe leŚący nieopodal Enrico wyda jakiś jęk, okrzyk bólu czy jakikolwiek odgłos Őwiadczący, Őe wciąŚ Őyje. Ale wokół panowała cisza i to jeszcze bardziej ją niepokoilo.

W końcu z ciemności wyłonił się Jacopone, wręczył jej bez słowa sznur od habitu, a od niej wziął krzyŜ. Amata podbiegła do Enrica i nabierała szybko suchych gałązek, ułoŚyła z nich stosik i podpaliła pochodnią. Kiedy płomyk prześlizgiwał się z patyka na patyk, przyjrza-

ła się twarzy chłopca. Gładką skórę miał podrapaną i posiniaczoną, krzepnąca krew sklejała jego jasne włosy w lepka strzechę. Był taki młody, tyle lat miałby teraz jej brat Fabiano. Usiadła przy nim na ziemi i zaczęła gładzić po czole, rozczesując palcami zbite w lepki kołtun włosy.

Chłopiec zatrzepotał powiekami i otworzył szeroko oczy.

— Amata — mruknął. — A więc Őyjesz.

— Och, i dzięki Bogu ty teŚ, Rico! — zawołała cicho.

— Nie jestem tego taki pewien. Wszystko mnie boli. I czuję się taki słaby.

— Dzielnie się sprawiłeś, skacząc na plecy temu zbójowi. Spróbo-wał się uŚmiechnąć.

— To był mój pierwszy bohaterski czyn w Őyciu. I chyba ostatni.

— Sza. Nie mów tak. Do Sacro Convento juŚ niedaleko. Zakonnicy cię wykurują.

Jego powieki znowu opadły. Pokręcił na boki głową, usiłując zachować przytomność. Amata usłyszała wracających męŃczyzn.

— Pamiętaj, Ńe mam na imię Fabiano, nie Amata — wyszeptała, ale on znowu stracił przytomność.

Konrad i Jacopone zmajstrowali z Ńerdzi i habitu prowizoryczne nosze, przenieśli na nie bezwładnego chłopca i dźwignęli na ramiona.

Amata z pochodnią zajęła miejsce na przedzie, Ńeby oświetlać wykroty i wyŃłobione kołami wozów koleiny.

— Niech Bóg ma w opiece jego i nas — westchnął Konrad. — Ruszajmy.

Droga, choć wyboista, biegła przynajmniej w płaskim terenie i tak przez blisko milę, aŃ do rozstajów przed Porziano. Tam, na polance po prawej, zamajaczyły zarysy fasady małej wiejskiej kapliczki. Postanowili poszukać w niej schronienie. MęŃczyźni zdjęli z ramion nosze, postawili je na ziemi i Konrad, uchylwszy drzwi, wsunął głowę do środka. Po chwili skinął na Amatę, Ńeby mu poświeciła, i wszedł.

Jakieś małe stworzenie, spłoszone blaskiem pochodni, czmychnęło po ścianie ku powale. Powietrze nad nimi wypełniło się trzepotem skrzydeł i stadko nietoperzy uleciało w noc przez dziurę w dachu. Amata stała bez ruchu w drzwiach, dopóki nie ustało całe to zamieszanie, potem podeszła za Konradem do ołtarza. Unosił się tu swąd spalonego mięsa. Słyszała opowieści o Ńydach, którzy zarzynają zwierzęta i składają z nich na ołtarzach całopalne ofiary. Tak właśnie musi śmierdzieć w ich świątyniach, pomyślała.

Pustelnik starł rękawem kurz z kamiennego ołtarza i otworzył drzwiczki tabernakulum.

— Nie jest tu bezpiecznie — orzekł. — Ten przybytek nie słuŃy juŃ za kościół. Nie ma eucharystii, która by nas chroniła.

— Ale odpocząć moŃemy. Enrico nie zniesie długo takiego wytrząsania.

— Odpocząć moŃemy, kiedy wstanie dzień. Niebezpiecznie jest zatrzymywać się po ciemku.

Nagle z mroku zalegającego za ołtarzem dobiegł jęk. Konrad wyrwał Amacie pochodnię i uniósł ją wysoko nad głowę.

— Jeśliś człek, nie zwierzę, mów, coś za jeden! — zawołał.

— Niech będzie przeklęta twoja zelocka dusza, Konradzie da Offida — rozległ się chrapliwy głos.

— Nie chcieliśmy zrobić ci krzywdy.

Kazano nam tylko cię pojmać.

Konrad obszedł ostroŜnie ołtarz i zajrzał za niego. Pod ścianą siedziała skulona postać. MęŜczyzna nastawił pikę, ale był zbyt osłabiony, Ŝeby zrobić z niej uŜytek.

— Odrzuć broń, jeśli chcesz naszej pomocy.

— Pomocy? Mało brakowało, a by mnie wypatroszył! — oburzyła się Amata.

MęŜczyzna nie opuszczał piki.

— Odrzuć ją, powiedziałem. — Konrad wolno zatoczył pochodnią krąg. — Mało ci jeszcze ognia?

Pika wyleciała zza ołtarza i upadła z głuchym stukotem na klepisko.

Konrad postąpił krok, ale Amata zagroziła mu drogę ręką.

— UwaŜaj, on moŜe mieć nóż.

— Podnieś więc jego broń i miej na niego oko. Ŝycie chyba mu jeszcze miłe.

Amata odszukała w półmroku pikę i przyłoŜyła jej ostrze do piersi męŜczyzny. Konrad zbliŜył pochodnię do jego głowy.

— Tego teŜ znasz? — zapytał.

— Nie widzę twarzy. Ŝciągnij mu kaptur.

MęŜczyzna zaskowyczał, kiedy dłoń Konrada musnęła jego twarz.

To od niej właśnie bił swąd spalonego ciała tak draŜniący nozdrza Amaty. Była zwięglona nie do rozpoznania, stanowiła wielką, zaczynającą juŜ ropieć ranę, z której spozierało na nią wrogo jedno oko. Konrad Ŝciągnął mu kaptur. MęŜczyzna miał włosy koloru słomy z wystrzyŜoną tonsurą.

Amata, przytrzymując się ołtarza, nachyliła się nad nim.

— To chyba jeden z tamtych mnichów, którzy wskazali mi drogę do Monny Rosanny. Przynajmniej włosy ma takie same.

— Nie moŜe być! Szli pieszo?

— Nie. Jechali na osiołkach. Mówiłam ci przecieŜ. Ten drugi był

bardzo stary. Mogli dotrzeć wczoraj do klasztoru w Gubbio. Bogu dzie-

ki, Œe tam nie nocowaliśmy.

Konrad ponownie przysunął pochodnię do twarzy męŜczyzny.

— Wiesz, co znaczy list brata Leona?

— Nie. — Poparzony zaniósł się kaszlem. Z warg na pierś ściekła mu krwawa flegma. Odezwał się chrapliwym głosem, z trudem cedząc słowa:

— Mój towarzysz powiedział mi tylko... Œe generał... byłby nam wielce zobowiązany, gdybyśmy mu... dostarczyli ten list i... ciebie. —

Spróbował unieść rękę, ale ta opadła mu na pierś.

— Imię tego towarzysza!

Wargi męŜczyzny wykrzywiły się w kpiącym uśmiechu.

— Amanuensis .

— To nie jest imię — warknął Konrad. — To zajęcie.

— Amanuensis — powtórzył męŜczyzna.

Konrad ściągnął brwi.

— I chyba powiedział prawdę. Bonawentura uwaŜa mnie za męciela. Nie byłby zadowolony z mojego powrotu. Ale to jeszcze nie po-wód, Œeby mnie uwięzić.

MęŜczyźnie flegma spłynęła chyba do krtani, bo znowu się rozkasłał.

— Na miłość boską, pomóŜ — wykrztusił błagalnie. — Wyspowiadaj mnie. Muszę oczyścić duszę.

— Tak teŜ zrobię, bracie — odparł Konrad. — Zaczekaj na ze-wnątrz, Fabiano, i nie bój się. Obiecuję, Œe zachowam bezpieczną odległość.

Amata wycofała się z piką z kapliczki, ale zatrzymała zaraz za drzwiami, skąd słyszała pomruk dwóch głosów. W blasku księŜyca zobaczyła Jacopone siedzącego w kucki przy noszach i jej niepokój wzrósł. Domine Jesu! Dlaczego Konrad stawia zawsze obcych przed swoimi? Chmura przesłoniła na chwilę księŜyc i sylwetka pokutnika rozmyła się w ciemności, ale zaraz z powrotem się z nich wyłoniła.

Konrad nadal rozmawiał przyciszonym głosem z poparzonym mnichem. W końcu wyszedł z pochodnią zza ołtarza, mówiąc:

— Odpoczywaj teraz w pokoju i nie zaprzataj sobie myśli grzechem. Gdy tylko dotrzemy do Asyŝu, przyślę tu kilku braci, ŝeby się tobą zajęli.

Oddał pochodnię Amacie i z Jacopone dźwignęli znowu nosze na ramiona. Dziewczyna próbowała utrzymać płonąca głownię jedną ręką, ale w palce łapały ją kurcze, zmuszona więc była odrzucić pikę w las.

Zaraz za kapliczką droga zaczęła się piąć pod Nocigliano, ostatnie wzgórze na drodze do Asyŝu. Amata wyczuwała pod sandałami ścięte, prawie zmroŝone błoto i nie mogła się nadziwić, jak to moŝliwe, ŝe idącym boso męŝczyznom nie marzną stopy. Imponowali jej ci dwaj asceci. Niŝszy od Jacopone Konrad szedł pierwszy, dzięki czemu stro-mizna nie spowalniała marszu. Amata przypomniła sobie, jak ojciec opowiadał jej o staroŝytnych Spartanach, najwytrzymalszych i najwaleczniejszych wojownikach w dziejach, których dieta składała się z podrobów, owsianki i innych tego rodzaju paskudstw. Podobnie jak ci dwaj, stronili równieŝ od kobiet. Wolała nie myśleć o implikacjach.

Księżyc schował się za góry na zachodzie, ale droga przed nimi po-jaśniała. Na szczycie wzgórza zamajaczyły drzewa i Amata usłyszała pierwsze trele budzących się ptaków.

— Szczyt juŝ blisko, sior Jacopone — wysapał Konrad. — Tam odpoczniemy.

Kiedy otworzyła się przed nimi panorama basenu rzeki Tescio, zatrzymali się wreszcie i połoŝyli nosze na ziemi. Za górami dniało i Amata ujrzała w dole mały wszechŝwiat miasteczek, wiosek, pojedyn-czych zagród i pól uprawnych rozciągający się aŝ po góry po drugiej stronie doliny. Najbliŝej z miast leŝał Asyŝ i na widok głównej wieŝy oraz najeŝonych blankami murów górującej nad nim ponurej twierdzy Rocca Paida wezbrał w niej gniew. Zgasiła pochodnię, wbijając ją w błoto.

146

Och, ŝeby z taką samą łatwością moŝna było zdławić Simone delia Roccę i jego synalków!

Męŝczyźni przeciągali się i wymachiwali zdrętwiałymi ramionami.

Jacopone podszedł do najbliŝszego krzaka i sięgnął pod opaskę na biodrach, ŝeby sobie ulŝyć. Konrad pociągnął go za płaszcz.

— Trochę głębiej w las, bracie. Pójdę z tobą.

Amata uśmiechnęła się. A więc Konrad zamierzał ciągnąć tę maska-radę — i swój dylemat — do samego końca. Wtem usłyszała za sobą jakieś poruszenie i obejrzała się. Enrico rzucał się na noszach i wymachiwał rękami.

Doskoczyła do niego.

— Jestem tu, Rico — powiedziała. — Do AsyŚu juŚ blisko. —

Chwyciła go za nadgarstki i docisnęła ręce do piersi.

— Wszyscy tu jesteŚmy — dorzucił wracający Konrad. PrzyłoŚył

dłoń do czoła chłopca i spojrział mu w twarz. — Wysłuchałem niedawno spowiedzi pewnego rannego człowieka i jeśli sobie Śyczysz, twojej takŚe wysłucham.

— śyczę sobie, padre . Wypowiadaj mnie. Wiem, Śe umieram.

— Nie moŚesz z tym zaczekać, aŚ dotrzemy do klasztoru? — spyta-

ła Amata.

Chłopiec przeniósł na nią wzrok.

— Przepraszam. Muszę się wypowiadać. Teraz. Do klasztoru mogę nie dotrzeć.

— Enrico ma rację — zwrócił się Konrad do Amaty. — Nie moŚna ryzykować. Odejdź kawałek drogą i zaczekajcie tam z Jacopone. Niech chłopiec wypowiada się bez świadców.

Amata odwróciła się i oddaliła. Czuiła, Śe jej obolałe serce więcej juŚ

nie znieśie — ani straty kogoś drogiego, ani zyskania sobie jeszcze jednego wroga — i modliła się, Śeby to się wreszcie skończyło. Konrad, wysłuchawszy spowiedzi Enrica, na pewno ją znieśawidzi.

147

Z trudem powstrzymywała łzy. Jacopone zbliŚył się od tyłu i poło-

Śył jej swoje ogromne dłonie na ramionach.

— Chrapliwy oddech umierającego. Grzeszenie i grzechów odpusz-czanie. Z tego tkana jest poezja, bracie. Całe Śycie jest nie mającym końca epickim poematem.

— Panie Jezu Chryste, Synu BoŚy, zmiłuj się nade mną, grzesznikiem. Panie Jezu Chryste, Synu BoŚy, zmiłuj się nade mną, grzesznikiem.

Wargi Jacopone poruszały się bezgłośnie, powtarzając tę samą modlitwę, którą tyle milionów razy odmawiał przez ostatnie cztery lata.

Stała się dla niego czymś tak naturalnym, jak oddychanie. Siedział na wielkim głazie ze zwieszonymi nogami, z rękoma złoŚonymi na podol-

ku, z półprzymkniętymi oczyma. W kałuŚy na skraju drogi walczył o Śycie lśniący czarny Śuczek.

— Gdzie Fabiano? — spytał ksiądz Konrad, podchodząc do niego.

Twarz stęsała mu w grymasie gniewu. Wyrzucił z siebie to pytanie jak pewien znany Jacopone, surowy sędzia z Todi.

Pokutnik pokazał kciukiem za siebie, na Asy. A wtedy szare oczy zakonnika wypełniły się łzami. Otarł przedramieniem zarośnięte policzki, rozczapierzył palce, wznosił oczy do nieba, po czym opuścił ręce i zwiesił głowę.

— Enrico odszedł — wycedził przez zaciśnięte zęby. — Nie Syje, bo temu samolubnemu wyuzdanemu Fabianowi nie chciało się pełnić jak naleśy warty.

— Dzieci rzucają kamieniami w Saby dla zabawy, ale Saby umierają z całą powagą. — Jacopone zeskoczył z głazu jak Saba. — Nazwał

mnie cuz.

— Kto?

— Twój nowicjusz. „śegnaj, cuz — powiedział. — Łączę się z tobą w bólu”. Nie wiem, co przez to rozumiał. Moja Sona miała kuzyna imieniem Fabiano. Ale on nie może być nowicjuszem u braci szarych.

148

Vanna przez wiele miesięcy oplakiwała swoich kuzynów. Z ich powodu odłożyliśmy nasz ślub. śe teś w ogóle się pobraliśmy! śe teś nasi rodzice musieli nas ze sobą poznać! śyłaby, biedna, do dzisiaj. — Spojrzał na księdza, ale jego oczy zasnuwała mgiełka. — Wszystko popłata-ne, wszystko w supłach. Jesteś światłym człowiekiem, bracie Konradzie. Czy coś z tego pojmujesz?

XII

Owszem, Konrad pojmował. Wiedział doskonale, dlaczego Amata nazwała pokutnika kuzynem. Usłyszał to przed chwilą od konającego Enrica. Nie mógł jednak wyjawić Jacopone, co łączy go z dziewczyną, bowiem usta zamykała mu święta tajemnica spowiedzi.

Przykro mu było, że nie potrafi wykrzesać z siebie większego współczucia dla Amaty tak przeżywającej stratę ukochanej kuzynki, ale gniew, którym zapłonął, dowiedziawszy się o jej nieodpowiedzialnym postępku, nie dopuszczał do głosu łagodnych uczuć. Próbował sobie tłumaczyć, że Amata, będąc niewiele starszą od Enrica, właściwie jest jeszcze dzieckiem, ale to nie pomagało. Chciało mu się wyć. Chcia-

ło mu się płakać z żalu po zmarłym chłopcu, ze współczucia dla Jacopone, który stracił swoją Vannę, z gniewu na płochą Amatę, z poczucia bezsilności, które ogarniało go, kiedy patrzył, jak cały ten nieszczęsny rodzaj ludzki miota się w amoku, niepomny zbliżającego się dnia Sądu Ostatecznego. I nad swoją gwałtownością. Do wypadków tej strasznej nocy nigdy by nie doszło, gdyby nie dał się wciągnąć w labirynt tajemnic 150

Leona, gdyby został w swojej chacie. Chi non fa, non fal a, mawiał

trzeźwo patrzący na świat ojciec Rosanny. Kto nic nie robi, nie popełnia błędów.

Wybór, którego dokonał, przyniósł tragiczny skutek i teraz musi ponieść tego konsekwencje. Zatroszczyć się o zwłoki Enrica.

Poklepał pokutnika po plecach.

— Chodź, przyjacielu. Dopełnijmy naszego obowiązku. — Powiedział to ze spokojem, odsuwając od siebie na moment smutek, który ciągnął mu na duszy. — Chłopcu należy się pochówek w Sacro Convento. Zakonnicy powiadomią rodzinę.

Dźwignęli znowu nosze i ruszyli w dalszą drogę. Schodzili teraz w dół i wyższy Jacopone kroczył pierwszy. Trakt do miasta biegł wzdłuż

szpaleru drzew, które stykając się w górze koronami, tworzyły mroczny tunel przywodzący Konradowi na myśl któryś z tych podziemnych korytarzy prowadzących do piekieł. Oczyma wyobraźni widział już, jak przydrożne zarośla zmieniają się w legendarny złotogłów zatruty czarnym jadem, skapującym z pysków trójgłowego Cerbera — roślinę, z której wiedźmy sporządzają śmiernicobójne wywary. Niczym tamten starożytny poeta Orfeusz ze swoją lirą, schodzili w trzewia Hadesu, szukając utraconej... właśnie, czego?

Mityczny poeta miał przynajmniej swoją Eurydykę, to dodawało mu determinacji i odwagi do stawienia czoła czyhającym nań niebezpieczeństwom. Konrad nie widział przed sobą aż tak

namacalnego celu, który by go mobilizował — co najwyżej kilka mglistych odpowiedzi, sam nie bardzo wiedział na co. Nie odstępowało go przecucie, że zmierza nieuchronnie ku katastrofie, ku osobistej tragedii.

Martwił się też o chudego jak szkielet poetę, schodzącego przed nim traktem. Od wygłoszenia tamtego płomiennego kazania na piazza w Gubbio Jacopone popadał w coraz głębszą melancholię, otrząsając się z niej tylko na krótko, by odeprzeć napad na jaskinię. Co czeka pokutnika w Asyżu? Jeśli miasto ujrzy w nim skruszonego grzesznika, nic mu nie

grozi, jeśli jednak uznany zostanie za szaleńca, to obejmie go to samo prawo, co trędowatych przyłapanych w obrębie murów. Ludzie będą go obrzucali kamieniami albo jeszcze gorzej. To prawo znały nawet tamte urwisko z Gubbio.

Konrad nie miał równieś pewności, co jego tam czeka. Skoro spodziewali się go mnisi z Gubbio, to czy bracia z Sacro Convento także są przygotowani na jego przybycie? Jedno wiedział na pewno: tylko po tamtej stronie klasztornej furty ma szansę rozwikłać zagadkę postawioną mu przez Leona.

Zgromił się w duchu za swoją lękliwość. Powtórzył frazę z Pater

Noster, która od czasu, kiedy opuścił swoją chatę, tak często przychodziła mu do głowy: Bądź wola Twoja, Ojcze. Amen, amen. Zresztą najgorsze, co mogłoby go spotkać ze strony zakonników, przyspieszyłoby połączenie z tymi, których najbardziej kochał — bratem Leonem i świę-

tym Franciszkiem.

Wyszli w końcu z lasu i znaleźli się na nagim skalistym zboczu. W

dole, na wprost, widać było bramę prowadzącą do północno-wschodniej części miasta. Tamtędy wiodłaby najkrótsza droga do Asyżu, lecz widok obszarpanego pustelnika i ponurego pokutnika, niosących ulicami martwe dziecko, z pewnością przyciągnąłby śladem sensacji gawieź.

— Skręć w tę ścieżkę po prawej — zawołał do Jacopone.

Wąska i kręta jak strumyczek ścieżka wiła się zboczem ponad cytadelą i północnymi murami miasta. Dotarłszy do najbardziej na zachód wysuniętego narożnika, gdzie w doskonałej izolacji od reszty miasta wznosiły się bazylika Świętego Franciszka oraz Sacro Convento, zaczę-

li schodzić, zapierając się piętami o nieliczne kępki trawy, której udało się przebić przez luźny łupek. Kiedy zbliżyli się do Porta di San Giacomo di Murorupto, Jacopone wyraźnie się oświł; uniósł głowę i mocniej ścisnął serdzie noszy. W paszczę lwu, pomyślał z rezygnacją Konrad.

— Niech Bóg ześle ci pokój, bracie! — zawołał pustelnik do straż-

nika miejskiego, kiedy przechodzili przez bramę.

Straśnik zagroził im drogę i ostrośnie poszturczał piką ich martwe brzemię.

— Co tu się stało?

— Nocowaliśmy w lesie — odparł zakonnik. — Napadło nas kilku ludzi i śmiertelnie zraniło naszego towarzysza. Niesiemy ciało do Sacro Convento.

Straśnik zmrużył oczy i obrzucił Jacopone niechętnym spojrzeniem.

Być może szukał liszajów na zniszczonej skórze pokutnika. Obszedł ich wkoło, drapiąc się z namysłem po klatce piersiowej, co stanowiło odpowiednik gładzenia brody przez człowieka o bardziej filozoficznej naturze. W końcu machnął ręką, że mogą przejść.

— Będę patrzył, czy idziecie, gdzie powiedzieliście — uprzedził. Ze swojej wartowni miał niczym nieprzesłonięty widok na górny kościół

bazyliki po drugiej stronie piazza i schody prowadzące do kościoła dolnego oraz Sacro Convento.

Ruszyli przez plac. Przedłużające się milczenie Jacopone coraz bardziej niepokoiło Konrada i wzbudziło nawet nieufność strażnika.

Twarz, która pojawiła się w okratowanym okienku klasztornej furty, kiedy Konrad pociągnął za sznur dzwonka, również przybrała sceptyczny wyraz. Ale pustelnikowi mimo wszystko uśmiechnęło się. Nie znał furtiana i ten jego chyba też nie rozpoznawał. Co więcej, młodego braciszka, sądząc po tym, jak zmarszczył nos, bardziej poruszył opłakany stan odzienia obcych niż widok trupa leżącego między nimi na ziemi.

Konrad znowu opowiedział o napadzie.

— Przynieśliśmy chłopca, żebyście go tu pochowali — zakończył.

— Miał być jednym z nas. Za pasem ma list od biskupa Genui adresowany do brata Bonawentury.

Mnich puścił jego wyjaśnienia mimo uszu.

— Zamierzacie się tu zatrzymać? — spytał lodowatym tonem.

— Ja nie. W każdym razie nie dzisiaj. — Konrad nie wiedział, jaką reakcję wywołałby tutaj jego stary połatany habit, chociaż pogardliwa mina furtiana pozwalała się tego domyślać. Gdyby bracia uznali, że

obnosząc się ze swym ubóstwem, udziela im reprimendy, mógłby znowu trafić do klasztornej lochy i biblioteki nawet by nie zobaczył.

Teraz, stojąc wreszcie przed furcią Sacro Convento, stracił jakoś ochotę na jej przekroczenie. — Za mojego towarzysza nie będę mówił — dodał. Odwrócił się do Jacopone i stwierdził, że ten ulotnił się w międzyczasie cicho jak rosa parująca z dachówek. Rozłożył bezradnie ręce.

— PomóŜ mi wnieść chłopca — poprosił furtiana. — Mój towarzysz... — zawiesił głos, bo nie potrafił wyjaŝnić znikniêcia Jacopone.

Furta otworzyła siê z przeraŝliwym zgrzytem. Młody mnich chwycił

za Ŝerdzie noszy i nie czekajac, aŜ Konrad podniesie je z drugiej strony, wciagnal ciało Enrica do srodka. Z jego zachowania wynikało, Ŝe wê-

drowiec nie jest tu osobą poŜadana i im szybciej pójdzie swoją drogą, tym lepiej.

Konrad popatrzył po raz ostatni na zwłoki niedoszłego nowicjusza, na bruzdy wyŜłobione w ziemi przez Ŝerdzie i na rozpięty między nimi habit. Z tego wszystkiego o mało nie zapomniął o zabitym zakonniku i o człowieku z piką!

— Został tam jeszcze jeden ranny zakonnik — powiedział. — LeŜy w zrujnowanej kapliczce przy rozstajach Porziano. To brat Zefferino.

Furtian przeszył go spojrzeniem. Najwyraźniej znał to imię.

— Zostawiliście rannego brata, a przynieśliście tego trupa?

— Kiedy opuszczaliśmy kapliczkę, obaj jeszcze Ŝyli. Obiecałem bratu Zefferinowi, Ŝe przyślę kogoś po niego. Chyba znajdzie się u was dwóch silnych braci, którzy podejmą się tego zadania?

Furtian spojrzal Konradowi w oczy, próbujac w nich wyczytac, co teŜ moŜe laczyć tego Ŝebra z Zefferinem.

— Dopilnuję tego — mruknął w końcu i chciał zatrzasać furte, ale Konrad go powstrzymał.

— Jeszcze jedno pytanie, bracie. Czy jest tu wśród was brat Jacoba?

154

— Brat Jakubina? Nie znam zakonnika o takim imieniu. MoŜe chodzi ci o siostrę Jakubinę? Jacoba to Ŝeńskie imię.

Nie dało się temu zaprzeczyć. Konrad, uŝwiadamiajac sobie, Ŝe przeoczył tak oczywisty fakt, poczuł się nagle jak ostatni głupek. MoŜe źle odczytał drobniutkie pismo Leona? Najchętniej wyciągnąłby list tu i teraz i ponownie mu się przyjrzał, zwalczył jednak tę pokusę. Furtian wciąż baczenie mu się przyglądał, przyglądał mu się równieŜ straŜnik miejski, który przeciął w ślad za obcymi plac i stał teraz u szczytu schodów. Ciekawe, czy widział, jak odchodzi Jacopone? Jeśli tak, znaczyłoby to, Ŝe w jego oczach z tej osobliwej pary pustelnik jest bardziej podejrzany.

— Dziękuję, bracie, za pomoc — powiedział Konrad, naciągając na głowę kaptur. — Byłbym wdzięczny, gdybyś przekazał list biskupa generałowi. Wypadałoby odpisać.

— Brat Bonawentura sam o tym zadecyduje — burknął furtian i zatrzasał mu furte przed nosem.

Z labiryntu uliczek za plecami Konrada doleciał przeraźliwy ryk trąbki. Konrad uśmiechnął się. Pokutnik doszedł już do siebie. Rybka wskoczyła z powrotem do strumienia.

Z sercem lżejszym z dwóch powodów — bezpieczeństwa Jacopone i na tę chwilę, własnego — Konrad oddalał się szybko od Sacro Convento. Wiedział, że wkrótce będzie tu musiał wrócić, ale resztę tego dnia chciał spędzić w samotności. Od kiedy do jego chaty zawitała Amata, nie miał dla siebie nawet chwili. Zostawiwszy za sobą klasztor i nie-

śyczliwego furtiana, zwolnił kroku i skręcił w Via Fonte Marcella.

Znalazłszy się w centrum miasta, Konrad uświadomił sobie, że jeśli chce zostać sam na sam ze swoimi myślami, musi się gdzieś zaszyć.

Uliczki i zaułki budziły się do życia. Dzieci za małe jeszcze, by trafić do terminu, przebiegały obok niego rozwrzeszczanymi gromadami, zmuszając do odskakiwania pod ściany domów, by uniknąć zderzenia.

Ulice i place wibrowały odgłosami i zapachami wytężonej pracy.

155

Garbarze i szewcy, złotnicy, gręplarze ze współpracującymi warsztatami tkaczy i farbiarzy, folusznicy i piłśniarze, płatnerze i rymarze —

wszyscy oni uwijali się jak w ukropie. Konrad przypomniał sobie, że zbliża się święto plonów i kupcy będą uzupełniali zapasy towarów.

Po sześciu latach nieobecności nie poznawał Asyżu. Minął już kilka ekip murarzy, którzy rozbierali drewniane domy i stawiali w ich miejsce budynki z cegły i kamienia. Główne ulice wybrukowane były teraz kocimi łbami i miały rynsztoki do odprowadzania nieczystości. Zachwycała go ta nowa kanalizacja, którą dotąd widział tylko raz, w Pa-ryżu. Jakiś to mądry wynalazek. Dlaczego dopiero teraz dociera do Umbrii? I te kilkupiętrowe budynki szlachty! Rosły jak grzyby po deszczu, w miarę jak kasztelanowie porzucali swoje wiejskie posiadłości i przenosili się do miasta. Było ich tyle i tak wysokich, że ulice przez cały dzień pozostawały w ich cieniu.

Schodził stromą uliczką w kierunku dolnego miasta i bramy San Antimo. Postanowił, że spędzi popołudnie w rozległej dolinie na południe od miasta i przenocuje za murami, w Porcjunkuli, „małej cząstce”, skromnej kolebce powstającego zakonu. W niewielkiej kaplicy, w któ-

rej modlili się pierwsi bracia, kilka najwcześniej zbudowanych cel pozostało w nienaruszonym stanie; a przynajmniej było tak, kiedy Konrad opuszczał Asyż. Rano odwiedzi osobę, która wedle wszelkiego prawdopodobieństwa dała Leonowi welin na list, wdowę donnę Giacomę.

Kiedy zostawił za sobą cieniste uliczki, poczuł, że się ociepliło. Wyszedł za mury i zagłębił się w gaju starych guzowatych drzew oliwnych, obsypanych dojrzałymi owocami. Znalazł młodsze drzewo o gładkiej korze. Usiadł pod nim w kałuży słońca i oparł się plecami o pień. Wyjął

z sakwy pajdę chleba i pogryzając ją, przeczytał jeszcze raz, powoli, list od Leona.

Nic nowego.

Odsunął od siebie welin na długość wyciągniętego ramienia i spojrzął

nań pod słońce. Brat Leon mógł uśyc inkaustu, który pojawia się tylko po 156

podgrzaniu albo podświetleniu pergaminu. Ale tu mentor również go rozczarował. Do treści listu, którą już znał, nic nie przybyło, nic z niej też nie ubyło.

Czytaj oczami, poznawaj rozumem, sercem wydobądź prawdę zawartą w legendach. W legendach. Liczba mnoga. Tu może leśeć punkt zaczepienia. Legendami nazywano śyciorysy świętego Franciszka. Ale o które z nich chodzi? O ten spisany przez Bonawenturę? Na pewno.

Bóg podsunął mu tę wskazówkę, kierując czwartego października jego kroki do Sant'Ubaldo. W Sacro Convento bez trudu odnajdzie kopię Legenda Major — śyciorysu większego.

Słowa Pierwsza Tomasza mogą wskazywać na jeszcze inną legendę

— oryginalną biografię świętego Franciszka spisaną przez Tomasza z Celano i zwaną Legenda Minor, czyli śyciorysem mniejszym. Ale ministrowie prowincjonalni nakazali przed pięcioma laty jej zniszczenie, ten sam los spotkał wszelkie wspomnienia opublikowane przed oficjalnie uznanym śyciorysem świętego Franciszka autorstwa Bonawentury. Jeśli nawet w bibliotece Sacro Convento ostała się jakaś kopia śyciorysu mniejszego, to mu jej nie udostępnią. Ale mogą istnieć jeszcze inne legendy, z którymi, zgodnie z wolą brata Leona, powinien się zapoznać.

Jednak list nie zawierał śadnych dodatkowych wskazówek.

Gnębiła go też sprawa tego brata o śeńskim imieniu. Leon napisał

wyraźnie Brat Jakubina. Ale furtian też miał rację — Jakubina to imię śeńskie. Może Leon chciał napisać: „Jakubo” albo „Jakopo”, albo „Ja-komo”? Niewykluczone. Tak mało miał danych, a tego by jeszcze brakowało, śeby jakiś błąd literowy skierował go na fałszywy trop.

Słońce stało już wysoko na niebie, kiedy Konrad poniechał doszukiwania się znaczenia treści listu. Znał go już na pamięć jak dziecko pacierz. Podniósł się z ziemi, zwinął pergamin i schował go pod habit.

Do stóp i kostek przylgnęło mu kilka niesionych podmuchem wiatru, wilgotnych zwiędłych liści. Ruszył bez celu przez gaj.

157

Zatrzymał się, by podnieść obciętą gałąź. Przyjrzał się sękowi w po-

łowie jej długości, potem wetknął w cuchnącą kupę zielono-szarych liści oliwnych, słomy i nawozu,

która piętrzyła się między dwoma rzę-

dami drzew. Kręcąc gałęzią, wiercił dziurę, żeby wpuścić pod spód wilgotne powietrze. W stosownym czasie kmieć będzie miał czym użyć swoje pole; w stosownym czasie on znajdzie odpowiedzi na dręczące go pytania. Na razie i kompost, i podpowiedzi Leona muszą dojrzewać.

Odrzucił ubrudzoną gałąź. I nagle przypomniał mu się sposób na zapoczątkowanie w takim śmietniku procesu kiszenia, którego nauczył

go ojciec. Rozejrzał się i upewniwszy się, że nikogo nie ma w pobliżu, uniósł habit i nasikał na stos. Pamiętał, jaki dorosły się czuł, kiedy mając pięć lat, stał pewnego ranka obok ojca i obaj siusiali na swój ogród-

dek warzywny.

Konrad tęsknił za ojcowską miłością, ale nie należał do tych, którzy lubują się w rozpamiętywaniu przeszłości. Opuścił habit i skarcił się w duchu za tę chwilę zapomnienia. Tak, w stosownym czasie dostanie ten decydujący składnik niezbędny, by bezładne na pozór słowa Leona zaczęły fermentować i nabierać sensu. Drgnęły mu kąciki warg i prawie się uśmiechnął, kiedy spróbował sobie wyobrazić, jaką tę postać może przybierać bośsek siusiania.

Bardzo potrzebował tego dnia dla siebie. Do wieczora wędrował po miejscach świętych dla swojego bractwa. Najpierw udał się nad rzekę Torto, by odwiedzić szczątki prymitywnego szałas, w którym pierwsi bracia przechodzili surową zimową inicjację. Potem wspiął się na górę Subasio aż do carceri, jaskiń, w których zaszywał się święty Franciszek, by w samotności pościć i medytować. W dolinę pod miastem zszedł z powrotem, kiedy cień wpełzał już po zboczu. W zapadających ciemno-

ściach zjadł resztę prowiantu, który ze sobą zabrał, i wszedł do Porcjunkuli.

Stanął w nawie i czekał, aż oczy przywykną mu do półmroku. Patrzył na wyrzeźbionego w drewnie Jezusa zawieszonoego nad ołtarzem, zdającego się wić na krzyżu w migotliwym blasku małej oliwnej lampki.

158

Ujrzał oczyma wyobraźni modlącego się tutaj świętego Franciszka, słyszał niemal jego głos zmieszany z poświstem wiatru wdzierającego się przez wąskie ambrazury w murach.

Leon opowiadał mu, jak święty klęczał przed tym krucyfiksem godzinami, szlochając. Czasami Franciszek kładł się na ubitym klepisku, rozrzucał ramiona i trwał tak nieruchomo krzyżem, dopóki nie poczuł

bólu w mięśniach, a wtedy ten ból i swoją samotność składał w ofierze umiłowanemu Bogu. Ludzie znali Franciszka jako wesołego świętego meša, wyśpiewującego po gościńcach. Słyszeli też jego nawoływania do pokuty i wyrzeczeń. Ale nikt tak dobrze jak Leon nie znał głębi jego samoumartwiania, nikt nie wiedział, jak głodził i dręczył brata Zadka (tak nazywał swe ciało).

Zamęczał go bezsennymi czuwaniem, nie zważając na chorobę, na znużenie, odmawiał mu najcieńszego koca w mroźne lutowe noce. żywił go byle czym, a i to mieszał jeszcze z popiołem, a w końcu, co tu się dziwić, osłabione ciało poddało się, nie nadając za jego nieograniczoną wyobraźnią, i dusza, która już wcz-

ściej, w chwilach ekstazy, opuszczała na jakiś czas swą klatkę, by wznieść się ku niebu, w końcu wyrwała się na wolność i już nie wróciła

— pozbyła się pracowitego Fra Asino .

Wpatrzony w krucyfiks Konrad poczuł naraz rozchodzące się po plecach mrowiące ciepło. Pięto się po kręgosłupie, rozpływało na barki i wlewało w ramiona, unosząc je stopniowo, a w końcu Konrad przybrał pozę umierającego Chrystusa. Głowa opadła mu na bok i pozostawał w tej pozycji, dopóki nie uszedł z niego cały strach i niepewność, jakie odczuwał przed furką Sacro Convento — dopóki nie uzmysłowił

sobie z niezachwianą pewnością, że jest gotowy i bynajmniej nie osamotniony.

— Tak, Panie — wyszeptał. — O cokolwiek mnie poprosisz. — I te słowa wypowiedziały zgodnym chórem jego usta i serce.

XIII

Kiedy niebo pojaśniało na tyle, że można już było bez potykania się wspinać się ścieżką do miasta, Konrad opuścił Porcjunkulę. Krótka pielgrzymka po świętych miejscach zakonu dodała mu nowych sił i w pewnym stopniu podbudowała po dramatycznych wypadkach ostatnich dni.

Widok majaczących w porannej mgle, ledwie widocznych konturów miejskich murów, jeszcze bardziej poprawił mu nastrój.

Kiedy zbliżał się do gaju oliwnego, w którym poprzedniego dnia odpoczywał, mgła zgęstniała. Zwolnił kroku, by nie zboczyć z drogi.

Szedł prawie po omacku i nagle otoczył go zewsząd gwar zaspanych męskich głosów, który po chwili narósł niemal do wrzawy. Słyszał

również ciche parskanie i nerwowy tupot przestępujących z nogi na nogę koni oraz pobrzękiwanie metalu o metal. Jeszcze kilka kroków i stanął pod namiotem z podwiniętymi bokami, oko w oko z kilkoma zdumionymi, na wpół ubranymi rycerzami, sądząc po broni i pancerzach spoczywających na ziemi obok posłań.

— Niech Bóg ześle wam pokój, bracia — powiedział, by wybrnąć jakoś 160

z niezręcznej sytuacji. — Poblądziłem widać w tej mgle.

Mimo wszystko był tylko zakonnikiem, dla takiego nie podnosi się alarmu. Uspokojeni rycerze podjęli wdziwanie rynsztunku.

Pod murami Asyżu, nieopodal gaju oliwnego, biegła starożytna rzymska droga. Leon opowiadał Konradowi o triumfalnym przemarszu tą drogą, zimą 1209 roku, Ottona IV po odebraniu z rąk papieża Innocentego III korony Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Słynący z wyniosłości Innocenty kazał Ottonowi w dzień po koronacji opuścić Rzym i wracać do Niemiec. Chciał w ten sposób dać do zrozumienia cesarzowi i jego sześciu tysiącom rycerzy, obozującym w Wiecznym Mieście, żeby nie popadali w zbyt ni samozachwyty.

Nie bacząc na szorstkie potraktowanie Ottona przez Innocentego, mieszkańcy Asyżu, w większości wierni cesarscy gibelinowie, zgotowali mu huczną owację, kiedy tędy przejeżdżał. W tamtych niepewnych czasach walki o dominację mądre miasto popierało wszystkie frakcje, hołdując zarówno papieżowi, jak i cesarzowi. Wiwatujący mieszczanie przeszkodzili Franciszkowi zamieszkującemu podówczas z małą grupką towarzyszy w szałasie nad rzeką Torto. Franciszek, jak to on, za nic miał święto upieczzonego cesarza z jego ogromnym orszakiem i nowo nabytą godnością. Posłał nawet jednego z braci, by uświadomił Ottonowi marność doczesnych przewag.

Potem, w roku Pańskim 1259, zmarł Fryderyk II, następca „Ottona, a w roku 1268 Karol D'Anjou ściał ostatniego z synów Fryderyka. I tak kręgosłup cesarstwa został raz na zawsze przetrącony, pomyślał zakonnik. Papiestwo zwyciężyło.

Czy aby na pewno? Obecność tylu rycerzy biwakujących przy rzymskiej drodze, gadających i śartujących w rzymskim dialekcie, nie była rzeczą normalną. CzyŜby germańscy ksiąŜeta podjęli swoje destrukcyjne intrygi i zjednoczyli się ponownie pod jakimś nowym wodzem?

Konrad popatrzył podejrzliwie na rycerzy.

161

— Mamy jakąś wojnę, przyjaciele? — spytał.

— Nie po tej stronie Ziemi Obiecanej, braciszku — roześmiał się jeden z nich. — Nie słyszałeś? Nowy papieŜ płynie z Akki do Wenecji.

Zebrałiśmy synów wszystkich szlacheckich rzymskich rodów i jedziemy go powitać, a potem eskortować w drodze do Rzymu. Oj, będzie się działo w tej waszej mieścinie, kiedy będziemy tędy wracali.

MęŜczyzna pochylił się i wrócił do swoich spraw. Nagle, jakby coś mu się właśnie przypomniało, wyprostował się, podszedł do Konrada i przyklęknął.

— Pobłogosław nas na drogę i módl się o nasz bezpieczny powrót, bracie boŜy — poprosił. Pozostali rycerze, słysząc to, przerwali swoje zajęcia i teŜ uklękli.

— Tak teŜ uczynię — powiedział Konrad. Wyjął z kieszeni brewiarz i przewracając stronicę, znalazł modlitwę dla podróżnych. Unosząc dłoń nad ich pochylonymi głowami, przeczytał: — Wysłuchaj, o Panie, naszej prośby i czuwaj nad bezpieczeństwem i pomyślnością twoich sług w podróż się udających...

Dla porządku wyrecytował jeszcze orację pro navigantibus, „dla tych, co na morzu”. Po jego „amen” męŜczyźni przeŜegnali się.

Kiedy pustelnik wychodził spod namiotu, mgła zgęstniała juŜ tak, Őe mury miasta zupełnie się w niej rozplynęły. Był jednak tak blisko Asy-

Őu, Őe nie musiał ich widzieć. Wystarczyło iść pod górę i uważać na końskie odchody.

Znalazłszy się w mieście, Konrad, pomimo mgły, bez trudu odnalazł

dom szlachcianki. Mieszczanie wstali wcześnie, stukali juŜ młotkami, piłowali, przygotowywali stragany do zbliŜającego się święta plonów, zbijali półki na towary, układali deski na kobyłkach, i co kilka przecznic ktoś wskazywał mu drogę.

Donna Giacomina mieszkała, tak jak podejrzewał, w górnym mieście, w połowie drogi między kościołem San Giorgio a bazyliką. Do zaułka, przy którym stał jej dom, wiodła serpentyna krętych schodków odbiegająca

od Via San Paolo. Sam dom wzniesiony był z kamienia i przypominał

twierdzą. Spadzisty, kryty łupkiem dach okalały ołowiane rynny, z narożników których spozierały na pustelnika groźnie przerażające gargulce.

Paszczęki miały szeroko otwarte i deszczówka tryskająca z nich podczas ulewy spadała zapewne na głowy przechodniów. Jedynymi otworami w ścianie górnego piętra były wąskie jak strzelnice szczeliny, co stanowiło ostry kontrast z otwartymi na oścież i wpuszczającymi do środka światło poranka okiennicami w oknach parteru. Szkarłatna, osadzona w kamiennym nadprożu, tarcza herbowa nad wejściem przedstawiała złote polujące lwy, orły z wysuniętymi szponami i kłębowisko śmiej ostrzegających rozdwojonymi języczkami kądźdego, kto podchodził

do drzwi.

Konrad przygarbił się. Znał historię właścicielki tego domu z opowiadań brata Leona. Była córką normañskiej księżniczki z Sycylii, wyspy podbitej przed dziesiątkami lat przez Normanów. Przez osiem lat była Soną Graziana, najstarszego syna rzymskiej rodziny Frangipani, morderczego rodu, którego bali się i słuchali nawet papieże. Ta dziewczeczka wojowników i wdowa po jednym z najpotężniejszych rzymskich panów po śmierci świętego Franciszka porzuciła swój pałac i Wieczne Miasto i przeniosła się do Asyżu, by zamieszkać blisko jego grobu.

Konrad nie był nigdy w domu tak znacznej osoby i próbował sobie teraz wyobrazić, jak te ona wygląda — jest być może przygięta do ziemi wiekiem, ale nadal królewska, włosy i uszy zakryte welonem, który spina drogi diadem, suknia z purpurowej satyny wyszywana klejnotami albo ozdobnymi guzami wlecze się za nią po posadzce, kiedy chodzi po domu, doglądając gospodarstwa i sług, dłonie splecione na brzuchu, by podciągnąć długie rozszerzane rękawy, tak modne teraz wśród szlachetnie urodzonych. Zerknął jeszcze raz na złowrogi herb i zastukał do drzwi masywną mosiężną kołatką. Metaliczny podzwiek rozszedł się echem po zaułku. Konrad nastawiał się, że jak w Sacro Convento, tak i tutaj zza kratki w drzwiach łypnie na niego kolejne podejrzliwe oko, jednak te od razu otworzyły się na oścież.

163

Młodzieniec, który w nich stał, robił wrażenie dokładnie przeciwne niż

oglądany od zewnątrz dom. Był tak ujmujący, uprzejmy i szczerzy, że Konradowi przemknęło przez myśl, że tak musi wyglądać anioł, kiedy przybiera ludzką postać. Gładkie lico chłopca okalały ciemne włosy opadające na czoło grzywką i podwijające się na ramionach. Miał na sobie jasnoniebieskie rajtuzy, filcowe ciżemki i krótką niebieską tunikę z białym obszyciem — barwy Bogurodzicy Dziewicy. Kraj tuniki ktoś obhaftował szlaczkiem z powtarzającego się łacińskiego słowa arna —

miłość.

— Szczęść Boże i witajcie, bracie — powiedział. — Czym mogę służyć?

— Chciałbym się widzieć z twoją panią. Jestem Konrad da Offida, przyjaciel brata Leona.

Młodzian skłonił się.

— Madonna jest jeszcze w kaplicy. — Kiedy to mówił, Konradowi, który przyszedł tu na czczo, głośno zaburczało w brzuchu. Paź jednym tchem dorzucił: — MoŜe zaczekacie w kuchni?

Konrad kiwnął z wdzięcznością głową i ruszył za chłopcem przez przestronną sień. Dom pachniał ciepło płonąca sośniną, z kilku komnat, do których wchodziło się z sieni, dobiegało trzaskanie polan w komin-kach. Na ścianach wisiały arrasy, posadzkę pokrywały trzciniowe maty.

W kątach, do których nie docierało słoneczne światło, paliły się świece z knotami z sitowia. Pod ścianami stały masywne rzeźbione krzesła ze szkarłatnymi poduszkami. Krótko mówiąc, dom donny Giacomy tchnął

wygoda i gościnnością.

— Mamma, gość! — zawołał przewodnik Konrada do kucharki, kiedy minąwszy zmywak, wkroczyli w aromat świeŜo upieczonego chleba, suszących się ziół i gotującego krochmalu. W dzieŜy, obok kociołka z oliwą, czekało na uformowanie i włoŜenie do pieca wyrobione ciasto.

Kobieta krojąca za stołem ser kremowego koloru podniosła oczy na Konrada. Była niewiele od niego starsza, miała taką samą jak chłopiec, gładką cerę — bez wątpienia dzięki latom spędzonym nad parującymi 164

kotłami — i jasną skórę z kilkoma tylko ciemniejszymi znamionami na policzkach i górnej wardze. Jej biały fartuch był poplamiony zupą i sokami, a nagie przedramiona ubrudzone mąką.

— Chleb juŜ ostygł — powiedziała. — Usiądźcie, proszę, z maestro Robertem, bracie.

Siedzący za stołem starszy męŜczyzna w takiej samej jak chłopiec liberii i w niebieskiej mycce na głowie wskazał Konradowi ławę naprzeciwko siebie. Patrzył na niego z zaciekawieniem, ale Konrad dostrzegał w jego spojrzeniu podejrzliwość.

— Chyba was jeszcze nie widzieliśmy w naszych progach, bracie

— odezwał się, kiedy Konrad zajął wskazane miejsce.

— Jestem tu pierwszy raz.

— Znał brata Leona — wtrącił chłopiec.

— Aha. No to serdecznie witamy. Jestem pokojowcem madonny,

do moich obowiązków naleŜy zatem sprawdzanie obcych. Nasza pani ma czasami zbyt miękkie serce, co nie zawsze wychodzi jej na dobre.

Okpiło ją juŜ wielu szarlatanów, szukających darmowego wikt i noc-legu. A juŜ najgorsi są ci poboŜni, mąca jej w głowie opowieściami o wizjach, które jakoby mieli, anielskich głosach, które

słyszeli, próbują sprzedać ząb mądrości Jana Chrzciciela albo talerz z Ostatniej Wieczerzy. Tych talerzy proponowano nam już tyle, że starczyłoby nie tylko dla wszystkich apostołów, ale i paru dziesiątków gości na dodatek. Na pewno rozumiesz. — Zmrużył oczy, co jeszcze podkreśliło ostrzeżenie pobrzmiewające w jego głosie.

— Pewnie rada mieć kogoś takiego jak ty, kto tak pilnuje jej spraw

— powiedział Konrad.

— A gdzieśby tam, braciszku — roześmiała się kucharka. — Nasza pani sama swoich spraw pilnuje. Mówi nam, czego sobie życzy, a my te życzenia w mig spełniamy.

Postawiła przed każdym z mężczyzn drewnianą miskę kaszy owsianej, kubek mleka i pajdę chleba z serem. Lokaj spuścił głowę.

165

— Pobłogosław to jadło, braciszku. Zakonnicy, którzy nas odwiedzają, odwdzięczają się za poczęstunek modlitwą za nasze dusze. —

Wypowiedział tę prośbę z taką samą szczerością, jak wcześniej swoje ostrzeżenie, i Konrad chętnie ją spełnił.

Kiedy skończył kaszę i wycierał do czysta miskę skórką chleba, w nozdrza załaskotał go jakiś inny zapach, miłszy jeszcze od aromatu jadała.

— Frangipani, oczywiście — mruknął lokaj. — Zapach czerwonego kwiatu imbiru. — Wstał i patrząc ponad ramieniem Konrada, powiedział: — Buon giorno, Giacomina.

— Buon giorno wszystkim — odpowiedział przyciszony, lekko drżący kobiecy głos.

Zakonnik zerwał się z ławy, omal jej nie przewracając. Jak to możliwe,

że nie usłyszał wchodzącej do kuchni donny Giacominy?

Szybko się to wyjaśniło. Kobieta była boso. Wspierając się na lasce, podeszła bezszelestnie do stołu. Miała na sobie szarobury habit mnicha.

Konrad dopiero teraz przypomniał sobie, jak Leon opowiadał mu, że donna Giacomina wie o życiu tercjarza. Była kobietą postawną, wyniosłą — co zwyczajne u potomkini bohaterów i bohaterki — ale, o dziwo, na jej pełnym krągłym licu nie uświadczyło się ani jednej zmarszczki. Szpeciła je tylko blizna na policzku. Mogłaby uchodzić za pięćdziesięciolatkę. Konradowi rzuciły się też w oczy jej siwe włosy.

Nie zakrywała ich i nie przystrzygała na modłę niewolnic, lecz zaczęły skromnie na uszy. Spod grzywki patrzyły bystro zielone jak u kocicy oczy.

Konrad zwrócił teŹ uwagę na sposób bycia szlachcianki — czarujący i nietypowy zarazem. Teraz juŹ wiedział, dlaczego słuŹba przyjęła go tak, a nie inaczej. Z donny Giacomy emanowała jakaŹ łagodna władczość, która musiała udzielać się domownikom. Znalazł na nią nawet określenie — gentilezza — dystynkcja, coŹ, czego brakuje większości szlachetnie urodzonych. Zaczynał teraz rozumieć, dlaczego Franciszek i Leon tak kochali i szanowali swoją przyjaciółkę.

166

Przedstawił się raz jeszcze i wyjaśnił powód swej wizyty. Ma kilka pytań na temat listu, który dostał po śmierci Leona, i byłby niezmiernie wdzięczny, gdyby madonna raczyła poświęcić mu kilka chwil.

Kiedy to powiedział, jej twarz pojaśniła.

— A zatem dotarł do ciebie? Tak się martwiłam, Źe to zadanie przerośnie matkę przeoryszę.

— Powierzyła je naj... najwytrwalszej ze swoich podopiecznych.

Donna Giacomina skinęła na chłopca.

— Pio, zaprowadź brata Konrada na podwórzec, do tego nasłonecz-nionego zakątka. Mgła juŹ się rozwiewa. — I zwracając się do zakonnika, dodała: — Załatwię tylko sprawy z maestro Robertem i zaraz tam do ciebie przyjdę.

Pustelnik wyszedł za paziem na otaczający podwórzec kruŹganek.

Wisiała nad nim drewniana loggia wystająca z górnego piętra, natomiast przeciwległa ściana wznosiła się wysoko ponad resztę budynku

— stanowiła twierdzę, w której mogli się schronić domownicy na wypadek, gdyby miasto zostało zaatakowane. Pośrodku podwórca szemra-

ła marmurowa fontanna. Chłopiec wskazał Konradowi kamienną ławę, na którą padało słońce.

Donna Giacomina nie kazała długo na siebie czekać. Na jej widok pustelnik wyciągnął spod habitu list, a kiedy usiadła, rozwinął go i pokazał.

— Mam nadzieję, Źe nie miałeŹ kłopotu z odczytaniem mojego pisma — powiedziała. — Nauczyłam się czytać i pisać w dzieciństwie, ale nie miałam wielu okazji do korzystania z tych umiejętności. Jednak brat Leon uparł się, Źe podyktuje ten list mnie, nie mojemu sekretarzowi.

— Miał widać swoje powody, chociaŹ w tej chwili nie wiem jeszcze jakie. — Przesunął palcem po obwódce otaczającej list. — Powiedział

ci moŹe, pani, co ma znaczyć to tutaj, co napisał własnoręcznie?

Donna Giacomina przyjrzała się z zainteresowaniem obwódce.

— Nie wiedziałam, Œe to część listu. Leon palce miał juŒ niewładne i tak się nad tym mozolił, Œe nie czekałam, aŒ skończy. A minę miał

przy tym jak dziecko, które przyozdabia laurkę dla matki. I tak właśnie pomyślałam, Œe to ozdoba. — Pochylała się nad listem, mruŒąc oczy, w końcu pokręciła głową. — Przeczytaj mi to, proszę. Wzrok juŒ nie ten.

— Zaczyna się od słów: Brat Jakubina wiele wie o idealnej pokorze .

Spąsowiała.

— Tak napisał?

— Stoi tu czarno na białym. I zabija mi klina. Od piętnastu lat jestem w zakonie, a nie słyzałem jeszcze o bracie imieniem Jacoba. Mo-

Œe ty go znasz, pani? O samego początku byłaś związana z zakonem jak nikt inny.

— Och, słodki człowiek. Od lat nie słyzałam tego imienia.

— A zatem znasz brata Jakubinę?

Łzy napłynęły jej do oczu.

— To ja jestem brat Jakubina. A raczej bylam. Święty Franciszek wyświęcił mnie przed ponad pięćdziesięciu laty na honorowego brata, za męskość mojej cnoty, powiedział. — Roześmiała się. — Porównywał mnie do Abrahama, Jakuba i innych patriarchów Izraela. Wiem, Œe uwaŒał to za największy komplement, ale mając wówczas dwóch ma-

łych synków, którzy biegali po domu, bynajmniej nie czułam w sobie mękości.

Otarła rękawem łzy i uśmiechnęła się.

— Wybacz, bracie... mój brak mękości. Twoje pytanie wywołało powódź wspomnień. — Bawiła się fałdami swojego habitu, to je mnać, to rozprostowując. Korzystając z tej przerwy, Konrad zebrał myśli.

Leon jeszcze raz go zadziwił.

— No dobrze, powiedz mi zatem, pani, co wiesz o idealnej pokorze

— odezwał się po chwili.

ZłoŒyła splecione dłonie na podołku i zapatrzyła się w nie.

— Brat Leon mówił mi o pokorze — położył nawet nacisk na to słowo — podczas swoich ostatnich odwiedzin, tego samego tygodnia, kiedy napisał ten list. Poprosiłam go po raz setny, żeby opowiedział mi, 168

co widział na górze Alwernia tamtej nocy, kiedy serafin naznaczył ranami Chrystusa ciało naszego błogosławionego ojca. Znałam go tyle lat, a on w swoim z listów, które do mnie pisał, w swojej rozmowie nie wspominał choćby słówkiem o stygmatyzacji — chociaż był ze świę-

tym Franciszkiem, kiedy do niej doszło. I tym razem nie było inaczej.

Tak jak wcześniej niczego mi nie powiedział, powtórzył tylko słowa, którymi Franciszek zbywał ludzi wpytujących o jego ekstazy: *Secretum meum mihi*, moja tajemnica należy do mnie. Wyznał mi jednak po raz pierwszy, że zachowuje milczenie ze świętego posłuszeństwa. Podobno zaraz po śmierci naszego mistrza brat Eliasz wezwał go do swojego gabinetu i zakazał wszelkich rozmów na ten temat.

Obróciła się na ławie twarzą do Konrada i przekrzywiła głowę.

— Rozumiesz coś z tego? Bo mnie wydało się to bardzo dziwne.

Brat Eliasz po odejściu Franciszka sam często mówił o tych ranach.

Łzy znowu napłynęły jej do oczu.

— Eliasz przyszedł po mnie osobiście i zaprowadził do chatki, gdzie dusza naszego mistrza opuściła właśnie ciało. Głowa Franciszka spoczywała na poduszce, którą przywiozłam mu z Rzymu, ale ciało nie było jeszcze owinięte w całun. Leżał tylko w przepasce na biodrach, jak Chrystus przed złożeniem do grobu, i zobaczyłam na własne oczy gwoździe sterczące z jego dłoni i stóp i ranę od włóczni w boku. Za życia skrzętnie ukrywał te rany, i nie widział ich nikt prócz Leona, który się nim opiekował i zmieniał opatrunki.

Brat Eliasz podniósł ciało z maty i powiedział do mnie: „Tego, któ-

rego miłowałaś żywym, powinnaś przytulić do serca po śmierci”. O

dziwo ciało Franciszka nie było wcale zeszywniałe, wydawało się nawet bardziej wiotkie niż za życia, bo przez ostatnie lata jego członki często wykręcał ból. Trzymałam go na rękach bez wysiłku, po latach postu był lekki jak gąska. Zrozumiałam wtedy, co musiała odczuwać Magdalena, kiedy tuliła do piersi swego martwego Pana.

169

Brat Eliasz stał wciąż obok mnie niczym apostoł Jan.

Ostatnia uwaga donny Giacomy zaintrygowała Konrada.

— Zupełnie inaczej przedstawiał mi Eliasza brat Leon, pani.

— Eliasz zmienił się, niestety, po pogrzebie. Kochał świętego Franciszka i dopóki nasz mistrz Śył, troszczył się o niego jak matka o nie-domagające dziecko. Ale nasz święty był równieŜ jego sumieniem.

Kiedy sumienie umarło, dostał obsesji na punkcie zabiegania o władzę i zaszczyty, zarówno dla siebie, jak i dla całego zakonu.

— Powiadają, Œe parał się równieŜ czarną magią.

— To chyba plotka. Ale masz rację. Ja teŜ słyshałam, Œe szukał kamienia filozoficznego. Kardynał Hugolin, protektor zakonu, zostawszy papieŜem, zbudował sobie w AsyŜu pałac, Œeby mieć tu swoją rezyden-cję, kiedy będzie odwiedzał miasto. Ten pałac ma wiele ukrytych komnat i zakamarków.

— Widziałem go — mruknął Konrad — ale tylko od zewnątrz.

— Ponoć brat Eliasz, ilekroć dowiadywał się o bracie, który przed wstąpieniem do zakonu zajmował się sztukami alchemicznymi, wzywał

go natychmiast do siebie i zamykał w papieskim pałacu. Nie tylko zmuszał tych braci do kontynuowania alchemicznych praktyk, ale konsul-tował się równieŜ z innymi — wieszczami i tłumaczami snów.

Konrad skrzywił się.

— To tak, jak wierzyć Pytiowym przepowiedniom. — Taki człowiek nie cofnąłby się nawet przed zawarciem paktu ze złym, pomyślał.

Donna Giacomina ściałnęła brwi.

— Jedno wiem z pierwszej ręki — mruknęła — bo bylam uczest-niczką tego incydentu. Eliasz rozsierdził mnie wtedy tak, Œe nie chcia-

łam z nim juŜ później rozmawiać. Jak równieŜ z kilkoma ojcami naszego miasta. Chyba Œe po to, by wyładować gniew. — Znowu mięła w palcach fałdy habitu.

— Cóż uczynili? — spytał Konrad.

170

— Zdradzili nas — odparła. — Nas wszystkich, którzy chcieliśmy jedynie modlić się u grobu świętego Franciszka. Przez lata wnosiliśmy datki i czekaliśmy cierpliwie na zakończenie budowy dolnego kościoła bazyliki, na dzień, kiedy będziemy wreszcie mogli złoŜyć w godnym miejscu święte szczątki. Kiedy w końcu ten dzień nadszedł, w AsyŜu zebrali się bracia ze wszystkich prowincji, zjechały tu teŜ dziesiątki kardynałów i biskupów. Szliśmy w procesji z San Giorgio, a mnie pozwolono nawet iść z braćmi z Sacro Convento.

Ledwie wkroczyliśmy na piazza przed górnym kościołem, zaatakowali nas rycerze. W tej samej chwili strażnicy miejscy wyrwali trumnę niosącym ją braciom.

Konrad pokiwał głową.

— Leon opowiadał mi o tym porwaniu. Ale chciałbym usłyszeć twoją wersję owego niechlubnego wydarzenia, pani.

— Zapanował chaos: Giancarlo di Margherita, podówczas burmistrz naszego miasta, wyrzaskiwał komendy do swoich strażników i do rycerzy, bracia z przodu procesji wołali o pomoc, wrzeszczeli, obrzucali nawet rycerzy przekleństwami. Bracia idący na końcu nadal śpiewali, bo nie wiedzieli, co się dzieje z przodu. Zakonników, wśród nich Leona, którzy próbowali bronić zwłok, strażnicy bili i obalali na ziemię.

Kilku ranili, wielu stratowały albo pokopały konie. Ja też próbowałam odciągnąć jednego rycerza i dostałam za to żelazną rękawicą w twarz.

Konrad spojrzał na bliźnię szpeczącą jej policzek.

— Poważna to była rana, Giacomino? — Bezwiednie usłyszała zdrobniałej formy jej imienia, tak jak wcześniej zrobił to lokaj. Natychmiast zmieszał się i zarumienił.

Z nieobecnego wyrazu jej twarzy wyczytał jednak, że się nie obraziła.

— Z policzka lała mi się krew, był rozcięty do kości, ale najbardziej bolał mnie widok unoszonej przez strażników trumny. Zabarykadowali się z nią w kościele i otworzyli drzwi dopiero po ukryciu zwłok. Nigdy ich nie odnaleziono. Czuję się taka oszukana, nie wiedząc nawet, gdzie

ukłęknać, by być blisko mojego mistrza.

— Ale prałaci na pewno protestowali...

— Owszem, lecz bez skutku. Nawet Ojciec Święty zaprzyjaźniony z Eliaszem od czasów, kiedy był jeszcze kardynałem protektorem zakonu, potępił złodziei i nazwał ich zuchwałymi barbarzyńcami. Porównał Giancarla do świętokradcy Uzzy, którego Bóg poraził, kiedy pró-

bował dotknąć Arki Przymierza.

— I wszystko to ukartował Eliasz?

— On, Giancarlo i jeszcze kilku. Zapytałam ich kiedyś, długo po tamtych wypadkach: „Dlaczego to zrobiliście?”. Giancarlo twierdził, że procesja wymknęła się spod kontroli i przstraszył się, że ciało zostanie rozerwane na strzępy przez łowców relikwii. Eliasz powiedział, że naszego świętego chcieli porwać perugiańczycy. Obaj pletli głupstwa!

Nasza procesja szła bardzo spokojnie. Panował w niej nastrój takiej powagi i skupienia, jak na niedzielnej mszy u Ubogich Pań. A perugiańczycy, gdyby naprawdę chcieli porwać ciało świętego Franciszka, to mieli po temu okazję bez liku przez te cztery lata, kiedy spoczywało jeszcze w kościele San Giorgio. Zresztą gdyby się na to poważyli, ruszyłaby przeciwko nim święta krucjata. żeby ująć cało z trumną z Asy-

— Su, musieliby w pierw wyciąć tu w pień wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci.

— Powiedziałaś, pani, że byli w to zamieszani jeszcze jacyś zakonnicy?

— Nie zakonnicy. Rycerzy prowadził signore z Rokki ze swoimi synami. Widziałam również Angela, brata świętego Franciszka, stoją-

cego ze szlachetnie urodzonymi w przedsionku kościoła.

— Znałaś go?

— Nie. Widziałam go wcześniej tylko raz, kiedy biskup Guido błogosławił plac pod budowę bazyliki. Elias mi go pokazał, mówiąc, że to wielki dobroczyńca. Powiedział też, że ten człowiek ma posiadłość we wspólnocie Todi.

— Aha. — Konrad przymknął oczy i oparł się plecami o kolumnę za 172

ławą. Splótł dłonie na ciemieniu i ścisnął mocno, próbując sobie przypomnieć, co powiedziała Amata o jego chacie. Miało to coś wspólnego ze Wzgórzem Piekielnym, na którego stoku wznosiły się teraz bazylika i Sacro Convento. Jednak w skupieniu się przeszkadzało mu wspomnienie jej ciemnych niewinnych oczu. Nie mógł sobie przypomnieć tamtych słów.

No nic, mniejsza z tym. Znalazł brata Jakobinę. Przybliżył się o krok do ustalenia, co rozumiał Leon pod słowami secretum meum mihi, a ta tajemnica miała coś wspólnego z wizją serafina, jaką miał święty Franciszek na górze Alwernia.

XIV

Konrad usiadł na podwórku domu donny Giacomy pod Śółknącymi z jesienią liśćmi i otworzył brewiarz. Nie dowiedział się juŚ niczego wię-

cej od damy, okazało się jednak, Śe ta moŚe mu pomóc w inny sposób.

Kiedy wspomniał, Śe musi się udać do Sacro Convento, natychmiast orzekła, Śe przedtem trzeba zrobić coś z jego zaniedbanym wyglądem.

Posłała od razu po słuŚącą, która strzygła i goliła domowników, lecz Konrad ani myślał dopuszczać tej kobiety do swych włosów. Pamiętał, co spotkało Samsona, i wolał dmuchać na zimne. Zdawał sobie jednak sprawę, Śe musi odświeŚyc tonsurę, i zgodził się, kiedy donna Giacoma zaproponowała, Śe sprowadzi cyrulika męŚczyznę z miasta.

Cyrulik spisał się doskonale. Ogolił zakonnika, ostrzygł, ukształto-wał i wyeksponował tonsurę. Rozmawiając potem z maestro Robertem i donną Giacomą, Konrad nie mógł się go nachwalić, Śe taki porządny, Śe skończywszy, zamiótł podłogę i wybierał najmniejsze nawet włoski. Lokaj wybuchnął śmiechem.

174

— On słyssał, Śe byleś bliskim przyjacielem brata Leona, którego wszyscy tu czcimy — wyjaśniła donna Giacoma — i Śe Leon często słaWił twoją świętość. Nie rumień się, bracie. Leon miał o tobie jak najlepsze mniemanie. Ten cyrulik, człek o skromnych dochodach, uznał, Śe twoje włosy mogą być kiedyś w cenie, zebrał je więc jako ewentualne zabezpieczenie na starość.

— I byłby ci bardzo wdzięczny, gdybyś się zbytnio nie ociągał —

dorzucił Roberto. — Kanonizacja długo trwa. Nasz cyrulik strzygł juŚ

wielu zakonników. Włosy wszystkich na wszelki wypadek zbiera i przechowuje w małych dzbanuszkach, kaŚdy oznaczony symbolami, w których tylko on potrafi się rozeznąć.

Czytającemu teraz na podwórku Konradowi zimno było w wygoloną szyję i policzki. Zamknął brewiarz i uśmiecnał się na wspomnienie prymitywnej wiary — i oportunisty — cyrulika. Spod arkad kruŚganka wyszła, utykając, donna Giacoma ze zwojem szarej tkaniny pod pachą. Najwyraźniej czekała, aŚ skończy swój codzienny obrządek.

— Mieszczanie przynoszą często do mnie dary dla braciszków —

powiedziała. — Wiedzą, Śe nie wolno wam przyjmować pieniędzy.

Pewna dama dała mi wczoraj dwa soldi i kupiłam ci za nie materiał na nowy habit. Prosiła, Śebyś w zamian pomodlił się o zbawienie jej duszy.

Czekała na odpowiedź. Konrad wzruszył ramionami i uniósł ręce.

— Chyba nie mam innego wyjścia, jak przyjąć ten dar i pomodlić się za tę dobrą kobietę. — Zebrał w garść przód swojego starego habitu.

— Ale proszę, donno Giacomo, przechowaj u siebie tego starego przyjaciela. Odbiorę go, wracając w góry. — Z czułością matki pieczącej bliźnię po skaleczeniu na rączce dziecka pogładził zszyte rozdarcie na rękawie.

— Pod warunkiem, że pozwolisz go uprać. Z całym szacunkiem dla twoich umartwień, bracie Konradzie, robactwo nie jest w tym domu witane tak mile, jak na twojej skórze.

175

Konrad kiwnął głową i uśmiechnął się z przymusem. Czy to aby na pewno ta sama kobieta, której cnotę tak wychwalał święty Franciszek?

Słowa, które teraz wypowiedziała, mogłyby paść z ust każdej zwyczajnej gospodyni. Potarł ramię, wyczuwając na nim bąble i strupki po niezliczonych maleńkich ukłuciach i ukąszeniach, owe nieustające kary tak niezbędne w umartwianiu ciała.

— Rób, jak uważasz — mruknął, z trudem poruszając szczęką, której mięśnie, jak przy każdej sugestii zmiany, i teraz mu zeszywniały.

Jego serce się buntowało, choć zdawał sobie sprawę z konieczności tego kamuflażu.

Donna Giacomina przyglądała mu się z dziwnym lękiem w oczach, co było u niej rzeczą niespotykaną. Zrozumiał dlaczego, kiedy znowu się odezwała, by nieśmiało zaproponować mu rzecz niebywałą:

— Habit będzie gotowy jutro. Jeśli sobie życzysz, możesz wtedy słuszenie napełnić balię ciepłą wodą, żebyś się mógł wykąpać.

Tym razem naprawdę przeciągnęła strunę!

— Madonno, przesiedziawszy tyle czasu u stóp naszego mistrza, musiałaś z pewnością nie raz słyszeć, jak mówi, jaką deprawującą i gorszącą czynnością jest kąpiel. — Konrad zaczerwienił się, wyobrażając sobie siebie nagiego. — Człowiek nie tylko ogląda swoją, przeproszę za wyrażenie, nagość, ale jego słaba dusza może ulec pokusie delektowania się ciepłą wodą, poddania się zmysłowości, którą ta budzi, omywając mu skórę...

— Nic więcej nie mów, bracie. Spodziewałam się takiej reakcji.

Wzdragam się wodzić cię na takie pokuszenie nie mniej, niż ty wzdrgasz się skazywać swoich przyjaciół insekty na wytrzebiecie.

MoŹe i się uŹmiechnęła, ale zanim zdąŹył na nię spojrzeć, odwróci-

ła się i oddaliła. Dobra i wielkoduszna była z niej dama, nie spotkał

milszej od czasu rozstania z Rosanną; szkoda tylko, Źe nie wyzbyła się próŹnoŹci i troski o czystoŹć, które przystoją głupszym, bardziej

frywolnym kobietom.

W Źwięto biskupa Dionizego i męczennika Eleuteniusza, trzeciego dnia pobytu Konrada u donny Giacomy, na ulicach AsyŹu rozpoczęło się Źwięto plonów. Zakonnik postanowił wypróbować swojå zmienionå powierzchownoŹć w szerokim Źwiecie. W nowym habicie i sandałach, bez brody i prawie łysy, nie czuł się sobą. MoŹe wśród ludzi uda mu się przywyknåć do siebie tak przeistoczonego, zanim przeståpi próg Sacro Convento.

Targ miał trwać dwadzieŹcia jeden dni, ale ciekawskich wszystkich stanów było juŹ na ulicach tylu, ile gwiazd na bezchmurnym niebie.

Konrad widział wszędzie chłopów w odŹwiętnych tunikach w otoczeniu wybałuszajåcych oczy rodzin, uskakujåcych przed wozami, wózkami i osiołkami obładowanymi towarem na handel, gapiåcych się z rozdzia-wionymi gębami na cudeńka wystawione na straganach. Rządcom trudno będzie przez tych kilka tygodni zagonić pańszczyźniane chłopstwo do roboty, której po Źniwach huk: do reperowania uprżęŹy, ostrzenia kos i motyk, zwoŹenia z lasu drewna na opał i naprawy dachów.

Chłopi zawsze znajdå jakiś pretekst, by wyrwać się do miasta. CzyŹ

nie potrzeba im soli do zakonserwowania mięsa? Czy ich Źony nie mu-szå zaopatrzyć się w barwniki do ufarbowania ubrań dziatwie? Kobiety teŹ podczas targu nie będa Źyły, przedły ani wyrabiały Źwiec na nocne stoliki swoich pań. I gdzieŹ poŹród drobnych zakupów wieŹniacy znajdå zawsze czas na dotknięcie pawiego pióra albo róŹowej skórki feniksa, na pogapienie się na popisy linoskoczków, na tańcåcego niedŹwiedzia, na popłakanie przy rzewnych balladach trubadurów. W tej sytuacji rządcom nie pozostanie nic innego, jak machnåć na wszystko rękå i teŹ

wybrać się na targ po cynober i kraplak do farbowania szat pana, po noŹyce do strzyŹenia owiec, po grzebienie do czesania wełny, wrzecio-na, gręple i łój.

177

Podczas gdy chłopstwu tych kilka tygodni upłynie na wymigiwaniu się od obowiåzków, straŹnikom miejskim ich przybędzie. W karczmach i pod namiotami, gdzie wino leje się strumieniami od Źwitu do nocy, na pewno będa wybuchały burdy. Odgłosy awantury dobiegajåce z otwartego namiotu, do którego się zbliŹał, przypomniały Konrowi, Źe na targach dziejå się takie rzeczy.

Zajrzał do Źrodka. Rozsierdzony sprzedawca wina pokazywał ludziom jakåŹ monetę.

— Siedzi tu od samiuŹkiego rana, Źłopie moje wino i tym mi płaci?

Przeciętym na pół srebrnikiem! Albo wysupłasz prawdziwego denara, albo, na świętego Mikołaja, rozbiję ci ten dzban na łbie!

— Vaffanculo! — wybełkotał wieśniak. — Twoje wino jest rozrobione pół na pół z wodą, to najcieńsze vino di sotto, jakie piłem. Za połowę wina, połowa monety.

Krzepki wieśniak dźwignął się z ławy i dla równowagi przytrzymał

stołu. Podsunął sprzedawcy pięść pod nos i ku przerażeniu Konrada wyprostował palce wskazujący i serdeczny na podobieństwo diabelskich rogów. Patrząc między tymi rogami, ciągnął:

— Niechaj ci, co dolewają wody do wina, strąceni zostaną w najgłębszy krąg piekieł, niech im tam diabli dmuchają w oczy dymem z siarki i niech z kowadłem przywiązany do jajec umykają po polach Hadesu przed wszystkimi ziejącymi ogniem kundlami szatana.

W namiocie podniosła się nieopisana wrzawa. Większość klientów brała stronę sprzedawcy, bo awantura przeszkadzała im w picciu.

— Rozwał mu czerep i wyrzuć! — krzyknął mężczyzna siedzący najbliżej pijanego.

Ale wieśniak jeszcze nie skończył. Podniósłszy głos, żeby przekrzywić protestujących, wytknął palcem popleczników sprzedawcy i wrzasnął:

— A wszyscy ci, co są za rozcieńczaczami wina, niechaj zostaną przykuci łańcuchem do dziury w diabelskiej dupie, i niech klucz od

klódki zostanie wrzucony w najgłębsze bagno, i niech szuka go ślepiec bez rąk i nóg...

Na tym klątwa się urwała, bo sprzedawca podskoczył i wyrzucił

chłopa dzbanem w czoło. Chłop zatoczył się do tyłu i ława podcięła mu nogi. Fiknąwszy kozła, rąbnął potylicą o ziemię. Przy ryku aprobaty reszty klienteli sprzedawca złapał go za nogi i wywłókł z namiotu.

Głowa wieśniaka podskakiwała na kocich łbach i zostawiała na nich krwawy ślad.

— Proprio uno stronzo — mruczał sprzedawca wina. —

Skończony dupek.

Zostawił jęczącego człowieka z tuniką podciągniętą pod szyję, zbyt oszołomionego, żeby nawet usiąść, na placu u stóp Konrada.

Konrad pochylił się, żeby przyjrzeć się lepiej brudnej, zalanej krwią twarzy. Wieśniak, osłaniając oczy dłonią przed rażącym słońcem, patrzył na niego tępo spod przymrużonych powiek. Nagle oczy wyszły mu na wierzch, uniósł się na łokciach i próbował odczołgać.

— Aj, aj! To kościół. JuŜ po mnie, umarłem!

— Chyba nie. Będzie cię bolała głowa, ale wyŜyjesz. Czerep masz twardy jak hełm krzyŜowca!

MęŜczyzna opadł z powrotem na ziemię, znowu waląc potylicą o bruk. Skrzywił się i zamknął oczy.

Konrad przyklęknął przy nim i uśmiechnął się ironicznie. MoŜe źle zrobił, pozostając tak długo na odludziu? MoŜe Amata miała rację — na górskim szczycie kaŜdy moŜe być świętym. Prawdziwi święci sprawdzają się w wierze, śpiesząc z pomocą takim jak ten ludziom, słuŜąc biedaczkom Chrystusa, jak nakazał mu Leon. Przez chwilę ujrzał dla siebie, najuboŜszego z ubogich, inne powołanie: pracę wśród ludzi i głoszenie Słowa BoŜego. Serce mu urosło. Tak robi, kiedy tylko upora się z tym, co ma do załatwienia w Sacro Convento. Powie „tak” tak zwanemu realnemu Ŝyciu, a nawet zagłębi się w jego detalach: pijany chłop zbryzgany winem i krwią, siwe krzaczaste brwi Roberta, spotykające się nad nosem i ocieniające jego powaŜną twarz, dziób ptaka z kości 179

słoniowej wyrzeźbionego na rączce laski donny Giacomy, długie...

Tu jego umysł stanął dęba, bo pomyślał „długie nogi Amaty”, długie, jasne, zgrabne i mocne, takie, jakimi je zapamiętał z tamtego górskiego zbocza, jakimi musiał te nogi — i nie tylko — widzieć Enrico w swoją ostatnią noc na ziemi. Tu Konrad powinien powiedzieć sobie

„dość”. Gdyby powiedział tym nogom „tak”, nawet gdyby pozwolił

sobie tylko je wspominać, byłby zgubiony jak tamten chłopiec z Vercelli.

Konrad źle spał tej nocy i jeszcze długo po wschodzie słońca jego umysł wzdragał się na samą myśl o Amacie. Chodził po wielkiej komnacie, zatrzymując się od czasu do czasu przy oknie, by wyrzeć przez szpary otwartych Œaluzji na wstający dzień. Maestro Roberto wyszedł z domu. Oddalał się wzduŒ Œcian wąskich domów i w końcu znikł mu z oczu, schodząc po prowadzących w dół schodach.

— Buon giorno, padre — usłyszał za plecami i odwrócił się na pięcie.

Donna Giacomina znowu go zaskoczyła, wchodząc boso z korytarza.

ZdaŒyła zauwaŒyć, Œe znajduje w tym upodobanie, Œe to taki jej mały prywatny figiel. Musiała bardzo ostroŒnie stawiać łaskę, Œeby nie stuka-

ła. Kiedy nie chciała mu spłatać tego psikusy, słyszał z daleka, jak nadchodzi.

Przyjrzała się bacznie jego twarzy.

— Zastanawiasz się, jak cię dzisiaj przyjmą w Sacro Convento?

— Szczerze mówiąc, to nie, madonna . Przez całą noc bolałem.. -

181

opłakiwałem duszę, która na pewno skazana jest juŒ na potępienie.

Otóż, poznałem niedawno... inteligentną młodą kobietę. Powiedział-

bym, Œe zbyt inteligentną, Œeby wyszło jej to na dobre. — Znowu wezbrał w nim gniew. — Siostrę, której zakonny habit nie przeszkadza bynajmniej hołubić w sercu wyuzdania.

Donna Giacomina otworzyła szeroko oczy, uniosła brwi.

— Masz przyjaciółkę, bracie? Musisz się o nią bardzo niepokoić, skoro mówisz z takim zaangażowaniem

— Nie powiedziałem, Œe to moja przyjaciółka! — Œachnął się Konrad. — Opatrzność złączyła na kilka dni nasze ŒcieŒki. To siostra słu-

Œebna, która przyniosła mi list Leona.

Szlachcianka przyglądała mu się wielkimi zielonymi oczyma. Czekwała na dalszy ciąg i zakonnik uświadomił sobie, Œe pragnie to z siebie wyrzucić. Donna Giacomina wskazała mu krzesło z wysokim

oparciem.

Sama teŹ usiadła i Konrad opowiedział jej wszystko, co wie o Amacie.

— Nie zdradzę jej przewin, bo w przypadku części z nich obowią-

zuje mnie tajemnica spowiedzi. Nie wspomnę teŹ o swoich podejrzeniach związanych z nocą, którą spędziliśmy w Sant' Ubaldo, bo to tylko podejrzenia. Ale z tego, czego byłem naocznym świadkiem, wnoszę, Źe suor Amata jest na najlepszej drodze ku wiecznemu potępieniu.

Dama wygładziła fałdy habitu na kolanach gestem, który Konrad rozpoznawał juŹ u niej jako przejaw zakłopotania.

— Mój biedny bracie. JakŹe musiała cię zawieść, zwłaszcza Źe z początku tak dobrze się między wami układało.

Układało? Konrad nie powiedziała by, Źeby między nim i Amatą kiedykolwiek coś się układało, ale słowa jego dobrodziejki poruszyły czułą strunę. Donna Giacomina wejrzała w najmroczniejszy zakamarek jego duszy i wypatrzyła tam rozczarowanie, z którego istnienia sam nie zdawał sobie dotąd sprawy. Miała rację. Amata dosłownie go na jakiś czas zauroczyła. Przypomniał sobie, co czuł, obejmując ją na skalnej półce nad przepaścią.

182

Giacomina westchnęła i przyłożyła dłoń do piersi.

— Nieszczęsne dziecko. IleŹ musiała wycierpieć przez tych pięć lat, Źe tak się teraz zadręcza. Tak bardzo brakuje jej matki.

Konrad poderwał głowę. Nie spodziewał się, Źe donna Giacomina okaŹe współczucie temu tak zwanemu dziecku. Widząc jego reakcję, zacisnęła usta.

— Drogi Konradzie, ani mi w głowie podawać w wątpliwość wysokiego mniemania, jakie miał o tobie Leon. Nawet wśród braci ze świecą szukać takiego, który dorównywałby ci w cnocie, i tylko niezdolnie arogancka leciwa niewiasta powaŹyłaby się doradzać człowiekowi tak jak ty natchnionemu. ZwaŹ jednak, Źe zbyt długo Źyłeś w oderwaniu od świata. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, jaka rzesza męŹczyzn i kobiet walczy co dnia o przetrwanie bez pewności, czy doczeka jutra.

Czy próbowałeś chociaż wyobrazić sobie, co musiała wycierpieć twoja Amata w niewoli, zdana na kaprysy okrutnego mordercy i jego synów? Znam ludzi tego pokroju. Byłam Źoną jednego z nich, mieszka-

łam w jednym domu z jego braćmi. Ci przerośnięci chłopcy zaśmiewali się do rozpuku, kiedy ich lampart, któremu pozwalali buszować swobodnie po domu, zagryzł i częściowo poŹarł pokojówkę. Kobieta miała czwórkę małych dzieci, które bawiły się z moimi synami.

Konrad skrzywił się.

— Wiem, że suor Amata ukrywa nos pod zakonnym habitem.

— A myślisz, że po co on jej? — Szlachcianka sama odpowiedziała sobie na to pytanie. — Bo go potrzebuje! Bo nie ma nikogo, kto by stanął w jej obronie. Bo mając jedenaście lat, musiała się nauczyć, jak się bronić.

— To wciąż nie jest usprawiedliwieniem dla jej zachowania.

— Nie sądź jej pochopnie, bracie. Twojej Amacie w okrutny sposób, gwałtem, odebrano dzieciństwo. Pomiatano ją przez lata. Czy nie zasługuje na wyrozumiałość, jeśli błądzi teraz, szukając miłości i ciepła, których nie dane jej było zaznać? Skoro nasz błogosławiony Zbawiciel mógł przebaczyć Magdalenie, która była starsza i grzeszyła w pełni

świadoma tego, co czyni, skoro On mógł wybaczyć upadłej dorosłej kobiecie i obronił ją nawet przed wieśniakami, którzy chcieli ją ukamienować, to czy ty, idąc za Jego przykładem, nie mógłbyś również

wybaczyć tej biednej, pozbawionej złudzeń dziewczynie?

Konrad poprawił się na krześle. Zdawał sobie sprawę, że weszli na grząski grunt i że polemizując z damą, może stracić w jej oczach.

— Kobiety potrzebują miłości — ciągnęła donna Giacomina. —

Trzeba nas pieścić, przytulać, mówić nam, żeśmy najgładsze, najmą-

drzejsze, wyjątkowe. Tak, tak, powinieneś wiedzieć o tych rzeczach, choć jesteś od nich z dala. Mój pan mógł być czasami strasznym człowiekiem. Już sześćdziesiąt lat, jak mnie odumarł, a ja po jego śmierci poświęciłam się Bogu. Chociaż jednak tyle lat już minęło, zdarza mi się jeszcze boleć nad pustką mego łóżka. Nadal, tak samo jak mych synów, brakuje mi ich dumnego ojca.

Szlachcianka wyciągnęła z rękawa habitu chusteczkę i osuszyła nią oczy. Potem wysunęła szczękę i widząc minę Konrada, zachichotała.

— Zamknij usta, padre. Much ci do nich naleci. Chyba nie zrozumiałeś, o co mi idzie. Bo nie o cielesność. W moim wieku nie pamięta się już tych chwil upojenia. Miałam na myśli poczucie blisko-

ści, tę więź, która pozwala nam, kobietom, kochać mężczyzn i wybierać im najgorsze — czego, jak mniemam, nauczyłyśmy się zapewne od samego błogosławionego Zbawiciela, bo On był taki. Nie znajdziesz opisu podobnej miłości w swoich teologicznych księgach, bo teologowie nie zaznali tego uczucia. Równie dobrze ja mogłabym próbować opisać satyrę, którego nigdy nie widziałam ani nie dotknęłam, chociaż słyszałam, że istnieją takie monstra.

Wzięła głęboki oddech i powachlowała się dłonią.

— Trzeba ci teŹ wiedzieć, Źe nawet te nieliczne niezaleŹne kobiety, które mają wolną wolę i moŹliwoŹci, by zamiast zawierać maŹeństwo 184

pod przymusem, szukać miŹoŹci na wŹasnå rękę, nie zawsze dokonujå roztropnego wyboru — zwiŹszcza jeŹli nie zostaŹy pokierowane wŹa-

Źciwie w mŹodoŹci przez dobrå, troskliwå, stanowczå matkę. Kiedy umarŹ Graziano Frangipani, padŹ na mnie Źmiertelny strach; podejrzewam, Źe naszego Ojca Niebieskiego wybraŹam sobie na swojå kolejnå wielkå miŹoŹć, powodowana nie tylko wiarå, ale równieŹ tym strachem.

Konrad zwiesiŹ gŹowę na piersi. Donna Giacomina zadziwiå go tak samo, jak Amata. Najprawdopodobniej takiego niedoŹwiadczonego meŹczyznę jak on zadziwiå będa zawsze wszystkie kobiety.

I ponownie poczuŹ się upokorzony za to, Źe nie bierze pod uwagę sŹaboŹci nazywanej przez jednych „cielesnoŹciå”, przez innych „miŹo-

Źciå”, która czyni kobiety (zwiŹszcza te mŹode) tak podatnymi na poku-sy zŹego. Jego zdaniem Amata popeŹniaŹa taki sam Źmiertelny grzech poŹådaniania, jak przed niå Francesca Polenta. Jak to powiedziaŹa Amata, kiedy rozmawiali po drodze o Francesce i jej Paolu? „To miŹoŹć jest takim grzechem?”. Dobry BoŹe, ona naprawdę nie odrŹŹniaŹa Źådzdy od więzŹw miŹoŹci opisywanych przez donnę Giacomę. Ale nie jemu to osådzåć. Tutaj dama miaŹa rację. Powinien pamieåać, Źe szatan wykorzystuje Źmiertelny grzech pychy do podstawiania nŹg tym, którzy mają odczytywać sumienia innych.

Spoglådajåc znowu na donnę Giacomę, Konrad zdawaŹ sobie sprawę, Źe z jego oczu wyziera bezradnoŹć. CzyŹ to moŹliwe, Źe jeszcze dziesieć dni temu jego Źycie byŹo takie proste?

— DaŹaŹ mi duŹo do myŹlenia, pani — powiedziaŹ sŹabym gŹosem.

— BŹg ci zapŹać, Źe otworzyŹaŹ przede mnå swŹj dom i swoje wspomnienia.

ZawahaŹ się, a potem drŹåcym lekko gŹosem poprosiŹ:

— JeŹli przez dwa tygodnie nie dam znaku Źycia, wstaw się za mnå, proszę, u generaŹa.

— Odwagi, bracie — powiedziaŹa donna Giacomina z uŹmiechem. —

Brat Bonawentura juŹ wie, Źe jesteŹ moim goŹciem, bo z tego, co dzieje 185

się w mieŹcie, niewiele braciszkom umyka. Powaså mnie i nigdy nie skrzywdziŹby pod swoim dachem mojego przyjaciela.

Konrad nie poznaŹ Piazza di San Francesco. Jak na wszystkich innych placach miasta i tutaj kaŹdå piędz powierzchni zajmowali przekupnie i kramy. Wysoko ponad ludzkim mrowiem wznosiŹa się dzwonnica gŹrnego koŹcioŹa z rozetowymi oknami w wykutych kunsztownie w kamieniu obramowaniach — jedyny tutaj punkt orientacyjny. RuszyŹ

północnym skrajem targowiska. Kiedy mijał bramę, którą przed tygodniem wnieśli z Jacopone zwłoki chłopca, strażnik pomachał do niego.

— Dobrego dnia, braciszku! — zawołał. — Módl się dzisiaj za nas.

Konrad też pomachał strażnikowi. Męszczyzna najwyraźniej go nie poznał. Minął górny kościół i zaczął zstępować po schodach prowadzą-

cych do Sacro Convento. Chociaż słońce przesłaniała gruba warstwa chmur, było mu coraz goręcej pod nowym habitem. Pocił się, a mięśnie łydek i ud omdlewały mu nie wiedzieć czemu, tak jak wtedy, gdy brnął

po kostki w błocie do Sant'Ubaldo obok kmiecego wozu. Zatrzymał się w połowie schodów, przysiadł na stopniu i kontemplował krużganek klasztoru.

Uniśone pozdrowienie strażnika, miast podnieść na duchu, wpędziło w melancholię. To nie była najwyśsza duchowa radość; nie, już bardziej jej antyteza.

Leon opowiadał mu z tuzin razy, jak w pewną ciemną zimową noc wracali boso ze świętym Franciszkiem z Perugii do Porcjunkuli. Habity mieli przemoczone i ubłocone, ich kraje ściał lód i przy każdym kroku obijali sobie o nie boleśnie gołe nogi.

— Bracie Owieczko, czy wiesz — odezwał się ni z tego, ni z owego Franciszek — co przynosi doskonałą radość duchową?

Przez cały dzień nie mieli nic w ustach i Leon, który na post nie był

tak wytrzymały jak Franciszek, pomyślał, że w tej chwili taką radość

sprawiłaby mu miska gorącej zupy. Ale miał na tyle roztropności, żeby nie zdradzać się z tym przed świętym.

— Nie wiem, ojczu — mruknął tylko. — Ty mi powiedz.

— Wyobraź sobie, bracie, że spotykamy na tej drodze posłańca, i ten posłaniec mówi nam, że wszyscy mistrzowie teologii z Paryża wstąpili do naszego zakonu. Ucieszylibyśmy się, ale to by nie była peł-

na radość duchowa. Albo mówi nam, że do naszego zakonu wstąpili wszyscy najwierniejsi papieżowi prałaci, biskupi i arcybiskupi, pospołu z królami Franków i Anglijczyków. To też nie sprawiłoby nam doskonałej radości. Albo że moi bracia poszli do niewiernych i nawrócili ich wszystkich na wiarę, albo że Bóg zesłał mi dar uzdrawiania chorych i czynienia cudów. Powiadam ci, bracie Owieczko, że nic z tego nie przyniosłoby mi doskonałej duchowej radości.

— Czymże więc jest ta zupełna duchowa radość?

— Wyobraź sobie — odparł Franciszek — że przemoczeni i prze-marznięci docieramy do

Porcjunkuli, pukamy do furty, a furtian otwiera i pyta gniewnie: „Coście za jedni?”. A my mówimy: „Jesteśmy twoimi braćmi”, on zaś na to: „Nieprawda, jesteście włóczęgami, którzy oszukują i kradną. Precz stąd!”. I nie wpuszcza nas, tylko każe stać na śniegu i deszczu, o głodzie i chłodzie — a potem, kiedy cierpliwie znosimy wszystkie te obelgi i okrutną odprawę, nie okazując obrazy ani się nie skarżąc, a domyślamy się już, że furtian tak naprawdę nas poznał, lecz Bóg każe mu tak nas traktować — wtedy dopiero mielibyśmy powód do doskonałej duchowej radości, frate Pecorel o .

A gdybyśmy pukali dalej, i znowu wyszedłby do nas zagniewany furtian, a ja powiedziałbym: „Jestem brat Franciszek”, on zaś odrzekł-

by: „Odejdźcie, niewykształceni prostacy. Nie sterczcie tu dłużej, bo nas jest dużo i tak urosliśmy w siłę, że już was nie potrzebujemy. Idźcie do hospicjum Crosiers, może tam was wpuszczą”. I bierze nabitą kol-cami maczugę, łapie nas za kaptury, rzuca w błoto i bije, siniacząc i raniąc nasze ciała — a my znosimy to z pokorą i przyjmujemy obelgi z radością i miłością w sercach, świadomi, że jeśli miłujemy błogosławionego 187

Chrystusa, musimy cierpieć tak jak on — to, bracie Owieczko, to jest właśnie doskonała radość i zbawienie dla duszy.

Konrad potarł między palcami materiał nowego habitu. O wiele bli-

żej pełnej duchowej radości był przed tygodniem, kiedy furtian z Sacro Convento potraktował go jak parszywego kundla. Leon miewał chwile słabości, za to on zachowywał się jak ostatni tchórz. Nie byłoby lepiej zawrócić do donny Giacomy, przebrać się w stary habit i w nim, zdając się na boszą opatrność, zapukać do furty klasztoru? Czy wybierając praktyczną drogę uzyskania dostępu do klasztornej biblioteki, nie postępuje przypadkiem jak ci oportunistyczni bracia, których tak potępia, jak ci, którzy przefrymarczyli ubóstwo za bezpieczeństwo, prostotę za wiedzę, pokorę za przywileje? Czyż Leon w swoim wywodzie nie utrzymywał, że to właśnie praktyczność doprowadziła do poluzowania rygorów reguły Franciszka?

Konrad podniósł się ze stopnia i przytrzymując murka biegnącego wzdłuż schodów, zszedł na sam dół. Przed sobą miał rzeźbione podwoje dolnego kościoła osadzone głęboko pod łukami. Biegły ku nim z obu stron pod kątem dwa szeregi rzeźbionych kolumn kuszących przechodnia, by zaszedł do środka. Konrad nie potrafił oprzeć się temu zaproszeniu. Znajdzie grobowiec Leona, mentor powie mu, co zrobić.

Dolny kościół, słuchający tylko zakonnikom, był mroczniejszy i skromniejszy od wznoszącej się nad nim publicznej bazyliki. Małe okna miały tutaj tradycyjne, półkoliste zwieńczenia, podczas gdy francuski architekt projektujący górny kościół wybrał nowy ostrołukowy styl. Wnętrze kościoła zakonników nie było jednak całkowicie pozbawione ozdób.

Oko Konrada przyciągnął od razu ołtarz na końcu głównej nawy, wzniesionej na podobieństwo miniaturowej arkady z kamienną płytą spoczywającą na połączonych łukami, zdobnych kolumnkach.

Od tamtego miejsca rozpocznie poszukiwanie grobu Leona.

Sunąc dłonią po gładkim kamiennym blacie ołtarza, obchodził go wkoło i wypatrywał wśród płyt posadzki świeżych śladów robót mular-skich. W pewnej chwili zatrzymał się. Dziwne. Jego palce natrafiły na skazę, coś wydrapanego w świętym kamieniu. Przemknęło mu przez myśl, że sprofanował go pewnie jakiś obwieś. Prymitywne patyczkowate wyobrażenie człowieka, takie jak na swoich rysunkach przedstawiają go dzieci. Kreski to nogi i ręce, głowa kółko — a właściwie dwa koncentryczne kółka. Większe otaczało całą figurkę. Nad tym większym wandal wydrapał jeszcze dwa łuki. Ach, ta dzisiejsza młodzież! Nie uszanuje największego świętego tego miasta, niestraszny jej nawet gniew samego Boga!

Zakonnik popatrzył wzdłuż nawy. Artysta Giunta da Pisa wymalował tam scenki z życia Franciszka naprzeciwko fresków z życia Jezusa, którego święty naśladował wierniej niż ktokolwiek ze śmiertelników.

Od ostatniej wizyty Konrada znikły wielkie połacie z dolnych części tych fresków. W regularnych odstępach robotnicy wykuwali w ścianach otwory, robiąc miejsce na boczne kaplice z osobnymi ołtarzami. Coraz większy nacisk kładziony w zakonie na wiedzę zaowocował wielką liczbą kapłanów, a kapłani potrzebowali ołtarzy do odprawiania codziennych mszy. Konrad mszy nigdy nie odprawiał, uważał, że istnieją lepsze od tego wystudiowanego rytuału sposoby zbliżenia się do Boga, ale jego konwentualni bracia przejęli, jak to było do przewidzenia, ową praktykę.

Konrad, przechodząc od kaplicy do kaplicy, zatoczył pełne koło i wrócił do południowego transeptu i kaplicy Świętego Jana Ewangelisty.

Inskrypcje wykute w kamiennych blokach, z których wzniesiono ściany, zaznaczały kilka grobowców. Spoczywał tu brat Angelo Tancredi

— kuzyn świętej Klary — a obok niego brat Rufino. To ostatnie było dla Konrada zaskoczeniem. Nie słyszał o śmierci Rufina. Z wyrytej w 189

kamieniu daty wynikało, że zmarł przed niespełna rokiem. Kiedy ostatni raz odwiedzał Leona, ten dzielił z Rufinem celę w Porcjunkuli.

— Spoczywaj w pokoju i raduj się, przyjacielu — powiedział na głos i jego wzrok padł na kamień, którego szukał: Frater „Leone

Qui Omnia Vident

Obitus

Anno Domini 1271

Inskrypcja była trafna, nawet ironiczna: „Brat Leon, który był

świadkiem wszystkiego”. Ale Konrad wolałby przeczytać słowa: „Brat Leon, który niczego nie przeoczył”.

Ukląkł i dotknął czołem zimnego kamienia. Nie wypowiedział ani nie pomyślał żadnego konkretnego pytania, bo Leon na pewno rozumiał

bez słów jego dylemat. Długo pozostawał w tej pozycji, lecz odpowiedź nie nadchodziła. W pewnej chwili przypomniało mu się zapewnienie Leona, że pomocną będzie mu Amata. Być może powątpiewanie, które towarzyszyło temu wspomnieniu, sprawiło, że Leon teraz milczał.

Pomyślał o apostołach wędrujących ze swoim mistrzem do Jerozolimy. Szli za nim zdezorientowani, ponieważ Jezus powiedział im wla-

śnie, że kiedy dotrą do miasta, będzie musiał wiele wycierpieć i umrze.

Dręczyła ich niepewność, zniechęcała pozorna bezcelowość wszystkiego, co się do tej chwili wydarzyło, stracili wiarę w sens swej misji. I kiedy już całkiem podupadli na duchu, Jezus objawił im się zupełnie przeobrażony, w towarzystwie dwóch starożytnych proroków, i przypomnieli sobie od razu, kto ich prowadzi.

A może, pomyślał Konrad, zbyt wiele oczekuję? Czyby spodziewał

się, że Leon pojawi mu się w chwale, ponownie w towarzystwie świę-

tego Franciszka — drugi raz w ciągu dwóch tygodni? Nawet apostołowie tylko raz byli świadkami Przemienienia Pańskiego.

190

Dźwignął się z klęczek i przeciągnął. Na niego już czas. Niech ci

„trzej towarzysze” — jak nazywali Angela, Rufina i Leona inni bracia

— radują się swoim ostatnim wspólnym spoczynkiem, tyle razem przeszli od narodzin zakonu. To określenie tak się przyjęło i rozpowszechni-

ło, że bracia nazywali teraz ich zakazane obecnie wspomnienia z okresu spędzonego ze świętym Franciszkiem Legenda Trium Sociorum, Relacją trzech towarzyszy.

Nagle zakonnik stanął jak wryty, po czym zawrócił do grobu Leona.

Czy to możliwe, żeby Bonawentura albo któryś z wcześniejszych generałów torturował Leona albo któregoś z jego przyjaciół? Dlaczego towarzysz został okaleczony? — pytał Leon w liście.

— Błagam, mały ojczy, powiedz mi, którego ze swoich towarzyszy miałeś na myśli? — zapytał. — W jaki sposób mam ustalić „dlaczego”, skoro nawet nie wiem, o którego z was chodzi?

Ale i tym razem odpowiedziała mu tylko cisza.

To jeden z tych dobrych braci, pomyślała donna Giacomina, patrząc przez okno za oddalającym się

Konradem. śalowała teraz, Œe go zdenerwowała, ale uwaŒala teŒ, Œe juŒ najwyŒszy czas, Œeby wyszedł z izolacji. Był taki młody — dziecko właŒciwie, w porównaniu z jej osiemdziesięcioma dwoma latami — taki otwarty. Tę samą naiwność i upór widziała u Œwiętego Franciszka. MoŒe właŒnie te cechy czynią takich ludzi Œwiętymi: inspirowana przez Boga nieustępliwość, nie-dopuszczająca Œadnych odcieni szarości do ich czarno-białego Œwiata dobra i zła.

Powróciła myŒlami do jego opowieŒci o młodej dziewczynie tak bardzo doŒwiadczonej przez los. Oczy zaszyły łzami, chciało jej się płakać, krzyczeć z wŒciekłoŒci. MęŒczyźni potrafili być tacy bezwzględni i destrukcyjni, a ich Œony, dzieci i ŒłuŒba musieli potulnie to znosić.

191

Kiedy ŒłuŒący wrócił z miasta, donna Giacomina była juŒ zdecydowana.

— Maestro Robercie, powiedz Gabrielli, Œeby przyniosła mi mój niebieski habit i barbet. Idziemy do San Damiano. Mam sprawę do matki przeoryszy.

Zdziwiony Roberto uniósł brwi. Donna Giacomina rzadko wychodziła z domu.

— PoŒlę po lektykę — zaproponował.

— Nie trzeba — odparła. — Poczułam nagły przyplływ sił.

XVI

Jeszcze przed południem Konradowi przydzielono celę w dormitorium dla księŜy, potem spoŜył w refektarzu swój pierwszy posiłek z większością zakonników. Z większością, ale nie ze wszystkimi. Najwyraźniej brat Bonawentura i główni oficjałowie Sacro Convento jadalі gdzie indziej — najprawdopodobniej przy obficie zastawionym stole

— co bardzo było Konradowi na rękę. Pragnął pozostać w cieniu na tyle, na ile to możliwe w tak nielicznej i izolowanej społeczności, a bezpośrednia konfrontacja z generałem zwróciłaby na niego powszechną uwagę. Po południowym posiłku zakonnicy rozeszli się, a on skierował swe kroki do biblioteki.

— Brat Konrad! Cóż za miła niespodzianka! — Wysoki mnich chwycił go za ramiona i przyłożył suchy policzek do jego policzka. —

Pokój niech będzie z tobą, bracie.

— I z tobą, Lodovicu. Rad jestem, że nadal jesteś tu bibliotekarzem.

Tyle nowych twarzy widzę wkoło, że zaczynałem się zastanawiać, czym nie pomylił klasztorów.

193

— W moich zbiorach też znajdziesz nowości — odrzekł bibliotekarz.

Konrad rozejrzał się po półkach; było ich dwa razy więcej niż za jego czasów. Zwrócił też uwagę, że Lodovico użył słowa „moich”. Chęć posiadania zdawała się na dobre zagościć w tych murach.

Pomimo serdecznego powitania, zasuszona pergaminowa twarz bibliotekarza pozostała nieruchoma jak kamień. Konrad zapomniał już o jego płaskim nosie, opadających powiekach i niespotykanej wysokim czole. Można by pomyśleć, że matka jeszcze przed wydaniem go na świat ugniatała mu główkę. Ta twarz bardziej przypominała maskę, artystyczne wyobraŹenie człowieka, niż rzeczywistą ludzką fizjonomię.

Nowicjusze nazywali go za plecami fra Brutto-come-la-Fame, brat Szpetny-jak-Głód. Lodovica też nie było w refektarzu, co mogło tłumaczyć, dlaczego tak wychudł przez tych sześć lat, w ciągu których Konrad go nie widział.

Komuś, kto bywał w bibliotekach większych klasztorów czarnych mnichów albo na uniwersytetach, izba nad północną arkadą Sacro Convento mogła się wydawać ich skromną namiastką — którą chyba zresztą była. Spełniała podwójną funkcję biblioteki i skryptorium i w każdym wykuszu stał wysoki pulpit z przyborami do pisania. Ale małe okienka, pomniejszane jeszcze przez przecinające je na krzyż ołowiane szybki, wpuszczały za mało światła, by można było przy nim swobodnie czytać czy kopiować. Przy pulpitych nikogo teraz nie było i Konrad domyślał się, że kopiści pracują tutaj tylko do godziny seksty, po której poranne słońce nie pada już na zwróconą ku wschodowi ścianę biblioteki.

Święty Franciszek nie potępiał wiedzy jako takiej, ale nie zachęcał

też swoich duchowych synów do jej zdobywania, ponieważ uważał ją za niepotrzebną i niebezpieczną: niepotrzebną, bo brat może zbawić swą duszę i bez niej; niebezpieczną, bo wiedza może prowadzić do intelektualnej pychy. Eliaszy wybudował Sacro Convento wkrótce po śmierci założyciela, kiedy ściszenia i poglądy świętego miały jeszcze 194

jakąś wagę. Nawet ten światły mnich nie przewidział jednak, że w ciągu

dwudziestu pięciu lat zakon stanie się jedną z najbardziej uczonych instytucji chrześcijańskiego świata.

Konrad pęczniał mimowolnie z dumy, kiedy pomyślał, że bracia zakonu wykładający w Paryżu, Oksfordzie i Cambridge, w Bolonii i Padwie, zaliczają się do najwybitniejszych umysłów Kościoła. Odo Rigaldi, Duns Szkot i Roger Bacon mogli rywalizować z najgenialniejszymi braćmi kaznodziejami, takimi jak Albert Wielki i Tomasz z Akwinu. Z tymi bracia mniejsi i bracia kaznodzieje ze sobą nie rywalizowali, chociaż niektórzy świeccy teologowie próbowali nastawiać te dwa bractwa jeden przeciwko drugiemu.

Zatopiony w tych rozmyślaniach Konrad nie dosłyszał, co powiedział Lodovico. Bibliotekarz wziął go za rękę i podprowadził do stojących

pod ścianą, pozamykanych na kłódki gablot, w których przechowywano prawdopodobnie najcenniejsze manuskrypty. Za tymi gablotami, w najdalszym kącie izby, stało kilka drewnianych kredensów również pozamykanych na żelazne kłódki.

— Ponieważ byłeś jego przyjacielem, ta notatka na pewno cię zainteresuje — ciągnął bibliotekarz. — Znaleźliśmy ją po śmierci brata Leona, ukrytą pod jego habitem. Okazuje się, że została spisana wkrótce po tym, jak na ciele naszego błogosławionego mistrza odcisnięte zostały rany Chrystusa.

Na kołkach nad gablotami wisiało kilka par białych rękawiczek. Lodovico wziął jedną i skinął na Konrada, żeby poszedł za jego przykładem. Potem otworzył jedną z gablot i wyjął z niej ostrośnie zniszczony arkusik. Pergamin pociemniał od dziesiątek lat kontaktu z ciałem Leona. Zakonnik, przed ukryciem pod habitem, najwyraźniej złożył go dwa razy, na co wskazywały zagięcia.

Bibliotekarz z najwyższą ostrożnością rozprostował pergamin. Był

niewiele większy od ludzkiej dłoni i zapisany po obu stronach różnymi charakterami pisma, czarnym i czerwonym inkaustem.

195

Konrad miał trudności z odcyfrowaniem tekstu, więc bibliotekarz przeczytał mu go na głos:

Niech cię Pan błogosławi i strzeże.

Niech Pan rozpromieni oblicze swe nad tobą,

niech cię obdarzy swą łaską.

Niech zwróci ku tobie oblicze swoje

i niech cię obdarzy pokojem.

Konrad rozpoznał błogosławieństwo z Księgi Liczb*. Biskup AsyŃu wypowiedział nad nim te same słowa, wyświęcając go na kapłana. Pod spodem autor notatki dopisał: Niech Pan ci błogosławi, bracie Leonie i podpisał błogosławieństwo grecką literą tau, krzyŃsem wznoszącym się pomiędzy literami imienia Leona.

— Mogę? — Konrad wyciągnął ręce.

Bibliotekarz połoŃył pergamin na jego obleczonej w rękawiczki dłoniach tak ostroŃnie, jakby odkładał do gniazda ptasie jajeczko. Konrad podszedł do najbliŃszego okna. Tekst na odwrocie skreślony został

bez wątpienia ręką Leona. Był to hymn pochwalny, podyktowany mu prawdopodobnie przez świętego Franciszka.

Tyś jest Święty Pan Bóg jedyny, który czynisz cuda... Tyś jest w Trójcy Jedyny... Tyś jest dobrocią, samą dobrocią, najwyŃszą dobrocią... Tyś jest miłością, tyś jest mądrością, tyś jest pokorą, tyś jest cierpliwością, tyś jest pięknem, tyś jest wewnętrznym spokojem, tyś jest radością, tyś jest sprawiedliwością... tyś jest Ńyciem wiecznym, wielkim i przedziwnym... Miłosiernym Zbawicielem.

Słowa te, choć wzniosłe i natchnione, rozczarowały Konrada. W Ńadnym z tekstów nie było najmniejszej wzmianki, Ńe do napisania hymnu

* Księga Liczb, 6,24—6,26.

196

zainspirowała Franciszka wizja serafina. Odwrócił znowu pergamin i Lodovico pokazał mu palcem tekst napisany drobniejszymi literami i czerwonym inkaustem. Dwa krótkie zdania nad i pod literą tau po-

Ńwiadczały, Ńe błogosławieństwo i symbol skreślone zostały ręką samego Franciszka.

— Brat Leon musiał dodać te komentarze później — wyjaśnił bibliotekarz.

Pismo mogło rzeczywiście naleŃeć do Leona. Lodovico przesunął

czubkiem palca po dłuŃszym akapicie, napisanym tą samą ręką i tym samym czerwonym inkaustem ponad błogosławieństwem, zwracając nań uwagę Konrada. Nie czekając na jego reakcję, zaczął znowu czytać głoŃno ponad ramieniem Konrada.

Błogosławiony Franciszek na dwa lata przed śmiercią pościł przez czterdzieści dni na górze Alwerna na chwałę Błogosławionej Dziewicy Maryi, Matki Boskiej i błogosławionego archanioła Michała. I Pan poło-

Źył na nim swą dłoń. Po wizji i słowach serafina oraz odcisnięciu stygmatów Chrystusa na jego ciele ułożył hymn pochwalny i zapisał go własnoręcznie na odwrocie tego pergaminu, dzięki składając Bogu, Źe raczył go tak obdarzyć.

Lodovico zabrał pergamin z rąk Konrada i odłożył go do gabloty.

Konrad stał za nim, rozmyślając o słowach, które przeczytał mu przed chwilą bibliotekarz, i zastanawiając się, dlaczego ten tak skwapliwie pokazał mu pergamin.

— Trochę to dziwne, nie sądzisz, bracie? — spytał.

— Co, Konradzie?

— Te pochwalne strofy. Spisane zostały innym charakterem pisma niż błogosławieństwo dla Leona. Zostały najwyraźniej podyktowane, a jednak osoba, która dopisała uwagę, twierdzi, Źe zapisał go sam święty Franciszek. Zastanawia mnie, czy brat, który pisał pod dyktando, jak mniemam, Leon, i brat, który poczynił dopiski czerwonym inkaustem, 197

to czasem nie dwie różne osoby.

Lodovico zeszywniał i pochylił się nad gablotą, przybliżając oczy do pergaminu. Konradowi wydało się, Źe po raz pierwszy widzi jakieś drgnięcie w tej masce, jakiś drobny grymas ściągający mu w dół kąćki szerokich ust, minimalne pęknięcie w pancerzu bibliotekarza.

Nie czekając na odpowiedź brata Lodovica, Konrad dodał:

— MoŜesz mi pokazać kroniki naszego zakonu?

Jego powrót do Sacro Convento przebiegł gładko — aŜ za gładko, zwierzył się Konrad dwa dni później donnie Giacome. Jedli zupę w kuchni szlachcianki, a on opowiadał, delektując się gorącym posiłkiem i ciepłem bijącym od kominka. Jesienne dni stawały się już prawie tak samo chłodne jak noce, a okna domu donny Giacomy nie stanowiły dla zimna bariery. Maestro Roberto wstawił w nie przed chwilą oprawione w ramy wkładki, ale Konrad domyślał się, Źe pomimo tych zabezpieczeń i licznych kominków, zima da się tej starej kobiecie we znaki.

— Furtian, który w zeszłym tygodniu tak obcesowo potraktował

mnie i sior Jacopone, teraz rozplýwał się w uprzejmościach — powiedział Konrad między jedną a drugą łyŜką zupy. — MoŜe mnie nie poznał? Tak czy inaczej, Źaden z braci mi nie przeszkadza ani o nic nie pyta. Czuję się, Źe tak powiem — niewidzialny. Jest coś fałszywego w sposobie, w jaki mnie traktują, a raczej naleŜałoby powiedzieć, nie traktują.

— Bzdura — powiedziała donna Giacomina. — Mówiłam ci już, Źe za bardzo się przejmujesz, bracie.

Bonawentura nic ci nie robi. Dowiedziałeś się czegoś, co rzuciłoby nowe światło na list brata Leona? Ła-mię sobie nad nim głowę od dnia, kiedy mi go pokazałeś.

— Jeszcze nie.

Opowiedział jej o błogosławieństwie świętego Franciszka dla Leona i dodał:

198

— Znalazłem równieŜ kopię listu, który Eliasz po śmierci naszego mistrza rozesał do prowincjałów. Przepisałem sobie jego fragmenty. —

Wyjął spod habitu zwój z notatkami. — Nawet ja muszę przyznać, Őe to piękny tekst. Był za długi, Őeby przepisać go w całości, ale ten ustęp uznałem za najbardziej poruszający, bo opisuje efekty wizji na Alwerni: Spieszę ogłosić wam radosną nowinę — zdarzył się nowy cud.

Rzecz to niesłychana, Őeby u śmiertelnika pojawiły się cudowne znamiona męki Syna BoŜego, którym jest Pan Jezus Chrystus.

Okazuje się, Őe na długo przed śmiercią nasz brat i ojciec Franciszek został widocznie ukrzyŜowany; nosił na ciele pięć ran, prawdziwych stygmatów Chrystusa. Dłonie i stopy miał przebite na wylot jakby gwoździami; i te rany nie goiły się i miały czarny nalot koloru gwoździ. Bok teŜ miał przebity, jakby włócznią, i często krwawił.

Dopóki duch Őył jeszcze w jego ciele, nie był ładny; twarz miał

mało pociągającą, a Őadnemu z członków jego ciała nieoszczędzone było dojmujące cierpienie. Ale teraz, po śmierci, wypiękniał, bije od niego cudowny blask, i raduje się wraz z nim kaŜdy, kto na niego spojrzy...

Konradowi gardło się ścisnęło i musiał przerwać czytanie. Odchrząknął, podniósł wzrok. Donna Giacomina ocierała oczy opuszką palca.

— Takim go widziałam tamtej nocy, kiedy trzymałam go w ramionach — powiedziała. — Skórę miał białą jak kość słoniowa... Czy słyszysz miłość w tych słowach, bracie? Eliasz nie zawsze był potworem.

Wstała, ale dała znak zakonnikowi, Őeby siedział.

— Ja teŜ mam list, który chciałam ci pokazać. Poczekaj tu w cieple, a ja zaraz go przyniosę.

Wróciła po chwili, podpierając się laską, w wolnej dłoni niosąc pojedynczy arkusz.

199

— To teŜ brat Leon dostał od świętego Franciszka. Podarował mi go w podzięce za drobne przysługi, jakie mu wyświadczyłam. Jak się zaraz przekonasz, dar Leona jest cenniejszy od

wszystkiego, co dla niego zrobiłam.

Położyła pergamin na stole przed Konradem. Był w lepszym stanie niż tamten z biblioteki, ale też nosił brązowe odciski palców. List potwierdzał — jeszcze wyraźniej niż błogosławieństwo — szczególnie afekt, jakim święty darzył najbliższego przyjaciela.

Bracie Leonie, Śycz swemu bratu Franciszkowi zdrowia i spokoju.

Zwracam się do ciebie, mój synu, jak matka. Wkładam wszystkie słowa, jakie wypowiedzieliśmy dotąd w drodze, w jedną krótką sentencję. A zatem, jeśli uznasz za konieczne przyjść do mnie po radę, mówię ci tak: Jakikolwiek sposób wyda ci się najlepszy, by zadowolić Pana Boga i podążać Jego śladami i naśladować Go w ubóstwie, czyn tak z błogosławieństwem Boga i moim pozwoleniem. A jeśli uznasz to za konieczne dla spokoju twojej duszy, albo dla znalezienia pocieszenia, i zapragniesz przyjść do mnie, Leonie, przyjdź!

To był prawdziwy list miłosny. Konrad wyobrażał już sobie, jak cierpiał Leon, rozdzielony na jakiś czas ze swoim mistrzem, i jak koją-

co musiał podzielać ten list od świętego Franciszka na jego krwawiące serce.

— Brat Lodovico popadłby w ekstazę, gdyby to trafiło do jego zbiorów — stwierdził.

— Też tak myślę. Wiem, że moje dni są policzone, i chcę umieścić ten klejnot tam, gdzie otoczą go należąca mu czciami. Zamierzam go podarować Ubogim Paniom z San Damiano, ale za jedną specjalną przysługę w zamian.

Konrad klasnął w dłoń.

— Ha! Idealnie, madonna. Tego z pewnością Śyczyłby sobie Leon.

200

Ubogie Panie swoją wiernością naszej regule zawstydzają dzisiaj braci.

— Radam, że temu przyklaskujesz, bracie. — Uśmiechnęła się i zwijając list, patrzyła na niego swoimi zielonymi oczami tak dziwnie, że się zmieszał.

Od zapachu zgnilizny unoszącego się w bibliotece Konrada kręciło w nosie. Jakiś kontrast ze świeżymi aromatami morza przynoszonymi przez wiatr do jego pustelni od Ankony. Lecz zapach inkaustu i kleju introligatorskiego, miękkość skórzanych okładek manuskryptów pod palcami, rzędy łacińskich tytułów posegregowanych starannie na kategorie, budziły w nim nostalgię za studenckimi czasami. Lubił również

niczym niezmaconą ciszę biblioteki, kiedy nie niepokojony, buszował

między półkami.

Dziwne, ale na pierwszy mglisty trop, mogący prowadzić do wyja-

śnienia zagadki listu Leona, natrafił na półce uginającej się pod księga-mi z eklektycznego działu przewodników. Z przepisami na zwycięstwo w krucjatach sąsiadowały tu dzieła takie, jak *De inquisitione Davida von Augsburga* i *Summa contra haereticos Jacopa di Capellego*, opisujące obowiązki i zasady postępowania braci inkwizytorów, których były teraz setki. Konrad przeglądał również iluminowane przewodniki dla kaznodziejów: *Liber de Virtutibus et Vitiis*, *Dormi Secure Servasanta da Faenzy* oraz liczne księgi z przykładami, z których wszystkie zaczerpnięto zapewne z bajek, bestiariuszy i romansów — były dość obrazowe, ale zdaniem Konrada mało pouczające. Jak kaznodzieje mogli wierzyć, że ich przypowieści o smokach, jednorożcach i antylopach przybliżą słuchaczom Boga? Święty Franciszek, podobnie jak sam Jezus, posługiwał się w swoich kazaniach przykładami wziętymi z Sycylii. „Siewca wyszedł rozsiał swoje ziarno” — to od razu trafiało do prostych ludzi.

Jednak największe wrażenie zrobiła na Konradzie półka z przewodnikami duchownymi, albowiem odkrył na niej dwie księgi napisane przez 201

jego uniwersyteckiego mistrza, Gilberta de Tournai. Większość manuskryptów z tego działu koncentrowała się na ukrzyżowaniu i odwoływała do emocji, ale w niektórych, takich jak *De Exterioris et Interioris Hominis Compositione von Augsburga*, widać było racjonalne germańskie umysły. Lodovico przeznaczył całe dwie półki na przewodniki autorstwa płodnego Bonawentury, i to wśród nich Konrad natrafił w koń-

cu na krótki traktacik zatytułowany *De Sex Alis Seraphim* (O sześciu skrzydłach serafina).

Jak przystało na logiczny umysł i uniwersyteckie wykształcenie, Bonawentura opisywał w nim, jak to każde z sześciu skrzydeł reprezentuje określone stadium rozwoju duchowego. Konrad był pełen uznania dla inteligencji, z jaką generał wykorzystuje w tekście symbole mające pośród bractwa szczególne znaczenie. Ale najbardziej zastanawiał go fakt, że pewien fragment pojawia się w innych dziełach Bonawentury, które na chybił trafił przeglądał.

Kędy byłem na górze Alwernia... przypomniał mi się cud, który spotkał w tym miejscu błogosławionego Franciszka: wizja uskrzydłego serafina pod postacią Ukrzyżowanego... Zrozumiałem od razu, że ta wizja symbolizowała ekstazę naszego ojca pogrążonego w kontemplacji oraz drogę, którą ta ekstaza została osiągnięta.

Postać serafina wyraźnie Bonawenturę fascynowała. Co jednak miał

na myśli, używając czasownika *effingere* w sformułowaniu: ta wizja

symbolizowała ekstazę naszego ojca pogrążonego w kontemplacji?

Czyby święty Franciszek w rzeczywistości nie miał tej wizji? Czyby cała ta historia była tylko symbolem? Z pewnością nie, ale...

Gdyby napisał to inny autor, Konrad nie zwróciłby na tak trywialne zdanie uwagi, Bonawentura

jednak słynął z precyzyjnego formułowania myśli. Przez jakiś czas był nawet wykładowcą na uniwersytecie w Pa-ryŜu, był teŜ rówieŝnikiem i przyjacielem Tomasza z Akwinu. Starannie 202

dobierał słowa. Konrad podszedł z księgą do pulpitu i wyjął swoje notatki. Ciekaw był, ile zdrowasiek zdąŜyłyby tym razem odmówić, zanim podejdzie do niego Lodovico. JuŜ pierwszego dnia spędzonego w bibliotece zauwaŜył, Ŝe ilekroć zapisuje sobie coŝ na pergaminie, Lodovico zjawia się momentalnie u jego boku jak Ŝelazo przyciągane do ma-gnetytu.

Oto i on, pomyślał. ZbliŜające się kłapanie sandałów bibliotekarza ucichło tuŜ za jego plecami.

— Ach, *Itinerarium mentis in Deum* — wymruczał Lodovico z po-zornym brakiem zainteresowania, omiatając wzrokiem pulpit. — Wybitne dzieło. Brat Bonawentura byłby rad, wiedząc, Ŝe stałeś się takim miłośnikiem jego pism.

O czym bez wątpienia doniesiesz mu przy kolacji, pomyślał Konrad z przekąsem. Poczul nagłą potrzebę ponownego przeczytania biografii świętego Franciszka pióra ministra generalnego. Musi jeszcze raz przyjrzeć się temu serafinowi. Gdyby w trakcie lektury natrafił na ślepca, o którym Leon wspomina w liście, tym lepiej.

XVII

O pierwszym brzasku Konrad pospieszył wraz z kopistami do biblioteki. Wielkimi krokami zbliżała się wigilia świętej Ewy, kiedy to przypada najdłuższa noc w roku, i z każdym dniem kurczył się czas, przez jaki w bibliotece było w miarę widno.

Zakonnik od razu skręcił między półki, na których trzymano kroniki początków zakonu. Ku swemu rozczarowaniu, znalazł tam tylko kilka krótkich Źyciorysów niekanonizowanych świętych zakonu, dzieje pierwszych braci w Anglii Tomasza z Eccleston, i podobną kronikę Giordana di Giano, opisującą ekspansję zakonu w Niemczech. Nie było niczego o Umbrii, kołysce całego ruchu, którą to lukę wypełniłby idealnie manuskrypt Leona.

Resztę półki zajmowały kopie Legenda Major — Źyciorysu większego, spisane przez Bonawenturę. Skrybowie pracujący przy pulpitych kopiowali to samo dzieło — efekt uboczny haniebnego edyktu z roku 1266. Oprócz zakazania wcześniejszych Źyciorysów, ministrowie prowincjonalni zadekretowali, Źe w każdym domu zakonu musi się znajdować co 204

najmniej jedna kopia pracy Bonawentury. W regularnych odstępach czasu matecznik wysyłał do klasztorów w prowincjach braci wizytatorów, i każdy wizytator wyruszał w drogę, prowadząc jucznego osioła-

ka obładowanego tymi kopiami. Z tego, co opowiadał Konradowi Leon, w czasach Eliasza tych wizytatorów powinno się raczej zwać „braćmi zdziercami”, bo wracali do Asyżu z osiołkami objuczonymi wszelakim dobrem ściągniętym od tych prowincjałów, którzy pragnęli utrzymać swoją pozycję — wszystkim, od złotych pucharków po cenne grudy soli owinięte w płótno.

Lodovico wstawił kopie edyktu na półkę z kronikami. Konrad, przechodząc obok niej, kipiał oburzeniem za wszystkich tych braci pierwszego pokolenia, których prawdomówność została w efekcie podważona.

Kapituła Generalna nakazuje bezwzględnie zniszczyć wszystkie istniejące Źyciorysy błogosławionego Franciszka, bowiem Źyciorys spisany przez ministra generalnego oparty został na ustnych relacjach tych, którzy od początku nie odstępowali błogosławionego Franciszka i byli wszystkim świadkami.

Ustnych relacjach tych, którzy od początku nie odstępowali błogosławionego Franciszka! Na pewno nie Leona — ani Rufina, ani Angela Tancrediego, ani nikogo z kręgu najbliższych przyjaciół.

Konrad dowiedział się o edykcji cztery lata po jego wydaniu, w roku 1270, kiedy odwiedził Leona, na rok przed śmiercią mentora. Leon uważał oficjalny Źyciorys autorstwa Bonawentury za katastrofę, za por-tret gipsowego świętego zupełnie oderwanego od rzeczywistości, siedzącego wysoko, w jakiejś niedostępnej niszy, tam gdzie ludzie nie mogą go już osiągnąć — karykaturę Franciszka, którego on był

uczniem. Nie była to tamta pełna energii postać, która w młodości przewodziła na ulicach Asyżu

która trwoniła pieniądze pobłażliwego ojca, by nadać za najnowszą modą. Marnotrawcę, trubadura i błazna wymazano, pozostał tylko cudotwórca,

— Odessali mu krew i duszę — biadał Leon. — Przystawili pijawki jak medycy, tak jakby jego człowieczeństwo było śmiertelną trucizną, którą trzeba odcedzić, by zachować jego świętość. Wszyscy bracia spirytualni są w Śalobie.

Ale na Śalobie nie poprzestawali. Leon wyznał, że wielu wyrzutków poukrywało manuskrypty, które znajdowały się w ich posiadaniu; podobnie uczyniły Ubogie Panie z San Damiano. To wtedy poprosił Konrada, żeby przechował i skopiował jego własną kronikę zakonu. Rękopis Leona, chociaż nie zawierał odpowiedzi, których szukał teraz Konrad, był na pewno ważnym odniesieniem do przeszłości zakonu. Konrada przeszedł dreszcz, kiedy przypomniał sobie, że o istnieniu zwoju wie Amata. Przy najbliższej okazji musi powiedzieć o nim donnie Giacomie na wypadek, gdyby przytrafiło mu się coś złego i nie mógł wró-

cić do swojej pustelni. Na dziewczynie nie można było polegać, a zresztą przebywała znowu (i dzięki Bogu) za klasztornym murem i nie miała swobody poruszania się.

Z głową pełną tych niewesołych myśli Konrad otworzył Legenda Major. Pomodlił się do Ducha Świętego o łaskę mądrości i przenikliwo-

ści i otworzył księgę od razu na rozdziale trzynastym, rozdziale o sera-finie.

CAPUT XIII

O JEGO ŚWIĘTYCH STYGMATACH

Dwa lata przed oddaniem duszy niebu, opatrność boża zaprowadzi-

ła Franciszka na wysoką górę zwaną Alwernia. Tam rozpoczął czter-dziestodniowy post w intencji świętego Michała Archanioła...

Natchniony przez Boga nabrał pewności, że jeśli otworzy Ewangelię, Chrystus objawi mu wolę bożą. Po śarliwej modlitwie wziął z ołtarza

206

Ewangelię i kazał swemu towarzyszowi, pobożnemu i świętemu bratu, otworzyć ją trzy razy w imię Trójcy Świętej. Za każdym razem był to fragment Pasji i Franciszek zrozumiał, że w cierpieniu pisane mu zrównać się z Chrystusem. Jego ciało słabło już wskutek surowej ascezy dotychczasowego życia i ciągłego dźwigania krzyża Pańskiego, ale był

bardziej niż kiedykolwiek zdecydowany wytrwać w umartwianiu...

Modląc się na zboczu góry około święta Podniesienia Krzyża, Franciszek ujrzał zstępującego z

niebios serafina z sześciorami ognistymi błyszczącymi skrzydłami. Istota opuszczała się szybko i zawisała przed nim w powietrzu. I wtedy ujrzał między jej skrzydłami wyobrażenie ukrzyżowanego człowieka ze stopami i dłońmi przybitymi do krzyża...

Franciszek oniemiał... Przepęłniała go radość, że Chrystus pod postacią serafina patrzy nań tak łaskawie, ale fakt, że jest przybity do krzyża, przeszywał mu serce mieczem współczucia i smutku.

Zanikając, wizja pozostawiła w jego sercu niezwykle ślad i odcisnęła cudowne piętna na jego ciele. Stopy i dłonie miał przebite pośrodku gwoździami, łepki których znajdowały się w poduszkach jego dłoni i w podbiciu obu stóp, czubki wystawały zaś z drugiej strony... Prawy bok miał jakby dźgnięty włócznią i ziała w nim czerwona rana, która często krwawiła, plamiąc tunikę i bieliznę.

Kiedy sługa Chrystusa zrozumiał, że nie potrafi ukryć stygmatów odcisniętych na jego ciele w tak widocznych miejscach, ogarnęło go zwątpienie. Zawołał kilku braci i nie mówiąc im, co dokładnie zaszło, zapytał, co ma czynić. Jeden z nich, zwany Iluminatem, był świątły i domyślił się, że stał się jakiś cud, bowiem mistrz był wciąż oszołomiony. Rzekł do niego: „Bracie, zważ, że jeśli Bóg odsłania przed tobą swoje tajemnice, to nie dla ciebie samego, ale również dla innych”. Święty powtarzał często: *Secretum meum mihi*, „Moją jest moja tajemnica”, 207

ale kiedy usłyszał słowa Iluminata, opisał swoją wizję w szczegółach, dodając, że ten, który mu się objawił, zdradził mu liczne tajemnice, których póki żyje, nie powtórzy żadnemu człowiekowi.

Konrad podniósł wzrok znad notatek i zobaczył brata Lodovica szukającego czegoś pilnie na półce obok jego pulpitu.

— Nie wiesz przypadkiem, bracie — zwrócił się do niego — dlaczego imię Iluminat brzmi mi tak znajomo?

— Myślę, że odpowiedź znajdziesz w dziewiątym rozdziale — odparł bibliotekarz. — Brat Iluminat towarzyszył świętemu Franciszkowi w podróży przez morze do Egiptu. Był z naszym mistrzem, kiedy ten próbował nawrócić sułtana i kiedy wracał potem do kraju przez Ziemię Obiecaną.

— I gdzie święty Franciszek nabawił się tej choroby oczu, która skończyła się ślepotą?

— Tak słyszałem. Jasne słońce Ziemi Świętej musiało mu za-

świecić prosto w oczy.

Lodovico wrócił do półki, a Konrad dopisał do swych notatek sentencję z listu Leona: Pierwsza Tomasa zaznacza początek ślepoty, i podkreślił ją trzy razy. Ssał przez chwilę kciuk, postukując głową

o pulpit. Czy to możliwe, żeby tym „ślepcem” Leona był sam Franciszek? A gdzie, jeśli nie na Wschodzie, zaczęła się jego ślepotą.

Kiedy wpatrywał się w zapisane właśnie zdanie, skryba siedzący za pulpitem naprzeciwko, brat nie starszy od niego, poprawił na stołku swoje rozłożyste pośladki i mrugając, podniósł na Konrada

załzawione oczy.

— Słyszałem, jak pytasz o brata Iluminata — odezwał się.

Otarł grzbietem dłoni oczy, które łzawiły chyba bez przerwy.

— Nie dalej jak w zeszłym tygodniu podsłuchałem przypadkiem kilku starszych braci rozmawiających o Iluminacie. Jeden z nich napomknął, że po wyborze Eliasza na ministra generalnego Iluminat był jego sekretarzem.

208

Konrad zaniemówił. W czasach Eliasza sekretarzy takich jak Iluminat — a przed nim Leon — określano starym słowem amanuensis .

Zgadzałby się wiek towarzysza podróży Zefferina, jeśli dać wiarę opisy Amaty, i słowo, którym określił go człowiek z piką.

Lodovico, który wciąż kręcił się w pobliżu pulpitu Konrada, podbiegł natychmiast i włączył się do rozmowy.

— Brat ma rację. Zapomniałem o tym fakcie z życia brata Iluminata.

Może Iluminat był również jednym z zakonników, z którymi konsul-tował się Bonawentura, spisując swoją wersję życia Franciszka, pomyślał Konrad, jednym z tych, którzy od początku nie odstępowali błogosławionego Franciszka i byli wszystkim świadkami . Dziwne, że Bonawentura wymienił go w tym rozdziale z imienia, ale nie podał

imienia brata, który otwierał Franciszkowi Pismo Święte, a był nim z pewnością Leon.

— Czy brat Iluminat jeszcze żyje? — spytał.

— O tak, ale naturalnie jest już bardzo stary — odparł bibliotekarz.

— Na tyle stary, żeby musiał podróżować na osiołku?

Brat Lodovico uśmiechnął się dobrotliwie.

— Wątpię, czy w ogóle jeszcze się dokądś wyprawia.

— To ty nie wiesz, bracie? — wtrącił się skryba. — Tydzień temu przejechał przez Asy i zajrzał do nas, żeby naradzić się z bratem Bonawenturą. Właśnie dlatego bracia o nim rozmawiali. Szkoda, że ominięło cię to wydarzenie, bracie Konradzie.

— Tak, szkoda — mruknął Konrad. — Ale dziękuję wam obu za pomoc.

— Dostyc tych pogaduszek, bracie — rzucił bibliotekarz, zwracając się do skryby. — Odrywasz

brata Konrada od pracy, a i swoją zanie-dbujesz.

Skarcony zakonnik spuścił oczy.

— Tak, bracie. — Poprawił się na stołku i pochylił nad pulpitem.

209

A zatem ten Iluminat, choć Lodovico w to wątpił, nadal podróŜuje. I jeśli to on był tym starcem, którego spotkała Amata, co teraz wydaje się wielce prawdopodobne, to Bonawentura wie juŜ o liście Leona tyle, ile zdołałby z niego zapamiętać wytrawny sekretarz.

Bibliotekarz wrócił do swoich zajęć, ale wciąż miał oko na gadatli-wego skrybę. Konrad pochylił się nad notatkami o wizji. Z długiego ustępu przepisanego z dzieła Bonawentury podkreślił jedno słowo: Iluminat.

XVIII

— Avanti! Avanti! Ty uparte ciuco! — Iluminat dźgnął piętami sanda-

łów boki osiołka i pacnął go dłonią po zadzie. Im wyżej wspinali się ponad jezioro Trasimeno i spokojną dolinę Chiana, tym oporniejsze stawało się to bydło. W górze, przed sobą, widział Iluminat dumną etruską cytadelę Cortona, w której Eliasza spędził na wygnaniu swoje ostatnie lata. Złowroga w swej arogancji, ponura i izolowana pośród pokrytych lodowcem gór, Cortona była jakby stworzona na miejsce odosobnienia dla obalonego generała zakonu. Nie słuchając Iluminata, który nawoływał go do zachowania umiaru, Eliasza zachwycał się niczym udzielny książe swoimi dobrze odżywionymi rasowymi wierzchowcami, swoimi świeckimi młodziankami w wielobarwnych liberiach, któ-

rzy usługiwali mu niczym giermkowie biskupowi, wykwinutymi daniami przyrządzanymi przez osobistego kucharza. Wspomagany w swych ambicjach przez biegłego w zadawaniu tortur kata, zdobył absolutną władzę nad bractwem. Dziesięć lat później bracia, z pomocą papieża, rzucili go na kolana.

211

Tak, myślał Iluminat, podrygując w rytm stąpań narowistego osła, Eliasza mógłby się uczyć cierpliwości i powściągnięcia ambicji od Bonawentury. Obecny minister generalny zajdzie w hierarchii Kościoła wy-

żej niż którykolwiek z braci do tej pory, kto wie, czy nie zasiądzie nawet na papieskim tronie, a swoim wyniesieniem pokieruje tak, by stworzyć pozory, że ulega jedynie prósbom księży Kościoła.

Iluminat też czekał cierpliwie, i się doczekał; obracające się powoli Sarna czasu zrobiły swoje. Nagrodę mam już zapewnioną. Bonawentura obiecał ją wiekowemu zakonnikowi, kiedy ten powiedział mu o liście Leona do Konrada.

Na głównym placu miasta Iluminat zsiadł z osła i machnął na dwóch chłopców, którzy biegali po piazza, nie zwracając uwagi na zimny wiatr tarמושący na nich porwane kaftany.

— Hej, brateli! — zawołał. — Pomóście mnie, staremu, i mojemu osiołkowi wdrapać się do kościoła, a Bóg was za to wynagrodzi.

Chłopcy popatrzyli na niego z zaciekawieniem i jeden zaszwargotał

coś niezrozumiale w lokalnym dialekcie. Iluminat, chcąc nie chcąc, przeszedł na język migowy, i już to chwytając się za plecy, już to pokazując stromą uliczkę, zaczął powtarzać: Chiesa, chiesa *.

Zrozumieli w końcu, o co mu chodzi, i podeszli nieśmiało.

Eliasza wzniosł nad miastem mniejszą wersję bazyliki zbudowanej przez siebie wcześniej w Asyżu. Chociaż papież usunął go z zakonu, chociaż po przejściu na stronę cesarstwa został, podobnie jak Fryderyk, ekskomunikowany, Eliasza, wraz z kilkunastoma braćmi, którzy pozostali mu lojalni, nadal

nosił szary habit bractwa. Wycofawszy się w końcu do Cortony, próbował odtworzyć choć część swojej dawnej potęgi, budując tu klasztor i kościół pod tym samym wezwaniem, a nawet z taką samą fasadą, co słynna bazylika. Zbudował też dla siebie kamienną pustelnię. Na łosie śmierci zdobył się na okazanie skruchy i

* Chiesa (wł.) — kościół.

212

miejskowy ksiądz, zdjawszy zeń ekskomunikę, pochował go w tym kościele. Kto wie, czym nie jest aby pierwszym pielgrzymującym do grobu upadłego ministra generalnego, pomyślał Iluminat.

Nie wybierał się do Cortony. Przybył do tej zagubionej wśród gór miejsciny niechętnie, ulegając sugestii Bonawentury, że to idealne miejsce, by spokojnie doczekać nominacji. Tutaj nie dotrze do niego Konrad ze swoimi pytaniami. Jeszcze ten jeden zgrzytliwy obrót Saren, zanim jego ambicje zostaną zaspokojone.

Za to jaka nagroda go czeka: biskup Asy! Rezydując w pałacu bi-skupim nieopodal Sacro Convento, będzie mógł nadal zaspokajać swój głód wpływania na politykę zakonu, a co za tym idzie, wiedzieć o wszystkim, co się w nim dzieje. A myślał już, że przyjdzie mu z nudów dokonać Sywota na dotychczasowym stanowisku ojca spowiednika w klasztorze Ubogich Pań, gdzie wysłuchując tych niewinnych duszyczek, klepiących litanie swoich mniej lub bardziej urojonych przewin, kiwał

niby to w skupieniu, a w rzeczywistości sennie, głową. Ale dzięki szczęśliwemu trafowi, jakim było przypadkowe napotkanie tamtego chłopca na gościńcu pod Ankoną, znalazł się niespodziewanie w samym centrum potencjalnego wiru wydarzeń. Ostatnio krew Sywiej pulsowała w jego starczych Syłach. Bonawentura od razu pojął znaczenie listu Leona, dojrzał zagrożenie, jakie stanowi on dla wiarygodności zakonu. Na rewelacje Iluminata generał zareagował z początku z-właś-

ciwym sobie stoicyzmem.

— Niech sobie ten Konrad przychodzi — powiedział spokojnie, obracając pierścień na palcu. — Wyjdzie stąd ani trochę mądrzejszy.

— A jeśli jakimś trafem odkryje prawdę?

— Wtedy nie wyjdzie stąd w ogóle.

Kiedy jednak Iluminat powiedział, że pozwolił sobie wydać rozkaz zatrzymania Konrada, kiedy ten będzie przechodził przez Gubbio, czoło Bonawentury poryło się zmarszczkami. Szybko się jednak wygładziło.

213

Minister generalny zabębnił palcami o blat biurka, potem zadzwonił na swojego sekretarza. Bernardo da Bessa czekał chyba pod drzwiami, bo wszedł natychmiast z woskową tabliczką i rylcem w rękę,

— Bracie Iluminacie, powtórzcie teraz wszystko, coście mi przed chwilą opowiedzieli. Dajcie również bratu Bernardowi swoje poczynione w Fossato di Vico notatki o tym, co zapamiętaliście z listu Leona.

Kiedy sekretarz skończył, minister generalny jeszcze raz podziękował Iluminatowi i zapewnił, że jego szybka reakcja nie pozostanie bez nagrody. Biskup Asyżu odszedł był niedawno na wieczny odpoczynek i stanowisko to czeka obecnie na obsadzenie do czasu koronowania nowego papieża. Bonawentura miał już na biurku gotowy list, w którym prosił papieża o mianowanie na to stanowisko któregoś ze swych braci.

— Tebaldo Visconti da Piacenza to mój osobisty przyjaciel. Mamy ten sam pogląd na niedoskonałości i zepsucie szerzące się wśród duchowieństwa świeckiego. Wiem, że wolałby widzieć na tych eksponowanych stanowiskach większą liczbę braci zakonnych.

Iluminatowi urosły skrzydła, kiedy minister generalny zasugerował, że on, Iluminat, ze swoim wieloletnim doświadczeniem, o uświadomieniu sobie konieczności zduszenia rozdzwiewu w łonie zakonu nie wspominając, byłby idealnym kandydatem na obsadzanie tego wakatu.

Jako minister generalny, nie omieszka napomknąć o tym w postscriptum do listu.

Lecz Bonawentura złożył tę obietnicę, zanim przez furtę Sacro Convento wniesiono martwego chłopca. Incydent ów przeszedłby może bez echa, gdyby jeszcze tego samego dnia grupka zakonników nie przydzwigała brata Zefferina — odwodnionego, na wpół oślepionego i bredzącego o gorejących oczach anioła zemsty. Wyglądało na to, że chłopca łączy coś z tym mściwym upiorem. Z bełkotu okaleczonego mnicha wynikało również, że dzięki owej cudownej interwencji Konradowi udało się uniknąć pojmania. Potem, jakby jeszcze tego było mało, do 214

klasztornej furty zastukało dwóch braci z domu zakonu w Gubbio, szukających brata, który zaginął.

— On nie żyje — burknął leżący w infirmerii Zefferino, kiedy Iluminat przyprowadził do niego braci, i łypnął ocalałym okiem na Iluminata. — Zamordował go ten niewinny mały posłaniec, zdążający z listem do Konrada. No i otrzymaliśmy zapłatę za nasze starania, co, bracie?

Iluminat wolał nie wspominać o obietnicy Bonawentury.

Przez cały następny tydzień stary ksiądz unikał skrzętnie ministra generalnego. Bonawentura nie cierpiał wszelkich zgrzytów zakłócają-

cych funkcjonowanie Sacro Convento, w tym zabitych postulantów i okaleczonych braci. W końcu jednak Iluminat musiał stanąć przed zwierzchnikiem. Bonawentura przysłał po niego.

— Konrad jest w Asyżu — powiedział. — Zatrzymał się u wdowy Frangipani i spodziewamy się go tutaj lada dzień. Twój osiołek już

wypoczął. Radzę ci odbyć pielgrzymkę do grobu swojego zmarłego mistrza. Twoja modlitwa na pewno mu się przyda.

— A co z biskupstwem?

— Czekaj w Cortonie. Powiadomię cię w stosownym czasie.

Iluminatowi nie pozostawało nic innego, jak tylko uklęknąć, ucałować grawerowany pierścień Bonawentury i zbierać się do drogi. Wstając z klęczek, popukał jednak palcem w lazuryt połyskujący w złotej oprawie.

— Zapewne zdajecie sobie sprawę, że Konrad jest przynajmniej pośrednim zagrożeniem dla Bractwa Grobu.

— Brałem to pod uwagę — odparł Bonawentura — chociaż list, sądząc po tym, co z niego zapamiętałeś, na to nie wskazuje.

Teraz, zbliżając się do celu swej podróży, Iluminat czuł się bardziej jak banita niż przyszły biskup. Piał się noga za nogą krętą uliczką prowadzącą do kościoła, słuchając niezrozumiałego trajkotania chłopców

— tego, na którym się wspierał, i tego, który prowadził jego osiołka.

Uwiązawszy zwierzę, pobłogosławił jeszcze raz swoich pomocników i wszedł do środka, rozglądając się za kimś, kto zaprowadziłby go do grobu 215

Eliasa.

Zimna, mroczna, pusta nawa kościoła przypominała wilgotną jaskinię. W transepcie paliła się jedna oliwna lampka. Doczłapał tam i zastukał w boczne drzwi prowadzące do klasztoru. Brat, który mu otworzył, wyglądał na tak samo zaniedbanego i zmurszałego, jak kościół.

— Per favore, bracie, pokażcie mi grób brata Eliasa —

poprosił Iluminat.

Mnich wzruszył ramionami.

— Un momento . — Oddalił się i wrócił po chwili z latarnią. —

Pójdźcie.

Zaprowadził Iluminata do ciemnego pomieszczenia za ołtarzem, które najwyraźniej służyło za schowek. Pod ścianami piętrzyły się zwa-lone jedna na drugą ławki, a na stole pośrodku stosy manuskryptów.

Mnich, wzbijając obłok kurzu, odsunął nogą pergaminy zalegające pod stołem. Potem opadł na czworaki i przetarł rękawem jedną z wielkich kamiennych płyt posadzki. Wryte było na niej imię Eliasz.

— Tutaj — burknął.

Tutaj?! Ten nędzny zapyział mniszyna tylko tyle ma do powiedzenia? Jak to możliwe, że wybitny administrator, któremu Iluminat służył

przez kilkanaście lat, człowiek, którego talenty polityczne i architektoniczny geniusz podziwiał niegdyś cały świat, leży teraz pod stołem i zbiera się na nim kurz? Ksiądz zaś w dołku ścisnęło z oburzenia na tak niegodny koniec Eliasza.

— Nikt nie pilnuje jego szczątków?

— Ha! Cieszyłaby się jego próżna dusza, wiedząc, że ktoś dybie na jego kości. Nie, zresztą ich tu nie ma. Kiedy umarł, brat custode wyniósł ciało z kościoła i zrzucił na zbocze na tyłach. Rozwlekli je wilcy.

— Mnich zachichotał posępnie. — Jeśli szukasz jego bezbożnych szczątków, wypatruj białego proszku w każdej napotkanej kupce zeschniętych wilczych odchodów.

216

Spojrzał na Iluminata. Bez cienia emocji na twarzy czy w głosie, dodał:

— Sic transit gloria mundi . Sława ulotną jest, bracie.

— Nie mogę powiedzieć, że znałam brata Iluminata — odparła donna Giacomina. — Tylu ich było, nawet w tamtych pierwszych latach.

Nie przypominam sobie, żeby ktoś o tym imieniu znajdował się wśród braci, którzy przyszli ze świętym Franciszkiem do Rzymu. — Siedziała przed kominkiem w głównej komnacie domu, z kolanami okrytymi szubą z wilczej skóry i błogością na twarzy, po której igrał migotliwy odblask ognia.

— A potem — spytał Konrad — kiedy służył Eliaszowi?

— Mówiłam ci już, że nie odzywałam się do Eliasza od dnia, kiedy ukrył szczątki świętego Franciszka.

Konrad, podstawivszy swoje notatki pod światło, wertował arkusze.

Podniósł wzrok na Pia, który wszedł do sali z talerzem ciasteczek.

— Mamma kazała mi je przynieść, póki gorące, madonna .

Szlachcianka uśmiechnęła się i wskazała gościa.

— Ulubione naszego mistrza — powiedziała, kiedy chłopiec podszedł z talerzem do Konrada. — Z marcepanem. Zabrałam ze sobą małe pudełko takich, kiedy dowiedziawszy się o stanie świętego

Franciszka, jechałam do Asyŝu z materiałem na całun.

Uwielbiał orzechowy smak i upiekłam je specjalnie dla niego w kształcie krzyŜa. — Jej kocie oczy zabłysły wesoło na to wspomnienie. — Dzisiaj kucharka nadała im kształt aureoli, wszak Wszystkich Őwiętych za pasem.

Konrad wsunął ciasteczko do ust i zanim je zgryzł, trzymał przez chwilę na języku, Őeby cukier się rozpuścił. Wiele jeszcze będzie musiał

się nauczyć o ascezie, skoro taki Őwięty jak Franciszek nie widział niczego zdroŝnego w delektowaniu się tego rodzaju łakociami. Ze swej strony musiał przyznać, Őe nieskończona różnaitość smakołyków przyrządzanych przez kucharkę przyciągała go do tego domu w równym stopniu, co

217

wspomnienia donny Giacomy. Dobrze było wiedzieć, Őe Őwięty Franciszek teŝ ulegał podobnym słabostkom. Zgarnął do ognia okruszki ze swoich zapisków i odszukał ciąg Őyciorysu spisane go przez Bonawenturę.

— Mam tutaj drugi opis stygmatów, sporządzony juŝ po Őmierci Franciszka. Bonawentura pisze o rycerzu imieniem Giancarlo. Czy to czasem nie ten burmistrz, o którym wspominałaŝ, pani, ten, który pomagał Eliaszowi porwać ciało Őwiętego? — Zaczął czytać, tłumacząc z łaciny:

W jego błogosławionych stopach i dłoniach widać było gwoździe uformowane przez Boga z ciała... tak stopione z tym ciałem, Őe kiedy naciskało się je z jednej strony, zaraz wychodziły z drugiej....Rana w jego boku, która nie została mu przez nikogo zadana ani nie powstała za sprawą jakiegokolwiek ludzkiego działania, była czerwona, a ciało wybruszało się wokół niej w krąg, tak Őe wyglądała jak najpiękniej-sza róŜa. Reszta skóry, która wcześniej pociemniała zarówno sama z siebie, jak i z choroby, teraz wprost lśniła bielą, glorią ciał Őwiętych w niebiesiech.

Jednym z tych, którym pozwolono obejrzeć ciało Őwiętego Franciszka, był wykształcony i Őwiatły rycerz imieniem Giancarlo. Wąt-pięcy jak niewierny apostoł Tomasz, nie zastanawiając się wiele, zuchwale, na oczach zakonników i licznie zgromadzonych mieszczan, jął szarpać te gwoździe i dotykać dłoni, stóp oraz boku Őwiętego. I kiedy poczuł rany pod palcami, zwątpienie w jego sercu, jak równieŝ

w sercach innych, rozwiało się.

Donna Giacomina pokiwała głową.

— Tak, to był Giancarlo di Margherita, człowiek zadufany w sobie, zanim jeszcze ludzie obwołali go burmistrzem. Dobrze pamiętam tę scenę: stał w szkarłatnej todze i gronostajowej opończy. — Przymknęła oczy. — Tak, a na głowie miał czapę z popielic. Napuszony kogut po-

śród wróbli, wystrojony i nadęty między mnichami w szarych habitach.

Stał się zapiekłym obrońcą stygmatów przed wątpiącymi.

— Wątpiącymi?! To byli tacy?

— O tak, i to wielu. Niedowierzenie, często podszyte zazdrością, przejawiały zwłaszcza inne zakony. Ale to zrozumiałe, bo nie widzieli tego, co my.

Konrad potarł ogolony podbródek.

— Przeszła mi koło nosa okazja do porozmawiania z Iluminatem.

Czy Giancarlo jeszcze Śyje?

— Tego nie wiem. JuŚ blisko dwadzieścia lat, jak wycofał się z Śycia publicznego i osiadł na swoich włościach w Fossato di Vico. Od tamtego czasu nie widziałam go juŚ w AsyŚu ani o nim nie słyszałam.

Konrad zebrał notatki, przycisnął je oburącz do piersi i przymknął

oczy, czekając na natchnienie. Pod powiekami tańczyły mu czerwone cętki. Nic. WciążŚ nic, tylko pytania, pytania, pytania...

— Chciałbym cię prosić, pani, Śebyś przechowała te zapiski — odezwał się w końcu. — Nadejdzie dzień, kiedy przemówię do mnie jednym głosem i wszystko stanie się jasne, ale ten dzień jeszcze nie nadszedł. Zamierzam zapytać jutro brata Lodovica o Pierwszą Tomasza, i nie wiem, co mi odpowie. Odnoszę wraŚenie, Śe stąpam po grząskim gruncie, czy moŚe raczej stoję na wulkanie. Mam nadzieję, Śe Bóg nie opuści mnie w potrzebie.

Kiedy Konrad to mówił, do sali wśliznął się na palcach maestro Roberto.

— Scusami, Giacomina. Izba gotowa. MoŚesz ją obejrzeć.

— Doskonale. Grazie, Roberto.

Spojrzała pogodnie na Konrada.

— Nie wiem, czy ci mówiłam, Śe obaj moi synowie zmarli bez-dzietnie. Nie mam wnuków. Smutny to los przeŚyć swoje potomstwo.

Do dzisiaj ich izba stała zamknięta, nietknięta. Postrzegałam ją jako wir, który wysysa ze mnie całą radość, ilekroć tam wchodzę. Kazałam ją wysprzątać i pobielić.

Konrad czekał na wyjaśnienie, po co to zrobiła, ale donna Giacomina była najwyraźniej w

enigmatycznym nastroju. Powiedziała tylko:

— Wszyscy mamy pustki, które trzeba zapełnić.

— Pierwsza Tomasza? AleŜ proszę bardzo, bracie.

Lodovico oddalił się po tekst, a zdezorientowany Konrad przysiadł

na stołku. Za łatwo poszło. Bibliotekarz zareagował tak, jakby proszono go o to codziennie.

Lodovico wrócił, taszcząc masywne tomisko. Kiedy położył je przed Konradem, pulpity aŜ zatrzeszczały i zakłuły się na „cienkich nóżkach pod ciężarem księgi.

— Nie pojmuję, skąd wiedziałeś, Ŝe mam w swych zbiorach tę pozycję, ale z ochotą ci ją udostępniam. To mój najnowszy nabytek. Tylko dzięki temu, Ŝe brat Bonawentura przyjaźnił się z Tomaszem, kiedy obaj pobierali nauki w ParyŜu, zdobyliśmy jedną z pierwszych kopii.

Te słowa zupełnie zbiły Konrada z pantałyku. CzyŜby minister generalny był aŜ tak stary, by znać Tomasza z Celano? Przypuśćmy. Ale Konrad pierwsze słyszał, Ŝeby Tomasz kiedykolwiek pobierał nauki czy w ogóle bawił w ParyŜu. Uśmiechnął się nieprzytomnie do bibliotekarza, otworzył oprawną w skórę okładkę i spojrzał na stronę tytułową: SUMMA THEOLOGIAE

auctore Thomas de Aquino

a poniŜej, mniejszymi literami: Liber Primus .

Pierwsza księga Summy Tomasza z Akwinu! Konrad jęknął. Och, ten szczywany lis Lodovico. Nie dziwota, Ŝe taki usłuŜny. Był przygotowany na prośbę Konrada. Najwyraźniej brat Iluminat dobrze zapamię-

tał i powtórzył ten fragment listu Leona.

Konrad rozcapierzył palce, mierząc grubość dzieła. Przeczytanie ca-

łej księgi zajęłoby mu resztę jesieni. Ale podejmę waszą grę, pomyślał.

220

Mam czas. A i cierpliwości mi nie brak. Zresztą gdzie jest powiedziane, Ŝe nie tego Tomasza miał na myśli Leon? MoŜe chodziło mu o ślepotę duchową albo teologiczną, a nie o ślepego człowieka? Z ciężkim westchnieniem przewrócił stronicę i przeczytał:

CZEŚĆ PIERWSZA

TRAKTAT O BOGU

Kwestia I

Natura i rozciągłość świętej doktryny

(W dziesięciu ustępach)

Konrad popatrzył przez oprawione w ołów szybki okna. Poprzez mgiełkę snującą się nad brunatno-sóltykami polami, daleko w dole, wypatrzył ujście rzeki Chiagio do płynącego ku Rzymowi Tybru. Ziewnął szeroko. Za dwa miesiące nie będzie już żadnych wątpliwości co do tego ślepego. On nim się stanie!

XIX

— Hic vobis, aquatiliū avium more, domus est .

— Słucham, Wasza Świątobliwość? — Orfeo odwrócił się do papieża stojącego obok kapitana statku pod białą jedwabną markizą. Tebaldo Visconti opuścił wonną kulkę, która zakrywała mu częściowo twarz.

— Znasz poetów, Orfeo? — spytał.

— Tylko tych, o których uczono mnie w dzieciństwie.

— Kasjodor napisał o tym mieście: pływające na falach niczym morski ptak .

Śeglarz, osłaniając dłonią oczy przed słońcem, spojrział ponad rozbryzgami ciętej przez dziób okrętu toni na rysujące się na horyzoncie miasto. Nie dostrzegając podobieństwa. Jeśli porównywać do czegoś Wenecję, to jego zdaniem już prędzej do kufra ze skarbami, który ciśnięty na moczary, nie tonie, chociaż kolejni cesarze i okoliczne potęgi usiłują wcisnąć go w topiel. Kiedy Pepin, syn Karola Wielkiego, zagroził kiedyś Wenecji odcięciem dróg zaopatrzenia w żywność, butni mieszczenie ostrzelali jego żołnierzy z proc bochenkami chleba.

222

— To czoło waszego orszaku powitalnego — powiedział kapitan, pokazując nad wodą palcem. Na spotkanie papieskiego konwoju gnała od portu na skrzydłach wiatru flotylla galer pod pełnymi wydętymi żaglami. Statki cięły dziobami fale niczym tłuste sardele i kiedy się zbliżyły, do uszu Orfea doleciało skandowane przez załogi: Vi-va Pa-pa! Vi-va Pa-pa! Wielkie okręty wojenne o wysokich masztach, burtach i kasztelach sunęły majestatycznie przez tę flotyllę ustępujących im z drogi weneckich galer na podobieństwo potężnych gór. Papież wyszedł

spod markizy i odpowiadając na pozdrowienie Śeglarzy, uniósł ręce. W

dłoni wciąż ścisnął pachnącą kulkę.

— A więc zaczyna się — rzekł cicho.

A dla mnie kończy, pomyślał Orfeo. Polubił Tebalda w ciągu tych kilku wspólnie spędzonych tygodni, ale tęsknił za swobodą i nie mógł

się już doczekać, kiedy zostanie zwolniony z obowiązku.

Gdy wpływali do portu, galery ustąpiły miejsca mniejszym jednostkom: małym grippi, którymi płynęło do Wenecji wino z Cypru i Krety; płaskodennym sandoli ; rybackim barkom i żaglowym braggiozzi rybaków z Chioggi. Były wśród nich nawet tratwy używane w porcie do wyładunku wielkich kupieckich statków, teraz pełne zdzierających gardła robotników.

Orfeo, opierając się o nadburcie, patrzył z uśmiechem na witające ich, rozentuzjasmowane tłumy. Wenecja szczyła się stoma tysiącami mieszkańców i wyglądało na to, że chyba wszyscy oni, co do jednego, wylegli teraz na wodę albo tłoczyli się na brzegu. Papieski okręt podchodził powoli do nabrzeża Świętego Marka, gdzie fanfara trąbek, cymbałów i bębnow mieszała się z wrzawą wiwatującej ciżby. Do tego harmidru dołączył rytmiczny plusk wiosła, którymi gondolierzy z wypływających z kanałów gondoli jęli bić o wodę. Smukłe łodzie przesuwały dumnie złocone, bogato rzeźbione i malowane dzioby; nad ich felzy,

kabinami chroniącymi w słotne dni ławki pasażerów, rozpięte były ozdobne baldachimy. Gondole eskortowały barkę doży weneckiego bucin-toro. Kiedy były już blisko okrętu wojennego, stojący na niej doża ukląkł.

223

Orfeo rozpoznał w nim Lorenza Tiepola. A więc podczas jego pobytu w Akce urząd doży nie przeszedł w inne ręce.

Kiedy papież i doża schodzili ze statków na ląd, fanfarę zagłuszyły dzwony Bazyliki Świętego Marka. Ciżba rozstała się niczym wody egipskiego morza, by przepuścić na nabrzeże procesję kanoników i arcybiskupów.

— Zostań przy mnie — szepnął na ich widok Tebaldo do Orfea. —

Rażniej mi będzie pośród tego zgiełku z kimś znajomym u boku.

Orfeo skłonił się i zajął miejsce w pierwszym szeregu orszaku formującego się za nowo obranym papieżem. Deprymowały go te tysiące wbitych w nich par oczu i zapragnął nagle rozpląnąć się w tłumie. Tebaldo się obejrzał.

— Nie — powiedział. — Nie za mną. Obok mnie.

Prałaci poprowadzili papieża, dożę i ich świtę między dwie ogromne chorągwie z podobiznami świętego Marka, powiewające na wysokich jak maszty okrętu wojennego sosnowych słupach. Kiedy je minęli, Orfeo dostrzegł pięć kopuł bazyliki zwieńczonych latarniami w kształcie cebul. Fasadę kościoła zdobiły połyskliwe mozaiki, a nad każdym z pięciu łukowatych portali oraz w zakolach łuków widniały marmurowe płaskorzeźby przedstawiające świętych, anioły i mitycznych herosów. Z

każdej płaskiej powierzchni fasady wyrastał las posągów dłuta dawno nieżyjących kamieniarzy.

Papież trącił Orfea łokciem i wskazał ruchem głowy cztery konie przysące wykute w brązie mięśnie, tak jakby miały lada chwila zeskoczyć z tarasu nad głównym portykiem niczym legendarny Pegaz.

— Mam nadzieję zwrócić je któregoś dnia — powiedział cicho Tebaldo. — Cena nie będzie wysoka, jeśli doprowadzi to do ponownego zjednoczenia Kościołów.

Orfeo dobrze znał poglądy papieża na ten temat. W rozgwieżdżonej nocy na morzu Tebaldo Visconti odsłaniał swój umysł przed młodym wioslarzem niczym starszy rodu, przekazujący wiedzę o

przodkach. Być moŒe czynił to z szacunku dla nieŒyjącego, obwołanego świętym wują Orfeą, Franciszka.

— Dwóch rzeczy chciałbym dokonać — powiedział pewnego razu, kiedy stali na pokładzie okrętu zapatrzeni w niebo. — Doprowadzić do ponownego zjednoczenia Kościołów wschodniego i zachodniego, oraz ukrócić naduŒycia, których dopuszcza się duchowieństwo świeckie. Do obu tych celów zamierzam wykorzystać braci twojego wuja. Oby tylko Bóg dał mi na to czas i siły. Ich obecny generał, Bonawentura, podziela mój pogląd na tę sprawę. UwaŒa, Œe nowe zakony przy współpracy uniwersytetów potrafią zreformować naszą Świętą Matkę Kościół, wy-tępić herezję i zrobić ogromny krok na drodze do ustanowienia Królestwa BoŒego na ziemi. Takiego właśnie człowieka potrzebuję u swego boku w tej pracy.

Rozmawiali o złupieniu Bizancjum. ChociaŒ do najazdu doszło jeszcze przed narodzinami Tebalda, papieŒ dobrze znał jego historię. Czytał

przeraŒającą relację naocznego świadka, Nikatesa Choniatasa, i opowiedział Orfeowi, jak Enrico Dandolo, ślepy doŒa Wenecji, w roku 1202 chytrze wykorzystał czwartą krucjatę na rzecz swego miasta.

— Podbiwszy Bizancjum, ci tak zwani chrześcijańscy krzyŒowcy puścili z dymem więcej domów, niŒ ich naliczysz w trzech największych miastach Lombardii — mówił. — Ciskali do latryn relikwie świę-

tych męczenników, a nawet rozrzucili konsekrowane ciało i krew Naszego Zbawiciela. W Haghia Sophia wydłubywali drogie kamienie z kielichów i uŒywali ich jako czarek do picia. Zniszczywszy główny ołtarz świątyni, wprowadzili do niej konie i muły, Œeby wywieźć łupy.

Nikates opowiada, Œe objuczone zwierzęta ślizgały się i przewracały, a krzyŒowcy poganiali je obnaŒonymi mieczami, kałając kościół krwią i nawozem. Potem ci sami rycerze posadzili pospolitą nierządnicę na tronie patriarchy i kazali jej tańczyć nieobyczajnie w tym świętym miejscu.

Zaspokajając swe dzikie Œądze, nie mieli teŒ litości dla niewinnych 225

panien, ani nawet dla dziewic poświęconych Bogu.

Zapadło cięŒkie milczenie. PapieŒ patrzył w zadumie na wschód.

— Z owego najazdu pochodzi wiele ozdób Bazyliki Świętego Marka. Wśród nich te wspaniałe konie na fasadzie od strony piazza . Owi heroldowie Antychrysta zrabowali nawet rękę świętego Stefana, głowę świętego Filipa oraz strzępy ciała świętego Pawła. Co waŒniejsze dla doŒy, zagarnęli teŒ koncesje na handel z całym wschodnim cesarstwem i wyparli z tamtego regionu kupców z Genui i Pizy. MoŒna śmiało powiedzieć, Œe twoi weneccy przyjaciele zaprzędali swe dusze za zy-skowne szlaki handlowe.

Procesja zbliŒała się do głównego portyku bazyliki i Orfeo, ode-rwawszy wzrok od koni, spojrzął na

do Sę i jego ludzi. Wiedział, że następca Enrica Dandola, o kupcach kroczących teraz przez most Rialto nie wspominając, nie zawahałby się otruć papieża elekta, gdyby słyszał

jego uwagę o tych rzeźbach. Sądząc jednak po ich uduchowionych twarzach, nie uczynią tego, zagłuszyli bowiem jego słowa swoim entuzja-zmem. W tej chwili Wenecjanie radzi honorowali gościa wielką mszą w bazylice, po której Tebaldo miał się udać na odpoczynek do Pałacu Dośów.

Kiedy nad placem Świętego Marka zapadał zmierzch, Orfeowi udało się wreszcie odłączyć od papieskiego orszaku. Porzuciwszy migotliwy blask świec, strojnie odzianych weneckich dworzan i taką obfitość wykwintnych dań, że jego żołądek miałby co trawić przez rok, wymknął

się na niemal wyludniony plac. W zmoczonych drobnym kapuśniacz-kiem kamiennych płytach odbijały się jasno oświetlone okna Pałacu Dośów. Podążając nabrzeżem, dotarł do znajomej uliczki pełnej małych sklepików i poprzecinanej zaułkami. W głębi jednego z nich wisiała mała chorągiewka jego ulubionej ridotto . Tego wieczoru nie miał ochoty

na grę w karty ani w kości, ciągnęło go jednak do tawerny na czarkę wina w kompanii starych znajomych. Chciał znowu pracować, a tam szybciej niż w porcie dowie się, czy jakaś galera nie prowadzi zaciąg wioślarzy.

Pochylając głowę, wszedł przez niskie drzwi i rozejrzał się po ciemnej zadymionej izbie. Nie uświadczyło się tutaj sklepikarza, rzemieślnika czy ojca gildii. Klientelę Il Gransiero stanowili tacy jak on marynarze, zbieracze szmat i kości, czyściciele kominów, poławiacze krabów, którzy za drobny datek pomogą wysiąść z gondoli. Rozmawiali teraz przyciszonymi głosami, ale w miarę upływu nocy będą nabierali wigo-ru, a bicie pijackiego dzwonu nie obwieści pory zamykania tawern i nie wygoni ich w końcu na miękkich nogach do domów i na barłogi.

Męscyźni w izbie opatulali się prostymi opończami, nogi, żeby nie marzły, owinięte mieli pasami tkaniny. Popijające z nimi kobiety okrywały się zwyczajnymi szarymi szalami, szyje zdobiły im łańcuszki z drobnutkich ogniwek, ozdoba zarezerwowana weneckim zwyczajem dla kobiet niższych stanów. Sponad niskiej powały dolatywały męskie i żeńskie chichoty i pojękiwania. Orfeo uśmiechnął się: jak dobrze znaleźć się znowu w domu, uwolnić choć na chwilę od majestatu, który połknął jego papieża.

W kącie naprzeciwko drzwi wypatrzył tych, których szukał. Dwaj znani mu męscyźni pili z trzecim, którego nigdy nie widział, ale są-

dząc po stroju, równieś żeglarzem. Jeden z tych znajomych spojrział ze zdumieniem na Orfea, który, chwyciwszy po drodze wolny stółek, podszedł do ich stołu.

— A niech ja się w piekle nie smaże, Orfeo! Co ty tu robisz? Po co już wrócili?

— Nie, są w drodze do Kitaju, tak jak planowali. Przybiłem dzisiaj do brzegu z papieżem.

— Il Papa? — Męscyżyna zatoczył krąg ręką i gwizdnął cicho. —

No, no, wybijasz się.

— Nuda mnie zŜera, Giuliano. Od dwóch miesięcy nie tknąłem wiosła. Zmięknęłam, jak nasza Cecilia.
— Przygarnął pulchną dziewczynę 227

przechodzącą obok stołu z dzbanem wina na ramieniu.

— W niejedną noc twardniałeś od tej miękkości — odparowała. Jej pełne wargi wygięły się w uśmiechu, kiedy ścisnął ją w talii. — Na długo w porcie?

— Jeszcze nie wiem. Właśnie na to mam dzisiaj ochotę.

— No, skoro tak... — Zmierzwiała wolną ręką jego włosy i ze śmiechem wywinęła się z jego uścisku. Lubił Cecilie. Dobra wesoła duszyczka, pomyślał, patrząc, jak oddala się, kołysząc zalotnie biodrami.

Miał dla niej dzisiaj cały wór nowych opowieści do poduszki.

— Słyszałeś, Őe doŜa szykuje wyprawę przeciwko Ankonie? —

spytał Giuliano. — Őadna tam morska potyczka ani pogonienie kota paru kupcom dla zabicia nudy. Wyruszamy nazajutrz po Wszystkich Őwiętych, jak tylko przycichnie cała ta wrzawa wokół papieŜa. Gildie będą jeszcze urzađzały przemarsze przez tydzień, ale nas juŜ tu dawno nie będzie. Dwie setki statków. Mustrują załogi i łuczników.

— Ile płacą?

— Dwanaście libbre ciastek, dwanaście oncie solonej wieprzowiny, dwadzieŐcia cztery fasoli, dziewięć sera i dzban wina. Nieźle sobie pojemy i popijemy — rozeŐmiał się.

— Ja pytam o dukaty, o coŐ, co by mi po powrocie pobrzczało w sakiewce.

— Pieniądze? Ten ciągiem o pieniądzech. Praktyczny jak zawsze, co, Orfeo? — Giuliano puŐcił oko do towarzyszy. — Słyszycie, jak wylazi z niego syn handlarza wełną? Widzicie, jak Őwiecą się te jego hebrajskie oczęta?

Sięgnął pod obdrapany stół, cofnął rękę i otworzył dłoń. Spoczywała na niej złota moneta.

— Dwie takie Őliczne podobizny Lorenza Tiepola, amico . I jeszcze lepiej — cały łup, jaki zdołasz przytaszczyć na pokład. To nie w kij dmuchał. Ankończykom dobrze się ostatnio wiedzie.

— Za dobrze, Őeby wyszło im to na zdrowie — wtrącił obcy, uŐmiechając się wymownie.

228

Orfeo przesunął wzrokiem po twarzach przyglądających mu się wy-czekująco męŜczyzn. Na tym wypadzie moŜna by się nieźle obłowić i za miesiąc byliby z powrotem. Dlaczego zatem się waha?

— Prześpię się z tym i jutro wam odpowiem — powiedział, ściga-jąc brwi. — Zresztą muszę spytać Ojca Świętego. Prosił, Œebym towarzyszył mu tylko do Wenecji, ale formalnie jeszcze mnie nie zwolnił.

— Uśmiechnął się wstydliwie. — Jestem jego talizmanem.

— Ha! Nie dziwota, Œeś zmiękł — zauwaŜył Giuliano. — Jeszcze wina! — wrzasnął, a jego dwaj kompani zastukali czarkami o stół. Podeszła Cecilia z dzbanem.

Kiedy pochylała się nad stołem, jej długi rudy warkocz musnął policzek Orfea. Pachniał świeŜo, i dziewczyna, Œeby nie było wątpliwości, dla kogo pokropiła się perfumami, na wszelki wypadek napařła kola-nem na jego udo. Poglądził ją po pośladku i ścisnął, kiedy odchodziła do sąsiedniego stolika. To będzie ostatnia czarka, jaką wypije dziś z kamratami.

Rude włosy miała większość Wenecjanek, jednak mało która obno-siła się z nimi tak jak Cecilia. Jakiś duchowny uznał pokazywanie wło-sów i uszu za nieskromne, ale Cecilia rzadko miała do czynienia z duchownymi — a jeśli juŜ, to jakoś ich nie gorszyło, Œe nie nosi nakrycia głowy. Orfeo wyobraził sobie dostojne mieszczki, paradujące co dnia po marmurowych posadzkach swoich pałaców w sztywnych zoccoli,

wystrojone w brokatowe suknie, obwieszane biŜuterią, za którą moŜna by kupić cały AsyŜ. Ich długie warkocze i wybielone ryŜowym pudrem cery były tak samo fałszywe jak serca. Te kobiety Œadną miarą nie mo-gły się równać ze szczerą, otwartą Cecilia. Poszukał jej wzrokiem. W

spojrzeniu, które rzuciła mu z drugiego końca izby, płonęło takie poŜa-

danie, Œe aŜ zamrowiło go w łędzwiach.

— Umie juŜ napisać swoje imię — powiedziała Cecilia. — Przyjaciel mnie nauczył. — Podparła się na łokciu, Œeby lepiej widzieć jego twarz.

229

Orfeo uśmiechał się sennie i gładził ją po włosach, kiedy nakreśliwszy palcem „C” wokół jego prawego sutka, pisała dalej w poprzek piersi: „E — C — I...”.

Błada poŒwiata, wciskająca się przez szpary w starych okiennicach draŜniła wyczerpanego Orfea jak brzęczący komar. Najchętniej poło-

Ŝyłby sobie głowę Cecylii na ramieniu i zamknął oczy, ale wiedział, Œe pora wracać do pałacu. Ogarnęło go przygnębenie. Cecilia przerwała pisanie i zmarszczyła czoło.

— Znowu posmutniałeś, Orfeo.

— I sam nie wiem dlaczego — westchnął.

— Nie wiesz? Mogę ci powiedzieć.

Ujął ją pod brodę i przyciągnął, Œeby pocałować.

— To powiedz, mądra kobieto, niech i ja się dowiem.

— Nie kpij. — Wydęła usta, Œciągnęła brwi. — Kobiety znają się na tych rzeczach. — Wyciągnęła się obok niego i złoŒyła mu głowę na ramieniu. — Pamiętasz, jak mi opowiadałeś o swojej ucieczce z domu?

Rwałaś sobie włosy z głowy, a ja cię uspokajałam. „Będę walczył z kaŒdym męŒczyzną dla samej tylko przyjemności, mówiłeś, ale niech mnie diabli porwą, jeśli zabiję dla pieniędzy”. Płynąc z wyprawą na Ankonę, zatapiając ichnie statki, okaŒesz się nie lepszy od swojego tatki, co spalił zamek. Na twoim miejscu zakotwiczyłabym jeszcze na jakiś czas przy papieŒu. I przy swojej Cecilii.

Orfeo musnął wargami jej policzek i połoŒył głowę na poduszce.

— Moja Cecilia — powtórzył. — Najroztropniejsza kobieta w ca-

łym chrzeŒcijańskim Œwiecie. Obym się tak w piekle smaŒył, jeśliś nie ostatnią z wyroczni.

— To chyba dobrze?

— O tak. W dawnych czasach ludzie podróŒowali miesiącami przez cały Œwiat do kapłanek i wyroczni. Klękali przed nimi i obsypywali darami.

— TeŒ bym tak chciała. Dlaczego juŒ tego nie czynią?

Orfeo rozeŒmiał się i przytulił ją mocno.

— Dlatego, kobieto, która nie wiesz jednak wszystkiego, bo nie wolno 230

juŒ wam być kapłankami. Tamte czasy bezpowrotnie minęły. A szkoda.

— Pocałował ją znowu delikatnie w szyję, tuŒ pod brodą, i przyszczypał lekko zębami. — Ale ja, kiedy tylko będę potrzebował mądrej rady, przyjdę prosto do ciebie. W innym czasie, w innych okolicznościach moŒe by i na dłuŒej przy Cecilii, jak to okreŒliła, zakotwiczył. Ale on nie potrafił teraz nigdzie zagrzać miejsca, a poza tym wiedział, Œe ilekroć do niej zatęskni, zawsze ją tu znajdzie. Ona zaŒ, ze swoim ciepłem i wielkim sercem, nigdy nie będzie narzekała na brak adoratorów.

I wciąŒ nic, westchnął w duchu Konrad. Nie mu tu Œadnych odpowiedzi. Trwonię tylko czas na tego Tomasza z Akwinu.

Jego cierpliwoŒć wyczerpywała się szybciej, niŒby się tego spodziewał. Po tygodniu lektury, ze stosiku pergaminu, który przygotował na zapiski, nie zapełnił nawet jednego arkusza. Wynotował sobie tylko jeden artykuł, opisujący ułomną naturę kobiety, a i to tylko po to, Œeby, jeśli nadarzy się kiedyś po temu sposobnoŒć, odczytać go przemądrzałej siostrze Amacie, która tak opacznie rozumie miejsce kobiety w Wielkim Łańcuchu Istnienia. Czerpał z tego ustępu jakąś perwersyjną satysfakcję, bo oto w pracach wybitnych teologów, a nawet u Greka Arys-toteles, znajdował potwierdzenie

tego, co jemu podpowiadał instynkt.

Pytanie XCII, Artykuł I, Odpowiedź na Zarzut I Albowiem Filozof rzecze: „Kobieta jest nie w pełni uformowanym męŹczyzną”. Albowiem czynna siła w męskim nasieniu dąŜy do wytworzenia idealnego podobieństwa płci męskiej, kobieta zaś powstanie wskutek defektu w tej czynnej sile albo jakiejś materialnej niedyspozycji, albo nawet jakiejś zewnętrznej zmiany, takiej jak wiatr od południa niosący wilgoć, jak zauwaŜa Filozof w dziele O rodzeniu się zwierząt.

231

Pomimo osobistej niechęci do teologii dialektycznej i systematycznej, Konrad musiał przyznać, Źe zazdrości Tomaszowi głębokiego zrozumienia spraw natury. Źałował teŜ, Źe w studenckich czasach nie poświęcił więcej uwagi Arystotelesowi. Tyle miał czasu na obserwowanie dzikich stworzeń buszujących w pobliŜu jego pustelni, a nie zdołał dokonać w sobie tego przełomu, który wiedzie na następny poziom pojmowania Źwiata, daje głębsze wejrzenie w naturę rzeczy, nie-ograniczające się do powierzchownego postrzegania. Kto by, dajmy na to, pomyślał, Źe wilgoć w wietrze moŜe mieć wpływ na reprodukcję?

Konrad zsunął się ze stołka i zerknął poŹadliwie na zamknięte na kłódkę szafy stojące szeregiem niczym straŜnicy za gablotami Lodovica. JeŜli Sacro Convento nadal posiada kopie zakazanych biografii, a zwaŹszcza pierwszego Źyciorysu Franciszka spisanego przez Tomasza z Celano, to na pewno przechowywane sã w tych wlaŹnie szafach. Przeciãgnãł się i zrobił kilka przysiadów. Bibliotekarz był czymś zajęty w drugim końcu izby.

Konrad wszedł między półki i sunãc wzrokiem po grzbietach ksiãg, wyciãgał to tę, to tamtã. Odstawiając kaŜdã na miejsce, oglãdał się za siebie. ZbliŜywszy się do szaf, znalazł się poza zasięgiem wzroku Lodovica i kopistów. Wielkie Źelazne kłódky zniechęcały, ale patrząc teraz z bliska, stwierdzał, Źe same szafy wykonane sã z soŹniny. Zatrzymał

się i nacisnął palcem jednã z bocznych desek. Drewno ugięło się nieco.

Za pomocã odpowiedniego narzãdzia...

Cofnął szybko rękę. Dobry BoŜe! CzyŜby był aŜ tak zdesperowany?

Owszem, prawie aŜ tak. Pytanie tylko, czy zdobędzie się na odwagę i przekuje tę desperację w czyn. Dostanie się pod osłonã nocy do biblioteki nie powinno być trudne. Lodovico nigdy nie rygluje drzwi. Ale po zdobyciu poszukiwanego manuskryptu trzeba by się z nim było jakoŹ wy dostać z klasztoru przez zamkniętã furtę, ktorej pilnuje furtian. A potem uchodzić przed dwunoŜnymi psami, ktore Bonawentura bez wãtpienia by za nim posłał. Gdyby go nie dopadli przed górami, moŜe udałoby 232

mu się ujść poŹcigowi. Znał okolice. Gdyby go jednak złapali, to generał nie miałby dla niego litoŹci.

Szuranie sandałów w sãsiednim przejŹciu miãdzy półkami połoŜyło na jakiŹ czas kres tej wewnętrznej debacie. Konrad ukucnął i patrząc ponad ksiãgami, zobaczył kolana Lodovica.

Bibliotekarz zmierzał w drugi koniec przejścia. Konrad wrócił szybko za pulpit. Kiedy Lodovico kończył obchód, siedział już nad Summa, pochylony tak nisko, że nos, którym niemal dotykał stronicy, mógłby posłużyć za suszkę, gdyby inkaust jeszcze nie wysechł. Podniósł na moment wzrok i zobaczył

wygięte do dołu kąciki ust odwracającego się bibliotekarza.

Za dwa dni pierwszy listopada i klasztor będzie obchodził Wszystkich Świętych. Pod koniec tego długiego dnia modlitw i liturgii zmę-

czeniu bracia marzyć będą tylko o swoich ciepłych pryczach. Gdyby wykrzesał w sobie odwagę i zdecydował się włamać do szaf, to ta noc byłaby idealna. Wypada wtedy nów księżyca. Gdyby jeszcze chmury pokryły niebo i przesłoniły dodatkowo ten cienki sierp blasku, dałby chyba radę wymknąć się z klasztoru niepostrzeżenie.

W dzień oficjalnego powitania papieża Orfeo poszedł rankiem do bazyliki, żeby pomóc w przygotowaniach. Podczas gdy mała armia Wenecjan układała kwiaty i rozwijała dywany, on pomógł robotnikom wynieść ciężki tron na plac Świętego Marka, gdzie papież elekt miał

przyjmować do siebie i innych dostojników. Robotnicy wynieśli tam również mniejszy tron dla dośy, a potem Orfeo pomógł im zbudować zagrodę dla papieskiego osiołka albinosa. Na wszelki wypadek nad dwoma tronami rozpięto również baldachim; na południu i zachodzie zbierały się burzowe chmury.

Mieszczanie ściągali już na plac, ludzie rozpychali się łokciami, walcząc o najlepsze miejsca. Hufiec rycerzy przybyłych z Rzymu utworzył teraz wokół piazza ochronny pierścień, by utrzymać gawieź

w bezpiecznej odległości. W porze tercji zabiły dzwony Świętego Marka, a chór męskich głosów odpowiedział im z wnętrza bazyliki pieśnią *Te Deum Laudamus*. Pieśń przybrała na sile, kiedy z kościoła wyszła procesja kanoników i skierowała się przez plac ku Pałacowi Dośów.

234

Orfeo z niepokojem oczekiwał pojawienia się Tebalda. Wenecjanie lubowali się w efektownych widowiskach. Czy nowy papież sprosta ich oczekiwaniom? Dotąd widywał Tebalda jedynie w sytuacjach niefortalnych, na pokładzie statku i odpoczywającego w pałacu. Czy w ogó-

le ma w swoich skrzyniach stroje, w których nie wypadnie blado przy słynącym z wystawności Lorenzu Tiepolu i jego Sonie? Dla bogatych mieszkańców miasta liczyła się przede wszystkim powierzchowność.

Przez ciśbę stłoczoną najbliżej pałacu przetoczył się pomruk podniecenia. Orfeo wyciągnął szyję i uśmiechnął się na widok Tebalda zbliżającego się do tronu z pochyloną, odkrytą głową, bosą, w zwyczajnej czarnej sutannie wiejskiego księdza. Poruszał ustami w cichej modlitwie, zdawał się nie zwracać uwagi na gapiów. Kiedy podniósł w końcu głowę i spojrzał na stojącego za tronem Orfea, ten wyczytał z wyrazu jego twarzy: „Reforma zaczyna się tutaj”.

Tymczasem do nabrzeża San Marco, po spędzeniu nocy w rodzinnym palazzo, przybił dośa. Barka przycumowała i schodzącego na piazza Lorenza powitał cichy pomruk tłumu, przetykany okrzykami zdumienia i aprobaty. Zamiast okrągłej czapki miał na głowie złoty diadem wysadzany drogimi kamieniami. On również był w sutannie, krótszej niż papieska, ale białej i obszytej gronostajami. Na nogach miał

czerwone rajtuzy, a na sutannę narzucił płaszcz ze złotej materii. Za nim zeszła z barki Sona z damami dworu. Sunęła przez piazza w ślad za mężem w sukni z trenem ze szkarłatnego brokatu, z mankietami obszytymi gronostajami. Długi welon, przytrzymywany małą księżęcą koroną, zasłaniał jej twarz i głowę. Damy postępowały za nią w błękitnych sukniach i szkarłatnych płaszczach, na głowach miały

kapelusze, wysadzone klejnotami turbany z aksamitu i zwiewne woalki.

Zbliżywszy się do papieża, Lorenzo odrzucił złoty płaszcz i padł

plackiem na ziemię. Podnosił się stopniowo, całując najpierw stopy, potem kolana kapłana, a w końcu stanął na równe nogi. Tebaldo również

235

wstał. Ujął oburącz głowę papieża, ucałował go w oba policzki i uściśnął.

— Witaj, umiłowany synu Kościoła — powiedział. — Siądź po mej prawicy.

Pośród wiwatów tłumu papieża zajął miejsce na tronie.

Dzwony znowu zabiły i rozbrzmiało znowu Te Deum. Tebaldo wziął papieża za rękę i poprowadził do bazyliki, gdzie miał celebrować sumę na cześć wszystkich świętych. Dla Orfea każdy ruch papieża elekta wyrażał pokorę i świadomość odpowiedzialności, jaką nakładają nań nowe obowiązki. Jego ubiór i zachowanie przystawały do tego, co mó-

wił podczas podróży. Orfeo poczuł przyływ dumy z faktu, że należy do świty takiego człowieka.

Msza trwała niemal do południa. Potem Tebaldo dosiadł swego osiołka i Lorenzo, który przytrzymał mu strzemień, poprowadził go do nabrzeża. Seglarze wyruszający na Ankonę wsiedli już na okręty, i te defilowały teraz jeden za drugim przed placem Świętego Marka.

— Pobłogosław na drogę naszą flotę, Wasza Świętobliwość — poprosił Lorenzo. — I pomódl się o powodzenie wyprawy.

Papież odpowiedział ściszym głosem, na tyle jednak głośno, żeby Orfeo usłyszał. Niestety oznaczało to, że jego słowa słyszeli również ci najbliżsi stojący.

— Będę się modlił za bezpieczny powrót twoich ludzi i statków —

powiedział. — Ale nie mogę się modlić za powodzenie wyprawy, którą uważam za akt piractwa. Ankończycy także są moimi dziećmi.

Lorenzo splonął rumieńcem, a Tebaldo odwrócił się, uniósł ramiona i przesłaniał statki wielkim znakiem krzyża.

Pomimo dziękczynnej wrzawy, jaka wybuchła na okrętach, Orfeo poczuł się nagle nieswojo. Zaprzagnął, żeby ceremonia już się zakończy-

ła i mogli ruszyć w drogę, osłaniany przez rzymskich rycerzy. Ale potem przyszło mu do głowy, że organizator tej zbrojnej eskorty mógł

sprowadzić ją do Wenecji nie tylko w celach kurtuazyjnych.

Kiedy ostatni okręt wypłynął z portu, dośa odprowadził osiołka na piazza, gdzie papieski tron w międzyczasie przestawiono, ŝeby roztaczał się z niego lepszy widok. Wkrótce miała się rozpocząć parada gildii i prezentacja darów, która, jak przewidywał Giuliano, potrwa zapewne kilka dni. Kiedy Tebaldo sadowił się na tronie, dośa szepnął coś do jednego ze swych ludzi. Prawdopodobnie nie miało to nic wspólnego z tym, co powiedział papieś na nabrzeżu. Mimo wszystko, kiedy na piazza, przy dźwiękach trąbek, ze sztandarami, flaszkami i pucharkami wkraczała szkarłatnie odziana gildia dmuchaczy szkła, Orfeo wmieszał

się w tłum i przepchnął do kapitana rzymskiej straży.

Noc była ciemna, choć oko wykol — wymarzona na dokonanie kradzieży. Przez cały dzień nad Asysem wisały nisko czarne chmury, wczesne zwiastuny zimowych śniegów, które za kilka miesięcy przykryją góry białą pierzyną. Nieco bledszy cień wzdłuż krawędzi jednej z chmur zdradzał położenie księżyca w nowiu.

Kamienna posadzka dormitorium ziębiła Konrada w bose stopy, ale znosił to z pokorą. Zakonnicy chrapali, co prawda, jak najęci, ale trzeszcząca podłoga z desek, taka jak w bibliotece, mogłaby go zdradzić.

Kieszon obciągała mu krótka, ale ciężka ŝelazna sztaba, którą znalazł

przy kuźni. Zamierzał podważyć nią deski szaf, a później przybijać je z powrotem, by zatrzeć ślady włamania. Lecz Sacro Convento i tak bę-

dzie musiał opuścić. Nawet gdyby nie zauważono kradzieży, nie miałby gdzie przeczytać ani nawet ukryć rękopisu Tomasza z Celano. Zakładając, oczywiście, że go znajdzie. Zacierając po sobie ślady, zyska na czasie i będzie mógł wyjść z klasztoru jak gdyby nigdy nic, w pełnym blasku dnia, ze skradzionym manuskrypcem pod habitem.

Wyśliznął się już z dormitorium i skradał na palcach kruśgankiem, a wciąż nie chciało mu się wierzyć, że idzie dokonać kradzieży. Czy Leon 237

i Franciszek, chociaś znali przyświecający mu cel, ba, sami go przed nim postawili, pochwaliliby tę metodę? Posuwając się pod samą ścianą, gdzie cień był gęstszy, wyczuwał pod palcami ślady pozostawione na granitowych blokach przez dłuta budowniczych. Naszło go dziwne uczucie, zupełnie jakby badał dłońmi przeszłość zakonu. Wyobraził

sobie kamieniarzy, którzy pracując w pocie czoła pod kierunkiem Eliasza, kopią doły pod fundamenty, ociosują wielkie kamienne bloki dostarczane codziennie z kamieniołomów, windują pod niebo te bloki i drewniane belki na ogromnych wielokręskach. Czy nie włamuje się do bibliotecznych szaf równieś po to, by ocalić wiedzę o początkach zakonu, którą Bonawentura i ministrowie prowincjonalni tak usilnie starali się zatrzeć?

Poprzedni generał, Jan z Parmy, naprawdę nie szczędził wysiłków, by doprowadzić do pojednania ze

spirytuałami. Za jego czasów ci, któ-

rzy chcieli pozostać wierni surowej regule ubóstwa, nadal czuli się członkami zakonu. Lecz Bonawentura miał inną wizję swoich zakonników. Nie będą już wędrownymi głosicielami Ewangelii, którzy Śebrzą po gościńcach albo sprzątają za kawałek chleba stajnie, opiekują się chorymi i trędowatymi, śpią w oborach, poniŚani i pokorni wobec kaŚ-

dego.

Przed siedmioma laty, przepędzając Konrada z AsyŚu, minister generalny tak oto próbował usprawiedliwić bogacenie się zakonu:

„Pierwsi bracia byli prostoduszni i niepiśmienni — mówił. — To wła-

śnie sprawia, Śe fascynuje mnie Śywot błogosławionego Franciszka i wczesne dzieje zakonu — przypominają mi początki i wzrost Kościoła.

Kościół teŚ wykiełkował z prostych rybaków, by się potem rozrosnąć i wydać sławnych uczonych filozofów, i tak musi się stać z naszym zakonem. W ten sposób Bóg pokazuje, Śe zakon braci mniejszych nie został założony z ludzkiej zapobiegliwości, lecz przez samego Chrystusa”.

Bonawentura widział swych mnichów edukowanymi, kształconymi na uniwersytetach kaznodziejami, których społeczeństwo powaŚa i ceni.

To, według niego, powinno położyć kres zarzutom, Śe zakon odszedł od 238

swych pierwotnych ideałów. A w procesie kształtowania owego nowego wizerunku uciszał również tych niepokornych. Wyidealizowany zakon potrzebował wyidealizowanych braci oraz wyidealizowanego wizerunku swego założyciela. Konrad był zdania, Śe te surowe grani-towe mury oddają prawdziwą historię zakonu lepiej niż cała wysublimowana proza Bonawentury.

Namacał w ciemnościach węgiel i kiedy skręcał w przejście prowadzące wprost do biblioteki, oczy poraził mu rozbłysk światła. Przez jedną chwilę zobaczył przed sobą, wyraźnie jak za dnia, drzwi biblioteki, a to znaczyło, Śe i on, jeśli ktoś go obserwował, był przez tę chwilę widoczny jak na dłoni. Stłumiony grzmot przetoczył się nad doliną i obił o mury klasztoru.

Konrad wciągnął haust zimnego powietrza i odczekał, aŚ uspokoi się walące jak młot serce. Potem przebiegł kilka ostatnich kroków, jakie dzieliły go od biblioteki, by zdążyć przed następną błyskawicą. Bły-skawice zagraŚały jego przedsięwzięciu, za to grzmoty mogły mu pomóc. Klęcząc przy szafie, zaczeka na rozbłysk, wepchnie sztabę w szparę, a kiedy uderzy grom, podwaŚy deski.

Doszedł po omacku do swojego pulpitu, na którym zostawił lampkę oliwną. UŚywał jej dzień wcześniej, czytając ostentacyjnie do późnego popołudnia, kiedy w bibliotece było już mroczno. Teraz, dumny ze swej przemyślności, obmacał ostroŚnie blat, przesunął ręką pod pulpitem.

Lampki nie było. Nie przypuszczał, Śeby Lodovico przejrzał jego plan.

Bibliotekarz sprzątnął ją zapewne w obawie, że lampka się przewróci i rozlana oliwa zabrudzi któryś z jego bezcennych manuskryptów. Na szczęście opatrzność podarowała mu inne źródło światła.

Z każdą błyskawicą był bliżej szaf. W końcu ukląkł i przystąpił do pracy. Szybko wypracował sposób: podważał, kiedy grzmiało, rozglą-

dał się, kiedy błyskało. Biblioteczne półki, stosy książek i stołki rzucały dziwnokształtne cienie, zupełnie inne od tych, jakich można by się spodziewać, patrząc na nie za dnia. Niektóre zdawały się z każdą błyskawicą przesuwać.

239

Przetoczył się kolejny grzmot, głośniejszy, bliższy. Burza podchodziła pod miasto. Konrad napał z całych sił na sztabę i udało mu się wreszcie poluzować deskę u podstawy szafy. Odgiął ją jedną ręką, drugą wsunął przez powstałą szparę do środka i namacał stos manuskryptów. Wyciągnął pierwszy z wierzchu i położywszy go sobie na kolanach, czekał na następną błyskawicę, żeby odczytać tytuł. Rozświetliła ciemność na tak krótko, że zdążył odcyfrować tylko jedno słowo, Sociorum, i zobaczyć nad sobą dwa cienie.

Konrad nie widział dobrze milczącego zakapturzonego zakonnika, który go wyprowadzał, ale w tym drugim, wysokim, który został, by odłożyć manuskrypt i naprawić szafę, pomimo ciemności rozpoznał

chyba Lodovica. Przed biblioteką czekał chłopiec z latarnią, której migotliwy blask omywał mu twarz. Był to przyjęty przed tygodniem do Sacro Convento nowicjusz, Ubertino z Casale. Konrad rozmawiał z nim już kilkakrotnie i za każdym razem krępowano go trochę, że Ubertino patrzy nań z zachwytem jak na bohatera. Z rozbawieniem wspominał, jak sam, będąc od chłopca niewiele starszym, podziwiał brata Leona.

Oburzyło go teraz, że Bonawentura wciągnął w tę nieczystą sprawę takiego młodzika. Być może chciał, żeby chłopiec na własne oczy zobaczył, jak generał rozprawia się z nieposłusznymi zakonnikami.

Teraz, w świetle latarni, rozpoznał również przygarbioną sylwetkę brata Tadeusza. Blask kolejnej błyskawicy wdarł się pod kaptur, wyłuskując z mroku smutne wodniste oczy i obwisłe policzki posuniętego w latach psa gończego generała. Bonawentura musiał przewidywać, że Konrad nie będzie stawiał oporu, skoro wysłał po niego starca i chłopca. I nie mylił się, Konrad nie był w bojowym nastroju. Został przyłapany na gorącym uczynku, na próbie kradzieży manuskryptu z klasztornej biblioteki, próbie złamania interdaktu nałożonego na pierwsze Syciorysy. Teraz mógł tylko poddać się woli Boga i z pokorą przyjąć karę.

240

Kaganki w gabinecie generała zakonu zachwiały się w prądzie powietrza, który wpłynął przez otwierające się drzwi. Bonawentura siedział za biurkiem ponury, jego pogodna zwykle twarz nosiła

ślady snu.

Konrad zauważył, że od ich ostatniego spotkania w jego tonsurze i wą-

skich brwiach pojawiły się siwe włoski, a w kącikach brązowych oczu promieniste zmarszczki. Przybrał też na wadze. Przed czternastu laty trzydziestosiedmioletniego wówczas Bonawenturę wybrano na ministra generalnego. Te lata odcisnęły na nim wyraźne piętno i Konrad wiedział, że zgrzyot przysparzają generałowi w niemałym stopniu tacy jak on, krnąbrni bracia. Zafascynowała go również osobliwa poświata unosząca się na podobieństwo aureoli nad głową Bonawentury. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że to tylko odbłask płomienia na ogolonej czaszce.

Bonawentura opadł na oparcie krzesła i bębniąc palcami o blat, mierzył wzrokiem stojących przed biurkiem zakonników. W końcu do jego oczu powrócił blask.

— Zostawcie nas samych, bracia — poprosił. — Zaczekajcie na krużganku. — Złączył czubkami palce wskazujące, przyłożył je do warg i czekał, aż tamci opuszczą gabinet. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, skierował wzrok na Konrada.

— A więc stało się — powiedział spokojnie. — I co ja mam teraz z tobą począć?

Konrad zwiesił głowę jak karczone dziecko i milczał.

— Konradzie, Konradzie, wciąż mnie rozczarowujesz. Twoje zachowanie nie jest dla mnie zupełnym zaskoczeniem, wszak wiem, jak namącił ci w głowie brat Leon, ale mimo wszystko czuję się rozczarowany.

— Coś ukrywacie — wypalił Konrad.

— Ja? — Bonawentura, skryty pod maską niezmaconego spokoju, znowu był sobą. — A gdyby nawet, tobie nie powinno to spędzać snu z powiek. Jesteś prostym zakonnikiem i wystarczy ci tylko wiedzieć, że cokolwiek czynię, powoduje mną troska o świętą reputację i wiarygodność naszego zakonu.

241

Konrada naszła nieodparta pokusa wyrzucenia z siebie wszystkiego, co wie.

— Dlaczego zakazaliście Pierwszej Tomasza? Dlaczego towarzysz został okaleczony? Skąd przyszedł serafin? — mówiąc to, dygotał z emocji.

— Słuchaj Biedaczkom Chrystusa — dokończył Bonawentura z kpią-

cym uśmiechem, obracając pierścień na palcu. — Odszukaj brata Jakubinę. Znam treść listu Leona.

— Bo Iluminat spotkał posłańca.

Uśmiech nadal igrał na wargach Bonawentury, jego brwi uniosły się lekko.

— Owszem. Ale ten list nie jest ważny. Dla ciebie powinno się liczyć tylko to, że nie ja, lecz Rada Paryska, ministrowie prowincjonalni w swej mądrości i z powodów, które oni najlepiej znają, zakazała rozpowszechniania Śyciorysów napisanych przez Tomasza z Celano, jak również Relacji trzech towarzyszy. Taką podjęli decyzję i my, jako posłuszni synowie świętego Franciszka, mamy obowiązek ją respektować.

Tych zaś, którzy tego nie uczynią, musimy przykładnie karać.

Słowa Bonawentury podziałały na Konrada jak uderzenie obuchem w głowę. Nie sprawiła tego jednak groźba kary, nie, to było coś innego.

Czuł się teraz jak piekarz, który nagle przypomniał sobie, że zostawił w piecu bochenek chleba. Idioto! Miałeś to przez cały czas przed nosem.

Okaleczony towarzysz to nie osoba — to nie Angelo, Ruffino, Maseo, ani Saden z braci pochowanych w bazylice. Leon miał na myśli historię, którą wspólnie skompilowali, ich wspomnienia i opowieści o Franciszku, które najwyraźniej zostały ocenzurowane, okaleczone, wywaśnione. Przed chwilą, w bibliotece, trzymał w ręku manuskrypt — Legenda Trium Sociorum, Relacją trzech towarzyszy. Był tak blisko poznania kolejnego elementu w układance Leona!

Bonawentura ciągnął beznamiętnym tonem:

— Ale, bracie, mając na względzie fakt, że donna Giacomina w swej dobroci raczyła cię zaszczyścić swoją przyjaźnią, daruję ci ten jeden

jedyny raz. Opuścisz natychmiast mury Sacro Convento. Nie chcę cię więcej widzieć w klasztorze ani w bazylice, nie chcę cię usłyszeć, że rozmawiałeś z którymkolwiek z tutejszych braci. Postąpisz najroztropniej, wracając do swojej górskiej pustelni i zarzucając to bezsensowne dochodzenie. Jeśli dowiem się, że tak nie zrobiłeś, i wpadniesz znowu w moje ręce, odczujesz na sobie pełnię mego gniewu. Postaraj się wię-

cej nie wchodzić mi w drogę.

Bonawentura przyłożył palec wskazujący do kości policzkowej, tu

pod okiem, i obciągnął lekko w dół skórę.

— Ci capiamo, eh? Rozumiemy się?

Wstał i wyszedł zza biurka, a Konradowi przypomniało się, jak mó-

wił Amacie o okrutnych szponach gryfa. Ledwo ta wizja nabrała w jego umyśle kształtu, bestia rozpostarła nietoperzowe poły płaszcza i wycią-

gnęła do pocałowania ozdobioną pierścieniem dłoń.

Konradowi zeszytniał kark. Cofnął się odruchowo przed podstawioną pięścią.

— Pocałuj pierścień, bracie — powiedział Bonawentura ze zło-wróŹbną nutą w głosie. — Przez wdzięczność, Źe odchodzisz wolno, co jeszcze nie jest takie pewne, i w akcie pokory, której tak ci brakuje —

pocałuj pierścień.

Nagle murami wstrząsnął ogłuszający grzmot. Kaganki przygasły, a płomyki zaskwierczały i zatrzepotały jak proporce na wietrze. Konrad pochylił głowę. Opadł na jedno kolano, ujął dłoń generała, przyciągnął

lazuryt do warg i spuszczone oczy stanęły mu nagle w słuŹp na widok wyrytego w kamieniu symbolu — patyczkowatej figurki pod dwoma łukami otoczonej kołem.

A więc to jest ta doskonała radość, pomyślał Konrad. Zdobył się na uśmiech, chociaż z nosa ściekały mu strumyczki deszczu. Stał skulony we wnęce w murze, tuż przy drzwiach domu donny Giacomy i czekał

na świt. Lodowaty wiatr gwizdał na schodach prowadzących do zaułka.

Dotarł tu okręsną drogą, obchodząc szerokim łukiem Piazza di San Francesco, żeby nie natknąć się na straż miejską. Na szczęście ulewa zniechęcała strażników do snucia się po mniej uczęszczanych uliczkach.

Zdawał sobie sprawę, jakie miał szczęście, że Bonawentura pozwolił

mu odejść, nie wyciągając żadnych konsekwencji. Ale wiedział również, iż teraz, kiedy sam generał podsunął mu kolejną podpowiedź, nie może tak po prostu wrócić do swojej pustelni. Musi jakoś dotrzeć do tych starych syciorów.

Ze zmęczenia powieki same mu opadały. Zaryzykował i usiadł, chociaż w tej pozycji stopy wystawały mu z wnętrza. Podciągnął kolana pod brodę, objął je ramionami, złożył na nich głowę i zasnął. Obudziło go szarpanie za rękaw.

244

— Wejdz do środka, bracie — mówiła jakaś kobieta. — Mamy na-palone w kominku. Sąsiad z naprzeciwka zobaczył cię i dał mi na migi znać, że tu siedzisz.

Jak długo drzemał? Otworzył przekrwione oczy. Świtało, ale ciemne burzowe chmury nadal zasnuwały niebo. Poprzez szum deszczu słyszał

bicie na Angelus w Basilica di San Francesco. Kobieta pociągnęła go do drzwi domu donny Giacomy. Nie widział tu jeszcze tej służki. W progu zdjęła opończę i strzepnęła z niej krople deszczu. Pod spodem miała niebieską suknię do kostek, a na głowie biały czepek — barwy liberii, którą nosiła służba szlacheckiej. Była boso, tak jak jej pani.

— Tędy, bracie — powiedziała, prowadząc go do kuchni. —

Bywałeś u nas już wcześniej?

A zatem albo była tu nowa, albo przez dom donny Giacomy przewijało się tylu mnichów, że nie zapadł jej w pamięć. On też jej nie pamię-

tał. Chociaż... Przez cały czas była odwrócona do niego plecami, ale jej młody głos brzmiał dziwnie znajomo.

— Bywałem — mruknął, kiedy zaprosiła go gestem do zajęcia miejsca za stołem. Siedział tam już

maestro Roberto, czekając bez wątpienia na swojĄ miskę gorĄcej owsianki.

— Bracie Konradzie! — wykrzyknĄł. — WyglĄdacie jak podtopio-ny kocur. JuŜeśmy myśleli, Őe o nas zapomnialeŝ.

Na dŝwięk jego imienia kobieta odwróciła się na pięcie, i Konradowi serce podeszło do gardła. Amata! Jej okolona czepkiem twarz jakby się zmieniła, była teraz czysta, piękna, moŜe nieco wymizerowana. Ale te czarne, wykrojone w kształt migdałów oczy, choć wyzierał z nich teraz strach, którego nigdy w nich dotĄd nie widział, nie mogły naleŜeć do nikogo innego. Zaczerwieniła się pod jego spojrzeniem.

— Co ty tu robisz? — wykrztusił. — I gdzie twój habit?

Roberto rozeŝmiał się.

— Nie poznajesz go bez brody, co, panienko?

— Scu... sensami — wybĄkała Amata i kryjąc twarz w dłoniach, wybiegła z kuchni.

Roberto znowu zachichotał.

245

— Płochliwa dzierlatka. Ale ty to najlepiej wiesz. Madonna mówi, Őe jesteŝcie dobrymi przyjaciółmi.

— Tak powiedziała?!

— A nie namawiałeŝ jej, Őeby oddała przeoryszy list świętego Franciszka i sprowadziła dziewczynę do siebie?

Oŝłupiały Konrad usiadł naprzeciwko lokaja, próbując przypomnieć sobie swojĄ ostatniĄ rozmowę z donną GiacomĄ.

— Tak powiedziała?

— Niech będie pochwalony w ten deszczowy poranek, padre —

rozległ się za nim głos kucharki. — Mam coŝ specjalnego, trzymałam to do waszego powrotu. — Postawiła przed nim talerz suszonych fig.

— Nadziewane migdałami i obtaczane w cukrze, ale nie tykajcie ich, póki nie zjecie czegoŝ gorĄcego.

Konrad miał nadzieję, Őe jego mina nie zdradza, jaki jest oŝłupiały.

Brak snu, plucha, wypadki ostatnich szeŝciu godzin, wszystko to sprawiało, Őe w jego odczuciu ŝwiat

stał na głowie. Ale od kuchennego pieca było przyjemne ciepło, owsianka kucharki jak zawsze pokrzepiała, a smakowite figi, do których na koniec pozwoliła mu się dobrać, pozwalały zapomnieć o tym, co niedawno przeżył. Oblizywał właśnie palce z cukru, kiedy do kuchni weszła o lasce donna Giacomina.

— Słyszałam, że wróciliście, bracie Konradzie. Ale, Boże drogi, spójrzcie tylko na siebie! Każę zaraz przygotować wasz stary habit, bo jeszcze mi się przeziębicie. Zaczekajcie na mnie w swojej izbie, gdy się posilicie. — I nie czekając na odpowiedź, wyszła z kuchni.

Konrad spojrzął na Roberta, ale ten wzruszył tylko ramionami i uniósł ręce.

— Robota czeka, padre. Opuszczam cię. — Uśmiechnął się i już go nie było. Kucharka też zniknęła w spiżarni. Konrad podrapał się po głowie, wsunął do ust ostatnią figę i ruszył na spotkanie ze swoim starym, znoszonym, pocziwym habitem.

Nie spotkał po drodze Amaty. Kiedy przebrał się w suche odzienie, donna Giacomina zaprowadziła go do dużej sali. W jej końcu, przy kominku, 246

na wół skryta za zdobnym parawanem, siedziała Amata.

— Musicie ze sobą porozmawiać — powiedziała szlachcianka. — I, Konradzie... — zawiesiła na moment głos, a potem dokończyła z powagą: — Bądź dla niej miły. Matka przeorysza powiedziała, że nie poznaje jej, odkąd wróciła z Ankony.

Donna Giacomina wyszła z sali, a Konrad odetchnął głęboko. Jak te kobiety wspierają jedna drugą! Wracił cały gniew, jaki czuł, kiedy umarł Enrico, albo kiedy wyobrażał sobie Amatę klęczącą nago przed chłopcem bądź gładzącą się z lubieżnymi braciszkami w wielkim łosie domu Victoria w Sant'Ubaldo. Za oknem szalała burza, świst wiatru mieszał

się z bębnieniem deszczu o dach. Pomyślał, jak ta mokra furia oblepia-

łaby płatkami śniegu sosny w jego górskiej samotni. Bóg jeden wie, co go podkusiło, żeby zamienić tamten błogosławiony spokój na burzę, która wywracała mu teraz wnętrze.

Amata siedziała ze spuszczoną głową, pocierając złozone na podł-

ku dłoń. Konrad, zamiast usiąść na krześle, które stało naprzeciwko niej, podszedł sztywno do kominka. Niech chociaż raz dziewczka podniesie na niego wzrok, tak jak należało spoglądać na kapłana, a nie patrzy mu zuchwale w oczy, stojąc, jak równy równemu.

— Ten chłopiec nie żyje — zwrócił się do czubka jej zwieszanej głowy.

— Wiem.

— Tylko tyle masz mi do powiedzenia? Wiem?

— A co mam rzec? — Głos jej drżał. — Mam ci opowiedzieć, jaki ból przeszył me serce, kiedy on

umarł wkrótce po moim odejściu, jak wyczułam dokładnie chwilę, kiedy jego dusza opuszczała ciało, jak od tamtego czasu płaczę całe dnie i noce?

— Wyrzuty sumienia nie wrócą mu Śycia. Gdybyś nie wy prowadziła go wtedy z jaskini...

Poderwała głowę. Jej twarz wykrzywiała udręka, oczy miała opuchnięte i podkrąŜone, ale w głosie, kiedy się odezwała, pobrzmiwała nutka dawnego sarkazmu.

247

— Nawiązujecie do czegoś, co usłyszeliście podczas spowiedzi, padre? — W jej czarnych oczach płonął gniew. — Co wy wiecie, bracie Konradzie. Nic, a nic!

Chciała go urazić — i w jakimś sensie jej się to udało — ale jednocześnie, o dziwo, poczuł ulgę, słysząc ten dawny ogień w jej tonie. Co do spowiedzi Enrica, miała poniekąd rację, ale myliła się, zarzucając mu brak rozeznania. Wychowywała się na wsi, w zamku otoczonym zapewne prymitywną osadą — on w rojnym porcie Ankona i w podniosłej atmosferze ParyŜa. Ale o wioskach teŜ coś niecoś wiedział. Swego czasu, wracając z ParyŜa, zszedł na ląd w Neapolu i przez dwa miesiące wędrował do AsyŜu gorącymi wąskimi dolinami, przez głuchą prowincję rozciągającą się na południe od Umbrii.

Z otwartych drzwi kaŜdej chatynki, którą mijał, śledziły go poŜadliwie, jakby szacując jego męskość, czarne przymglone oczy kobiet. Kiedy odwracał głowę, by zgromić je wzrokiem, kryły twarze w dłoniach i patrzyły nań dalej przez palce. „Nie bierz od tych kobiet nic do picia —

ostrzegali go z przejęciem starsi męŜczyźni z wiosek — ani wina, ani nawet kubka wody. To wszystko wiedźmy i dolewają do kaŜdego napo-ju miłosnych wywarów”. Potem przysuwali mu do ucha swoje poŜółkle zniszczone twarze i dodawali konspiracyjnym szeptem: „Z menstrualnej krwi wymieszanej z ziołami”. Ostrzegali go teŜ, Őeby nie nocował w grotach pod wioskami, bo zamieszkują je gnomy, dusze dzieci, które umarły nieochrzczone. Oczywiście, kaŜdy chciałby złapać takiego stworka za czerwony kaptur i zmusić, Őeby zaprowadził go do ukrytego skarbu, ale taki młody braciszek jak Konrad lepiej zrobi, jeśli spędzi noc w miejscowym kościele. Kiedy zatrzymywał się w takich wioskach na dłuŜej, do kościoła zbiegały się zaraz tłumnie kobiety, Őeby się przed nim wypowiadać, bo, jak twierdziły, wstydzą się wyznawać swe intymne grzechy miejscowemu księdzu.

O ile dobrze rozumiał, kobiety te uwaŜały miłość cielesną za siłę natury, której Őadną miarą oprzeć się nie sposób. Według nich, jeśli męŜ-

czynna i kobieta znajdą się sam na sam w jakimś ustronnym miejscu, to 248

choćby się waliło i paliło, dojdzie do kopulacji, pospiesznej, bez słów, tak jak to się dzieje u zwierząt, kiedy samiec spotyka samicę w rui — a te kobiety zdawały się być w nieustającej rui. Nawet kiedy się spowiadały, wyczuwał w ich głosie, w ich oddechach, z których kaŜdy kończył

się przeciągłym westchnieniem, ledwie hamowane poŜądanie. Podejrzewał, Őe przed wioskowym

księdzem teŚ się spowiadają — i to często — ale szukają u tego kapłana, tak jak u niego, czegoś więcej niŚ

rozgrzeszenia ze swoich niezaspokojonych Śądź. Kto wie, czy Amata nie dorastała w podobnej atmosferze niekontrolowanej namiętności, tych samych prymitywnych popędów, w świecie, do którego nie stosował się nawet najbardziej fundamentalny kodeks zachowań.

Usiadł naprzeciwko niej prosto, jakby kij połknał. Dziewczyna skuliła się na krześle, krzyŚując nogi i ramiona. Patrzyła w ogień.

— Chciałbym zrozumieć — odezwał się. — Porozmawiasz ze mną?

Amata owinęła się ciaśniej granatowym szalem. Oczy zaszyły jej mgiełką, tak jak tamtego dnia na górze, kiedy opowiadała mu, jak wy-mordowano jej rodzinę.

— Jednego popołudnia, jakieś dwa miesiące przed zajazdem, bawi-

łam się sama w stajni z nowo narodzonymi kociątkami. Tego lata moje ciało zaczęło się zmieniać i chyba myślałam juŚ o dzieciach. Dzień wcześniej dojrzałam z wieŚy naszego zamku najurodziwszego chłopca, jakiego w Śyciu widziałam. To było wtedy, kiedy handlarz wełną wy-kłócał się z moim ojcem. Cały ranek marzyłam, Śe wyjdę za niego za mąŚ i będę karmiła własne dzieci piersią — to znaczy, kiedy mi urosną

— tak jak ta kotka karmiąca swoje małe.

Nagle usłyszałam na podwórku stukot końskich kopyt. Bonifazio, wuj mojego ojca, przyjechał do nas z Todi w odwiedziny. Nie zaglądał

do Coldimezzo od prawie dwóch lat. Zsiadając z konia, spojrzał na mnie dziwnie, zupełnie jakby pierwsze mnie widział. Spytał, co u mnie, 249

powiedziałam mu więc — o swoich fantazjach teŚ. Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów i zapytał, czy mam juŚ krwawienia. Odpar-

łam, Śe nie. Wtedy spytał, czy mam jeszcze wianek. „Mam”, powiedziałam i chyba spłonęłam rumieńcem, bo jego pytanie bardzo mnie zaambarasowało. „To się bardzo dobrze składa”, mruknął. Powiedział, Śe jeśli dziewczyna odda swój wianek takiemu jak on słudze Kościoła, to na pewno wyjdzie szczęśliwie za mąŚ i urodzi gromadkę zdrowych dzieci.

Konradowi ciarki przeszły po plecach, bo domyślał się juŚ, do czego zmierza ta opowieść.

— Wuj twego ojca był kapłanem?

— Był i nadal jest biskupem Todi.

— Biskupem! — Konrad pokręcił głową z rosnącym wzburzeniem.

— I dałaś wiarę tym bredniom?

— Miałam wówczas jedenaście lat, Konradzie! Co mogłam wiedzieć o czymkolwiek? Czy będąc w tym wieku, nie wierzyłeś we wszystko, co mówi biskup?

Zakonnik pokiwał głową.

— Tak, to prawda. I co było dalej?

— Mówił tak dalej, uwiązując konia i ściągając siodło. Powiedział, że jestem ładną dziewczynką. A jego oczy... pamiętam, że była w nich jakaś dzikość. Kiedy kończył rozkulbaczać konia, policzki mu płonęły.

„Chodź ze mną”, warknął takim tonem, że dziecko nie mogło nie posłuchać. Wziął mnie za rękę i wyprowadził za stajnię, gdzie stał stóg siana.

Powiedział, że nie zrobi mi krzywdy, Konradzie. Ale bolało jak diabli, bolało tak, że krzyknęłam. Ojciec szedł właśnie do stajni powitać wuja. Słyszając mój krzyk, przybiegł zobaczyć, co się dzieje. Bonifazio zerwał się ze mnie, jego wielki kutas sterczał spomiędzy guzików sutanny wstrętnej jak robak. Pokazał na mnie palcem. „To dziecko jest opętane przez diabła! — krzyknął. — Patrz, jak uwiodła mnie, biskupa”. Porwał na sobie sutannę, rzucił na ziemię i podeptał piuskę. Rozorał sobie paznokciami twarz, tak że krew pociekła mu po policzkach.

250

Ja płakałam ze strachu i bólu, sukienkę miałam powalaną ziemią i krwią, a stryj Bonifazio wpadał w coraz większy szal. Spojrzałam na tatę, ale on unikał mego wzroku. „Uspokój się, wuju — powiedział. —

Ona już tego nie robi, choćbym miał wygnać z niej demona pasem”.

Zdjął pas, złapał mnie za nadgarstki, przewrócił twarzą do siana i wychłostał po plecach i nogach tak, że przez tydzień nie mogłam usiąść. A stryj jeszcze go podjudzał i krzyczał na demona, żeby ze mnie wyszedł.

Amata wsparła czoło na dłoni. Nawet nie próbowała ocierać łez, które spływały jej po policzkach. W ciszy, jaka zapadła, Konrad po raz pierwszy zwrócił uwagę na krople deszczu, te łzy aniołów, które wpadając przez komin, z sykiem wyparowywały w palenisku.

— A najgorsze ze wszystkiego było to — podjęła drżącym głosem Amata — że potem tato nie odzywał się do mnie, ani na mnie nie spojrzał, a mama bała się mnie pocieszać. Ta tortura milczenia trwała do dnia, w którym zginął. Najeźdźcy zabili go, kiedy dzielił nas wciąż mur jego gniewu. Nigdy nie dane mi było usłyszeć słów przebaczenia z ust człowieka, którego kochałam najbardziej na świecie.

— To wstyd nie pozwalał mu spojrzeć ci w oczy, Amato. On wiedział, że postąpił niesprawiedliwie. Obił ciebie, bo nie mógł obić swojego lubieśnego wuja. Tacyt zauważył kiedyś,

Se w ludzkiej naturze leży nienawidzić tych, których skrzywdziliśmy. — Powiedział to przez ściśnięte gardło, nie swoim głosem. — I nikt się za tobą nie ujął?

— Tylko kuzynka Vanna, ale ona wkrótce potem przeniosła się do Todi. Miała tam wyjść za mąż za sior Jacopa. A ślubu miał udzielić nie kto inny, jak biskup Bonifazio. Przez tych parę tygodni była moją jedyną przyjaciółką, nie licząc mego brata. Fabiano wiedział, że zostałam za coś ukarana. Nie wiedział za co, ale współczuł mi, widząc mnie taką smutną.

— A jak byłaś traktowana przez morderców, którzy cię uprowadzili?

251

Amata otarła oczy rękawem.

— Staralam się nie zostawać nigdy sam na sam z mężczyznanami z tego zamku, ale nie zawsze było to możliwe. W końcu ukradłam nóż z pomywalni, ten, który kryłam w rękawie podczas naszej wędrówki.

Przysięgam sobie, że któregoś dnia zabiję Simone delia Roccę i jego synów — albo siebie.

— Simone delia Rocca Paide, strażnika tego miasta?

— Tak, tam mnie więzili, w tej groteskowej twierdzy. Simone zarę-

bał mieczem mego ojca; jego syn, Calisto, zabił mamę. Raz próbowa-

łam nawet dźgnąć Simone. Dopadł mnie na dzień przed tym, jak miały-

śmy przenieść się z moją panią do San Damiano, to była dla niego ostatnia okazja, żeby się do mnie dobrać. Skaleczyłam mu tylko dłoń, ale rana była na tyle głęboka, że trzeba ją było opatrzyć. Uciekłyśmy, zanim to zrobiono, inaczej by mnie zabił.

Znowu zamilkła. Kiedy się odezwała, głos miała już spokojny:

— Przysięgam, że od tamtego czasu nie tknął mnie żaden mężczyzna, chyba że sama tego chciałam. Moje fantazje o byciu matką nie do końca wygasły, chociaż mam już prawie siedemnaście lat, a śladnych widoków na zamążpójście. — Wpatrywała się w palenisko, w tańczące w nim płomienie.

— Trochę mnie poniosło w drodze, Konradzie. Serce wciąż mi krwawi, kiedy pomyślę, jaką cenę za to moje szaleństwo zapłacił Enrico. Tak bardzo chciałam choć raz doświadczyć prawdziwej radosnej miłości.

Spojrzała zakonnikowi w oczy.

— Może jako ksiądz i, mam nadzieję, mój przyjaciel, spojrzysz na mnie inaczej, jeśli ci powiem, że przysięgam Panu Naszemu i Jego Błogosławionej Matce, że już nigdy nie potraktuję miłości tak lekko. —

Uśmiechnęła się, ale jej oczy pozostały smutne. — Czy to, co usłysza-

łeś, pomogło ci zrozumieć? — spytała.

Po raz pierwszy od dnia, kiedy dowiedział się o zaręczynach Rosanny, Konrad pośałowwał, Őe nosi mnisi habit. W tej chwili niczego nie 252

Śałowwał tak jak tego, Őe nie jest zwyczajnym, nieskrępowanym jarzmem celibatu męŐczyzną, i nie moŐe wziąć tej uroczej kobiety dziecka w ramiona, wybaczyć jej w imieniu ojca, który nie zdaŐył tego uczynić, zapewnić o nieprzemijającej miłości, której nie zdaŐył jej wyznać Enrico — uklęknąć przed nią i błagać, by ona teŐ mu wybaczyła.

Ale to była tylko niezszechalna fantazja. Jego rzeczywistoŐcią były Őluby, jakie złoŐył, Őluby realne jak jego znoszony habit. Podniósł się z krzesła i poklepał ją czule po ramieniu.

— Przepraszam, Amato — powiedział. — Őlubuję, Őe codziennie będę się modlił do Boga, Őeby uleczył twoje zranione ciało i duszę. Idę teraz do kaplicy madonny, Őeby bez zwłoki wprowadzić ten Őlub w czyn. Jeśli chcesz, chodź pomodlić się ze mną.

Miał nadzieję, Őe odgradzając się od niej tamą modlitwy, nigdy wię-

cej nie będzie zmuszony stawiać czoła falom tej szczególnej fantazji.

Woda lała się kaskadami z dachów, spływając rynsztokami i placami Wenecji do kanałów — istne rozciągnięte w czasie oberwanie chmury, coś niebywałego w delcie rzeki Po. Gildie już od dwóch dni czekały na wznowienie zawieszonyj parady.

Orfeo nie mógł sobie znaleźć miejsca. Snuł się po mieście od Rialto, gdzie kupcy ogryzali z nerwów paznokcie i modlili się o bezpieczeń-

stwo transportów z tym, co zamówili, po targowiska, gdzie ponurzy kramarze siedzieli nad poprzykrywanym w większości towarem, a kupujących było tylu, co kot napłakał. Spadł również popyt na pogańskich niewolników i „małe duszyczki”, czyli chrześcijańskie dzieci z Lewantu, które rodzice sprzedali w niewolę.

Działo się coś tylko w dzielnicy Śydowskiej i warsztatach rzemieślników. Tam praca nigdy nie ustawała. Wytwarzano wszystko, od kart do gry poczynając, poprzez mozaiki i porcelanę, a na broni i wyrobach ze szkła kończąc. Snycerze i rytownicy ozdabiali drewniane kufry, rogi myśliwskie z kości słoniowej, rękojeście mieczy, skórzane pasy oraz 254

złotą i srebrną biżuterię.

— Cavolo! — mruknął pod nosem znudzony Orfeo, patrząc na tych zapracowanych ludzi. śałował teraz, że nie popłynął z Giulianem i tamtymi. Miałby przynajmniej jakieś zajęcie.

Był poranek trzeciego dnia po Wszystkich Świętych, wciąż lało, a on wracał po nocy spędzonej z Cecilią do Pałacu Dośów, zastanawiając się, czym by tu zabić czas do wieczora. Naciągnął kaptur na czoło i wspomniiał Cecilie, kiedy dosiadła go w szarówce przedświtu i jej długie, spływające mu na twarz włosy utworzyły coś na kształt rdzawego namiotu, pod którym wpatrywali się w siebie, odcięci od reszty wszechświata. Jakieś głębokie zrozumienie płonęło w tych jej mądrych szarych oczach, w tym zagadkowym uśmiechu, który nie wyrażał żadnego osądu, żadnej pretensji ani śalu, z którego czytał, że wystarczy jej, że jest jej przyjacielem, wioślarem Orfeem, i niczego więcej odeń nie oczekuje.

Cecilia wiedziała o wszystkim, co dzieje się w jej zakątku Wenecji, o najskrytszych sekretach każdego mężczyzny, kobiety i dziecka z są-

siedztwa, i o ukrytych mechanizmach, którymi ta społeczność jest napędzana. Czasami odnosiło się wrażenie, że żyje już tysiąc lat — jest duchem ziemi, jak wszystkowiedzące zwierzęta, duchem podziemnego świata, jak czarodziejki z przeszłości. Nie bała się czasu ani zdarzeń.

Potrafiła wykonywać pracę każdego mężczyzny, a dźwigając na ramieniu najcięższe dzbany z winem, stapała pewnie jak potężny cyklop.

Orfeo zauważył ze zdziwieniem, że fascynuje ją jeszcze bardziej niż

ona jego. Być może przyczyniały się do tego jego marzenia o podró-

Śach i dokonaniu w Śyciu czegoś wielkiego albo opowieści z drugiej ręki o Oriencie. Traktowała go jak kogoś obdarzonego nadprzyrodzoną mocą i cierpliwie znosiła jego odejścia i powroty, chociaż oboje wiedzieli, Śe za którymś razem odejdzie na dobre, by juŚ nie wrócić.

Kiedy zbliŚał się do pałacu, przyszła mu do głowy niesforna myśl.

255

Powinien polecić papieŚowi Cecilie na osobistą doradczynię. Nie-chby się połączyły jej Śyciowa mądrość z głęboką duchowością Tebalda. Niestety, nic z tego. Podsuniecie tak smakowitego kąska przyszle-mu reformatorowi duchowieństwa bez wątpienia doprowadziłoby do katastrofy. Na samym doradzaniu mogłoby się nie skończyć. Uśmiejając się do siebie, zsalutował rzymskiemu rycerzowi stojącemu pod kolumną przy głównym wejściu. Za radą Orfe'a rycerze ci ani na chwilę nie odstępowali papieŚa.

— Co u naszego Ojca Świętego? — spytał. — Dobrze mu się spało w doŚowym łóŚu?

— Nie. Z tego, com słyszał, nie za dobrze, *signore, una notte bianca*. Kilka razy budziły go koszmary. Nie wstał jeszcze, je śniadanie.

Chce cię widzieć w swojej komnacie, gdy tylko wrócisz do pałacu.

— Coś się stało?

StraŚnik wzruszył ramionami.

— Przekazuję tylko, co mi kazano powiedzieć. Teraz jesteś tak sa-mo mądry jak ja.

— Miejmy nadzieję, Śe chce ruszać w drogę. Nie podoba mi się, Śe tak długo tu tkwimy. — Orfeo przeciął ogromną sień i wbiegł po marmurowych schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz. Dwaj straŚni-cy trzymający wartę przy drzwiach poznali go i przepuścili.

— Wasza Świątobliwość. — Orfeo podszedł do łóŚa, ukląkł i czekał, aŚ Tebaldo pobłogosławi go znakiem krzyŚa.

— Buon giorno, Orfeo. — PapieŚ, wsparty na poduszkach, pomachał do niego paskiem wędzonego węgorka. — Darujmy sobie te cere-monie. Wstań.

Orfeo wstał i czekał w milczeniu.

— Jadłeś juŚ?

— Nie głodnym, Wasza Świątobliwość. — Gdyby to pytanie zadał

mu jego przyjaciel Giuliano, odpowiedziałby, Śe nie jadł i kiszki marsza mu grają, ale z papieŚem nie wypadało przecieŚ rozwodzić się na tak przyziemne tematy.

— Skosztuj jednak tego węgorza. Wyborny.

Orfeo zanurzył dłoń w papieskiej misie. Naśladowując Tebalda, zaczął

skubać wytwornie przednimi zębami ociekające tłuszczem mięso.

— Miałem dzisiaj przykry sen. Mój powóz ugrzązł w ogromnej za-spie. Ty siedziałeś z przodu na wole i krzyczałeś do swojego wuja, Œeby nas ratował. Nagle zwierzę zaczęło przeraźliwie ryczeć, a na szczycie góry za nami pojawiła się wataha wielkich jak konie wilków. Woły jęły ciągnąć ze wszystkich sił, ale zaślepione paniką zboczyły z drogi i wóz stoczył się w przepaść, czułem, jak spada.

— I co było dalej?

— Nie wiem, bo się obudziłem. Jeden ze straŒników powiedział mi, Œe krzyczałem przez sen. — Podsunął Orfeowi misę. — Pochodzę z Piacenzy. Potrafię przepowiadać pogodę w dolinie Po. Ale ty wychowywałeś się w Apeninach. Czy mój sen jest proroczy? Jak po tej ulewie będą wyglądały górskie przełęczce?

— ChociaŒ to pierwsza tak silna burza tej zimy, moŒe tam spaść śnieg, Wasza Œwiątobliwość. W najlepszym wypadku deszcz rozmyje gruntowe odcinki traktu. Ale stara rzymska droga jest wybrukowana kamieniami. — Urwał, a potem spytał: — Czujecie się zobowiązani korzystać do końca z goŒcinności doŒy? — Wiedział, Œe zadając to pytanie, zachowuje się niepolitycznie, ale jego cierpliwość była juŒ na wyczerpaniu.

PapieŒ zwlekał z odpowiedzią. Być moŒe nie czuł się jeszcze pewnie w nowej roli i nie znał dobrze swych obowiązków ani zasad protokołu.

Orfeo podszedł do okna i rozsunął Œaluzje. Zimny wilgotny wiatr omył

mu twarz i orzeźwił. Na horyzoncie coŒ majaczyło. OŒlonił oczy przed kropelkami mŒawki i wyteŒył wzrok.

— Sangu di Cristo! — zaklął na głos.

Do nabrzeŒa portu zbliŒała się na wiosłach samotna galera wojenna pozbawiona masztu i górnej części kasztelu. Jej Œladem wlokły się dwie inne, podobnie okaleczone.

Orfeo doskoczył do łoŒa i Œciągnął tacę z kolan Tebalda.

— Wstawajcie, Wasza Œwiątobliwość! — krzyknął. — Wstawajcie i szykujcie się do drogi. Powiem waszym ludziom, Œeby się zbierali i siodłali konie.

Dumną flotę, którą Wenecjanie z taką pompą wysłali przeciwko Ankonie, flotę, za sukces której Tebaldo publicznie odmówił modlitwy, zdziętkował sztorm na Adriatyku.

Donna Giacomina nie mogła się nadziwić zmianie, jaka zaszła w Amacie po rozmowie z bratem Konradem. Dziewczyna jakby urosła, głowę trzymała wysoko, ramiona jej się wyprostowały, zupełnie jakby zdjęto z nich ogromny ciężar. Staruszka podziękowała zakonnikowi, że zechciał wysłuchać Amate, ale ten zaprzeczał, że to za jego sprawą doszło do tej przemiany. Od razu rzuciło się w oczy, że obecność starego przyjaciela podnosi dziewczynę na duchu i donna Giacomina sądzi-

ła, że Konrad również to wyczuwa, chociaż całe godziny spędzał w kaplicy i nie szukał towarzystwa dziewczyny. Jak zawsze maskował

swe emocje męskim stoicyzmem w odróżnieniu od Pia, który snuł się za Amatą jak cień i wyraźnie cierpiał katusze pierwszej młodzieńczej miłości. Amata lubiła piazę i raz, kiedy grali w kółko i krzyśyk, nazwa-

ła go bezwiednie „Fabiano”, imieniem swojego młodszego brata. Jakie szczęśliwe musiała mieć dzieciństwo, pomyślała szlachcianka. Donna

Giacomina modliła się do Boga, żeby dziewczyna znowu znalazła dom.

Donna Giacomina miała też wiele uciechy z obserwowania, jak brat Konrad stara się walczyć ze swoim, jak to w myślach nazywała, „tajno-nym zauroczeniem”. Przewidywała, że w tej sytuacji rękami i nogami będzie się zapierał przed podjęciem się następnego zadania, które zamierzała mu powierzyć. Dała mu kilka dni na przywyknięcie do domowej atmosfery, a sama w tym czasie obmyślała argumenty i gromadziła rekwizyty, zaczynając od oprawnych w skórę żywotów świętych, które dostała w prezencie od męża na pierwszą rocznicę ślubu. Nie zaglądała 258

do tej księgi od blisko sześćdziesięciu lat, ale wiedziała dobrze, gdzie jej szukać. Leżała owinięta w jej ślubny welon, w rogu kufra, z którym opuszczała dom rodziców.

Cztery dni po powrocie Konrada, kiedy po kolacji męska część słu-

by rozeszła się do swych zajęć, a do stołu zasiadły kobiety, przydybała zakonnika w sieni, wychodząc o lasce zza kolumny i odcinając mu drogę ucieczki do kaplicy.

— Amatina chce się nauczyć czytać i pisać — oznajmiła.

— Doprawdy? — Konrad zachichotał. — Mam nadzieję, że powiedziałaś jej, pani, że to nie dla kobiet.

— Nie, nie powiedziałam. — Patrzyła na niego bez mrugnięcia. —

Ty jeden w tym domu masz kwalifikacje do udzielenia jej takich lekcji.

Konrad pokręcił głową.

— Owszem, przyznaję, dziewczyna jest inteligentna, ale nie wezmę na siebie odpowiedzialności za wbijanie jej w pychę. Bo tym się to zwykle kończy u kobiet, które sięgają za wysoko. Jest takie powiedzonko: Non fare U passo piu lungo delia gamba . Nie stawiaj kroku dłuższego niż twoja noga.

Donna Giacomina puściła tę uwagę mimo uszu.

— Chodź ze mną, bracie — powiedziała i wyprowadziła go na błotniste podwórzec. Deszcz w końcu ustał, ale z loggii wciąż skapywała woda. W małej izdebce, do której wejść można było tylko od podwórca, stał stół i dwa proste krzesła. — Czytaj. — Otworzyła jedną z kilku leżących na stole ksiąg na rozdziale zaznaczonym czerwoną wstążeczką. — To żywot świętego pustelnika Hieronima.

Irytował ją spokój Konrada. Usiadł za stołem, przebiegł wzrokiem Syciorys i spojrzał na nią beznamiętnie.

— Jeśli ten święty, będąc jeszcze sekretarzem papieża Damazego, chciał uczyć rzymskie szlachcianki pisania i czytania, to chwała mu za to. Ale Amata nie jest rzymską szlachcianką.

— Jej ojciec był hrabią.

— Wiejska szlachta, madonno . Wątpię, czy sam potrafił czytać.

259

Powiedziała mi, że liter zaczęła się uczyć dopiero w San Damiano.

— A święta Klara, założycielka San Damiano? Pomyśl tylko, o ile uboższy byłby Kościół bez jej listów do błogosławionej Agnieszki z Pragi, która, nawiasem mówiąc, też potrafiła pisać i czytać i własnoręcznie jej odpisywała. A Hildegarda z Bingen i ksieni Jutta z Disibodenbergu? śaden męszczyzna nie opisał tak swych wizji i migotliwych światła jak Hildegarda.

— Tak, tak, wizje. Amata ma z pewnością mnóstwo takich i chce się nimi podzielić z pobożnymi litterati .

Donna Giacomina zazgrzytała zębami. Krew napłynęła jej do twarzy, policzki zapłonęły.

— A Hroswitha z Gandersheim, która przed trzystu laty pisała sztuki i opowiadania, jakich nie powstydziliby się kronikarz męszczyzna?

— Powtarzam, pani, że ja nie mogę się tego podjąć — powiedział

Konrad. — I się nie podejmę.

Staruszka uderzyła laską w stół z taką siłą, że zakonnik i księgi podskoczyły.

— Konradzie, ty głupcze! Ona chce się nauczyć pisać, żeby skopiować kronikę, którą powierzył ci Leon, ten zwój, co go nie śmiałeś przynieść ze sobą do Asyżu.

— Co o nim wiesz, pani? — Konrad wytrzeszczył oczy.

— Wiem, że manuskrypt jest teraz bezpieczny w San Damiano, i to nie dzięki tobie. Wiem, że Amatina ryzykowała życiem, żeby go tu dostarczyć. W górach, nad przepaścią, zwój, którym owinęła się w pasie, zaczepił o kamień i wytracił ją z równowagi. Wiem również, że dzięki błogosławionej interwencji brata Leona ocalił jej życie, bo ześliznęło się po nim ostrze piki mierzące w jej serce. — Szlachcianka wyprostowała się i zacisnęła obie dłonie na rzeźbionej ręczce laski.

Konrad zerwał się na równe nogi i uchwycił oburącz stołu.

— Odpowiedziałas na moje modlitwy, Giacomino! — wykrzyknął.

— Od kiedy tu wróciłem, dzień w dzień klęczałem w twojej kaplicy, zadając bratu Leonowi i świętemu Franciszkowi jedno i to samo pytanie: 260

Jak dostać się znowu do Sacro Convento i zdobyć potrzebne mi manuskrypty? A nie pomyślałem o San Damiano i ukrytych tam kopiach. —

Przygryzł na moment kciuk, rozważając tę nową możliwość. — Czy Amata rozstała się z Ubogimi Paniąmi w przyjaźni?

— Oczywiście. W niczym im nie zawiniła.

— I z miłości do ciebie, pani, oraz głębokiego szacunku, jakim darzyła brata Leona, matka przeorysza mogłaby powierzyć dziewczynie...

— Nie wiesz się wypowiadać tego, co masz na myśli, bracie. Ani mi w głowie narażać Amaty. Maestro Roberto mówi, że dwaj zakonnicy wystają co rano po obu stronach naszego zaułka i obserwują wszystkich, którzy wchodzą do tego domu i z niego wychodzą.

— To mnie obserwują, madonno. Śluby, jakie złożyli, zakazują im zbliżania się do świeckich kobiet. Amata mogłaby pójść do Ubogich Pań z podarunkiem — dajmy na to, z obrusem. W koszyku. A wrócić z manuskryptami, przynajmniej tymi dwoma, które muszę zobaczyć.

Skoro zwój Leona ukryła na sobie tak zmyślnie, że niczego nie zauwa-

żyłem, to i psy Bonawentury potrafi przechytrzyć.

Donna Giacomina miała na końcu języka, że niewielu jest zakonników, którzy mogą równać się z Konradem naiwnością i brakiem ostrożności, ale nie powiedziała tego głośno. Poza tym jego plan nie był tak całkiem niedorzeczny. Miała już przyznać, że zasługuje na rozważenie, kiedy dotarło do niej, że odbiegli przecie od tematu.

— A co z lekcjami?

Konrad uśmiechnął się jak zadowolony z siebie handlarz wołami.

— Dobijmy targu. Jeśli Amata przyniesie mi pierwszy Śyciorys świętego Franciszka, spisany przez Tomasza z Celano oraz Relację trzech towarzyszy, to będę ja uczył. Na stosownych źródłach, ma się rozumieć.

Donna Giacomina pokazała dwie leŚące na stole księgi.

261

— Studiowałam je w młodości. Jedna traktuje o dobrym wychowa-niu, druga poucza młode Śony, jak prowadzić gospodarstwo domowe.

Ucząc się czytać, przyswoi sobie jednocześnie maniery damy.

Zakonnik prychnął lekcewaŚąco.

— To tak, jak rychtować trąbkę z knurzego ogona.

Stara dama mocniej ścisnęła laskę.

— I to mówi człowiek, który kilka tygodni temu ledwie się tu dowlókł, a wyglądał jak barbarzyńca. Skoro ciebie zdołałam domyc, bracie Konradzie, to o ile łatwiej będzie nauczyć tę dziewczynę ogłady.

Zostanie pewnego dnia panią tego domu i musi wiedzieć, jak się zachować i jak prowadzić swoje sprawy.

Donnie Giacominie znowu udało się go zaskoczyć.

— Nie mam spadkobierców — ciągnęła — poza męŚczyznami z ro-du mego zmarłego męŚa, ludźmi, których nie widziałam od dziesiątków lat. Simone delia Rocca pozbawił Amatinę dziedzictwa i pozbawił szans na właściwe wychowanie, a co za tym idzie, korzystne zamaŚpójście.

Kiedy wybije moja godzina, dziewczyna dostanie w schedzie mój dom i dochody. Kobieta z jej inteligencją, urokiem i takim majątkiem będzie dobrą partią dla kaŚdego chrześcijanina. To znaczy kaŚdego nie-związanego ślubem czystości.

Donna Giacomina, chociaŚ rzadko posuwała się do złośliwości, nie mogła się powstrzymać od wbicia mu tej szpilki. Konrad, z uporem poniŚający dziewczynę swoimi uwagami, zasługiwał na to. ZauwaŚyła, Śe jej przytyk ubódl go i chyba na nowo rozniecił konflikt tłący się w jego umyśle. W skrytości ducha Śywiła nadzieję, Śe tych dwoje młodych ludzi zdobędzie się w końcu na to, by przyznać otwarcie, jak bardzo im na sobie zaleŚy. Konrad mógł to uczynić, pozostając nadal wierny swym ślubom. A wiedziała, Śe pozostanie, bez względu na to, jak nikczemnie będzie traktował go zakon. Jeśli Konrad miał jakieś hero-iczne cechy, to były nimi na pewno upór i wytrwałość. Pomyślała o bracie Leonie, o tym, jak przez ostatnie pięćdziesiąt pięć lat przeplatały się ich losy. MoŚe między Konradem i Amatą zawiąŚe się ten sam układ, 262

układ, który przez tyle czasu przynosił jej pocieszenie.

Otrząsnęła się z tych refleksji i przesunęła laską księgi w stronę zakonnika.

— Ty to przejrzyj, a ja porozmawiam z Amatą — powiedziała, zmieniając temat. A po chwili dorzuciła: — MoŜe tego nie wiesz, ale ona gotowa jest podjąć dla ciebie kaŜde ryzyko. — Uśmiechnęła się. —

I jeszcze jedno, bracie, nie powtarzaj jej, proszę, naszej rozmowy. Ona myśli, Ŝe po prostu odkupiłam ją od Ubogich Pań. Nie domyśla się jeszcze, jakie mam wobec niej plany na przyszłość.

Amata wyśliznęła się frontowymi drzwiami domu donny Giacomy w noc. Na niebie świeciły zimnym blaskiem gwiazdy Skorpiona, konstelacji, pod którą staruszka przyszła na świat — ileŜ to pokoleń temu?

Burza odeszła wreszcie w góry, tylko wysoko, nad wschodnim horyzontem, marudziła jeszcze cienka warstewka chmur. Lodowaty wiatr gwizdał na schodach, hulał po wąskim zaułku, wdzierał się pod opoń-

czę.

Rozejrzała się. Tak jak przewidywała, u wylotu zaułka, po jednej jego stronie kuliła się pod ścianą zakapturzona postać. Zakonnik pilnują-

cy schodów lepiej ukrył się w cieniu, ale była pewna, Ŝe gdzieś się tam czai, osłonięty przed wiatrem. Postawiła sobie koszyk na głowie i, wyprostowana, zaczęła zstępować po schodach pełnym gracji, zdecydowanym krokiem słuŜącej. Zamierzała dotrzeć do południowo-wschodniej bramy miasta, kiedy o świtaniu będą ją otwierali straŜnicy.

Ŝeby jeszcze nie ten wiatr. Nie będzie mogła zatrzymać się za zakrę-

tem schodów i posłuchać, czy ktoś za nianie idzie. Ale nic to, niech ją śledzą. Chętnie podejmie to wyzwanie. Nauczyła się gubić prześladowców w labiryntach zamku Rocca.

Zrobiło jej się przykro, kiedy Giacomina powiedziała, Ŝe Konrad zgodził się ją uczyć pod warunkiem, Ŝe mu pomoŜe. Takie miał o niej mniemanie? PrzecieŜ poszłaby po te manuskrypty bezinteresownie, nie 263

Ŝądając niczego w zamian. CzyŜ sam nie powiedział, Ŝe są w tym przedsięwzięciu zdani na siebie, kiedy wiązali się sznurami na górskiej półce? Dziwny ten Konrad. Zdarzały się dni. Ŝe miała w nim najbliŜ-

szego przyjaciela, kiedy indziej znowu nabierał dystansu i odnosił się do niej chłodno. Opowiadając, jak zgwałcił ją w dzieciństwie Bonifazio, odnosiła wraŜenie, Ŝe się przed nim obnaŜa. Zdawał się rozumieć krzywdę, jaką jej wyrządzono, ale od tamtego czasu jej unikał. MoŜe za duŜo mu powiedziała? MoŜe zbyt absorbowwała go sprawa tych manuskryptów? Miała nadzieję, Ŝe Giacomina nie myli się, twierdząc, Ŝe jest po prostu zagubiony, nie wie, co począć z uczuciami, które do niej Ŝywi, ani jak jej te uczucia okazać.

Na końcu Via San Paolo Amata skręciła na północny wschód i przy-

śpieszyła kroku. Mijając Cattedrale di San Rufino, uskoczyła za jedną z kolumn przed wejściem, zza której miała dobry widok na ulicę, i postawiła koszyk na ziemi.

Nad piazza powoli się rozwidniało. Białe słońce gramoliło się zza góry Subasio, przebijając się z trudem przez warstewkę chmur. Przez plac szedł jej śladem zakonnik. Miał katedrę, kierując się na północny wschód. Amata uśmiechnęła się i schyliła po koszyk. Jakież to było proste. Weszła do kościoła, przebiegła nawą i drzwiami w transepcie wyszła na krętą uliczkę, która prowadziła w przeciwną stronę, ku południowej bramie miasta i gościńcowi na San Damiano.

XXIII

Konrad przez całe popołudnie obserwował zaułek. Stał przy oknie, donna Giacomina zaś spacerowała nerwowo między sienią a kuchnią. Za każdym nawrotem spoglądała na niego ze zmarszczonym czołem. Amata powinna już wrócić, myśleli oboje, śladne jednak nie wypowiedziało tego na głos.

Wydłużające się cienie dwupiętrowych domów u wylotu zaułka gęstniały już, kiedy Konrad zobaczył ją wreszcie wchodzącą po schodach. Wyłaniała się kawałek po kawałku: najpierw niesiony na głowie kosz, potem wierzch kaptura, wreszcie na wpół skryta pod nim twarz.

Patrzyła na stopnie, ramiona i plecy trzymała prosto, balansując ciałem.

Rzucił się do drzwi, nim postawiła stopę na ostatnim schodku. W odpowiedzi na skrzyp zawiasów zastukała za nim laska donny Giacominy.

Amata wsunęła się do sieni i uśmiechnęła szeroko. Przyklękła na jedno kolano, postawiła kosz na posadzce i ściągnęła z głowy kaptur, po czym sztywno wstała.

— Nic ci nie jest? Dobrze poszło? — spytała szlachcianka.

Konrad przyklął i uniósł płócienną serwetę przykrywającą zawartość koszyka. Chleb. Kilka bochenków świeżo upieczonego chleba od 265

Ubogich Pań i nic poza tym. Nie kryjąc rozczarowania, spojrział na dziewczynę.

Amata zignorowała pytanie w jego oczach.

— Tam nie szukaj — powiedziała. — Klepnijcie mnie w plecy, pa-ni.

Donna Giacomina spełniła jej prośbę i zachichotała, słysząc głośnie echo.

— To manuskrypty — wyjaśniła Amata. — Nie mogłam się nimi owinać, jak wcześniej zwojem brata Leona, a uznałam, że w koszyku nie będą bezpieczne. Podejrzewam, że straż miejska jest w zмовie z Bonawenturą. Przecież muszą wiedzieć, że ci zakonnicy wystają w naszym zaułku po nocach, a nic nie robią. No i tak, jak się spodziewa-

łam, strażnicy przy bramie przeszukali koszyk. Z tym koszykiem to był

dobry pomysł, bracie Konradzie. Bo niosąc go na głowie, musiałam trzymać się prosto, a nikt nie podejrzewał, że i tak nie mogłabym się schylić, nawet gdybym chciała.

— Tak się o ciebie martwiliśmy, Amatino — westchnęła donna

Giacomina. — Bardzo długo nie wracałaś.

— Musiałam czekać, aż chleb się upiecze — odpowiedziała Amata z uśmiechem. — Bochenki

powinny być jeszcze ciepłe, chociaż na dworze ziąb i strasznie wieje. Skorzystałam z okazji i odwiedziłam siostrę Agnes. Była moją najlepszą przyjaciółką podczas nowicjatu. —

Spojrzała na Konrada wciąż klęczącego nad koszykiem. — Znasz ją?

Jest siostrzenicą brata Salimbene. Mówi, że jej wuj wrócił do Romanii i może niedługo zawita do Umbrii.

Zachichotała, zbyt podniecona, by czekać na odpowiedź.

— Te historie, które nam opowiadał, kiedy ostatnio odwiedził

Agnes! Taka byłam rada, że wzięła mnie na przyzwoitkę, kiedy szła do furty dla gości. Uśmiełam się jak nigdy. Mam nadzieję, madonno, że nakłonisz go, by zatrzymał się u nas, miast w Sacro Convento. Cały dom będzie pękał ze śmiechu. — Trajkocząc tak, sunęła bokiem korytarzem. — Opowiem wam resztę przy kolacji. Teraz muszę zdjąć te książki

z pleców.

Wstającemu z klęczek Konradowi twarz pociemniała. To nie moja wina, że nie jestem gawędziarzem, myślał. To nie leży w mojej naturze.

Zawsze byłem melancholikiem. Salimbene ma wrodzone poczucie humoru. Poza tym, czy rozśmieszanie głupich gąsek to zajęcie godne zakonnika?

Kiedy Amata się oddaliła, donna Giacomina spojrzała na niego z uśmiechem.

— Jutro z samego rana przyślę ją z woskową tabliczką i książkami do wielkiej sali. Pergamin i inkaust maestro Roberto przyniesie, gdy tylko mi powiesz, że jest już gotowa.

— A co z moją pracą? Leon powiedział, że zapoznanie się z tymi Syrijskimi to pilna sprawa.

— Owszem, pilna. Będziesz uczył Amatę do mezzagiorno, kiedy słońce staje w zenicie. Resztę dnia będziesz miał dla siebie.

Musiał przyznać, że to uczciwy układ, nie mógł się jednak doczekać, kiedy zajrzy do rękopisów. Najchętniej zacząłby już dzisiaj, po kolacji.

Ale kiedy czytał przy świecy albo łuczywie, wzrok szybko mu się mę-

czył i zaczynały drgać powieki. Jego paryski mistrz twierdził, że to objawy powszechnie spotykane u ludzi z jasnoszarymi źrenicami. Lepiej nie nadwyrężyć słabych oczu i wstrzymać się z lekturą do następnego dnia. Podniósł koszyk z chlebem i podreptał za Giacomina do kuchni.

Po burzy gęsta mgła zasnuła doliny Apeninów. Górskie szczyty wy-

łaniały się z niej niczym pływające wyspy z bezkształtnego morza. Zaprzęsony w woły powóz

papieŜa posuwał siÄ z turkotem przez tÄ mgÄ jak widmowa fantastyczna skrzynia, a po obu stronach utwardzonej drogi szaro-brÄzowymi strumieniami rozmytego Őwiata spÄwały po zboczach bÄoto i glina.

Od pospiesznej ucieczki papieskiej Őwity z Wenecji minÄlo kilka dni. Ostatni rzymscy rycerze doganiali jeszcze orszak.

267

Tebaldo wyjechaÄ tak nagle, Őe spora ich liczba, rozproszona po weneckich burdelach, zostaÄa w mieŐcie. Kapitan zostawiÄ w PaÄacu Do-

Őw tylnÄ straŐ, Őeby wyprawiaÄ maruderów w drogÄ i staraÄa siÄ przeprosiÄ doŐÄ i jego ŐonÄ. OpieszaÄcy opowiadali, Őe w miarÄ rozchodzenia siÄ wieŐci o katastrofie, w mieŐcie narasta chaos i dochodzi do rozruchów.

— Z poczÄtku ludziska nie wierzyli! — krzyczÄ jeden ze zdroŐonych rycerzy do papieŜa. — Przez caÄy ranek gromadzili siÄ na nabrze-

Őu, licząc okrÄty i szukając wŐród ocalaÄych marynarzy znajomych i krewniaków. Miasto straciÄo wiÄkszoŐÄ z dwustu galer, jakie miaÄo.

JadÄcy obok papieŜa Orfeo modliÄ siÄ o bezpieczeŐstwo Cecilii.

OcalaÄa mu Őycie, odwodząc od udziału w tej wyprawie. ModliÄ siÄ teŐ

do Boga, Őeby oszczÄdziÄ Giuliana, chociaŐ przeczucie mówiÄo mu, Őe przyjaciel spoczywa teraz na dnie morza.

— Przed poÄudniem, zaraz po tercji, przyÄÄyÄa barka doŐy — ciÄ-

gnÄ rycerz. — DoŐa staÄ przez jakiŐ czas z tÄumem na nabrzeŐu, potem poszedÄ do swojego paÄacu szukaÄ Waszej ŐwiÄtobliwoŐci. Lico miaÄ

biaÄe jak trÄdowaty. A kiedy usÄyszaÄ, ŐeŐcie wyjechali, zbladÄ jeszcze bardziej. SÄyszaÄem, jak wysyÄa jednego ze swoich ludzi do Őony z po-leceniem, Őeby zostaÄa w domu. Potem wszedÄ do paÄacu i juŐ go wiÄcej nie widziaÄem.

— Tak, a w poÄudnie ludzie stracili nadzieję, Őe do portu powröci jeszcze jakiŐ okrÄt — dorzuciÄ inny rycerz. — Kiedy wracaÄem przez plac na swój posterunek, motÄoch zaczynaÄ siÄ burzyÄ. Przykro powiedzieÄ, ale odgraŐali siÄ gÄównie Waszej ŐwiÄtobliwoŐci. UznaliŐmy wtedy z kompanem, Őe w Wenecji nic juŐ po nas.

Szczeliny okna powozu byÄy wÄskie i Orfeo nie widziaÄ twarzy papieŜa, usÄyszaÄ jednak bÄol w gÄoŐie Tebalda, kiedy ten siÄ odezwaÄ:

— ModliÄem siÄ, jeŐli nie o ich zwyciÄstwo, to bezpieczeŐstwo. BÄóg zesÄaÄ na nich sztorm. Őadne

moje błogosławieństwo nie mogło temu zapobiec.

268

Kolejni maruderzy, dołączający do kolumny, opisywali dramat kilku następnych dni. Kiedy Wenecjanie dowiedzieli się, że papież zostawił

ich i uciekł, wyładowali swój gniew na dośy. Krzyczeli, że Bóg karze wciąż Wenecję za grzechy Enrica Dandola i złupienie Haghii Sophii.

Pomstowania objęły też, a jakby inaczej, obecnego sukcesora Dandola, nieszczęsnego Lorenza Tiepola (który wszak wysłał okręty przeciwko Ankonie) i jego Soneę, Greczynkę.

Biskup Wenecji grzmiał i podburzał lud zgromadzony przed Świę-

tym Markiem. „Bóg nie może już ścierpieć zamiłowania tej kobiety do zbytku. Okadza swoje komnaty kadzidłami. Śmierdzi jej weneckie powietrze. Wzdraga się myć naszą wodą i każe sługom zbierać rosę, która spada z nieba. Nie raczy też jeść mięsiwa palcami, jak my wszyscy, lecz każe swoim eunuchom kroić je na małe kawałeczki, które nadziewa potem na złoty dwuzębny przyrząd i dopiero na nim niesie je do ust. Na własne oczy widziałem jej próśność, bo wieczerałem przy ich stole.

Nie dziwota, że nawet Bóg, choć nieskończenie cierpliwy, widząc taką wyniosłość, krzyknął w końcu »Dość!«,

Motłoch wyładował swą furię na dośy. Widzieli go wcześniej, jak wchodził do sąsiadującego ze Świętym Markiem pałacu, a więc był

bliszej niż Sona. Zaczęli go łżyć i sądzić jego głowy za życie Seglarzy, którzy się potopili. Gdyby jednak przeczekał ich rozśalenie i wściekłość, na tym by się skończyło. Otoczony przez straż pałacową, byłby bezpieczny. Ale finał weneckiej tragedii miał dopiero nastąpić.

Trzeciego dnia po południu papieską kolumnę dopędził ostatni rycerz z tylnej straży. Rozbili właśnie obóz. Orfeo, nienawykły do spę-

dzania całych dni w siodle, masował sobie siedzenie, stojąc za grupką żołnierzy posilających się z Tebaldem przy ognisku.

— Dajcie temu człowiekowi coś do jedzenia! — krzyknął kapitan do sługi, kiedy rycerz zeskakiwał z konia. Tebaldo wskazał mu pieniek obok siebie. Z namiotów wyroili się pozostali rycerze z giermkami, niektórzy w niekompletnych zbrojach.

269

Nowo przybyły ściągnął hełm i rękawice. Odbierając od sługi deszczułkę i czarę, odetchnął głęboko i zaczął opowiadać o pomście ludu.

— Lorenzo wpadł chyba w panikę. Najlepiej było mu szukać azylu w katedrze, ale on bał się, że motłoch przewidzi taki jego ruch.

Tak więc wymknął się tylnymi drzwiami pałacu, żeby schronić się w kościele San Zaccaria po drugiej stronie mostu della Paglia.

Rycerz ciągnął swą opowieść, popijając co i rusz winem i zagryzając mięsiwem. słuch powoli, delektując się zarówno tym, że jest w centrum zainteresowania, jak i sztuką pieczystego, z którego tłuszcz spływał mu po brudnych dłoniach.

— Widziałem wszystko z górnego piętra pałacu. Bóg świadkiem, że strażnicy, którzy wybiegli z pałacu z dośną, robili, co w ich mocy, żeby go ochronić. Siekli mieczami na wszystkie strony. Krew spływała z mostu, ale cięba napierała.

Wychylił czarkę do dna i podstawił ją do ponownego napełnienia.

W ciszy, jaka zaległa, sługa dolał mu wina.

— W końcu — podjął mężczyzna, pociągawszy sąśnisty łyk — na Calle delle Rasse jakiś człek przedarł się przez kordon żołnierzy i zadźgał Lorenza na śmierć. — Tu uderzył się czarką w napierśnik zbroi, żeby pokazać, gdzie dosięgło doś śmiertelne pchnięcie, i rozbryzgując się wino spłynęło po pancerzu niczym krew.

Cichy pomruk rozszedł się po kręgu słuchaczy. Potem znowu zaległa cisza, którą spokojnym głosem przerwał w końcu Tebaldo:

— Prawy był z niego człowiek. Niech spoczywa w pokoju.

— Amen — odpowiedzieli rycerze.

Po chwili milczenia, papież dodał:

— Winniśmy wyrazić szczególne podziękowania naszemu młodemu przyjacielowi z Asyżu. Gdyby nie jego szybka reakcja, być może to nasza osoba leżałaby teraz we krwi na Calle delle Rasse.

Podniosły się wiwaty i na Orfeę spadł grad rubasznych szturchań-

ców pod śebra i poklepywań wielkimi jak bochny dłońmi po plecach, od 270

których dech mu zapierało. A do tej chwili wyniośli rzymianie uważali go za umbryjskiego gamonia. On ze swej strony nie przejmował się ich opinią i nie próbował wyprowadzać z błędu. Teraz, zakłopotany, by odwrócić od siebie uwagę, krzyknął:

— Viva Papa!

Rycerze podchwycili ten okrzyk, a on wycofał się chyłkiem poza krąg wiwatujących.

W mroku na obrzeżach obozu zarżał koń. Orfeo dostrzegł kilka par pomarańczowych ślepi połyskujących w zaroślach. Podniósł z ziemi dwa duże kamienie i postukując nimi, ruszył w tamtą stronę. Wychudłe, podobne psom stworzenia wycofały się bezgłośnie w ciemność. Orfeo, przypomniawszy sobie ogromne wilki z koszmarnego snu Tebalda, wzdrygnął się i prześegnał.

Amata starała się jak najszybciej uwijać z porannymi zajęciami, żeby mieć więcej czasu na naukę. Każdego dnia Konrad wykrobywał na woskowej tabliczce nową literę, najpierw małą, potem wielką, i mówił, jakiemu dźwiękowi odpowiada. Następnie ona wodziła rysikiem po rowkach. Pod koniec pierwszego tygodnia potrafiła już pisać całe wyrazy. Przez ostatnią godzinę każdej lekcji Konrad czytał jej po kilka linijek z ksiąsek donny Giacomy o manierach albo o żywotach świętych, pokazując palcem każde słowo. Potem kazał jej odczytywać z pamięci to, co usłyszała, dopóty, dopóki poszczególne wyrazy nie zaczęły wyglądać znajomo.

Pamiętaj, żeby nie przystoi drapać się przy stole po głowie, iskać z szyi pchły albo inne robactwo i rozgniatać je na oczach biesiadników, takowoż rozdrapywać bądź zrywać strupy z jakiegokolwiek części ciała.

Kiedy smarkasz, nie czyń tego w palce, lecz w chusteczkę. Uważaj przy tym, aby gluty nie zwisały ci z nosa na podobieństwo sopli, które widzimy zimą na rynnach domostw.

271

Bacz, żeby włosy mieć zawsze uczesane i żeby na czepku nie było pierza albo inszej słomy.

Konrad kończył każdą lekcję odczytaniem ustępu ze swojego brewiarza, zwykle paru wersów z psalmów, oraz wygłoszeniem krótkiej homilii wykazującej, że duchowe ćwiczenia nadal mają wyższość nad przyziemną mądrością.

— Niewiasta ciemna i bogobojna — prawil — jest lepsza od tej, która wie dużo, a łamie prawa ustanowione przez Najwyższego.

Amatę śmieszyła i zarazem uspokajała jego konsekwencja. Listopad minął jej jak z bicza strzelił. Popołudniami, kiedy Konrad ślęczał nad swoimi Syciorysami, inni pomagali jej szlifować to, czego nauczyła się rano. Wędrowni mnisi i obdarci klerycy byli w domu częstymi gośćmi i czasami zostawali na wiele dni, ci bardziej tolerancyjni zaś wydawali się być zafascynowani oryginalnością eksperymentu donny Giacomy.

Niebawem — uczyć taką prostaczkę czytania i pisania! Tylko patrzeć, jak szlachcianka tak wykształci swojego cynamonowo-burego kocura, że ten nie wychłepce mleka z miseczki, zanim nie odmówi pacierza!

Amata podejrzewała, że u niejednego z młodszych mężczyzn ta fascynacja ma również inne podłoże, chociaż ona ze swej strony nie czyniła nic, by robić im jakieś nadzieje. Konrad, sądząc z miny, z jaką przechodził przez wielką salę, kiedy czytała tam z którymś z tych wędrowców, chyba też to zauważał.

W swoim mniemaniu subtelnie przypominał jej o ślubie, jaki niedawno złożyła. Kiedy był w takim nastroju, biblijne cytaty, które odczytywał na koniec lekcji, pochodziły nie z psalmów, lecz z Księgi Eklezjastesa*: ZwaŜ, Œe nie kaŜde ciało jest piękne, i nie obracaj się wśród kobiet. Bo tak jak z szat wychodzi mól, tak z kobiety grzech męŜ-

czynny... I przekonałem się, Œe bardziej gorzką niŜ śmierć jest kobieta, bo

*Księga Koheleta, czyli Eklezjastesa 7,26.

272

ona jest siecią, serce jej sidłem, a ręce jej więzami. Kto Bogu jest miły, ten się od niej ustrzeŜe, lecz grzesznika ona usidli.

Raz przerwał lekcję, Œeby powiedzieć jej bez ogródek, iŜ jeden z mnichów, brat Federico, przedłuŜa swój pobyt tylko i wyłącznie z jej powodu. Tego dnia zacytował poetę o niemoŜliwym do wymówienia nazwisku: Chcesz wiedzieć, czym jest kobieta? Jest ona połyskliwym błotem, cuchnącą róŜą, słodką trucizną skłaniającą się zawsze ku temu, co jej zakazane.

Gdyby naprawdę była zainteresowana Federikiem, moŜe by się nawet obraziła. Ale nie była, parsknęła więc śmiechem. Im głoŝniej się śmiała, tym więcej niepokoju słyszała w słowach Konrada. O wiele łatwiej było mu porównać ją do „połyskliwego błota”, a zakonników takich jak Federico nazwać un cane in chiesa, psem w kościele, niŜ

powiedzieć: „Martwię się o ciebie, bo mi na tobie zaleŜy”. Ale kiedy ją upominał, zawsze słyszała w jego głosie uczucie.

— Wiem, jak cię chronić przed takimi niemoralnymi braćmi —

oznajmił pewnego dnia i posłał sługę po donnę Giacome.

Kiedy szlachcianka przyszła, Konrad zaproponował, Œeby Amata powtarzała popołudniami to, czego nauczyła się rano, z młodym Pio.

— Pio będzie się dzięki temu uczył od Amaty — powiedział — a jej powtarzanie pomoŜe lepiej zapamiętać.

Pio był zachwycony, kiedy donna Giacomina się zgodziła, bo to oznaczało, Œe więcej czasu będzie teraz spędzał w towarzystwie Amaty. Brat Federico wyniósł się z domu jak niepyszny, Konrad nie krył zadowolenia, a Amata teŜ odetchnęła z ulgą. Powtarzanie lekcji z chłopcem przypominało bardziej zabawę, bo porady zawarte w jej ksiąŜce o manierach bardzo go śmieszyły. Czytała, dajmy na to:

— Jeśli zbierze ci się na beknięcie, zrób to jak najciszej, odwracając zawsze głowę. Jeśli zachce ci się splunąć albo odkaszlnąć, nie połykaj z powrotem tego, co napłynęło ci juŜ do gardła, lecz pluj na ziemię albo w chusteczkę, albo w serwetkę.

A Pio odwracał wtedy głowę i bekał albo odcharkiwał i z flegmą w buzi prosił przez zaciśnięte usta, żeby pośyczyła mu chusteczkę. Lekcje pisania na woskowej tabliczce szybko przeradzały się w grę w kółko i krzyśyk albo w taniec sześciu mężczyzn, w której za pionki na podzielonej rysikiem na kwadraty tabliczce słysły kawałki zwęglonego drewna wyciągnięte z kominka.

Konrad niewiele mówił o swoich postępach. Amata wiedziała tylko, że czyta Syciorys autorstwa Tomasza z Celano. Wszystko wskazywało na to, że opis młodzięcych lat świętego Franciszka, który tam znalazł, już na wstępie wprowadził go w konsternację. Powiedział, że wersja Bonawentury sugeruje tylko eufemistycznie, iż założył w młodości „nie stronił od doczesnych uciech”.

— Jakże wielką jest moc Boga — dodał Konrad. — Tylko Jego woła mogła ukształtować świętego z człowieka, który tak zaczynał. Zacierając pełnię przeistoczenia Franciszka, Bonawentura pomniejsza łaskę i boską moc.

Amata zapamiętała i usłyszała już tyle, by rozumieć, że prawdziwym celem, dla którego Konrad studiuje Tomasza, jest wyjaśnienie, co oznacza ta ślepotą, albo ślepiec, i przez długi czas mu się to nie udawa-

ło. Jednak w końcu chyba się udało.

Pewnego grudniowego popołudnia Konrad wszedł do wielkiej komnaty, gdzie siedziały z donną Giacomą, szyjąc i gawędząc.

— In il o tempore — mrucał pod nosem. — W owym czasie. — Patrzył na nie, ale jakby ich nie widział. — Ale dlaczego to ma znaczenie?

In il o tempore . — Z rękoma założonymi na plecach przeszedł w drugi koniec komnaty, tam zawrócił, minął je sztywnym krokiem i wyszedł.

Kobiety spojrzały na siebie i zachichotały.

XXIV

W pierwszym tygodniu grudnia zima na dobre zagościła w Asyŝu.

Poŝwistywanie wiatru w szparach zasłoniętych okien izby, w której czytał Konrad, przeszło w nieustające wycie przywodzące na myśl la-mentujący chór wszystkich duchów nieba i ziemi. Subasio i okoliczne wzgórza zapadły w niespokojny sen.

Nawet w południe naciągnięte na ramy płótno w oknach przepuszczało tak mało światła, ŝe Konradowi, zmuszonemu pracować przy ŝwiecy i blasku ognia płonącego na kominku, lektura szła bardzo wolno. Porywy wiatru wtłaczały dym z powrotem do komina i po izbie rozchodził się duszący gorzko-słodki zapach płonącego jałowca, które-go pęki przywoziła co rano na osiołku kobieta ze wsi.

Mógł w kaŝdej chwili przenieść się z manuskrytem do jaśniejszej wielkiej komnaty, gdzie uczyli się Amata z Pio i gdzie okna były większe, a komin miał lepszy cug, ale nie robił tego, bo przez dom przewija-

ło się wielu obcych, a on musiał przecieŝ kryć się z tym, co robi. Zdarzyło się raz, ŝe brat Federico, zanim jeszcze wyniósł się z domu, zajrzał

275

do izby pogrąŝonego w lekturze Konrada, a ten, ŝeby odwrócić jego uwagę od księgi, nad którą ŝlęczał, zaczął mu opowiadać o nowym dziele — Summa Theologiae Tomasza z Akwinu — które czytał niedawno w Sacro Convento, i niby to od niechcenia zamknął za plecami manuskrypt Tomasza z Celano. Kaŝdy wędrowny scholar zdumiałby się

— i słusznie — widząc w domu osoby świeckiej, niewaŝne, ŝe szlachcianki, aŝ cztery księgi. Obojętne jakiego rodzaju. A juŝ zakazane manuskrypty wzbudziłyby ogromne zainteresowanie. Tak więc Konrad siedział zaszyty w swojej zadymionej mrocznej izbie, trąc piekące oczy.

Z rozmów z Leonem znał dzieje rękopisów Tomasza z Celano. Po śmierci Franciszka wszyscy w bractwie byli przekonani, ŝe spisanie ŝywota ŝwiętego powierzone zostanie jego sekretarzowi. Nikt nie był

bliŝej z Franciszkiem, a prosty niewymuszony styl Leona oddałby najlepiej surowe ŝycie jego mistrza. Ale Elias i kardynał Hugdin na wy-konawcę tego zadania wybrali Tomasza z Celano, chociaŝ brat ów nigdy nie spotkał Franciszka i większą część swojej religijnej kariery spędził w Niemczech. Tomasz, na dowód, ŝe potrafi pisać elokwentnie, ułoŝył wspaniały hymn o śmierci i sądzie — Dies Irae . Poniewaŝ jednak nie znał Franciszka osobiŝcie, zmuszony był prosić o konsultacje głowę zakonu, która zleciła mu to zadanie — brata Eliasza. Nic zatem dziwnego, ŝe Eliasz odgrywał w tekście Tomasza prominentną rolę — tak prominentną, ŝe kiedy popadł w niełaskę i obłoŝony został ekskomuniką, następny generał, brat Krescenty, poprosił Tomasza o

dział w Niemczech. Tomasz, na dowód, ŝe potrafi pisać elokwentnie, ułoŝył wspaniały hymn o śmierci i sądzie — Dies Irae . Poniewaŝ jednak nie znał Franciszka osobiŝcie, zmuszony był prosić o konsultacje głowę zakonu, która zleciła mu to zadanie — brata Eliasza. Nic zatem dziwnego, ŝe Eliasz odgrywał w tekście Tomasza prominentną rolę — tak prominentną, ŝe kiedy popadł w niełaskę i obłoŝony został ekskomuniką, następny generał, brat Krescenty, poprosił Tomasza o

napisanie drugiej wersji Syciorysu, w której o Eliaszu nie będzie najmniejszej wzmianki. Œeby pomóc Tomaszowi w pracy nad tym drugim Œyciorysem, zwrócił się do braci, którzy znali Franciszka, z proŒbą o spisanie swoich wspomnieŒ — i tak powstała Relacja trzech towarzyszy .

Konrad rozpoczął lekturę dzieła Tomasza z Celano od pierwszej li-nijki pierwszego akapitu. Lękał się ryzykować, Œe czytając na wrywki, przeoczy wskazówkę, której szukał, słowa zaznaczające „początek ślepoty”. Przystudiował historię ślepej kobiety, którą Franciszek uleczył, 276

ale nie znalazł w niej nic, co nawiązywałoby do sformułowania Leona.

Nadeszły pierwsze śniegi, a on wciąż szukał. Dłonie wieśniaczki dostarczającej drewno na opał poczerwieniały od mrozu, kaptur opończy owijała teraz grubym czarnym szalem z wełny, a Konrad, pokaszując, mozolnie studiował rozdział za rozdziałem Œyciorysu świętego Franciszka pióra Tomasza. Przeczytał, jak doszło do naznaczenia Franciszka stygmatami na górze Alwernia i opis serafina, zapewne podyktowany Tomaszowi przez Eliasza. A potem, w następnym rozdziale, natrafił na trzy proste, otwierające akapit słowa: in il o tempore, „w owym czasie”: W owym czasie ciało Franciszka zaczęło zapadać na rozmaite i powaŒniejsze niŒ dotąd dolegliwości. Często niedomagał, gdyŒ przez wiele lat umartwiania bardzo je wyniszczył.

O tym, Œe Tomasz miał na myśli rok PaŒski 1224, rok naznaczenia stygmatami, Œwiadczyło następane zdanie. Nawrócenie Franciszka miało miejsce w roku 1206.

Na przestrzeni tych osiemnastu lat, które minęły, jego ciało nie zaznało spoczynku. Ale w myśl praw natury i konstytucji człowieka, koniecznym jest wszak, by nasz człowiek zewnętrzny dzień po dniu niszczał, by odnawiać się mógł człowiek wewnętrzny, i zgodnie z powyŒszym najcenniejsze naczynie, w którym krył się ów niebiaŒski skarb, zaczęło pękać....I choć nosił juŒ na ciele ślady Pana Jezusa, to nie wypełnił widać jeszcze swej ziemskiej powłoki tym, czego jej brakło, by mógł zrównać się w cierpieniu z Chrystusem, albowiem nabawił się powaŒnej choroby oczu.

To było to, zawarte w jednym zdaniu. Kiedy zaczęła się ślepotą, Franciszek nosił juŒ stygmaty. Z tego wniosek, Œe owa choroba oczu nie 277

była wynikiem podróŒy do Egiptu w roku 1219, jak słyŒzał zawsze Konrad. Czytał dalej:

Kiedy niekurowana dolegliwość z dnia na dzień postępowała i stan się pogarszał, brat Eliasz, którego Franciszek wybrał, Œeby jemu był

matką, a pozostałym braciom ojcem, nakłonił go w końcu do poddania się leczeniu.

Dyktując to, Eliasz nie miał Œadnego powodu, by ukrywać, od kiedy zaczęły się kłopoty Franciszka ze wzrokiem ani swojej roli w walce z chorobą. Kto zatem, jeŒli nie Eliasz, rozpuścił potem wieść, Œe oczy świętego poraziło pałace słońce Wschodu — i dlaczego? W biografii Tomasza nie było wymienione imię tego, który towarzyszył świętemu Franciszkowi w podróŒy na dwór sułtana Malik Al-Kamila. Ale Bonawentura je podawał!

Konrad przypomniał sobie, co odpowiedział Lodovico, kiedy zapytał go, dlaczego imię Iluminat tak

znajomo brzmi: „Był z naszym mistrzem, kiedy ten próbował nawrócić sułtana”. Znowu ten Iluminat! To bez wątpienia on zdawał Bonawenturze relację z podróŜy Franciszka na Wschód, tak jak wcześniej Eliasz dyktował swoją wersję Œyciorysu Franciszka Tomaszowi. Ale dlaczego Iluminat poczuł potrzebę stworzenia innego wyjaśnienia ślepoty Franciszka tyle lat po napisaniu przez Tomasza pierwszej biografii?

Zakonnik wyjął notatki, które poczynił w Sacro Convento, i przepisał do nich cały rozdział zatytułowany O Œarliwości błogosławionego Franciszka i chorobie jego oczu. Z wolą boŜą pewnego dnia odczyta jeszcze raz ten tekst i zrozumie, dlaczego jego mentor uwaŜał czas pojawienia się tej dolegliwości za tak waŜny, Œe połoŜył na to nacisk w swoim liście.

Nabierał coraz większego przekonania, Œe tajemnica Leona koncentruje się wokół wypadków sprzed naznaczenia stygmatami i bezpośrednio po tym fakcie. I tak, biorąc do ręki drugą z ksiąg, które Amata przyniosła mu z San Damiano — sporządzoną przez Ubogie Panie kopię Relacji trzech towarzyszy — otworzył ją od razu na opisie tego epizodu 278

w Œyciu świętego. To, co tam znalazł, sprawiło, Œe wrócił do swych notatek i jął je gorączkowo przeglądać.

— Tu jest wyraźna luka, madonno — tłumaczył donnie Giacemie jeszcze tego samego wieczoru. — Luka tak szeroka, Œe wozem drabiniastym moŜna by przez nią przejechać. JuŜ wiem, jak okaleczony został Towarzysz, chociaŜ nadal nie potrafię odpowiedzieć na postawione przez Leona pytania — dlaczego. Ani przez kogo. — Miał wątpiwości, czy szlachcianka pojmie wagę poczynionego przezeń odkrycia, zacią-

gnął ją jednak do swojej izby, bo rozsadziliby go, gdyby się nim z kimś nie podzielił.

— Proszę tylko spojrzeć! — wykrzyknął, sunąc palcem po stronicy.

— Szesnasty rozdział Towarzyszy kończy się na wypadkach, które mia-

ły miejsce w roku tysiąc dwieście dwudziestym pierwszym. Dalej następuje krótki opis naznaczenia stygmatami — w roku Pańskim tysiąc dwieście dwudziestym czwartym — a potem mamy od razu śmierć świętego Franciszka w roku tysiąc dwieście dwudziestym szóstym.

Gdzie się podziało tych pięć lat po tysiąc dwieście dwudziestym pierwszym? Tyle waŜnych zmian zaszło w tym czasie, zarówno w Œyciu Franciszka, jak i w samym zakonie. Leon i reszta towarzyszy nigdy nie ubarwiliby ani jednego zdarzenia w tak znaczącym okresie.

— Nie licząc naznaczenia stygmatami.

— Aha! To teŜ chciałem wam, pani, pokazać. Proszę spojrzeć na ten opis świętego Franciszka tuŜ przed pojawieniem się serafina. Leon pisał zrozumiale, ale stylem prostym, niewyszukanym. A co tu mamy?

Cum enim seraphicis desideriorum ardoribus. Promieniujący seraficzną miłością i pogrąŜony w ekstazie. To elegancka łacina, madonno. Elegancka! I piszący uŜywa równieŜ wyrafinowanych

filozoficznych zwrotów, na przykład *sursum agere*. Tego nie napisałby Śaden z naszych 279

trzech towarzyszy. Taka fraza mogła wyjść tylko spod pióra teologa mającego za sobą studia w Paryżu.

Konrad zdał sobie sprawę, że z podniecenia mówi coraz szybciej i szybciej. Wziął głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze. Ze spojrzenia donny Giacominy wynikało, że chociaż stara się bardzo nadążyć za tokiem jego myśli, to cała ta sprawa łacińskości nie bardzo do niej przemawia.

— Jeszcze trochę cierpliwości, madonno — poprosił.

Rozłożył obok manuskryptu swoje notatki.

— Tutaj jest opis tej samej sceny autorstwa Bonawentury —

powiedział, pokazując odpowiednie ustępy. — W obu wersjach czytamy identyczne sformułowania... tutaj, tutaj i tutaj... z wyjątkiem tego ustępu, kiedy wizja minęła, gdzie Bonawentura pisze *disparens igitur visio*, w *Towarzyszach* zaś stoi *qua visione disparente* — w moim osądzie sformułowanie mniej wyrobionego umysłu. Zadziwiające podobieństwo, zważywszy na to, że Bonawentura pisał swoją *Legenda*

Major—śyciorys większy— siedemnaście lat po ukończeniu *Towarzyszy*

przez Leona i innych.

— I co z tego wynika?

Konrad skrzyżował ręce na piersi.

— Myślę, że znaleźliśmy odpowiedź na pytanie Leona: Skąd serafin? Dochodzę do wniosku, że ową scenę z serafinem w *Towarzyszach*

napisał Bonawentura, którego, jak wiem, ten fragment szczególnie fascynuje — bez wątpienia pobudzoną tym, co opowiedział Elias Tomaszowi z Celano. Myślę, że człowiek, który był generałem zakonu w roku tysiąc dwieście czterdziestym szóstym, w roku, kiedy Leon oddał

mu „*Towarzysza*”, poprosił młodego wówczas Bonawenturę, by napisał

tę wstawkę. Człowiekiem tym, człowiekiem, który wymazał również z manuskryptu pięć lat, był Krescenty z Iesi. Jan z Parmy, który nastąpił

po nim, nigdy nie dopuściłby się takiego okaleczenia i fałszerstwa. Bonawenturze, kiedy wiele lat później pisał swoją wersję *Śyciorysu* i doszedł do tego miejsca, wystarczyło tylko przepisać swój wcześniejszy opis tej sceny z drobnymi gramatycznymi poprawkami.

Wykładając swoją teorię, Konrad doznał przelotnego przeczucia, że uwięzienie Jana z Parmy mogło mieć związek nie tylko z jego „here-tyckimi” joachimizmami, ale również z tym okaleczeniem. Tę myśl przerwała mu jednak donna Giacomina.

— Ale dlaczego? — spytała.

— Ale dlaczego? — powtórzył zagadkowym szeptem, porządkując swoje notatki. — To to samo pytanie sobie zadaję. Ale dlaczego?

Położył stos notatek na Towarzyszach i pochylił się, żeby schować księgę. Kłapanie sandałów na krużganku zmobilizowało go do szybszego działania. Stał jeszcze schylony, kiedy do izby wpadł Pio.

— Przyszedł ktoś z Sacro Convento i chce się z tobą widzieć, bracie.

— Zakonnik? Im nie wolno wychodzić o tej porze.

— Nosi zakonny habit, ale jest w moim wieku. Chyba biegł całą drogę. Był tak zdyszany, że ledwie mógł mówić.

— Podał swoje imię?

— Tak. Ubertino z Casale.

Policzki, nos i uszy zmarzniętego i zmęczonego chłopca pałały jasnym rósem. Czekał przy frontowych drzwiach, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę, jego jasne oczy pociemniały z emocji.

— Buona notte, bracie — powitał go Konrad. — Co się stało? Już

po komplecie, a ty jeszcze na nogach?

— Wymknąłem się ukradkiem, kiedy wszyscy poszli spać. Muszę z wami pomówić.

— Jak ci się to udało? — zdumiał się Konrad. Dziwne, bardziej interesowało go, jak Ubertino wymknął się z klasztoru, niż co go sprowadza. Przed miesiącem stał przed tym samym problemem. Z tego, co było mu wiadomo, zakonnicy po zmroku zamykali na głucho Sacro Convento.

Twarz chłopca poczerwieniała jeszcze bardziej, kiedy podeszła do nich

donna Giacomina. Krępował się mówić w obecności kobiety.

— Są takie drzwiczki, które prowadzą z klasztoru do krypty pod dolnym kościołem. Nikt z nich nie korzysta, a kłódka całkiem prze-rdzewiała i odpadła. Pokazał mi je wczoraj jeden z nowicjuszy.

— Źleś zrobił. Bonawentura surowo cię ukarze, jeśli się dowie, że u mnie byłeś. Jego szpiegdy bez przerwy obserwują ten dom.

Chłopiec poblądł.

— Nikogo na ulicy nie widziałem — wykrztusił. Obejrzał się nerwowo na drzwi. Najwyraźniej nie brał tej możliwości pod uwagę. —

Musiałem was ostrzec.

Donna Giacomina dotknęła ramienia Konrada.

— Powstrzymaj na chwilę swój język, bracie. Nie strasz chłopca, bo i tak już ma duszę na ramieniu. Dopuszcz go do głosu.

Ubertino podziękował jej uśmiechem.

— Dziś wieczorem usługiwałem do wieczery w wirydasu —

zwrócił się do Konrada. — Generał ma gościa, brata Federica. Rozmawiali o was.

Federico! Czyżby i on był szpiegiem Bonawentury? I przez wszystkie te popołudnia, kiedy on, Konrad, czytał, starał się wyciągnąć jakieś informacje od Amaty?

— Federico powiedział, że macie księgi, które brat Bonawentura powinien zobaczyć. Generał wpadł we wściekłość! Zaczął się odgrażać, że dostanie je w swoje ręce. I was też! Zamierza przysłać tu znowu Federica z jeszcze jednym zakonikiem, żeby go wykradli. Powiedział, że pojutrze wyjdziecie zapewne z domu. Dziś po południu przybył do klasztoru posłaniec z wiadomością, że papież jest już tylko dwa dni drogi od miasta. Zatrzyma się w Asyżu na kilka dni i brat Bonawentura jest przekonany, że całe miasto wylegnie na ulice, by go powitać. Kazał

Federicowi pojmać was, kiedy tylko stąd wyjdziecie.

282

Konrad stał osłupiały, donna Giacomina zastukała laską o posadzkę.

— Bonawentura okazuje się tak samo nikczemny, jak jego poprzednicy — stwierdziła. — Władza psuje ich wszystkich.

Nie spodziewałam się tego po nim.

Pio czekał w dyskretnej odległości w głębi korytarza. Szlachcianka skinęła na niego.

— Amata odmawia chyba wieczorne pacierze w kaplicy. Zaczekaj na zewnątrz, aż skończy, i przyprowadź ją do nas.

Pio oddalił się biegiem, a stara dama poklepała Ubertina po ramieniu.

— Dzielne z ciebie dziecko. To dzięki takim jak ty młodzianom i obecnemu tu bratu Konradowi nie

tracę jeszcze wiary w zakon. Chcesz coś gorącego do picia, zanim tam wrócisz?

Chłopiec pokręcił głową.

Konrad odzyskał wreszcie mowę.

— Dlaczego tak dla mnie ryzykowałeś?

Ubertino się zarumienił. Teraz, kiedy wykonał najważniejszą część swego zadania, opuszczała go pewność siebie.

— Wielu braci mówi, że święty z was człowiek. Powiadają, że nadejdzie taki dzień, kiedy generał wtrąci was na zawsze do lochu. A to przecieś niesprawiedliwe, bo wy niczego złego nie zrobiliście.

Konrad, ujęty naiwnością chłopca, zdobył się na ironiczny uśmiech.

— Jeśli pamiętasz, co czytałeś w Biblii, tak właśnie zaczynał się Kościół, od prześladowania niewinnych. — Ucisnął chłopcu dłoń. —

Mil e grazie, Ubertino. Mam nadzieję, że potrafię ci się kiedyś odwdzię-

czyć. Uważaj, gdy będziesz stąd wychodził. Tylko tego by brakowało, żeby zamknięto cię w lochu albo wychłostano.

Kiedy za nowicjuszem zamknęły się drzwi, wrócił Pio, prowadząc Amatę. Dziewczyna spojrzała pytająco na donnę Giacomę.

283

— Otrzymaliśmy właśnie niepokojącą wiadomość, Amatino —

powiedziała szlachcianka z przekąsem. — Nasz minister generalny zabiega usilnie o awans, może nawet chce zostać świętym. Zamierza poświęcić naszego dobrego przyjaciela, brata Konrada, by utrzymać pozory harmonii w zakonie — tak jak to uczynił z bratem Janem z Parmy.

Jej słowa poruszyły Konrada. Z ust mu to wyjęła! Szlachcianka spojrzała na niego, twarz ściągała jej troska.

— Musisz uchodzić w góry — powiedziała.

Nie wierzył własnym uszom. Amata wyglądała na podobnie zaskoczoną, widział to w jej oczach.

— Nie czas jeszcze, żeby nasza mała rodzina była razem — ciągnę-

ła donna Giacomina. — Idylla, w której żyliśmy przez ten miesiąc, była tylko wstępem. — Wzięła ich oboje za ręce. Konrad drgnął, ale nie cofnął ręki. — Z wolą bożą zejdziemy się jeszcze kiedyś, i to za mojego Sycia.

Puściła ich dłonie i zwróciła się do Amaty:

— MoŜesz odnieść te księgi z powrotem do San Damiano? Musimy działać, zanim wstanie świt. — Amata skinęła głową. — Powinniście opuścić miasto razem, najbliŜszą, czyli północną bramą

— di Murorupto. Zaczekacie gdzieś w pobliŜu i wyjdziecie, gdy tylko z biciem na poranny Angelus będą ją otwierali. — Donna Giacomina mówiła z precyzją wojskowego kapitana prowadzącego odprawę ze swoimi Őółnierzami, ściskając w dłoniach rączkę laski.

— Jak długie masz teraz włosy, dziecko? — spytała. Amata uniosła rąbek czepka. — Dobrze. Nie są jeszcze za długie. Pora, byś wcieliła się z powrotem w rolę braciszka nowicjusza. StraŐników miejskich nie zainteresuje zbytnio dwóch braci opuszczających miasto. Wychodząc pojedynczo, zwracalibyście na siebie większą uwagę. — Jej zielone oczy zabłyŐły. — Bonawentura nie wie, Őe znamy jego zamiary, a więc sprzyja nam czynnik zaskoczenia. MoŜemy działać, kiedy bracia Őpią.

Wątpię, by generał powiadomił juŜ straŐe miejskie, ale mnisi pilnujący naszego zaułka mogą być dzisiaj czujniejsi niŜ zwykle. Ty, Amato, odczekaj 284

kilka dni w San Damiano, zanim tu wrócisz. Bonawentura, kiedy się dowie, Őe Konrad mu się wymknął, odwoła chyba swoich szpiegów.

Spojrzała na jedno, potem na drugie. Jej twarz wyraŐała dumę i strach, gniew i smutek. Wyglądała na znuŐoną, lecz zdeterminowaną.

Ponownie wzięła ich za ręce i zamknęła oczy. Unosząc głowę, odmówiła modlitwę:

— Dobry BoŜe, proszę, nie odbieraj mi znowu moich dzieci.

Amata siedziała w kucki za Konradem w portyku kamienicy przy Piazza di San Francesco. Noc pachniała śniegiem, lodem i szronem. W

mroźnym powietrzu najcichszy dźwięk — chrobot szurzących łapek w rynsztoku, pobrzękiwanie na wietrze zawieszonych na łańcuchach szyl-dów — rozchodził się niesamowitym echem po wyludnionych ulicach.

Najchętniej przytuliłaby się do zakonnika i ogrzała ciepłym jego ciałem, wiedziała jednak, że Konrad wolałby raczej widzieć ich oboje zamarzniętych, niżby na to pozwolił.

Na lewo, po drugiej stronie piazza, wznosiła się bazylika, na prawo zawarta i zaryglowana Porta di Murorupto odcinała im drogę ucieczki.

Wstali z Konradem przed świtem, kiedy dzwony bazyliki wzywały zakonników na jutrznię. Amata ponownie przytoczyła sobie manuskrypty pod habitem i wymknęli się z domu donny Giacomy. Strażnik Bonawentury jak dotąd nie widzieli, ale z każdą chwilą, przez jaką brama pozostawała zamknięta, niepokój dziewczyny rósł. Dygotała i z nerwów, i z zimna, bo wiatr łaskotał jej stopy, piąty i wciskając się pod

habit, omywał łydki. Kropelka zimnego potu ściekała jej po kręgosłupie. Zaciskała mocno zęby, ale te mimo wszystko szczękały tak głośno, że zakonnik obejrzał się i ściągnął brwi.

— Zaraz powinni dzwonić na Angelus — wyszeptał. Jemu czas też

widzieć się dłużej, pomyślała Amata. Chociaż niebo zaczynało już ja-

śnieć, każde uderzenie serca odmierzało całą wieczność.

Nagle Konrad wymruczał pod nosem coś niezrozumiałego. Wycią-

gnęła szyję, żeby spojrzeć ponad jego ramieniem. Od Via San Paolo, którą niedawno tu przyszli, zbliżały się, kierując, w ich stronę, dwie rozkołysane latarnie. Jeszcze kilka kroków i rozróżniła w mroku sylwetki niosących je mnichów. Poczowała parcie na pęcherz, ze strachu ścisnęło ją w dole brzucha.

— Zaczekaj tutaj — mruknął Konrad. Odłożył sakwę, do której kucharka donny Giacomy spakowała mu prowiant na drogę. — Przygotuj się i ruszaj, jak tylko otworzą bramę. Dogonię cię.

Zanim zdążyła coś powiedzieć, wstał i nie kryjąc się, pomaszerował

przez piazza. Przyspieszał stopniowo kroku i zbliżając się do bazyliki, prawie biegł. Co on zamierza? Latarnie też skręciły w stronę kościoła.

Wytężając wzrok, wpatrywała się w pogrążoną w mroku boczną ścianę bazyliki w nadziei, że

Konrad opuści ją innymi drzwiami, tak jak uczyniła to ona, idąc po manuskrypty do San Damiano.

Zerwał się tak niespodziewanie, że nie zdążyła podsunąć mu tej my-

śli. Już wcześniej chciała z nim porozmawiać, ale bała się odezwać, nawet szeptem, bo najmniejszy hałas mógł zdradzić ich kryjówkę. Postanowiła poczekać z tym do czasu, a kiedy znajdą się za miastem, a teraz on odszedł.

Ułożyła już sobie w głowie, co powie: Czy po oddaniu przez nią manuskryptów Ubogim Paniom pozwoli jej iść ze sobą w góry? Tak dobrego traktowania, jak w domu donny Giacomy, nie zaznała od czasu, kiedy Simone della Rocca porwał ją z Coldimezzo, ale ona chce być wolna. Do tego, że darzy Konrada coraz silniejszym uczuciem, główno 287

nie odważy się przyznać. Nie znała dotąd mężczyzny tak bezinteresownie jej szczerliwego, chociaż on nie wyrażał tej szczerliwości pięknymi słówkami. Pamiętała miękkość jego warg, kiedy musnęły jej czoło na górskiej półce. „Całus na pożegnanie, na wypadek, gdybyśmy nie došli”. Amata zatęskniła teraz za takim pocałunkiem. Wiedziała, że co najwyżej liczyć może na jego przyjaźń. Ale nie dało się zaprzeczyć, że odznaczała się zaradnością, której jemu brakowało. Przydałaby mu się tam, w górach. Mogłaby go wyręczać w codziennych zajęciach, żeby więcej czasu mógł poświęcić kontemplacji. Zbudowałyby sobie nieopodal własną chatkę i żyliby razem, ale osobno, jak dwoje świętych pustelników, a on byłby jej duchowym mentorem.

Do bazyliki weszli zakonnicy z latarniami i strach rozpędził te fantazje. Konradzie! Gdzie, u diabła, jesteś!

Dzwon na kampanili bazyliki uderzył trzy razy. Wreszcie ten Angelus! Podnosząc się z kucek i nie odrywając oczu od wychodzącego z wartowni strażnika, zaczęła odmawiać bezgłośnie modlitwę śarliwie jak nigdy dotąd:

Anioł Pański objawił się Maryi

I poczęła za sprawą Ducha Świętego.

Ave Maria, gratia plena, Dominus tecum...

Dzwon uderzył kolejne trzy razy i odzwierny dźwignął ciężką belkę, którą zaryglowana była brama. Konrad nadal nie wychodził z kościoła.

Oto ja, słuźbnica Pańska,

Niech mi się stanie według słowa twego.

Ave Maria, gratia plena...

Powinna już ruszać. Dzwon uderzy jeszcze trzy razy na Słowo stało się Ciałem i mieszkało między nami, potem zamilknie po raz trzeci na ostatnią Ave Maria i antyfonę, a następnie rozdzwoni się ponownie, już

bez ustanku, i zaspani wierni w całym mieście zaczęły zwlekać się z łósek.

Amata wysunęła się z cienia i podreptała ku bramie, ale dzwon zamiast zabić po raz trzeci, milczał. Była już w połowie placu i widziała, 288

jak strażnik odwraca się, zadziera głowę i ze zdziwieniem patrzy na kampanię. Dopiero teraz rozumiała, dlaczego Konrad ją zostawił. To on pociągał za sznur dzwonu, dopóki nie przepłoszyli go — albo, co gorsza, nie pojмали — mnisi.

Strażnik gapiący się na bazylikę przeniósł wzrok na nią. Wciąż trzymał belkę. Po chwili odwrócił się i znów zarygłował nią bramę. Z

głównego wejścia bazyliki wynurzyła się latarnia i skierowała ku wartowni. Amata była uwięziona w mieście!

Nad najdalej na północ wysuniętymi domami górowało porośnięte krzakami wzgórze, na szczycie którego wznosiła się Rocca. Mury miasta pięły się po stoku i obejmowały cytadelę, tak że północna ściana Rokki tworzyła również ich odcinek. Amata zanurkowała w zarośla.

Zamierzała przejść między domami a fortecą i dotrzeć do dolnego miasta, zanim zakonnicy zdążą powiadomić strażników pilnujących tamtejszych bram. Miała nadzieję, że strażnik i mnich nie ruszą za nią w po-goń. W tych krzakach by się przed nimi nie ukryła. Przyświecając sobie latarnią, szybko wytropiliby jej ślady na pokrywającej stok cienkiej warstwie śniegu.

Była jeszcze w zasięgu głosu, kiedy od piazza ktoś za nią krzyknął:

— Ty, tam, braciszku! Stój!

Nie oglądając się, zaczęła biec, ale pośliznęła się na nierównym zlodowaciałym podłożu. Ziemia uciekła jej spod nóg i z krzykiem zjechała kawałek po stoku. Pozbierała się i z walącym sercem ruszyła dalej.

— Pobiegnę za nim! — usłyszała za sobą. — Ty pędź przez miasto i odcinaj mu drogę od dołu.

Przedzierała się przez krzaki z nadzieją, że starszy mężczyzna nie zdoła jej dopędzić. Gałęzie drapały jej skórę na dłoniach i ramionach, ale jednocześnie pomagały utrzymać się na nogach. Odgłosy pogoni za jej plecami cichły, co znaczyło, że strażnik zostaje z tyłu. Nie dawał

jednak za wygraną. Przekleństwa i szczęk metalu, kiedy się przewracał, zdradzały jego pozycję.

289

Na tle szarzejącego nieba widziała już przed sobą sylwetkę Subasio.

W połowie drogi w poprzek stoku natrafiła na przysypany śniegiem szlak wijący się między zaroślami. Rozpoznała drogę prowadzącą do Rokki. Zatrzymała się. Może zgubi strażnika, jeśli podbiegnie nią kawałek pod górę i tam znowu da nurka w zarośla? Był już pewnie zmę-

czony i strome zbocze zniechęci go moŜe na tyle, Őe poniecha poŝcigu.

Wspięła się kilka kroków i zatrzymała znowu jak wryta na dźwięk nie-regularnego stukotu kopyt na drodze przed sobą. Ale było juŜ za późno na ukrycie się, bo w następnej chwili jeździec na olbrzymim koniu bojowym wyłonił się z ciemności tuŜ przed nią. Stratowałby ją, gdyby galopował z normalną szybkością.

W ostatniej chwili odskoczyła w bok, ale jeździec zagroził jej drogę.

— Hola, braciszku! — krzyknął. — Opatrzność mi cię zsyła. —

Rozpoznała gardłowy głos Calista di Simone i zamarła.

Przemknęło jej przez myśl, Őe zaalarmowała go nocna straŜ, ale zaraz uświadomiła sobie, Őe nie moŜe przecieŜ wiedzieć o tarapatach, w jakie wpadła. Spuściła skrytą pod kapturem głowę i starała się udawać, Őe nie zwraca uwagi na dobiegający z zaroŝli coraz głoŝniejszy trzask gałęzek łamanych przez przedzierające się przez krzaki straŝnika.

— Jesteŝ księdzem? — spytał Calisto. — Mój ojciec umiera i trzeba go wypowiadać.

Znalazłszy się między młotem a kowadłem, musiała się szybko decydować. Straŝnik lada chwila wypadnie na drogę.

— Dobrze, signore — odparła, starając się pogubić głos.

Od opuszczenia domu donny Giacomy nie odezwała się słowem i trochę ochrypla, co ułatwiło sprawę. — Podwieź mnie. Nie ma czasu do stracenia.

Calisto wysunął stopę z lewego strzemienia. Wsunęła w nie swoją obutą w sandał, a on podał jej rękę. Wokół jej dłoni zacisnęły się wszystkie jego palce prócz jednego, wskazującego, który pozostał wyprosto-wany — nie mógł go zginać. Uŝmiechnęła się mściwie pod kapturem, 290

dosiadając koŝskiego zadu. Ten sztywny palec juŜ zawsze będzie przypominał Calistowi dziewczynę, którą próbował kiedyŝ zgwałcić. Zastanawiała się przez chwilę, czy nie dokończyć dzieła, wbijając mu nóŜ

między Őebra i zabierając konia. Ale nadal byłaby uwięziona w murach miasta, a zakonnik na bojowym koniu z pewnością ŝciągałby na siebie powszechną uwagę.

— Złap się za mój pas — powiedział Calisto, spinając konia ostrogami. Posłuchała, ale najchętniej złapałaby go za gardło. Pacnęła konia dłonią po zadzie. Była teraz wdzięczna donnie Giacomie, Őe poradziła jej przywiązać sobie manuskrypty jeden do brzucha, drugi do pleców.

Miała dzięki temu większą swobodę ruchu, a do tego manuskrypt na brzuchu chronił przed kontaktem z ciałem Calista. Poza tym, szersza w talii, wyglądała starzej.

Zobaczyła przed sobą smoliŝcie czarną bramę zamku obramowaną pochodniami i rozdziawioną

niczym Śarłoczna paszcza. Przygotuj się na ponowne odwiedziny w piekle, podszeptaj jej wewnętrzny głosik.

Dygotała teraz tylko i wyłącznie ze strachu, bo zimna zupełnie nie czuła — pomimo mrozu, pot ściekał jej po bokach i między piersiami.

A co będzie, jeśli Calisto ją rozpozna? Jeśli nawet od razu nie skróci jej o głowę mieczem albo toporem, to będą ją tu więzić i męczyć do końca jej dni. Naszła ją nagła pokusa zeskoczenia z konia i czmychnię-

cia w krzaki. Nie zrobiła tego jednak. Tylko tego brakowało, Œeby po piętach deptał jej jeszcze rozeźlony rycerz. Musi grać do końca swoją rolę. Jak udziela się Ostatniego Namaszczenia, widziała tylko raz, kiedy umierał jej dziadek, nonno Capitano. Wiedziała, Œe potrzeba do tego świętego krzyŒma, a ona nie miała przy sobie Œadnego olejku. MoŒe poprosić o zwykłą oliwę z oliwek i wymruczeć nad nią jakieś błogosławieństwo? Albo pod pretekstem, Œe czas nagli, ominąć ten rytuał? Postanowiła, Œe zacznie od wysłuchania spowiedzi Simone i będzie się modliła do Boga, Œeby nią pokierował.

291

— Schyl się! — wrzasnęła Calisto, kiedy końskie kopyta zaklekotały na brukowanym dziedzińcu. Frontowe drzwi twierdzy Rocca otworzyły się i wpadli przez nie do środka. Pokonali kilka korytarzy i wjechali do wielkiej sali. Amata zeskoczyła z konia, Calisto teŒ zsiadł i rzucił cugle słudze. Kilka osób ze świecami otaczało stojące pośrodku łóŒe.

Amata nie mogła uwierzyć, Œe ta skurczona postać zakopana w po-

ścieli — ten zasuszony, blady jak prześcieradło mól, któremu poobrywano skrzydełka i czułki, z małymi czarnymi wgłębieniami tam, gdzie powinny być oczy — to jej dawny prześladowca. Pierzyna okrywała go po szyję niczym kokon, na wierzchu spoczywała tylko jedna ręka.

Amata, nie ściągając z głowy kaptura, podeszła do łóŒa.

— Wyjdźcie, proszę, z sali i zamknijcie drzwi — powiedziała. —

Chcę go wypowiadać.

— On nie moŒe mówić — mruknął Calisto. — Bełkocze tylko niezrozumiale.

Tego nie wzięła pod uwagę. Patrzyła przez chwilę z góry na nieruchomą postać.

— ParaliŒ? MoŒe poruszać dłonią albo chociaŒ palcem?

— Tak, sparaliŒowało go, ale tylko jedną stronę.

— Odmówię więc nad nim litanię grzechów, a on moŒe mi odpowiadać „tak” albo „nie”, poruszając

palcem w górę i w dół albo na bo-ki.

Calisto skinął głową i wyprowadził wszystkich z sali. Drzwi się za nimi zamknęły i Amata została z Simone sam na sam.

— Słyszysz mnie, ty odraŹający grzeszniku? — zaczęła, zwracając się do insekta na poduszce.

W zapadniętych oczach Simone, kiedy powoli skierował na nią wzrok, zapłonęło przeraŹenie.

— Tak, zdychasz. Poproszono mnie, Źebym ratowała twoją duszę od ogni piekielnych. Czy składałeś kiedykolwiek fałszywe Źwiadectwo albo wypowiadałeś imię Boga nadaremno? — Simone poruszył lekko dłonią. — Tak, oczywiście, tysiące razy, słyŹalaam na własne uszy. Czy nie pohańbiałeś Błogosławionej Matki i swojej małŹonki cudzołóstwem, 292

nie napastowałeś słuŹ swoich, zarówno męŹczyzn, jak i kobiet, a nawet własnej córki w swej nienasyconej Źądzy? Czy nie zasługujesz na sma-

Źenie się za swe zbrodnie w piekle przez milion wieczności?

PrzeraŹenie mieszało się w zapadniętych oczodołach z błaganie, ale ona nie miała litości.

— Czy zamordowałaś Buonconte di Capitania, kiedy modlił się w kaplicy w Coldimezzo, a wraz z nim jego syna i Źony Cristiany? Czy nie wzięłaś w niewolę jego córki i nie dopuściłaś się wobec niej najo-brzydliwszy eh praktyk? Nie próbuj wypierać się swych grzechów, Simone, bo przed Bogiem nie ukryje się najgłębszy zakamarek twojej złej duszy.

Stary rycerz usiłował się od niej odwrócić, ale złapała go za ramię i przytrzymała. Źciągnęła z głowy kaptur.

— Przyjrzyj mi się — podjęła. — Patrz, to nie ksiądz, lecz ja, Amata, Amata di Buonconte, którą zniszczyłaś. Nie mam mocy, by oczyścić twoją duszę, nawet gdybym chciała. Jeszcze tej nocy zatańczysz z diabłem w piekle, i tańczyć z nim będziesz juŹ noc w noc przez wieczność całą. Bądź przeklęty, Simone! Przeklęty i potępiony!

Ostatkiem sił Simone wyciągnął zdrową rękę do dzwonka na nocnym stoliku, lecz Amata chwyciła go za nadgarstek i przytrzymała.

Czuła, jak uchodzi z niego siła.

— Kiedy Źyłam tu jako niewolnica — ciągnęła — byłeś jak ta pi-jawka, która przyssała się do mego serca i piła moją krew. Teraz to wstrętne stworzenie wreszcie odpadło i powróciło do twojego serca, na którym będzie Źerowało, dopóki cię do cna nie wyssie.

Rycerz rozkaszał się, ślina pociekła mu po brodzie. Kaszel nasilił

się, kiedy spróbował wyrwać rękę z jej uścisku, a blada twarz najpierw posiniała, a potem spurpurowiała. Na pociemniałych policzkach pojawi-

ła się szczecina białych włosów. Przypominały Amacie gwiazdy rozbłyskujące na ciemniejszym niebie. Wpatrywała się w nie jak zahipno-tyzowana, nie na tyle jednak, Œeby nie zdawać sobie sprawy, Œe Simone się dusi.

293

Trwając w tym przypominającym sen transie, trzymała go mocno za nadgarstek, dopóki ten nie zwiotczał. Wtedy połoŜyła mu rękę na piersi. Wyciągnęła mu spod pierzyny drugą ręką i połoŜyła na pierwszej.

— Suczy synu — syknęła, ocierając dłonią gorące łzy, które niespodziewanie napłynęły jej do oczu. — Ukradłeś nawet pierścień, który nonno Capitano dał mojemu ojcu. — Spróbowała Œciągnąć mu z palca pierścień z lazurytem, ale nie chciał zejść. — Ty tchórzliwe złodziejskie nasienie. — Sięgnęła po przypięty paskiem do nadgarstka nóŜ, Œeby obciąć mu palec wraz z pierścieniem, ale w tym momencie skrzypnęły drzwi. Czym prędzej nasunęła na głowę kaptur i uroczystym głosem powiedziała:

— Odszedł. Niech jego duszę spotka teraz nagroda, na jaką zasłuŜyła.

Zamachała nad trupem ręką, uwaŜając, Œeby przypadkowo nie po-błogosławić go znakiem krzyŜa, i podeszła do drzwi. Calisto pręŜył się na korytarzu w pozie przystojącej nowemu signore na Rocca Paída.

— Na odchodnym zajdź do kuchni, padre . — Skinął na słuŜkę i Amata ruszyła za nią.

Znała bardzo dobrze i drogę do kuchni, i kaŜdy korytarz w tym labiryncie. IleŜ to razy bawiła się tu ze swą panią w chowanego? JakŜe często uciekała nimi przed Simone i jego synami? W pewnej chwili, na przecięciu dwóch korytarzy, zatrzymała się. SłuŜąca szła dalej prosto, a ona, zzuwszy sandały, skręciła szybko w prawo. Musiała dotrzeć do następnego zakrętu, zanim kobieta zorientuje się, Œe nikt juŜ za nią nie podąŜa. W lewo, znowu w prawo, w dół po schodach i juŜ była przy drzwiach w północnej ścianie zamku. Zdjęła blokującą je sztabę i otworzyła.

Była bezpieczna, za murami zamku, za miastem! Trzymając się w bezpiecznej odległości od murów, okrąŜy teraz AsyŜ i pod osłoną ga-jów oliwnych pomaszeruje do San Damiano. Zwróci tam manuskrypty, a potem, jeśli szczęście nadal będzie jej dopisywało, odnajdzie Konrada.

294

Jeśli uszedł, będzie się kierował do swojej pustelni. Pójdzie tam za nim i wyłoŜy mu swój plan.

Niebo pojaśniało, było białe i czyste, jeśli nie liczyć jednej deszczowej chmury czarnej jak zwęglona szczapa, wiszącej dokładnie nad Roccą. I ta chmura na jej oczach zaczęła odpływać, z początku powoli, potem coraz szybciej na południe. Oto odchodzi jego mroczna nieroz-grzeszona dusza, unosząc ze sobą milion plugawych obrazów, którymi się karmiła, pomyślała Amata. Wyobraziła sobie Simone wijącego się w męczarniach w morzu ognia, wrzeszczącego z bólu,

poszturchiwanego rozgrzanymi do białości szpikulcami i widłami przez legiony demonów.

Dzięki ci, Panie, pomyślała, że pozwoliłeś mi odegrać rolę w skazaniu go na potępienie.

Pomściła częściowo śmierć rodziców. Pewnego dnia, w jakiś sposób, dokona zemsty na rodzinie Angela Bernardone, handlarza wełną, który wynajął Simone i jego bratnych synów.

XXVI

Pierwszy dzień Konrad przesiedział zamknięty w celi, czekając, co o jego losie zdecyduje Bonawentura. Dwaj zakonnicy przeszukali go, zabrali brewiarz i list od Leona, zabrali krzesiwo i nóż. Swoje notatki zostawił u donny Giacomy. List od mentora już od dawna znał na pamięć, co zaś do reszty rzeczy, to i tak zamierzał się ich pozbyć. Nie posiadał teraz zupełnie niczego, prócz odzienia, bo wymagała tego obyczajność. Zakonnicy zostawili mu oba habitury — ten stary, wytarty, w którym uparł się opuścić dom donny Giacomy, oraz nałożony na wierzch nowy, bez którego donna Giacomina nie chciała go wypuścić, twierdząc, że w stroju brata konwentualnego strażnik przy bramie

prędko go przepuści. Zakonnicy zabrali mu jednak wełnianą kapuzę i oderwali od obu habitów kaptury, żeby podkreślić jego hańbę.

W wilgotnej, podziemnej celi bez okien pachniało świeżo wzruszoną ziemią. Drugi habit okazał się teraz jak znalazł. Pozbawiony możliwości

ruchu, Konrad chyba by bez niego zamarł. Był przykuty łańcuchem do ściany za kostkę, szyję obejmowało mu przytwierdzone do ściany

skórzane chomąto, które unieruchamiało górną część ciała. Spędziwszy w tej ciemnicy kilka godzin, zatracił zupełnie poczucie czasu. Nie wiedział już, czy to noc, czy dzień, kiedy zakonnicy wrócili. Jeden uwolnił

mu kostkę, drugi wyprowadził z celi za łańcuch przymocowany do chomąta. Przypomniało mu się, jak w święto plonów widział niedźwiedzia, którego przyprowadzono na łańcuchu, przykuto do słupa i poszczuto sforą rozwścieczonych psów. Walczył dzielnie, ale w końcu, pokąsany, uległ, wykrwawiając się na śmierć. I chyba na to wspomnienie w Konradzie obudziło się przeczucie.

Zacisnął mocno powieki, porażony jasnością pomieszczenia, do któ-

rego go wepchnięto. Uchylając je powoli, ujrzał ogień płonący na palenisku w kącie i piętrzącą się obok przerażającą kolekcję szczypiec, szpikulców i dziwnego kształtu żelastwa. Nad ogniem pochylał się trzeci zakonnik. A więc przywieziono go do izby tortur!

Czyby Bonawentura, zanim go uwolni, chciał wypalić mu na czole piętno — ku przestrodze innym krnąbrnym mnichom? Kiedy za Konradem zatrzasnęły się drzwi, zakonnik oprawca wyciągnął z ognia szpikulce i podmuchał na jego rozjarzony czubek. Małeńkie iskierki oderwały się od żelaza i czubek zapulsował jaskrawo pomarańczowym kolorem. I oto wysuwa się szpon gryfa, pomyślał Konrad.

Dwaj zakonnicy podprowadzili go do ściany i przykuli do niej za kostki i nadgarstki. Krzyknął mimowolnie, kiedy jedna z oków, zatraskując się na nodze, przyszczypała mu skórę.

— „Gdacz sobie, gdacz, najgorsze jeszcze przed tobą”, powiedział

lis do kury, którą unosił z kurnika — odezwał się, nie odwracając, mę-

czyzna przy ogniu.

Konrad znał ten głos, ale kiedy ostatnio go słyszał, to jego właściciel cierpiał. MęŜczyzna odwrócił się powoli i w migotliwym blasku ognia zakonnik ujrzał tonsurę koloru słomy oraz straszną bliznę po oparzeniu, która pokrywała połowę twarzy. Zefferino wlepił weń ocalałe oko i wargi wykrzywił mu perwersyjny uśmieszek.

297

— Niezbyt przyjemny widok, co, bracie? Teraz rozumiesz, dlaczego poprosiłem, by uczyniono mnie dozorcą tych lochów. Tam, na gó-

rze, ta twarz budzi tylko obrzydzenie i ściąga na mnie kpiny. — Dał

mnichom znak, Őeby wyszli. — Uczę się dopiero zadawania tortur. Nie chcę, Őeby omdleli, jeśli coś spartaczę — wyjaśnił.

— Co chcesz zrobić?

Zefferino odwrócił się do niego plecami i powiedział do płomieni:

— Wygzekwować odwieczne prawo: oko za oko. — Obejrzał się i posłał Konradowi mściwe spojrzenie.

— Ale za co?

— Za wtykanie nosa w nie swoje sprawy. Myślałeś, Őe zlekcewaŐenie ostrzeŐenia generała ujdzie ci pŁazem? Quando si e in balio, bisogna bal are . Kiedy przychodzisz na tańce, mus tańczyć.

— Zefferino, na miŁość boską! — powiedział błagalnym głosem Konrad. — Wyspowiadałem cię i rozgrzeszyłem, kiedy myślałeś, Őe umierasz. Przysłałem po ciebie do kapliczki. — Mnich nie odpowiadał.

— Chrystus odrzucił to prawo Starego Testamentu. Zastąpił je nowym prawem miŁości i przebaczenia. Wybacz swemu nieprzyjacielowi siedemdziesiąt po siedem razy.

Zefferino wyprostował się i znowu dmuchnął na szpikulec.

— Jeśli oko cię uraŐa, wyŁup je . A twoje oko, twój wzrok uraŐają mnie aŐ nadto, bracie Konradzie. To za twoją sprawą jestem dzisiaj, jaki jestem, i tu, gdzie jestem.

Kiedy mnich ruszył w jego stronę, Konrad przypomniał sobie pewien epizod z Őycia Őwiętego Franciszka, kiedy medycy postanowili leczyć jego Őlepotę przyŐeganiem. Franciszek przeŐegnał rozŐarzony pŁet znakiem krzyŐa i zwrócił się do niego: „Bracie Ogniu, proszę cię, obejdz się ze mną łagodnie w tej godzinie. Nie przypalaj mnie bole-

śniej, niż mogę to znieść”. Konrad powtórzył w myślach tę prośbę, zwracając się do nieoświeconego szpikulca, który Zefferino przybliżył

do jego twarzy.

298

W nozdrza uderzył go swąd rozpalonego żelaza, zacisnął mocno powieki. Karmazynowy ból eksplodował mu w oczodole, kiedy ogniasty szpon przysmażył ciało. Wrzasnął, pomimo obrazu spokojnego świętego Franciszka, który miał przed oczyma duszy. Mdlejąc, usłyszał jeszcze krzyk Zefferina:

— Ciesz się, że straciłem tylko jedno oko, bracie!

Orfeo nie przypuszczał, że widok murów Asyżu przyniesie mu aż

taką ulgę. Ostatni tydzień podróży był istną drogą przez mękę. Pokrywa śniegu grubiała z dnia na dzień, a za kolumną ciągnęła wataha coraz bardziej rozzuchwalonych wilków. W ciągu jednej nocy rzymianie stracili dwa konie, które spłoszyły się, zerwały pęta, wybiegły z obozu i padły ofiarą wilczego stada. Przez następne dwa dni wilki się nie pokazywały.

Godziny spędzane w siodle dawały mu się we znaki. Z dwojga złego wolał już drewnianą ławkę galery, ta się przynajmniej nie kiwała. Starszy od niego papież cierpiał jeszcze bardziej, wytrząsany i rzucony na boki w powozie kolebiącym się i podskakującym na kamieniach, któ-

rymi wybrukowana była droga. Tebaldo nie krył zadowolenia, kiedy popas wypadał w większych wsiach i miasteczkach. Tam mógł wysiąść, rozprostować kości i po entuzjastycznym powitaniu przez mieszkańców przespać się w prawdziwym łóżku.

Papieski orszak zbliżył się do południowo-wschodniej bramy Asyżu.

Mieszczanie oblegający koronę muru od południowej strony wychylali się i machali zza blanek, setki wyległy na przedpole. Tak jak podczas wszystkich poprzednich postojów, tutaj też po górach niesło się echo okrzyków Viva Papa!

U stóp wzgórza, po lewej, Orfeo zobaczył klasztor, w którym mieszkały zakonnice wuja Franciszka. Ścieżką od San Damiano pięła się samotna kobieta w czarnej opończy do kolan, narzuconej na szary habit. Szła szybkim krokiem ku głównej drodze, spiesząc na widowisko.

299

Kiedy papieski powóz zatrzymał się przed bramą, Orfeo zeskoczył z konia. Tłum rozstał się, przepuszczając strojnie odzianego mężczyznę, któremu towarzyszył zakonnik. Papież ruszył im na spotkanie.

Orfeo nie znał tych ludzi, ale domyślał się, że to burmistrz miasta i brat Bonawentura, generał zakonu, którego Tebaldo tak wychwalał. W

komitecie powitalnym brakowało tylko biskupa Asyŝu.

ŝeglarz, prowadzając konia za uzdę, podszedł bliŝej. Burmistrz i zakonnik uklękli tymczasem przed papieŝem i ucałowali jego pierŝcień.

Kiedy podnieŝli się z klęczek, Tebaldo zagaŝł rozmowę. Zwracał się głównie do Bonawentury i mówił o reformie Koŝcioła i soborze powszechnym, który zamierza zwołać, kiedy tylko oswoi się z nową rolą.

Generał z kolei powiedział, ŝe dla Tebalda przygotowany został pusty pałac biskupi i ŝe chciałby omówić z papieŝem kwestię wakującego biskupstwa. Ma na to miejsce idealnego kandydata, jednego ze swych zakonników. Burmistrz i zakonnik wycofali się, a Tebaldo skinął na Orfeę.

— Pozwól, ŝe cię pobłogosławię, synu, zanim pójdiesz swoją drogą. Wiedz, ŝe jesteŝmy ci dozgonnie wdzięczni za fatygę, i gdybyŝ kiedykolwiek potrzebował papieskiego wstawiennictwa, wystarczy, ŝe poprosisz.

Orfeę uklęknął w błocie przed papieŝem. Tebaldo połoŝył mu na głowie obie dłonie i modlił się cicho przez chwilę. Potem ujął Orfeę pod ramię i pomógł mu wstać.

— Zapamiętaj, co powiedziałem. Wrogość między ojcem i synem zakłóca naturalny porządek. Idź teraz i ustanów pokój w swoim domu.

Niech twoich dni będzie wiele, niech będą wypełnione dostatkiem i radosne i niech Nasz Pan przyjmie cię na swoje łono, kiedy wybiję twoja godzina. Zachowamy cię na zawsze w naszej pamięci.

Na czas papieskiego błogosławieństwa tłum się uciszył. Orfeę spojrzął dokoła i w oczach zgromadzonych zobaczył szacunek bliski czci.

Wątpił, ŝeby go poznali, widzieli w nim jedynie faworyta Ojca ŝwiętego.

300

Na przodzie stała kobieta w czarnej pelerynie. Była młoda, ładna i wydała mu się znajoma, ale przecieŝ większość kobiet z tych stron mia-

ła takie czarne oczy w kształcie migdałów. Ona teŝ przyglądała mu się ciekawie. Spróbował sobie wyobrazić, jak teŝ mogła wyglądać przed szeŝcioma laty, ale szybko dał sobie z tym spokój. Wtedy była jeszcze dzieckiem — tak samo jak on.

Po błogosławieństwo papieŝa podchodzili inni znaczni mieszczanie.

Orfeę, ciągnąc konia za uzdę, ruszył przez tłum ku bramie. Zauwaŝył, ŝe kobieta idzie kilka kroków za nim. Moŝe chce usłyszeć, co powie straŝnikowi? Widać wzbudził jej zainteresowanie. Cóż, wykorzysta okazję, by się jej przedstawić.

Strašnik zasalutował.

— Zamierzacie zabawić u nas przez jakiś czas, signore ? —

zapytał.

— Wróciłem do domu. Na jak długo, jeszcze nie wiem. — Roze-

śmiał się, widząc konsternację w oczach strašnika. — Nie poznajesz mnie, Adamo? To ja, Orfeo di Angelo Bernardone.

— Boše, aleš ty wyrósł — zdumiał się strašnik. — Opuszczałeš miasto wyrostkiem. A teraz? Chłop jak dąb.

Orfeo ušmiechnął się i zerknął niby to od niechcienia na kobietę.

Nienawiść w spojrzeniu, jakim go obrzuciła, wbiegając do miasta, zupełnie zbiła go z tropu.

Amata pięła się uliczką prowadzącą do górnego miasta, wciąż mając przed oczami tego męšczyznę, który wydał jej się dziwnie znajomy i przedstawił się strašnikowi u bramy jako Orfeo, syn Bernardone. Puści-

ła wodze wyobraźni. Stary Angelo, gdyby skrzywdziła jego dziecko, odczułby to prawdopodobnie bolešniej niš atak na własną osobę. Dowie się od maestro Roberta, gdzie mieszka ta rodzina. Wynajdzie jakiś pretekst, šeby tam pójšć, moše w jakiś dzień targowy, kiedy cała rodzina Bernardone wylęga na targowisko, by zachwalać swój towar. Dla własnego bezpieczeństwa powinna zniszczyć całą tę rodzinę, gałęzie, pień 301

i korzenie, ale zginie usatysfakcjonowana, jeśli, zanim zdąšą jej wyrwać nóš, dokona zemsty tylko na tym męšczyźnie.

Euforia, która nie opuszczała Amaty od dwóch dni, od kiedy wysłała do piekła Simone delia Roccę, wyparowała parę chwil po przekroczeniu progu domu donny Giacomy.

— Wpadł w ręce Bonawentury — powiedziała staruszka, przywi-tawszy się z Amatą. W jej zielonych oczach malował się ból. Amata nie widziała jej jeszcze tak zrezygnowanej i przybitej.

— Wczoraj wieczorem był tu ten młody Ubertino. Powiedział, še zakonnicy pojмали Konrada w bazylice i wtręcili do lochu.

Amata nie od razu ušwiadomiła sobie sens słów donny Giacomy.

Myśli miała wciąż zajęte planowaniem zemsty na Angelu Bernardone i jego synu. Kiedy się w końcu odezwała, w jej głosie pobrzmiwała ta sama rezygnacja, która wycierała z oczu szlachcianki.

— Wróciłam, šeby ci powiedzieć, pani, še idę z nim.

Donna Giacomina przekrzywiła głowę.

— Amor regge senza legge — westchnęła. — Miłość nie zna reguł.

— Wzięła Amatę pod rękę. — Nic by z tego nie wyszło, dziecko.

Gdziekolwiek jest, na wolności czy w niewoli, Konrad naleŜy tylko do Boga. Ale zostań u nas i uzbrój się w cierpliwość. MoŜe go wypuszczą.

Amata kiwnęła głową, chociaŜ niewiele z tego do niej dotarło. Odwróciła się i, ogłuszona, oddaliła do swojej izby. PołoŜyła się na łożku i zasłoniła ramieniem oczy. Walcząc z przygnębieniem i napływającymi do oczu łzami, dotknęła ukrytego w rękawie noŜa. Teraz nie pozostało mi naprawdę nic prócz vendetty, pomyślała.

Powróciła myślami do Coldimezzo i z parapetu swojej wieŜy znowu usłyszała kłótnię między ojcem a handlarzem wełny. Pamiętała, jak synowie Angela Bernardone wspierali wrzeszczącego i odgraŜającego się ojca. Wszyscy, prócz jednego, tego ładnego chłopca, od ujrzenia którego 302

zaczęła marzyć o dzieciach. On nie zwracał na to całe zamieszanie uwagi. Uformował z Őóltej szarfy laleczkę, odwrócił się w siodle, zadarł głowę i uśmiechnął się do niej. Z tym samym ujmującym uśmiechem spojrzał na nią dzisiaj przy bramie.

Nie miała juŜ siły powstrzymywać łez. Potoczyły się po policzkach i zaczęły skapywać na poduszkę.

— Tylko nie on! — jęczała. — Och, tato, mamó, Fabianie... czy on ma być tym, który zapłaci? — Płakała, aŜ z jej serca wysączył się cały smutek. Wtedy usiadła na brzegu łożka, otarła twarz rękawem i ze skamieniałym sercem wyszeptała:

— Niech tak będzie. Choćby i on.

Konrad starał się cierpieć w milczeniu. Potrafię wytrzymać ten ból długo, jeśli nie dłuŜej, powtarzał w duchu. Długo, jeśli nie dłuŜej. Dłu-go...

Wlókł się za blaskiem niesionej przez Zefferina pochodni, osłaniając dłonią wypalone oko. Zazgrzytał przekręcany w kłódce klucz i dozorca uniósł kratę zagrządzającą wejście do celi. Konrad, wciąż dygocząc z doznanego szoku, zszedł za nim po zimnych stopniach. W izbie tortur Zefferino załoŜył mu na kostki pierścienie podobne do tych, którymi sokolnicy pętają sokoły do polowania, i teraz przewlókł przez ich ucha łańcuch. Zgrzytnęła opuszczana krata, blask pochodni oddalającej się prowadzącym do tego piekła korytarzem bladł, aŜ zgasł zupełnie, i Konrada spowił mrok czarny jak grzech śmiertelny. Walczył o zachowanie przytomności, w końcu jednak poddał się i znowu zapadł w otchłań.

Po jakimś czasie — nie wiedział, ile go upłynęło, mogły to być mi-nuty, a mogły teŜ godziny albo i dni — podźwignął się na nogi. Dreszcze ustały, ale pieczenie w oku było nie do zniesienia.

Nie była to ta sama cela, w której trzymano go wcześniej. Podłoga opadała od schodków w mrok, a i cisza nie panowała tu idealna.

Z prawej po ścianie ściekała woda. Macając dłonią kamienie, natrafił na wilgotne miejsce i z ulgą przyłożył wypalony oczodół do zimnego strumyczka. Stojąc tak, uświadomił sobie nagle ironię sytuacji. W myśl zawilego planu, który snuje boski umysł, obaj z Zefferinem stracili oko i Saden z nich nie stał się przez to mądrzejszy. Obydwu przeszkodzono w wypełnieniu misji. On stał się więźniem w dosłownym tego słowa znaczeniu, Zefferino też na dobrą sprawę został uwięziony. A mimo to, mimo tych wszystkich podobieństw, Zefferino nadal upiera się, że są wrogami.

Z głębi celi zalatywało smrodem. Pewnie zbiera się tam woda i wypływając przez otwór w ścianie, tworzy coś w rodzaju latryny, pomy-

ślał. Ale skoro latryna cuchnie, to musi być używana. Odwrócił się i wpatrzył zdrowym okiem w gęsty mrok.

— Jest tu jeszcze jakiś więzień! — krzyknął.

Z ciemności doleciał metaliczny szczęk.

— Dlaczego tu siedzimy, mamó? — zaskrzeczał sucho starczy głos.

— Dlaczego nie możemy wyjść?

— Jak ci na imię, bracie? — spytał Konrad.

Odpowiedzią był monotony śpiew:

W zielonym gaaaju ptaszęki śpiewaaają...

Konrad znowu przyłożył twarz do mokrej ściany. Woda ściekała mu po policzku i przodzie habitu na podobieństwo łez rozpaczy. Wiedział, że przez lata, pod zarzutem nawoływania do schizmy i szerzenia here-zji, aresztowano wielu zakonników. Skazywano ich na dożywotnie wię-

zienie, odbierano księgi i sakramenty. Ministrowie tak bardzo bali się głoszonych przez nich poglądów, że zakonnikom, którzy przynosili więźniom jedzenie, zakazywali rozmów z nieszczęśnikami. Co tydzień odczytywano wydane na nich wyroki na zebraniach kapituły rozmaitych klasztorów, dając wyraźnie do zrozumienia, że każdy brat, który ośmielił się zakwestionować głośno słuszność tych wyroków, podzieli ich los.

Konrad wiedział, że nie jest heretykiem, ale Bonawentura mógł widzieć w nim schizmatyka i pod tym pretekstem zatrzymać w lochu do końca życia. Po ilu miesiącach czy latach przeistoczy się w takiego śałosnego głupca, jak tamten w głębi celi?

Męczyzna znowu zaśpiewał. Konrad pamiętał tę piosenkę z dzieciństwa:

Statek wypływa dzisiaj

W blasku jasnego księżyca,

Na masecie Sagiel zwisa.

Statek wypływa dzisiaj...

I nagle wewnętrzny głos podszepnął Konradowi, kim może być jego towarzysz niedoli.

— Jasiu! — zawołał, naśladowując kobiecy głos. — Jasiu. Wracaj już do środka.

— Vengo, mamma — odpowiedział mężczyzna głosem dziecka.

— Już idę.

Szuranie i pobrzękiwanie zaczęło się przybliżać. Mężczyzna podchodził powoli. Kiedy zatrzymał się o krok przed Konradem, ten zobaczył wreszcie bielejącą w mroku, falującą jak widmo, prawie nagą ko-

ściotrupią postać. Więzień miał siwe włosy do ramion i zmierzwioną brodę sięgającą niemal pasa. Konrad wyciągnął rękę i dotknął jego sterczących włosów.

— Biedny chłopiec — powiedział. — Zgubił swoją opończę.

Słone łzy zapiekły go w wypalony oczodół. Ściągnął z siebie wierzchni habit i pomógł mężczyźnie naciągnąć go przez ramiona i głowę. Potem objął dygoczącego, zdziecinniałego mężczyznę, przytulił i przy brzęku kajdan zaczął się z nim kołysać, jak kiedyś z Amatą na górskiej półce.

— Mettisi U cuore in pace, Jasiu. Teraz wszystko będzie dobrze.

Mama jest już przy tobie.

— Kiedy pójdziemy do domu, mamusiu? — spytał znowu starzec.

— Nie podoba mi się tutaj.

305

— Niedługo — wymruczał Konrad. — Niedługo.

Zwykł dopatrywać się we wszystkim ręki Boga, ale teraz ten strzęp człowieka, z którym przyszło mu dzielić celę, wstrząsnął nim do głębi.

Oto spotkał się ponownie ze swoim bohaterem, którego podziwiał tak samo, jak brata Leona — z

czczonym powszechnie, usuniętym ze stanowiska generałem zakonu, Janem z Parmy.

Bogactwo znajomych widoków roztoczyło się przed wjeżdżającym na mercato Orfeem: oto dawna rzymska świątynia Minerwy, teraz Chiesa di San Niccolo, wznoszący się naprzeciwko jego rodzinnego domu.

Kopyta konia zadudniły niespodziewanie na cegle, którą pod jego nieobecność wybrukowano plac targowy i pod którą zniknął do połowy pierwszy stopień schodów prowadzących do świątyni. Na lewo od koś-

cioła, na targowisku stał kram jego rodziny. Ich dom i miejsce pracy usytuowane były w idealnym miejscu, w samym sercu miasta. Za ledwie kilka kroków dzieliło targowisko od magazynu, gdzie wyrobnicy ojca przetwarzali owcze runo sprowadzane z całej Umbrii.

Orfeo okrążył kościół i zatrzymał konia przed kamienicą, w której spędził pierwszych piętnaście lat życia. Było tu dziwnie cicho. Najprawdopodobniej większość domowników i wyrobników poszła z ca-

łym miastem pogapić się na papieża.

Wjechał na podwórzec, uwiązał konia i wziął głęboki oddech. Nawet jego pukanie rozeszło się niesamowitym echem po pustej ulicy.

307

Drzwi otworzył nieznanemu mu sługa — wysoki barczysty mężczyzna, który musiał się schylić, by wyjrzeć z domu na świat. Wyglądał bardziej na żołnierza niż sługę. Potwierdził, że braci Orfea nie ma w domu.

— Zaczekam do ich powrotu — powiedział Orfeo. — Jestem najmłodszym synem sior Angela.

Przez twarz sługi przesunął się cień podejrzliwości.

— Myślałem, że znam wszystkich synów signora. Jeśli chcecie widzieć się z ojcem, to jest w kantorze. Zaprowadzę.

— Nie trzeba. Znam drogę. — Jakie to podobne do ojca, że zamiast wykorzystać niepowtarzalną okazję zobaczenia na własne oczy papieża, woli liczyć pieniądze. Ale nawet dobrze się składa, ma sposobność porozmawiania z nim w cztery oczy, zanim wrócą bracia. To będzie trudna rozmowa.

— Tak czy owak zaprowadzę — burknął stanowczo mężczyzna.

Skrzyżował ręce na piersi i nie usuwał się z drogi.

Orfeo wzruszył ramionami.

— Twoja wola. Chciałem ci tylko oszczędzić fatygi. — Uśmiechnął

się, ale oblicze męŜczyzny pozostało niewzruszone. Wpuścił go bez słowa i ruszyli przez dom do znajdującego się na tyłach kantoru. Serce Orfeusza zabiło Œywiej, kiedy słuŒa otworzył przed nim drzwi. Otarł spocone dłonie o tunikę.

Ojciec siedział przy oknie, plecami do drzwi, nad rozłożonymi na stole pergaminami. Pochłonięty pracą, nawet się nie obejrzał.

Angelo Bernardone był kiedyś tak samo dobrze zbudowany i krępy jak teraz jego najmłodszy syn, lecz lata siedzącej pracy zrobiły swoje i na starość stał się człowiekiem otyłym. Na każdym tłustym palcu pulchnej dłoni trzymającej gęsie pióro skrzył się klejnot mający zapewne uśmierzać ból w stawach. Na rękawie nosił czarną przepaskę.

— PapieŜ u bram, a ty nad księgami, tato? — Orfeusz miał nadzieję, Œe serdeczność w jego głosie zabrzmiała naturalnie.

— Diabli nadali ten podwójny system księgowania wymyślony przez florentczyków — wywarczał ojciec, nie odrywając się od pracy.

308

Nagle znieruchomiał, a potem wyprostował się i obrócił jak fryga na stołku. — A ty coś za jeden?

— AŜ tak się zmieniłem? To ja, Orfeusz. — Znowu przywołał na usta uśmiech, chociaŜ ubodły go słowa ojca. Wyczuwał juŜ, Œe z jego próby pojednania nic nie wyjdzie.

— Nie znam nikogo o tym imieniu. Opuść mój dom.

SłuŒa sięgnął do miecza, ale Orfeusz powstrzymał go uniesieniem dłoni.

— Mnie teŜ nie jest łatwo, ojcze. Przybyłem z nowym papieŜem z Akki i przychodzę tu, bo on osobiście kazał mi się z tobą pojechać.

Obwisły podbródek Angela Bernardone poróŜował jak skóra szo-rowanego wieprza.

— Sam papieŜ, powiadasz? I to ma mnie skłonić do przebaczenia niewdzięcznemu dziecku, które odwróciło się plecami do własnego ojca i braci? ZwaŜ, Œe wychowywałem się pod jednym dachem z pomył-

cem, którego cały AsyŜ okrzyknął drugim Chrystusem. Siłą rzeczy święci ludzie nie robią na mnie takiego wraŜenia jak na tobie. Nie. Oto, co ci odpowiem, Orfeusz, kiedyś Bernardone, i dobrze nastaw ucha. Ty juŜ dla mnie nie istniejesz. Nie ma cię. Jeśli się oŜenisz, będę uwaŜał

twoją Œonę za wdowę, a dzieci za sieroty. Twój udział w schedzie rozdzielię między twych braci. Przepędzam cię na cztery wiatry. Powierzam zwierzętom lasu, ptakom nieba i rybom morza. — Odwrócił się i znowu pochylił nad księgami. — Rzekłem. Teraz zejdź mi z oczu.

Orfeo dosyć już usłyszał i zniósł.

— Nie boisz się piekła, stary morderco? Najpierw z Simone delia Roccą wycięliście w pień tamtych ludzi z Coldimezzo, a teraz oświadczasz, że twój syn dla ciebie nie żyje? Nawet ojciec marnotrawnego zarządził tłustą owcę, a nie syna.

Ojciec zastygł, pobladł.

— Nie wszyscy oni zginęli. Simone oszczędził dziewczynkę. — Jego głos na chwilę złagodniał.

— żyje jeszcze?

309

— Nie wiem. Poradziłbym ci, żebyś spytał o to Simone, bo wziął ją sobie na niewolnicę, ale przedwczoraj mu się zmarło. — Pokazał palcem czarną przepaskę na ramieniu.

— Aha. To dlatego taki nieswój. Zaciągnęły na duszy stare grzechy.

— Rzeczywiście, spod spasionej cielesnej powłoki ojca emanowało przygnębienie. Trzymająca gęsie pióro dłoń wyraźnie drżała. W Orfeo obudziła się nadzieja, że może przynajmniej strach przed bosym osą-

dem skłoni go do wyciągnięcia ręki na zgodę.

Ojciec znowu się odezwał, tym samym stłumionym głosem:

— Słyszałeś, czego ci życzę. — Wielka głowa opadła mu na pierś, potem uniosła się znowu, jakby stary coś sobie przypomniął. Spojrzał

na Orfea spod ciężkich powiek. — Zamierzałem zostawić ci jedną pa-miątkę. Dam ci ją teraz, bo tuszę, że więcej nie zobaczę twojej zdradzieckiej gęby po tej stronie Hadesu.

Angelo ściągnął jeden z pierścieni i rzucił go synowi. Pierścień potoczył się ze stukotem po podłodze kantoru.

— Daj mu go, a potem wyprowadź — mruknął stary Bernardone, zwracając się do sługi.

Ten podniósł pierścień z podłogi i wręczył go Orfeowi. Orfeo obró-

cił w palcach złote kółko i z zaciekawieniem przeciągnął kciukiem po niebieskim kamieniu. Wsunął pierścień na palec, skłonił się lekko plecami do ojca i bez słowa wyszedł za sługą z kantoru.

Prowadził konia przez mercato i kręcąc głową, wpatrywał się w cegły, którymi wybrukowano targowisko. Jakśesż wypaczył się ten dzień po błogosławieństwie Tebalda. Najpierw ta kobieta przy bramie, teraz ojciec, który bez skrępowania wygnał go z domu. Dopiero teraz odczuł w pełni skutki decyzji, którą podjął przed sześciu laty w młodzieńczej zapalczywości. Odcinając się wtedy od

rodziny i zatraskując za sobą drzwi, nie pomyślał, że ojciec przekręci klucz w zamku.

Jedyną dobrą wiadomością, jaką usłyszał od chwili odłączenia się od papieskiego orszaku, było to, że dziewczynka z Coldimezzo prawdopodobnie 310

przeszła. Jeśli nowy signore na zamku Rocca nadal ją tam przetrzymuje, to może choć częściowo zmaże winę ojca, wykupując nieszczęsną z niewoli.

Skrzywił się ironicznie na tę myśl. Pieniądzy miał ledwie na utrzymanie się przez dwie niedziele, nie wspominając o okupie. W jego szklarskim worku były same ubrania, a srebra w sakiewce co kot napłakał. Jeśli nie znajdzie szybko jakiejś pracy, przyjdzie mu chodzić po prośbie, jak ci mnisi z zakonów żebraczych.

Ludzie wracali już do miasta. Widać Tebaldo udał się do pałacu biskupiego. Orfeo śmiał teraz, że nie został przy papieżu. Nie musiałby się martwić o wikt i w końcu dotarłby z orszakiem do jakiegoś portowego miasta. A gdyby tak wrócić do Tebalda i eskortujących go rycerzy? Zaprzyjaźnił się z kilkoma, miałby w nich oparcie, kiedy dotrą do Rzymu.

Pierwszy zobaczył go Piccardo, brat najbliższy mu wiekiem. Orfeja ujęło, że tak od razu go rozpoznał, i krzyknąwszy z drugiej strony mercato, podbiegł do niego. Reszta rodziny nawet nie przyspieszyła kroku.

Patrząc na nich, Orfeo dochodził do wniosku, że przez tych sześć lat niewiele się zmieniło: nad młodszymi braćmi nadal dominował Dante.

— Witaj, Orfeo — burknął najstarszy brat, kiedy się zrównali, i kiwnął od niechcenia głową. Nawet nie próbował kryć niechęci. —

Adamo mówił nam, żeś wchodził dzisiaj przez jego bramę. Nie bierz sobie do serca dziecinnej reakcji Piccarda i nie oczekuj, że cię z radości wyściskamy.

— Rozmawiałem już z ojcem, Dante — powiedział Orfeo. —

Wiem, że myślisz to samo co on. Zawsze tak było. — Spojrzał bratu prosto w oczy. To, co zamierzał teraz powiedzieć, nie chciało mu przejść przez gardło, w końcu jednak się przemógł. — Miałem nadzieję, że pożyczysz mi pieniądze na powrót do Wenecji — wydusił. — Albo chociaż da pracę w warsztacie, żeby mógł sobie odłożyć na drogę.

— Jeśli szukasz pracy, to nie u nas. — Dante skłonił się sztywno i ruszył dalej, a reszta domowników za nim. Został tylko Piccardo, nie-zdecydowany, z kim mu bardziej po drodze.

311

Orfeo pokazał bratu rozcapierzone palce.

— Tato mi to dał. Szkoda, że kamień porysowany. Może jakiś bogaty padrone coś mi za niego da. Tak, Piccardo, dlatego, który w środku biesiady wychodzi na stronę, zostają same kości.

Brat pokręcił powoli głową. Patrzył brązowymi oczyma za Dantem, dopóki jego korpulentna postać nie zniknęła za węglem kościoła.

— Coś się stało? — spytał Orfeo.

— Nie noś tego pierścienia — powiedział Piccardo. — Bo zginiesz.

— Z czyjej ręki?

— Nie wiem. On ma swoją historię. Mogą go nosić tylko członkowie stowarzyszenia, do którego naleśy tato. Tyle słyshałem. Oni przysięgli, Őe jeśli zobaczą ten pierścień u kogoś spoza ich kręgu, ubiją takiego na miejscu. Ale nie wiem, co to za jedni.

Orfeo zachichotał rozbawiony powaśnym tonem Piccarda.

— Coś takiego! — Uśmiecnał się cynicznie. — A to mnie staru-szek obdarował, he? Ciekawym, czy go jeszcze czymś nie zatrul.

— Nie dworuj sobie, Orfeo. To powaśna sprawa.

Orfeo wrzucił pierścień do sakiewki.

— Dzięki, braciszku, za ostrześenie. Teraz nikt go juś u mnie nie zobaczy. Zresztą i tak spadał mi z palca. — Dosiadł konia i zacisnął

szczęki. — Zobaczymy się jeszcze kiedyś na mercato, jeśli wcześniej nie zemrę z głodu.

Piccardo chwycił konia za uzdę. Nie spieszno mu było rozstawać się z bratem.

— Handlarz tkaninami, Domenico, wybiera się do Flandrii po towar i szuka kogoś, kto by poprowadził wyprawę. Ty lubisz podróśować i odróśniasz stal damasceńską od brokatu.

— Domenico, ten stary rywal taty? To by mi odpowiadało. — Orfeo schylił się i poklepał brata po ramieniu. — Bez obawy, Piccardo.

Nie zabawię tu długo, wiem, jakie to ambarasujące dla was i naszego ojca.

312

— Wyciągnął rękę. — Niech Bóg obdarzy cię pokojem, jak mawiał wuj Franciszek.

Piccardo puścił uzdę i uścisnął przedramię brata.

— I ciebie, Orfeo. Mówię szczerze.

Po kilku tygodniach świat tam na górze zblakł, jakby wessany przez przeszłość, w najodleglejsze

uroczysko pamięci Konrada. Przez pierwsze dni, niczym konającego, któremu przed oczyma przesuwa się całe Śycie, zalewały go wspomnienia o Leonie, Giacominie i Amacie.

Uśmiechał się ze smutkiem, kiedy na myśl przychodziły mu imiona tych dwóch ostatnich. Tam, na powierzchni, odnosił się do nich z takim dystansem; teraz wydawały mu się bliższe niż kiedykolwiek. I codziennie powtarzał sobie treść listu Leona, Œeby nie zapomnieć, chociaŒ świadomość jego wagi zaczynała mu umykać.

Najczęściej myślał o Rosannie. Roje chłopięcych wspomnień kłębiły mu się w głowie, ale szybko zauwaŒył, Œe nie bardzo wie, które z nich są rzeczywiste, a które podsuwa mu wyobraźnia. Zastanawiał się, czy ona w ogóle wie, Œe został uwięziony, Œe w końcu na dobre ich rozdzielono. Donna Giacomina nie wiedziała o istnieniu Rosanny, a Amata nie miała jak się z nią skontaktować, nawet jeśli udało jej się wydostać z AsyŒu. Dla Rosanny będzie to wyglądało tak, jakby zniknął z powierzchni ziemi.

Dni liczył według posiłków. Były to chyba resztki z obiadu zakonników i zakładał, Œe dozorca znosi je do ciemnicy popołudniami, po nonie. Dzienna porcja dla dwóch więźniów składała się z dziesięciu kromek chleba, cebuli, dwóch miseczek wodnistej zupy, w której pły- wało czasami jakieś warzywo, oraz z jabłka i garści oliwek dla kaŒde-go. Konrad odkładał cebulę i część chleba na później, chowając je do koszyczka zawieszzonego na ścianie, poza zasięgiem szczurów, które wpływały do celi przez latrynę. Potem siorbali z Janem zupę. Jabłko, ledwie je nadgryzłszy, oddawał Konrad towarzyszowi niedoli. Chudł

313

coraz bardziej, ale miał nadzieję, Œe dzięki temu Jan przybierze nieco na wadze.

Pewnego popołudnia, niedługo po uwięzieniu, w miseczkach pływały dwa kawałki wieprzowiny.

— Skąd ta hojność?! — zawołał Konrad przez kratę.

Nie spodziewał się usłyszeć odpowiedzi. Dozorca nigdy się nie odzywał. Ale tego dnia Zefferino, zanim oddalił się, by nakarmić innych więźniów, mruknął: Buon Natale .

BoŒe Narodzenie? JuŒ? Konrad starał się liczyć dni spędzone w celi, ale stracił rachubę. Zakonnicy z Greccio są teraz pewnie w swej jaskini i klęczą przed szopką. Wyobraził sobie ludzi z tej małej wioski, pną-

cych się pod górę ze świecami, Œeby zobaczyć osiołka, wołu i Œywe bambino leŒące na słomie. KaŒdy z zakonników i wieśniaków, idąc za przykładem mędrców ze Wschodu, składa jakiś drobny podarek, by pokazać małemu Chrystusowi, jak jest Mu oddany.

Konrad westchnął z Œalem. Tego roku nie miał Œadnego podarunku.

Spojrzał na Jana zwiniętego w ciemny kłębek na zimnym klepisku.

Przypomniały mu się słowa Chrystusa: Byłem głodny, a ty Mnie nakarmiłeś. Miał podarunek. Wyłowił z zupy kawałek mięsa i wrzucił go do miski towarzysza.

— Buon Natale, Janie — powiedział, stawiając przed nim miskę. Od tego dnia, dla zaznaczenia upływu dni, zaczął wydłubywać dziurki w ścianie.

Każdego poranka, a rozpoznawał je po rozlegających się nad głową krokach Zefferina, Konrad recytował na głos tyle z nabożeństwa, ile sobie przypominał. Po jakimś czasie Jan, kiedy te teksty dotarły do dawno nieużywanych zakamarków jego pamięci, zaczął powtarzać za Konradem fragmenty psalmów i modlitw. Konrad nabrał otuchy. Po każdym posiłku mówił:

— Teraz musimy zapłacić naszemu Boskiemu OberŹyście jedyną monetą, jaką mamy.

I odmawiali pięć razy Pater Noster albo dziesięć Ave Maria, albo Gloria Patris, albo inne znane modlitwy, które Konrad, był tego pewny, 314

musiały zachować się gdzieś w głowie byłego ministra generalnego.

Czasami, Źeby się rozgrzać, po posiłku i odmówieniu modlitwy dziękczynnej ruszali w tany. Dreptali jak okulawione konie, podzwaniając łańcuchami, a Konrad śpiewał. Celowo unikał dziecięcych piosenek z rodzaju tych, które nucił na początku Jan. Śpiewał popularne łacińskie przyśpiewki zapamiętane z uniwersyteckich czasów albo co Źywsze hymny z liturgii. Miał nadzieję, Źe tym sposobem, krok po kroku, wyprowadzi Jana z pułapki zdziecinnienia. MoŹe z boŹą pomocą starcowi wróci z czasem jeśli nie pełnia, to przynajmniej taka część władz umysłowych, przy której wspomnienia znowu zaczną się liczyć.

Jakieś dwa tygodnie po świętach BoŹego Narodzenia Zefferino odezwał się znowu. Nie było to nic takiego, ale wystarczyło, Źeby wprawić Konrada w zdumienie i podnieść go na duchu. Tańczyli z Janem, śpiewając Kantyczka dla brata Słońce, i w pewnej chwili usłyszał, Źe na górze do ich duetu dołącza cichy trzeci głos. Kiedy kantyczka się skoń-

czyła, Zefferino odszedł znad ich celi. Konrad wzruszył ramionami i spojrzał na Jana, ten zaś uśmiechnął się szelmowsko, zakrył usta czubkami palców i przewrócił oczami. Minister generalny nie pytał juŹ, kiedy stąd wyjdą.

Oko juŹ tak Konrowi nie dokuczało, zdarzało się jednak, Źe się rozpałało i zaczynało pulsować bólem. Ale nic nie wskazywało na to, Źeby wdało się zakaŹenie, i za to dziękował w modlitwach. W noc, kiedy ból powracał, wił się na ziemi. Jeśli spał, śniły mu się wtedy peł-

ne potworów koszmary o torturach, ogniach piekielnych i ryczących sztormach.

Jednej takiej nocy, pod koniec stycznia, plusk wody przepływającej przez latrynę zagrzmiął mu w uszach ogłuszającym szumem potężnego wodospadu. Tam, na górze, musiał padać deszcz albo śnieg topniał, a moŹe jego skołatane zmysły w zawieszeniu między jawą a snem wyolbrzymiały ten odgłos. Loch zdawał się kołysać i śniło mu się, Źe czepia się masztu statku, którym miotają fale wielkie jak

krzyczała. Wokół statku krążyły już lewiatany i inne morskie stwory, spoglądając pośladliwie na zdjętych trwogą, skazanych na zagładę ludzi.

Nagle zbiły się w kupę i runęły na Konrada gromadą oślizłych widm o płonących ślepiach i zębiastych, ociekających pianą paszczekach. Powaliły go na pokład i obsiadły, kęsając kostki nóg i twarz. Próbował się od nich opędzać, ale to nie był już on, tylko jego ojciec, który utonął.

Poderwał się z barłogu i krzyknął przerasóny. Dwa szczury czmychnęły do latryny.

Jan, też wystraszony, jął cicho pochlipywać.

— Nic mi nie jest — wykrztusił Konrad, kiedy jego serce się uspokoiło i zaczerpnął tchu. — Diabły dały mi się dzisiaj we znaki, ale już

odeszły. Śpij, malutki.

W dobre dni, kiedy oko tak nie bolało, ziąb nie był tak dojmujący, a Jan spał, Konrad oddawał się kontemplacji. Głód, pragnienie rozwiązania zagadki Leona i miotające nim emocje ustępowały wtedy, i zatapiał

się w modlitwie jeszcze głębiej niż kiedyś, w swojej pustelni. Tutaj nie rozpraszał go Saden odgłos, Saden widok, ciemności wewnętrzne i ze-wewnętrzne zdawały się ze sobą mieszać, a jego ciało stawało się cieniutką przeponą falującą między nimi z każdym wdechem i wydechem. Czasami, kiedy na dłuższej wstrzymywał oddech, ustawało nawet to ledwie wyczuwalne falowanie.

Pierwszego dnia lutego Kościół celebrował rytuał oczyszczenia matki Jezusa. Poddawane mu były wszystkie sydówki, które wydały na świat dziecko. Konrad medytował o starym Symeonie, przez lata czekającym pod synagogą na przybycie Mesjasza. Wziąwszy na chwile ma-

łego Chrystusa na ręce, Symeon pochwalił Boga i powiedział: Teraz, o Władco, pozwól odejść słudze Twemu w pokoju, bo moje oczy ujrzały Twoje zbawienie. *

Jaką słodycz musiał poczuć ów starożytny prorok. Poruszony tą wizją, Konrad zaczął modlić się śarliwie do Dziewicy, prosząc, by i dla niego

* Łukasz 2,29—30.

wyprosiła u Syna taką łaskę, żeby i on mógł doświadczyć, choć przez mgnienie oka, tego samego uniesienia, które dane było przeżyć Symeonowi, tulącemu do piersi nowo narodzonego Mesjasza.

Kiedy się tak modlił, ciemności zaczęła rozpraszać stopniowo błękitna światłość. Rozpływała się po lochu coraz intensywniejsza, aż w końcu zabłysła jaśniej od słońca. Znow znalazł się chyba na swojej górze, bo ujrzał wokół siebie brzozowy lasek rozbrzmiewający ptasim śpiewem. Przez ten

lasek nadchodziła bosonoga wieśniaczka z niemowlęciem na ręku. Stawiając ostroŜnie kroki, podeszła do Konrada i bez słowa podała mu niemowlę. Ramiona mu drŜały, kiedy je od niej brał, ale uspokoił go kojący uśmiech kobiety. Przytulił do piersi owinięte w pieluszki dzieciątko i delikatnie, jak najdelikatniej, dotknął ustami jego policzka. Przepełniła go ekstaza, w której dusza zdawała się rozpływać.

Po krzyŜu, tak jak kiedyś, w Porcjunkuli, przebiegł mu ognisty dreszcz, ale tym razem dotarł aŜ do podstawy czaszki i poprzez głowę trysnął na zewnątrz złocistym blaskiem. Energia pulsowała mu pod powiekami i chociaŜ chciał je unieść, nie mógł. A złota Őwiatłość wciŜ się rozprzestrzeniała poza więzienie jego ciała, mieszając się z emanującą zeń błękitną poŐwiatą. Kurtyna ciała, drzewa, Őwiergot ptaków, wszystko to rozpłynęło się w owym blasku. Nie zostało nic, tylko Őwiatło, to wewnętrzne i to zewnętrzne, a na koniec rozmyła się i ta granica. Siły go opuściły i przysiadł na piętach z poczuciem, Őe mdleje z uniesienia.

Kiedy się ocknął, wciŜ klęczał. Kobieta z dzieckiem zniknęła. W

lochu jak dawniej zalegał nieprzenikniony mrok. Rozproszył go migotliwy blask latarni. Krata się uniosła, ktoś schodził niespiesznie po schodach. Jeszcze chwila i przed zakonnikiem uklęknął dozorca.

— Wybacz, bracie Konradzie — wyszeptał Zefferino. — Nie wiedziałem, Őeś jednym z nich. Ta Őwiatłość wylewająca się z twojej celi na korytarz... — urwał, nie potrafił wyrazić, jak jest skruszony.

317

Za ich plecami zaszczekały wleczone po klepisku łańcuchy. Przyciągany przez Őwiatło latarni i głoŐy, pełznął ku nim Jan.

Zefferino postawił latarnię na ziemi i wyciągnął ręce. Złączyli dłonie, tworząc krąg. Klęczeli tak przez jakiś czas w milczeniu, trzy zgrane karty wyciągnięte ze zniszczonej talii Duecento : pomarszczony, obszarpany król Őebraków z Parmy, w otoczeniu swoich pogneźbionych jednookich waletów.

— Podziękujmy — odezwał się w końcu Konrad — za zdarzenia, które splotły nasze losy.

Teraz juŜ wiedział, Őe wspierając się wzajemnie, przetrwają.

CZEŐĆ DRUGA

Biedaczek Chrystusa

XXVIII

Dzień świętego Polikarpa

4 lutego, 1274

Neno siedział na koźle zaprzęŜonego w wołu wozu milczący, pochylony i nieruchomy jak sopel lodu. Zimny wiatr od Alp wiał mu w plecy, pchając ku Umbrii, ku domowi. Jako prowadzący woźnica, przecierał

szlak taborowi, co pod koniec dnia nie było zadaniem trudnym, bo od rana drogą zdąŜyło się juŜ przetoczyć wiele kół. Gorzej bywało rankami, zwłaszcza kiedy w nocy sypał śnieg i przykrył koleiny. W takie dni kupiec jechał przodem, prowadząc konia zygzakiem, by zaznaczyć śladami kopyt krawędzie przykrytej białą pierzyną drogi.

Patron mądrze uczynił, zatrudniając Orfeę, pomyślał Neno. Ten człowiek wiedział, co to ciężka praca, pił z woźnicami jak Turek, nie był podszyty tchórzem i wiedział, Őe jest odpowiedzialny za powierzo-nych jego pieczy ludzi i zwierzęta. A jaką miał smykałkę do handlu! Na jarmarku Świętego Remigiusza w Troyes w dwa miesiące nie tylko sprzedał cały towar sior Domenica, ale jeszcze obładował na powrót 321

juczne muły, które ze sobą przyprowadzili, i wypełnił po brzegi dwa wozy. Niejeden flandryjski kupiec połknął Őabę, próbując się z nim targować.

Kiedy wczesnym popołudniem karawana mijała warowne miasto Cortona, kupiec podjechał do Nena i pokazał mu cytadelę wznoszącą się na szczycie wzgórza.

— Jeszcze jedno miejsce związane z historią mojego wuja — powiedział. — Tam umarł na wygnaniu generał zakonu, brat Elias. Tam równieŜ mieszkał brat Iluminat, zanim mianowano go biskupem AsyŜu.

Neno kiwnął w milczeniu głową. Bardziej od spraw kościelnych interesowała go okolica, przez którą brnął teraz jego wół. Dreszcz go przechodził, kiedy mruŜąc oczy przed zacinającym śniegiem, rozglądał

się po zrujnowanych zagrodach. Nie dość, Őe ciężka zima zabiła tu wiele zwierząt, to jeszcze wiatr, śnieg i gruba warstwa szronu wymrozi-

ły winnice i połamały gałęzie drzew owocowych. Pnie niektórych trzaskających mróz rozsadził od góry do dołu, Őywica wyciekała z ich ran, i wiele zupełnie uschło.

— Porco mondo! — mruknął pod nosem. Z wiatrem ulatywała pió-

ropuszcami para jego oddechu. — Dzięki Bogu, Őe tylko parę dni drogi dzieli nas jeszcze od AsyŜu.

Kiedy koła wozu zachręściły na ryneczku wioski Terontola, w któ-

rej zamierzali przenocować, Neno zobaczył tuzin wypręśonych sztywnych wisielców huśtających się na wietrze. W Toskanii był to widok powszedni. Wygłodniałe wilki zapuszczały się do wiosek i małych, nieokolonych murami miasteczek, polując na domowe zwierzęta i dzieci. Mieszkańcy łapali je i wieszali na rynkach, tak jak złodziei-ludzi ku przestrodze ich pobratymcom.

Karawana zatrzymała się, wozy otoczyła zbrojna eskorta.

— Jeszcze jeden dzień za nami, Neno — usłyszał za sobą. — Obiecuję ci, Œe po dotarciu do AsyŒu schlejemy się jak te wieprze.

322

Na skraju pola widzenia zamajaczyła Nenowi czarna broda kupca.

Strzepnął sopolki lodu z własnej.

— Trzymam za słowo, maestro Orfeo — powiedział. — I strąŒ

miejska będzie nas rankiem wyciągała z rynsztoka, bo nie starczy nam sił, Œeby dowlec się do łóŒek.

Amata przysunęła się z krzesłem bliŒej kominka. Noc była mroźna, nie dość więc, Œe nie zdjęła dziennego stroju, to na podatek owinęła się grubym zimowym płaszczem. Podwinąwszy pod siebie nogi w ciepłych bamboszach, wsłuchana w syczenie kropel topniejącego śniegu spadających kominem w ogień, po raz setny chyba wspominała poranek, kiedy przed tym Samym kominkiem siedział przed nią Konrad. Pomimo uporczywych próśb donny Giacomy o okazanie łaski, brat Bonawentura już od dwóch lat przetrzymywał go w ciemnicy. Zrezygnowana i wymizerowana madonna dała wreszcie za wygraną, kiedy minister generalny opuścił AsyŒ, by objąć stanowisko kardynała biskupa Albano oraz doradcy papieskiego konsystorza pracującego nad reformą Kościoła. Bracia donosili, Œe papieŒ Grzegorz poprosił go również o pomoc w przygotowywaniu soboru powszechnego, który miał zostać zwołany tego lata w Lyonie.

Ach, byle do lata. Dziewiętnastoletnia Amata nie przypominała sobie pory roku tak okrutnej i srogiej, jak obecna zima. Ściągający do AsyŒu pielgrzymi, części goście w tym domu, opowiadali przeraŒające historie o podróŒnych, którzy zaskoczeni przez śnieŒycę w szczerym polu, odmraŒali sobie palce u rąk i nóg, a niejednokrotnie tracili Œycie.

Pielgrzymi na własne Oczy widzieli zeszywniałe niepogrzebane trupy koni i jeźdźców zalegające przy trakcie. Jedna taka grupa zbierała po drodze zamrożone ciała na wóz niczym chrust na opał, by przysypane śniegiem oddać potem mnichom z najbliŒszego klasztoru. Nie dało się ich pogrzebać na miejscu, bo grunt był zmarznięty na kamień, a zresztą który dobry chrześcijanin chciałby spocząć w niepoświęconej ziemi?

323

W pewien szczególnie posępny styczniowy wieczór donna Giacomina, w otoczeniu domowników, oddała ducha Bogu. Kiedy zbliŒał się koniec, jej stłumione modlitwy o wieczny odpoczynek przeszły

w przedśmiertne charczenie, które zamierało, zamierało, aś zupełnie ucichło. Amata zamknęła jej powieki nad martwymi zielonymi oczami i bolała, Őe nie moŐe tego zrobić brat Konrad.

MęŐczyźni wycofali się dyskretnie z izby, Őeby Amata z kobietami mogły rozpocząć lamentację. Proste pocziwe niewiasty poŐciągały niebieskie czepki i rwały włosy z głów, szarpały czarne wełniane suknie, orały sobie twarze i ramiona paznokciami. Utworzywszy krąg, chodziły wokół łoŐa i bijąc się pięściami po głowach, opłakiwały śmierć donny Giacomy niskim przeciągłym zawodzeniem. To dojmują-

ce zawodzenie przytłaczało Amatę, serce jej się ścisnęło, ból palił trzewia. Kobiety odsłoniły okno i z kaŐdym okrąŐeniem jedna wychylała się przez nie w mroźną noc, by obwieścić zgon swojej pani całemu miastu i niebu. Ta Őałobna ceremonia trwała dwie doby, aś do poranka dnia pogrzebu donny Giacomy.

Zakonnicy z Sacro Convento uhonorowali szlachciankę kryptą pod amboną w dolnym koŐciele. Poprosiła o to Amata, bo donna Giacomina powtarzała często, Őe po śmierci chciałaby spocząć blisko swojego najlepszego przyjaciela, brata Leona. Ona również zamówiła tablicę z czerwonego marmuru, którą umieszczono nad kryptą. Stosując się do sugestii brata Bernarda da Bessy, inskrypcję na płycie kazała wyryć prostą: Hic jacet Jacoba sancta nobilisque romana — Tu spoczywa Jakubina, Őwięta i szlachetna rzymianka. Na koniec, dowiedziawszy się od brata Bernarda, Őe wybitnemu artyŐcie, florentczykowi Giovanniemu Cimabuemu, zlecono właśnie udekorowanie absydy dolnego koŐcioła, ufundowała fresk, który miał przedstawiać damę w tercjarskim habicie.

W tym czasie Amata stała przed innymi jeszcze decyzjami, decyzjami, które spędzały jej sen z powiek, co sprawiało, Őe kiedy reszta domowników juŐ spała, ona siadała na podłodze przed kominkiem i 324

godzinami wpatrywała się w ogień, który starał się ogrzać komnatę. Jej komnatę, w jej domu.

Kiedy notariusz odczytał ostatnią wolę donny Giacomy, w której ta zwalniała z obowiązków słuŐbę oraz pozostawiała Amacie w spadku znaczny majątek (dla dobra mej duszy i poboŐnego końca oraz w nadziei, Őe będzie mi to poczytane przez Boga za zasługę), przyjęła to obojętnie. Szok przyszedł dopiero po kilku tygodniach, kiedy szlachcianka wezwała ją do siebie i wyłoŐyła swe intencje. Jeszcze teraz, na wspomnienie szczodrości staruszki, zbierało jej się na płacz, i ogień w kominku rozpływał się w pomarańczową rozedrganą plamę. Odnosiła wraŐenie, Őe po raz drugi traci matkę.

Oslabiona juŐ donna Giacomina ostrzegała szeptem Amatę:

— NiezamęŐna szlachcianka niewielki ma wpływ na swój los —

mówiła. — Gdybyś była potęŐną owdowiałą królową jak Blanka z Kastylii albo wdową po rzemieŐniku, która odziedziczyła warsztat, narzę-

dzia i czeladników, albo chociaŐ wieŐniaczką, której zmarły mąŐ pozostawił ziemię, pozwolono by ci moŐe Őyć i pracować w spokoju. Ale po męŐczyźnach z rodziny mego męŐa tego się nie spodziewaj. Gdy tylko wieŐ o mojej śmierci dotrze do Rzymu, zrobią wszystko, by odebrać ci to, co

po mnie dziedziczysz. Mnie zostawiali w spokoju, tylko dlatego, że miałam dziedziców, a po ich śmierci dlatego, że byłam już stara. —

Zdobyła się na cichy chichot. — Mieli nadzieję, że wyświadczę im przysługę i dawno już umrę.

Z zadziwiającą siłą w upstrzonych starczymi plamami palcach chwyciła Amate za rękaw.

— Za kilka tygodni cała okolica będzie już wiedziała, jakie szczę-

ście cię spotkało. Zalotnicy będą się tu zlatywali jak pszczoły do miodu.

Jeśli chcesz ustrzec swoją schedę przed rodem Frangipanich, musisz szybko wyjść za mąż, Amatino.

Słuchanie! Nie do wiary, że wystarczyło coś tak zwyczajnego jak słuchanie — czegokolwiek, wszystkiego — by Jan z Parmy zaczął odzyskiwać 325

władze umysłowe. Przez dwa lata, począwszy od święta Oczyszczenia Najświętszej Marii Panny, kiedy to ich cełą zalało cudowne światło, brat Jan powoli, ale jednak, powracał do świata Śwycych. Z zadziwieniem i zachwytem niemowlęcia uczącego się po raz pierwszy nazw przedmiotów i gestów, kolorów i zapachów, zaczynał odzyskiwać pamięć. Ku radości Konrada, stawał się również coraz bardziej gadatliwy i często ni z tego, ni z owego, odgrzebując ten czy inny okruch wspomnień, wygłaszał długie tyrady.

Po raz pierwszy zaskoczył taką towarzysza niedoli, kiedy jak co dzień jedli wodnistą zupę:

— Przypomniał mi się właśnie, bracie Konradzie, pewien posiłek, i to tak wyraźnie, jakbym spożywał go zaledwie wczoraj. Otóż zdarzyło nam się wieczerzać z dużą grupą braci z królem Francji. Bawiliśmy wtedy w naszym klasztorze w Sens na zebraniu kapituły prowincjonalnej. Ale ten posiłek... składał się z co najmniej tuzina dań: najpierw wiśnie, potem przewyborny biały chleb; wybór win godnych królewskiego majestatu; świeża fasolka gotowana w mleku; ryby, kraby, paszteciki

z

węgorza;

ryś

gotowany

w

mleku

z

migdałami

i posypyany sproszkowanym cynamonem; znowu węgore gotowane w sosie; a na koniec całe tace owocowych ciastek, leguminy i owoców.

Tu stary zakonnik spojrział na swoją miskę z wodzianką i wzruszył

ramionami. A potem popukał się w czoło, próbując odgrzebać z pamięci więcej szczegółów z pobytu w Sens.

— Nazajutrz wypadła niedziela — podjął. — O świcie król Ludwik przybył do naszego klasztoru prosić, byśmy się za niego modlili.

Swoją świętę zostawił w wiosce, towarzyszyło mu tylko trzech jego braci i paru stajennych do pilnowania koni. Uklękli przed ołtarzem, pokłonili się i bracia zaczęli się rozglądać za jakimiś krzesłami albo ławkami, na których można by usiąść. Ale król nadal klęczał w pyle, bo kościół nie miał posadzki. Poleciwszy się naszym modlitwom, opuścił kościół, by odjechać. Kiedy jednak sługa szepnął mu, że jego brat Karol nadal modli 326

się Sarliwie, król nie dosiadł konia, lecz cierpliwie czekał. Kiedy ujrza-

łem, jak szczerze modli się Karol i z jakim zrozumieniem czeka na niego przed kościołem król, byłem bardzo poruszony, bo przyszła mi na myśl prawda zawarta w Piśmie Świętym: Kto w bracie ma oparcie, jest jak miasto warowne *.

Dwunastka i siódemka, ze względu na ich biblijne znaczenie, stały się ulubionymi liczbami w rozważaniach Jana. Od czasu do czasu dorzucał do nich szóstkę, na przykład wyliczając sześć grzechów przeciwko Duchowi Świętemu albo sześć emocji zawiadujących postępowaniem człowieka.

Konrad zachęcał go do takich ćwiczeń umysłu, a sam, pod jego dyktando, ostrą skorupą wyskrobywał na ścianie celi całe listy — dla samego ćwiczenia, ponieważ w mroku nie sposób ich było odczytać. I tak wydrapał siedem grzechów śmiertelnych i siedem cnót ozdowień-

czych, siedem charyzmatycznych darów od Boga, siedem spirytualnych dobrodziejstw, imiona dwunastu apostołów, dwanaście błogosławieństw. Dzień po dniu omszały mur pokrywał się tymi nieczytelnymi bazgrołami coraz gęściej, niczym woskowa tabliczka studenta wkuwającego deklinacje łacińskich czasowników.

Bywało, zwłaszcza podczas posiłków, że brat Jan przestawał się odzywać i tylko pochrząkiwał od czasu do czasu. Dla Konrada był to znak, że pogrążył się w jakiegoś rodzaju medytacji. Kiedy zbierał

opróżnione miski, minister generalny otrząsał się z zadumy i proponował ułożenie nowej listy.

— Trzeba nam rozważyć siedem ostatnich wypowiedzi Chrystusa.

Jeśli prześledzimy, jak Pan Nasz spoglądał w oczy śmierci, będziemy wiedzieli, jak przyjąć z pokorą koniec, który nas czeka.

* W tłum. Biblii Tysiąclecia ten werset (Prz. 18,19) brzmi: Brat obraŜony — trudniej-szy do zdobycia niŜ miasto warowne, a kłótnie — jak zawory w twierdzy.

327

Konrad brał skorupę, stawał przy ścianie, a Jan dyktował:

— Eli, Eli, lamma sabachthani* — BoŜe mój, BoŜe mój, czemuś Mnie opuścili

Kiedy Konrad to po omacku wyskrobał, Jan dodał:

— Nawet Chrystus, kiedy wybiła Jego godzina, doznał uczucia opuszczenia, osamotnienia i niepewności. Zrozumie i pocieszy nas, kiedy i nasz czas nadejdzie.

Jan przypominał sobie, jedna po drugiej, frazy, do kaŜdej dodając krótki komentarz, aŜ do ostatniej:

— Consummatum est. Wykonało się**. Ojczy, w Twoje ręce powie-rzam ducha mego***. — Stary zakonnik skonkludował: — Śmierć kończy nasz czas na ziemi, ale równieŜ przydaje znaczenia naszym ziemskim uczynom. Śmierć jest czasem, kiedy oddajemy siebie w darze Bogu.

— Jak myślisz, bracie — spytał Konrad — dokonamy Őywota w tej jamie? Czy to juŜ kres naszych ziemskich uczynków?

Jan z Parmy mruknął potakująco.

Konrad opuścił rękę.

— Wybacz chwiejność mej wiary w boski plan, bracie Janie, ale jak to moŜliwe, Őe nasza Őwięta Matka Kościół wyparła się kogoś takiego jak ty? Nawet pracując poza zakonem, mógłbyś spieszyć z duchową radą świeckim władcom i prałatom. A gdybyś tak obiecał Bonawenturze nie wspominać więcej o opacie Joachimie i jego herezjach? Nie mieliby juŜ powodu dalej cię więzić.

Konrad dokuŕtykał do Jana i usiadł przy nim niezdarnie. Z kaŜdym miesiącem coraz trudniej mu się było poruszać. Jan nie wstawał juŜ

prawie w ogóle, a do latryny za potrzebą pełzał i Konrad musiał mu pomagać, kiedy wracał stamtąd po ŕliskiej pochyłości.

Jan spojrział na Konrada, a w jego oczach odbiło się blade ŕwiatło przesączaające się do celi.

* Mateusz 27,46. ** Jan 19,30. *** Łukasz 23,46.

328

— Naprawdę myślisz, Őe trzymają mnie tutaj za dawanie posłuchu naukom Joachima? Wszak wiesz, Őe Kościół nigdy nie potępił Joachima, lecz interpretację jego prorocत्व autorstwa Gerardina di Borgo San Doninno. Gerardina więziono w tych lochach na krótko przed moim uwięzieniem. Nie, ja

— i podejrzewam, że ty również — siedzę tutaj za dążenie do naśladowania naszego założyciela. Chciałem prowadzić zakon tak, jak czynił to sam święty Franciszek. Wędrowałem pieszo z kraju do kraju, osobiście odwiedzając każdy z naszych klasztorów, zamiast wydawać pisemne rozporządzenia, starałem się raczej świecić przykładem. Ale ci, którzy chcieli odejść od Reguły świętego Franciszka i zlekceważyć jego testament, uznali mnie za zagrożenie dla swojego wygodnego życia. Tak więc siedzę, razem siedzimy, w tej niewygodzie.

Konrad drgnął. Niemal zapomniał o testamencie świętego Franciszka! Jął kołysać się na boki i wyęsać pamięć. Leon pisał, że początek testamentu rzuci światło — okruchy światła, brzmiało dokładnie to sformułowanie — na jego zagadkowy list. Dziwne, ale Konrad przestał

niemal myśleć o swoim dochodzeniu, przez które trafił do więzienia.

Zwrócił się znowu do byłego generała zakonu:

— Ojciec, może nigdy stąd nie wyjdziemy, ale sądzę, że Bóg przywrócił ci umysł w jakimś szczytnym celu. Pamiętasz, jakimi dokładnie słowami zaczyna się testament?

Jan zwiesił głowę i zastanawiał się przez chwilę nad tak postawionym pytaniem, po czym powiedział:

— Święty Franciszek rozpoczyna od nawiązania do swojego nawrócenia. Pisze: Pan dał mi tak rozpocząć pokutę: Gdy żyłem w grzechu, widok trędowatych był dla mnie bardzo gorzki. I Pan sam wprowadził mnie między nich, i okazywałem im miłosierdzie. I kiedy odchodziłem od nich, to, co wydawało mi się gorzkie, zmieniło się w słodkie, i wkrótce potem porzuciłem świat.

Nasz święty założyciel odnosił się do leperów ze szczególną miło-

ścią. Nie tylko sam wśród nich pracował, karmiąc i odziewając, kąpiąc 329

i całując ich rany, ale wymagał tego samego od wielu pierwszych braci.

Nazywał ich pauperes Christi, biedaczkami Chrystusa.

Konrad zacisnął pięści.

— Czy brat Leon też pracował wśród trędowatych?

— Najprawdopodobniej.

Jan zachichotał.

— A wracając do moich odwiedzin w klasztorach... Wykruszyło mi się w tych wędrówkach dwunastu sekretarzy. Bo jak święty Franciszek z bratem Leonem, tak i ja zawsze podróżowałem z sekretarzem. Mój pierwszy sekretarz, brat Andreada Bologna, został później prowincja-

łem w Ziemi Świętej i penitencjariuszem papieża. Po nim nastąpił brat Walter, Anglik z urodzenia,

anioł z temperamentu. Trzecim był

niejaki Corrado Rabuino, wielki, mięsisty i czarny — pocziwina.

Nigdy nie spotkałem zakonnika, który potrafiłby z takim smakiem za-jadać lagano z serem...

Konrad siedział nieruchomo, jednym tylko uchem słuchając wspomnień Jana. Przez cały ten czas Leon przygotowywał go do słuŝby w leprozorium, gdzie kiedyś sam prawdopodobnie słuŝył. Przymomiał

sobie równieŝ wzmiankę Leona o prawdzie przebijającej z dłoni martwego trędowatego. Gdybym, zamiast wracać do Sacro Convento, za-stosował się najpierw do polecenia zawartego w tych słowach listu —

servite pauperes Christi — nie gniłbym teraz w lochu. Zadrŝał, kiedy wyobraźnia podsunęła mu drugą straszną moŝliwość: gdyby wszedł do leprozorium, ręce i nogi mogłyby mu teraz gnić toczone przez trąd. Jak miałby od tego zmańdrzeć?

— ...ostatni mój sekretarz pochodził z Iseo, był stary zarówno wiekiem, jak i słuŝbą w zakonie, i bardzo mądry. Wyczuwałem jednak, ŝe pozuje na waŝniejszego, niŝ był w istocie, bo wszyscy wiedzieli, ŝe jego matka była oberŝystką...

Boŝe, jeśli sprawisz, ŝe kiedykolwiek się stąd wydostanę, ŝlubował Konrad, pójdę słuŝyć w Ospedale di San Lazzaro pod Asyŝem, zobaczę, czego mogą mnie nauczyć tamtejsi trędowaci, będę podąŝał śladem wskazanym mi 330

przez Leona (jeśli okaŝe się to konieczne), aŝ do najgorszego z moŝliwych końca. W skrytości ducha próbował wmawiać sobie nieŝmiało, ŝe Bóg tylko czekał, aŝ wydusi z siebie to przyrzeczenie, i teraz, kiedy je wreszcie złoŝył, uwolni go z tej klatki.

— Donno Amatino, zbudźcie się. Macie goŝcia.

Amata przekręciła się z jękiem na wznak. Obarczona nowymi dla siebie obowiązkami głowy domu i postawiona przed koniecznością zamańŝpójścia, która wisiała nad nią jak topór kata, miała za sobą kolejną źle przespaną noc. Tak jak przewidywała zmarła przed kilkoma ty-godniami donna Giacomina, od pogrzebu przez dom przewijała się niemająca końca procesja męŝczyzn chętnych jeśli nie do mańŝeństwa z Amatą, to przynajmniej do zagarnięcia domu i dochodowych dzierŝaw, które zostawiła jej w spadku szlachcianka. Wśród zalotników byli z jednej strony wiejscy arystokraci — i ci zuboŝali, i ci pragnący powiększyć swe majątki — z drugiej podstarzali kupcy i wdowcy, a między nimi wielu męŝczyzn poŝrednich stanów w rozmaitym wieku, jednak do tej pory nie trafił się jeszcze taki, który by jej odpowiadał, taki, do którego z ochotą przytuliłaby się w te chłodne zimowe noce. Pio, szes-nastoletni juŝ i z dnia na dzień coraz bardziej czujący się męŝczyzną, nadal był po uszy zadurzony w Amacie i z coraz bardziej ponurą miną wprowadzał kolejnych konkurentów.

Amata zamrugała i spojrzała na pochylającą się nad nią twarz. Większość słuŝ donny Giacominy, w tym (dzięki Bogu) maestro Roberto, pozostała w domu. Stojąca przy łożku słuŝąca — miła hoŝa

dziewczyna kilka lat młodsza od Amaty, poza domem donny Giacomy, w którym się wychowała, nie znała innego. Amata dla Śartu zaproponowała jednemu z zalotników jej rękę w zamian za swoją, a kiedy ten zauważył, że dziewczyna nie ma posagu, zacytowała Plaurusa: Dummondo morata recte veniat, dotata est satis . Jeśli moralność kobiety jest bez zarzutu, powinno to 331

starczyć za posag. Męszczyzna gapił się na nią tępo, bo nie znał łaciny.

Gdyby okazał choć cień zrozumienia albo samego cytatu, albo jego sensu, kiedy mu go przetłumaczyła, kto wie, czy nie ofiarowałyby mu siebie w posagu. Może donna Giacomina za bardzo ją wyedukowała, zapewniając po uwięzieniu Konrada najlepszych nauczycieli?

— W sieni czeka signore, który chce się z panią widzieć — powtó-

rzyła służąca, kiedy Amata przetarła palcami piekące oczy.

— Która to godzina, Gabriello?

— Dopiero co bił poranny dzwon. Musiał warować pod bramą miasta, czekając, aż ją otworzą.

— Po bramą? — Sens słów dziewczyny nie od razu dotarł do za-spanej Amaty.

— To zalotnik z Todi, brat kardynała. Mówi, że musi z panią pilnie rozmawiać.

Amata narzuciła na płócienną nocną koszulę błękitny szlafrok. Zwinęła warkocz z tyłu głowy, luźne kosmyki włosów upchnęła pod czepek z siateczki. Czego, u licha, może od niej chcieć hrabia Roffredo o świtaniu? Nawet szlachcic z potężnego rodu Gaetanich powinien okazać trochę przyzwoitości i wstrzymać się z wizytą do stosowniejszej pory dnia. Cóż, nie ujrzy jej w pełnej krasie. Może zniechęci go widok jej nieprzemytego lica w bezlitosnym świetle brzasku. Byłoby to sprawiedliwe zadośćuczynienie za wyrwanie jej ze snu.

Roffredo Gaetani zrobił na Amacie jak najgorsze wrażenie. Był chyba najbardziej odpychającym z konkurentów, jacy do tej pory ją odwiedzi. Rozumiała już, dlaczego Jacopone, ogarnięty euforią po stoczonych w lesie walce, z taką egzaltacją porównywał ją do dawnych zwycięstw nad Gaetanami na ulicach Todi. Już po pierwszym krótkim spotkaniu z hrabią Roffredem przyznała rację swemu na pół obłąkanemu powinowatemu, który znał ten ród od dziecka i uważał go za obmierzły — o wiele bardziej obmierzły od polityków partii gwelfów i gibelinów, któ-

rzy skłócali każde umbryjskie miasto.

333

Roffredo, choć dopiero czterdziestokilkuletni, był już po raz trzeci wdowcem. Nie chciał jej jednak opowiedzieć o swoich byłych żonach, a pytanie o przyczynę ich śmierci zbył machnięciem ręki.

— Zaraza. W każdym przypadku zaraza. I malaria. — Jego pośólka twarz sugerowała, że sam może być zarażony tą ostatnią chorobą, co w jakimś stopniu usprawiedliwiłoby jego zdawkowe wyjaśnienie.

Tak czy owak wyrachowanie w jego małych, czarnych, rozbieganych oczkach, aura chłodu, jaką wokół siebie roztaczał, podkreślana przez ziemistą ospowatą cerę, oraz łysiejąca głowa skłaniały Amatę do przypuszczenia, że tego człowieka stać zapewne na największe okrucieństwo, że może być chory nie tylko zewnętrznie, ale i od środka.

Ciarki chodziły jej po plecach, kiedy na niego patrzyła. Rozmowa, a ściślej, jego monologi, koncentrowała się na wielkich wpływach jego rodu we wspólnocie Todi oraz w Rzymie, a zwłaszcza na prominentnej pozycji brata, kardynała Benedetta Gaetaniego, który niewątpliwie zostanie kiedyś papieżem. Roffredo, bawiąc się złotym łańcuchem zdobiącym mu pierś, z lekkim uśmiechem błakającym się na wargach, mówił o pieniądzach i posiadłościach, o bogactwach, jakie przyniosły mu poprzednie małżeństwa, i które powiększy poprzez związek z Amatą. Był przynajmniej szczery, nie próbował kryć się ze swoimi motywami i zakończył przemowę poradą, by zapomniała o innych konkurentach, bo on postanowił ją zdobyć per amore o per forza — miłością bądź siłą. Uśmiechnął się, zadowolony ze swojego śarciku, ale złoty łańcuch ściągnięty jego dłonią napiął się jak struna.

Zaraz po wyjściu Roffreda Amata wzięła kąpiel, żeby zmyć z siebie nieprzyjemny osad, jaki pozostawiła na jej samopoczuciu ta wizyta.

Ten człowiek na pewno mnie nie dostanie, poprzysięgła sobie. Po mo-im trupie.

No i znowu tu był. Przylazł o tej nieprzyzwoitej porze, Őeby nadal ją nagabywać. Wciąż rozespana, wyszła na długi korytarz. Roffredo ze swym giermkim czekał w sieni przy frontowych drzwiach. Stojący obok 334

nich Pio nie starał się nawet ukrywać niezadowolenia, kiedy męŐczyźni się skłonili.

— Nie mogłam zasnąć tej nocy, signore, a kiedy wreszcie mi się to udało, ty się zjawiasz. — Miała nadzieję, Őe w jej głosie słychać rozdraŐnienie, które czuła. — Co cię sprowadza o tak wczesnej porze?

Usta Roffreda wykrzywiły się w tym samym ironicznym grymasie, który tak ją draŐnił podczas poprzedniego spotkania.

— MęŐczyzna, który śpi, nie zarabia — powiedział. — Przyszedłem po odpowiedź.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem. Poczucie przyzwoitości ka-zało jej nie okazywać gniewu, który w niej wzbierał, lecz Roffredo jej tego nie ułatwiał.

— Myślałam, signore, Őe nawet głupiec nie ryzykowałby rozczarowania przed śniadaniem. Ale szczerść za szczerść. Nie kocham was, hrabio Gaetani.

Roffredo nie wydawał się ani trochę stropiony jej oświadczeniem, prawdopodobnie dlatego, Őe od początku nie o miłość mu szło.

— Sprawiasz mi zawód, signorina — odrzekł. — Mój brat również

będzie zawiedziony. Czeką w Todi, by udzielić nam dziś wieczorem ślubu. — Zrobił przestraszoną minę. — Martwi mnie teŐ twoja odpowiedź. NaraŐanie się kardynałowi moŐe być bardzo niebezpieczne.

Amata uznała, Őe juŐ dostatecznie długo była uprzejma dla tego na-puszonego koguta. Pragnęła tylko pozbyć się go i wrócić do łóŐka.

— Najwyraźniej nie widziałeś jeszcze mnie rozgniewanej, signore

— odparowała — bo nie mówiłbyś z taką beztroską o niebezpieczeń-

stwie. Usłyszałaś moją ostateczną odpowiedź. Teraz zmuszona jestem prosić cię o opuszczenie mego domu.

Roffredo skłonił się, ale tym razem giermek, zamiast pójść za jego przykładem, otworzył na oŐcieŐ drzwi i do sieni wpadli dwaj czekający na zewnątrz rycerze. Pio rzucił się na nich, ale jeden chwycił go za 335

uniesioną rękę. Drugi dobył zza pasa sztylet i przyłoŐył ostrze do gardła chłopca. Zanim Amata

zdałyła ochłonać, Roffredo z giermkim złapali ją za nadgarstki. Hrabia zatkał jej usta dłonią w rękawicy. Próbowwała się wyrwać, trzymali jednak mocno, a Roffredo wykręcał jej boleśnie rękę, uśmiechając się przy tym triumfalnie.

— Albo pójdziesz z nami po dobroci, signori *na* — syknął —

albo twój paż uśmiechnie się zaraz pod brodą.

Krzyk Amaty stłumiła skutecznie skórzana rękawica. Nie mogła uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. Jak to możliwe, że ci zdeprawowani szlachcice porywają kobiety z ich własnych domów i zmuszają do małżeństwa? Spojrzała na Pia i zobaczyła w jego oczach panikę, która odzwierciedlała jej poczucie bezsilności.

Szarpnęła się raz jeszcze, wściekła na hrabiego i własną bezradność, ale nic to nie dało. Roffredo, wciąż zatykając jej usta, zmusił ją, by spojrzała na Pia. Spod sztyletu przystawionego do szyi chłopca ściekała wąska struśka krwi. Przestała się szarpać i krzyczeć w rękawicę.

Roffredo odjął dłoń od jej ust.

— Coś mówiłaś?

— Zostawcie go. Pójdę z wami.

Droga do Todi brała swój początek od Porta San Antimo — południowej bramy w murach Asyżu. Roffredo i jego siepacze zbiegali z Amatą opatuloną w płaszcz, z narzuconym na głowę kapturem, po pustych jeszcze o tej porze kamiennych schodach, łączących zaułek z dolnym miastem. Amata strzelała oczyma na boki, wypatrując drogi ucieczki. Śaluzje w oknach domów, które mijali, były jeszcze opuszczone, rycerz, który omal nie poderwał gardła Pio, przystawiał teraz sztylet do jej boku. Z jednej strony martwa nie przedstawiałaby dla Roffreda żadnej wartości, z drugiej hrabia wyglądał jej na człowieka, który nie zawahałby się poślubić ją umierającą. Jego rycerz pokazał już,

że biegłe włada nożem, a kardynał połączyłby ją węzłem małżeńskim z Roffredem, nawet gdyby była martwa.

Nie wiedzieć kiedy zbiegli ze schodów i Amata ujrzała przed sobą trzy kościoły — San Antimo, San Leonardo i San Tomaso — a za nimi bramę miejską. W mrocznym zaułku między dwoma z kościołów czekał powóz. W widoku tym było coś tak ostatecznego, że pod Amatą ugięły się nogi i osunęła się na bruk. Kiedy znajdą się za murami, będą

już całkowicie zdana na łaskę i niełaskę Roffreda.

Rycerz chwycił ją za rękę i poderwał na nogi, ale pośliznęła się na oszronionych kocich łbach i upadła znowu, tym razem na twarz. Dźwigając się na czworaki, zobaczyła postać wyłaniającą się, również na czworakach, zza węgła kościoła San Tomaso i wyszydzaną przez grupkę rannych ptaszków — jeszcze jeden akcent nienormalności tego nie-realnego poranka. Pełzający mężczyzna dźwigał na grzbiecie zniszczone siodło i wołał gromkim głosem:

— Kto chętny dosiąć to pokorne juczne bydłako?! — Uniósł głowę, którą wieńczyła grzywa piaskowych włosów, i spojrział błagalnie w niebo.

— Ja mogę się na tobie przejechać, Jacopone! — odkrzyknęła jakaś kobieta z otaczającej go grupki szyderców. — Ale pod warunkiem, że potem ty mnie dosiądziesz.

— Jacopone! Aiuto! Pomóż mi! — wrzasnęła Amata. — Broń mnie przed Gaetanami! — Więcej nie zdążyła wykrzyknąć, bo rycerz poderwał ją bezceremonialnie z ziemi, zatkał usta dłonią w stalowej rękawicy i mały oddziałek Roffreda ruszył biegiem ku powozowi. Kiedy wciągali ją w zaułek, zobaczyła jeszcze, że pokutnik z groźną miną podnosi się powoli na nogi. Potem rycerz wepchnął ją do powozu i zatrzasnął drzwi, pozbawiając wszelkiej nadziei.

O Boże, błagam, błagam! Powóz ruszył i zaczął nabierać rozpędu.

Cisnęło ją na ścianę, kiedy skręcili ostro w kierunku bramy, i w tym momencie usłyszała przeraźliwy ryk trąbki. Spłoszone konie stanęły dęba, powóz zatrzymał się i zakolebał.

337

Poczuła uderzenie, usłyszała okrzyk bólu, a potem rozpętało się piekło. Coś twardego i ciężkiego rąbnęło w powóz, przewracając go na bok. Drewniany szkielet poszedł w drzazgi. Kwik przerażonych koni zmieszał się z przekleństwami ludzi i rykiem rozjuszonego wołu.

Arna ta wygramoliła się z rozbitego pojazdu. Kolana wciąż miała miękkie ze strachu, bolały ją twarz i ramiona. Wmieszała się w tłum gapiów i obejrzała. Jacopone leżał na boku zwinięty w kłębek. Nie ruszał się, w ręku dzierżył nadal trąbkę. W szczątkach powozu utknął

kupiecki wóz, wokół walały się bele tkanin. Konie wciąż stawały dęba i wierzgały, młócąc kopytami powietrze, a zaplątany w ich uprzęż wół

zamiatał rogami niebezpiecznie blisko końskich brzuchów.

Wściekły Roffredo Gaetani darł się co sił w płucach, obrzucając kupca obelgami, barczysty, brodaty mężczyzna nie pozostawał mu dłużny. Hrabia i jego ludzie zeskoczyli z koni, kupiec odrzucił płaszcz na prawe ramię i dobył rapiera. Widać było, że gotów jest podjąć walkę, gdyby okazało się to konieczne. Zbrojna eskorta kupca podjechała bliżej, nawet jego woźnica sięgnął do wozu i spod wymieszanego wskutek zderzenia ładunku wyciągnął topór.

— Nawet nie próbuj sięgać po miecz — ostrzegł kupiec jednego z rycerzy Roffreda. — Neno odrąbie ci rękę, zanim wyciągniesz go z pochwy.

Mieszczanie z bezpiecznej odległości podjudzali obie strony, po bruku potoczyło się kilka kamieni. Zwaśnione obozy stały naprzeciwko siebie czujne, szacując nawzajem swe siły, niezdecydowane, co dalej.

Amata zerknęła na Jacopone, a potem przeniosła wzrok na dwóch strażników miejskich, którzy

dopiero teraz nadbiegali od wartowni przy bramie.

— Co to za zbiegowisko?! — zawołał jeden.

Obie partie znowu zaczęły się przekrzykiwać i gestykulować, krąg ośmielonych gapiów zacieśnił się. Strażnicy unieśli ręce, apelując o ciszę. Amata wystąpiła z tłumu i odrzuciła kaptur.

338

— Ci ludzie z Todi chcieli mnie uprowadzić — powiedziała — chociaż jestem mieszkanką Asyżu.
— Trudno jej było mówić, rycerz, uci-szając ją, musiał jej rozciąć rękawicą wargę.

— To donna Amata! — krzyknęła jakaś kobieta.

— Ich konie stratowały tego dobrego i spokojnego człowieka —

ciągnęła, wskazując na ciało Jacopone. — To on pokrzyśował im plany.

— Staranowali również mój wóz i uszkodzili połowę towaru —

warknął kupiec. — A ja również jestem mieszkańcem Asyżu.

I znowu rozpętała się pyskówka. Amata podeszła do pokutnika i uklękła przy nim. Słyszała, jak ludzie wyładowują na Roffredzie swój gniew i oburzenie.

— Wynoście się stąd — warknął jeden ze strażników. — Zełgaliście co do sprawy, która was sprowadza, wjeżdżając do miasta.

— A co z moim powozem i zaprzęgiem?

— Twój powóz nadaje się na podpałkę. Po zaprzęg wróc jutro, lecz nie spodziewaj się dostać go z powrotem — powiedział strażnik. — Są tu asyżanie, którym należy się zadośćuczynienie, a i zarzut morderstwa będzie na ciebie czekał.

Amata podniosła wzrok i napotkała wściekłe spojrzenie Roffreda.

Oby Bóg dał, żeby nie musiała już nigdy patrzeć na tę nienawistną gę-

bę. Hrabia i jego rycerze dosiedli koni i odjechali w stronę bramy. Gawiedź biegła za nimi, pohukując i obrzucając kamieniami.

Amata pochyliła się znowu nad Jacopone i pogłaskała go po policzku, a potem po skołtunionej brodzie.

— Kuzynku, biedny kuzynku — wyszeptała. — Słyszysz mnie?

Staął nad nią jeden ze strażników.

— Zabili go?

— ŷyje jeszcze, ale jest cięŜko ranny.

Ktoŝ ukląkł obok niej na bruku.

— Towarem zajmie się woźnica z moimi ludźmi. MoŜe pomóc ci, pani, przenieść tego człowieka?

339

Spojrzała w brązowe oczy kupca. Nie odwrócił wzroku.

— Byłabym wdzięczna — odrzekła. — Sprowadzę medyka, Ŝeby go opatrzył. — Przesunęła palcami po brudnych pozlepianych włosach i dodała cicho: — A jak będzie trzeba, godnie pochowam.

MęŜczyzna naciągnął płaszcz na ramiona, wziął wychudzonego Jacopone na ręce i wstał bez wysiłku.

— Prowadź, madonna . Jestem do twoich usług. — Jego głos wibrował taką czułością, Ŝe odwróciła się, by jeszcze raz na niego spojrzeć. CzyŜby próbował z nią w takiej chwili flirtować? Ciepły uŝmiejch pojawił się w gęstwie smolście czarnej brody. Patrzył na jej usta.

Dotknęła obolałych warg i oblała się rumieńcem, wyczuwając pod palcami, Ŝe są spuchnięte i krwawią. Nie dość, Ŝe wyglądała strasznie, zanim człowiek Roffreda tak brutalnie się z nią obszedł, to jeszcze to.

Kupiec uŝmiechnął się współczująco, ale nie skomentował jej wyglądu.

— A-ma-ta — powiedział, kaŜdą sylabę przeciągając i smakując na języku niczym kiper wino z nowego rocznika. Spojrzał jej z zachwytem w oczy. — Śliczne imię, madonna .

Amata stała w uchylonych frontowych drzwiach. Kupiec poszedł

wreszcie szukać swojego uszkodzonego wozu. I bardzo dobrze! Uczynił

to w samą porę, a ona stała teraz ogłuszona słowami, które wypowiedział na odchodnym. Dlaczego jednak czuje się taka zawiedziona?

Odlamała sopelek od Ŝaluzji okna przy drzwiach, przyłoŜyła go do posiniaczonych warg i weszła do domu. Było jej strasznie głupio. Co ją naszło tam, na ulicy? MoŜe nastroiła ją tak ulga po wyrwaniu się z rąk hrabiego Roffreda, a moŜe desperacja? W kaŜdym razie przez całą drogę powrotną do domu paplała jak najęta. Ni z tego, ni z owego zapragnęła nagle opowiedzieć temu nieznanemu wszystko o sobie i swoim połoŜeniu.

340

— Jeszcze dwa lata temu chciałam wieŝ prosty Ŝywot pustelniczki w leŝnej chacie, ale potem zakonnicy uwięzili mojego przyjaciela, a właściwie mojego duchowego przewodnika. Przez wiele

miesiący my-

ślałam tylko o pomszczeniu swojej rodziny, o zemście za to, co ją spotkało, kiedy byłam jeszcze dzieckiem, ale ten, na którym chciałam tej zemsty dokonać, zniknął z miasta. Na szczęście przez cały ten czas mieszkałam u pewnej przemiłej szlachcianki. Byłam jej słuŜącą, lecz ona traktowała mnie jak córkę, czy moŜe raczej wnuczkę. Umarła niedawno, zapisując mi w spadku dom i pieniądze, i teraz nie dają mi spokoju cheiwi zalotnicy w rodzaju hrabiego Roffreda. Poradzono mi, Őebym wyszła za mąŜ, by ocalić to, co posiadam, ale ci wszyscy zalotnicy sà tacy wstrętni, a ja cenię sobie wolnoŐć, co samo w sobie jest dziwne, bo kiedyŐ nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie wyjdę za mąŜ. —

Zamilkła na chwilę, a potem wypaliła: — Teraz lękam się małŐeństwa.

A wy co o nim myŐlicie, signore? Macie Őonę i rodzinę?

Zarumieniła się, zawstydzona własnà ŐmiałoŐcià, ŐmiałoŐcià wymuszonà zapewne przez decyzję, którà musiała podjąć, i to szybko. MęŜ-

czyzna nie dał jednak po sobie poznać, Őe rozbawiło go to pytanie. Zatrzymał się na schodach, poprawił sobie na rękach Jacopone i spojrzàł

na nià.

— Nie, madonna — powiedział bez cienia zadyszki, jakby w ogóle się nie zmęczył. — Brak mi czasu i pieniędzy, Őeby się oŐenić. Ale przeciwko małŐeństwu nic nie mam i pochlebia mi, Őe pytasz mnie o zdanie.

— Och, nie chciałam... — Urwała, i tak za duŐo juŐ powiedziała.

Własnìe Őe chciała, a on był na tyle mądry i dyskretny, Őe pomógł jej wybrnąć z niezręcznej sytuacji, w którà sama się wpędziła. Zmieniła temat: — Nie zmęczyliŐcie się? Taki wysoki męŐczyzna jak Jacopone musi być bardzo cięŐki.

Kupiec podjął wspinaczkę po schodach.

— Ha! Ten jest lekki jak piórko. Chyba ze trzy lata nie jadł. Zanim zostałem kupcem, byłem wiosłarzem na weneckiej galerze. Te lata cięŐkiej pracy owocujà do dzisiaj.

341

— Zatem duŐo podróŐowaliŐcie?

— MoŐna tak powiedzieć. WróciliŐmy własnìe z Flandrii i Francji.

Pływałem na Wschód, aŐ do Ziemi Obiecanej. — UŐmiechnàł się, oczy mu pojaŐniały. — Mógłbym wam opowiedzieć takie historie, madonna ...

Przerwał mu tupot nóg. Po schodach zbiegali ku nim na łeb na szyję Pio, maestro Roberto i kilku słuŝących.

— Amatina! Bogu dzięki, ŝeś bezpieczna! — wołał lokaj. — Pio powiedział nam, co się stało, i pędzimy ci z odsieczą.

— Dziękuję wam. Jestem trochę potłuczona, ale hrabiego Roffreda przepędzono juŝ z miasta. Potrzeba mi medyka dla sior Jacopone.

Ucierpiał bardzo, spiesząc mi z pomocą.

Roberto szybko zorientował się w sytuacji. Posłał jednego ze słuŝą-

cych po medyka. Potem objuczył Pia całą bronią, którą ze sobą mieli, i z drugim słuŝącym odebrał ranego Jacopone od kupca.

— Połóŝcie go w dawnej izbie brata Konrada! — zawołała za nimi Amata, kiedy ruszyli po schodach na górę. — Ja zaraz tam przyjdę.

Podziękuję tylko za pomoc temu człowiekowi.

Ruszyła z nieznanym za słuŝami. Pio, udając, ŝe ciąŝy mu niesiona broń, wspinał się wolniej od pozostałych, Amata zwolniła jednak jeszcze bardziej i chłopiec, chcąc nie chcąc, musiał zostawić ich z tyłu.

— Chętnie posłuchałabym tych opowieści, signore — powiedziała do kupca, kiedy znowu zostali sami.

— Proszę bardzo, madonna — odparł. — Mogę zajść do was za kilka dni, ale najpierw muszę załatwić pewną rodzinną sprawę. Coś w rodzaju odwróconej vendetty . Stać mnie na to teraz, kiedy mój praco-dawca jest mi winien pewną sumę.

Następne pytanie podsunął Amacie kobiecy instynkt. A moŝe zadała je, ulegając euforii, która nie opuszczała jej, od kiedy zeszi z placu?

— Czy ta sprawa dotyczy kobiety? — Uśmiechnęła się do kupca, zdając sobie jednak sprawę, ŝe komuś, kto chce się tylko podroczyć, serce nie bije tak szybko jak jej.

342

Tym razem męŝczyzna się roześmiał.

— Znowu mi pochlebiasz, madonna . Tak, teraz to juŝ chyba kobieta, choć ja pamiętam ją jako dziecko.

Dałby Bóg, ŝebyś nadal widział w niej dziecko, pomyślała Amata.

Nie chciała, Œeby zaprzętał sobie teraz myŒli inną niewiaŒtą.

Byli juŒ pod jej domem. zaproponowała kupcowi kubek czegoŒ ciepłego i chwilę odpoczynku w kuchni, ale podziękował.

— Innym razem, madonna . Muszę wracać do swoich ludzi i zająć się interesami. — JuŒ miał odejść, kiedy uŒwiadomiła sobie, Œe w całym tym rwetesie i zamieszaniu nie zapytała go nawet o imię.

— Orfeo — odparł, kłaniając się. — Orfeo di Angelo Bernardone.

— Odwrócił się i zaczął oddalać zaułkiem. —A presto, madonna! —

zawołał jeszcze przez ramię.

Amata stała jak zdzielona obuchem między oczy. OdŒyła dawna nienawiść, jaką do tego syna swojego wroga w sobie wyhodowała. Kiedy jego kroki Œcichły na schodach, rąbnęła pięścią we framugę i przyłoŒyła czoło do zimnego dębu. Dlaczego on musi być tak piekielnie czarujący?

Orfeo, wystawiając twarz na promienie zimowego słońca, piał się konno stromą dróŜką prowadzącą z fortecy do Rocca Païda. Z dziupli drzewa rosnącego obok drogi wyskoczyła na zwiady wiewiórka. Cienka gałązka ugięła się pod jej cięŜarem, kłaniając się lecącemu na północ, rozgęganemu kluczowi dzikich gęsi. Orfeo zanotował sobie w pamięci, Őe zanim spotka się po południu z Nenem, musi zgolić brodę i przy-strzyc sięgające ramion włosy. Lodowate wiatry hulające na górskich przełęczach miał za sobą, nie potrzebował juŜ ochrony dla karku i szyi, a poza tym zarośnięta twarz nie była zbyt dobrze widziana w jego ro-dzinnym mieście.

Pobrzękiwanie monet w sakiewce wprawiało go w dobry humor.

Tak jak się umówili z sior Domenikiem, przypadła mu w udziale jedna czwarta zysku z tej wyprawy. Wiózł teraz połowę rocznego dochodu, na pewno więcej niŜ trzeba na wykupienie z niewoli uprowadzonej dziewczynki — o ile mieszka jeszcze w Rokce. Po napadzie forteca jakby ją połknęła.

344

Dowiedział się tylko, Őe stary Simone umarł i panem na zamku jest teraz jego syn Calisto. Rycerze z Rokki Őyli odcięci od świata w swoim zamku górującym nad miastem i jego mieszkańcami. Tylko głupiec odwaŜyłby się mieszać w ich sprawy, napomykano.

On jednak udawał się tam z okazałą sumką — to zmieniało chyba postać rzeczy. Orfeo miał nadzieję, Őe nowy signore nie będzie zbyt go targował. Spodziewał się uzyskać dobrą cenę, na pewno niŜszą, niŜ

płacono za niewolnicę na weneckim targu. Mimo wszystko miał jeszcze do sfinansowania swoje marzenia.

Znowu pomyślał o mieszkance AsyŜu, którą niedawno poznał. Nie wierzył własnemu szczęściu. Piękna, pomimo sińców, opędzająca się przed zalotnikami, za to wyraźnie rada, Őe go poznała. A przy tym bo-gata. Przez dwa lata tłukł się po gościńcach Europy za stosunkowo skromne wynagrodzenie, ale wciąż marzył o prowadzeniu interesów na skalę braci Polo. Własne oszczędności, powiększone o majątek Amaty, mogłyby wystarczyć do urzeczywistnienia tych planów — zwłaszcza jeśli dobije targu z signore z Rokki. Miał powody, Őeby się uśmiechnąć, a ogrzewające się powietrze jeszcze bardziej poprawiało mu nastrój.

Nadchodziła wiosna, a z nią nowe Őycie, nowe przedsięwzięcia.

Z parapetów zamku obserwowało nadjeŜdŜającego Orfea kilku straŜ-

ników. Brama stała otworem, ale krata w niej była na wszelki wypadek opuszczona. Kiedy Orfeo oświadczył, Őe ma sprawę do signore, straŜnik uniósł ją tylko na tyle, Őeby mógł pod nią przejechać. Potem wziął konia za uzdę i poprowadził Orfea w stronę grupki rycerzy zebranych na dziedzińcu. Zatrzymali się w dyskretnej odległości od nich. StraŜnik kazał kupcowi zsiąść z konia i czekać. Jeden

z rycerzy odłączył się od grupy.

— Panie Calisto — skłonił się strażnik — ten człek chce z wami rozmawiać. Mówi, że nazywa się Orfeo di Angelo Bernardone.

345

Calisto delia Rocca odprawił sługę gestem ręki. Męszczyzna ponownie wziął konia Orfea za uzdę i poprowadził go ku stajni.

— Twoje nazwisko mi brzmi znajomo — powiedział gardłowym głosem Calisto, ruszając przodem.
— Ciekawym czemu?

— Mój ojciec przed ośmiu laty wszedł w spółkę ze zmarłym signore .

Calisto obejrzał się na Orfea, ale nic nie powiedział. Weszli do budynku. Rycerz rozsiadł się w wielkim fotelu, kupcowi wskazał miejsce na ławie i pocierając czyraka na szyi, patrzył, jak Orfeo je zajmuje.

Orfeo odprowadził wzrokiem dwie służki przechodzące przez salę.

Uznał, że są starsze od dziewczyny, której szuka. Signore podążył za jego spojrzeniem.

— Podobają ci się? — Usta rozciągnął mu lubieżny uśmiech. —

Gdybyś został tu na noc w gościnie, mógłbyś mieć obie.

Orfeo odniósł wrażenie, że Calisto naigrawa się z niego.

— Ich widok przypomniał mi, co mnie tu sprowadziło — odparł. —

Szukam pewnej kobiety, która, jak sędzę, ma teraz osiemnaście, dwadzieścia lat.

Dłoń Calista przesunęła się bliżej rękojeści miecza, lecz jego głos pozostał pogodny.

— Krewna?

— Nie. Nie wiem nawet, jak ma na imię. Wiadomo wam, panie, o napaści na Coldimezzo we wspólnocie Todi, której przed kilkoma laty dokonał wasz ojciec?

— Czy mi wiadomo? Brałem w niej udział! Piękna to była jatka.

Nawet nie wiedzieli, co na nich spadło. — Jego ciemne oczy zabłyśły, kiedy to mówił.

Orfeo zacisnął szczęki. Najchętniej ucałowałby tego zadowolonego z siebie bydlaka za gardło i udusił, ale przypomniał sobie, że przybył tu w interesach. Pierwsze, czego uczy się każdy kupiec, to panować nad emocjami.

— Była tam dziewczynka — powiedział. — Wasz ojciec wziął ją podobno w niewolę.

Calisto zerwał się na równe nogi.

— A więc o tę sukę chodzi?! Dlaczego jej szukasz? — Wyciągnął

prawą rękę. — Spójrz na tę bliznę. Próbowала uciąć mi palec. Od tamtego czasu nie mogę swobodnie władać bronią.

Orfeo, siląc się na spokój, wstał z ławy. W obecności ludzi o tak zmiennych, łagodnie mówiąc, nastrojach, lepiej być czujnym. Nie wiadomo, co może takiemu strzelić do głowy. Siedząc, nie mógłby się bronić przed signore. Zaczęła go ogarniać obawa, że dziewczynka już nie żyje. Za atak na takiego człowieka prawdopodobnie ciężko odpokutowała.

— Ukarales ją?

— Uciekła przede mną, nędzna dziwka! Odeszła stąd następnego dnia z moją świętoszkowatą siostrą. Diabeł obrabia teraz ich śmierdzące piczki, chociaż osłaniają je zakonnymi habitami.

Sakiewka u boku Orfe'a od razu stała się cięższa. Skoro mała jest bezpieczna za murami klasztoru, to nie ma się co targować z tym mordercą. Ciekaw był jednak, dokąd trafiła dziewczynka.

— To gdzie mam jej szukać, gdybym chciał się z nią widzieć?

— śyczysz jej dobrze czy źle? — Calisto przymrużył oczy. — Jeśli dobrze, to utnę ci zaraz głowę i zawieszę ją na bramie.

Kupcowi ciarki przeszły po krzyżu, ale nie dał po sobie poznać, jak wstrząsnęła nim ta pogródka.

— To nie będzie konieczne. Jest teraz, jak mówicie, w rękach Boga, i nic mi do niej. — Uśmiechnął się nieszczercze i skłonił, nie spuszczając oczu z rękojeści miecza signore. Kiedy to czynił, łańcuszek, który nosił na szyi, wymknął się spod tuniki i zawieszony na nim pierścień zadyndał w powietrzu.

Calisto wytrzeszczył oczy i wodził nimi za kołyszącym się pierścieniem.

347

— Skąd go masz? — zapytał, postukując palcem w kamień. —

Osobliwa inskrypcja.

— Dostałem od ojca — odparł Orfeo.

Calisto cofnął się.

— Oczywiście.

Orfeo uniósł pierścień do oczu i przyjrzał się wyrytemu w lazurycie wzorowi. Zastanowiło go zainteresowanie Calista. Całkiem możliwe, że ten pierścień miał coś wspólnego z układem, jaki zawarli ich ojcowie.

— Czy ta inskrypcja coś wam mówi, signore ? — spytał. — Bo dla mnie jest zagadką.

Calisto machnął ręką.

— Powiedz mi, gdzie się zatrzymałeś, sior Bernardone, na wypadek, gdybym przypomniał sobie coś więcej o tej dziewczynie. — Głos miał

znowu miły, niemal obłudny.

— Wróciłem właśnie z podróży — powiedział Orfeo. — Można mnie znaleźć w domu kupca Domenica. — W tym momencie przypomniał sobie ostrzeżenie brata i ugryzł się w język, ale było już za późno.

Skłonił się jeszcze raz i wyszedł, kierując się do stajni najszybszym krokiem, na jaki pozwalała udawana nonszalancja. Włoski jeżyły mu się na karku, wytęślał słuch, żeby w razie czego nie dać się zaskoczyć Calistowi od tyłu. Gdyby jednak signore postanowił go napaść, to w starciu z nim i jego rycerzami i tak nie miałby najmniejszych szans.

Promienie słońca, cienie rozpychające się na kremowo-białej ścianie.

Ciepło. Domowe odgłosy, miotła zamiatająca posadzkę, polana wrzucane na kratę kominka.

Twarze. Pochylające się, unoszące, znikające.

Ból. W barku, w łożach, kolanie, w połowie ciała. Pulsujący ból w głowie.

Teraz, Panie Jezu, pozwól Swemu słudze odejść w pokoju.

348

Vanno. Niedługo przyjdę. Czekać na mnie.

Szept kobiety:

— Lepiej z nim?

Vanna?

— Co się ocknie, to znowu zasypia, Amatino. Ma na głowie wielkiego guza. Ale medyk mówi, że wyżyje. Jest twardy jak leśne zwierzę.

Głaskanie po policzku.

— Jestem tutaj, kuzynie. Musisz walczyć z demonem. Nie daj mu się jeszcze zabrać.

Wysiłek, by zostać z tym głosem. Czarny lśniący Śuczek przebierający nóżkami w błotnistej kałuży na skraju drogi.

Pragnienie odejścia, opuszczenia tego padołu łez. Pragnienie wiecznego odpoczynku. Z Vanną.

Czyj to głos? Czyj, jeśli nie Vanny?

Kuzyn?

Twarz okolona czernią jak u zakonnicy, zamazana, tuż nad nim.

Zapach migdałowego kremu. Chłodna wilgoć na czole.

Cienie rozszerzają się. Odległy pomruk słów zlewających się ze sobą.

Ciemność. Cisza.

Panie Jezu Chryste, Synu Boga, zmiłuj się nade mną grzesznikiem.

Panie Jezu Chryste, Synu Boga, zmiłuj się...

— Podśluchałem, Ście rozmawiali o Troyes. — Korpulentny zakonnik o czerwonej twarzy usiadł na ławie naprzeciwko Orfea i Nena i napełnił sobie kubek z ich dzbana. — Niech Bóg was błogosławi za szczodrość, przyjaciele — sapnął.

— Wszystkie gardła są sobie braćmi — odparł wesoło Orfeo.

Zakonnik zakręcił kubkiem, uniósł go do nosa i powąchał.

— Frankowie mawiają, Śe najlepsze wino powinno mieć pięć B i siedem F:

349

Cest bon et bel et blanc

Fort et fier, fin et franc,

Froid et frais et fretil ant.

Upił łyczek wina i oświadczył;

— Nie dziwota, Śe tak się lubują w dobrym winie, bo wino rozwe-sela bogów i ludzi, jak stoi napisane w dziewiątym rozdziale Księgi Sędziów*. — Uniósł kubek. — Dlatego o tym winie możemy spokojnie powiedzieć za mądrym królem Salomonem: Dajcie mocnego wina tym, co zasmuceni, i wina tym, co się gryzą. Niech piją i zapomną o swoich pragnieniach, i nie pamiętają już o smutku **.

— Dobry cytat — przyznał Orfeo. Podniósł głos: — Niech smutek na zawsze pójdzie precz z tego miejsca! — Unieśli z Nenem swoje kubki i stuknęli się z zakonnikiem. Ich zgodny okrzyk odbił się echem od ciemnych kątów winiarni.

Kiedy wypili, Orfeo poklepał się po piersi.

— Orfeo, jeszcze niedawno z Bernardonich, i Neno, silny i wiemy jak woły, którymi powozi — powiedział.

Zakonnik pokiwał łysą rósową głową.

— Brat Salimbene, powracający z Romanii, w słuŚbie Boga i wszystkich zacnych męŚczyzn... i kobiet teŚ, niekoniecznie zacnych. —

Roześmiał się i pogładził po brodzie.

Neno zaczął śpiewać, ale w połowie piosenki stracił wątek, połoŚył

ramiona na stole i powoli opuścił na nie głowę. Orfeo potrząsnął nim i dolał mu wina.

— Nie śpij. MoŚe ten poboŚny mnich ma dla nas jakiś wierszyk al-bo piosenkę, którą dociągnie do końca.

Brat Salimbene kiwnął głową i zabębnił pięścią w stół. Potem wstał i rozejrzał się, jakby zwracał się do całej izby.

— Wiersz maestro Morando, który nauczał gramatyki w Padwie, kiedy

* Księga Sędziów 9,13. ** W tłum. Biblii Tysiąclecia cytat ten (Prz. 31,6) brzmi: Daj sycere skazańcom, a wino zgorzkniałym na duchu, niech piją, niech nędzy zapomną na trud niepomni (sycera, hebr. szeker, mocny napój ze sfermentowanych owoców — np. daktyli

— jak teŚ z niektórych zbóŚ i miodu).

350

mieszkałem tam za chłopięcych lat. Niech Bóg ma w opiece jego duszę.

— Pociągnął jeszcze jeden łyk i zaintonował z taką powagą, jakby odprawiał mszę:

Wino pijasz miodne, przednie?

Krzepkie w sobie w noc i we dnie,

Kiedy wola plwasz;

Stare w dybanie, smakiem rusza?

Raduje się twoja dusza,

Dowcip cięty masz.

Trunek twój mętnawy, blady?

W gębie sucho, nie ma rady,

Wiatry z ciebie dmą;

Gust mający w cięŜkim winie,

Tuczą się jako te Ŝwinie,

Szarolicy są.

Cienkusz lekki jest, róŜowy

Lecz uderza wnet do głowy,

Przeto umiar miej;

Zaś przebrzydłej białej cieczy

Nie bierz do ust rodzie człeczy,

Bo zdychasz po niej.

Orfeo pacnął dłońmi o stół i trzepnął Nena w pochylone plecy. Dał

znak karczmarzowi, Ŝe chcą jeszcze jeden dzban wina. Salimbene posadził tymczasem swoje szerokie poŝladki z powrotem na ławie.

— Byłeś we Francji, bracie? — spytał kupiec.

— DwadzieŜcia pięt lat temu — odparł zakonnik. — W roku Pań-

skim tyŜiąc dwieŜcie czterdziestym ósmym wybrałem się do klasztoru w Sens na zebranie kapituły prowincjonalnej naszego zakonu we Francji. Swój udział zapowiedział Ludwik, król Francji, ze swoimi trzema braćmi, i bardzo chciałem go zobaczyć. Przybyli równieŜ minister

351
prowincjonalny Francji, arcybiskup Rouen, generał naszego zakonu Jan z Parmy oraz wielu custodes, definitores i discreti kapituły. — Zawiesił

głos upił łyk wina i wznosił oczy do nieba. — Prowincjał Francji, pomny zalecenia Eklazjastyka a w dniu swojej chwały nie bądź zarozumia-

ły *, nie chciał się wywyŜszać i chociaŜ król poprosił go, Ŝeby zajął

miejsce u jego boku, usiadł przy stole ze zwykłymi braciszczkami, za-szczycając ich swoją obecnością i podnosząc wielu na duchu.

— Obyśmy wszyscy brali przykład z poboŜnych ludzi — powiedział Orfeo i znów podniósł w toaście kubek. — I wypijmy teŜ za zdrowie pięknych kobiet, zwłaszcza tej jednej, którą dzisiaj poznałem.

— I wielu czarujących dam, których przewodnikiem byłem — do-dał Salimbene.

Neno pochrapywał cicho, a Orfeo z Salimbene wymieniali się opowieściami ze swych podróŜy. Zdaniem Orfea zaczęli dopiero powaŜ-

ne dzieło upicia się do nieprzytomności, kiedy na pobliskiej dzwonnicy odezwał się dzwon.

— Neeee! Za wcześnie uderzono dziś w ten pijacki dzwon. — Wychylił kubek do dna i rąbnął nim o stół. Dźwignął się z trudem z ławy, obudził Nena i pomógł mu wstać.

— Addio, signori! — krzyknął od drzwi zakonnik. — Będę was tu szukał jutro wieczorem.

W odpowiedzi Orfeo pomachał zakonnikowi latarnią. Nocny wiatr szczypał go w nagie, wciąż wraŜliwe po niedawnym goleniu policzki, a kocie łby wydawały się ponad miarę śliskie, kiedy wytoczywszy się z Neniem z winiarni, obrali kurs na dom sior Domenica, gdzie całe podda-sze przeznaczone było na kwatery dla zatrudnionych przez niego ludzi.

Zdradliwe uliczki przechylały się niebezpiecznie. Neno zatrzymał się i wysikał na ścianę kamienicy. Chciał znowu śpiewać, lecz Orfeo pociąg-nał go dalej.

* Syr 11,4.

352

— Zaraz uderzą w dzwon na gaszenie świateł, amico . Musi my zdą-

Ŝyć przed nim do sior Domenica.

Z naprzeciwwka nadchodzili trzej męŜczyźni z naciągniętymi na głó-wy kapturami. Orfeo przypomniał sobie, Őe wciąż ma przy sobie sakiewkę. Instynktownie wsunął wolną rękę pod opończę i zacisnął ją na rękojeści rapiera. Neno, nie zwracając uwagi na zbliŜających się męŜ-

czyzn, zatoczył się na drugą stronę uliczki i przytrzymał dłonią ściany.

— To on — mruknął najwyŜszy z męŜczyzn. — Ten z brodą. —

Zanim Orfeo zdąŜył zareagować, cała trójka rzuciła się na woźnicę. W

mdłym blasku latarni błysnęły sztylety i Neno osunął się z jękiem na kolana.

— Brać pierścień. Ma go na szyi.

— Diabła tam! Nie ma. Na palcu teŜ nie.

— Do diaska!

Orfeo ryknął i spadł na męŜczyzn od tyłu, wymachując dziko latarnią i rapierem. NajbliŜszy odwrócił się, by stawić mu czoło, i Orfeo ciął

go w szyję. Pozostali dwaj krzyknęli i rzucili się do ucieczki, nie oglą-

dając za siebie. Ten, który został, przyciskając dłonią ranę, opędzał się sztyletem od Orfea, nacierającego nań z uniesionym mieczem i osłaniającego się latarnią jak tarczą. MęŜczyzna chciał się cofnąć, ale potknął

się o leŜącego Nena. Orfeo wytrącił mu latarnią sztylet z ręki i ciął rapierem jak toporem. Rąbał, dopóki męŜczyzna nie ucichł i nie znieruchomiał. Wtedy postawił latarnię na ziemi, oparł się zdyszany o drzwi i zapłakał, patrząc na przyjaciela leŜącego w mroku uliczki niczym kup-ka brudnych łachmanów.

W końcu otarł grzbietem dłoni twarz i wyszarpnął spod tuniki łańcuszek z pierścieniem. Ścisnął pierścień w garści, przeklinając ojca, Calista di Simone i jego skrytobójców. Signore z Rokki zabił mu towarzysza, tak jak wcześniej wymordował rodzinę dziewczynki, która schroni-

ła się w klasztorze. ChociaŜ wstrząśnięty śmiercią Nena, poczuł się związany z nieszczęsną bardziej niŜ kiedykolwiek. Poprzysiągł sobie w duchu, Őe kiedyś zemści się za siebie i za nią.

353

Najchętniej zerwałby łańcuszek z szyi i odrzucił go razem z tym przeklętym pierścieniem najdalej, jak się da. Opanował się jednak, wsunął go z powrotem pod kaftan i schował miecz do pochwy. Po raz drugi tego dnia przyklęknął na jedno kolano, by wziąć na ręce ofiarę bez-przykładnej szlacheckiej deprawacji.

— Teraz, amico — szepnął do niesłyszającego ucha Nena — wyrwa-

łeś się wreszcie na wolność z tego okrutnego bezsensownego świata.

Jacopone zamrugał i otworzył oczy płowe i okrągłe jak złote floreny.

— Masz okruszek dla biednego grzesznika? — spytał schrypniętym szeptem kobietę, która siedziała na stołku przy jego łóżku.

Kobieta skinęła na stojącego obok chłopca.

— Powiedz matce, że nasz pacjent chce jeść. Zupa i chleb chyba na razie wystarczą.

Pokutnik powąchał swoje przedramię i zmarszczył nos.

— To maść, którą nacieraliśmy twoje sińce — powiedziała kobieta.

— Medyk zostawił ci te proszki na podreperowanie sił.

— Boże chroń mnie przed cyrulikami — warknął Jacopone. —

Oszczędź mi ich cudotwórczych ekstraktów, które pędzą z suszonych odchodów trędowatych. Śladnych smarowideł, mikstur, wywarów. Jedyne lekarstwo, jakiego mi trzeba, to natura. — Skrzywił się i ostro obmacał palcami włosy. — Rozbili mi czerep?

— Nie, ale masz wielkiego guza. Musiałeś uderzyć głową o kamień, kiedy upadłeś, potrącony przez powóz.

355

Lekko zezujące, orzechowe oczy usiłowały skupić się na kobiecie.

— Słyszałem już gdzieś twój głos. Kim jesteś?

— Kuzynką Vanny. Na imię mi Amata. Żli ludzie porwali mnie z naszego domu, zanim zdążyliśmy się poznać. — Oczywiście poznali się na drodze przed z górą dwoma laty, ale wołała nie mieszać mu teraz w głowie przypominaniem nowicjusza Fabiana.

— Mała Amata di Buonconte? To ty jesteś? — Ściągnął brwi, które utworzyły nad nasadą nosa wielkie „V”. Jego oczy błądziły po izbie, szukając odpowiedzi na pobielonych ścianach. W końcu spoczęły na jej twarzy, badały przez chwilę rysy, a w końcu skryły się znowu pod ciężkimi powiekami. — Za tobą tęskniła najbardziej — powiedział. —

Nie wiedziała, co się z tobą stało.

Amata wzięła go za rękę i splótła palce z palcami jego wielkiej dłoni.

— To długa historia, sior Jacopone. Opowiem ci ją, kiedy nabierzesz sił, a będzie czego posłuchać.

— To ty wzywałaś pomocy na piazza, tak?

Skinęła głową.

— Ale dlaczego Gaetani chcieli cię porwać?

Amata wygięła w półuśmiechu kącik ust.

— Tak hrabia Roffredo Gaetani wyobraża sobie zaloty. Mężczyź-

nie, który mnie poślubi, przypadnie w wianie spora fortuna.

Jacopone nie spuszczał z niej wzroku. Uderzyła ją czystość jego oczu — ani jednej karmazynowej Śyłki. Ona z braku snu miała ich gę-

stą siateczkę na białkach obu.

— A upatrzyłaś już sobie kandydata na męża? — spytał.

Roześmiała się i pokręciła głową.

— Nie przypadł mi do serca żaden z tych, którzy do tej pory prosili mnie o rękę. Ale poradzono mi, żebym szybko dokonała wyboru, bo potrzebny mi opiekun, który będzie mnie strzegł

przed takimi szakalami, jak Roffredo.

Jacopone rozkasłał się.

356

— Z tym... z tym nie ma pośpiechu. Wszak mężczyźni z twojej rodziny mogliby roztoczyć nad tobą taką opiekę... Sprawować nadzór nad twoim majątkiem. — Mówił z trudem, oddech miał świszczący. —

Sporządzałem takie umowy... w moim poprzednim życiu.

Pokutnik zaczął kręcić spoczywającą na poduszce głowę, krzywiąc się i walcząc o zachowanie przytomności. Jego prosta sugestia wywarła na Amacie hipnotyczny efekt. Wpatrywała się z fascynacją w tego z pozoru szaleńca, a w istocie człowieka tak uczonego, że potrafiłby gę-

sim piórem na jednym arkuszu pergaminu z gęstwy paragrafów prawa cywilnego utkać jej bezpieczeństwo.

Tylko że lista mężczyzn w jej rodzinie bardzo się skurczyła. Dziadek Capitano zmarł rok przed rodzicami, zostawiając tacie pierścień, który zrabował później Simone della Rocca. Stryjeczny wuj Bonifazio w ogó-

le nie wchodził w rachubę. Najpewniej ograbiłby ją ze wszystkiego i zostawił na łasce losu, albo zamknął znowu w klasztorze, gdzie doŚyła-by swoich dni jako suor Amata. Do roli takiego opiekuna nadawałby się tylko wuj Guido, ojciec Vanny. Jeśli jeszcze Śyje, jest teraz jedynym panem na Coldimezzo. I gdyby Jacopone porozmawiał z nim w jej imieniu... teŚ notariusza na pewno by nie odmówił, pomimo dawnego skandalu z udziałem jej i Bonifazia.

Spękanie wargi Jacopone znowu się poruszyły.

— Twój brat.

— Fabiano?

— Jeśli nie ślubował jeszcze Śyc w ubóstwie, nadałby się.

Na wspomnienie nieŚyjącego brata Amata zacisnęła szczęki — to wspomnienie wciąż sprawiało jej ból. Lecz w aluzji kuzyna do ślubu ubóstwa Fabiana było teŚ coś ujmującego. Musi kiedyś wyprowadzić sior Jacopone z błędu co do „braciszka Fabiana”.

Usłyszała za sobą szuranie sandałów, cięŚsze od kroków Pia. Kucharka sama przyniosła posiłek.

— Proszę pozwolić, Śe ja usłuŚę naszemu gościowi, madonna . W

podzięce za ocalenie wam Śycia.

357

— Widzicie, signore, jakie dobre duszyczki się tu wami opiekują —

powiedziała Amata z uśmiechem. Ciekawa była, czy zainteresowanie kucharki rannym pokutnikiem nie wynika aby z faktu, Śe ona jest wdową, a on wdowcem.

Ustąpiła kobiecie miejsca na stołku, wyszła na korytarz i stanęła przy oknie. Między listwami Śaluzji widziała lśniące w zimowym słoń-

cu, mokre szare kocie łby, którymi wybrukowany był zaułek. Powłó-

cząc nogami, przygarbiony, ze zwieszoną głową, zbliŚał się do drzwi frontowych bezbrody Orfeo Bernardone. Źle trafił, wybierając sobie na odwiedziny porę, kiedy ona wspomina brata. Jeśli po jego poprzedniej wizycie zrodziły się w niej jakieś wątpliwości co do podjętej decyzji, to teraz się rozwiały.

— Mam gościa! — zawołała, wsuwając głowę do izby Jacopone. —

Ale będę jeszcze chciała z tobą porozmawiać o rozwiązaniu, które mi podsunąłeś.

Otwierając przybyszowi, plan miała juŚ z grubsza obmyślony. Za jednym zamachem zemści się i zapewni sobie opiekę. Kiedy Jacopone dojdzie do siebie na tyle, by móc podróŚować, pojedą do

— zakładając, że hrabia Guido wciąż tam mieszka. Nie wiedziała nawet, czy zameczek przetrwał napaść, ale Jacopone będzie to wiedział.

Ona zacznie udawać, że jest zainteresowana Orfeem i poprosi go, żeby im towarzyszył jako ochrona przed grasującymi na drogach zbrojcami, a kiedy dotrą do Coldimezzo... to idealne miejsce, by syn Bernardone zapłacił za mord dokonany na jej rodzinie! Kamienista ziemia Coldimezzo wchłonie z radością jej ofiarę, stanie się ołtarzem ofiarnym, na podobieństwo tych spływających krwią płaskich kamieni, na których hebrajscy patriarchowie zarzynali kozły, cielątka i gołębie, by odkupić swoje grzechy.

Amatę, pomimo tych fantazji o ostatecznym wyrównaniu rachunków, przygnębienie Orfea zbiło nieco z tropu. Jaką będzie miała satysfakcję z zabicia kogoś, kto już wygląda na takiego, który najchętniej

wyzionałby ducha? Bładość świeżo ogolonych policzków jeszcze bardziej potęgowała to wrażenie. Usiadł ciężko naprzeciwko niej na krze-

śle przed kominkiem, ale spojrzenie, zamiast na nią, skierował na płomienie.

— Skąd ta posępna mina, signore? — spytała. — Czyżbyście zawsze tak wyglądali pod zarostem? Myślałam, że przychodzicie bawić mnie opowieściami o przygodach.

— Nie powinienem był przychodzić tak prędko — westchnął. — To był błąd. — I zamilkł znowu, obracając się na krześle twarzą do ognia, jednak do wyjścia się nie zbierał. Usta miał otwarte jak imbecyl, który chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zapomniał co.

W końcu odezwał się głosem mrocznym jak loch:

— Musiałem z kimś porozmawiać. I opowiem ci, pani, o Starcu z Góry imieniem Ala-al-Din, wyznawcy wuja Mahometa, Alego.

Wpatrując się w płomienie, zaczął:

— Wódz ów mieszka pod Alamut, za granicą Armenii Większej.

Założył tam ogród, w którym znaleźć można każdy owoc, każdy wonny kwiat. Na jego ziemiach wznoszą się marmurowe pałace z wyrobami ze złota, obrazami i jedwabiami. Rurami w tych budowlach płyną we wszystkich kierunkach wino, mleko, miód i czysta woda. Mieszkają w nich eleganckie panny, które tańczą i śpiewają przy dźwiękach lutni i są specjalnie szkolone w sztuce uwodzenia.

Amata uśmiechnęła się, wyobrażając sobie to wszystko. Czemuś nie dane jej było przyjść na świat w takim wspaniałym pogańskim otoczeniu i jest skazana na tę chrześcijańską szarzyznę. Zerknęła na twarz Orfea, lecz ta pozostawała zaszępią, kontrastując ostro z kwiecistym opisem, jaki przed nią roztoczył. Przymknęła oczy, żeby jego mina nie przeszkadzała jej śnić na jawie.

ciągnął młodzieniec tym samym monotonnym głosem — bo rozciąga się on w dolinie, a sekretnej drogi do niego strzeże warowny zamek.

359

Ala-al-Din stworzył to niebiańskie miejsce, żeby uchodzić za proroka, za kogoś, kto może wpuszczać do tego rajy tylko tych, którzy są posłuszni jego woli.

Na swoim dworze podejmuje wielu młodzieńców z okolicznych gór, dobieranych pod względem umiejętności i nieprzeciętnej odwagi. Opowiedziawszy im o rajy i zaznaczywszy, że tylko on może ich tam wpu-

ścić, częstuje gości specjalnym zieleń zwanym hashishin. Potem, kiedy odurzeni zapadają w półsen, prowadzi ich do tajemnych miejsc, gdzie przez wiele dni zażywają wszelkich rozkoszy, i w końcu zaczynają wierzyć, że ich gospodarz naprawdę mieszka w rajy.

Amata poprawiła się w fotelu.

— I ci przystojni chłopcy zostają tam na zawsze?

— Czy ja powiedziałem, że są przystojni? — Orfeo przekrzywił

głowę i zerknął na nią spod oka. — Nie, wychodzą stamtąd, ale nie z własnej woli. Wódz odurza ich znowu i każe zaprowadzić do pałacu.

Tam pyta, gdzie byli, i zapewnia, że jeśli będą mu posłuszni, pozwoli im wrócić do rajy, który właśnie opuścili.

I ci młodzi mężczyźni wykonują każdy jego rozkaz, a nawet gotowi są umrzeć, słuchając mu, albowiem wierzą, że po śmierci będą szczęśliwsi niż za życia. Jeśli któryś z książąt z sąsiednich krain ośmieli się obrazić Ala-al-Dina, ginie z rąk wojowników wodza, z których Saden nie lęka się poświęcić życia. Saden człowiek, choćby najpotężniejszy, naraziwszy się Starcowi z Góry, nie ujdzie jego assasinom — bo tak się ich nazywa od hashishinu, którym się odurzają. Z aktów mordy, których się dopuszczają, zasłynęli tak, że słowo assasino weszło nawet do naszego języka.

Orfeo zamilkł i podrapał się po płamce na kciuku. Amata zaklaskała entuzjastycznie, ale kupiec nadal siedział ponury.

— Piękna i straszna historia, signore — pochwaliła. — I to wszystko prawda?

— Najprawdziwsza — odparł. A potem ukrył twarz w silnych dłoniach.

360

Kiedy znowu na nią spojrział, w oczach miał łzy.

— Przedwczoraj w nocy assassini zamordowali mojego woźnicę, mojego przyjaciela — wyznał. — Tego, którego widziałas, jak stanął z toporem przeciwko rycerzom hrabiego Roffreda.

Amata rozumiała teraz smutek kupca. Nie pozwoliła sobie jednak na okazanie współczucia. Ten kącik serca pozostał zamknięty. A Œeby się nie otworzył, skupiła się na pewnej myśli: assassini wymordowali teŒ

moją rodzinę, assassini wynajęci przez twojego ojca.

— Mieli zabić mnie — podjął kupiec — ale ponieważŒ ja zgoliłem brodę, a Neno nie, pomylili nas.

Orfeo wstał, nogi krzesła odsuniętego jego łydkami zaszurały po posadzce.

— Przeszedłem się poŒegnać, madonna . Nie rozumiem, dlaczego obudziłem w kimś taką wrogość, ale wiem, Œe moje Œycie byłoby w niebezpieczeństwie, gdybym pozostał w AsyŒu. Zamierzam poprosić sior Domenica, Œeby zorganizował jeszcze jedną wyprawę kupiecką.

Œałuję tylko, Œe muszę ruszyć w drogę właśnie teraz, kiedy poznałem ciebie, pani.

O nie! Nie moŒesz znowu zniknąć, pomyślała Amata.

— Czy nie na to właśnie czekają ci mordercy — wyrzuciła z siebie.

— Œeby dopaść cię za murami?

Œciągnął brwi, a ona wykorzystała ten moment, by przedstawić mu propozycję:

— Za kilka dni wybieram się do wspólnoty Todi i szukam do ochrony kogoś potrafiącego władać bronią. Miałam nadzieję, Œe ty się tego podejmiesz.

Widząc, Œe Orfeo się waha, dorzuciła szybko:

— Twój wróg nie spodziewa się takiego posunięcia, a ty i ja... —

Ty i ja? Urwała, bo mało brakowało, a wszystko by zepsuła, skłamała-by.

Nie skończyła jeszcze, a jemu twarz zaczęła się juŒ wypogadzać.

Ciekawa była, co przemówiło do niego silniej — perspektywa wymknięcia 361

się skrytobójcom czy słowa, których nie dopowiedziała.

Orfeo wziął ją za rękę.

— Jestem zaszczycony, madonna — powiedział. — Prawdziwie zaszczycony.

Mrówki przebiegły jej po udach, kiedy złoŒył delikatny pocałunek na grzbiecie jej dłoni.

— Żle z Gerardino. Grypa zajęła mu płuca i przestał jeść. — Zefferino przekazał tę wiadomość przez kratę Konradowi i Janowi, kiedy zszedł do nich z posiłkiem.

Jan z Parmy pokręcił ponuro głową, kiedy Konrad podał mu miskę z zupą.

— Wielu uwaŜa, Őe brat Gerardino di Borgo San Donnino stał się mimowolnym sprawcą mego uwięzienia. Jak sądzisz, jak długo ja i on jesteśmy gośćmi Bonawentury? Szesnaście lat? CięŜki to był czas dla kogoś tak młodego i pełnego Őycia jak on. Pokochałbyś go, Konradzie

— wybitny teolog, uprzejmy, poboŜny, umiarkowany w słowach i je-dzeniu, zawsze skory do pomocy z całą pokorą i wyrozumiałością.

— Opisujesz świętego. Co mu właściwie zarzucono? — spytał zakonnik.

— Podobnie jak ja wziął sobie do serca proroctwa opata Joachima.

Ale on dodatkowo dopatrzył się w nich antyklerykalnych znaczeń i duchowieństwo świeckie z ParyŜa zwróciło się przeciwko niemu. Jako minister generalny powinienem był go ukarać, bo to, co głosił, ocierało się o herezję, nie uczyniłem tego jednak, gdyŜ widziałem w jego poglą-

dach piękną logikę. Doszło do tego, Őe przypisywano mi nawet niektóre z jego rozpraw. I w konsekwencji, kiedy upadł, upadłem i ja. Dla konwentualnych był to tylko pretekst, Őeby się mnie pozbyć.

Jan zanurzył w ciepłej zupie kawałek chleba i czekał, aŜ rozmięknie.

Zjadł go, po czym uniósł miskę z zupą do ust. Konrad podjął próbę powrócenia do tematu:

362

— Kiedy Gerardino zaczął rozbudowywać nauki Joachima? — spytał.

Jan spojrział na niego z roztargnieniem i zakonnik przygotował się na kolejną z jego dygresji.

— Przepraszam, bracie. Przypominałem sobie piosenkę, której nie śpiewałem od lat. Powiadają, Őe dzieciątko noszone jeszcze na rękach zaśpiewało ją pierwsze, Őeby ostrzec przed tym, co nadciąga.

Raz Rzymianin zdzielił w głowę swego ziomka Rzymianina,

A dzielony, za swą krzywdę w podarunku Rzym otrzymał.

Był raz lew, co wszedł na górę i został lisa kompanionem,

Lecz z lamparta skórę przywdział, i to był jego smutny koniec.

Nigdy nie udało mi się rozszyfrować, kogo mieli reprezentować ci dwaj Rzymianie, i lew, i lis, tak samo jak nie wiem, kim w przepowied-niach Joachima jest Antychryst ani co znaczy Ohyda

Spustoszenia.

Przez lata uwaŜałem, Ŝe tym Antychrystem jest cesarz Fryderyk. Jego zwyczaj codziennych kąpieli, nawet w niedzielę, dowodził, Ŝe nie przestrzega ani przykazań Boga, ani Ŝwiąt i sakramentów Kościoła. Ale kiedy Fryderyk umarł, a reszta przepowiedni nadal się nie wypełniała, naszły mnie wątpliwości. Kiedy spytałem Gerardina, co on o tym myśli, powiedział, Ŝe osiemnasty rozdział Izajasza, zaczynający się od słów Ach, kraju brzęczących skrzydeł * i tak dalej, aŜ do końca, odnosi się do króla Kastylii, Alfonsa. „Z pewnością to on jest tym przeklętym Antychrystem, o którym mówią wszyscy doktorzy i Ŝwięci”, powiedział. Co zaŝ do Ohydry Spustoszenia, to z taką samą pewnością twierdził, Ŝe opisuje Ŝwiętokupnego papieŜa, który niebawem nastanie.

— I za takie interpretacje ministrowie uwięzili Gerardina? —

zdziwił się Konrad.

* Księga Izajasza 18,1.

363

— Niezupełnie, chociaŜ wykpiłi go za nie ustami wykładowców z uniwersytetu. Opat Joachim dzieli cały czas na trzy części: w pierwszej Bóg Ojciec działał w tajemnicy poprzez patriarchów i proroków. W

drugiej Syn działał poprzez apostołów i ich następców, kler, o której to części mówi: „Ojciec mój działa aŜ do tej chwili i ja działał”*. W trzeciej i ostatniej części działał będzie Duch Ŝwięty poprzez religijne zakony, zakonników i zakonnice, wprowadzając hierarchię na nowe drogi. Nie Ŝeby przestały obowiązywać Testamenty Stary i Nowy, ale Duch otworzy ludziom oczy i ujrzą nowe objawienia zawarte w tych staroŜytnych tekstach — Wieczną Ewangelię wywodzącą się z Testamentów, tak jak jej Autor, Duch Ŝwięty wywodzi się z Ojca i Syna. Ale zanim tak się stanie, muszą nastąpić dramatyczne wydarzenia zapowiedziane w Apokalipsie, rządy Ŝwiętych musi poprzedzić Armagedon. My-

śleliśmy, Ŝe przełom nastąpi w roku tysiąc dwieŝcie szeŝdziesiątym.

— Dlaczego akurat wtedy? — spytał Konrad.

— Tak by wynikało z historii Judyty. Judyta Ŝyła jako wdowa trzy lata i szeŝć miesięcy, czyli tysiąc dwieŝcie szeŝdziesiąt dni. Symbolizuje Kościół, który przeŜywa Chrystusa, swego małŜonka, ale nie o tysiąc dwieŝcie szeŝdziesiąt dni, tylko lat. A zatem tym wielkim punktem zwrotnym w dziejach Kościoła musi być rok tysiąc dwieŝcie szeŝ-

dziesiąty.

— Ale jeŝli Nasz Pan zmarł w trzydziestym trzecim roku Ŝycia —

zauwaŜył Konrad — to czy rok spełnienia nie powinien nastąpić trzydzieŝci trzy lata po roku Pańskim tysiąc dwieŝcie szeŝdziesiątym?

Jan podniósł oczy na Konrada i potarł pięścią czoło.

— Oczywiście! To dlatego nie doszło jeszcze do wydarzeń przepowiedzianych przez Joachima. Tego Gerardino nie wziął pod uwagę. Ale to nie wszystko. Gerardino opublikował jeszcze Wstęp do Wiecznej Ewangelii, w którym zawarł najbardziej znane prace Joachima, opatrując je własnym wstępem i przypisami. Twierdził tam, że Sakramenty to

* Jan 5,17.

364

tylko przejściowe symbole, które podczas rządów Ducha Świętego zostaną odrzucone. Utożsamiał również papieżstwo z Ohydą Spustoszenia, jak już powiedziałem, a na kilka lat przed zapowiadającym spełnieniem papieżstwo nie mogło być takim zrównaniem zachwycone. Obwieścił

ponadto, że święty Franciszek był nowym Chrystusem, który miał zastąpić Jezusa, Chrystusem drugiej ery. Paryskie szkoły nie mogły dopu-

ścić, by takie twierdzenia przeszły bez echa, i w roku tysiąc dwieście pięćdziesiątym piątym postawiono tę sprawę przed komisją papieską.

Komisja potępiła dzieło Gerardina i spaliła wszystkie jego kopie. Teraz wygląda na to, że Gerardino sam umrze jako ekskomunikowany za swój upór heretyk, bo do dzisiaj nie odwołał swoich nieortodoksyjnych idei.

Do tematu Gerardina wrócili dopiero po kilku dniach, kiedy Zefferino schrypniętym szeptem obwieścił im to, co stać się musiało:

— Tej nocy dusza brata Gerardina opuściła we śnie jego ciało.

— Niech Nasz Pan i Jego Błogosławiona Matka przyjmą jego duszę

— szepnął Jan.

Skrzypnęła otwierana krata i Zefferino zszedł do nich.

— Bernardo da Bessa wymienił go jako przykład na porannej kapitule. — Zefferino zniżył głos. — Tak to się kończy, kiedy zakonnik jest upominany przez ludzi większej wiedzy, a mimo to nie wyrzeka się swoich fałszywych poglądów, lecz trwa przy nich z uporem, oszukując samego siebie.

— To kapituły prowadzi teraz Bernardo? — spytał Konrad.

— No właśnie. Przynoszę jeszcze jedną nowinę — powiedział Zefferino. — Bonawentura pojechał do Rzymu. Ojciec Święty poprosił

go, żeby przemówił na soborze Kościoła w Lyonie. Nie będzie go co najmniej do końca lata.

Konrad spuścił głowę. Wstał i poruszył palcami u stóp, które marzły mu w zimnej wilgotnej celi. Wlokąc za sobą łańcuch, podszedł z resztkami posiłku do koszyka na ścianie. Od dwóch lat żył nadzieją, że generał

365

złagodnieje może i uwolni jego oraz Jana z Parmy. Teraz, zajęty przy papieżu, Bonawentura nie będzie miał pewnie czasu na przejmowanie się losem nieszczęsnych zakonników, których więzi w lochach Sacro Convento. Zostaną tu jeszcze przez co najmniej pół roku.

Konrad spojrział na starego zakonnika chłepczącego zupełnie. Jan przesiedział tu tyle samo czasu, co Gerardino. Spuścił wzrok na swoje blade wychudzone dłonie, ścisnął przez rękaw habitu cienkie jak patyk przedramię. Czy jak Gerardino dokonają z Janem żywota w więziennym lochu? Czy nie będzie mu dane wypełnić ślubu i pracować wśród trę-

dowatych? Czyżby po to właśnie Bóg przyciągnął ich do zakonu, żeby dożyli swoich dni w podziemnej ciemnicy w towarzystwie szczurów?

Zaiste, niezbadane są ścieżki Twoje, Panie, pomyślał, odbierając pustą miskę od Jana i oddając ją Zefferinowi.

— Chodź, bracie — powiedział do Jana, kiedy dozorca odszedł. —

Podziękujmy teraz za posiłek.

— Wkrótce tam będziemy — mruknęła Amata, strzepując z opończy grudki schnącego błota, kiedy Orfeo spytał, dokąd zmierzają.

Naturalnie rozpoznawał trakt do Todi, podróżował tędy z ojcem jako chłopiec. Po prawdzie to znał go aż za dobrze i doskonale wiedział, że jeśli przez następną milę nie zjadą z niego na jakimś rozwidleniu w bok, to doprowadzi ich prosto do Coldimezzo.

Cóż najlepszego uczynił, przyjmując tak beztróska propozycję tej kobiety? Ich mała karawana posuwała się teraz skrajem wiru, który tylko patrzeć, jak go wciągnie, wessie w samo jądro najmroczniejszych koszmarów i porzuci rozbitego na dnie. Był ciepły marcowy dzień i pot wystąpił mu na czoło, ściekając struškami po skroniach i policzkach, kiedy przypomniał sobie obraz rzezi, który nawiedzał go w snach —

ludzie ginący pod ciosami mieczy i podkowami bojowych koni —

wzbożacy teraz o nową wizję szamocącego się w pętach dziecka uwożonego przez morderców, których wynajął jego ojciec.

367

Ściągnął wierzchowcowi wodze i został kawałek z tyłu. Jego przyśpieszony oddech mieszał się ze świergotem ptactwa nawołującego się pośród zarośli po obu stronach drogi. Nawet ptaki kpiły sobie ze zmiany, jaka zaszła w jego nastroju. To, co z początku zapowiadało się tak romantycznie — jechali z donną Amatą strzemień w strzemień, on opowiadał jej o swoim przyjacielu Marku, ona jemu o donnie Giacomie i wspaniałej podróży do Marche, krew krążyła mu w żyłach jak żywica w tych budzących się do życia przydrożnych drzewach — teraz przeistoczyło się w koszmar niepewności, co też może czyhać za następnym zakrętem traktu.

Amata też sponiewiała. Była chłodna, zamyślona, od godziny do nikogo się nie odezwała. Naciągnęła na głowę kaptur, zwolniła. Nie zachowywała się jak kobieta, która jedzie załatwić jakąś drobną sprawę, choć tak mu powiedziała. Nawet ten młody Pio chyba to zauważył, bo dał za wygraną i nie jechał już obok niej.

Orfeo dźgnął konia ostrogą i zrównał się z wozem Jacopone. Słudzy wymościли go słomą, a na słomę rzucili kilka warstw koców. Poturbowane mężczyzna drzemał spokojnie, nie zważając na muchę, która brzęczała mu koło twarzy i wzbijała się wyżej, ilekroć wóz podskoczył

na wykrocie. Od przeprawy przez Tyber ciągle się wspinali, a im wyżej byli, tym twardsza stawała się droga. Każdą mijaną polanę pokrywał

dywan świeżej trawy, po polach snuli się kmiecie, sprawdzając wilgotność gleby. Młode listki zieleniły się na krzakach i drzewach, te z drzewek owocowych, które przetrwały srogą zimę, puszczały pierwsze różowo-białe pączki.

Zebrał się w końcu na odwagę i podjechał stępa do Amaty. Kiedy był już blisko, dziewczyna wstrzymała nagle konia i patrząc na wprost, wydała cichy okrzyk. Powolnym ruchem ściągnęła kaptur z głowy i wiatr rozwichrzył jej czarne włosy, niewiele dłuższe niż u mężczyzny

— powiedziała mu, że przywykła do takich w klasztorze. Z ociąganiem oderwał oczy od jej profilu, żeby spojrzeć, co ją tak poruszyło.

368

To chyba to miejsce, pomyślał. Ale wyglądało jakoś inaczej, niż je zapamiętał. Wtedy zamek otaczało ziemne obwałowanie, pod które podchodził las, a z kamienia wzniesione były tylko wieże i łuk nad bramą. Teraz Coldimezzo okalał wysoki kamienny mur, nad blank któ-

rego wystawała tylko górna kondygnacja zamkowego stołbu. Drzewa i zarośla wycięto, żeby ewentualny wróg zmuszony był nacierać pod górę szerokiej skarpy bez śladnej nadziei na zaskoczenie załogi.

— Umocnili go — stwierdziła pod nosem Amata — ale mleko już

się rozlało. — Szarpnęła wodze i podjechała do wozu. Przechyliła się przez drabinkę i potrząsnęła za ramię śpiącego Jacopone. — Zbudź się, kuzynie. Jesteśmy w domu.

Pokutnik zamrugął, a Orfeo zeszywniał w siodle. Patrzył na Amatę oniemiały, zupełnie jakby widział ją po raz pierwszy, podsumowując w myślach to, co o niej wie: jej wielkiej przyjaźni z zakonikiem, jej pobyt wśród sióstr, wspaniałomyślność starej szlachcianki, która ją przygarnę-

ła (bo była sierotą?), vendetta, którą wciąż nosiła w sercu (chciała się mścić na ludziach z Rokki?).

Widać tu było wyraźnie rękę Boga, rękę, która wyłuskała go z Akki, przeniosła do Asyżu, a teraz tutaj, razem z tą kobietą. Przyglądał się jej blademu licu, dopatrując się w nim rysów dziewczynki, która wtedy zerkała na niego wstydliwie z wieży przy bramie. Ile to lat już minęło?

Osiem na pewno. Amata przyznała kiedyś z pewnym zaambarasowaniem, że biegnie jej już dziewiętnasty rok. Dobry Boże, to jak nic ona!

Serce waliło mu jak komuś, kto na swej drodze zoczył niespodziewanie cenną monetę. I jak taki ktoś, kto upewniwszy się, że nikt go nie obserwuje, przydepnąłby tę monetę butem, Orfeo postanowił, że póki co zachowa swoje odkrycie dla siebie. Pewnego dnia, we właściwym czasie i w bardziej sprzyjających okolicznościach, wyjawি jej, że ich drogi z tragicznym skutkiem już się kiedyś skrzyżowały. Na razie bę-

dzie tylko obserwował, studiował, jakim piętnem odcisnęły się na niej tamte wypadki. Ale już teraz był pełen podziwu dla hartu ducha tej kobiety, zważywszy, ile musiała wycierpieć.

369

Wciąż zaspany Jacopone wygramolił się ze słomianego legowiska i usiadł na koźle. Amata dała znak i ruszyli. Z zamku już ich zauważono.

Na murach pojawiało się coraz więcej ludzi. Amata wodziła oczami po blankach, szukając chyba jakiejś znajomej twarzy. Kiedy byli już blisko, ktoś z załogi krzyknął z góry, żeby się opowiedzieli, kim są i czego chcą.

— Czy Cleto Monti nie stróży już tu przy bramie? — zawołała Amata.

— Nie znam takiego! — odkrzyknął strażnik.

— Już ósmy rok, jak Cleto nie żyje, pani — rozległ się inny głos.

— Usieczon podczas napaści na ten zamek.

— Nie wiedziałam — powiedziała Amata tak cicho, żeby usłyszeli to tylko jej towarzysze. Na moment jakby upadła na duchu, szybko jednak wzięła się w garść i zawołała: — Amata di Buonconte i Jacopo dei Benedetti da Todi proszą o gościnę jej wuja, hrabiego Guida di Capitanio!

— Łiesz! — wrzasnął inny mężczyzna. — Amata di Buonconte też

nie żyje, zginęła podczas tamtego napadu. A sior Jacopowi pomieszało się w głowie i skończył ze sobą po śmierci Sony.

Na te słowa Jacopone poderwał głowę.

— Goń w te pędy po jej wuja, pyskaczu! — ryknął na strażnika. —

Byle głupiec co ma oczy, widzi, jesteśmy nie duchy.

Orfeowi, nie wiedzieć czemu, łzy napłynęły do oczu, kiedy strażnik zniknął za parapetem. To przekrzykiwanie się Amaty i jej kuzyna z załogą zamku śmieszyło go i wzruszało zarazem. Poprawił hełm na głowie i opuścił przyłbicę, żeby ukryć swoje poruszenie.

Zaległa pełna wyczekiwania cisza. Nie trwała długo, bo już po chwili za murem wszczął się rwetes. Słychać było nerwową krzątanie i piski kobiet, ponad które wzbijał się gruby męski głos, wykrzykujący rozkazy do wszystkich naraz. Brama otworzyła się ze skrzypieniem na oścież i ten sam głos ryknął:

— Gdzie ona?!

Amata zsunęła się z konia.

370

— Dobrze tu jestem widziana, wuju? — zawołała do wielkiego niedźwiedzia, który wypadł z zamku na spotkanie przybyszom. Znalazł

się przy niej w paru długich susach i porwał w ramiona. Spłoszony koń odsunął się, kiedy twarz Amaty utonęła w zmierzwionej siwej brodzie wuja. Wyściskawszy bratanicę, postawił ją na ziemi i odsunął od siebie na długość wyciągniętych ramion.

— Amata, dziecko kochane. IleŜ to miesięcy szukaliśmy cię wszyscy, ale ty jakbyś się pod ziemię zapadła. Po zajeździe Ŝaden z niedo-bitków nie potrafił powiedzieć, kto ich zaatakował.

— Przez wiele lat byłam więziona w AsyŜu. To długa i niewesoła historia. Ale teraz przybywam jako wolna kobieta.

Hrabia Guido wziął ja za ręce i pokręcił głową.

— A mnie brakowało ciebie tak samo jak Vanny. Straciliśmy ją ja-kiś rok po twoim zniknięciu.

— Wiem. Sior Jacopo mi powiedział. Musieliście bardzo to prze-

Ŝyć.

MęŜczyzna rozejrzał się trochę błędnie, tak jakby dopiero teraz uświadomił sobie, Ŝe bratanica nie jest sama. Przenosił wzrok z twarzy na twarz i Orfeo podniósł przyłbicę. W końcu jego rudawobrazowe oczy spoczęły na oberwanym trupiobladym pokutniku, siedzącym na koźle.

— Sior Jacopo? — wykrztusił ze współczuciem. — Do tego stanu się doprowadziłeś?

— To dobry stan. — Jacopone zdobył się na uśmiech. — Widzia-

łem piekło, suocero mio, ale teraz wróciłem.

— Pora zarŜnąć tłuste ciele! — krzyknął hrabia do ludzi tłoczących się w bramie. — Ochmistru, bierzcie się do przygotowania uczy. —

Złapał konia Amaty za uzdę, ją samą zaś objął wolną ręką w talii i na wpół poprowadził, na wpół poniósł w stronę zamku. Amacie juŜ od jakiegoś czasu drŜały ramiona i teraz wreszcie się rozplakała.

Orfeo równieŜ zsiadł z konia i ruszył za nimi. Dolatywały go strzępy ich rozmowy.

— Nie byłam pewna...

371

— Ha! Bonifazio to spassione łajno wołu. Wszyscyśmy wiedzieli...

Hrabia Guido zatrzymał się nagle i spojrzał na mokrą od łez twarz bratanicy.

— Nie było dnia, Ŝeby twój ojciec nie wyrzucał sobie kary, którą ci wymierzył — powiedział z naciskiem. — Uczynił to, bo uwaŜał, Ŝe tak trzeba, ale złamało mu to serce. Byłaś dla niego

najcenniejszym na świecie darem i stracił głowę, kiedy Bonifazio ten dar skalał. Nigdy tego wujowi nie wybaczył.

Amata przytuliła się do niego i oparła czoło na jego piersi. Szlachcic spojrział ponad jej głowę i widząc stojącego w pobliżu Orfeę, zmarszczył czoło i machnął władczo ręką.

— Prowadź konie do stajni, człecze. Sługa wskaże ci drogę. Nie podsłuchuj, kiedy rozmawiamy o sprawach twojej pani.

— Ale... — zaczął Orfeo i urwał, pewny, że Amata wyjaśni zaraz wujowi, że nie jest zwyczajnym pacholkiem, lecz przyjacielem. Jednak ona nie uniosła nawet głowy. Rozejrzał się stropiony. Wóz odtaczał się już w kierunku stajni, jakiś sługa prowadził osłabionego Jacopone do zamku. Orfeo wzruszył ramionami, odebrał od hrabiego uzdę konia Amaty i powłókł się za wozem. Hrabia gwizdnął na chudą, piaskowo-włosą, siedmio-, może ośmioletnią dziewczynkę.

— Pójdź tu, Teresino. Dziadek ma dla ciebie wielką niespodziankę.

Jacopone wyciągnął obolałe członki na szerokim łóżku teścia w wielkiej sali zamku. Ciepło bijące od kominka i zmęczenie po podróży na podskakującym i kolebiącym się wozie sprawiły, że znowu ogarniała go senność.

W tej sali po raz pierwszy zobaczył Vanę. Zamknął oczy i przywołał z pamięci chwilę, kiedy weszła w czepku i prostej zielonej sukni.

Nawet na niego nie spojrzała. Wpatrywała się w podłogę, on też nie

zwracał na nią większej uwagi, pochłonięty omawianiem warunków mariażu z jej rodzicami. Jakże niepodobna do pewnych siebie, wyzywających kobiet z Todi była ta skromna wiejska dziewczyna. Ujmował

go jej brak ogłady, a jednocześnie deprimował: będzie musiał nadać jej poloru, zanim odważy się pokazać ludziom. Ale jej naturalna uroda, odpowiednio podkreślona i przyozdobiona, będzie kiedyś błyszczącym klejnotem i dźwignią jego kariery. Kupcy z miasta będą zlatywali się do jego domu stadami dla samej przyjemności złożenia wśród komplementów pocałunku na jej drobnej, choć może za bardzo opalonej dłoni.

Vanna non vanitas. Tyle mógłby się od niej nauczyć, gdyby nie umarła, gdyby bardziej otworzył się na prawdę, którą żyła na co dzień.

Dlaczego trzeba było dopiero tego fatalnego wypadku, żeby przejrzał

na oczy? Naciągnął na głowę kołdrę Guida, przesiąkniętą zapachem tego starego niemyjącego się wojownika. Kiedy, o Panie, raczysz mnie uwolnić? Kiedy będę mógł zobaczyć jej świetlistą duszę i osobiście poprosić o wybaczenie?

Nagle usłyszał szepty.

— No, idź — ponaglał ktoś kogoś. — Przecieś cię ugryzie.

I zbliżył się cherubin. Ostrośnie ściągnął mu kołdrę z głowy, odkrywając ramiona i pierś. Poczuł, jak mała chłodna rączka dotyka jego zrogowaciałej dłoni. Otworzył jedno oko. Na cherubina padały pod kątem promienie popołudniowego słońca, przydając blasku jasnym włosom i białej szacie przepasanej złotym sznurem. Dziecięce liczko miało te same usta i tę samą bródkę, co Vanna, o której właśnie śnił. Z

radością powitał ów omen.

— A zatem już czas? — zapytał. — Przychodzisz po mnie?

Cherubin podskoczył jak ptaszek i przysiadł na krawędzi łóżka. W

milczeniu, z powagą w oczach, przypatrywał się jego twarzy. Jacopone uniósł brwi, a potem jął na przemian to marszczyć, to wygładzać skórę 373

czoła i policzków. Z mrowienia, jakie odczuwał, wynikało, że wciąż

żyje.

— Nonno Guido mówi, że jesteś moim tatą.

Jacopone rozejrzał się po izbie. Przy drzwiach stali jego teść i Amata.

— Coś ci dolega? — spytała dziewczynka. — Dziadek powiedział, że wiele lat byłeś chory i dlatego nie mogłeś do mnie przyjść.

Jacopone ścisnął małą rączkę.

— Jak cię zwa, dziecko?

— Teresa di Jacopo. Ale wszyscy wołają na mnie Teresina.

— Bardzo ładne imię. — Wciąż trzymając ją za rękę, sięgnął pamięcią wstecz przez mgłę minionych lat. Znowu zobaczył zmiażdżone ciało Vanny wnoszone do ich sypialni, słuzące mną w dłoniach farmazycji, zawodzącą zapłakaną mamkę, tulącą do piersi bambino. Vanna i mamka dokładały wszelkich starań, żeby dziecko nie przeszkadzało mu w prowadzeniu interesów, i robiły to tak skutecznie, że ledwie uświadamiał sobie obecność tej kruszyny w domu. Niemowlę miało wówczas nie więcej niż dwa miesiące.

Rozprostował palce, ale dziewczynka nie cofnęła rączki.

— Kiedy ostatni raz cię widziałem, byłaś niewiele większa od mojej dłoni — westchnął. — Patrzcie tylko, jak urosłaś. — Zwrócił się do Guida, który podszedł tymczasem do łóżka. — Niech Bóg ci wynagrodzi, suocero. Dobrze jej strzegłeś.

— AŜ do dzisiaj była wszystkim, co mi pozostało. Jest dla mnie darem niebios. — Jego niedźwiedzie warczenie przeszło w mruczenie.

Usiadł na łóŜku obok dziewczynki i siennik ugiął się pod jego cięŜarem.

Pogłaskał wnuczkę po główce. — Widzisz, nawet włosy masz tego samego koloru — powiedział do małej — chociaŜ liczko odziedziczyłaś zdecydowanie po matce.

— Deo gratia — roześmiał się Jacopone. — Niech Bogu będą dzie-
ki.

374

— Ten śmiech coś zgrzytliwie mi brzmi — stwierdził Guido. —

Mam wyśmienite wino, które szybko naoliwi ci gardło.

Hrabia wstał i zdjął Teresinę z łóŜka.

— Zaopiekujemy się twoim tatą, podtuczemy go i niedługo nabierze sił na tyle, Ŝeby się z tobą bawić — obiecał. — A teraz niech odpoczywa. Macie oboje mnóstwo czasu na zapoznanie się i zaprzyjaźnienie.

Calista di Simone aŜ skręcało ze złości. Jego ludzie tak pokpili sprawę. Nie dość, Ŝe nie odzyskali pierścienia bractwa, to jeszcze pozwolili młodemu Bernardone uciec z miasta. Jakby tego było mało, czyraki z szyi rozsiały mu się na plecy po obu stronach kręgosłupa. Nie mógł

nawet usiąść wygodnie na krześle z wysokim oparciem.

LeŜał teraz na stole na brzuchu, a słuŜąca nacinała ohydne wrzody i kładła na nie gorące kompresy, Ŝeby odciągnąć z nich ropę. Jedna z parujących szmat była tak rozgrzana, Ŝe go oparzyła. Ryknął z bólu i machnął na oślep pięścią, trafiając kobietę w Ŝoładek.

— Specjalnie to zrobiłaś!

Cios na moment pozbawił kobietę tchu, zdołała jednak wykrztusić:

— Nie, panie. Przysięgam. — Pochlipując cicho i trzymając się za brzuch, wróciła truchtem do kotła z wrzątkiem. — Na moje Ŝycie, to się więcej nie powtórzy.

— Lepiej dla twojego Ŝycia, Ŝeby się nie powtórzyło.

Do izby wszedł wysoki barczysty męŜczyzna i skłonił się signore .

Jego zabłocone buty, rajtuzy i opończa świadczyły, Ŝe gnał tu co koń wyskoczy. Calisto łypnął na niego spode łba.

— Ty znowu tutaj, Bruno? Myślałem, żeś już na dobre zlaźł mi z oczu!

Męszczyzna uśmiechnął się krzywo. Nie bał się rozsierzonego pana tak jak słuśca.

375

— Wytropiłem Orfeę Bernardone — oznajmił. — Wiem już, gdzie przywarował.

— To czemuś go od razu nie utrupił i nie odebrał pierścienia? Nie chcę słuchać gadania, chcę zobaczyć wyniki.

Bruno usiadł na ławie, pochylił się i zaczął zeskrobywać nosem świeże błoto z butów, strzepując je z ostrza brudnymi pacynami na posadzkę.

— Sam nie dałbym rady — podjął, nie unosząc głowy. —

Schronił się w castel o we wspólnocie Todi, przy samej granicy.

Nazywa się Coldimezzo.

Calisto uniósł się na łokciach.

— Znam ten zamek. To stamtąd uprowadziliśmy tę sukę Amate.

Bernardone pytał o nią i to miejsce, kiedy tu niedawno był. — Potarł

sztynny palec i spytał: — Czego on może szukać w Coldimezzo? Mój ojciec zostawił je w ruinie.

— Nie takiej znowu ruinie. Ludzie nadal tam mieszkają. — Męsz-

czyzna otarł ostrze z resztek błota o podeszwę i wsunął nóż za pas.

Calisto przekręcił się na bok i spojrzał wściekle na kulącą się w cieniu kobietę.

— Zabieraj te przekłete gałgany z moich pleców — warknął.

Słuśca podbiegła i zachowując bezpieczną odległość, żeby znowu nie oberwać pięścią, zaczęła ostrośnie, dwoma palcami, zdejmować kompresy. Kiedy skończyła, Calisto usiadł i klnąc z bólu na czym świat stoi, wciągnął przez głowę kaftan, po czym zsunął się ze stołu i przypasał miecz.

Bruno patrzył beznamiętnie, jak jego pan, krzywiąc się z bólu, przeciąga się nad nim i kręci ramionami. W pewnej chwili Calisto zmrużył

oczy, w czarnych źrenicach zapaliły się złe błyski.

— Nie cierpię zostawiać roboty niedokończonej — powiedział. —

Zbieraj moich rycerzy. Kaś im gotować się do drogi. Jutro będziemy pod Coldimezzo. Tym razem

nie zostawimy kamienia na kamieniu. I nikt nie ujdzie z Syciem.

376

— Ludzie się ucieszą. Znudziło im się próśnowanie.

Calisto bez uprzedzenia rąbnął podnoszącego się Bruna pięścią w pierś, posyłając go z powrotem na ławę. Męszczyna uderzył potylicą o kamienną ścianę i z ucha pociekła mu struśka krwi. Podźwignął się z trudem, trzymając jedną ręką za ucho, a drugą sięgając po sztylet. Ale signore zdał już dobrać miecza i przystawił teraz jego czubek do gardła Bruna.

— To za to, że dałeś uciec Bernardone z Asyżu. Nie waś się po raz drugi mnie zawieść, bo ucierpisz jeszcze bardziej.

XXXIII

Orfeo nie bardzo wiedział, czego się spodziewać, kiedy Amata przysłała po niego do kwater dla słuŜby. Od przyjazdu do Coldimezzo odnosiła się do niego z lodowatym chłodem. Idąc do kuchni, powtarzał

sobie, Œe tak naprawdę to niewiele wie o tej kobiecie i jej humorach.

Ale dzisiaj zastał Amatę w o wiele lepszym nastroju.

— Darujcie, sior Bernardone, Œe zostawiłam was samemu sobie —

zaczęła. — Powrót po tylu latach do rodzinnego domu tak mnie rozkojarzył, Œe zapomniałam o grzeczności. Mam nadzieję, Œe mi wybaczysz i przyjmiesz rękę wyciągniętą na zgodę. — Stojący za nią sługa trzymał

koszyk przykryty serwetą. — Pomyślałam sobie, Œe moglibyśmy oderwać się na kilka godzin od domowej krzątaniny.

— Przyjmuję z radością. — Orfeo skłonił się. — I mam nadzieję niczym ci się w przyszłości nie narazić, pani. Tydzień takiego chłodnego traktowania byłby dla mnie nie do zniesienia.

Amata wybuchnęła śmiechem.

378

— Jest tu niedaleko leśna polana, na której bawiłam się w dzieciń-

stwie — powiedziała. Dziwiła się samej sobie, Œe głos ma taki spokojny. W jej odczuciu ten Bernardone z rozmysłem grał szarmanckiego błazna, nic jednak nic wskazywało, Œeby coś podejrzewał. Tym większy z niego głupiec, Œe tak go zaślepiła przeświadczenie o własnej urodzie.

Poprowadziła obu męŜczyzn do furtki w murach. Tam spojrzała na Orfea i wskazała oczyma koszyk. Kupiec kiwnął głową.

— Grazie mil e — powiedział do słuŜy. — Dalej sam poniosę koszyk mojej pani. — Uśmiechnął się szeroko. Świadomość, Œe wrócił do jej łask, poprawiła mu humor.

W drodze do lasu Amata niewiele się odzywała, a na jego próby na-wiązania rozmowy odpowiadała przelotnymi uśmieszkami. Znieczuliła na ten dzień swe serce i ani myślała ulegać czarowi tego człowieka. Nie da się zarazić jego wesołością.

Polana skurczyła się przez tych osiem lat, zarastając krzakami. Są-

dząc jednak po wygniecionej trawie i wydeptanej ścieŒce, która do niej prowadziła, ludzie nadal tu przychodzili. Amata, modląc się, Œeby dzisiaj nikogo tam nie było, rozglądała się po lesie i

nasłuchiwała odgłosów ludzkiej obecności, ale ciszę mącił jedynie śpiew ptaków, brzęczenie pszczoł i szelest młodych liści na wietrze.

Wesoły dotąd Bernardone zmarkotniał, kiedy zabrali się za owoce i ser oraz napoczęli pierwszy z dwóch dzbanów wina, które spakowała do koszyka. MoŜe była wobec niego zbyt powściągliwa? Musi uważać, Ŝeby się czymś przed nim nie zdradzić. A moŜe kupiec nie jest wcale taki pewny siebie, za jakiego stara się uchodzić, i poczuł się skrępowany, kiedy zostali całkiem sami. Kilka razy jego twarz nagle spowaŝnia-

ła, jakby nasunęła się na nią chmura. Odnosiła wtedy wrażenie, Ŝe chce podjąć jakiś powaŝniejszy temat, lecz on szybko pogodniał i znowu zaczynał się z nią przekomarzać. Santa Maria, czyŜby zamierzał wykorzystać sposobność i poprosić ją o rękę? Czym prędzej odpędziła od siebie tę myśl. Musi widzieć w nim tylko i wyłącznie znieawidzonego wroga rodziny.

379

A moŜe czeka, aŜ wykończą drugi dzban, i dopiero wtedy, podochocony winem, znajdzie w sobie odwagę, by wyluszczyć, co mu chodzi po głowie? Wolałaby raczej, Ŝeby zmorzył go sen. Słuchając jednym uchem jego opowieści, jak to podróŜował w dzieciństwie przez te strony, dołała mu wina do pucharka. Uśmiechając się rozbrajająco, odstawiła dzban i namacała ukryty w rękawie nóż. Szkoda, Ŝe nie wie, jakie magiczne słowa wymawiali hebrajscy prorocy przed złoŝeniem ofiary.

Powtórzyłaby je teraz za nimi. Pij, synu Lucyfera, ponagliła w myślach Orfea. Przygotuj się na wyrównanie rachunków.

Nie zabiła nigdy nikogo z zimną krwią. Walka stoczona z mnichem z Gubbio nie ułatwiała jej ani trochę zadania. Tamto pchnięcie zadała odruchowo, w obronie własnego Ŝycia. Gdyby nie uderzyła pierwsza, mnich rozbiłby jej głowę maczugą. Teraz zaś miała z premedytacją poderŝnąć gardło śpiącemu człowiekowi, jak kucharka kurze. Czy raczej jak Judyta odcinająca głowę Holofernesowi, gnębielowi jej ludu, kiedy zasnął po tym, jak ją posiadł. Amata przyrzekła sobie, Ŝe pomodli się szczerze nad ciałem Orfea, kiedy będzie juŜ po wszystkim, bo nie był łotrem w rodzaju Simone delia Rokki, a tylko urodził się pod złą gwiazdą. Potem zaciągnie trupa między drzewa i zostawi zwierzętom na poŝarcie, a wujowi powie, Ŝe łajdak uciekł, ukradłszy jej... do diabła, o tym zapomniała! Powinna była zabrać ze sobą coś z biŜuterii, jakiś cenny przedmiot, który wszyscy na zamku u niej widzieli.

Kiedy Orfeo dopił wino, słońce minęło juŜ zenit i na polankę, od zachodniego jej skraju, zaczęły wpełzać cienie. Kupiec ziewnął szeroko i wyciągnął się wreszcie na kocu, powieki wyraźnie mu ciąŜyły, wino i ciepłe powietrze robiły swoje. Na złotym łańcuszku, który ma na szyi, zawieszony jest pewnie krzyŜyk, pomyślała, ale nie ochroni go teraz nawet ten święty symbol. Napięła mięśnie przedramienia. Niech się stanie! Jeszcze chwila i będzie po wszystkim. Dopełni w końcu vendetty i będzie wolna. Odetchnęła głęboko, Ŝeby uspokoić drŝenie członków, i wysunęła nóż z pochwy.

380

Zmroziła ją wrzawa na ścieŝce. Ukryła szybko nóż w fałdach sukni.

Na polanę wbiegła w podskokach gromadka rozwrzeszczanych dzieci z Teresina na czele.

— Tutaj jest! Znalazłam ją! — krzyknęła Teresina. Klapnęła zdyszana na trawie u stóp Amaty. Orfeo usiadł na kocu i potrząsnął głową, starając się odpędzić senność. Za Teresina podbiegły do nich dzieci słuŝby i obsiadły ich wkoło.

— Kuzynko Amato, opowiedz nam bajkę — poprosiła dziewczynka.

— Bajkę o księciu i księżniczce — uściśliła druga.

Amata nie ochłonęła jeszcze ze strachu, jakiego napędziły jej dzieci.

Przyciskała rękę do piersi, czekając, aŝ uspokoi się walące serce.

— Ja wam opowiem bajkę — odezwał się zaspanym głosem Orfeo.

Wyciągnął z rękawa chusteczkę i owinął nią sobie serdeczny palec. —

To jest ksiąŜę — wyjaśnił. Zwrócił się do Amaty: — Twojej chusteczki teŝ będziemy potrzebowali, madonna .

Amata pomyślała o pustej teraz pochwie przypasanej do przedramienia.

— Nie mam... zapomniałam zabrać — wyjąkała.

— Ja mam — powiedziała z wyŝszością Teresina. Chusteczka była nieco przybrudzona, ale Orfeo podziękował jej szarmanckim gestem ręki. Potem poprosił Amatę, ŝeby podała mu swój serdeczny palec, i teŝ

obwiązał go chusteczką.

— Ty, pani, jesteś księżniczką.

Wyprostował palec i zaczął:

— Dawno, dawno temu był sobie ksiąŜę, który wybrał się z ojcem i braćmi w podróż do dalekiej krainy. — Wyprostował przed dziećmi wszystkie palce. — Pewnego dnia zatrzymali się przed zamkiem i ksią-

Ŝę ujrzał piękną małą księżniczkę, niewiele starszą od was, stojącą na wieŝy. KsiąŜę pomachał do niej taką jak ta kukiełką. — Orfeo uniósł

rękę Amaty ponad swoją i patrząc jej w oczy, zgiął w ukłonie obwiąza-ny chusteczką palec.

próbował jej dzisiaj powiedzieć?

Orfeo stuknął palcem wskazującym palec Amaty i podjął poważ-

niejszym głosem:

— Jednak ich ojcowie pokłócili się i ksiąŜę ze swoją rodziną odjechał, zanim zdąŜył poznać księŜniczkę.

— Ojej — jęknęły zawiedzione dzieci.

— Ojciec księcia był bardzo rozsierdzony na ojca księŜniczki. Po powrocie do domu wynajął złego rycerza i kazał mu napaść na zamek.

Rycerz zabił tatę i mamę księŜniczki, a ją porwał do swojej mrocznej twierdzy. — Orfeo ujął wolną ręką „księŜniczkę” i przyciągnął ją wolno do siebie. — Więziona przez złego rycerza przez wiele lat, wyrosła na piękną młodą kobietę. Tymczasem ksiąŜę był tak nieszczęśliwy i tak rozgniewany na swojego ojca, Őe uciekł z domu i poŐegłował do Ziemi Őwiętej. Pewnego dnia, wiele lat później, kiedy był juŜ dorosłym męŐ-

czyzną, spotkał papieŜa. Il Papa powiedział mu: „Musisz wrócić do domu, młody ksiąŜę, i zadoŐuczynić za zbrodnię swojego ojca”.

Na wspomnienie papieŜa, którego rolę Orfeo powierzył swojemu kciukowi, dzieci wytrzeszczyły oczy.

— Tak więc ksiąŜę poŐegłował z powrotem do ojczystego kraju —

ciągnął Orfeo. — Dowiedział się, Őe zły rycerz trzyma księŜniczkę w swoim zamku, ale kiedy tam poszedł, okazało się, Őe jej juŜ w zamku nie ma. — PuŐcił palec Amaty i cofnął rękę. — „Jest w klasztorze”, warknął tylko rycerz, i tej samej nocy nasłał na księcia swoich skrytobójców, Őeby go zabili, bo nie chciał, Őeby ksiąŜę odnalazł księŜniczkę.

Lecz los zrządził inaczej i skrytobójcy, zamiast księcia, zabili przez pomyłkę jego najlepszego przyjaciela.

Głos mu się załamał, ręka zaczęła drŐeć. Dzieci popatrzyły po sobie, a potem znowu wlepiły szeroko otwarte oczy w Orfea.

Amata, widząc, Őe ten walczy ze wzruszeniem, podjęła opowieŐć: 382

— KsiąŜę przyszedł do pewnej damy, którą niedawno poznał, Őeby jej powiedzieć, iŐ stracił przyjaciela. I ta dama poprosiła go, Őeby towarzyszył jej w podróŜy do jej rodzinnego domu na wsi. I ksiąŜę się zgodził. I wiecie co? — Amata zawiesiła głos i popatrzyła na buzie otaczających ją dziewczynek i chłopców. — Kiedy tam przybyli, okazało się, Őe to ten sam zamek, w którym ksiąŜę po raz pierwszy widział księŜ-

niczke.

Orfeo doszedł już do siebie, odzyskał głos i podjął:

— Księżę zrozumiał, że ta dama to nikt inny, jak księżniczka, której szukał przez tyle lat. — Przyłożył owinięty chusteczką palec do palca Amaty.

— I poprosił ją, żeby wyszła za niego za męża i żyła z nim długo i szczęśliwie? — spytała Teresina.

Orfeo spojrział na przejęte twarzyczki. Zerknął na Amatę z tym samym pytaniem w oczach. Pokręciła głową.

— To twoja bajka — powiedziała.

— Nie od razu — podjął kupiec. — Najpierw chciał jej wynagrodzić wszystko, co wycierpiała. Poprosił, żeby pozwoliła mu zostać swoim rycerzem i stawać w jej obronie. — Orfeo urwał, po chwili dorzucił:

— Ale o tym opowiem wam kiedy indziej.

— Opowiedz teraz! — pisnęła błagalnie Teresina.

— Teraz muszę poważnie porozmawiać z twoją kuzynką — powiedział Orfeo. — W cztery oczy. — Dał dzieciom znak ręką, żeby wstały.

— Pobiegajcie sobie po lesie. Tylko nie oddalajcie się zbyt daleko.

— Nie bój się. Nie zabłądzimy. Zawsze się tu bawimy.

Kiedy dzieci znikły między drzewami, Amata położyła się i zamknę-

ła oczy. Nigdy jeszcze nie była tak skonfundowana. Koc napiął się pod nią i poczuła obok siebie Orfea. Kiedy dotknął ustami jej policzka, w kąciach jej oczu zebrały się łzy. Nie otwierała ich jednak. Objęła go prawą ręką za szyję i przyciągnęła do siebie, a lewą namacała sztylet.

Bernardone, Bernardone! To nazwisko dudniło jej w uszach niczym diabelski bęben. Ścisnęła najmocniej jak mogła rękę i uniosła

go, ale ten wysunął jej się z drżącej ręki, odbił od ramienia Orfea i upadł na koc.

Orfeo spojrział na nóż, potem na łzy płynące po policzkach Amaty.

Ujął ją pod brodę.

— Nie jestem twoim wrogiem, madonna — szepnął. — Twoim wrogiem był mój ojciec. Twoim wrogiem był Simone della Rocca. Jego syn, Calisto, chciałby nas oboje widzieć martwymi. Ja jestem tutaj po to, by w miarę moich możliwości spieszyć ci z pomocą. — Patrzył jej ze smutkiem w oczy.

— Kocham cię, Amatino.

Intensywność jego spojrzenia wyparła z serca Amaty resztkę zalegającej tam nienawiści. Objęła go za szyję.

— To co chcesz, Œebym zrobiła? — wyszeptała.

Przysunął usta tak blisko, Œe jego ciepły oddech łaskotał ją w płatek ucha.

— Naprawdę chcesz, Œebym powiedział, nie bacząc na dzieci, które się tu bawią? — Uniósł głowę i odsunął się nieco, a na jego wargach igrał uśmieszek rozbawienia. Szybko jednak spowaŒniał.

— Nawiązywałem do tego, co powiedziałem o stawaniu w twojej obronie. Chcę ci wynagrodzić, jedną po drugiej, wszystkie krzywdy, jakie wyrządziła ci moja rodzina. I chyba nawet wiem jak.

— Jak?

— „KsiaŒę” naprawdę poznał papieŒa i spędził z nim wiele tygodni.

PapieŒ obiecał odwdzięczyć mu się za jego usługi.

To zaczynało być interesujące. Amata przekrzywiła głowę, nastawiając ucha.

— Wspominałaś mi o swoim przyjacielu pustelniku — ciągnął Orfeo. — Tym, którego minister generalny więzi w lochu. Gdyby hrabia Guido dał ci kilku ludzi, którzy odprowadziliby cię do AsyŒu, ja pojechałbym do Rzymu i poprosił papieŒa o łaskę dla twojego zakonnika.

Ale musiałbym ruszać bez zwłoki. Grzegorz jedzie niedługo do Lyonu na sobór powszechny.

384

Spojrzał jej głęboko w oczy.

— W zamian proszę tylko o jedno, Amatino. Obiecuj mi, Œe do mojego powrotu nie przyjmiesz Œadnego zalotnika.

Ciepło rozeszło jej się po piersiach, po całym ciele — ciepło wywo-

lane po części jego słowami, ale równieŒ ulgą, Œe nie dokonała zemsty.

Œciskając jego spracowaną dłoń, przypomniła sobie, Œe był kiedyś wioŒlarzem. Co za interesujący męŒczyzna!

— To szlachetna propozycja. I szlachetna prośba. — Uniosła jego dłoń do ust. — Nie bądź tylko jak ten legendarny poeta, którego imię nosisz. Nie musisz się oglądać przez ramię, Œeby sprawdzić, czy za tobą idę. Uwierz mi na słowo, twoja Eurydyka będzie szła za tobą zawsze, po najmroczniejszych drogach, najtłoczniejszych zaułkach, dopóki nie wrócisz do domu. A jeśli wrócisz z papieskim

ułaskawieniem, obiecuję, Œe za swoje wysiłki otrzymasz nagrodę.

Uniosła się na łokciu, pochyliła nad nim i przywarła ustami do jego warg.

— Traktuj to jako przypieczerowanie mojej wierności i cierpliwości

— szepnęła.

Kiedy wychodzili na porębę oddzielającą las od zamku, Amacie przemknęło przez myśl, Œe brat Konrad byłby dumny z jej opanowania.

Sam na sam z cudownie romantycznym męŒczyzną, który odwzajemniał jej uczucia, który pierwszy ją pokochał, zachowała się skromnie i stosownie. Nie mogła się sobie nadziwić, chociaŒ musiała przyznać, Œe Orfeo równieŒ wykazał się powściągliwością. Nie zdając sobie z tego sprawy, musiała dojrzeć pod okiem donny Giacomy.

Jej nastrój harmonizował z budzącą się wiosną. Brat Konrad wkrótce będzie wolny; Orfeo powróci niedługo z papieskiego dworu. W koń-

cu będzie mogła zająć się budowaniem własnego szczęścia. Nawet pachnąca ziemia zdawała się drŒeć z podniecenia pod jej stopami.

385

Nagle przystanęła i zaczęła nasłuchiwać. Ziemia drŒała tak samo jak wtedy, gdy dom Vittorio wracał galopem z uzbrojonymi mnichami do Sant' Ubaldo. Orfeo dojrzał tuman kurzu na skraju poręby w tej samej chwili co ona. Koszyk wypadł mu z ręki.

— Szybko! Do zamku! — krzyknął, chwytając ją za ramię.

— Dzieci! — wrzasnęła. — Zostały w lesie!

— Wróć po nie. Ty pędź do furty!

Popchnięta przez niego, niewiele myśląc, puściła się biegiem w stronę zamku. Ponaglano ją z murów, brama była otwarta. Wpadając przez nią, obejrzała się. Orfeo zniknął właśnie w lesie, za nim galopował

samotny jeździec, który odłączył się od szarŒującej watahy.

— Orfeo! — wrzasnęła. — Za tobą! — Jej głos utonął jednak w grzmiącym tętencie kopyt i bojowym okrzyku jeźdźców.

XXXIV

Rycerze i kusznicy z załogi zamku sprawnie, jeden za drugim, pięli się po przystawionych do murów drabinach na blanki. Amata dojrzała tam na górze Guida. Pal diabli skromność, zakłęta w duchu, podkasała suknię i jęła się drapać po drabinie najbliższej wuja.

Zajęty organizowaniem obrony, Guido z początku jej nie zauważył.

Amata patrzyła najeźdźców nacierających w tumanach kurzu niczym horda z piekła rodem. Zbliżywszy się do zamku, zwolnili, a kiedy ich dowódca wznosił miecz nad głowę, ściągęli wodze i wstrzymali konie.

Szarża wytraciła impet niczym fala, która napotkawszy na swej drodze urwisty brzeg, rozbija się o niego i cofa, pozostawiając po sobie pianę.

Wydawali się zaskoczeni, tak jak niedawno ona, zastając zamek ufortyfikowany i obsadzony liczną załogą. Tylko głupiec atakowałby z marszu taką twierdzę. W grę wchodziło jedynie oblężenie albo fortel.

Zdezorientowani napastnicy patrzyli na rząd kuszników czekających na rozkaz, by zasypać ich gradem bełtów. Dowódca, gniewnie tnąc mieczem

powietrze, ruszył stępą wzdłuż szeregu swoich rycerzy.

— Do kroćset, gdzie Bruno?! — darł się.

Amata domyślała się, że szuka człowieka, który odłączył się od oddziału i pognął za Orfeem. Spojrzała z niepokojem na las. Wydawało jej się, że słyszy stłumiony odległością i zagłuszany nerwowym parskaniem koni szcęk oręża, dobiegający zza zasłony obojętnych drzew.

— Kim jesteście?! — zawołał Guido. — Co ma znaczyć ten zbrojny najazd?

Dowódca odłączył się od swoich ludzi, wstrzymał konia w połowie drogi do bramy i podniósł przyłbicę. Miał hełm nowego typu z przyłbicą zamocowaną na zawiasach i drewnianym grzebieniem. Jego kończyny i tors chronił lekki, skopiowany od Saracenów pancerz ze zszytych bokami, bogato zdobionych kwadratów z utwardzonej skóry, modny teraz wśród umbryjskiej szlachty.

Amata wydała cichy okrzyk, rozpoznając w nim tego wieprza, Calista delia Roccę. Dopiero teraz Guido zauważył wśród lśniących heł-

mów swoich zbrojnych zgromadzonych na parapecie niewieści czepek.

Zgromiona surowym spojrzeniem wuja, wzruszyła ramionami i podeszła do niego.

— Jestem signor Calisto di Simone, pan na Rocca Paيدا w Asyżu.

— Calisto zatoczył mieczem szeroki łuk, wskazując swoich ludzi. —

Przepraszam, jeśli was przestraszyliśmy, signore . Ścigamy złodzieja, niejakiego Orfea di Angelo Bernardone, który zbiegł z naszego miasta, kierując się w te strony.

Nieudolna próba ukrycia prawdziwych zamiarów. Amata napawała się widokiem poczerwieniałej gęby Calista i gwarem, jaki podniósł się wśród jego zbirów, kiedy usłyszeli, jak stara się usprawiedliwiać szarżę na zamek. Guido wymamrotał pod nosem nazwisko Orfea, które wyraźnie nic mu nie mówiło.

— To mój przyboczny — wyjaśniła Amata. — Zapewniam cię, wu-ju, że nie jest złodziejem.

388

Wychyliła się zza blanków i krzyknęła:

— Znam cię, tchórze! Twój ojciec zabił Buonconte di Capitania, pana na tym zamku, kiedy nieszczęsny modlił się nie uzbrojony, a ty, wielki pogromco bezbronych kobiet, przebiłeś mieczem jego żonę Cristianę, która próbowała osłonić go własnym ciałem, kiedy upadł. A potem napastowałeś ich córkę, chociaż była jeszcze dzieckiem.

Furia wyparła ugodość z tonu jeźdźca.

— Ja też poznaję twój jeźdzowaty głos! To z twoją pomocą ten złodziej wymknął się z Asyżu. Nie próbuj go osłaniać, sekutnico o lodowym sercu, bo źle się to skończy dla ciebie i wszystkich tutaj

— Frocio! Tchórze! Nie odważysz się, cudaku bez kutasa — zakpiła.

— Ty pośal się Boże rycerzu z jajami wróbelka!

Twarz jeźdźca oblała się purpurowym rumieńcem, kiedy usłyszał

chichoty wywołane tymi słowami w jego własnych szeregach. Guido przysłuchiwał się z otwartymi ustami tej wymianie obelg, popatrując to na Amatę, to na Calista.

Teraz uznał, że dosyć się już nasłuchał.

— Co odpowiesz na jej zarzuty, signore? — krzyknął.

— Jestem wojownikiem. A tam, gdzie wojna, ofiary być muszą, i ani myślę przeproszać!

Twarz Guida stęsała w granitową maskę. Wychylił się zza blanki.

— Ja też jestem wojownikiem, signore, i powinowatym szlachcianki, którąś zadźgał. śądam satysfakcji należącej mi z mocy prawa krwi i wyzywam cię na ubitą ziemię tu i teraz.

Amata wyobrażała sobie, jakie myśli tłuką się w tej chwili po głowie Calista: człek ma siwą brodę

—jest dwa razy starszy ode mnie — tylko Œe kawał z niego chłopa. Wiedziała, Œe o honorze pomyśli na końcu albo wcale. Patrzyła z uśmiechem, jak pociera niezdecydowanie kłykcie prawicy.

Koń albo odczytał myśli swego pana, albo Calisto nieświadomie szarpnął cugle, bo zaczął się cofać w kierunku rycerzy. Ci zaś, ku zdumieniu Amaty, jeden po drugim pochyłali kopie, wymierzając je w swojego 389

dowódcę i nie dając mu wmieszać się między siebie.

— Nie przynoś nam wstydu, panie! — krzyknął jeden z nich.

Amata szepnęła coś wujowi do ucha. Roześmiał się.

— Ty mi mówisz, jak mam walczyć, kobieto?

— Posłuchaj mej rady — powiedziała. — On prawe ramię ma nie całkiem sprawne.

Guido wyprostował się i zawołał:

— KaŒ swoim ludziom się cofnąć. Wdzieję tylko zbroję i wychodzę do ciebie przez bramę sam. Piesz, na miecze i tarcze.

Calisto skłonił głowę. Zsiadł z konia i odwiązał tarczę przytroczoną do grzbietu zwierzęcia. Podjechał giermek i odebrał od niego uzdę. W

tej samej chwili z lasu wybiegł koń bez jeźdźca. Jeden z rycerzy spał

wierzchowca, pocwałował za nim, dogonił i pochwyciwszy, wypatrywał czegoś między drzewami, po chwili jednak zawrócił do swoich, prowadząc za sobą ogiera. Amata, przygryzając mocno kłykieć, wytę-

Œyła wzrok, ale nie dostrzegała Œadnego poruszenia pośród drzew.

— Zejdź z murów — zwrócił się do niej Guido. — Natychmiast.

Nie chcę, Œebyś na to patrzyła.

— Wyglądam Orfeą — zaprotestowała. — Wrócił do lasu po dzieci. Popędził za nim jeden z rycerzy Calista. To jego koń wybiegł stamtąd przed chwilą.

Œwiatelko zrozumienia zapaliło się w powaŒnych oczach hrabiego.

— Będę musiał lepiej poznać tego Orfeą — mruknął. — Jeśli ujdzie z Œyciem. Jeśli obaj ujdziemy z Œyciem. — PrzeŒegnał się i zaczął schodzić po drabinie.

Słońce chyliło się ku zachodowi i Amata widziała kropelki potu zraszające coraz obficiej twarz Calista. Spoglądała to na niego, to na las, to na wejście do zbrojowni, w której zniknął Guido.

Napięcie powoli opadało i ludzie — ci na murach i ci na koniach — zaczęli rozmawiać między sobą przyciszonymi głosami, lecz z lasu nie dolatywał Śaden odgłos.

390

Amata nachyliła się do stojącego obok kusznika.

— Jeśli ten łotr zabije hrabiego Guida, przesyj go bełtem. Takiemu łajnu nie przysługuje rycerskie traktowanie. Hojnie cię wynagrodzę.

MęŚczyzna uśmiechnął się i napiął kuszę. Amata ruszyła parapetem ku naroŚnikowi murów, z którego było najbliŚej do lasu, zatrzymując się po drodze przy kaŚdym kuszniku i powtarzając to samo polecenie.

Hrabia Guido wyszedł w końcu ze zbrojowni, witany owacyjnie przez swoich ludzi. Był w misiurce i kolczudze, na którą nałóŚył gruby skórzany kaftan wzmocniony od spodu paskami metalu, i wyglądał w tym rynsztunku jak Śelazna góra. Pod pachą niósł hełm angielskiego wzoru, w kształcie stoŚka, po którym miecz się ześlizgiwał. Calisto sfajda się w portki, kiedy go zobaczy. Jego połyskująca tarcza była dwa razy szersza od tarczy asyŚyjczyka, a pochwa wiszącego u pasa miecza dłuŚsza o długość męskiego przedramienia od tych, jakie Amata kiedykolwiek widziała. Przypomniała sobie, Śe kiedy była mała, kobiety z zamku nazywały go spadalunga, „długi miecz”. Zachichotała na myśl, Śe przydomek ów wuj Guido mógł zawdzięczać równieŚ innym przy-miotom, co uświadomiła sobie dopiero teraz, jako dorosła juŚ kobieta.

Jeśli tak w istocie było, to musiało mu się spodobać, Śe nazwała Calista

„cudakiem bez kutasa”.

Wróciła biegiem na swoje miejsce na parapecie, a hrabia nakreślił

tymczasem w powietrzu znak krzyŚa i dał ruchem głowy znak słudze, Śeby otworzył furtę w bramie. Ciekawa była miny Calista, ale ten opu-

ścił juŚ przyłbicę. Guido paroma długimi krokami pokonał dzielącą ich odległość i szybciej, niŚ się spodziewała, z marszu, ciął ogromnym mieczem. Pod asyŚyjczykiem, który zasłonił się tarczą, ugięły się kolana, ustał jednak i zrewanŚował się równie silnym uderzeniem na tarczę wuja. Przez chwilę trwała wymiana ciosów, potem Calistowi udało się wyprowadzić silniejsze uderzenie, pod którym wuj się cofnął.

391

— Nie robi, jak mówiłam! — krzyknęła Amata do stojącego obok kusznika.

Calisto, zagrzewany przez swoich ludzi, przejął inicjatywę i młóćąc mieczem jak cepem, spychał coraz bardziej powolniejszego i starszego męŚczyznę. Hrabia sprawiał wraŚenie zdezorientowanego. Ciął z rozmachem, mierząc w głowę przeciwnika, ale odziany w lekką zbroję

Calisto bez trudu się uchylił i odpowiedział gradem ciosów, spychając Guida w cień zamkowych murów. Guido już nie atakował, parował

tylko uderzenia tarczą.

— Pamiętaj o swoich krewniakach! Pamiętaj o mojej matce! —

krzyknęła do niego Amata, ale jej głos utonął w ogólnej wrzawie. Prze-

śegnała się, prześegnała się jeszcze raz i złożyła ręce do modlitwy, kiedy wuj opadł na jedno kolano i osłonił tarczą głowę.

O dziwo, Calisto nie natarł na niego, wietrząc chyba podstęp. I rzeczywiście, Guido machnął mieczem jak kosą tuż nad ziemią, po czym poderwał się na równe nogi i runął na zaskoczonego Calista, który ledwie zdążył się zasłonić. W tych ciosach nie było już takiej furii, ale hrabia, zadając je, przesunął się niepostrzeżenie o pół kroku w prawo.

— O tak! — krzyczała Amata. — Właśnie tak!

Sprytnie, bardzo sprytnie, pomyślała. Przejrzała strategię Guida.

Prowokował młodszego od siebie przeciwnika do forsowania ręki, swoją, starszą, trzymając w rezerwie. Coraz bardziej odsuwał się od prawego, osłabionego już ramienia Calista, zmuszając go w ten sposób do szerszych wymachów. Już następny cios ześlizgnął się po tarczy Guida, bo Calistowi rękojeść miecza przekręciła się w dłoni. Hrabia odpowiedział potężnym uderzeniem, odcinając górny lewy narożnik tarczy asy-

symczyka, i zrobił jeszcze jeden krok w prawo. Calisto odskoczył, a potem ruszył znowu na Guida, nieco ostrośniej, nie machając już mieczem, lecz dźgając, ale dłuższa głównia Guida trzymała go na dystans.

Rycerze obserwujący z kulbak pojedynek przycichli, widząc, że szanse się wyrównują. Guido znowu odstąpił w prawo, a jego przeciwnik cofnął się, 392

żeby zebrać siły i jeszcze raz przemyśleć taktykę. Amata zauważyła z niepokojem, że jeszcze jeden kroczek w bok i zachodzące słońce będzie świeciło prosto w oczy wuja.

Załoga zamku ucichła. Walczący ścierali się, lecz Saden nie uzyskiwał przewagi. Coraz bardziej zdenerwowanej Amacie każdy miesiąc naprężył się w rytm uderzeń wuja, jakby sama je zadawała. W końcu, nie wytrzymując napięcia, wrzasnęła:

— Wróble jajeczka!

Obie grupy obserwatorów walki gruchnęły śmiechem. Calisto ryknął

coś niezrozumiałego i runął na Guida z uniesionym mieczem. Hrabia przekrzywił lekko tarczę i odbijające się od niej promienie zachodzące-go słońca trafiły prosto w wąskie szczeliny w przyłbicy

asyŝyjczyka.

Potem znowu nieco się odsunął i cios Calista przeciął powietrze. Asy-

ŝyjczyk stracił równowagę, miecz wypadł mu z ręki, a wtedy hrabia wbił czubek swojego między płytki skórzanego kaftana i napał na rę-

kojeść. Signore na zamku Rocca osunął się z okrzykiem bólu na kolana.

Guido napał na rękojeść jeszcze silniej, po czym wyciągnął miecz spomiędzy ŝeber Calista. Calisto zadarł chronioną hełmem głowę ku blankom.

— Sprowadźcie kapelana! — zawołał błagalnie. — Konam!

Posoka sącząca się z przebitego boku spływała mu na biodro, na udo i skapywała w trawę, na której klęczał. Chciał ściągnąć hełm, ale nie mógł sobie z tym poradzić. Pomógł mu hrabia, zbliŝywszy się do niego od tyłu, i wtedy Amata stwierdziła, ŝe Calisto patrzy wprost na nią.

— Sprowadzę ci tego samego księdza, który spowiadał na łoŝu śmierci twojego ojca! — krzyknęła. Naciągnęła na czepek kaptur płaszcz, złoŝyła dłonie i tym samym zmienionym głosem, którym zwracała się do umierającego Simone delia Rokki, zaintonowała: — Niech twoją duszę spotka sprawiedliwa nagroda.

Calisto przewrócił dziko oczami, domyŝlając się juŝ, co oznacza ta parodia. Padł na twarz, orząc paznokciami wilgotną ziemię i rwąc kępki trawy.

393

— Suka. Zatracona, przeklęta suka — wycharczał i znieruchomiał.

Jego giermek podprowadził konia i z pomocą Guida przerzucił ciało pana przez siodło, po czym zwycięski hrabia Guido zatoczył mieczem wielkie koło. Jeźdźcy zawrócili konie i ruszyli przez porębę w stronę Asyŝu.

Załoga zamku zgotowała swemu panu owację. Amata zbiegła po drabinie z murów i rzuciła się na szyję wchodzącemu przez furtkę w bramie wujowi. Guido zdjął hełm.

— Nie myliłaś się — powiedział. — Prawą rękę miał do niczego.

Amata puściła go, wybiegła przez furtkę i popędziła w kierunku la-su. Kiedy mijała leŝący na trawie koszyk, spomiędzy drzew wyszedł

Orfeo w otoczeniu gromadki dzieci. Na ten widok Amata padła na kolana i złoŝyła ręce. Orfeo zbliŝał się wolnym krokiem, wlokąc za sobą zakrwawiony miecz i lewą ręką obejmując Teresinę. Dopiero teraz Amata zorientowała się, ŝe dzieci nie bez powodu otaczają go takim ciasnym kółkiem. Był ranny, a one go podpierały.

Zerwała się i podbiegła. Orfeo padł cięsko w jej wyciągnięte ramiona, ugryzł ją lekko w szyję i wyszeptał:

— Wróble jajeczka?

— To nie jest zajęcie dla kupca — stwierdził Orfeo. Siedział podparty poduszkami obok Jacopone w królewskim łożu hrabiego Guida.

— Nie jestem stworzony do robienia mieczem.

Mała Teresina leżała na kołdrze między dwoma mężczyznanami i ba-wiła się z kotkiem, który zaanektował dla siebie jedną z mniejszych poduszek. Amata siedziała na brzegu łoża obok Orfea, hrabia Guido, rozparty w fotelu, drapał za uchem złotego psa.

Amata ścisnęła dłoń Orfea.

— Zwalniam cię z obowiązków mojego przybocznego — oznajmiła.

— Wuj Guido odprowadzi mnie do Asyżu. Ty musisz dostarczyć petycję.

394

— A każda godzina, którą tu spędzam, to kolejna mila drogi, jaką przyjdzie mi pokonać, żeby dogonić papieża.

Dotknął łańcuszka na szyi.

— Ten rycerz Calista mnie znał. Chyba był jednym z tych trzech, którzy zamordowali Nena. Wjeżdżając na polanę, krzyknął: „Pierścień albo Sycie, Bernardone!”. Jak się okazało, chciał mi odebrać jedno i drugie. — Orfeo odchylił do tyłu głowę. — Co jest takiego w tym po-rysowanym bezwartościowym kamieniu, że ludzie gotowi są dla niego zabijać?

Amata wyrwała mu pierścień z palców, uprzedzając Guida, który też wyciągnął po niego rękę.

— Skąd go masz? — spytała. — Simone della Rocca ukradł taki sam mojemu ojcu.

— Dostałem go od swojego ojca.

Hrabia Guido wstał z fotela i podszedł do soppedana, kufra stojącego-go w nogach łoża. Wyjął z niego małą drewnianą szkatułkę i podał

Amacie.

— Nie wiem, co widziałaś u Simone, ale pierścień twojego ojca jest tutaj — powiedział.

Zdziwiona Amata uniosła wieczko szkatułki. Spoczywający w niej pierścień był bliźniaczo podobny do tego, który nosił na łańcuszku Orfeo: ten sam niebieski kamień i ten sam zagadkowy, wydrapany na nim symbol.

— Skąd się u ciebie wziął, wuju?

— Dał mi go twój brat Fabiano, kiedy szedł do czarnych mnichów.

Płonące na kominku polano strzeliło głośno. Amata pokręciła głową.

— Czegoś tu nie rozumiem — powiedziała, patrząc na pierścień. —

Co to znaczy „kiedy Fabiano szedł do czarnych mnichów”?

— O BoŜe! — Guido objął ją i przytulił. — To ty nic nie wiesz, dziecko? No tak, skąd miałabyś wiedzieć. Nie było cię tu juŜ, kiedy czarni 395

mnisi znaleźli Fabiana na skałach pod kaplicą.

— Co ty opowiadasz? Widziałam, jak skacze z urwiska na pewną śmierć.

— Nie, Amato. On nie zginął. Na zawsze pozostanie kaleką, ale przeŜył upadek. Jest teraz pomocnikiem piwniczego w klasztorze San Pietro w Perugii i niedługo zostanie wyświęcony na księdza.

— Fabiano zakonnikiem? — wyszeptła oszołomiona Amata.

— JuŜ nie Fabiano — poprawił ją wuj. — Kiedy wdziewał zakonny habit, czarni mnisi nadali mu imię „Anzelmo”. Benedyktyni zwykli nadawać nowe imię kaŜdemu, kto porzuca świat, Ŝeby nie pozostał

Ŝaden ślad jego dawnego Ŝycia.

Guido znowu podszedł do kufra. Pogrzebał pod stosami ubrań i po-

ścieli i usiadł w fotelu ze zwojem pergaminu przewiązanym czarną wstąŜeczką.

— Siedemdziesiąt pięć lat temu, podczas powstań wspólnotowych, kiedy zbrojne watahy plądrowały i paliły dwory szlachty, hrabiowie z Coldimezzo powierzyli ten zamek i włości opiece czarnych mnichów.

Opactwo San Pietro jest potężne, zarówno jeśli chodzi o siłę zbrojną, jak i o immunitety papieskie oraz cesarskie. — Rozwinął pergamin i zaczął czytać:

Gdyby jakaś komuna, czy w ogóle ktokolwiek, napadła wyŜej wymienionych kasztelanów, klasztor obiecuje stanąć w ich obronie. A gdyby oni, ich dziedzice bądź potomkowie znaleźli się w potrzebie, mogą swobodnie zwrócić się do wyŜej wymienionego klasztoru z prośbą o wszystko, co do Ŝycia

potrzebne. Gdyby zaś zrządzeniem lo-su popadli, co nie daj BoŜe, w skrajną opresję i postanowili oddać swe dorosłe córki, które poczują boskie powołanie, do zakonu, opat i mnisi z San Pietro de Cassinensi zobowiązują się zaopatrzyć je na własny koszt w posagi i umieścić w Œeńskich klasztorach reguły świętego 396

Benedykta. Pryncypalni członkowie rodu mogą zawsze liczyć na go-
ścinę i miejsce przy stole opata.

Guido przekazał umowę w drŜące dłonie Amaty.

— Mnisi, dowiedziawszy się o napaści, przybyli tu co koń wyskoczy, ale było juŜ oczywiście za pÓzno. Ocalili, co się dało z zabudowań i znaleźli Fabiana ledwie Œywego, z pogruchotanymi kośćmi. Wykuro-wali go i orzekli, Œe to Bóg oszczędził chłopca i powierzył ich pieczy, by mógł Mu słuŜyć w ich szeregach. Nawet twój brat przyznał im rację.

Czuje się wśród nich jak ryba w wodzie.

— Mój brat wciąż Œ wśród Œywych, a ja przez tyle lat go opłakiwa-

łam. — Amata spojrzała na Orfeę oczyma zamglonymi ze szczęścia. —

Mamy w tych stronach takie powiedzonko, sior Orfeo: „Nie masz kamrata nad siostrę i brata”. — Roześmiała się i dodała: — A niektórzy mawiają nawet: „MąŜ to jedno, ale brat to zupełnie co innego”.

— Mam nadzieję, Œe ty tak nie mawiasz — powiedział Orfeo. —

Byłbym zazdrosny. — Wyciągnął rękę i pogłaskał ją po ramieniu. —

MoŜe przed powrotem do AsyŜu odwiedziłabyś Fabiana w Perugii?

Amata zerknęła z prośbą w oczach na Guida i ten skinął głową.

— Naturalnie. Sam chętnie się z chłopcem zobaczę.

Przemknęło jej przez myśl, Œe aspekty prawne mogą zainteresować byłego notariusza i oddała pergamin Jacopone.

— Czy Fabiano powiedział, w jaki sposób wszedł w posiadanie taty

— czy raczej nonno Capitania — pierścienia? — zwróciła się do wuja.

— Tak. Twój ojciec wsunął mu go do kieszeni, kiedy mordercy wtargnęli do kaplicy. To Buonconte kazał mu skakać, bo wiedział, Œe jeśli tam zostanie, nie ujdzie z Œyciem.

— Ale co oznacza ten symbol wygrawerowany na kamieniu, wuju?

Hrabia Guido wzruszył ramionami.

— Ojciec mógł coś o tym wiedzieć od twojego dziadka, ale ze mną się tą wiedzą nie podzielił.

Jacopone skończył tymczasem czytać pakt. Zrolował zwój i jął stukać się nim w czoło, jakby próbował sobie coś przypomnieć.

— Spotkałem kiedyś w Gubbio zakonnika, brata Konrada, który potrafiłby to wyjaśnić. Utrzymywał, że niczego nie rozumie, ale tak naprawdę był kuty na cztery nogi. Po mojemu, znał odpowiedź na każde pytanie. Lecz i tak pobłądziliśmy w lesie.

— Aż tak nie pobłądziliście — zapewniła go Amata. — Zachowałeś się w tym lesie jak prawdziwy bohater.

Uznała, że nadszedł czas, by powiedzieć Jacopone całą prawdę o tym drugim Fabianie — o Fabianie, nowicjuszu szarych mnichów — i o dzielnym niewidzialnym smoku, który ocalił chłopcu Sycie.

XXXV

Konrad wydrapywał na ścianie mrocznej celi ostatnią listę Jana z Parmy — nazwiska wszystkich generałów w krótkiej historii zakonu.

Przyświecał mu latarnią Zefferino, obserwujący jego pracę ze schodków prowadzących do celi.

— Ministrowie zaalpejskich prowincji usunęli w roku tysiąc dwie-

ście trzydziestym dziewiątym Eliasza i wybrali na jego miejsce Alberta z Pizy. Niestety, Albert rok później zmarł. Sukcesję po nim przejął

Hajmon z Faversham, po nim nastał Krescenty z Iesi, a po nim, w tysiąc dwieście czterdziestym siódmym, ja. Kiedy po dziesięciu latach ministrowie poprosili mnie, bym ustąpił, nominowałem na swojego następcę brata Bonawenturę.

Wyskrobując skorupą na ścianie to ostatnie imię, Konrad wspomniał

Bonawenturę, który tamtej nocy, kiedy niebo zdało się rozpęknąć na dwoje, podawał mu do pocałowania pierścień i ostrzegał. I przyszło mu do głowy pytanie, na które nie znalazł dotąd odpowiedzi.

— Bracie Janie, czy minister generalny nosi urzędowy pierścień przekazywany mu przez poprzednika?

Stary zakonnik pocierał przez chwilę w zamyśleniu palce lewej dłoni.

— Tak — odparł w końcu. — Ze skromnym lazurytem. Czemu pytasz?

Konrad wyprostował palec i zwrócił się do Zefferina:

— *Perfavore*, bracie, możesz mi tu poświecić?

Zefferino podniósł się ze schodka i podszedł z latarnią do Konrada od strony jego zdrowego oka. Konrad jął zdrapywać mech z kamiennej ściany. Oczyszcivszy spory jej fragment, wyskrobał patyczkowatą postać pod dwoma łukami, którą dwukrotnie już widział: wyrytą w płycie ołtarza dolnego kościoła i wyskrobaną na kamieniu osadzonym w pier-

ścieniu ministra generalnego.

— Czy kiedykolwiek widziałeś ten symbol, a jeśli tak, to czy wiesz, co oznacza? — spytał. — Kiedy pierwszy raz się na niego natknąłem, pomyślałem, że to robota małych wandalów, ale później zobaczyłem go na pierścieniu brata Bonawentury, tym samym, który musiałeś nosić ty, kiedy byłeś generałem zakonu.

Jan popatrzył beznamiętnie na rysunek.

— To wiedza zastrzeżona dla urzędu — uciął.

Konrad skinął głową i położył skorupę na ziemi.

— Rozumiem. Masz prawo odmówić odpowiedzi. Byłem tylko ciekaw. — Zawahał się, a potem dodał pojednawczym tonem: — A pozwoliłem sobie spytać, bo prawdopodobnie nigdy stąd nie wyjdziemy i... i wszystko, czego się od ciebie dowiem, pozostanie na zawsze mię-

dzy nami. — Zwiesił głowę, czekając z nadzieją na odpowiedź Jana.

— Bracie Zefferinie — odezwał się stary zakonnik po dłuższej chwili milczenia — zostaw nas, z łaski swojej, samych. Chcę się wypowiedzieć przed bratem Konradem ze swych grzechów.

Konrad podniósł wzrok na Jana, próbując odczytać coś z jego skrytej w mroku twarzy, Zefferino zaś podniósł się ze schodka, wyszedł z celi i 400

opuściwszy kratę, zamknął ją na kłódkę. Przez ponad dwa lata, jakie tu ze sobą spędzili, Jan nigdy nie wyraził takiego śyczenia. Bo i, zdaniem Konrada, nie miał się z czego spowiadać.

— Wybacz mi, padre, bo zgrzeszyłem — wyszeptał Jan, kiedy Zefferino przekręcił klucz w kłódce. Wciągnął powoli powietrze w płuca i dodał: — Przez dziesięć lat odmawiałem wiernym prawa do modlitwy przy grobie świętego Franciszka.

— Jak to?

— Wiem, gdzie jest pochowany. Wiedziałem to przez cały czas sprawowania urzędu ministra generalnego.

— I chcesz może powiedzieć, że symbol na pierścieniu to wskazówka? że to symboliczne przedstawienie samego świętego Franciszka?

— Rozmawiamy pod tajemnicą spowiedzi o grzechu, nie o znaczeniu symboli.

— Rozumiem, bracie. Nie będę naciskał. — Konrad nakreślił nad Janem znak krzyża. — Ego te absolvo de omnibus peccatis tuis . —

Zawiesił na chwilę głos, zanim wypowiedział dalszy ciąg formuły rozgrzeszenia: — Odejdź w pokoju i nie grzesz więcej. — Mówienie Janowi, żeby odszedł w pokoju, zakrawało, zważywszy okoliczności, na okrutny śart.

Modlili się jakiś czas w skupieniu, po czym Konrad podjął:

— Rozmawiałem kiedyś z donną Giacomą dei Settisoli o zniknięciu szczątków świętego Franciszka. Szła w procesji przenoszącej je do nowej bazyliki i była świadkiem porwania. Nie wyobrażała sobie innego wytłumaczenia dla zachowania straszy miejskiej, jak tylko ochrona kości świętego przed łowcami relikwii, zarówno dewotami, jak i rabu-siami z innych wspólnot.

— Zawsze słyszałem to samo. Sam nie widzę innego motywu.

Konrad dokuśtykał do ściany.

— Czy oprócz Bonawentury ktoś jeszcze nosi ten znak? — spytał, stukając palcem w rysunek.

401

— Nikt ze znanych mi zakonników — odparł Jan. — Była jednak grupka ludzi nazywających siebie Compari delia Tomba, Bractwem Grobu...

— Świeckie stowarzyszenie?

— Tak. Wszyscy oni są już teraz bardzo wiekowi albo pomarli. Ci czterej ludzie byli obecni przy złożeniu zwłok świętego do grobu i otrzymali od brata Eliasza taki sam pierścień. Przysięgli na swoje życie strzec tajemnicy miejsca pochówku kości świętego Franciszka, zniszczyć każdego spoza ich kręgu, kto odkryłby to miejsce albo domyślał

się jego lokalizacji, a w końcu zabrać tę tajemnicę, wraz z jej symbolem, do grobu. Pierścienie miały zostać pochowane z nimi, tak jak przedmioty codziennego użytku ze starożytnymi faraonami.

Konrad rozumiał siłę tego stowarzyszenia. Każda, najmniejsza nawet wioska miała swoje tajne bractwo — nieformalną sieć symbolicznego powinowactwa, comparaggio, należących do niego ludzi, tkaną w rytualnych obrzędach inicjacyjnych. Powinowactwo takie okazywa-

ło się nieraz silniejsze od więzów krwi. Było święte. Wierność aś po grób, albo przynajmniej przysięga na taką wierność, nie należały do rzadkości.

— Wspomniałeś o czterech świeckich — podjął Konrad. — Pamię-

tasz może ich nazwiska? — Schylił się po skorupę i tak jak na to liczył, Jan uznał ów gest za wyzwanie dla swojej pamięci. Przeciągnął się, przekręcił na plecy i zapatrzył w kratę.

— Był wśród nich człowiek z Todi, Capitano di Coldimezzo, signore, który podarował grunt pod naszą bazylikę. Był brat świętego Franciszka, Angelo. Był rycerz gwardian naszego miasta, Simone della Rocca. No i Giancarlo di Margherita, wówczas burmistrz Asyżu.

— I brat Eliasz.

— Eliasz doglądał, oczywiście, pochówku. Amanuesisem bractwa został jego sekretarz. Jeśli jeszcze żyje, jest chyba jedynym poza mną z braci, który wie, gdzie spoczywają szczątki. — Jan uśmiechnął się. —

Czy wymieniłem wszystkich czterech?

402

— Lepiej, z bratem Iluminatem i jego sekretarzem nawet sześciu —

powiedział Konrad. Większość nazwisk z tej listy znał z rozmów z donną Giacomą, ale dopiero teraz dowiedział się, co łączy noszących je ludzi. Jan podsunął własne tło dla zagadki Leona, lecz Konrad nadal nie rozumiał, jakim motywem kierował się Eliasz, ukrywając święte szczątki. Przecież dla samej ochrony kości świętego nie trzeba było stosować aś tak wyrafinowanych zabiegów ani uciekać się do użycia przemocy na placu. Jak zauważyła szlachcianka, ewentualny złodziej ściągnąłby sobie na głowę całą świętą krucjatę. Podejrzanym było również to, że Iluminat starał mu się przeszkodzić w wypełnieniu jego misji. Czyżby między listem brata Leona a bractwem istniał jakiś ważny związek?

Symbol! Fascynujące! Co oznacza? Może uda mu się to wydobyć od Jana.

Odgłos, jaki dobiegł zza jego pleców, powiedział mu, że się nie uda, a przynajmniej nie dzisiaj. Towarzysz niedoli podłóżył sobie rękę pod głowę i zasnął, co ostatnio często mu się zdarzało. Przy wtórze jego cichego pochrapywania Konrad wodził koniuszkami palców po dwóch łukach nad patyczkowatą postacią, jakby miał nadzieję rozszyfrować ich znaczenie samym tylko zmysłem dotyku.

Niecały tydzień później w Coldimezzo zatrzymała się na odpoczynek prowadzona przez smagłego kupca karawana zmierzająca z toskań-

skim winem do Wiecznego Miasta. Orfeo był już wypoczęty, lekkie rany zabiłszy się, niewiele więc myśląc, postanowił wykorzystać nadarzającą się sposobność i zabrać się z nimi do Rzymu, do papieża.

Podróż z młodym kupcem zapowiadała się zresztą milej niż ze zbrojną eskortą Grzegorza, z którą

przemierzył drogę z Wenecji do Asyŝu. Mieli wspólnie tematy dotyczące handlu, a i w wieku byli podobnym.

Amata, machając na poŝegnanie odjeŝdŝającym Orfeowi, odetchnęła głąboko chłodnym powietrzem wczesnego poranka.

403

Jeszcze tego samego dnia ruszała z wujem w przeciwnym kierunku, do odległej o dzień konnej jazdy Perugii. Zabierali ze sobą tylko garstkę ludzi, bo droga była uczęszczana, a co za tym idzie, bezpieczna, i przed zmrokiem powinni być w goŝcinnym opactwa.

W nocy prawie nie zmrŝyła oka. Őwiadomość, Őe wkrótce stanie oko w oko z bratem, z którym nie widziała się od blisko oŝmiu lat, spę-

działa jej sen z powiek. A jakie to będzie zaskoczenie dla Fabiana! Wy-da mu się, Őe to jej duch powstał z grobu. Z uŝmiechem pomyŝlała o pobieleniu sobie twarzy, jak to czyniły rzymskie nobildonny, ale przecieŝ po długiej zimie cerę miała i tak wystarczająco jasną.

Jacopone zgodził się zostać w Coldimezzo, by wypocząć jeszcze trochę przed podróŝą powrotną na wymoszczonym sianem wozie do Asy-

ŝu. Hrabia Guido namawiał go, rzecz jasna, do pozostania na zawsze w castel a, i Jacopone nawet się ku temu skłaniał. Zmienił jednak zdanie, kiedy Amata przedstawiła mu swój plan urządzenia w swoim domu skryptorium, w którym zaufani kopiŝci sporządzać będą kopie manuskryptu Leona. Wyraziła przy tym nadzieję, Őe Jacopone będzie pierwszym z nich. Pokusa przyłoŝenia znowu pióra do pergaminu okazała się dla byłego notariusza nieodparta, i tak Jacopone podziękował za propozycję zamieszkania w Coldimezzo, za to hrabia Guido przyjął zaproszenie Amaty do Asyŝu. W drogę mieli ruszyć po krótkiej wizycie w Perugii. Zabierali ze sobą Teresinę. Dziewczynka juŝ podskakiwała z podniecenia, mając w perspektywie podróŝ z ojcem na wozie i spędzenie kilku tygodni w domu Amaty.

Dzisiaj jednak musiała zostać w domu.

— Teresino — powiedział przed odjazdem rycerz — zabawiaj tatę, dobrze go karm i pozwól pospać, kiedy się znuŝy.

Dziewczynka skinęła powaŝnie głową, przyjmując te obowiązki jak prawdziwa pani na zamku.

Wyjeŝdŝając z wujem i jego zbrojnymi przez zamkową bramę, Amata wróciła myŝlami do skryptorium, które zamierzała urządzić.

404

Cieszyło ją, Őe Jacopone wygląda na zadowolonego, iŝ znalazł się znowu na łonie rodziny, i ciekawa była, czy w związku z tym porzuci raz na zawsze Őywot wędrownego pokutnika. Pragnęła całym sercem, Őeby pogodził się wreszcie z wypadkiem, w którym zginęła Vanna, przestał

się obwiniać i odnalazł spokój ducha.

Szybko podchwyciła rytm wierzchowca. Ciepły wietrzyk i wiosenna zieleń po obu stronach traktu wprawiały ją w radosny nastrój. Po raz pierwszy od lat rozkoszowała się smakiem spokoju, słodkim i sycącym jak miód. Po raz pierwszy też patrzyła na wuja oczyma dojrzałej kobiety, a nie dziecka, dla którego wszyscy dorośli są jednacy. Była wdzięczna temu ogromnemu mężczyźnie, który jednym potężnym uściskiem zwrócił jej niewinność, rodzinę, przeszłość. A przed sobą miała spotkanie z Fabianem, które stanie się pomostem do utraconego dzieciństwa.

I to dziecko! Zachodziła w głowę, co też tak ją przyciąga do Teresiny: jej czysta duszyczka, jej niespożyta radosna energia, to, jak nuci pod nosem, rysując patykami na piasku, podobieństwo do matki, które przenosiło Amata do wieku niewinności? Pragnienie posiadania własnych dzieci, które wzbudzała w niej ta angelina? Obojętne, w czym tkwiło jej źródło, miłość do dziewczynki dodawała szczególnego po-smaku spokojowi, który ją teraz przepęśniał.

Na takich błogich rozmyślaniach, oraz słuchaniu opowieści wuja o furii i impecie krucjaty Fryderyka, długi dzień podróży upłynął niemal niepostrzeżenie. Nie wiedzieć kiedy wyrosły przed nimi ogromne szare mury San Pietro, benedyktyńskiego klasztoru spełniającego jednocze-

śnie rolę południowej cytadeli warownego miasta Perugia. Amata zdawała sobie sprawę, że już za późno, by spotkać się z Fabianem, ale mo-

że po rozlokowaniu się w kwaterach gościnnych i wieczerzy uda jej się zobaczyć go choć z daleka. Większość klasztornych bazylik miała na tyłach nawy część przeznaczoną specjalnie dla odwiedzających, którą od terenu właściwego klasztoru oddzielała zazwyczaj krata. Może dziś 405

wieczorem, podczas komplety, wypatrzy go wśród widmowych postaci modlących się w skupieniu w stallach dla mnichów albo wyłowi jego głos z oceanu pieśni?

Uśmiechnęła się na tę ostatnią myśl. Głos Fabiana, od czasu kiedy ostatni raz go słyszała, z pewnością się pogłębił. Nie wie, jak teraz brzmi. Jej młodszy brat był już teraz siedemnastoletnim młodzieńcem.

Brat Anselmo siedział na stołku przy wysokim pulpicie, czujny niczym bagienny ptak, mając baczenie na wszystko, co się dookoła dzieje. Do jego obowiązków jako pomocnika brata piwnicznego należało między innymi inwentaryzowanie wszystkiego, co wyprodukowano dla San Pietro w zagrodach należących do klasztoru, z wyszczególnieniem imienia wieśniaka, który dany produkt dostarczył, oraz ilości i jakości tego produktu. Dzisiaj była to tkanina na habity, efekt mozolnej pracy pod dachem przez całą długą zimę. Brat piwniczny dyktował, młodzian zapisywał.

Jego ziemista twarz lśniła w blasku świecy palącej się w lichtarzu obok pulpitu. Przygotował nowy arkusz, zaczynając jak zwykle literami A-M-D-G, Ad Maiorem Dei Gloriam, ku większej chwale Boga. Reguła świętego Benedykta łączyła śpiewanie psalmów z Opus Dei, Dziełem Bożym, i Anselmo zabierał się do pracy z takim właśnie nastawieniem.

Pisząc, wolną ręką przytrzymywał się dla lepszej równowagi krawędzi pulpitu, a dodatkowo oplatał

zdrową nogą nogę stołka. Nie podniósł

nawet wzroku, kiedy do magazynu zajrzał brat opiekun gości, zakładając, że ten przyszedł pewnie po zmianę pościeli dla kwater gościnnych.

Zakonnik rozmawiał przez chwilę z piwnicznym, po czym ten ostatni zawołał:

— Anselmo, ktoś czeka na ciebie na dziedzińcu gościnnym! Do-kończymy później.

406

Klasztor zezwalał swoim mnichom przyjmować raz do roku gości, ale ta wiadomość i tak wielce go zaskoczyła. Z każdym rokiem spędzonym w zakonie pierwsza połowa jego krótkiego życia wydawała mu się coraz bardziej odległa i nierealna.

— Wuj?

— Tak, to hrabia Guido — odparł opiekun gości. Tym razem przywiózł ze sobą młodą kobietę.

Anselmo, uśmiechając się od ucha do ucha, zeskoczył ze stołka na zdrową nogę.

— Amatina! Wiedziałem, że kiedyś tu trafi! — Złapał drewniane kule oparte o ścianę.

— Masz na myśli swoją zaginioną siostrę? Skąd wiesz, że to ona?

— Wy jej nie znacie, bracie. Jej nikt nie pokona! Wyobraźcie sobie któregoś z waszych perugiańskich rumaków bojowych, szarżującego pod północny wiatr dmący od gór, niepoddającego się żywiołom, albo szarżującego naprzeciw chmurze strzał, niedbającego o swe bezpieczeństwo, a wyrobicie sobie jedynie mgliste pojęcie o uporze mojej siostry.

— Tak, to rzeczywiście musi być upór. — Piwniczny zachichotał.

— Modlę się, żebyś miał rację. No, idź już, idź, ciesz się odwiedzinami.

Anselmo, choć zmuszony wlec za sobą niewładną nogę, był na dziedzińcu tak szybko, że zadziwił opiekuna gości. Stary zakonnik, podobnie jak wszyscy mnisi z San Pietro, miał wielką słabość do tego kalekiego sieroty, który zamieszkał z nimi jako mały chłopiec. Był dla nich taką samą maskotką, jak ogar opata, i rozpieszczali go bezwstydnie do granic dopuszczonych przez regułę.

Opiekun gości wskazał chłopcu mężczyznę i kobietę czekających po drugiej stronie dziedzińca i wycofał się do klasztoru. Kuśtykając ku nim, Anselmo zauważył, jak wuj trąca kobietę łokciem.

— Fabiano! — krzyknęła, wybiegając mu na spotkanie i porywając w objęcia z taką energią, że o mało nie stracił równowagi. — Nigdy bym cię nie poznała!

407

— Anselmo — poprawił ją z uśmiechem, nieco zaambarasowany.

— Jestem teraz brat Anselmo. I chyba nie uchodzi, żeby obściskiwały mnie kobiety. Nie wiem, czy nie będę musiał kajać się za to przed ca-

łym zgromadzeniem i spowiadać jutro rano na zebraniu naszej kapituły.

— E tam! — fuknęła Amata. Zrobiła krok do tyłu i zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów. — Dobrze się czujesz? Boli cię coś jeszcze?

— Nic mi nie dolega. żyję i jestem szczęśliwy jak nigdy, Amatino.

Gdyby nie ci zbóje, nie byłoby mnie tu dzisiaj i nie wiedziałbym, co tracę. I ty teś prześyłaś. Wiedziałem.

— Tak, prześyłam. — Wolała się nie wdawać w szczegóły, brat nie musiał ich znać.

— Mośe dowiem się wreszcie, kim byli ludzie, którzy na nas napa-dli? Kmieć, który widział, jak z tobą odjeśdśają, potrafił powiedzieć tylko, że kierowali się na wschód. Wuj Guido wszędzie cię szukał. Ale ty jakbyś się pod ziemię zapadła. — Anselmo zerknął pytająco na wuja.

— To byli najemnicy — odezwał się Guido. — Rycerze z Asyśu nasłani przez kupca, który tydzień wcześniej pokłócił się z waszym ojcem.

— Bo musiał płacić myto za przejazd przez nasze ziemie — dodała Amata.

Anselmo pokręcił głową.

— Taki był mośe pretekst, ale prawdziwa przyczyna inna — powiedział. — Słyszałem tę kłótnię, ukryty w bramie zamku. Tato krzyczał, że wie, co symbolizuje pierścień kupca, bo sam taki nosi. Podstawił go kupcowi pod nos i powiedział, że jeśli komuś z jego rodziny coś się stanie, to rozgłosi to na cały świat.

— Tego akurat nie dosłyszałam. — Amata zarumieniła się, przypominając sobie, że bardziej niż kłótnia ojca z kupcem interesował ją wówczas Orfeo. — Moją uwagę odwrócił pewien przystojny chłopiec ze świty tego kupca.

Tutaj wtrącił się hrabia Guido:

408

— Uwaśasz zatem, że kupiec kazał zabić twojego ojca z powodu tego pierścienia, a nie nałósonego myta?

— Tak mi się wydaje.

— Ale tato dostał go przecieś od nonno Capitania — zwróciła się do Guida Amata. — Dziadek nie

wydawałby go z rozmysłem na śmierć, jak to uczynił ojciec Orfea.

— Nie, oczywiście, *Œe* nie — przyznał Guido. — O ile znałem waszego ojca, był zapewne zdania, *Œe* to, co symbolizuje ów pierścień, jest zbyt waŒne, by utrzymywać rzecz w tajemnicy. Nie ulega teraz wątpliwości, *Œe* Buonconte coś wiedział. Zwierzał ci się z tego, Anselmo?

— Nigdy wcześniej nie zwróciłem na ten pierścień uwagi — odparł

chłopiec. — Nie wiedziałem nawet, *Œe* wsunął mi go do kieszeni, kiedy kazał mi skakać przez okno. Brat, który zwrócił ci pierścień, wuju, znalazł go przy mnie, opatrując moje rany. Jeśli tato coś wiedział, to zabrał

tę wiedzę do grobu.

— Według mnie, po powrocie do domu powinniśmy zniszczyć ten przedmiot — zwrócił się Guido do Amaty. — I powinnaś poradzić Orfeowi, *Œe*by postąpił tak samo ze swoim. Te pierścienie rzucają na nas wszystkich straszną klątwę.

— Cóż, *moŒemy* mieć przynajmniej pewność, *Œe* pierścień Simone został pogrzebany, jeśli nie na jego palcu, to na palcu jego syna. Dopilnowałaś tego. — Uśmiechnęła się ponuro.

Oczy patrzącego na siostrę Anselma zaszklily się nagle, i ona, widząc to, *teŒ* się rozplakała. Ocierając rękawami łzy, śmiali się, jakby ona znowu miała jedenaście, a on dziewięć lat. Potem Amata wzięła brata za rękę i pociągnęła do ławeczki. Usiedli i zaczęli wspominać dzieciństwo, wuj zaś sypał jak z rękawa opowieściami z początków Coldimezzo, kiedy ich nie było jeszcze na świecie, a on i ich ojciec byli jeszcze dziećmi.

Anselmo opowiadał o swoim szczęśliwym *Œyciu* w klasztorze San Pietro, o swojej pracy, o tym, jak dzięki zdolności do rachunków został

pomocnikiem piwnicznego, o tym, jaki jest rad, *Œe* pomimo swojej ułomności *moŒe* być do czegoś przydatny. Powiedział, *Œe* Amata jest pierwszą kobietą, jaką widzi od blisko ośmiu lat, i wydaje mu się, *Œe* odwiedził go 409

anioł, a jej czepek uważa za osobliwe i dziwaczne nakrycie głowy, bo dawno takiego nie widział.

Amata z kolei opowiedziała mu o swoim pobycie w San Damiano i obecnym *Œyciu* w AsyŒu. Anselmo był wyraźnie rozczarowany, *Œe* nie podobało jej się zakonne *Œycie* i nie została w klasztorze. Jak *moŒna* pogardzić *Œyciem* w słuŒbie Bogu?

Największą niespodziankę Amata zachowała na koniec:

— Ale jak mogłabym być zakonnicą i męŒatką zarazem? — spyta-

ła.

— Wysłaś za męŒ?

Uśmiechnęła się.

— Jeszcze nie, ale wkrótce wyjdę. A kiedy to się stanie, naszemu pierwszemu synowi damy na imię Fabiano... a drugiemu Anselmo.

Nadal będziemy mieli w rodzinie Fabiana i dwóch Anselmów. — Zastanowiła się, czy wyjawić bratu, że Orfeo jest synem człowieka, który nasłał morderców na ich rodzinę, ale doszła do wniosku, że lepiej tego nie robić. Powiedziała mu jednak o przyjaźni Orfea z papieżem i jego podróży do Rzymu, bo wiedziała, że to zrobi wrazenie na młodym zakonniku.

W porze posiłku brat opiekun gości przyniósł im strawę i napoje, żeby nie musieli schodzić z dziedzińca. Wieczorny dzwon, wzywający mnichów na nieszpory, był dla Anselma przypomnieniem, że pora po-wrócić do klasztornego życia.

— Odwiedzisz mnie jeszcze? — spytał na odchodnym.

— Będę tu co roku — obiecała Amata. — Tak często, jak to do-zwolone.

Jego następne pytanie zaskoczyło ją.

— I wybaczyłaś już zabójcom naszych rodziców? Bo wiesz chyba, że nie zaznasz spokoju, dopóki tego nie uczynisz.

Amata przełknęła z trudem.

— Większość z nich już nie żyje i z radością patrzyłam, jak umierają. Od lat prowadzę vendettę, i to z paru powodów. Ale już ją prawie zakończyłam. Spytaj mnie o to, kiedy odwiedzę cię za rok z moim mężem.

Żem.

410

— A zatem do następnego roku. Módl się za mnie, tak jak ja będę się modlił za ciebie.

Anselmo wstał i wsparł się na kulach. A wtedy, zanim zdążył zaprotestować, Amata pocałowała go w policzek.

— To pocałunek na do widzenia — powiedziała. — Bo żyjemy.

Brat Jan nie wracał już więcej do tematu pierścieni. Zdawał się sa-

łować, że wyjawiał aż tyle, a Konrad nie naciskał. Słuchał za to cierpliwie Jana opowiadającego o swoich snach, wizjach i zwidach.

W jednym śnie siedział nad wezbraną rwącą rzeką i patrzył bezradnie, jak wielu jego braci, uginając się pod ciężarem wielkich tobołów, wchodzi w jej wzburzoną toń. Wartki nurt porwał ich i wszyscy

potonę-

li. A kiedy ich oplakiwał, nadeszli inni bracia, którzy niczego nie nieśli.

I ci przeprawili się przez rzekę bez kłopotu.

— Zaprawdę, zakon potrzebuje twego przewodnictwa bardziej niż

kiedykolwiek — powiedział Konrad. — Ci pierwsi byli braćmi konwentualnymi, którzy obarczają siebie wszystkimi ciężarami tego świata.

Drugą grupę stanowili spirytuałowie, którzy pozostają wierni ustanowionej przez świętego Franciszka regule ubóstwa i zadowala ich podą-

śnianie za nagim Chrystusem na krzyżu. Z nimi łatwo przebyć rzekę.

— Przypuszczam, że duchem byłem najbliższej braci spirytualnych —

przyznał Jan — chociaż stojąc na czele zakonu, próbowałem wznieść się ponad podziały. Ministrowie prowincjonalni odgadli jednak moje prawdziwe preferencje i dlatego dotrzymuję ci teraz towarzystwa.

Pewnej nocy Jan tak głośno podzwaniał przez sen łańcuchami, że obudził Konrada. Konrad, pełen obaw, że to demony dręczą starca, wezwał na pomoc aniołów stróżów ich obu i potrząsając Jana za ramię, wybudził go z sennego koszmaru.

— Śnił mi się brat Gerardino i jego herezje — wyjaśnił Jan, doszedłszy 411

do siebie. — Boję się o jego duszę. Chociaż winić należy nie tyle jego, co kronikarzy naszego zakonu. Jego twierdzenie, że narodziny świętego Franciszka oznaczały drugie nadejście Jezusa, było niczym więcej, jak tylko logicznym wnioskiem wysnutym z legend. Był zapewne w stajni w naszym mieście, gdzie pani Pica powiła Franciszka, pomimo że jej mąż był najbogatszym kupcem w Asyżu. I te opowieści idą dalej, opisując starca, który okrzyknął jakoby naszego założyciela świętym, kiedy ten był jeszcze dzieckiem, tak jak uczynił to Symeon, ujrawszy naszego Błogosławionego Pana przed świątynią. Później, kiedy Franciszek wybrał się jako młody mężczyzna do Rzymu, żeby prosić papieża Innocentego o zgodę na powołanie nowego zakonu, towarzyszyli mu dwaj uczniowie. Jeden z nich, brat Jan od Kapelusza, wystąpił potem z zakonu, bo nie potrafił podporządkować się rygorom reguły. Kronikarze dopatrzyli się w nim drugiego Judasza. I tak jest ze wszystkimi opowie-

ściami o uczynkach i cudach Franciszka.

Na freskach, którymi Giunta da Pisa ozdobił dolny kościół, zdarzenia z życia naszego założyciela znajdują się naprzeciwko scen z życia Jezusa. Nie robiono tego dotąd w kościele dla żadnego innego świętego.

W każdej innej bazylice znajdziesz sceny z Nowego Testamentu naprzeciw tych ze Starego, ale żadną miarą istota ludzka, nawet największy święty, nie jest porównywany tak bezpośrednio z

naszym Błogosławionym Panem.

Źle skrywany cynizm Jana poruszył Konrada. Nigdy nie słyszał, Ŝe-by jakiś zakonnik powątpiewał w dosłowną prawdę legend, moŜe tylko Leon napomykał, iŜ kryje się w nich głębsza prawda. Nie spodziewał

się takiego sceptycyzmu po byłym ministrze generalnym.

— PrzecieŜ są stygmaty — zauwaŜył Konrad. — Donna Giacomina trzymała w ramionach poranione, prawie nagie ciało umierającego Franciszka. Opowiadała mi, Ŝe przypominał jej ni mniej, ni więcej tylko Jezusa po zdjęciu z krzyŜa.

Jan odchrząknął.

412

— Zaiste. Są stygmaty, i sam ten cud wystarcza, by uwaŜać świętego Franciszka za drugiego Chrystusa.

Konrad nie dawał za wygraną.

— Jest równieŜ zeznanie brata, który w swej wizji widział naszego Pana, wchodzącego do katedry w Sienie na czele licznego tłumu świę-

tych. Ilekroć Chrystus robił krok, na ziemi pozostawał odcisk Jego stopy. Wszyscy święci starali się jak mogli kroczyć po tych śladach, ale Ŝadnemu nie udawało się w nie idealnie utrafić. Na koniec nadszedł

święty Franciszek i zaczął stawiać stopy dokładnie w śladach pozosta-wionych przez Jezusa.

— Słyszałem o wielu takich dowodach — przyznał Jan — ale nadal wolałbym, Ŝeby kronikarze dziejów zakonu nie kładli takiego nacisku na to przyrównanie. Gdyby nie oni, Gerardino nie głosiłby swoich here-zji, a co waŜniejsze, nie zgubił swojej nieśmiertelnej duszy.

XXXVI

Amata stała przed kominkiem w dużej izbie, ściskając w dłoni nie-otwarty jeszcze list od Orfea, a bezzębny rzymski kupiec opowiadał jej z przejęciem o przygodach, jakie spotkały go w drodze do Asyżu. Słuchała z wymuszonym uśmiechem, wpatrzona we włochatą brodawkę na nosie mężczyzny. Gdzie ten Pio, czemu nie przychodzi? Kiedy w końcu się zjawił, jeszcze raz podziękowała kupcowi i kazała chłopcu zaprowadzić go do kuchni.

Sama wybiegła na podwórzec, gdzie pławiąc się w słońcu, będzie mogła przeczytać list na osobności. Złamała pieczęć i rozwinęła welin.

Cara mia

Dnie bardzo się dłużą i to nie tyle z powodu zbliżającego się letniego przesilenia, co dlatego, że Ciebie przy mnie nie ma. Bez ustanku o Tobie myślę. Śniło mi się dziecko z ebonitowym warkoczem, kobieta na polanie z podświetlonymi przez słońce włosami. Czy to nie dziwne? Chociaż Ty trapisz się, że włosy sięgają Ci zaledwie ramion, 414

ja widzę je długie, rozwiewane wiatrem, przetykane pączkującymi kwiatami. To chyba wieszczy sen — te pączki to bambinis, owoce naszej miłości.

Moja misja, przykro przyznać, nie powiodła się, a ściślej rzecz biorąc, trochę się przeciągnie. Uzyskanie audiencji u Grzegorza jest teraz niemal niepodobieństwem. Myślałem już z rozpaczą, że nigdy nie uda mi się do niego dotrzeć, a tu naraz spotykam znajomego, brata Salimbene, który, jak się okazuje, wchodzi w skład delegacji zakonników mającej udać się z papieżem do Lyonu. Ten Salimbene przedstawił mnie innemu zakonnikowi, bratu, który nazywa się Girolamo d'Ascoli i jest ministrem prowincjonalnym z Dalmacji, a od niedawna legatem Grzegorza na Kościoły wschodnie. Odniosłem wrażenie, że ten brat Girolamo nie przepada za Bonawenturą, bo kiedy wy-

łuszczyłem mu swoją sprawę, skwapliwie skorzystał z okazji, by postawić swojego ministra generalnego w niezręcznej sytuacji. Tak czy owak załatwił mi audiencję i osobiście mi towarzyszył. Papież bardzo się ucieszył na mój widok, ale nie rozpatrzył mej petycji od ręki, żeby nie urazić Bonawentury, który wspierał go przez ten ostatni rok i był

jego wiernym sprzymierzeńcem. Powiedział jednak, że z miłości do mnie nie podejmie jeszcze ostatecznej decyzji, lecz porozmawia z ministrem generalnym po soborze powszechnym.

Poprosił mnie, żebym popłynął z nim jutro do Prowansji, albowiem uważa mnie za swój talizman. Zgodziłem się w nadziei, że uda mi się wpłynąć na jego stanowisko, kiedy skończy się sobór. W Marsylii przesiądziemy się na barkę i popłyniemy w górę rzeki Rodan do Lyonu. Kiedy otrzymasz ten list, obrady w katedrze lyońskiej będą już

trwały. Jeśli Bóg da, wrócę pod koniec czerwca z bratem Salimbene.

Ten człowiek jest kronikarzem i pasjonuje się historią, a szczególnie dziejami swojego zakonu.

Dnie są tu coraz upalniejsze, ale to mroźna zima w porównaniu z poŞarem, który szaleje w mej piersi. Pomyśleć tylko, Œe nie mogłem 415

niedawno przeboleć, iŒ ominęła mnie szansa zdobycia bogactwa w Kitaju, a tymczasem o wiele większy skarb leŜał ukryty w moim rodzin-nym mieście. KaŜdej nocy dziękuję Bogu, Œe postawił Cię na mej drodze. Marzyłem kiedyś o kąpeli w czystych stawach Kitaju, ale teraz pragnę tylko pławić się i swawolić w ciemnych jeziorach Twoich oczu.

Pod oknem mojej izby rozkrakały się znowu, niczym wrony na łą-

ce, wiekowe matrony. KrąŜą w swoich czarnych spódnicach niespiesznie jak moje bezsenne noce, zbierając chrust na podpałkę, ale po napełnieniu fartuchów rozejdą się w końcu do swoich domów. TakoŜ i ja będę krąŜył wokół papieŜa, póki nie wypełnię swojej misji, bo dopiero wtedy z podniesionym czołem będę mógł wrócić do Ciebie. Do tego czasu pamiętaj o Twoim samotnym słudze i módl się za mnie, pozostającego na zawsze

Innamorato tuo,

Orfeo

Amata, owijając sobie wokół palca pasmo włosów, kilka razy przebiegła wzrokiem list. Choć rozczarowana wieścią, Œe nie udało się jeszcze uzyskać ułaskawienia dla Konrada, przyłapała się na tym, Œe wraca do fragmentów, w których Orfeo wyznaje jej miłość. Obserwując go, kiedy lizał się z ran w Coldimezzo, widziała męŜczyznę, który odzyskuje radość Œycia, który godzi się powoli ze stratą przyjaciela woźnicy.

Widziała Orfea skorego do śmiechu, z kurzymi łapkami w kącikach oczu. Schlebiała jej namiętność przebijająca z tego, co pisał. Której kobiety nie ujęłyby takie słowa! Kiedy je czytała, udzielał się jej, rozprzestrzeniał na wszystkie członki, bijący od nich Œar.

Martwiły ją jednak inne słowa listu. MoŜe w ten sposób rozmawiają ze sobą kupcy, ale jej nie podobało się, Œe jest porównywana ze „skarbem” i „bogactwem”. Rodziła się w niej obawa, Œe tak naprawdę nie przemawia przez niego miłość, lecz kosztowna ambicja handlowania z 416

dalekimi krajami. Ale moŜe od incydentu z Roffredem Gaetanim stała się zbyt wyczulona na zalotników, których interesuje nie tyle ona, co jej fortuna.

Odstęczało ją równieŜ słowo „Kitaj”. Pamiętała, jak opowiadał jej o swoim przyjacielu Marcu, który ojca poznał dopiero w wieku siedem-nastu lat. Œadne moje dziecko nie będzie naraŜone na tak długą rozłąkę, pomyślała. I ja teŜ ani myślę ją znosić. Nie chciała malowanego męŜa.

Przed ostateczną decyzją będą to musieli między sobą uzgodnić. Na szczęście ma teraz pełnomocnika w osobie wuja Guida i z małŜeń-

stwem spieszyć się nie musi.

Usłyszała za sobą kroki. To wuj, popatrując na nią spod oka, szedł

kruśgankiem z załoŝonymi na plecach rękami i zaciśniętymi ustami.

— Dostałam właśnie list od Orfea — wyjaśniła.

Hrabia nic nie powiedział, ale wyczytała w jego oczach pytanie.

— Wiem, Ŝe powinnam go pokochać — podjęła — ale niepokoją mnie niektóre z jego sformułowań. Jednego jestem jednak pewna: z dotychczas poznanych męŝczyzn on odpowiada mi najbardziej. Czy to wystarczająco silny fundament, by myśleć o małŝeństwie, wuju?

Guido uśmiechnął się z wyższością człowieka, który takie dylematy ma juŝ dawno za sobą.

— Na to odpowiesz sobie sama, kiedy go znowu zobaczysz, Amatino. Tak czy owak moŝna się pobrać z miłości, a potem odkryć, Ŝe ko-chanie kogoś od świtu do zmierzchu i od zmierzchu do świtu teŝ moŝe być nuŝące.

Amata wysunęła dolną wargę i skubiąc ją, zastanawiała się przez chwilę.

— No tak, ale gdybym wyszła za mąŝ z jakiegoś innego powodu, to czy nie musiałabym w końcu i tak zdobyć jego miłości, Ŝeby nam obojgu było łatwiej?

— Dasz sobie radę, dziecko — powiedział wuj. — Przeŝyłaś mię-

dzy tymi barbarzyńcami, przeŝyjesz małŝeństwo z Orfeem.

417

Ruszył dalej, mrużąc pod nosem. Ta dzisiejsza młodzieŝ! Pobierać się z miłości! Kto to słyszał w moich czasach?

Orfeo wdział na kaftan swój najczystszy bliaut, przygładził włosy i podąŝył za papieskim poŝtańcem do refektarza minorytów. Grzegorz zaprosił Orfea, jako bratanka świętego Franciszka, na wspólną wieczerzę z zakonnikami, którzy mieli zeznawać w drugi dzień soboru powszechnego.

Papieska świta zajmowała cały główny stół. Oko Orfea przyciągnęła ręka machająca doń z końca tego stołu. Brat Salimbene zajął mu miejsce na ławie między sobą a bratem Girolamem d'Ascolim, tym samym, który w Rzymie pomógł Orfeowi uzyskać audiencję u papieŝa. Drobnym, schludnym, gładkolicym niebieskookim Girolamo, z tonsurą okoloną sre-brzystobiałymi włosami, stanowił ŝywe przeciwieństwo tęgiego roz-memłanego Salimbene.

Tryskający wybornym humorem Grzegorz, popatrzawszy z pro-miennym uśmiechem na twarze biesiadników, pobłogosławił posiłek i podziękował za owocny pierwszy dzień soboru powszechnego, a zwłaszcza za szczęśliwe doprowadzenie do pojednania z Kościołem wschodnim.

Orfeo spóźnił się tego ranka do katedry lyońskiej i ugrzązł w tłumie wypełniającym juŝ szczelnie transept. Lecz z rozmów, jakie przeprowadził wcześniej z Grzegorzem, wynikało jasno, iŝ zasypanie przepaści między Kościołami widnieje na pierwszym miejscu listy spraw do załatwienia, jaką

przyjacieli sobie ułożył. Wspinając się na palce i słuchając komentarzy ludzi stojących z przodu, Orfeo widział bogato odzianą delegację Wschodu, występującą naprzód i klękającą przed papieskim tronem. Jej członkowie gromkim głosem oznajmili: „Uznajemy prymat i wszystkie obrządki Kościoła zachodniego”. Przystali następnie na każdy z punktów Grzegorza, w tym na formułę filioque w credo, która proklamowała pochodzenie Ducha Świętego od Boga Ojca i od Syna Bożego, oraz użycie przaśnego chleba w liturgii Eucharystii.

418

Kiedy Grzegorz po raz kolejny wyrażał swoje zadowolenie z osiągniętych tego dnia porozumień, Orfeo szepnął do brata Girolama:

— Co zyskały w zamian Kościoły wschodnie? — Wiedział, że brat Girolamo, jako wysłannik papieża do cesarza Bizancjum, Michała Paleologa, dobrze orientuje się w subtelnościach negocjacji.

— Bardzo mało — odparł zakonnik przyciszonym głosem. —

Obiecaliśmy im, że będziemy tolerowali liturgię grecką.

— Tylko tyle?

— Trzeba ci wiedzieć, młody laiku, że ustępstwo Michała nie ma nic wspólnego z religią. Saraceni rok po roku coraz głębiej wdzierają się w granice jego imperium. Potrzebuje naszego militarnego wsparcia i jego pozycja przetargowa jest słabą. — Brat Girolamo umoczył kromkę chleba w zupie i z przelotnym uśmiechem dodał: — Bóg osiąga swoje cele cudownymi sposobami, nie pogardzając nawet pogańskimi hordami.

Tu wtrącił się brat Salimbene:

— A ja wam mówię, że reszta soboru będzie dla naszego Ojca Świętego trudniejsza. Cztery lata zajęło kardynałom wybranie go na następcę Klemensa. A on chce teraz zamykać ich po śmierci papieża w osobnych celach. Chce pozbawić wszelkich dochodów na czas odizolowania na konklawe, dopóki nie wybiorą nowego papieża.

— I nie tylko to — dodał Girolamo. — Już jutrzejszy dzień nie bę-

dzie należał do najprzyjemniejszych. Posypią się zarzuty przeciwko świeckiemu duchowieństwu. — Chociaż mnisi z zakonów kaznodziejskich i minoryckich mieli teraz licznych przedstawicieli w szeregach prałatów — biskupów, arcybiskupów, a nawet kardynałów — Grzegorz uważał, że za całe zło świata odpowiedzialni są świeccy kapłani i prałaci, którzy nie przysięgali posłuszeństwa słabej religijnej wspólnoty.

Salimbene otarł rękawem strumyczek tłuszczu ściekający mu mię-

dzy łańkami podgardla. Mrugnął i uśmiechnął się.

— Non est fumus absque igne . Nie ma dymu bez ognia. Nawet paru kardynałów może tu cienko zaśpiewać.

— Włączając w to waszego kardynała Bonawenturę?

Rozbawione spojrzenie Salimbene nie pozostawiało wątpliwości, co myśli o naiwności Orfeja, jeśli chodzi o sprawy Kościoła.

— Nie, nie — powiedział. — On przewodniczy przesłuchaniom świadków zeznających przeciwko świeckim.

Orfeo pobiegł za spojrzeniami obu zakonników. Siedzący obok papieża kardynał Bonawentura zabierał się właśnie za szczególnie tłusty kawał pieczystego.

— Nasz minister generalny jest już prawie tak samo okrągłutki, jak ty, bracie Salimbene — zauważył z ironicznym uśmiechem Girolamo.

Cedził słowa jak wytrawny nauczyciel dykcji i słowo „okrągłutki”, zanim opuściło jego usta, zarezonowało i odbiło się echem od podniebienia.

— A i owszem, bo i czas po temu najwyższy. Zważy jednak, że brakuje mu jeszcze mojego wesołego usposobienia i końskiego zdrowia.

Trochę to mało, jak na mój gust, żeby nas porównywać. I te podkrążone oczy. — Salimbene pokręcił głową z udawanym współczuciem. —

Nawet Jego Świątobliwość się o niego martwi. Widzicie to zatroskanie w papieskim wejrzeniu?

Orfeo uśmiechnął się, słysząc, z jakim brakiem poszanowania bracia rozmawiają o Bonawenturze, którego cała reszta świata uznawała za osobistość wybitną. Od przybycia z papieskim orszakiem do Lyonu słyszał nieraz pogłoskę, że Grzegorz szykuje Bonawenturę na swego następcę. Nie była to wieść budująca, bo w tej sytuacji uzyskanie ułaskawienia dla zakonnika Amaty mogło okazać się trudniejsze, niż

przewidywał.

Wrócił do tematu debaty, która miała się odbyć następnego dnia:

— Wygląda na to, że jeśli chcę znaleźć miejsce w pierwszych rzędach, powinienem zjawić się jutro w katedrze skoro świt, na czczo.

— Na pewno będzie na co popatrzeć i czego posłuchać — przytaknął Salimbene. — Warto

powalczyć o dobre miejsce. Przyjdź z bochenem chleba za pazuchą. — Zakonnik nadział kawał chleba na nóż i podał go kupcowi. — A jeśliś nie widział jeszcze okien katedry o pierwszym brzasku od środka, to czeka cię dodatkowa nagroda.

Orfeo wszedł z ciepłego czerwcowego przedświt w półmrok i chłód świątyni. Z tego, co widział w migotliwym blasku pojedynczej świecy płonącej na głównym ołtarzu, był pierwszym, który wsunął się przez ogromne drzwi do transeptu.

Od czasu, kiedy był tutaj w dzieciństwie, rozrósł się nie tylko Lyon, ale i sama katedra była już na ukończeniu i cała Dolina Rodanu szczyli-

ła się teraz jej nowymi witrażami. Przyjechał wtedy do Lyonu z ojcem na doroczne targi włókiennicze, które zaczynały się tydzień po Wielkiej nocy i trwały do końca wiosny. Prace przy wznoszeniu katedry szły pełną parą. Widział szlachetnie urodzonych mężczyzn i kobiety, którzy z własnej nieprzymuszonej woli zaprzękali się w miejsce zwierząt pociągających do wozów wyładowanych kamieniem i drewnem, olejem i siwem, i zginając karki pod jarzmami, ciągnęli je na plac budowy.

Wieczorami robotnicy ustawiali wozy w półkole przed rosnącą katedrą i zapalali na każdym łuczywo albo latarnię. Na wozach kładli swoich chorych i umilali sobie czuwanie śpiewaniem hymnów i kantyczek.

Potem chodzili z relikwiami świętych od chorego do chorego, by ulżyć im w cierpieniu.

Wspominając swój pierwszy tu pobyt, czekał, aż wzrok przywyknie mu do ciemności. Wyłaniały się z nich powoli zarysy wnętrza katedry.

Zauważał już, że budowla nie przypomina cięskich, przysadzistych, podpartych grubymi filarami romańskich kościołów w jego kraju. Smuklejsze kolumny, wzbijając się w niebo, przyciągały wzrok ku sklepieniu, ku zalegającym tam cieniom, kryjącym być może boskie tajemnice.

Wszystko zdawało się dążyć ku górze, ku niebiosom. Wujowi Franciszkowi 421

mogłoby się tu spodobać, pomyślał, chociaż na pewno kosztowało krocie. Podczas gdy inne zakony w początkach swego istnienia gromadziły i chomikowały, wuj rozrzucał i rozdawał, pozbywał się majątku, rozsy-

łał swoich zakonników na cztery strony świata. Jego zakon znajdował

się w bezustannym ruchu, i to w każdym tego słowa znaczeniu, tak jak konstrukcja tej świątyni.

Przez witraże w rzędzie ostrołukowych okien w nawie głównej, ponad nawą boczną, i przez misterne maswerki w oknach rozetowych powyżej, przesączało się do środka przytłumione światło. Każdy kwadrat i krzywiznę wypełniali aniołowie, święci i postacie biblijne, z rogów zaś spojierali lub pochylali się w nich nad swoją pracą prości i ońscy rzemieślnicy — piekarze, folusznicy, tkacze — ludzie, którzy ufundowali owe bajeczne dzieła sztuki. Ale to skromne preludium nie przygotowało Orfeę na feerię barw, która nastąpiła. Kiedy słońce wyłoniło się w pełni zza horyzontu na wschód

od Rodanu, światło zalało całą absydę. Magiczne cienie rozpięzchły się promieniście na wszystkie strony, a wszystkie kolory szaty Józefa spłynęły po skosie na głów-ny ołtarz i złoty papieski tron ustawiony tam na czas soboru powszechnego, przedzierając się przez mroczną nawę niczym tęczowo odziane cielesne istoty. Orfeo odniósł wraŜenie, Őe po tych snopach światła zstępują na ziemię anielskie chóry, sławiąc NajwyŜszego niekończący-mi się alleluja.

Niestety, czar szybko przysł. Drzwi między transeptem i portykiem zaczęły się otwierać i zamykać, do katedry napływali ludzie pragnący być Őwiadkami dzisiejszej debaty. Orfeo zajął miejsce w rogu, gdzie transept spotykał się z nawą i skąd będzie widać jak na dłoni papieŜa i zakonników. Z przytroczonej do pasa sakwy wyjął bochenek suchego chleba, który zabrał z wieczerzy.

— Vin, monsieur? Kuścyczek za pensa z mojego dzbana.

Miła niespodzianka. Niespodzianka, bo jedna z proponowanych przez Grzegorza reform przewidywała połoŜenie kresu profanacji Őwiątyń przez przekupniów. Orfeo podejrzewał, Őe papieŜ i tak odniesie sukces, 422

jeŐli uda mu się chociaŐ przepędzić z najciemniejszych kątów ladaczni-ce.

Podwoje głównego portalu po zachodniej stronie nawy otworzyły się na oŐcieŐ i Orfeo wepchnął do ust ostatni kawałek chleba. Na czele procesji wkraczającej do katedry szedł pod białym baldachimem papieŜ

Grzegorz X. Miał na sobie ŐnieŐnobiały ornat podzielony na ćwiartki bladoniebieskim krzyŜem. Jego jedwabne pantofle i tiara równieŐ były białe, a wstaŐki tiary podszyte złotym jedwabiem. W prawej ręce trzymał prosty drewniany pastorał i podpierając się nim, odmierzał swoje kroki. Kiedy siadał na tronie, a katedralni kanonicy ustawiali nad nim baldachim, kupieckie oko Orfea rozpoznało w tkaninie, z której uszyty został ornat, zwyczajną mannheimską serŜę. Za papieŜem postępowali kardynałowie w czerwonych sutannach i pelerynach oraz szerokoskrzydłych czerwonych kapeluszach, za nimi zaś biskupi, duchowieństwo, a na końcu Őwiadkowie z minoryckich i kaznodziejских zakonów.

ZwaŐnione obozy zakonów i Őwieckich zajęły miejsca, a jakŐe, po przeciwnych stronach nawy — bracia pod południową Őcianą, twarzami do Orfea, Őwieccy plecami do niego.

Orfeo starał się zwrócić na siebie uwagę Salimbene, lecz zakonnik siedział z powaŐną miną i nic nie wskazywało na to, Őe dostrzegł go w tłumie. Po prawej ręce Bonawentury usadowił się brat Iluminat, biskup AsyŜu, który pod nieobecnoŐ Bernarda da Bessy pełnił obowiązki sekretarza ministra generalnego. Orfeo rozpoznał równieŐ Girolama d'Ascoliego i innych zakonników, z którymi wieczerzał poprzedniego dnia: francuskiego minorytę Hugona de Digne'a oraz brata arcybiskupa Rouen, Oda Rigaldiego. Po lewej ręce Bonawentury siedział odziany w biały habit minister generał braci kaznodziejów z San Domenico.

Pierwszy, popatrując to na jeden, to na drugi obóz, przemówił papieŜ Grzegorz:

— SĄ tacy, którzy twierdzą, iŐ duchowni i prałaci Őwieccy nie są juŐ uprawnieni do wygłaszania

celebrowania Eucharystii. Wiele miast zwracało się do mnie z petycją, Źeby funkcje te przejęli zakonnicy, albowiem straciły zaufanie do swoich duchownych. Kler świecki ripostuje, iŚ bracia zakonni zachowują się gorzej od nich i przejmując obowiązki przysługujące dotąd tylko duchowieństwu świeckiemu, pozbawiają go naleŚnych mu sŁusznym dochodów. Dzisiaj zajmiemy się rozpatrzeniem zarzutów wnoszonych przez obie strony, na początek zaś wysłuchamy racji zakonnych.

Skinął na kardynała Bonawenturę. Generał minorytów podniósł się powoli spokojny, ale budzący respekt. Z jego zachowania wynikało, Źe takŚe sŁyszał pogŁoski, jakoby miał zostać następnym papieŚem, i świę-

cie w nie wierzył.

— Świat — zaczął znudzonym głosem bankiera podliczającego zyski — wydaje się teraz o wiele gorszy niŚ dawniej. Duchowni swoim złym przykładem osłabiają zarówno morale, jak i wiarę laików. Wielu nie dochowuje ślubów czystości i trzyma w swoich domach konkubiny albo dopuszcza się czynów lubieŚnych gdzie i z kim popadnie. Gdyby nie my, zakonnicy, którzy potępiamy w swoich kazaniach owe grzechy, prosty lud mógłby sobie pomyśleć, Źe Bóg patrzy na nie przez palce, a zbałamucone kobiety mogłyby nabrać przekonania, Źe nie ma niczego złego w grzeszeniu z tymi kapłanami, a powszechnie wiadomo, Źe im się to wmawia. Porządna kobieta lęka się utraty reputacji, spowiadając się w tajemnicy przed takim księdzem.

Legat papieski w Germanii zawiesił w prawach do świadczenia po-sŁugi duszpasterskiej duchownych, którzy nakłaniali do grzechu siostry z rozmaitych zakonów, i ekskomunikował wszystkich, którzy z nimi grzeszyli. Wyrok ten objął wielu.

A przecieŚ ci sami ekskomunikowani księŚa, tak jakby nic się nie stało, nadal prowadzili swoje parafie, codziennie na nowo ukrzyŚowując Chrystusa. Spowiedzi przed nimi i uzyskiwane od nich rozgrzeszenia stały się nic niewarte, i świeccy nie mieli prawa brać udziału w mszach, które rzeczeni odprawiali. Tak więc całe parafie szły do piekła 424

za utrzymywanie kontaktu z ekskomunikowanym. Tym, nie innym sposobem szatan pozyskuje najwięcej dusz. Bowiem ci lubieŚni księŚa, te bękarty, ci świętokupcy utracili władzę udzielania sakramentów i odpuszczania win.

Nadal jednak przeszkadzają zakonnym w niesieniu duszpasterskiej posŁugi. Gdyby nasza obecność w parafiach zaleŚna była od woli miej-scowych księŚy, w Śadnej by nas nie było. Czy to z własnej woli, czy za poduszczeniem swoich biskupów, wyrzuciliby nas z nich szybciej niŚ

heretyków czy Śydów.

Po przeciwległej stronie nawy przeszedł pomruk oburzenia.

— Uogólnienia. Oszczercze pomówienia — mruknął ktoś na tyle gŁośno, Źe dotarło to do uszu zakonników.

Na równe nogi zerwał się arcybiskup zakonnik, Odo Rigaldi.

— W roku Pańskim tysiąc dwieście sześćdziesiątym pierwszym papież Urban poprosił mnie o zwołanie soboru w Rawennie w celu zebrania pieniędzy na obronę przed najazdem Tatarów. Wasi proboszcze odmówili kontrybucji, dopóki nie wyjaśni się sprawa zawłaszczania przez zakonników waszych przywilejów. — Odo potoczył gniewnym wzrokiem po twarzach świeckich i podjął piskliwym głosem: — Łajda-cy! Komu mam powierzyć spowiadanie mojej owczarni, jeśli nie zakonnikom? Nie mogę z czystym sumieniem posyłać ich do was, bo ci, którzy przychodzą do was po balsam dla duszy, dostają do picia truciznę. Pod pozorem spowiedzi prowadzicie kobiety za ołtarz i tam uprawiacie z nimi to, co synowie Eliego uprawiali w drzwiach świątyni. Strasznie to wspominać, a jeszcze straszniej czynić. To na was skarży się Pan ustami proroka Ozeasza: Widziałem w domu Izraela rzeczy straszliwe, bo tam Efraim uprawia nierząd *. I utyskujecie, Źe spowiedzi wysłuchują zakonnicy, bo boicie się, Źe dowiedzą się z drugiej ręki o waszych grzesznych uczynkach.

* Księga Ozeasza 6,10.

425

— Znowu uogólnienia — odezwał się ten sam głos co wcześniej.

— Czy to biskup Ołomuńca pomrukuje o uogólnieniach? — Odo wskazał palcem księdza opierającego się o ścianę nawy, — Powiedzcie mi, jak mogę powierzać spowiadanie kobiet obecnemu tutaj księdzu Gerardowi, skoro wiem z całą pewnością, Źe w jego domu roi się od synów i córek i Źe można go opisać słowami Psalmisty: Synowie twoi jak sadzonki oliwki dokoła twojego stołu*? I czy ów Gerard jest tutaj wyjątkiem?

Znowu popatrzył na twarze świeckich i zatrzymał wzrok na biskupie z pierwszego rzędu.

— A ty, Henri de Liege? Czyś wśród twoich konkubin nie ma dwóch matek przełożonych i jednej siostry zakonnej? Czy się kiedyś nie przechwalałeś, Źeś w ciągu dwudziestu miesięcy spłodził czterna-

ścioro dzieci? Czy nie jest prawdą, Źeś niepiśmienny i Źe w zaledwie jedenaście lat po zostaniu biskupem wyniesiony zostałeś do stanu ka-płańskiego?

Usiadł cięsko, Źyły pulsowały mu na szyi, Henri zaś, przeciwko któ-

remu skierowane były te zarzuty, uśmiechnął się drwiąco i odparował:

— Potępiają nas zakonnik kardynał i zakonnik arcybiskup. A przecie szeregi zakonników wyniesionych do prałatury cuchną równie doj-rzale takimi samymi skandalami, jakie nam przypisujecie.

Debata trwała, a Orfeo przyglądał się smutnej zadumanej twarzy Grzegorza. Papież spodziewał się niewątpliwie tak ostrej dyskusji, bo słuchał, nie przerywając.

Z miejsca, obruszony szyderstwem Henriego, zerwał się teraz generał zakonu dominikanów. Odziany

w biały habit z kapturem, miał w sobie coś ze świętych z katedralnych witraży.

— Kiedy Albert Wielki z naszego zakonu w imię przeprowadzenia od dawna wyczekiwanych reform przyjął biskupstwo Ratzybony, nasz generał uznał tę decyzję za fatalny błąd.

* Księga Psalmów, Psalm 128 (127), 3.

426

„Kto by uwierzył, że właśnie ty, u schyłku życia, zbrukasz honor swój i braci kaznodziejów, dla których chwały tyle uczyniłeś? Zważ, co się dzieje z prałatami, co dali się obsadzić na takich urzędach, jaka jest teraz ich reputacja, jak kończą życie!” — Albertus wziął sobie te słowa do serca, zrezygnował z biskupstwa i umarł w Kolonii jako prosty zakonnik.

Wiele lat stoję już na czele naszego zakonu, ale nie przypominam sobie choćby jednego przypadku, żeby ze strony Jego Świętobliwości Papieża — nie odnosi się to do obecnego tutaj nowego papieża — albo jakiegokolwiek legata, albo katedralnej kapituły, wpłynęła do mnie albo do kogoś z naszych zwierzchników, albo którejś z naszych kapituł prowincjonalnych, prośba o zaproponowanie kandydata na biskupa. Wprost przeciwnie, powodowani albo nepotyzmem, albo jakimiś innymi pobudkami, wybierali zawsze według własnego uznania swoich zakonników, tak więc nie należy dziwić, że dokonywane przez nich wybory.

Usiadł, ale w tym samym momencie z miejsca zerwał się brat Salimbene, żeby kontynuować temat:

— Ja również w swoich podróżach poznałem wielu braci mniejszych i braci kaznodziejów obsadzonych na biskupstwach nie z rekomendacji ich zakonu, lecz przez wzgląd na ród, z którego się wywodzą, bądź koneksje. Kanonikom z katedr ze wszystkich miast nie zależy wcale, by mieć nad sobą prałatów w osobach świętych mężów z poboż-

nych zakonów, choćby ci świecili najlepszym przykładem zarówno w prowadzeniu się, jak i w wierności doktrynie. Boją się, że ci zaczną potępiać ich za oddawanie się cielesnym uciechom i nierzadko w rozpu-

ście.

— Ufff. Znowu te sądze i rozpusta! — dobiegł szyderczy okrzyk ze świeckiej strony nawy.

— A tak, wiem, co mówię. I oby Chrystus nie pokarał was za te szyderstwa.

Salimbene otarł poczerwieniałą twarz wielką chustą. W katedrze zapełnionej po brzegi sługami Kościoła i gapiami robiło się coraz goręcej.

427

— Opowiedział mi tę historię brat Umile da Milano, który mieszkał

u nas w Fano — podjął. — Któregoś roku, w Wielki Post, przyszedli do niego górale i błagali na Boga

i zbawienie swych dusz, Seby raczył do nich zawitać, bo chcą się przed nim wypowiadać. Wziął więc towarzysza i wszedł między nich, czyniąc wiele dobra swoją zbawienną radą.

Jednego dnia przyszła do niego do spowiedzi pewna kobieta. Wyznała, Œe dwa razy była nie tylko nakłaniana, ale i przymuszona do grzechu przez księŜy, przed którymi się wcześniej spowiadała. Brat Umile powiedział jej: „Ja nie namawiam cię do grzechu, ani namawiać nie będę, namawiam cię za to, byś zechciała dostąpić raju, do którego Pan cię zaprosi, jeśli będziesz Go kochała i uczynisz pokutę”. I udzielając jej rozgrzeszenia, zobaczył, Œe kobieta ściska w dłoni sztylet, i zapytał: „A co ma znaczyć ten nóż w twojej ręce w takiej chwili?”. „Ojczy

— odparła — nie będę ukrywała, Œe chciałam się nim pchnąć z rozpacz, gdybyś zaczął namawiać mnie do grzechu, tak jak inni księŜa przed tobą”.

Zakonnik tak się rozgrzał swoją oracją, Œe pulchne policzki płonęły mu rubinową czerwienią i Orfeo przestraszył się, Œe zaraz padnie raŒo-ny apopleksją.

— Spotykałem księŜy trudniących się lichwą — podjął — zmuszo-nych do bogacenia się koniecznością utrzymania swoich licznych bę-

kartów. Spotykałem księŜy prowadzących oberŒe i sprzedających wino, księŜy, których domy pełne były dzieci z nieprawego łoŜa i którzy nocami nurzali się w grzechu, a rankiem odprawiali mszę. A rozdawszy wiernym komunię, księŜa ci utykali szpary w ścianach tym, co zostało z konsekrowanej hostii, nie bacząc, Œe to przecieŒ Œywe ciało naszego Pana. Trzymali swoje mszały, korporały i kościelne paramenty w za-niedbaniu — zaśniedziałe, brudne i poplamione. Hostie, które konse-krują, są tak małe, Œe ledwo je widać między ich palcami, nie okrągłe, lecz kwadratowe i obfajdane przez muchy. Do mszy uŒywają cienkiego wiejskiego wina albo octu...

— A to przez zakonników, którzy spijają notorycznie najlepsze wina 428

z połowy chrześcijańskiego świata! — huknął ktoś z głębi katedry.

Jeden z kardynałów obserwatorów podniósł się z ławy i powiewając szkarłatną peleryną, ruszył nawą. Orfeowi przemknęło przez myśl, Œe czarne krzaczaste brwi, Œólte oczy i haczykowaty nos upodabniają go do jastrzębia z czerwonym ogonem, spadającego na upatrzoną ofiarę.

— Kto to? — spytał otaczających go ludzi.

Większość wrzuciła ramionami, ale męŒczyzna w długiej czarnej todze i czapce uniwersytetu powiedział:

— To Benedetto Gaetani, sądząc po stroju, twój krajan. Aspiruje do następnego pontyfikatu.

Benedetto skłonił się nisko przed papieskim tronem.

— Wybacz, Ojczy Œwięty. Wiem, Œe ten dzień przeznaczony został

na zeznania zakonników, ale nie mogę dłuŜej pomijać milczeniem nieprawości dziejących się w

mojej własnej diecezji. Jak Waszej Świątobliwości wiadomo, jestem Umbryjczykiem, mieszkańcem Todi. Całe Śycie upłynęło mi na tej samej ziemi, która Śywiła tych braci minorytów.

Tu szerokim gestem wskazał na Bonawenturę.

— Mój zacny brat kardynał bardzo dobrze wie, Śe jego synowie włóczędzy są tak samo zepsuci, jak kler. NaduŚywają swojej wolności, oddając się obŚarstwu i obcując z kobietami. Wie równieŚ lepiej niŚ

ktokolwiek z tu obecnych, dlaczego minorycka zwierzchnoŚć zmuszana jest do wypierania się raz po raz duchowego patronatu braci mniejszych nad Ubogimi Paniami.

Co zaś się tyczy składanych przez nich ślubów ubóstwa, to synowie brata Bonawentury z takim powodzeniem Śebrzą po całym kraju, Śe kufry z zebranymi datkami muszą za nimi dźwigać specjalnie w tym celu utrzymywani śludzy. Na co wydają te pieniądze, najlepiej wiedzą oberŚyści. Bracia ci zapisują nazwiska darczyńców i obiecują modlić się za ich dusze, ale zniknąwszy im z oczu za najbliższym pagórkem, sięgają po pumeks i wycierają nim pergamin do czysta, Śeby na tym samym arkuszu zapisać nazwisko następnego naiwnego.

429

Zyskują sobie sławę wśród ludu, udzielając łatwych rozgrzeszeń i unikając takich nieprzyjemnych obowiązków, jak obłoŚenie ekskomuniką.

Dwaj kandydaci na papieŚa mierzyli się rozpłomienionymi spojrzeniami z przeciwległych stron nawy. I naraz stalowy spokój wyparło z oczu Bonawentury zmieszanie. Przycisnął dłoń o rozcapierzonych palcach do piersi, dyszał cięŚko. Po chwili minister generalny dźwignął się z trudem z ławy, twarz miał szarą jak popiół. Szarpnął czerwony sznu-rek, podtrzymujący pod brodą kardynalski kapelusz, szczęka mu drgała, tak jakby chciał coś powiedzieć, lecz opadł z powrotem na ławę, nie odpowiadając na zarzuty Benedetta.

Kardynał Gaetani skwapliwie wykorzystał jego milczenie. Wskazując Bonawenturę palcem, podjął swoją diatrybę:

— Tych zakonników, którzy naśladowują swojego załoŚyciela w świę-

tym ubóstwie, usuwasz z zakonu albo, co gorsza, torturujesz i wtrącasz do lochu. Nawet sam Jan z Parmy, szanowany wszędzie za swą reputację świętego, gnije od szesnastu lat w ciemnicy. CzyŚ tak nie jest, bracie Bonawenturo? Zaprzeczysz temu, com powiedział?

Generał minorytów uczynił wysiłek, by przejąć w tym sporze inicjatywę:

— Pragnąłem tylko utrzymać harmonię w zakonie. — Twarz jeszcze bardziej mu pobladła. Stęknął znowu, tym razem głośniej i bole-

śniej, skręcił się na ławie jak suchy liŚ liźnięty płomieniem. Drobnny brat Iluminat próbował go podtrzymać, ale Bonawentura był za cięŚki i pociągnął go za sobą na posadzkę. Pod sklepienie

katedry wzniósł się chóralny okrzyk. Orfeowi wydało się, że dostrzega sardoniczny uśmiezek przemykający przez wąskie wargi kardynała Gaetaniego.

Przeniósł wzrok na skulonego na posadzce Bonawenturę w momencie, kiedy Iluminat czynił znak krzyża nad swoim mistrzem. A zaraz potem sekretarz zrobił rzecz dziwną. Uniósł do ust bezwładną dłoń Bonawentury, jakby chciał złożyć na niej pocałunek. Lecz zamiast tego poślinił językiem jeden z palców umierającego, ściągnął z niego pierścień

i schował go szybko do kieszeni.

Oszołomiony Grzegorz stał przed swym tronem, wspierając się na pastorałe.

— Święte krzyżo, prędzej! — zawołał w końcu. — Trzeba mu udzielić ostatniego namaszczenia!

Orfeo też patrzył oniemiały na rażonego apopleksją kardynała. Oto na jego oczach, zdając sobie wreszcie sprawę ze swojej śmiertelności i bezradny wobec niej, jak kiedyś śmiertelnie raniony Neno, kona prze-

śladowca brata Konrada. Przyłapał się na tym, że tak jak kardynała Gaetaniego, tak i jego raduje ten widok, albowiem dostrzegł w nim szansę na pomyślne zakończenie swej misji.

— Niebawale, Amatino. Kto cię tego nauczył?

Hrabia Guido przypatrywał się z podziwem zręcznym ruchom bratanicy, przygotowującej arkusz welinu do kopiowania. Wymagało to oskrobania cienkiego pergaminu pumeksem, zmiękczenia go kredą i wygładzenia na koniec gładzikiem. Amata rozpostarła gotowy welin na pochyłym pulpicie, nakłuła metalowym szpikulcem maleńkie dziurki na marginesach, a następnie, przy linijce, poprowadziła między każdą parą tych dziurek ledwie widoczną poziomą linię. Na pulpicie obok leżała pojedyncza stronica wycięta starannie ze zwoju brata Leona i przykryta matrycą z okienkiem, przez które widać było tylko kopiowany właśnie wiersz.

— Sior Jacopo pokazał mi, jak się przygotowuje arkusz. To prosta praca, która pozwala zająć czymś myśli i ręce. A czytać i pisać nauczyli mnie tutorzy sprowadzeni przez donnę Giacomeę.

Z pustej izby przylegającej do południowej loggii, w której stały pulpity, dobiegał niosący się echem śpiew Teresiny. Z przeciwległej strony podwórca, gdzie Amata zamierzała przenieść prace nad kopiowaniem, 432

kiedy nadejdą zimne miesiące, dolatywało postukiwanie siekier i młot-ków cieśli wznoszących zasłonę od wiatru.

Amata sięgnęła po wąski ostry nóż i zabrała się do ostrzenia gęsiego pióra. Hrabia Guido oznajmił niedawno, że pod koniec tygodnia wraca do Coldimezzo, i od tamtej pory Amata biła się z myślami. Jak tu powiedzieć wujowi, że chce zatrzymać przy sobie Teresinę? To dziecko skradło jej serce. Ale był jeszcze jeden powód. W hołdzie donnie Giacome pragnęła pójść w jej ślady i z czasem okazać taką samą szczodrość wobec kobiety z następnego pokolenia. Tylko czy dziadek Teresiny będzie skłonny rozstać się z wnuczką? Po śmierci swojej córki Vanny przelał na nią całą miłość, stała się całym jego światem. I chociaż Teresina mogłaby mieszkać w Asyżu ze swoim naturalnym ojcem, to nie ulegało wątpliwości, że Jacopone nie jest dobrze przygotowany do roli rodzica — i to nawet teraz, kiedy odnalazł nowy cel w Syciu i z dnia na dzień wracał do zdrowia.

Guido spojrzął spod ściągniętych brwi na leżącą na pulpicie stronicę.

— Dla mnie to jakby kura pazurem naskrobała — przyznał. — Nigdy nie starczyło mi cierpliwości, żeby przysiąc fałdów i nauczyć się czytać. Moje rachunki zawsze prowadził notariusz.

— Mam nadzieję, że uczciwy. — Amata uśmiechnęła się, słysząc podskakującą w przyległej izbie Teresinę. Bo że, jakże bym chciała mieć własne dzieci. To pragnienie przybierało na sile, od kiedy odwiedziła zdecydowanego pozostać w celibacie Fabiana. Teraz tylko na niej i na Teresinie spoczywała odpowiedzialność za przedłużenie rodu.

W nocy śnił jej się brat, ułomny i kaleki, ale z twarzą promieniującą szczęściem. Eunuch ku chwale Królestwa Niebieskiego! Potem, w tym samym śnie, znalazła się sam na sam z Orfeem na polanie w Coldimezzo. Ciągnęła tę fantazję najdłużej jak się dało, i drżąc z rozkoszy, kiedy wodził powoli

dłońmi po jej wilgotnym od potu ciele (choć moŜe były to jej własne dłonie), zaciskając mocno powieki, wmawiając sobie, 433

Œe to dzieje się naprawdę, spała dzisiaj do póŹna.

I kto wie, czy teraz nie powróciłaby znowu do tych marzeń, juŜ na jawie, gdyby do loggii nie zajrzała Teresina.

— Zobaczyłam właśnie przez strzelnicę mojego tatę. Nad biega za-ułkiem. — Dziewczynka zachichotała. — Tatus, kiedy biegnie, przypomina długonogiego bociana.

Po domu rozeszło się echo plaskania bosych stóp wbiegającego po schodach Jacopone. Wpadłszy do loggii, zatrzymał się jak wryty, oparł

o barierkę i dyszał, z trudem łapiąc oddech.

— Delegacja zakonników — udało mu się w końcu wykrztusić —

wróciła z Lyonu.

Amata zerwała się ze stołka. Znaczyło to, Œe i Orfeo zdąŜa juŜ do AsyŜu. MoŜe nawet przybył z nimi. Chciała coś powiedzieć, lecz Jacopone uciszył ją podniesieniem ręki.

— To nie wszystko. Bonawentura nie Œyje i ministrowie prowincjonalni zbierają się, Œeby wybrać nowego generała. To dobra wróŜba dla brata Konrada.

Klepnął Guida w ramię.

— Chodź, suocero. Biegnijmy do bazyliki, moŜe dowiemy się czegoś więcej.

Wyszli ramię w ramię i zbiegli po schodach, a Teresina deptała im po piętach. Amata pozbierała szybko z pulpitu przycięte juŜ stronicze manuskryptu i zamknęła je z resztą zwoju. ChociaŜ wszystkim odwiedzającym ją zakonnikom mówiła, Œe piętro domu rezerwuje dla siebie, to incydent z bratem Federikiem nauczył ją ostroŜności. Zdjęła poplamiony inkaustem fartuch i spojrzała z rozpaczą na umazane palce i dłonie. Musi czym prędzej się umyć.

Zbiegła po schodach na dół, ale było juŜ za póŹno. Od drzwi frontowych doleciał radosny pisk Teresiny. Obejrzała się i zobaczyła dziewczynkę uwieszoną szyi Orfea, który, starając się zachować równowagę, obejmował ją jedną rękaw talii, a w drugiej trzymał zapieczętowany zwój.

Kiedy dostrzegł Amatę, jego zaroŹniętą, pokrytą kurzem twarz rozjaśnił

434

uŹmiech. Pochylając się, postawił Teresinę na ziemi i puścił ją.

— Wraca twój błędny rycerz — powiedział. — Przynoszę ze sobą Graala wolności dla twojego

przyjaciela Konrada.

Kiedy podeszła, przykląkł na jedno kolano, nadal grając rolę dwor-nego rycerza. Widząc, Őe chce ją wziąć za rękę, szybko schowała za siebie obie.

— Uraziłem cię czymś, pani? — spytał.

Teresina roześmiała się.

— Ma ręce powalane inkaustem. Piszę ksiąŜkę.

— No tak. — Orfeo uśmiechnął się szeroko i kręcąc głową, wstał. — Dobrze ci ją opisałem, padre? — rzucił przez ramię.

Amata dopiero teraz zobaczyła stojącego za Orfeem zakonnika, ale ten serdeczny śmiech rozpoznała, zanim braciszek przekroczył próg.

— Witaj, bracie Salimbene — powiedziała. — Widzę, Őe z łaski naszego Pana krzepko się trzymasz.

— Czy my się znamy, madonna '? — spytał Salimbene.

— A jak Őe. Gdybyś, wracając z podróŜy, w pierwszym rzędzie odwiedził u Ubogich Pań swoją krewniaczkę, stwierdziłbyś, Őe jej przy-zwoitki juŜ tam nie ma.

— To ty? Ta mała, pełna Őycia skierka? — Z rozbawieniem przyjrzał się jej twarzy. — Muszę usłyszeć tę historię.

— Przyjdzie na to czas, kiedy wy się rozgościcie, a ja umyję. —

Zwróciła się do Orfea: — Pragnę ci towarzyszyć do furty Sacro Convento, kiedy będziesz tam szedł uwolnić Konrada. Chcę widzieć jego minę, kiedy wyjdzie i po raz pierwszy odetchnie wolnością.

— To nie nastąpi tak szybko, Amatino. Musimy poczekać do czasu, kiedy ministrowie prowincjonalni wybiorą nowego generała, i dopiero jemu przedłoŜyc wystawione przez Grzegorza ułaskawienie. Ale wszystko wskazuje na to, Őe ten nowy generał będzie nam przychylny.

Zarówno Grzegorz, jak i Gaetano Orsini, kardynał protektor zakonu, wysunęli na to stanowisko kandydaturę Girolama d'Asconiego, zakonnika, o którym pisałem ci w moim liście. — Orfeo spuścił głowę i wbił

435

wzrok w kafle posadzki. — Poza tym, nie jest raczej wskazane, byś spotkała się juŜ teraz z bratem Konradem. Nie wiesz, jak się zmienił

przez te dwa lata. Jeśli jego widok tobą wstrząśnie...

Spojrzał na nią i zamilkł, nie kończąc zdania. Wydało jej się, że dostrzeża w jego oczach to samo pośądanie, które widziała na polanie ze swoich fantazji, chociaż tam twarz miał ogoloną i czystą. Zapragnęła, żeby zakonnik i Teresina zniknęli, choćby na chwilę, wtedy mogłaby się mu rzucić na szyję, jak przed chwilą dziewczynka, i wyściskać. Na chwilę zamilkli oboje, a potem Orfeo rozładował napięcie, jakie między nimi powstało, kolejnym zakurzonym uśmiechem.

Sięgnął do sakwy.

— Przywiozłem ci z Prowansji prezent, takie małe lustreczko z brązu. — Przetarł je rękawem i uniósł, żeby mogła się przejrzeć. —

Zbrakło ci gęsich piór, Amatino, że musiałaś pisać swoim ślicznym noskiem?

Salimbene machnął pucharkiem nad oprószonym talerzem, błogosławiąc posiłek, który właśnie z niego zniknął. Poklepał się po brzuchu i podjął opowieść:

— Temu bratu Pierowi od braci kaznodziejów pochwały i dar prawienia kazań tak przewróciły w głowie, że uwierzył, że potrafi czynić cuda. Przychodzi jednego dnia do braci mniejszych, każe naszemu cy-rulikowi zgolić sobie brodę i dalej z buzią na braciszka, że ten nie zbiera włosów z tej jego brody w charakterze relikwii.

Brat Diotisalve, minoryta z Florencji i przedni kpiarz, odpowiedział

głupcowi, tak jak sobie na to zasłużył. Poszedł jednego dnia do klasztoru Kaznodziejów i powiedział, że odtąd nie będzie ich strzygł, jeśli nie dadzą mu kawałka habitu brata Piera na relikwię. Dali mu wielki kawał

habitu Piera, a on, ulżywszy sobie po wieczery, wykorzystał go do wiadomego celu i wrzucił do kloaki. A potem krzyknął głośno: „Biada!

436

Pomóście mi, bracia, szukać relikwii waszego świętego, bo zapodziała mi się w gównach”. Nie posiadali się ze wstydu, kiedy przybiegłszy na jego wołanie do latryny, zrozumieli, że sobie z nich pokpiwa.

Zakonnik wychylił do dna pucharek i ocierając grzbietem dłoni usta, podstawił go słudze do ponownego napełnienia. Nie czekając, a chłopiec mu naleje, podjął:

— Ten sam brat Diotisalve wyszedł pewnego zimowego dnia na ulice Florencji, pośliznął się na lodzie i upadł na twarz. Widząc to, florentyńczycy, naród z natury wesoły, zaczęli się śmiać i jeden z nich pyta leżącego; „Chowasz tam cosik pod sobą?”. A brat Diotisalve na to:

„A jakże. Twoją sone”. Florentyńczycy mało, że się nie obrazili, to gruchnęli jeszcze głośniejszym śmiechem i pochwalili braciszka, mó-

wiąc: „Niech Bóg ma go w swojej opiece, bo się nam zaiste udał”.

Amata zachichotała, chociaż nie tak otwarcie, jak wuj Guido i służy przy niŝszym stole. Wspomniała San Damiano i wizyty brata Salimbene u krewniaczki. Dziwne, ale jego poczucie humoru bawiło ją teraz mniej niŝ wtedy. Wiedziała, Ŝe będzie sypał takimi dykteryjkami do późnego wieczoru, dopóki biesiadnicy nie rozejdą się do łóŜek albo nie posną na stołach.

Pamiętała, Ŝe brat Konrad nie miał najlepszej opinii o bracie Salimbene, zaryzykowała jednak i w obecności Orfeusza pokazała dzisiaj kroni-karzowi kilka stronik manuskryptu Leona i zwierzyła mu się ze swoich planów powielenia go w tylu kopiach, ile zdołają z Jacopone sporzą-

dzić. Obserwowała rosnące podniecenie na twarzy czytającego tekst Salimbene. Kiedy spytała, czy byłby skłonny pomóc im w tej pracy, zgodził się od razu.

— Mogę przepisać chociaż fragment, zanim zamykanie do włó-

częgi nie poniesie mnie znowu w świat — powiedział — ale muszę zobaczyć resztę kroniki.

— A potrafisz dotrzymać tajemnicy, bracie? — spytała. — Bo zakon, gdyby się dowiedział o istnieniu historii spisanej przez Leona, mógłby jej nie pochwalać. — Zadała to pytanie uŝwiadamiając sobie raptem, Ŝe być może sama, zbyt polegając na dobrym wraŜeniu, jakie 437

zrobił na niej Salimbene podczas swoich wizyt u Ubogich Pań, okazała się niedyskretna, wspominając mu o manuskrypcie.

— Na miłość do ciebie i twojego narzeczonego, przysięgam być taktowny!

Na dźwięk słowa „narzeczony” Amata spłonęła rumieńcem. Nie da-

ła jeszcze Orfeowskiemu formalnej zgody ani nie zamierzała tego uczynić, dopóki nie porozmawiają na osobności. ZauwaŜyła jednak, Ŝe Orfeo przyjął komentarz zakonnika z błogim uŝmiechem.

— I zachowasz dyskrecję nawet przy winie, bracie Salimbene? —

Zdawała sobie sprawę z obcesowości pytania, lecz zakonnik na pewno wiedział, Ŝe jej obawy nie są płonne.

— Madonna! Uwłaczasz mi — Ŝachnął się Salimbene z urazą na jowialnej twarzy.

Teraz, po wieczerzy, Amata, przyglądając się siedzącemu po drugiej stronie stołu mężczyźnie, którego mięsisty nos nabierał coraz bardziej czerwonego odcienia, a głos stawał się coraz bardziej donośny, miała wątpliwości, czy się co do niego nie pomyliła. Ilekroć konieczność zmusi ją do wyjścia z domu, będą musieli z nim zostawać Orfeusza albo Jacopone.

Spojrzała na Orfeusza. Uŝmiechał się do niej, tylko jednym uchem słuchając Salimbene. On też był dzisiaj bardziej niŝ zwykle przygaszony.

Rano był jego brat Piccardo z wiadomością, Ŝe kiedy Orfeo bawił w Lyonie, zmarł ich ojciec. Orfeo, mimo Ŝe z ojcem miał na pieńku, przyjął tę wiadomość ze smutkiem.

Chociaż Angelo Bernardone był do niedawna obiektem jej nienawi-

ści, Amata, o dziwo, nie odczuła szczególnej satysfakcji, kiedy Orfeo jej o tym powiedział. Wizyta u Fabiana wygasła płonąca w niej Śądzę zemsty. Skoro okaleczony na całe Śycie brat potrafił przebaczyć ich wrogom, a nawet błogosławił ich za otworzenie mu drogi do wyższej, duchowej radości, to czy ona nie powinna również uodpornić się na podszepty niskich instynktów? Wiele się przez tych kilka ostatnich lat nauczyła.

438

A zresztą, gdyby nie zdrada starego Bernardone, Orfeo nie zbuntowałby się przeciwko ojcu i nie wyruszył na swoją odyseję, która w koń-

cu doprowadziła go do niej.

Amata wstała i wyciągnęła do niego rękę, drugą dając znak reszcie biesiadników, Śeby pozostali przy stole. Usiedli na krzesłach przy wy-gaszonym kominku, gdzie tyle razy rozmawiała z donną Giacomą. Być może to miejsce stanie się kiedyś, w długie zimowe wieczory, ich ulubionym zakątkiem domu... nie licząc łóŜa z baldachimem z opuszczonymi zasłonami.

Bo pobiorą się, oczywiście. Kochała go i obiecała mu to już, kiedy wyruszał zabiegać o uwolnienie Konrada. A on nie tylko wywiązał się z tego zadania, ale jeszcze pomógł jej wyrwać się z rąk Gaetaniego i obronił dzieci przez zbirami Calista. Dobry BoŜe, czegoŚ więcej mogłaby wymagać od tego mężczyzny? CzyŚ w dręczących ją nadal wątpliwościach powinna dopatrywać się czegoś więcej niż przekory?

Jednak ten wewnętrzny głos nie milkł, podszeptował, Śe jego motywy nie są do końca jasne. Radził poddać go dla spokoju ducha dalszym próbom. Tak więc, kiedy Orfeo przysunął się do niej z krzesłem, spyta-

ła:

— Czy próbowałeś sobie wyobraŜać, jak będzie wyglądało nasze Śycie po ślubie?

Wsparł się łokciem o poręcz krzesła, złoŜył brodę na dłoni i zastanawiał przez chwilę, wyraźnie rozbawiony.

— W najlepszym z przypadków?

Kiwnęła głową.

Nachylił się ku niej.

— Na południe stąd, Amatino, leŜy świat niepodobny do Śadnego, jakie znasz, świat, gdzie przez cały rok jest ciepło, a ludzie przyjaźni.

Zupełne przeciwieństwo chłodu i wrogości, których przez większość Śycia doświadczamy tutaj, w

Umbrii. Jest tam równieŝ coŝ z naszego kraju, ale przyprawione kolorytem, muzyk i mdroŝci Orientu. Cesarz Fryderyk powiedzia kiedyŝ: „Gdyby Jehowa zna Sycyli, nie robiby takiego zamieszania wokł Ziemi Őwitej”.

439

— Brat Salimbene nazywa Fryderyka Antychrystem.

— Bzdura. Fryderyk by geniuszem, chociaŝ niejednemu papieŝowi zagra na nosie. Kiedy odebra Jerozolim Saracenom, nie uderzono w Őaden dzwon, a patriarcha miasta odmwił odprawienia mszy na jego czeŝc. A dlaczego? Bo dokona tego nie si, lecz dzieki przyjaŝni z sutanem Al-Kamelem. Poj za Őon crk sutana, a do tego picdziesit innych saraceŝskich kobiet. Podobnie jak muzulmanie umiłowa

sobie mdroŝc i podziwiał nawet Koran, ich Őwit ksig. To Fryderyk sprowadzi na Sycyli filozofw i astrologw z caego Lewantu i zatrudnił tumaczy, Őeby przełyli kaŝde ich sowo na łacin. Jego najdroŝszym skarbem byo astrolabium, ktore podarował mu sutan.

Po raz pierwszy tego wieczoru Orfeo nieco si oŝywił.

— W Palermo, gdzie cesarz wznił wielk twierdz, stoj meczety i kwadratowe biae domy, takie jak na Wschodzie. Powiadaj, Őe w poudnie poowa jego dworu modlia si do Mahometa. Suŝyli u niego Turcy i Negrzy, a w kaŝd podroŝ zabierał ze sob swoje wielbdy, lamparty, mapy, lwy, egzotyczne ptaki — nawet Őyrafy.

— Widziaeŝ te stworzenia?

— Tak, Amatino, i chciabym, Őebyŝ i ty je zobaczya. Podziwiajc przepikne kolorowe szyby w oknach lyoŝskiej katedry, myŝlaem o tobie i marzyem, Őebyŝ moga zachwyca si ze mn wszystkimi cu-dami Őwiata.

— A czym si w tym swoim marzeniu zajmujesz?

— Jestem wreszcie kupcem na wielk skal — odrzek Orfeo z uŝmiechem. — Podroŝuj po Lewancie, a moŝe nawet dalej, do Kitaju.

Ta czstka mego snu pozostaje niezmienna, od kiedy poznaem Marca.

— A ja? Co porabiam ja, kiedy ty podroŝujesz, targujesz si, kupujesz i sprzedajesz na wielkich targowiskach Őwiata? Czy w twoich marzeniach jesteŝmy równieŝ rodzicami?

— Ty pawisz si w soŝcu Palermo, cara mia . — Rozeŝmiał si. —

ŝeglarze za Őadne skarby nie zabior na galer kobiety. To przynosi pecha.

440

Jesteś moją cierpliwą wyrozumiałą Soną. — Pogroził jej palcem. — I wierną. Ktoś musi wychowywać nasze dzieci. A w moim marzeniu mamy ich duŜo.

— A ty zawitasz od czasu do czasu do domu, Œeby po raz kolejny uczynić mnie brzemienną?

Orfeo wychwycił osobliwą nutkę w jej głosie.

— To tylko marzenie, Amatino — westchnął. — Myślałem, Œe chcesz mieć duŜo dzieci.

— Bo chcę. Ale spełnienie twojego marzenia drogo by kosztowało.

Œeby handlować na wielką skalę, potrzeba wielkich pieniędzy.

— Gdybyśmy połączyli...

PołoŜyła palec na ustach.

— Pamiętaj, Œe moim majątkiem zarządza teraz wuj Guido. Chcę go poprosić, Œeby, zanim wyjdę za mąŜ, odłoŜył pewną część dla Teresiny.

No i, rzecz jasna, jestem coś winna mnichom z San Pietro za ocalenie Œycia memu bratu. Noszą się z zamiarem rozbudowania domu dla gości.

— Obserwowała jego oczy pewna, Œe zobaczy w nich odpowiedź na następne swoje pytanie, zanim usłyszy ją z jego ust. — Czy wiedząc, Œe dochodu zostało mi tylko tyle, ile trzeba na utrzymanie tego domu, nadal chciałbyś mnie poślubić?

Nawet odbicie płomyków świec w źrenicach Orfea nie zdołało rozniecić w nich na nowo iskry, którą zgasiło to pytanie.

— Chyba się ze mną droczysz, madonna. — Podniósł się z krzesła, bo w tym momencie podeszła do nich Teresina poprosić o całusy na dobranoc.

To dziecko go ubóstwia, pomyślała Amata. Tak się rozpromienia, kiedy on ją przytula. I ja teŜ go kocham, i chcę, Œeby mnie przytulał, ale...

Ogarnęło ją znuŜenie, czuła się przygnębiona rozczarowaniem, które dostrzegła przed chwilą na twarzy Orfea. Jego „marzenie”, nawet jeśli były to tylko fantazje, zdawało się potwierdzać jej najgorsze obawy.

Pocałowała Teresinę w czoło i spojrzała na wuja.

441

— Pomogę nonno Guido ułoŜyć cię do snu — powiedziała. — Mu-szę z nim porozmawiać.

— O czym? — spytała Teresina.

— O tobie, świerszczyku.

Orfeo opadł z powrotem na krzesło markotny i milczący. Dała mu znak, Őeby zaczekał na jej powrót, ale nawet na nią nic spojrział. W

drugim końcu izby Salimbene znowu rozśmieszył słuchaczy jakąś dykteryjką.

Lipcowy księŜyc w pełni oświecił izbę, w której Amata sypiała zwykle sama. Donna Giacomina wolała dzielić sypialnię ze słuŜkami, ona jednak upodobała sobie wygodę posiadania w tym domu własnej izby, izby zajmowanej kiedyś przez synów szlachcianki. Od kilku tygodni było jednak inaczej. Na małym poŐaniu w kącie spała zwinięta w kłę-

buszek Teresina, w dusznych, wilgotnych ciemnościach majaczyły jej jasne rączki i nóżki.

Amata przekręciła się na plecy i wyciągnęła ramiona nad głowę.

Wpatrywała się szeroko otwartymi oczami w baldachim, a po jej skroni toczyła się łza. To miał być najszczęśliwszy wieczór w jej Őyciu. Zaczynała go przepełniona miłością, a w parę godzin słodkie wino przyjaźni sfermentowało w cierpki ocet.

Czy to egoizm, czy przesadny optymizm kazał jej oczekiwać od tych męŜczyzn, Őe zrozumieją, o czym marzy ona? Myślała, Őe Guido bez dyskusji przystanie na jej plany wobec Teresiny. Kiedy dziewczynka zmówiła pacierz i zamknęła oczy, Amata wyprowadziła wujka na korytarz. Wysłuchał jej w milczeniu, ale zauwaŜyła, jak spochmurniał, kiedy zaproponowała, Őeby zostawił małą u niej. Przyznał, Őe dorastanie przy młodym małŜeństwie — kiedy Amata wyjdzie juŜ za Orfeusza — byłoby moŜe i lepsze dla dziewczynki, ale nie widział powodu, dla którego miałby zostawiać ją w AsyŐu tylko po to, by uczyła się czytać i pisać.

Na koniec powiedział, Őe jeszcze się zastanowi.

442

Co za diabeł ją podkusił, Őeby dodać:

— Nie wiem, czy powinnam wychodzić za Orfeusza. Chcę mieć prawdziwą rodzinę, a obawiam się, Őe on wciąż będzie w podróŜy.

— Bzdury — Őachnął się Guido. — MęŜczyźni zawsze podróżują.

Ja, na ten przykład, kiedy pociągnąłem pod cesarzem Fryderykiem na krucjatę, nie widziałem swojej Őony trzy lata. Kiedy wzywa wielka sprawa albo wielki interes, prawdziwy męŜczyzna musi iść. Őwiat się rozrasta, Amato, i ludzie przedsiębiorczy, tacy jak Orfeo, będą zawsze poszerzać jego granice. Powinnaś się cieszyć, Őe trafił ci się taki energiczny pretendent do ręki.

— Ale kiedy on na mnie patrzy, boję się, Őe widzi tylko mój posag.

— To zupełnie normalne. — Guido wziął ją za ramiona i potrząsnął

lekko, jakby to miało przywrócić jej rozsądek. — Co z tobą, dziecko?

— Patrzył jej w oczy. Bił od niego kwaśny odór nieprzetrawionego wina. — Jednego możesz być pewna, Amato, nie oddam ci na wychowanie Teresiny, dopóki nie wyjdiesz za mąż. Nie oddam jej do domu, którego pani sama nie wie, czego chce. A póki co, za trzy dni mała wraca ze mną do Coldimezzo, tak jak zaplanowałem. — Odwrócił się i oddalił w kierunku wielkiej izby, pomrukując coś gniewnie pod nosem.

Czekała, a gorąco odpłynęła jej z policzków i uszu. Bała się za nim iść, ale czuła, że winna jest Orfeowi przeprosiny. Miała nadzieję, że zechce kontynuować rozmowę, którą przerwali, i że uda jej się wytłumaczyć mu, jakie ją nachodzą obawy.

W izbie, kiedy tam wróciła, zastała już tylko służbę sprząającą po wieczerzy i zakonników moszczących sobie posłania pod ścianą. I za-dumanego Orfea, który wciąż czekał, ale nie dał jej dojść do słowa. Na jej widok zerwał się z krzesła.

— Najlepiej będzie, jak z samego rana przeniosę swoje rzeczy do sior Domenica i tam zamieszkać — wyrzucił z siebie i przygryzł dolną wargę. — Zostawię ci ułaskawienie dla twojego przyjaciela. Brat Salimbene dopilnuje, żeby trafiło do rąk nowego generała.

443

Jego oschłość ubodła ją tak bardzo, że zapomniała, i wróciła do izby, by go przeprosić.

— Będziesz mnie odwiedzał? — spytała. — Chciałabym, żebyśmy bez względu na wszystko pozostali przyjaciółmi.

Burknął coś na odczepnego. Coś o kolejnej podróży, w którą będzie chciał go zapewne wysłać sior Domenico, i wyszedł.

Amata ze ściśniętym sercem kładła się do łóżka. Swym wahaniem co do małżeństwa rozłościła wuja Guida i zraniła dumę Orfea, i ta zraniona duma przedzieliła ich nagle niczym niezdojta góra. Oby tylko na ten wieczór. Naciągając na siebie kołdrę, Amata pocieszała się myślą, że może Orfeo zapragnie ją jeszcze zobaczyć. Ale czy kiedykolwiek naprawdę ją zrozumie?

— Tak się boję — wyszeptała w poduszkę.

Właśnie to od początku chciała powiedzieć ukochanemu.

XXXVIII

Tunelem nad całą człapał Zefferino, kroków tego drugiego Konrad nie rozpoznawał. Przemknęło mu przez myśl, że dozorca prowadzi do ich lochu nowego więźnia.

Kiedy blask pochodni sięgnął otworu w suficie, zadarł głowę.

Zgrzytnęła otwierana kłódka. Zefferino podniósł kratę i z towarzyszącym mu zakonnikiem zaczęli schodzić bokiem po schodkach.

— Bracia! — zawołał dozorca do Konrada i Jana. — Brat Girolamo d'Ascoli, wasz nowy minister generalny, chce z wami rozmawiać.

Więźniowie, podzwaniając łańcuchami, dźwignęli się niezdarnie z ziemi. Na znak Girolama Zefferino zdjął z kółka zawieszzonego u pasa wielki klucz i przykucnął przed Konradem. Otworzył obejmy na jego kostkach i odrzucił je. Upadły pod ścianę z triumfalnym metalicznym szczękiem.

— Nasz Ojciec Święty, papież Grzegorz Dziesiąty — zwrócił się Girolamo do Konrada — daruje ci twoje przewiny wobec naszego zakonu, bracie. Jesteś wolny i możesz odejść. Możesz też zostać tutaj, w 445

Sacro Convento, dopóki nie powrócisz do zdrowia. Radziłbym ci nie śpieszyć się z opuszczeniem tych murów i oddać pod opiekę naszego brata infirmariana.

Konrad zmruszył oczy porażone blaskiem pochodni. Mrowiły go rozkute kostki, w których żywej krążyła krew. Chociaż przez tyle miesięcy pielęgnował w sobie nadzieję, ta pozbawiona dramatyzmu nagłośnienie uwolnienia sprawiła, iż nie chciało mu się w nie uwierzyć. Potrząsnął głową otumaniony, niepewny, czy dobrze usłyszał.

— Porozmawiamy jeszcze, bracie Konradzie, kiedy nabierzesz sił

— ciągnął Girolamo. — Mam co do ciebie pewne plany. Chcę, żebyś został moim emisariuszem do braci spirytualnych i pomógł mi sprowadzić ich z powrotem do owczarni. Tobie, jako jednemu z nich, byłemu więźniowi braci konwentualnych, najprędzej uda się ich przekonać, że zmiana jest konieczna, jeśli zakon ma się rozrastać i przetrwać. Jestem pewny, że obecny tu brat Jan rozumiał to, kiedy był generałem.

Konrad nie otrząsnął się jeszcze z oszołomienia.

— Pochlebia mi twoje zaufanie, bracie Girolamo — powiedział —

ale uczyniłem niedawno pewien ślub, który, mam nadzieję, pozwolisz mi wypełnić. Obiecałem Naszemu Panu, że jeśli kiedykolwiek dane mi będzie stąd wyjść, przepracuję czas jakiś wśród trędowatych. Lecz obecnego tu brata Jana z Parmy miłują wszyscy bracia. Czy on nie mógłby zostać twoim emisariuszem?

— Tego zacnego ojca, niezależnie od wszystkiego, teŝ zamierzam uwolnić — odparł Girolamo. Przyjrzał się w migotliwym blasku pochodni staremu wynędzniałemu zakonnikowi. — Wątpię jednak, czy podołałby trudom podróŝy, jakich wiele w tej misji trzeba będzie od-być. — Tu zwrócił się do Jana: — Czy zastanawiałeś się kiedy, dokąd skierowałbyś swoje kroki, gdyby cię stąd wypuszczono, padre?

— Myślałem o tym... setki razy — wyjąkał Jan. — Chcę iść do Greccio... tylko do Greccio. — I drŝącym głosem dodał: — Pragnę doŝyc 446

swoich dni przed stajnią, w której święty Franciszek odtworzył scenę narodzin Naszego Pana.

Zefferino przykucnął, ŝeby uwolnić z kajdan Jana, a Girolamo spojrział na Konrada i rozłoŝył ręce.

— Jak widzisz, brat Jan cię nie zastąpi. Powiedz mi coś bliŝszego o swoim ŝlubie. Jak długo zobowiązałeś się pracować wśród trędowatych?

— Dopóki nie dowiem się tego, czego muszę się dowiedzieć.

— A cóŝ to takiego?

— Nie potrafię powiedzieć. Sam nie wiem. Wiem tylko, ŝe Bóg mi to podpowie w swoim czasie i na swój sposób. Moŝe to zająć jeden dzień, a równie dobrze mogę tam spędzić całe ŝycie i umrzeć, nie dowiedziawszy się niczego.

Girolamo, pocierając policzek, przyglądał się więźniom.

— Moje pragnienie doprowadzenia do jednoŝci w naszym zakonie uczyniło mnie niecierpliwym, bracia. A przecieŝ wam obu trzeba czasu na przystosowanie się do ŝycia tam, na górze. Idź wypełniać swój ŝlub, bracie Konradzie. Nadal jednak liczę, ŝe kiedy wypełnisz swą misję i odzyskasz siły, pomoŝesz mi w zadaniu, które przed sobą postawiłem.

Ich uwagę zwróciło głoŝne pociągnięcie nosem, które dobiegło z kamiennych schodków. Konrad dostrzegł w blasku pochodni łzy toczą-

ce się po policzkach dozorca.

— Brat Jan będzie potrzebował towarzysza, który zaprowadzi go do Greccio — powiedział. — Moŝe brat Zefferino... jeśli znajdziesz mu jakąŝ maskę... bo wstydzi się swojego oszpecenia...

Girolamo przekrzywił głowę.

— Wstawiasz się za swym oprawcą?

— Był nam przez te dwa lata dobrym pasterzem. Myślę, ŝe juŝ zaczyna tęsknić za swoim małym stadkiem.

Girolamo przypatrywał się przez chwilę twarzom tej trójki.

— Co ty na to, Zefferino? — spytał w końcu. — Jesteś gotów przekazać swoje klucze innemu bratu i opuścić te lochy?

Z gardła oprawcy wyrwał się stłumiony śmiech.

447

— Jestem gotów, ale powinienem pójść z bratem Konradem. Bratu Janowi potrzebny młodszy, silniejszy przewodnik. My, Konradzie, obaj jesteśmy ślepi na jedno oko, pasujemy do siebie jak dwie okładki księ-

gi.

Konrad dotknął blizny nad policzkiem.

— Nie zastanawiałem się dotąd, jak na mój widok reagować będą ludzie. Nie będę aby straszył moją twarzą dzieci?

— Postarzałeś się, przyjacielu, nad wiek postarzałeś — odparł Zefferino. — Schodząc tutaj, włosy miałeś czarne i lśniące jak futro sobo-la, teraz nosisz na głowie zimową szatę gronostaja. Powłóczysz nogami jak ochwacony osioł, a w blasku dnia będziesz ślepy jak nietoperz.

Krótko mówiąc, gdyby nie twoja broda proroka, stanowilibyśmy swoje idealne kopie. — Zapominając się na chwilę, dozorca zaczął przysuwać pochodnię do swojej twarzy, Ŝeby Konrad mógł się jej lepiej przyjrzeć; kiedy jednak Ŝar płomienia ogrzał mu policzek, odsunął ją szybko od siebie na długość wyciągniętego ramienia. Nigdy nie zapomni anioła zemsty z tamtego lasu.

Konrad dowlókl się do schodków i wsparł na ramieniu Zefferina.

— Zatem prowadź, bracie. Jeśli potrafisz mi wtórować w śpiewaniu hymnów pochwalnych i dziękczynnych, to stworzymy parę, która za-wstydzi wszystkich tych, którzy swoje nadzieje pokładają w dobrach doczesnych.

Zefferino miał rację co do blasku dnia. Konrad, choć pilno mu było zostawić mury Sacro Convento daleko za sobą, ledwie znalazł się za klasztorną furką, musiał osłonić zdrowe oko rękawem habitu. Stawiając niepewnie kroki, skrył się czym prędzej w mrocznym wnętrzu dolnego kościoła bazyliki. Jego dawny oprawca deptał mu po piętach. Jak uczą-

ce się chodzić niemowlę, dowlókl się do grobu brata Leona.

Stłumiwszy pokusę zwymyślenia swego mentora, przypomniał sobie hymn pochwalny, o którym wspominał Zefferino w lochu, i mamrocząc go, 448

starł się utwierdzić ponownie w wierze w boski plan.

— Widzę tu coś nowego — powiedział stojący za nim Zefferino. —

Tej tablicy nie było, kiedy ostatnim razem tu zaglądałem. To grób kobiety. Jacoba... sancta romana .

— Jacoba-Jakubina? — Konrad prześegnał się i powiódł palcami po inskrypcji. — Data, bracie, data?

— Z zimy. Mówiłem ci, bracie, że to nowy grób.

Konrad opuścił rękę.

— Requiescas in pace, bracie Jakubino.

Zefferino spojrział nań ze zdumieniem.

— Zakonnik o Śeńskim imieniu?

— Piękna i szlachetna pani, bracie, i temat na wędrówkę. Opowiem ci o niej w drodze. — Ciekaw był, czy donna Giacomina zdołała wprowadzić w Śycie plan uczynienia z Amaty swojej dziedziczki.

Amata jest już teraz dorosłą kobietą. Niewiele o niej myślał przez ostatni rok, i teraz nagle naszała go ciekawość, co u niej. I czy wywie-trzał jej z głowy, tak jak ona jemu. Miał nadzieję, że nie.

Nagle z transeptu doleciała ostra reprimenda. W północnym rogu bazyliki płonął rząd łuczyw. Oslaniając oczy, Konrad rozróŚnił tam dwie postaci krzĄtające się po rusztowaniach. Gdyby nie dosadny język, pomyślałby, że to anioły zstępujące i wstępujące po drabinie Jakuba.

Gniewny starczy głos, który przyciągnął jego uwagę, odezwał się znowu florentyńskim dialektem.

— Pigmenty mam już gotowe, Giotto. śwawiej, chłopcze. Kładź tu tynk. Chcę jeszcze dzisiaj wykończyć tę Dziewicę.

Konrad ruszył przez absydę w kierunku rusztowania, żeby z bliska przyjrzeć się malarzom fresków przy pracy. W miejscu osadził go gromki okrzyk:

— Byłbym wam wdzięczny, braciszku, gdybyście tu nie podchodzili, bo peszycie mojego ucznia!

Konrad otworzył szeroko niedowidzące zdrowe oko. Z początku poraził go blask łuczyw i przemknęło mu przez myśl, czy w takiej właśnie 449

jasności pławią się bez ustanku święci boscy. Po jakimś czasie zaczął

rozróŚniać kolory na ścianie. Gromada cherubinów otaczała na wpół

ukończoną Madonnę na tronie. Na rękach trzymała dzieciątko, dzieciątko jak Śywe — nic jakąś miniaturę rzymskiego cezara, typową dla takich fresków. Po lewej ręce Dziewicy stał, również jak Śywy, święty Franciszek w prostym szarobrazowym habicie zakonu. Ciemne oczy patrzyły na coś ponad ramieniem Konrada, grube wargi ni to się uśmiechały, ni ściągały. Odstające uszy i oliwkową twarz świętego, szerść jego rudawej brody i tonsurę, jego rzadkie brwi, otaczała złota aureola.

Artysta namalował Franciszka z prawą ręką w poprzek piersi, a lewą zaciśniętą na Biblii, czy moŜe regule zakonu. Na obu dłoniach widać było wyraźnie stygmaty. Konrad zauwaŜył równieŜ ślady po gwoź-

dziach w obu bosych stopach. Poprzez rozcięcie w tunice widać było ranę po włóczni w boku Franciszka. Uwagę zakonnika przyciągnęły puste spokojne oczy. Przypomni ł sobie, Őe w czasie, kiedy serafin naznaczył go stygmatami, Franciszek był juŜ prawie zupełnie ślepy, i podzi kował Bogu, Őe zostawił mu chociaŜ jedno oko.

— Pi knie, signore! — zawołał do starego malarza.

— Pi kno to moja specjalno c. — Nutka sarkazmu w g losie artysty mogła oznaczać, iŜ poro wnuje swoje dzieło z powierzchowno ci  przygl daj cych si  jego pracy mnichów, którzy z pewno ci  do pi knych si  nie zaliczali. Kto wie, czy wraŹliwy florentyńczyk nie upatrywał w nich nawet uosobienia szpetoty. Konrada opuŹciła nagle pewno c siebie, z którą opuszczał celę. Naci gnął na g łowę kaptur.

— Chodź, bracie — zwrócił si  do Zefferina. — Znam dom, w któ-

rym przyjmą nas z otwartymi ramionami i udzielą schronienia.

Konrad i Zefferino, kryj c twarze pod kapturami, czekali w wielkiej izbie domu Amaty. S ługa Pio nie poznał Konrada, kiedy ten pytał, czy Amata wci Ŝ tu mieszka. CzyŜby w lodowatej wilgoci lochu zmienił mu 450

si  nawet g los, pomimo Őe przez ostatni rok uŜywał go cz sto, dyskutuj c z Janem?

Sam dawno juŜ wybaczył swojemu oprawcy i dopiero teraz przyszło mu do g łowy, Őe Zefferino moŹe si  tu spotkać z wrogim przyj ciem.

Lecz Amata widziała mnicha tylko raz, w mroku opuszczonej kapliczki, a on swoje imię zdradził Konradowi dopiero na spowiedzi. Poza tym Zefferino teŜ si  przez te lata zmienił — rany po oparzeniach zagoiły si , swoje zrobił teŜ czas sp dzony pod ziemi . Nie wiadomo było tylko, jak z kolei on zareaguje na widok Amaty, czy rozpozna w niej nowicjusza z lasu. Przez tych kilka dni, bo dłuŹej w domu Amaty nie zabawi , lepiej b dzie unikać tematów mog cych wywołać skojarzenia.

S ysz c wchodz c  do izby Amatę, jeszcze niŹej pochylił g łowę.

— Pokój niech b dzie z wami, bracia — powiedziała. — Szukacie schronienia?

— Tak, Amatino — powiedzia ł Konrad. — Dla mnie i mojego towarzysza.

Zawahała si .

— Konrad? — G los jej drŹa ł.

— Tak. Jestem wolny.

— BoŜe! PokaŜ mi siê! — Chciała mu ŝciągnąć kaptur, lecz powstrzymał ją, unosząc rękę.

— Proszę, nie. Przeraziłabyś siê.

Zacisnęła pięści i opuściła rękę.

— Co oni ci zrobili?

— Nie „oni”, madonna — odezwał siê Zefferino. — To ja go torturowałem.

— Byłeś tylko narzędziem w ręku Boga — warknął Konrad. — Nie obwiniaj siê.

— Dosyć, bracia! Ani słowa więcej, proszę — powiedziała Amata.

— Teraz obaj torturujecie mnie. — PołoŜyła dłoń na ramieniu Konrada.

Nie stracił jej. — I przez resztę Ŝycia chcesz ukrywać siê pod tym kapturem? ZwaŜ, Ŝe jesteŝ teraz w domu oddanej ci przyjaciółki. — Pogłaskała 451

go przez materiał po głowie. — MoŜe byś spróbował?

Konrad nachylił siê do towarzysza.

— Ty teŜ, Zefferino. Musimy, bo jak nie, to równie dobrze moŜemy wracać do naszego lochu.

Jednocześnie ŝciągnęli kaptury z głów. Oczy Amaty zaszyły łzami.

Zamrugwała, potarła pięścią policzek i cofnęła siê, popatrując to na jednego, to na drugiego. Konrad zauwaŜył z ulgą, Ŝe nie rozpoznaje w Zefferinie mnicha, który próbował przebić ją włócznią. Zarumienił siê, kiedy jej wzrok spoczął w końcu na nim.

— Konradzie... Konradzie — powiedziała. — Tak za tobą tęskni-

łam. Tak mi brakowało rozmów z tobą. — Głos miała spokojny, zupeł-

nie jakby nie dostrzegała niczego niezwykłego. Zdobyła siê nawet na słaby uŝmiejch. — I mam dla ciebie niespodziankę. Chodź ze mną.

Podtrzymywany przez Amatę i Zefferina, wstąpił na schody prowadzące do loggii. Nie przeszkadzało mu, Ŝe dziewczyna trzyma go za łokieć. Zaczynał zdawać sobie sprawę, jak bardzo tęsknił przez te miesiące za odrobiną czułości i jak wiele tej czułości zaznał przed laty w tym domu.

Pokonawszy ostatni stopieñ, ujrzał dwóch skrybów — zakonnika i ŝwieckiego — pochylonych nad pulpitemi. Obaj wydali mu siê znajomi, chociaŜ nie mógł jeszcze w pełni polegać na swoim wzroku. Czasami miał wraŜenie, Ŝe porusza siê we mgle i małe skryptorium Amaty wydawało mu siê teraz niemal nierealne.

— Bracie Salimbene. Sior Jacopone — powiedziała Amata. — Zobaczcie, kto przyszedł. Pamiętacie naszego brata Konrada?

Jacopone uniósł głowę i twarz mu pociemniała. Odwrócił wzrok. Salimbene nie znał Konrada na tyle, by pamiętać, jak wyglądał dawniej, okazał więc tylko zainteresowanie.

— Brat Leon powierzył ci niezwykle dokument — powiedział —

choć brakuje w nim cudów.

452

Amata wyjaśniła szybko, co mają kopiści na swoich pulpitych.

— Mam nadzieję, żeś rad, Konradzie. Robię to, o co kiedyś mnie prosiłeś. — Zerknęła na niego niepewnie.

Konrad, wspierając się na Zefferinie, podszedł do pulpitych i przebiegł wzrokiem weliny.

— Dobrzy z was skrybowie — orzekł. — Co zaś do cudów, to brat Leon opisał tylko to, co miało miejsce w rzeczywistości.

Wzdrażał się upiększać swoją kronikę zmyślonymi zdarzeniami, choćby te miały budująco wpływać na czytelników.

Salimbene spuścił pokornie głowę, być może z szacunku dla stanu Konrada.

— I naturalnie miał rację. Znam wielu takich, co wymyślają rzekome wizje, żeby wynieść się ponad innych jako święci mężowie, którym objawiane są boskie tajemnice. Niektóre zaś wizje to rojenia chorego umysłu, choć ten, który ich doświadcza, może nawet święcie w nie wierzyć.

Zapalił się do tego tematu.

— Oj, a ile ja fałszywych relikwii widziałem w swoich podróżach!

Mnisi z Sisson chwalą się, na przykład, mlecznym zębem małego Jezusa, który wypadł Mu jakoby w dziewiąte urodziny. W trzech różnych relikwiarzach widziałem pępownię Naszego Pana, chociaż niewykluczone, że w każdym znajdował się jej kawałek. Ale widziałem też cały Jego napletek w siedmiu różnych miejscach. I każdy wystawiany jest z całą ceremonią na widok publiczny w Święto Obrzezania.

Jacopone ze skruszoną miną odłożył pióro.

— Dotknąłem raz tego napletka i byłem bardzo poruszony. Modli-

łem się potem śarliwie przez kilka tygodni.

Salimbene odwrócony do Jacopone plecami uśmiechnął się sardo-nicznie.

— I tak to jest z prostą wiarą. Mimo wszystko to najlepszy argument dla cudów i relikwii. Abstrakcja nie dociera do liczącej kaŜdy grosz wdowy. Ale buteleczka z paroma bezcennymi kroplami mleka Dziewicy... czyŜ nie odda za nią wszystkiego, co ma?

453

Konrad ściągnął brwi, ale nie odpowiedział.

— Jestem teraz zmęczony — zwrócił się do Amaty, nie dodając, Ŝe zmęczyło go słuchanie Salimbene. — Gdzie mógł bym odpocząć?

Kiedy zesli na dół, podzielił się z nią swymi wątpliwościami.

— Sior Jacopone ufam i rad widzę go za pulpitem, ale obawiam się, Ŝe popełniłaś błąd, pokazując zwój Leona bratu Salimbene. MoŜe wydaje się bezstronny i nieuprzedzony, ale sympatyzuje z konwentuałami.

— On jest kronikarzem, Konradzie — uspokoiła go Amata. — I je-go zainteresowanie historią zakonu przyćmiewa sympatię do tej czy innej frakcji.

— A kiedy zaspokoi juŜ swoją ciekawość?

— Przynęk mi solennie. W obecności... — Amata urwała, nie bardzo wiedząc, jak określić Orfea. Na pewno nie mogła go nazwać swoim narzeczonym, jak to zrobił Salimbene. Nie była nawet pewna, czy moŜe go nadal nazywać swoim przyjacielem.

— Muszę z tobą porozmawiać, Konradzie. Czy brat Zefferino od-stąpi mi ciebie po kolacji?

Zefferino skłonił głowę.

— Jeśli chcecie się teraz zdrzemnąć albo potrzebujecie czegoś z kuchni, wystarczy, Ŝe powiecie. Cała moja słuŜba jest na wasze rozkazy.

Po kolacji wyjdzie z przyjacielem w zacieniony kąć podwórca. I tam opowie mu o wszystkim, co zyskała, od kiedy się rozstali, i o wszystkim, co ostatnio straciła. A jeśli on zechce podzielić się z nią swoimi przeŜyciami, to w skupieniu go wysłucha. Tyle się zmieniło w jego i jej Ŝyciu przez te dwa lata.

Orfeo sprawdził płachty z Œaglowego płótna, którymi przykryte były załadowane juŒ dwukołowe fury, upewniając się, czyjego ludzie do-brzeje uwiązali. Przy ustawionym nieopodal stole stary Domenico liczył wory wełny i bele gotowej tkaniny. Kilku woźniców zaprzęgało woły do trzech pustych jeszcze wozów.

Przed podróŜą Orfeo był zwykle podekscytowany. Ale nie dzisiaj.

Dzisiaj starał się koncentrować na przygotowaniach do drogi, lecz bez zapału do niej się szykował.

Kilka tygodni upłynęło od czasu, kiedy usłyszał, Œe „zakonnik Amaty” zamieszkał znowu w jej domu. Dostał od niej liścik z podziękowaniami i zaproszeniem, by ją odwiedził i poznał Konrada, ale nie zdobył

się nawet na to, by odpisać. Nadal miał do niej Œal po ostatniej rozmowie.

Przeciął dziedziniec, Œeby pomóc woźnicom. Większość z nich towarzyszyła mu poprzedniej zimy w kupieckiej wyprawie do Flandrii i Francji. Była to banda zaroŒniętych, krzepkich, pyskanych typów, odzianych jak kowale w skórzane kaftany, ze sztyletami dyndającymi u ud.

455

Lecz Orfeo wiedział, Œe z tymi ludźmi pokona kaŒdą przeszkodę rzuconą mu pod nogi czy to przez naturę, czy człowieka. Tylko jeden

— woźnica w Œrednim wieku, najęty na miejsce Nena — nie był jeszcze wypróbowany. Reszta jak dotąd akceptowała nowego.

Orfeo pomacał palcami spód jarzma, sprawdzając, czy jest zabezpieczone tam, gdzie ociera się o kark wołu, po czym przesunął wzrokiem wzdłuŜ rzędu wozów. Zza ostatniego, stojącego na tle

cego słońca, wykuŒtykał, wspierając się na lasce, zakapturzony mnich.

Na piersi spływała mu siwa broda, przypominał patriarchę ze Wschodu.

ZbliŒywszy się, uniósł głowę i spojrzał najpierw na sior Domenica, a potem na Orfea. Orfeo skrzywił się na widok zabliznionego oczodołu i przymruŒonego zdrowego oka zakonnika. Taki potrafiłby rzucić urok samym spojrzeniem, nie wypowiadając jednego słowa.

— Orfeo di Angelo Bernardone! — zawołał mnich. Było to nie tyle pytanie, co stwierdzenie. I w tym momencie Orfeowi przemknęło przez myśl, Œe oto przybył Ponury Œniwiarz, by skosić jego Œycie.

— Stoi przed tobą, bracie. Czego ode mnie chcesz?

— Niczego dla siebie. Wystarczająco już mi się przysłużyłeś. Bóg wynagrodzi cię za ułaskawienie, któreś wyprosił dla mnie u papieża. —

Mnich zsunął powoli kaptur z głowy, promienie słońca podświetliły szopę siwych włosów.

Orfeo zapomniał na chwilę języka w gębie. Wyobrażał go sobie jako o wiele młodszego, może nawet przystojnego mężczyznę — mężczyznę, który mógłby pociągać Amatę fizycznie. Chłód, jaki mu okazywa-

ła, od kiedy wrócił z ułaskawieniem, nasuwał podejrzenie, że za jej daniem do uwolnienia tego Konrada kryło się coś więcej — zwłaszcza kiedy powiedziała, że chce na niego czekać pod furką klasztoru.

Teraz, widząc przed sobą byłego pustelnika, uświadomił sobie, w jakim był błędzie. Zbył podziękowanie machnięciem ręki.

— Pomoc niewinnemu to powinność. — Wrócił do sprawdzania jarzma.

456

— Przyszedłem ci również powiedzieć, żeś głupi — dodał zakonnik.

Orfeo znieruchomiał. Sior Domenico i kilku woźniców spojrzeli na nich ciekawie — może nie tyle na nich, co na niego, krępował ich bowiem widok twarzy zakonnika.

— Nie tobie mnie oceniać — burknął, zadzierając dumnie głowę.

— Może przyznam ci rację, jeśli mi powiesz, dlaczego nie potrafisz pokochać kobiety za to, jaką jest, a nie za jej majątek. Znam taką jedną, która kocha cię całym sercem.

Swymi słowami Konrad rozdrapał najwyraźniej niezagojoną jeszcze ranę. Dotknięty i zaambarasowany Orfeo zerknął na towarzyszy.

— Wybacz, sior Domenico — powiedział. — Muszę porozmawiać z tym mnichem na stronie.

Konrad wpatrywał się jednym okiem w starego kupca. Domenico, spuściwszy wzrok na bele materiału, machnął przyzwalająco ręką.

Orfeo zaprowadził zakonnika za łukową bramę dziedzińca. Co ta Amata mu naopowiadała?

Zakonnik odezwał się pierwszy:

— Czytam z twoich oczu, że się nie myliłem. Tęsknisz za nią tak samo, jak ona za tobą. Ale kiedy spojrzałem przed chwilą na twój pracodawcę, przyszedł mi do głowy pewien pomysł. To mogłoby się udać, gdybyś tylko chciał, gdybyś pojął Amatinę za siostrę z samej miło-

ści, tak jak ona tego pragnie.

Orfeo spojrzeniem dał zakonnikowi do zrozumienia, Œeby mówił dalej. W tej chwili wolał się nie odzywać, bo wiedział, Œe gŒos będy mu drŒaŒ. Słuchajac Konrada, postara się nad soba zapanować.

Mnich wyŒyŒ mu swŒj plan, akcentujac kaŒdy jego punkt warunkiem: „jeŒli naprawdę ją kochasz”. Jego propozycja wydała się Orfeowi nad podziw sensowna, zwaŒywszy, Œe ten czŒowiek nie znał się zupeł-

nie na handlu.

457

— Do tego będy, oczywiŒcie, potrzebna zgoda sior Domenica —

zaznaczył, kiedy Konrad skończył — i mojego brata Piccarda. — Ale tak, zapalił się do pomysłu mnicha. Œcisnał oburacz dŒoń zakonnika i potrząsnął nią energicznie. — Teraz moŒe ty ocalisz mnie, bracie —

powiedział.

— Oby BŒg ci poszczęścił — odrzekł Konrad, a kiedy Orfeo puścił

jego rękę, dodał: — Bądź tak dobry, signore, i przekaŒ ode mnie wiadomoŒ Amatinie, kiedy do niej zajdziesz. Wychodzac dzisiaj od niej, nie poŒegnałem się z obawy, Œe będy chciała mnie zatrzymać. Powiedz jej, proszę, Œe udałem się do Ospedale San Salvatore delie Pareti i wręcę, jak tylko będy mógł.

— Do lazaretto?

Konrad kiwnął głowa.

— Zostawiłem teŒ w jej domu mojego towarzysza, nie mówiac mu, co zamierzam. Nie chciałem wywierać na niego Œadnego nacisku, niech sam w spokoju zadecyduje, czy chce podaŒyć w me Œlady. Nie wiem, kiedy wręcę, a jemu moŒe nie odpowiadać pobyt w miejscu, do którego idę. — Zakonnik zdobył się na blady uŒmiech. — Addio, signore. Niech BŒg błogosławi ciebie i twoją panią.

Zefferino przez cała prawie noc przewracał się z boku na bok na po-Œlaniu i dopiero nad ranem zmorzył go sen. NiepokŒj pŒynał jego Œylami niczym trucizna. Nie wyszedł poza klasztorne mury od dnia, kiedy mnisi znaleźli go półŒywego w opuszczonej kapliczce i przynieŒli do Sacro Convento. Z lochów wychodził tylko po jedzenie dla więźniów. Zasło-nił przedramieniem głowę, izolujac się w ten sposób od majzacących w mroku ciaŒ i chrapania otaczajacych go obcych. Podciagnał kolana pod brodę, zwijajac się w kŒbek. Trochę ukojenia przynosił mu miarowy oddech Konrada Œpiacego na sasiadnim poŒlaniu.

TuŒ przed pierwszym brzaskiem Konrad poruszył się. Zefferino uchylał powiekę i zobaczył towarzysza zmierzajacego do drzwi, tak jak 458

wtedy, kiedy wysłuchawszy jego spowiedzi, wychodził z kapliczki.

Zefferina zdjęła obawa, że znowu go porzucą, ale uspokoił się szybko, że przecież otaczające go odgłosy wydają ludzie, nie zwierzęta.

Znowu odpłynął w sen.

Kiedy się obudził, po izbie kręcili się służcy, uprzątając posłania, ziewając, przeciągając się i prosząc Boga o błogosławieństwo na nowy dzień. Posłanie Konrada było puste i niezrolowane. Może poszedł najpierw do latryny?

Zefferino wstał, naciągnął na głowę kaptur i ruszył za innymi w tamtym kierunku. Przez cały czas miał świadomość, że ci ludzie odwracają od niego wzrok. Konrad może tego nie zauważał, ale dla Zefferina ich odraza, a może strach, były aż nadto widoczne.

Szybko stwierdził, że towarzysza nie ma w latrynie, nie było go też

przy stole na śniadaniu. Amata zapytała skubiącego bez apetytu posiłek zakonnika o swojego przyjaciela, ale Zefferino wzruszył tylko ramionami i rozejrzał się po izbie. Panujący w niej gwar rozbrzmiewał mu w uszach niczym łopot skrzydeł nietoperzy w tunelach lochów.

— Poszukam go w kaplicy — powiedziała Amata i wyszła.

Słyszał ją, jak idzie korytarzem i woła Konrada po imieniu. Coś w jej głosie... „Konradzie! Bracie Konradzie!”. Jak tamten nowicjusz w lesie. Słyszał niemal jego głos, wrzeszczący: „Oni się Boga nie boją, bracie Konradzie”. Potem zagrał na trąbce ognisty anioł i dla Zefferina zaczęło się cierpienie. Nie pytał nigdy Konrada o tego anioła. Po wizji, którą miał jego więzień w lochu, uświadomił sobie, że ów człowiek żyje na o wiele wyższym poziomie niż on. Dozorca bał się wnikać zbyt głęboko w święte tajemnice.

Inni szybko skończyli śniadanie i Zefferino został sam przy stole w wielkiej sali. Służcy zbierali opróżnione miski i kubki. Owsianka bulgotała mu w żołądku. Dwaj kopiści zasiądą wkrótce do swej pracy.

Może Konrad poszedł do loggii, żeby im pomóc?

459

Zefferino wspinał się ze spuszczoną głową po schodach. W loggii zastał tylko skrybę Jacopone. Przyglądał się, jak kopista odcina nożem arkusz z grubego zwoju i rozkłada go na pulpicie. Zakonnik wziął do ręki zwój i pomacał cienki materiał. Słyszał o tym „papierze” — tani i wygodniejszy w użyciu od pergaminu, ale wątpliwe, by przetrzymał

wilgoć klasztornej biblioteki. O proszę, jak łatwo ktoś zrobił dziurę w tym rotolo. Wsunął w otwór serdeczny palec.

— Z tym rozdarciem wiąże się pewna historia, bracie — odezwał

się Jacopone. — Pewnej ciemnej nocy ten manuskrypt ocalał naszej pani Śycie. Gdyby nie była nim owinięta, jeden podstępny zakonnik morderca przebiłby ją włócznią. Do dzisiaj przypominam jej, Śeby dziękowała Bogu, Śe brat Leon był piśmienny.

Zefferino ścisnął w rękach zwój.

— Zakonnik? Dlaczego zakonnik miałby dybać na Śycie kogoś tak wspaniałomyślnego dla bractwa?

— Nie nazwałbyś jej wspaniałomyślną dla braci, gdybyś ją widział

tamtej nocy! Walczyła jak lwica i własnoręcznie ukatrupiła jednego z ich bandy, ale oni teŚ zabili jednego z naszych. Z jakiegoś powodu chcieli uprowadzić brata Konrada. Napadli na nas w lesie po zmroku.

Zefferino zamknął oko. Usłyszał znowu straszny rytm tamtej nocy, dobiegające zewsząd krzyki, a potem ryk trąbki i płomień zbliŚający się z wrzaskiem do jego twarzy.

— Ty teŚ tam byłeś? — spytał.

— Byłem, ale mało brakowało, a spóźniłbym się z pomocą. Podpaliłem ich herszta, a reszta rozpierzchła się jak łasice do nor.

Zwój upadł ze stukotem na podłogę loggii i tocząc się po niej, czę-
ściowo rozwinął. Jacopone zerwał się ze stołka i podniósł go.

— OstroŚniej, bracie! Dobrze się czujesz?

Zefferino wsunął dłonie w rękawy i spuścił głowę. Odchrząknął
przez ściśnięte gardło.

460

— Angelus Domini — wykrztusił. — Anioł Pański. To ty!

Drewniana loggia zadygotała lekko. Po schodach wbiegała Amata, a za nią, posapując, piął się Salimbene.

— Brat Konrad odszedł, bracie — powiedziała do Zefferina. —

Kazał ci przekazać, Śe jeśli chcesz z nim być, znajdziesz go w szpitalu dla trędowatych. — Z twarzą zarŚowioną z podniecenia zwróciła się do Jacopone: — Przybiegł posłaniec od sior Orfea. Będzie tu jutro i powiedział, Śe ma nadzieję przynieść dobre wieści.

Jacopone i Salimbene uśmiechnęli się szeroko.

— Wiedziałem, że długo bez ciebie nie wytrzyma, madonna —

powiedział gruby zakonnik.

Amata odwróciła się z rozpromienioną twarzą do Zefferina.

— Przepraszam, bracie. Nawet nie wiesz, jaka to ważna dla mnie wiadomość. — Zerknęła na karteczkę, którą trzymała w ręku. — Martwię się jednak, że brat Konrad będzie był wśród tych odraśających leperów. Wiesz może, dlaczego się tam udał?

— żeby wypełnić ślub, madonna .

— Pójdiesz tam za nim? Kazałabym kucharce przygotować prowiant. Konrad wyszedł bez śniadania.

Pójść za nim? Za człowiekiem, który zostawił go tu samego wśród wrogów? Zefferino machnął dłonią przed zdrowym okiem, żeby odpe-

dzić wizję płomieni.

— Za pozwoleniem, madonna, chciałbym tu zostać jeszcze jedną noc. Rano wrócę do Sacro Convento.

Tego wieczoru to Konrad, nie Orfeo, zajmował przed zaśnięciem myśli Amaty. Nadal uważała zakonnika za jedynego mężczyznę, który kochał ją bezwarunkowo, nie sądając niczego w zamian. W dniu jego powrotu starała się jak mogła ukryć awersję, ale był jej przyjacielem.

Już nigdy nie zobaczy tych wypełnionych światłem, szarych oczu. A jeśli, pomimo czystości serca, zarazi się w szpitalu trędem? Odmówiła modlitwę w intencji jego bezpieczeństwa i ochrony przed chorobą, ale 461

nie wiedzieć czemu, zwracała się do donny Giacomy, nie do Boga.

Potem przekręciła się na bok, zwinęła w kłębek i zasnęła. W środku nocy zbudziły ją krzyki.

Słuchająca Gabriella szarpała ją za ramię, ściągając z łóżka.

— Ubierajcie się szybko, madonna . Pali się na podwórku.

Zaspana Amata owinęła się w kołdrę i wybiegła z izby w dym. Skąd wziął się ogień w najgorętszym okresie lata, kiedy wszystkie kominki były wyczyszczone i zasłonięte, a paliło się tylko w kuchennym piecu?

Ktoś zapomniał pewnie zdmuchnąć świecę. Zbliżając się do wyjścia na krużganek, zobaczyła pomarańczowy odblask płomieni tańczący niczym diabelski wschód słońca na kamiennych kolumnkach i ścianach.

Słuŝba i goŝcie nabierali wiadrami wodę z fontanny poŝrodku podwórc-a, część biegała tam i z powrotem między poŝarem a najbliŝszą publiczną studnią.

Przecierając oczy, patrzyła na podwórzec spod łuku kruŝganka. ŝo-

ładek podchodził jej do gardła, przygryzła kciuk, ŝeby nie krzyknąć. Z

przeraŝeniem stwierdzała, iŝ w płomieniach stoi ta część drewnianej loggii, w której znajdowały się pulpity. Ogromna kula ognia obejmowa-

ła schody prowadzące do południowej części oraz całą południową ścianę. Męŝczyźni walczący z poŝogą i starający się nie dopuŝcić do rozprzestrzenienia się ognia wbiegali z wiadrami wody północnymi schodami, ale pulpity juŝ spłonęły. Amata patrzyła tępo w płomienie, usiłując zlokalizować wśród nich szafę, w której przechowywała manuskrypt Leona oraz jego niedokończone kopie. Na jej oczach południowy balkon runął, pociągając za sobą wschodnią część loggii. Na podwórzec posypały się wielkie odłamki płonących głowni. Zobaczyła wśród nich fragment pulpitu i serce jej zamarło.

Wszystko stracone!

Kamienne ściany i kryty dachówką dach powinny oprzeć się płomieniom, loggię da się odbudować, ale kronika Leona poszła nieodwracalnie z dymem. Ukryła twarz w dłoniach. Zawiodła Konrada!

462

Walka o ocalenie przed ogniem reszty jej domu trwała do białego rana. Nocna straż pobudziła sąsiadów i od wejŝcia w kierunku kaŝdej okolicznej studni ustawiły się szeregi ludzi podających sobie wiadra.

Krzepcy męŝczyźni dźwigali parami większe cebry. Amata pomagała tymczasem kobietom gasić płonące wszędzie kawałki drewna. Miotając się po podwórcu i kruŝganku, odnosiła wraŝenie, ŝe płuca pękną jej zaraz od dymu, ŝaru i wyczerpania, a tłum i wrzawa wewnątrz i na zewnątrz jej domu wciąż rosły.

W końcu, zaraz po tym, jak kościelny dzwon obwieŝcił godzinę prymy, odszukał ją maestro Roberto i powiedział, ŝe płomienie wreszcie zostały zduszone. Otępiła, wyszła za nim na ŝrodek podwórc-a i rozejrzała się po osmalonych, popękanych, kamiennych ścianach i okopconych łukach kruŝganka. Nie ostało się nic drewnianego, ani jedna framuga, ani jedna okienna rama. Poŝród popiołów, na kamiennej ławeczce, na której rozmawiała z Konradem w wieczór jego powrotu, siedział Jacopone. Trzymał się za głowę i mamrotał coś pod nosem, chociaŝ nikogo w pobliŝu nie było. Podeszedł do niej umazany sadzą Pio.

— Pio uratował twój dom, Amatino — powiedział Roberto. — On pierwszy poczuł dym i podniósł alarm.

Amata przyłoŝyła dłoń do piersi młodego męŝczyzny.

— Bóg zapłać — szepnęła. Znowu rozejrzała się po podwórku, gdzie słuśba polewała wodą Œarżące się jeszcze węgle i zamiatała szczątki na stosy, z dala od ścian. Nie było wśród nich ani brata Salimbene, ani towarzysza brata Konrada.

— Czy zakonnikom nic się nie stało? — spytała.

— Nie widziałem ich — mruknął Roberto.

— Ja widziałem na samym początku twojego skrybę, pani — odezwał się Pio. — On pierwszy wpadł do loggii. Pewnie teŒ poczuł dym.

Pobudziwszy ludzi, pognałem tam za nim, ale on zbiegał juŒ po północnych schodach. Myślałem, Œe szuka wiadra na wodę, i zawołałem do niego, Œeby biegł do kuchni, ale później juŒ go nie widziałem.

463

— Angelus Domini! — krzyknął do nich z kamiennej ławeczki Jacopone. — Ten ślepy zakonnik to przepowiedział.

— Anioł? — Amata uniosła brwi i spojrzała na Roberta.

Ten wzruszył ramionami.

— Ja jestem człek praktyczny, madonna . Odkrywanie głębszych przyczyn takich zdarzeń pozostawiam sior Jacopone.

Odwrócili się i powlekli do domu. Z kąta, gdzie siedział Jacopone, rozbrzmiała pojedyncza, melancholijna nuta wygrana na trąbce. Amata odwróciła się na pięcie. Jacopone przemknął obok niej jak wichur, w paru długich susach przebył korytarz i wypadł z domu drzwiami frontowymi.

— Kuzynie! — zawołała za nim Amata, ale pokutnika juŒ nie było.

Pierwszy dostrzegł go wygrzewający się na słońcu trędowaty siedzący w kucki przed drzwiami. Osobnik zaklekotał ostrzegawczą kołatką, kiedy Konrad był jeszcze daleko na ścieŝce, która prowadziła z lasu w dół i oddzielała od siebie dwa najdłuŝsze baraki ospedale. Ze swoich cel, zaciekawione hałasem, wyległy inne upiory — kobiety i dzieci z baraku po lewej, męŝczyźni z baraku po prawej stronie ścieŝki — popi-skując i wszczynając bełkotliwą niesamowitą wrzawę. Konrad zatrzymał się jak wryty. Bardziej nie mógłby go przerazić widok cmentarza z powstającymi z mogił zmarłymi. Leon znowu wprowadzał go w samo serce jego największych lęków. Zamknął oko i pomodlił się o siły do wytrwania w swoim postanowieniu. *Servite pauperes Christi*, wyszeptał pod nosem.

Obok baraków zajmowanych przez trędowatych stały dwie mniejsze chaty. Konrad domyślał się, Ŝe mają tam swoje kwatery mnisi i siostry z zakonu crucigeri, opiekujący się nieszczęsnymi. Jeden z mnichów wyjrzał przez otwarte okno. Z chaty wyszedł drugi — wysoki szczupły 465

męŝczyzna o czerstwej cerze, w długiej czerwonej sukni i czapce medyka — i ruszył mu ścieŝką na spotkanie. Na jego widok trędowaci uciszyli się.

— Pochwalony, bracie. — Męŝczyzna przedstawił się schrypniętym głosem jako *Matteus Anglicus*, *Matthew Anglijczyk*.

— Niech Bóg obdarzy cię pokojem — odparł Konrad. — Przychodzę tu pracować.

Matteus zmierzył go wzrokiem od stóp do głów, nie pomijając twarzy, na widok której odwracali niedawno głowy ludzie *Orfe*a. Napatrzył się tu już zapewne na rozmaite groteskowe okaleczenia i te nie robiły na nim wraŝenia.

— A co cię skłania do podjęcia tutaj pracy?

— Przykład mojego mistrza, świętego *Franciszka*... i uroczysty ślub.

— Unieś nieco kraj habitu — poprosił *Matteus*. Konrad spełnił polecenie i medyk wydał wargi. — Tak myślałem. Zaczekaj tu, przyniosę ci sandały. Zasada pierwsza: nikt z moich podwładnych nie chodzi po terenie szpitala boso.

— Nie noszę sandałów od swojej inwestytury — zaproponował Konrad. — Nie pozwala mi na to ślub ubóstwa, który złoŝyłem.

— No to będziesz się musiał zdecydować, którego ze swych ślubów wolisz dotrzymać—powiedział *Matteus*. — Jeśli chcesz tu pracować, musisz uznawać moje polecenia za wolę boską obowiązującą w tym miejscu. Duchową opiekę nad pacjentami pozostawiam mnichom, opiekę medyczną mnisi pozostawiają mnie. Jeśli chcesz uspokoić sumienie, to mogę ci obiecać, Ŝe będziesz tu Ŝył aŝ za skromnie. A sanda-

ły wyszukam ci jak najniwygodniejsze. — Konrad kiwnął z ociąganiem głową i medyk się uśmiechnął. — Zatem, witaj, bracie — powiedział. — Ponieważ przybywasz tu prosto z klasztornych lochów, zakładam, żeś dobry człowiek.

— S-skąd... — zająknął się Konrad.

Matteus wskazał jego oko.

— Byłeś torturowany. Włosy masz siwe, ale skórę jasną i gładką jak u młódki, od jakiegoś czasu niewystawianą na słońce. Twoja broda

od paru lat nie widziała się z brzytwą. Kostki twoich nóg nie są poro-

śnięte włosem i widnieją na nich ślady otarć po kajdanach. Do tego nosisz wystrzępiony habit spirytuałów i chodzisz boso — co samo w sobie wystarcza, byś za rządów Bonawentury trafił do ciemnicy.

— Wiesz o podziale...

— Chciałem kiedyś wstąpić do zakonu, ale w końcu zamiast waszego szarego, wybrałem habit czerwony. Papież Honoriusz przed sześćdziesięciu laty zakazał księżom studiowania medycyny. Postanowiłem więc, że nigdy nie zostanę kapłanem.

Konrad podszedł za Matteusem do granicy osady. Tam medyk kazał

mu poczekać, a sam poszedł po sandały. Powiewy wietrzyka chłodziły mu czoło, ale przynosiły również mdłą słodki zapach gnijącego ciała.

Opanował odruch zasłonięcia nosa rękawem. Wkroczył do świata żywych trupów, i to one wydzielały ten odór. Męszczyzna, który wszczął

alarm, miał mięsiste usta, a niebieskawe guzy na twarzy świadczyły, że zapadł na tę straszną chorobę niedawno. Spłaszczony nos sugerował

jednak, że kształtująca go chrząstka zaczęła już gnić. Konrad przeniósł

wzrok na pozostałych. Wielu kryło na szczęście twarze za kawałkami płótna i mógł się tylko domyślać, że również na niego patrzą. Ale najgorsze przypadki... widział wypełnione ropą kratery tam, gdzie kiedyś były oczy, przegniłe dziury po nosach i wargach, grudy gąbczastego ciała uchodzące za podbródki, obwisłe uszy kilka razy większe od spotykanych w naturze, dłonie bez palców, ręce bez dłoni, wzdęte albo skurczone torsy, skórę w dziobach albo w ropiejących liszajach. Trę-

dowaci przyglądali mu się obojętnie, i tylko niektóre kobiety odwracały ze wstydem oszpecone twarze. Równie apatyczne były dzieci siedzące obok nich w kucki niby skarłali starcy i patrzące na Konrada z powagą dorosłych.

Fascynowała go ta galeria makabry. Przemknęło mu przez myśl, czy nie ma aby przed sobą wizji siebie samego w przyszłości, swojego trupa w późnym stadium rozkładu. Odetchnął z ulgą, kiedy wrócił Matteus z sandałami. Widok chorych zdezorientował go, sandały, do noszenia 467

których nie nawykł, jeszcze bardziej. Nie czuł już kamyków pod stopami, ani samej ziemi, poszczególnych ździebeł trawy. Odnosił wrażenie, że cały teren osady pokryty jest skórą,

— Pierwszy widok jest zawsze najgorszy — pocieszył go Matteus, wprowadzając Konrada do izby w chacie za barakiem trędowatych. —

Dopóki nie przygotujemy ci kwatery, pomieszkasz u mnie.

Bałagan panujący w izbie medyka stanowił ostry kontrast z anali-tycznym umysłem tego człowieka. W kącie naprzeciwko drzwi stała wąska prycza, przy jedynym oknie mały stolik i dwa stołki, a pośrodku dłuższy stół roboczy. Ludzka czaszka i klepsydra na mniejszym stoliku oraz malowany krucyfiks na ścianie miały zapewne przypominać pacjentom Matteusa o przemijalności życia i czekającym ich zbawieniu.

Blat większego stołu zapełniały prawie całkowicie ogarki świec, buteleczki na mocz, pilularia, aludele i alembiki, moździerz z tłuczkiem oraz stos oprawionych manuskryptów. Jedna z ksiąg otwarta była na stronicy z pokolorowanym kołem, chyba kręgiem uryny. Konrad, studiując w Paryżu, czytał coś o tym w podręczniku uroscopii: jeśli mocz chorego jest czerwony i gęsty, to człowiek ten jest niepoprawnym optymistą; jeśli czerwony i rozrzedzony, to chronicznym malkontentem. Każdey kolor — purpura, zieleń, błękit, czerń — odpowiadał jakiejś chorobie.

Na obramowaniu wielkiego kominka stały fiołki z proszkiem oznakowane symbolami pierwiastków metalicznych, słoń z narkotyczną mandragorą oraz pojemniczki ze stosowanymi w medycynie przyprawami — cynamonem, kubebą i kwiatem muszkatołowym. Półka przy pryczy medyka ugięła się pod księgami; tyle tomów naraz Konrad widział dotąd jedynie w klasztornej bibliotece.

— Nie stój tak w progu, bracie — powiedział Matteus i wykonując zamasztysty gest, dodał: — To wszystko dzięki Konstantynowi z Afryki.

Przez większość swego żywota wędrował po Lewancie, by na koniec 468

osiąść w Monte Cassino jako mnich. Resztę klasztornego życia poświę-

cił tłumaczeniu dla nas, studentów z Salemo, medycznych tekstów —

prac starych greckich mistrzów, które zachowały się po arabsku, jak również dzieł Saracenów. I tak Galen stał się naszą Biblią (wybacz to porównanie), i uczyliśmy się na pamięć wszystkich dziesięciu ksiąg Pantechne Ali Abbasa.

Konrad z mieszanymi uczuciami wodził wzrokiem po grzbietach ksiąg. Był pod wrażeniem ich ilości i ambarasowała go własna naukowo-ciekawość. Święty Franciszek by jej nie pochwalił! Porządek na półkach bardziej pasował do logicznego umysłu niż nieład panujący w izbie: słynni Grecy, Galen i Arystoteles, na samej górze, pod nimi saraceńscy filozofowie lekarze. Wypatrzył cztery z

czterdziestu dwóch opracowań Hermesa Trismegistosa, Theatrum sanitatis Abula Asana, rozprawę o psim wodowstręcie, kanon medycyny Awicenny oraz, na półce poniżej, dzieła Maimonidesa oraz Hiszpanów Avenzoara i Aver-roesa.

Najniższa półka przeznaczona była na prace mistrzów Mateusza z Salerno, stało tam dzieło Trotuli da Salerno, a obok farmakopea, Antidotum, autorstwa maestro Praepositusa z tej samej uczelni. Za tą ostatnią piętrzył się stos prac o wykorzystaniu ziół w medycynie, a wśród nich De virtutibus herbarum Plateariusza. Konrada zastanawiało, dlaczego chrześcijańskich autorów relegowano na najniższą półkę.

Otworzył na pierwszej stronie Methodus medendo Galena i sięgnął

brwi na widok rysunku przedstawiającego pogańskiego Eskulapa z córkami Hegeą i Panacea, trzymającego skrzydlatego kaduceusza.

— Dobremu chrześcijaninowi mógłby się nie spodobać ten księgo-zbiór — zauważył. — Na tej stronie widziałbym raczej świętych bliź-

niaków Kosmosa i Damiana albo świętego Antoniego Abbasa. Są symbolami wiary w uzdrowicielską moc Naszego Pana.

Matteus wzruszył ramionami.

469

— Wierz mi, bracie, jeśli rad gromadziłbym prace medyków naszej wiary, ale poza moimi nauczycielami z Salerno niewielu takich znam.

Nasza Święta Matka Kościół obstaje przy uznawaniu ciała za przekleń-

stwo, a choroby za karę boską. Słyszałem kiedyś w Asyżu, jak pewien pokutnik prosił poetycko o jakąś dolegliwość: O Signore, per cortesia, manname las malsania! Wszystko jedno jaką — zimnicę czwartaczkę albo trzeciaczkę, puchlinę wodną, ból zęba, ból brzucha, apopleksję.

Powiedz mi, co mogę zdziałać ze swoją sztuką leczenia wobec takiego nastawienia?

Konrad zachichotał, odstawiając Galena na półkę.

— Chyba znam tego pokutnika. Wiedz, jeśli takim dobrym zdrowiem jak teraz dawno się nie cieszył.

— Miło mi to słyszeć. Mam tylko nadzieję, jeśli nie będzie to dla niego zbytnim obciążeniem.

Konrad potarł dłonią zarośnięty policzek.

— Powiedz mi, co twoim zdaniem jest źródłem choroby, jeśli nie kara za złą naturę człowieka albo boski test na wiarę?

— Masz na myśli przypadek Hioba?

— Między innymi — przyznał Konrad. — A skoro już jesteśmy w tym szpitalu, możemy też wspomnieć o Bartolo, trędowatym z San Gimi-gnano. Znosił swój los z taką radosną rezygnacją, że ludzie nazwali go Hiobem z Toskanii.

— Po prawdzie — odparł po chwili zastanowienia medyk — ani ja, ani moi koledzy medycy nie potrafimy z całą pewnością stwierdzić, gdzie leży źródło choroby. Mawiamy czasami: Galen jest za, Hipokra-tes przeciw. Medycy spierają się i nie wiadomo, kto ma rację. — Matteus poszperał w leżącym na stole stosie manuskryptów i wyciągnął cienki oprawiony traktat.

— Usiądź przy oknie, bracie, i przejrzyj to — powiedział. — To krótkie opracowanie autorstwa mojego krajana, Bartolomeusa Anglicusa. Tak się składa, że jest on braciszkiem z twojego zakonu. Postudiuj, dopóki nie przygotujemy ci kwatery. Wyrobisz sobie jakie takie pojęcie o pracy, którą będziesz tu wykonywał.

470

Matteus wyszedł, a Konrad pochylił się nad manuskrytem. Od utraty oka nie próbował jeszcze czytać. Litery rozmazywały się. Przynurzył się bliżej światła, przymrużył oko.

Brat Bartolomeus pisał o przyczynach trądu, zaczynając od żywno-

ści, która przegrzewa krew albo szybko się psuje: pieprzu, czosnku, mięsa chorych psów, nieumiejętnie przyrządzonej ryby czy wieprzowiny, gorszych gatunków chleba pieczonych z zanieczyszczonego jęczmienia albo ryżu. Dalej, ze zbyt drastycznymi jak na wrażliwość Konrada szczegółami, opisywał zakaźną naturę choroby: jak to nieświadomie można się nią zarazić poprzez spółkowanie z kobietą, która obcowała cielesnie z trędowatym mężczyzną, jak niemowlę karmione piersią przez trędowatą mamkę zasysa śmierć z jej sutka, że trąd może być również dziedziczny. Pergamin zadrżał Konradowi w dłoniach, kiedy przeczytał o ostatnim źródle trądu: Zaraźliwe mogą się też okazać sam oddech albo spojrzenie lepera. Jeśli wierzyć Bartolomeusowi, mógł już

nosić w sobie chorobę, z tym że wiele oczu skierowanych na niego, kiedy nadchodził ścieżką, było niewidzących.

Przełknął z trudem, zbrzydzone dosadnym katalogiem Bartolomeusa. Ten zakonnik przekroczył granice przyzwoitości. Tak czy owak ci, którzy zarazili się trądem poprzez stosunki cielesne, otrzymali słuszną karę za swój grzech. Ani Bartolomeus, ani Matteus nie przekonają go, że jest inaczej. Co do dziedziczenia, to czyż Pismo Święte nie mówi: Ojcowie zjedli zielone winogrona, a zęby ścierpły synom? *. Zatem i w tym przypadku chory płaci za grzechy przodków. Bartolomeus przyznawał to sam w części poświęconej leczeniu trędowatych. Trąd jest bardzo trudny do wyleczenia i liczyć tu można tylko na pomoc Boga

— ani chybi dlatego, że to właśnie Bóg zsyła tę chorobę.

Ale Bartolomeus podpowiadał również medykom kilka nie-spirytualnych metod kuracji: upuszczanie krwi (jeśli pozwalają na to siły

* Księga Ezechiela 18,2.

471

chorego); oczyszczanie z robactwa i wrzodów; leki do uśytku we-wnętrznego, okłady i maści do uśytku zewnętrznego. Anglijski zakonnik podsumowywał: najlepszym remedium na uleczenie albo ukrycie trądu jest czerwona Śmija z białym brzuchem, której trzeba odciągnąć jad, a potem obciąć łeb i ogon. Resztę naleŚy namoczyć w wywarze z porów i często jeść . Kiedy wrócił Matteus, Konrad odkładał właśnie traktat na miejsce. Czuł, jak do głosu dochodzi znowu jego skłonność do dyskusji. Jeszcze trzy lata temu wdałby się z Matteusem w po-lemikę, dzisiaj jednak nic nie powiedział. Bóg przysłał go tutaj po na-ukę. Musi pytać i słuchać, a nie się spierać.

— Czy hipotezy twojego ziomka sprawdzają się w praktyce?

Matteus wziął traktat i kiwając głową, przebiegł szybko wzrokiem kilka stron.

— Dieta — powiedział w końcu, postukując w pergamin palcem. —

Podajemy tutaj wyłącznie świeŚe mięso. A o tej porze roku, kiedy do-stępne są owoce i warzywa, odnotowujemy zwykle kilka całkowitych ozdrowień.

Zaskoczył Konrada tą odpowiedzią.

— Myślałem, Śe tylko cud moŚe wyleczyć z trądu.

— Słyszałem w moim kraju o cudownych ozdrowieniach, do któ-

rych dochodziło przewaŚnie przy grobie Tomasza z Canterbury. Studnia w krypcie tego świętego zawiera święconą wodę zmieszana z kroplą jego krwi, i wielu twierdzi, Śe pijąc ją, powrócili do zdrowia. Ale tutaj jeśli coś skutkowało, to tylko dieta.

— W takim razie dlaczego nie zdrowieją wszyscy twoi pacjenci?

Matteus uśmiechnął się.

— Masz lotny, dociekliwy umysł, bracie. MoŚe zrobimy z ciebie lekarza. Zadałeś dobre pytanie. — Wodził palcem po manuskrypcie Bartolomeusa, aŚ znalazł definicję trądu.

— Greckie słowo lepra, czyli „łuska”, odnosi się do wielu chorób objawiających się łuszczeniem skóry. Jest tutaj sporo ludzi, których przepędzono z domów i pozbawiono środków do Śycia, bo okrzyknął ich 472

trędowatymi jakiś ciemny ksiądz, który nie ma pojęcia o medycynie, a trędowatym jest dla niego kaŚdy, kogo krew rozcierana na dłoni skrzypi albo wlana do misy z czystą wodą unosi się na

powierzchni, kaŝdy, kto stracił czucie w palcach u rąk albo nóg albo ma miedziany odcień skó-

ry. Niektóre z tych skórnych chorób są uleczalne i wielu ludzi, którzy na nie cierpią, wykurowałem juŝ i odesłałem na łono rodziny. Ale z mojej praktyki wynika, ŝe na to, co nazywam „prawdziwą leprozą” i co po grecku zwie się elephantiasis, bo objawia się grubieniem i chropo-waceniem skóry, nie ma lekarstwa. Próbowałem juŝ oczyszczania i wenesekcji, i tuzina innych metod sugerowanych w

rozmaitych księ-
gach — nawet leków odzwierzęcych.

— Karmienia mięsem ŝmii?

— Czerwono-biała ŝmija naleŝy w tej części świata do rzadkości.

Ale stosowałem bez powodzenia kurację Avenzoara, polegającą na smarowaniu ran leperów bezoarem z oczu jelenia. Nie przyniosły równieŝ rezultatu tradycyjne metody leczenia ciepłem wydzielanym przez zdychającego kota albo psa. — Matteus zdjął czapkę i zniechęcony, opadł na stołek naprzeciwko Konrada.

Zakonnik przyjrzał się bliŝej jego czerstwej twarzy. Dopiero teraz zauwaŝył przerzedzające się brwi, niewielki, odbarwiony guzek na czole i opuchnięty płatek ucha. Medyk podchwycił jego spojrzenie i uŝmiechnął się.

— Tak. Wkrótce i na mnie kolej. — Widać było, ŝe pogodził się juŝ

z tym, co nieuniknione.

— A więc Bartolomeus ma rację, twierdząc, ŝe ta choroba jest za-raźliwa.

— Na to wygląda, chociaŝ jestem tu juŝ piętnaście lat, a objawy wystąpiły dopiero teraz. Niektórzy z crucigeri, którzy mi pomagają, teŝ

zaraŝają się trądem, ale nie wcześniej jak po kilku latach pracy. Miałbyś powody do obaw, gdybyś zamierzał zostać z nami na dłuŝej. Ale jedna stara zakonnica jest tu juŝ dwadzieścia dwa lata, i nic.

473

— W takim razie jakim sposobem choroba się rozprzestrzenia?

— Sam chciałbym to wiedzieć. Próbowałem pójść za wskazówkami Bartolomeusa. Na przykład przeprowadzałem bardzo specyficzne rozmowy z tymi, którzy zanim tu trafili, pozostawali w związkach małŝeń-

skich. Większość, juŝ po wystąpieniu pierwszych objawów, nadal utrzymywała intymne stosunki ze swoimi męŝami lub ŝonami, przewaŝnie bez ŝadnej szkody dla małŝonka. Wyjątek stanowili ci, którzy po pojawieniu się pęcherzy wokół ust nadal całowali swoich partnerów.

Matteus wzruszył ramionami.

— Widzę, że moja szczerosc wprawia cie w zakłopotanie, bracie, ale staram się choc po części odpowiedziec na twoje pytanie. Fizyczne zachowanie ludzi stanowi przedmiot zainteresowania lekarzy; ciało nie jest już tabliczką, na której piszemy. Jak powiedziałem, osąd moralny pozostawiam wam, księżom. W każdym razie doszedłem do wniosku, że najbardziej zaraźliwą częścią ciała lepera są jego usta. To dlatego moi współ pracownicy noszą sandały — żeby chronić podeszwy stóp przed kontaktem ze śliną pacjentów.

Konrad przecesał palcami brodę. Wyobraził sobie Franciszka, Leona i innych współczesnych im braci pracujących wśród trędowatych w tym samym szpitalu przed sześćdziesięcioma paroma laty; bosych, poszczających, odświawiających się najpodlejszym jadłem, nawet całujących te nieszczęsne dusze w usta, by dowiedzieć swojej pokory. Nie słyszał

jednak o ani jednym przypadku, w którym ten brak ostrości doprowadziłby do zarażenia się trędem — z tym, że w ich świętej posłudze zapewne Bóg szczególnie nad nimi czuwał. Konrad doszedł do wniosku, że teorie Matteusa to w większości tylko domysły. Tak czy owak poruszył z wdzięcznością palcami u obutych w stare sandały stóp.

Orfeo popatrzył na zniszczoną loggię, potem na nadpalone deski i stopy zwęglonych szczątków na podwórku Amaty.

474

— Nie najlepsza to sceneria dla sprawy, z którą przyszedłem —

westchnął współczująco. — Szczęście w nieszczęściu, że nikt nie ucierpiał, Amatino.

Amata wzięła go za rękę i przytuliła policzek do jego ramienia.

— Loggia to nic — powiedziała. — Odbuduję ją przed zimą. Najbardziej gnębi mnie, że spłonął zwój Leona.

— Nie mogłaś nic na to poradzić. Brat Konrad zrozumie. Dopatry się w tym woli Boga. I słusznie.

Zdobyła się na blady uśmiech.

— Taka jestem szczęśliwa, że wróciłeś, Orfeo. Straciłam już prawie nadzieję, że kiedykolwiek jeszcze cię zobaczę.

— Myślałem, że nie chcesz mnie widzieć. Przy najbliższym spotkaniu ze swoim zakonikiem podziękuj mu ode mnie, że otworzył mi oczy. Nie wiem, czy brat Konrad ci powiedział, ale zatrzymał mnie, kiedy kończyłem już ładować wozy sior Domenica i ruszałem do Flandrii.

— Nie wiedziałam. Po rozmowie z tobą Konrad już tu nie wrócił.

Czy Domenico nie wścieka się na ciebie za to opóźnienie? Teraz nie zdąży już dotrzeć do Flandrii

przed śniegami.

— Nie jest już moim pracodawcą — odparł Orfeo, kopnął kawałek zwęglonego drewna w kierunku stosu usypanego przy fontannie.

— Orfeo! Nie! Z czego będziesz teraz żył?

Uśmiech rozjaśnił mu twarz.

— To właśnie przyszedłem ci powiedzieć. Sior Domenico jest już

starym steranym człowiekiem. Zaproponowałem mu, że odkupię od niego towary i wozy, woły i wszystko — nawet magazyn i kram na mercato. I on się zgodził. Oczywiście, nie stać by mnie było na zapłacenie za to wszystko z własnej sakiewki, ale mój brat Piccardo zgodził

się wejść ze mną w spółkę z udziałem równym mojemu.

— To Piccardo chce konkurować z braćmi?

— Tak, bo to jego szansa na usamodzielnienie się. Piccardo dostał

475

w spadku po ojcu pewną sumę pieniędzy, ale rodzinny interes przejął, jako najstarszy, Dante. Od tamtego czasu Piccardo nie ma tam nic do gadania. Resztę pożyczymy od lichwiarza. Jeśli szczęście nam dopisze i handel będzie dobrze szedł, w kilka lat go spłacimy. A co najlepsze, Piccardo chce wziąć na siebie podróż. Ja mam zostać tu, w Asyżu, i prowadzić magazyn, kram na targu oraz księgarnię.

Odwrócił się do Amaty, wziął ją za rękę i spojrzał w oczy. Podwó-

rzec, okopcone ściany, nawet zarysy jego postaci i twarzy rozmyły się na chwilę Amacie pod tym spojrzeniem. Widziała tylko śmiech płonący w jego czarnych jak węgiel źrenicach.

— Teraz, jeśli mnie tylko chcesz, możemy się pobrać, Amato, i za-

łożyć rodzinę. To ciebie i miłości pragnę. Pieniądze nie są dla mnie ważne. Wystarczy, że mamy siebie. Reszta przyjdzie z czasem i z cięż-

ką pracą.

Amata cofnęła rękę.

— I dobrze będziesz się czuł w domowym zaciszu?

— Mogę tylko ślubować, że będę się bardzo starał.

— To mi wystarczy.

Zawahała się, ale tylko przez moment. Potem podskoczyła, zarzucając mu ręce na szyję.

— Orfeo, wiedz, Źe pragnę cię ponad wszystko. To właśnie chcia-
łam ci powiedzieć tamtego wieczoru, kiedy się rozstaliśmy.

Orfeo przytulił ją mocno do piersi.

— Uprzedzam, Źe czasami bywam uparty jak osioł. I nierzadko potrafi mi się wyrwać jakieś nieobyczajne słowo. Obiecuj, Źe będziesz w przyszłości wyrozumiała.

Amata ukryła twarz w ciepłych fałdach jego tuniki i trwała tak, do-póki nie poluźnił uścisku. Wyczuła, Źe patrzy na coś albo na kogoś ponad jej ramieniem. Obejrzała się. Na skraju podwórca, przestępując z nogi na nogę, stał Pio. W cieniu kruŹganka za jego plecami zakotłowało się — to podglądające ich do tej pory słuŹące wróciły do wycierania i zamiatania.

— Wieczera prawie gotowa, madonna — wybąkał Pio.

— Pobieramy się, Pio! — zawołał radośnie Orfeo.

476

Młodzieniec uśmiechnął się od ucha do ucha. Jego reakcja, nie wiedzieć czemu, rozczerowała Amate. Być moŹe spodziewała się raczej przygnębienia, zwaŹywszy, Źe chłopiec tak długo się w niej durzył.

— Con permesso, madonna . — Pio skłonił się nisko swojej pani.

— Ja teŹ chcę się Źenić.

— Ty, Pio? A z kim? — Spojrzała na grupkę słuŹących. Wszystkie patrzyły na Gabriellę. Dziewczyna spłoneęła szkarłatnym rumieńcem i cała gromadka zniknęła z chichotem w korytarzu. Zaczerwieniony Pio poszedł w ich ślady. I wtedy Amata przypomniała sobie, Źe w noc poŹa-ru obudziła ją Gabriella, a Pio pierwszy zaalarmował męŹczyzn. Jak mogła niczego nie zauwaŹyć? Donna Giacomina na pewno wyczułaby jakimś szóstym zmysłem rozkwitający romans.

— To dobrze, Źe nie wiem, co się wyprawia nocami pod moim dachem — powiedziała do Orfea. — Podejrzewam, Źe moje gapiostwo ocaliło ten dom.

Wzięła go za rękę i ruszyli razem do wielkiej izby.

— Co do pieniędzy... To chciałam się tylko upewnić, Orfeo. Nie musimy się zwracać o poŹyczkę do lichwiarza. A jeśli zajdzie taka potrzeba, będę pracowała u twojego boku tak samo cięŹko jak męŹczyzna.

Mam równieŝ nadzieję, Ŝe od czasu do czasu wybierzesz się... wybie-rzemy... w jakąŝ podróŝ.
Oboje wiemy, Ŝe nadal masz we krwi do-mieszke słonej wody. A ja jeszcze nie widziałam
kolorowych okien lyońskiej katedry o wschodzie słońca...

Matteus zajrzał do Konrada nazajutrz po śniadaniu.

— Chodź ze mną na obchód, bracie — poprosił. — Przedstawię cię twoim podopiecznym i zapoznam z obowiązkami.

Konrad, na polecenie Matteusa, nabrał do wiadra wody z kadzi i ruszył za medykiem przez klepisko oddzielające refektarz od baraku trę-

dowatych, w którym swoje komórki mieli męŜczyźni. Matteus zapukał

cicho do drzwi pierwszego pacjenta, jednego z wielu zbyt chorych, by uczestniczyć we wspólnym posiłku.

— Tu mieszka stary Silvano — wyjaśnił. — Najpierw go obmyjemy i wysprzątamy izbę, potem nakarmimy.

Konrad skupił uwagę na krucyfiksie przybitym do drzwi komórki, przygotowując się na widok, który niewątpliwie ukaŜe się za chwilę jego oczom. Kiedy Matteus pchnął lekko drzwi, ze środka buchnął

mdlący odór. Smak zjedzonej niedawno owsianki podszedł Konrowi do gardła.

W kącie, na drewnianym krześle siedziała skurczona przygarbiona postać — ślepa, stara istota nękana w fałdach workowatej szaty ze 478

zgrzebnego płótna. Matteus dał Konrowi znak, Őeby stanął obok krzesła, a potem krzyknął do chorego:

— Dzisiaj znowu słoneczko, Silvano! Przewietrzymy trochę ciebie i twoją izbę.

Wynieśli męŜczyznę razem z krzesłem przed barak i ustawili plecami do słońca.

— To brat Konrad — krzyknął znowu medyk. — Od dzisiaj będzie się tobą opiekował. — Opatulił trędownego kocem, a tymczasem Konrad wymienił powalane zakrzepłą krwią i ropą prześcieradło, którym przykryte było posłanie Silvana, potem chlusnął wodą z wiadra na pod-

łogę, ukląkł i zabrał się do szorowania.

Kiedy skończył, Matteus potrząsnął delikatnie starcem.

— Zaraz cię wykąpiemy — powiedział.

Silvano w słońcu jakby odŜył. Po raz pierwszy kiwnął głową.

Medyk posłał Konrada do pomywalni po gorącą wodę, a sam ruszył

dalej wzdłuż baraku, zaglądając do następnych komórek i zachęcając co sprawniejszych pacjentów, żeby wyszli na świeże powietrze.

Konrad napełnił wiadro z wielkiego kotła gotującej się w kuchni wody i wrócił z nim do komórki Silvana. Matteus kazał mu zdjąć cho-remu zasłonę z głowy i ściągnąć szatę. Konrad, myjąc rozkładające się, całe w otwartych ranach ciało i twarz Silvana, nie czuł, ku swojemu zaskoczeniu, odrazy. śal mu było tego człowieka i współczuł mu ogromnie. Z załzawionymi oczami płukał i wyśymał szmatkę w wiadrze z parującą wodą.

Matteus obserwował bacznie zakonnika przykładającego szmatkę do ropiejących liszajów, by odciągnąć z nich ile się da śółtawego płynu.

Na koniec Konrad osuszył starca ręcznikiem i owinął mu dłonie i stopy bandaśem. Z trudem oparł się pokusie pocałowania go, jak to przed laty czynił święty Franciszek. Wczorajsze ostrześenie Matteusa odniosło zamierzony skutek.

— Niech Bóg obdarzy cię pokojem i ulśy w cierpieniu — powiedział tylko.

479

Chory zamachał w odpowiedzi ręką.

— On ci dziękuje — wyjaśnił Matteus.

— Nie mośe mówić?

Męśczyzna pokazał na swoje otwarte usta i dopiero tera? Konrad zauwaśył obumarły kikut tam, gdzie powinien znajdować się język.

Kiedy przechodzili do następnej komórki, Matteus połośył dłoń na ramieniu Konrada.

— Jak się czujesz?

— Wstyd mi. Jeszcze wczoraj uwaśałem ich za słusnie ukaranych grzeszników. A oni naprawdę są biedaczkami, jak nazywał ich święty Franciszek.

— Widzę, śe zaczynasz rozumieć, a to najwaśniejsze. Dasz tu sobie radę.

Następny pacjent, o wiele młodszy od Silvana, zadziwił Konrada.

Nie miał na ciele ani jednej rany, tylko placek obumarłej skóry na plecach, pofałdowany i pomarszczony jak płatki goździka. Palce miał za to zagięte w szpony, przy czym kciuk leśał bezwładnie na dłoni. Konrad, przemywając to wyschnięte miejsce, zerknął pytająco na Matteusa.

— Nawet wśród prawdziwych leperów spotkasz rozmaite odmiany tej choroby, bracie — wyjaśnił Matteus. — Niektórzy nie mają śadnego gruźelka, a jeśli juś, to najwyśej kilka. Róśnią się one kolorami — od róśowego, jak ten tutaj, do ciemnoczerwonego. Mogą pojawiać się na ciele

gdziekolwiek. Ale ten placek, chociaż na razie wysechł, jest zupełnie niewrażliwy. On nie poczuje niczego, nawet gdybyś polał to miejsce wrzącą smołą. Ten obszar ciała obumarł na zawsze.

Matteus mówił o chorym swobodnie, jakby ten siedział w innej izbie. Męszczyzna, ze swej strony, patrzył przed siebie, nie okazując żadnego zainteresowania ich rozmową — emanowała z niego taka obojętność i rezygnacja, że Konradowi ciarki przeszły po plecach, podobnie jak wczoraj na myśl, że wchodzi do świata żywych trupów. Skończywszy, pobłogosławił lepera jak wcześniej Silvana, ale pacjent nie zareagował.

480

Kiedy wychodzili z komórki, Matteus z wymuszonym uśmiechem pogłaskał męszczyznę po tysej czaszce.

— Widziałem wiele podobnych przypadków — podjął na zewnątrz.

— Nazywam takich chorych „linią graniczną”. Podobnie jak ten człowiek, mają tylko jeden liszaj, choć może nie aż tak wyschnięty. I chociaż tracą w tym miejscu czucie, to nie do końca, nadal odczuwają jakiś tam ból. Ich liszaje są owalne w kształcie, często z wybrzuszeniem po-

środku i mają wyraźnie wyczuwalną krawędź. — Matteus pokręcił

głową. — Jakaś złośliwa to choroba. Wątpię, czy kiedykolwiek zrozumie jej mechanizmy.

Konrad wrócił do pomywalni po czystą wodę. Starał się zapamiętać jak najwięcej z wyjaśnień Matteusa. Będzie je musiał przemyśleć. Miął kilku crucigeri, również niosących kubły z wodą. Tego ranka spotkał pięciu mnichów i trzy zakonnice. Zajęci swoimi obowiązkami, pozdrawiali go kiwnięciem głowy.

Byli bardzo poważni w porównaniu do czarnych mnichów dom Vittoria — może dlatego, że poruszali się w świecie o wiele bliższym dnia Sądu Ostatecznego, może dlatego, że w swojej pracy nie znajdowali powodów do radości. Konrad podziwiał ich małomówność i fakt, że poświęcili życie tym wyrzutkom. Z takimi męszczyznami — nawet kobietami — istotami skromnymi i pełnymi poświęcenia, mógłby pracować do końca swych dni.

Być może, chociaż nie był medykiem, Bóg sprowadził go w to zakazane miejsce dlatego, że Matteus był już u kresu swej drogi. Szybko odrzucił tę myśl jako przejaw pychy i przesadne wzięcie sobie do serca pochwały medyka. Próśność wyjeżdża na koniu, a wraca piechotą, upomniał się w duchu. Brak mu przecie było unikalnej wiedzy dobrego lekarza; nie potrafił również wyrobić w sobie tej specyficznej więzi, jaka łączyła Matteusa z jego pacjentami. Co więcej, w głębi duszy nadal uważał, że to wola boska, a nie starania człowieka, decyduje, kogo choroba 481

uśmierci, a kto zostanie uleczony — tego przekonania doktor z Salerno zdecydowanie nie podzielał.

W ciągu miesiąca Konrad, wykonując ze spokojem swoje monotonne obowiązki, wtopił się całkowicie w gromadkę crucigeri. Niemal codziennie rozmawiał z Matteusem, a po obmyciu i opatrzeniu chorych, których powierzono jego opiece, pomagał często lekarzowi. Dowiedział się

sporo o jego pacjentach i złoŝonej naturze ich choroby, nadal jednak nie rozumiał, w jakim celu Leon skierował go do tego oŝpedale .

Lato się kończyło i noce stawały coraz chłodniejsze, ale popołudniami było jeszcze wystarczająco ciepło i słonecznie, by pacjenci mogli pozostawać na świeŝym powietrzu. W jeden z takich dni Konrad wypatrzył przy baraku czerwoną szatę i skierował się tam z wiadrem gorącej wody. Matteus wyprowadzał właśnie jednego z leperów z jego komórki.

— Jak się dzisiaj czujesz, Mentore? — spytał.

Męŝczyzna z obojętną miną uniósł ręce. Rękawy opadły, odsłaniając liczne wrzody na skórze, ale Konrad zauwaŝył, ŝe te są w większości pokryte łuskowatą, purpurowo-szarą skorupą. Guzki na twarzy takŝe zdawały się zanikać. Konrad po raz pierwszy widział u pacjenta oznaki poprawy. Moŝe Mentore cierpiał na jedną z tych uleczalnych chorób skóry, o których wspominał Matteus? Spojrzał z nadzieją na medyka, ale zobaczył w jego oczach tylko głęboki smutek.

— Jesteś gotów? — spytał cicho chorego.

Męŝczyzna kiwnął głową.

— Przyślę księdza, który cię wyspowiada i udzieli sakramentów —

powiedział Matteus. Skinął na Konrada, ŝeby podszedł bliŝej. — Umyj go dzisiaj szczególnie starannie — zwrócił się do niego. — Przygotuj go na spotkanie ze Zbawicielem.

— Przecieŝ te rany wyglądają lepiej niŝ u innych — ŝachnął się Konrad. — Jego skóra nigdy nie wyglądała lepiej.

— Niektóre z tych ran do jutra znikną zupełnie — odparł Matteus.

482

— To oznaka zbliŝającej się śmierci, którą kaŝdy tutaj rozpoznaje. Wy-czekują jej z utęsknieniem i witają jeŝli nie z radością, to z ulgą.

Mentore miał zamknięte oczy, jego twarz pozostawała doskonale beznamiętna. Jeŝli odczuwał jakieŝ emocje, to tego nie okazywał. Konrad przypomniał sobie swoją rozmowę z Jacopone, kiedy wędrowali drogą do Asyŝu; tematem była poezja i doŝwiadczenie, oraz nierówny oddech konającego. Jednak ten człowiek siedzący na stołku i czekający na śmierć oddychał na tyle swobodnie, na ile pozwalał mu na to za-pchany nos, obojętny jak kupiec za swoją wagą.

Konrad zanurzył ręcznik w gorącej wodzie i obmył męŝczyźnie dłonie. Przypomniała mu się fraza z listu Leona: Prawda z dłoni martwego lepera przebija . Z niezdrową w swoim mniemaniu ciekawością uniósł

za nadgarstek drugą rękę lepera, ale obie dłonie, poza tym ŝe bez palców i kończące się kikutami stawów, nie miały w sobie niczego szczególnego. Z wyjaŝnieniem, o co chodziło Leonowi, trzeba się

będzie wstrzymać do następnej takiej sposobności.

Tej nocy Konrada wyrwało ze snu coś jakby wycie wilków. Wybudzając się stopniowo w ciemnościach, uświadomił sobie nagle, że to zwierzęce zawodzenie dolatuje z kwater trędowatych. To pewnie nad Mentore, pomyślał. Pukanie do drzwi i głos Matteusa wzywający go do kaplicy potwierdziły to przypuszczenie.

Medyk trzymał w ręku pochodnię, ponieważ nocą nadciągnęły chmury i przesłoniły księżyc. Ruszyli w drobnej mśawce przez dziedziniec.

Mnisi przenieśli już trupa do kaplicy. Leżał wyciągnięty na stole w nawie, otoczony palącymi się świecami. Crucigeri stojący po przeciwnych stronach prezbiterium recytowali chórem psalmy pokutne. Z tyłu budynku tłoczyli się ci trędowaci, którzy mogli jeszcze chodzić.

483

Konrad złożył ręce i podszedł za Matteusem do zwłok. Chciał dodać swoje osobiste błogosławieństwo do rytualnych modłów tej społeczno-

ści. Tak jak zapowiedział Matteus, z twarzy Mentore znikły wrzody.

Jego skóra była teraz bielutka i lśniła w blasku świecy palącej się przy głowie.

Uwagę Konrada przyciągnęły skrzyśowane na piersi ręce lepera.

Rany na grzbietach dłoni Mentore zupełnie się zasklepiły i w blasku świec połyskiwały, twarde i czarne niczym kolce. Konrad drżącymi palcami uniósł rękę spoczywającą na wierzchu i obrócił ją. Liszaj na poduszce dłoni był tak samo twardy i czarny. Nacisnął go palcem i kolce, ten na poduszce i ten na grzbiecie dłoni, poruszyły się, tak jakby stanowiły całość. Konrad ostrośnie opuścił rękę zmarłego na miejsce.

Przytrzymując się jedną ręką stołu, ukląkł i spojrzał na krucyfiks z ukrzyśowanym Chrystusem wiszący nad ołtarzem. Spłynął na niego spokój, jakiego nie zaznał od dnia, kiedy próg jego chaty przekroczyła Amata. Wszystkie napięcia i udręki minionych trzydziestu czterech miesięcy mogły wreszcie wypłynąć z jego ciała na falach spokojnego już oddechu.

Wreszcie zrozumiał! Podobnie jak Giancarlo di Margherita, dotknął

własną ręką prawdy — prawdy przebijającej z dłoni martwego lepera.

— Dwie jeszcze rzeczy trzeba mi wiedzieć. — Konrad siedział po uroczystości pogrzebowej w izbie Matteusa. — Czy te objawy trądu mogą się pojawić nagle, powiedzmy w ciągu czterdziestu dni? — Pochylił się, wspierając łokciami o stół. Trzymał już wszystkie nici prowadzące do rozwiązania zagadki, brakowało mu tylko kilku potwierdzających węzłów, żeby je połączyć. Gobelin utkany z myślą o nim przez Leona mógł na zawsze rozwiać cześć, jaką otaczano powszechnie świętego Franciszka. Jednak dla Konrada prawdziwa natura stygmatów była cudowniej sza i wznioślejsza od tej z mitu, tak samo jak prawda o hulaszczcej młodości Franciszka od uświęconej wersji

— Zazwyczaj pojawiają się stopniowo i trwa to dłuższy czas — odparł Matteus. — Ale znam przypadki, kiedy liszaje wysypywały się z dnia na dzień, pękając i pulsując. W takich przypadkach rany powstają na grzbietach dłoni i podbiciach stóp. Zwłaszcza dłonie stają się wtedy gorące, puchną i sprawiają dotkliwy ból. — Medyk pokazał palcem na grzbiecie swojej Sylastej dłoni dotknięty chorobą obszar.

— Ten stan zaognienia może trwać kilka dni albo i tygodni, zanim przyjdzie odrętwienie. Kiedy zaognienie ustępuje, stawy i ścięgna kurczą się; zastygają w pozycji, którą zajmowały w spoczynku w czasie etapu zaognienia. Widziałeś te zagięte w szpony palce u niektórych z naszych pacjentów.

— A oczy?

Matteus skinieniem głową wyraził uznanie dla pytania Konrada.

— Jesteś bystrym obserwatorem, bracie. To prawda, owe gwałtowne napady trądu atakują przede wszystkim dłonie i stopy — ale również

i oczy. Zazwyczaj kończy się to ślepotą. Po pierwsze dlatego, że zniszczeniu ulega tęczówka, po drugie dlatego, że sparaliżowana zostaje twarz i pacjent nie może zamykać powiek, by chronić oczy przed zgubnym działaniem promieni słonecznych. Dlatego właśnie sadzamy naszych pacjentów plecami do słońca.

Konrad spuścił głowę i pogładził się po siwej brodzie.

— A więc wszystko, co napisał Leon, to prawda. — Jego wewnętrzny spokój przeszedł w uczucie pustki, w coś bliskiego depresji, jakby poczucie straty, o doznaniu którego po powiciu dziecka opowiadała mu Rosanna, albo którego może doświadczać artysta, kiedy po długiej pracy kończy wreszcie dzieło.

— Bracie?

Zatroskanie w głosie Matteusa przywołało zakonnika do rzeczywisto-

ści. Uświadomił sobie nagle, że musi podzielić się z medykiem swoimi wnioskami, opowiedzieć mu o wszystkich wydarzeniach i odkryciach swojego blisko trzyletniego dochodzenia prawdy.

Wykształcony laik, niezagrożony jego ustaleniami tak, jak wyznawca świętego Franciszka, 485

może go wysłuchać z większą cierpliwością i współczuciem, niż uczyniłoby to bracia zakonni.

Tak, w mrocznej izbie lazaretu usytuowanego w odciętej od świata dolinie, z ust Konrada popłynęły słowa, które mogły zmienić na zawsze historię jego zakonu. Opowiedział o miłości Franciszka do trędowatych, o górze Alwernia i hymnach pochwalnych podyktowanych tam przez świętego, o ślepotcie, która zaczęła się na tej górze, o tym, jak donna Giacomina opisała wygląd świętego po

śmierci — śnieŜnobiała skóra i przypominająca róŜę rana po lancy na boku, o tym, jak Eliasz porwał i ukrył zwłoki Franciszka, i jak ministrowie zafalszowali historię jego Ŝycia. Na koniec powiedział medykowi o liście Leona i swoim dochodzeniu jego znaczenia. To znaczenie było teraz chyba oczywiste: biedaczkiem Chrystusa, leperem, któremu słuŜył Leon, był nikt inny, jak biedaczek z AsyŜu, Il Poverel o di Cristo .

Zafascynowany Matteus słuchał tego wszystkiego w milczeniu.

— I twój święty Franciszek — spytał, kiedy Konrad skończył —

nigdy nie przyznawał się do stygmatów, nie ogłaszał słowami świętego Pawła: Ego stigmata Domini Jesu Christi in corpore meo porto, „Noszę na swym ciele rany Pana Naszego Jezusa Chrystusa”?

— Powiedział tylko: „moją jest ma tajemnica”. Ale opowiadania o uniesieniu, jakiego doznał na górze Alwernia, są całkowicie wiarygodne. W swojej głębokiej pokorze starał się na kaŜdym kroku umartwiać.

Bardziej podziękowałby serafinowi za dar trądu niŜ za stygmaty, uwa-

Ŝając, Ŝe na to pierwsze sobie zasłuŜył, a tych ostatnich nie jest wart. Po zejściu z Alwerni mógłby śmiało powtórzyć za swoim ukrzyŜowanym Panem: Jestem robakiem, nie człowiekiem. Mógłby dzielić z Chrystusem upokorzenie, nie dzielić z Nim chwały Jego ran.

— Ale wierzysz, Ŝe ujrzał anioła, chociaŜ mógł być juŜ wtedy ślepy? — spytał Matteus.

486

Sceptycyzm w głosie medyka uraził Konrada, chociaŜ sam przed chwilą podwaŜał prawdziwość opisu wydarzeń na Alwerni.

— Nawet ślepy moŜe widzieć wzrokiem wewnętrznym —

powiedział. I po chwili wahania dodał cichym głosem: — Sam do-

świadczyłem czegoś podobnego w ciemnościach lochu, w którym mnie więziono.

Matteus przyglądał mu się przez chwilę, a potem powiedział:

— Oczywiście. Wybacz, bracie. RozwaŜam takie zjawiska z punktu widzenia medyka. Jako lekarz nie byłbym wcale zaskoczony, gdyby ktoś mi powiedział, dajmy na to, Ŝe człowiek, który pościł przez czterdzieści dni, medytując o archaniele Michale i o Świętym KrzyŜu, ujrzał

przed sobą unoszącego się w powietrzu serafina naznaczonego ranami Chrystusa. Dla mnie osobiście chwila duchowego uniesienia świętego Franciszka na tej górze jest bardziej znacząca niŜ jej fizyczne manife-stacje.

— Jak to? — zdziwił się Konrad.

— Kiedy cesarz nagradza Śolnierza za zasługi jakimś cennym podarunkiem, lud wiwatuje na jego cześć. Jednak ten podarunek jest tylko symbolem zasługi, za jaką został wręczony. — Pociągnął się za przód szaty. — Moi pacjenci patrzą z podziwem i szacunkiem na tę czerwoną suknię, którą noszę, a przecieŜ ona nic by nie znaczyła bez lat studiów, które symbolizuje. NadaŜasz za tokiem mojego rozumowania?

— Chcesz przez to powiedzieć, Őe niewaŜne, co fizycznie przydarzyło się świętemu Franciszkowi na górze Alwernia? Őe bardziej liczy się duchowość, za którą został fizycznie obdarowany?

— Tak, mnie, a uwaŜam się za dobrego chrześcijanina, bardziej niŜ

stygmaty, które pozostaną na zawsze poza moim zasięgiem, a nawet przekraczają moją zdolność pojmowania, inspiruje jego uduchowione Őycie, w którym nawet ja mogę próbować go naśladować.

Konrad popatrzył na mały guzek na czole Matteusa.

— A jednak pewnego dnia moŜesz zostać naznaczony takimi jak on, upokarzającymi ranami.

487

— Owszem, mogę, i od dzisiaj będę się tą myślą pocieszał. — Matteus zaczął postukiwać palcami o stół. Sprawiał wraŜenie, jakby chciał

powiedzieć coś jeszcze, ale nie mógł się zdecydować. W końcu spojrzał

na Konrada i dodał: — I tak, z czysto fizycznych powodów, nie wierzy-

łem nigdy w opowieści o stygmatach świętego Franciszka.

Widząc zaskoczenie na twarzy Konrada, pokazał mu swoje odwró-

cone poduszkami do góry dłonie.

— Studiując anatomię, doszedłem do wniosku, Őe Nasz Pan nie mógł zostać przybity przez Rzymian do krzyŜa za dłonie. Ciało w nich nie utrzymałoby Jego cięŜaru przez trzy godziny. Rozdarłoby się.

—

Matteus lewym kciukiem nacisnął ścięgną prawego nadgarstka. —

Őeby tak się nie stało, gwóźdź musiał zostać wbity tutaj. A przecieŜ

świętemu Franciszkowi rany pojawiły się, z tego co słyzałem, na dłoniach. Zastanawiało mnie teŜ zawsze, dlaczego, jeśli naprawdę naznaczony został ranami od ukrzyŜowania, nie pojawiły mu się równieŜ na czole otarcia od korony cierniowej? A co ze śladami po czterdziestu batach, jakie spadły na plecy Jezusa? Nie słyzałem, Őeby święty je miał.

— I nie podzieliłeś się nigdy z nikim swoimi wątpliwościami? —

spytał Konrad.

Matteus roześmiał się głośno.

— I ty, który niedawno wyszedłeś z ciemnicy, zadajesz takie pytanie? Słyszałeś o zakonniku kaznodziei Tomasie d'Aversa?

Konrad pokręcił głową. Nie słyszał.

— Wygłaszał kazania w Neapolu w czasie, kiedy ja studiowałem w Salerno. Powiadają, że raz publicznie rzucił oszczerstwo na te stygmaty.

W konsekwencji papież zakazał mu na siedem lat wygłaszania kazań, co dla syna świętego Dominika jest równoznaczne z zakazaniem tobie ścienia w ubóstwie. Brat Tomas jest teraz inkwizytorem Neapolu. Wyładowuje swoją frustrację — o wpędzenie w którą obwinia świętego Franciszka — na waszych braciach spirytualnych, powoli i metodycznie mordując ich jednego po drugim wymyślnymi torturami.

488

Ale wracając do twojego pytania: nie, bracie, nigdy nie zdradziłem się ze swoimi wątpliwościami, i nie zamierzam tego robić. Nie zaliczam się do tych, którzy siusiają pod wiatr. — Matteus rozciągnął wargi w charakterystycznym dla siebie wymuszonym uśmiechu. — A co ty zamierzasz począć ze swoją nowo nabytą wiedzą?

Konrad odchrząknął i przygarbił się.

— Podzielę się nią z Girolamem d'Ascolim, naszym nowym genera-

łem. Sądzę, że Bóg celowo ukrywał przede mną prawdę aż do teraz, do śmierci Bonawentury. Girolamo jest uczciwym i dobrym człowiekiem.

Zrobi, co uzna za słuszne.

Matteus zagwizdał cicho i wstał od stołu.

— Tęsknisz do męczeństwa, prawda? — Wyrzwał przez drzwi na wschodzące słońce. — Szkoda, że tak szybko stąd odchodzisz — rzucił

przez ramię.

— Jestem tutaj szczęśliwy — powiedział Konrad. — Jeśli mój generał mi pozwoli, wrócę.

Matteus obejrzał się i pokazał na zasnutę mgiełką zachodnie niebo.

— Spójrz. Łuk przymierza.

Konrad odwrócił głowę i wysoko nad wierzchołkami drzew zobaczył łuk podwójnej tęczy.

— Czemu tak ją nazywasz?

— To taki kalambur, bracie. Łukowy znak boskiej obietnicy, Jego przymierza z Noem.

— Ale ty przyrównałeś go do Arki Przymierza, Świętości nad Świę-

tościami, w której Hebrajczycy przechowują tablice z dziesięciorgiem przykazań.

Matteus zachichotał.

— Nie doszukuj się w tym Śadnej głębszej interpretacji, bracie.

Konrad zbył jego uwagę machnięciem ręki.

— Rozumiem, o co ci chodzi. Ale ja myślami jestem już gdzie indziej, przyjacielu. Niech Bóg cię błogosławi, Matteusie. Podpowiedziałeś mi właśnie, gdzie pogrzebali świętego Franciszka.

Konrad czekał na Girolama d'Ascoliego w półmroku dolnego ko-

ścioła bazyliki. Na wszelki wypadek poprosił generała o spotkanie poza murami właściwego klasztoru. JakŜe miłym był chłód posadzki pod podszwami brudnych, uwolnionych znowu, bosych stóp. Oby juŜ nigdy nie musiały ziębnąć od klepiska podziemnego lochu.

Był Dzień Pana i malarz fresków nie krzątał się ze swym uczniem po szkieletowych rusztowaniach, ustawionych w północno-wschodnim rogu absydy. Czekając na ministra generalnego, Konrad sycił oczy ukończonym juŜ przez artystę freskiem przedstawiającym Madonnę ze świętym Franciszkiem. Pod nieobecność malarza miał sposobność, niestrofowany przez mistrza za to, Őe przeszkadza, przyrzeć się lepiej wizerunkowi świętego. Wargi i uszy Franciszka wydawały mu się grubsze, niŜ kiedy po raz pierwszy oglądał fresk, a źrenice patrzące poprzez niego w wieczność przywodziły mu teraz na myśl ślepych pacjentów Matteusa. Nawet twarz świętego wyraŜała tę samą obojętność, którą widział u ludzi w lazarecie.

490

Uznał, Őe to podobieństwo do leperów dostrzeŜa pewnie zasugerowany nabytą ostatnio wiedzą albo Őe ulega złudzeniu w półmroku roz-praszonym przez jedną lampką oliwną palącą się na głównym ołtarzu.

Artysta Cimabue nie widział nigdy Franciszka Őywego i namalował go tak, jak go sobie wyobraŜał. Z drugiej jednak strony, czyŜ można wykluczyć, Őe przy tak uświęconej pracy jego rękę z pędzlem prowadził

Duch Święty?

Na końcu nawy huknęły głucho zamykane drzwi. Zakonnik, który po chwili wyłonił się z mroku, szedł drobnym szybkim krokiem i zatrzymał się nieopodal głównego ołtarza.

— Bracie Konradzie! Nie spodziewałem się was tak rychło z powrotem. — Blask lampki oliwnej odbijał się w oczach Girolama.

— Ani ja nie spodziewałem się tak szybko wrócić. Dowiedziałem się jednak w San Salvatore czegoś bardzo waŜnego, tak waŜnego, Őe uznałem, iŜ muszę wam o tym bez zwłoki powiedzieć.

— Tutaj, w kościele? Czemu nie u mnie, w klasztorze'?

Konrad zwlekał z odpowiedzią, nie chciał sprawić przykrości temu zacnemu generałowi oświadczeniem, Őe nie ufa nawet jemu.

— Wiadomo, jaki los spotyka czasami posłańca przynoszącego złe wieści — mruknął w końcu wymijająco.

Girolamo ściągnął brwi.

— I cóŜ to za wieść, bracie?

Konrad wskazał fresk z wyobraŜeniem załoŜyciela ich zakonu.

Uznał, Őe najlepiej będzie przejść od razu do sedna.

— Francesco Lebbroso . Franciszek Leper. Ma to swój wydźwięk, nie sãdzicie? — Wypowiadając te słowa, przyglãdał się twarzy Girolama, ciekaw jego reakcji. Niebieskie oczy generała spojrzãły we wskazanym przez niego kierunku, ale nie zdradziły Őadnej emocji.

— Ten medyk z leprozorium, stwierdzając u niego pojedynczy ró-

Ŝowy liszaj owalnego kształtu na boku oraz łuszczãce się strupy na dłoniach i stopach w połączeniu z pogarszającym się wzrokiem — podjął

491

Konrad, posługując się fachowym słownictwem, które przyswoił sobie przez ten miesiąc spędzony z Matteusem — określiłby najprawdopodobniej jego stan jako krańcowã fazã trãdu. Girolamo zmruŜył oczy.

— Aaa. JuŜ wiem, co chcesz mi zasugerować, bracie Konradzie —

zãcwierkał ptasim głosem. — Zadaję sobie tylko pytanie: dlaczego?

Czy leŜãc przez te trzy lata w lochu, skuty kajdanami, zãczãłes tkać pajęczynã kłamstw powtarzanych przez wszystkich pierwszych towarzyszy Őwiętego Franciszka, niewykluczone, Őe zapocãtkowanã przez samego naszego mistrza? Czy twój pobyt w leprozorium miał słuŜyć podsyceniu jakiejś iskierki, która tliãła się juŜ wczãsniej w twojej wyobraźni? Nie ty pierwszy powãtpiewasz w stygmaty, bracie, ale muszã przyznać, Őe jestem wstrzãśniety, słyŝãc takie rzeczy wãlãśnie od ciebie. Jesteŝ chyba pierwszym, który twierdzi, Őe Őwięty Franciszek cho-rowaã na trãd.

— Wysłuchaj mnie, proszã, do koñca, bracie Girolamo.

Generaã westchnãł ciãŜko, w jego oczach malowaã się smutek i współczucie, jakie okazuje się obãkany. Takie miaãem wzglãdem ciebie plany, czytaã z nich Konrad, nigdy nie przyszão mi do głowy, Őe aŜ tak źle z tobã. Daã mu jednak znak, Őeby kontynuowaã.

Konrad wziãł gãłboki oddech i zãczãł opowiadać od poczãtku historiã swjej pielgrzymki. Prowadziã Girolama krok po kroku tã samã drogã, co niedawno Matteusa Anglicusa, a minister generalny słuchoã z rãkami skrzyŜowanymi na piersi. W pewnym momencie splóãł delikatne dłonie na plecach i ze spuszczonã głowã zãczãł się przechadzać tam i z powrotem miãdzy freskiem a gãównym oãtarzem, zerkajãc co jakiŝ czas na malowidã. Kiedy Konrad skoñczyã swojã opowieŝ, jego twarz nie wyraŜaã niczego.

— Czy brat Iluminat powiedział wam to wszystko, kiedy obejmowaliście urząd? — spytał Konrad.
— Czy nie naleŜy to do tajemnej wiedzy przekazywanej kaŜdemu nowemu ministrowi generalnemu?

492

W lochu odnosiłem wraŜenie, Œe brat Jan z Parmy wie. Dawał to do zrozumienia, chociaŜ wprost nigdy tego nie powiedział.

— Nie ma Œadnych tajemnic związanych z urzędem — odparł Girolamo. — Nigdy się nie dowiemy, czy Eliasz rzeczywiŒcie ukuł przed pięćdziesięciu laty taki mit. Biskup Iluminat być moŜe wie, ale mnie nic o tym nie powiedział. Poza tym, nawet jeŒli twoje przypuszczenia sã prawdziwe, to ja popieram decyzję Eliasza. W takich okolicznościach postąpiłbym chyba podobnie.

— I hodował kłamstwo? Dlaczego? — Konrad zacisnął skryte w rę-

kawach habitu pięści. — Œwięty Franciszek nie pochwaliłby takiej ma-nipulacji.

Girolamo zatrzymał się i zapatrzył w postać z fresku. Po chwili przeniósł wzrok na Konrada.

— Jeszcze przed zejściem z góry Alwernia Œwięty Franciszek przekazał kierowanie zakonem Eliaszowi, swojemu zaufanemu wikariuszowi. Sam ostatnie swoje lata spędził na kontemplacji, pogrąŜony w Œwię-

tej ekstazie, Eliaszowi pozostawiając zarządzanie rozrastającą się organizacją. Pozostał jednak symbolem, Œwiętym, który inspirował młodych meŒczyzn i kobiety do porzucania swoich majątków i wstępowania w nasze szeregi, księŜat i prałatów do zgody, a laików do pozbywania się grzesznych nawyków. CzyŜ Eliasz, nawet gdyby z całą pewnością wiedział, co jest prawdziwą przyczyną fizycznej przemiany swojego mistrza, mógł dopuŒcić, Œeby ten symbol został zamknięty w leprozorium? Wierz mi, bracie, Œwięty Franciszek w roli drugiego Hioba nie uczyniłby tyle dobrego, co uwaŜany za drugiego Chrystusa.

Eliasz lepiej niŜ ktokolwiek rozumiał sytuację. To dlatego papieŜ, kiedy zapragnął odpowiednio upamiętnić Œwiętego Franciszka, właŒnie Eliaszowi powierzył budowę bazyliki, za co do dziŒ odŒegnują tego ostatniego od czci i wiary twoi bracia spirytualni. Eliasz zebrał pieniã-

dze i wywiązał się z zadania niewiarygodnie szybko. A jednak z najwyŜszã pokorã kazał umieŒcić na ukończonej budowli napis *Frater Elias 493*

preparator, brat Elias, grzesznik.

Girolamo wziął Konrada za długã brodę i spojrzał mu w oczy.

— Pięćdziesiąt lat za póŒno przychodzisz ze swojã rewelacją, bracie. Gdyby Leon naprawdę chciał, by Œwiat dowiedział się o chorobie Œwiętego Franciszka, sam by jã rozgłosił. A on tymczasem zrzucił to na ciebie. ZwaŜ równieŜ, Œe ludzie będã wierzyli w to, w co chcã wierzyć.

Podejrzewam, Œe stwierdziłbyś, iŜ stygmaty Naszego Pana bardziej przemawiajã do wyobraźni ludu

Cichnące w głębi nawy echo głosu generała stwarzało wrażenie jakiejś ostateczności. W miarę jak Girolamo wypuszczał stopniowo brodę Konrada z ręki, wokół ołtarza, przed którym stali, coraz bardziej gęstniał milczący cień. Konrad wyobraził sobie, że to duchy pierwszych towarzyszy Franciszka powstają z grobów, zbijają się w mroku w gromadkę i zachęcają go, by próbował dalej, by wydobył jakoś prawdę na światło dzienne.

— Ale możemy tego dowieść — upierał się. — Możemy ekshumować jego szczątki. Medyk z San Salvatore powiedział, że mając szkielet, potrafiłby orzec, czy Franciszek cierpiał kiedykolwiek na tę chorobę.

— A jak, według ciebie, mamy to zrobić? Nikt nie wie, gdzie Eliasz ukrył te szczątki.

— Wskazówka, gdzie szukać trumny, wyryta jest na pierścieniu, który nosisz od objęcia urzędu.

Girolamo zaniemówił. Otworzył usta, zamknął je, uniósł do nich pierścień, westchnął i odwrócił się. Podeszli do ołtarza i tam, przy świetle lampki oliwnej, Girolamo obejrzał lśniący lazuryt.

— Myślałem, że to przypadkowe zadrapania. Brat Iluminat zaofiarował się, że da kamień do oszlifowania. — Wymuszony uśmiech rozciągnął wargi generała. — Jego zapal do usunięcia tych rys zdawałby się potwierdzać twoją historię.

— To oczywiste, że mu na tym zależy! Chce zabrać tajemnicę do grobu!

494

— stwierdził Konrad. — Ale tę samą postać wyryto tutaj, na tym ołtarzu. Odkryłem ją kiedyś przypadkiem.

Zaprowadził Girolama za ołtarz, do rogu, w którym widniał symbol.

Uniósł przykrywający płytę obrus i namacał palcami rowki podwójnego łuku i patyczkowatą postać z koncentrycznymi kołami na ramionach —

te koła, jak już wiedział, symbolizowały głowę świętego i aureolę wokół niej. A co, jeśli nie sarkofag, mogłoby wyobrażać większe koło otaczające całą postać?

Girolamo otworzył szeroko oczy.

— Na pierścieniu jest podobny rysunek.

— Według mnie, te dwa łuki symbolizują tabernakula na głównych ołtarzach górnego i dolnego kościoła — powiedział Konrad. — Znajduje się w nich świętość nad świętościami, konsekrowane ciało Naszego Pana, tak jak w oryginalnej arce znajdowały się tablice dane Mojżeszowi. Ta postać z aureolą w krypcie pod dolnym łukiem to święty Franciszek. Stoimy w tej chwili na jego grobowcu.

Girolamo gryzł przez chwilę paznokcie kciuka, ale nie wydawał się przekonany.

— Owszem, to możliwe. Ale żeby zerwać ołtarz i zacząć kopać, potrzebowaliby dowodu bardziej namacalnego niż twoje odczytanie znaczenia elementów tego rysunku.

— Ale coś zrobić trzeba — powiedział z desperacją Konrad. —

Mógłbyś zmusić biskupa Iluminata do wyznania prawdy. Musimy przywrócić legendom integralność. — Zwątpienie i śmiech chwyciły go za serce. Czyby ostatnie trzy lata poszły na marne? Czyby na próżno poświęcił swoją samotność, swe zielone lata i połowę wzroku?

— Nie jestem nawet przekonany, czy to potrzebne, bracie — odparł

Girolamo. — Ani czy biskup Iluminat byłby skłonny potwierdzić twoje domniemania. — Założył znowu ręce do tyłu i obszedł ołtarz, przyglą-

dając się uważnie płytom posadzki i podstawie ołtarza, jakby widział je po raz pierwszy.

— Oto, jak chcę, byś się zachował, bracie Konradzie — powiedział, 495

stając znowu obok zakonnika. — Chcę, żebyś nie mówił nikomu o swoich odkryciach aż do święta Świętych Stygmatów, które wypada za dwa tygodnie. Ponieważ będzie to jednocześnie pięćdziesiąta rocznica naznaczenia świętego Franciszka stygmatami, ściągnie tu cały chrześcijański świat — z papieżem Grzegorzem włącznie, jeśli zdrowie mu pozwoli. Planujemy to wydarzenie od miesiący i niepotrzebne nam teraz sąne komplikacje. Czy tyle możesz mi obiecać? Czy też mam ci nakazać półmiesięczne milczenie w imię świętej oboediencji?

— A dlaczego nie nakazasz mi milczenia po grób, jak Elias Leonowi?

Girolamo chwycił Konrada za ramię i powiedział z naciskiem:

— Bo jeśli mam być szczery, to jestem skłonny ci uwierzyć, bo wiem, ile wycierpiałeś w poszukiwaniu prawdy Leona. Zwłaszcza zaś dlatego, że wołałbym, byś milczał z własnej nieprzymuszonej woli.

Dwa tygodnie. Czy generałowi naprawdę chodzi tylko o dwa tygodnie milczenia? Czy też chce wygospodarować sobie czas na obmyślenie sposobu uciszenia mnie na zawsze?

Konrad przestąpił z nogi na nogę. Wzdrygał się mówić o osobistych duchowych sprawach, ale sytuacja stawała się poważna. Odezwał się w końcu urywanym głosem:

— Miałem wizję brata Leona... tej nocy, kiedy otrzymałem jego list.

Powtórzył zawarte w nim polecenie, jeszcze raz kazał mi szukać prawdy zawartej w legendach. I nie przyszedł do mnie sam. Razem z nim ukazał mi się święty Franciszek, jakby chciał poprzeć swoim autorytetem nalegania Leona.

— I co powiedział?

Konrad spuścił głowę.

— Nic. Nie odezwał się słowem, ale poczułem strumień bijącej od niego nieskończonej miłości.

— I tu moŜe tkwi źródło twoich cierpień. Kogo Bóg kocha, tego doświadcza. Tak czy inaczej, masz moje słowo, Őe po obchodach po-rozmawiamy jeszcze na ten temat.

496

— Tutaj?

— Tutaj albo u mnie, w klasztorze. Jak wolisz. Nie musisz się mnie obawiać. Nie jestem tyranem. Nie obetnę ci języka ani nie wyłupię drugiego oka, jeśli nadal będziesz obstawał przy swoim. Ale potrzeba mi dwóch tygodni. Co ty na to? Dasz mi je?

Konrad złoŜył ręce i skłonił się nisko przełoŜonemu.

— Przymuszony, nie. Ale z szacunku dla twojej osoby, tak. Masz dwa tygodnie.

Przykląkł przed ołtarzem z jego złotym tabernakulum, ukłonił się bezcennym szczątkom, które, jak juŜ wiedział, pod nim spoczywały, i utykając, oddalił się w mrok nawy.

W zaułku przed domem Amaty unosił się silny swąd spalonego drewna — zapach pasujący bardziej do zimowego poranka niŜ wczesnego wrzeŝniowego popołudnia, pomyślał Konrad. Przygnębiecie w oczach maestro Roberta, który mu otworzył, Őwiadczyło, Őe pod jego nieobecność wydarzyło się tu coś niedobrego. Zamiast pozostawić przekazanie złych wieści swej pani, Roberto od razu wyprowadził zakonnik na podwórzec i pokazał spaloną loggię. Pio tymczasem pobiegł

po Amatę. Po chwili wyszła do nich z domu.

Oniemiały Konrad stał przy fontannie, kręcił głową i patrzył z niedowierzaniem na zwęglony piedestał pulpitu sterzący z pogorzeliska.

Odór zniszczenia zacządział mu umysł i draŝnił nozdrza. Dopiero po pewnym czasie uświadomił sobie obecność Amaty. Lękał się zadać pytanie, zwłaszcza Őe rozmowa z ministrem generalnym przypomniwała mu właśnie o drugim zadaniu powierzonym mu przez Leona.

— Nie znaleźliśmy zwoju — odezwała się Amata, jakby czytając w jego myślach.

Kogo Bóg kocha, tego doświadcza, powtórzył sobie w duchu Konrad.

— Jak do tego doszło? — spytał.

497

Zwiesiła głowę.

— Jacopone obwinia o to anioła.

— Tylko sługa upadłego anioła, Lucyfer, byłby zdolny do wyrządzenia takiej szkody

— Jacopone powiedział: angelus Domini . Ale sam wiesz, jakimi krętymi ścieżkami potrafi wędrować jego umysł.

— Muszę z nim porozmawiać — mruknął Konrad.

— Nie ma go tu, bracie — wtrącił Roberto. — Bardzo się przejął i znowu go wzięło.

— A co z bratem Salimbene i bratem Zefferinem?

Amata pokręciła głową.

— Zniknęli podczas pożaru. Ale Pio widział, jak Salimbene na samym początku wbiegał do płonącej już loggi.

Konrad, skubiąc brodę, próbował wyobrazić sobie tę nieprawdopodobną scenę. Zaświny kronikarz nie wyglądał mu na takiego, co skłonny jest narażać się bez wyraźnej potrzeby, nie mówiąc już o bieganii. I tu tliła się może isierka nadziei.

— Salimbene nie uciekłby, wiedząc, że w niebezpieczeństwie znajduje się kronika Leona — powiedział. Dla takiego manuskryptu ten człowiek zaryzykowałby życie. Kto wie, czy nie ukradł go, by na jego podstawie wypełnić lukę w historii zakonu, którą, jako kronikarz, zapewne dostrzegął. Uderzył kilka razy pięścią w dłoń. — Podejrzewam, że zabrał zwój. Nie jest też wykluczone, że sam podłożył ogień, żeby zamaskować kradzież.

— Oby tak było — westchnęła Amata. — Wiedzielibyśmy przynajmniej, że manuskrypt nie spłonął, że gdzieś tam jest.

— Najprawdopodobniej w którejś z szaf Lodovica. Zakon jest zbyt rozmiłowany w swojej przeszłości, by posunął się do zniszczenia zapisków Leona. — Spojrzał spod przymrużonych powiek na osmaloną ścianę podpierającą jeszcze niedawno skryptorium Amaty. — Nadejdzie czas, kiedy Nasz Pan ujawni tę kronikę.

Urwał, poruszony własnymi słowami. A może to samo odnosiło się do trądu Franciszka? Może Bóg uznał, że nie pora jeszcze na ogłoszenie

odkrycia, którego dokonał? Może dlatego właśnie Girolamo prosił go o zwłokę, o podarowanie mu jeszcze dwóch tygodni na przemyślenie sprawy? Ten dzień stał pod znakiem samych dylematów.

— Mam ci coś jeszcze do zakomunikowania — powiedziała niepewnie Amata i Konrad wyczytał z

jej miny, Œe to dobra wiadomoŒć.

UŒmiechnął siê.

— Był tu twój kupiec?

— Lepiej. Dwie niedziele temu daliŒmy na zapowiedzi. Chcemy, ŒebyŒ ty udzielił nam Œlubu, bo to dziêki tobie siê poznaliŒmy.

Konrad policzył na palcach.

— Zapowiedzi muszà byç ogłoszone z ambony jeszcze dwa razy.

Po raz ostatni na niedzielê przed....

— Przed Œwiêtem naznaczenia wuja Orfe'a Œwiêtymi Stygmatami

— dokończyła Amata. — JuŒ to wiemy. Orfeo mówi, Œe to cudowny omen, Œe nasz Œlub zbiega siê z najwiêszym wyróŒnieniem Œwiêtego Franciszka. Mówi, Œe moŒemy udawaç, iŒ te wszystkie dekoracje i uroczystoŒci sà na naszà czeŒç. I Œe Œwiêty Franciszek pobłogosławi nasz zwiàzek wieloma dziećmi.

Konrad juŒ siê nie uŒmiechał, ale swoje wàtpliwoŒci zatrzymał dla siebie. To była pierwsza próba na dochowanie przyrzeczenia, które dał

ministrowi generalnemu. Skinął tylko głowà.

— Zatem, w przeddzieñ Œwiêta Œwiêtych Stygmatów.

Zaaferowana Amata nie dostrzegła zmiany, jaka zaszła w jego nastroju.

— Niech Bóg ciê błogosławi, Konradzie — powiedziała. — Znaczy, wszystko ustalone. — UŒmiechnięta i podniecona zwróciła siê do słuŒi: — Maestro Roberto, tego samego wieczoru wydamy ucztê weselnà. Pchnij od razu poŒańca do Coldimezzo, niech powiadomi wuja Guida. I muszê kupiç panni franceschi na sukniê. Tak mało czasu zosta-

ło. — Chwyciła Roberta za łokieç i pociàgnęła za sobà, wołajàc przez ramiê: — Na uczcie będe miała dla ciebie niespodziankê, Konradzie.

499

Zakonnik rozłoŒył rêce w pytajàcym geŒcie, ale ona tylko siê rozeŒmiała.

— Nie byłoby niespodzianki, gdybym ci teraz powiedziała — zawo-

łała, znikając w drzwiach.

Konrad podszedł do stosu śmieci. Pochylił się i wyłubał z niego nadpalony strzęp pergaminu. Okopcone, wyrwane z kontekstu zdanie, skopiowane ręką Jacopone, ledwie dało się odczytać, złożył jednak ten strzęp i schował pod habit. Podobnie jak Amata miał nadzieję, że oryginał kroniki przetrwał po Sar w nienaruszonym stanie i spoczywa bezpiecznie — choć niedostępny dla niego — w Sacro Convento. Gdyby tak jednak nie było, ten strzęp stanowił jedyne świadectwo trwającej pięćdziesiąt lat walki Leona o prawdę.

XLIII

Ostatnie dni przed ślubem, a nawet sama ceremonia, upłynęły Amacie jak we śnie. Powaga orszaku, który z pochodniami odprowadzał

nowoŚeńców na ucztę weselną, prysła, ledwie pozostały za nim mroczny portyk i dzwonnica kościoła. Brat Konrad odłączył się od weselników pod pretekstem, Őe juŐ dawno zamierzył sobie spędzić tę noc pod miastem, w Porcjunkuli.

— Byłbym na waszej uczcie jak to piąte koło u wozu — wyjaśnił

Amacie.

W gości weselnych, uwolnionych od wszelkiej księŐej obecności, jakby nowy duch wstąpił. Ktoś zaintonował od razu pieśń do starego rzymskiego boga małŐeństwa:

— Hymenie, O, Hymeńku, Hymenie...

I dorzucił inwokacje Wenus i cherubinka:

A gdy ugodzi cię Kupida strzała...

Zasiedli do stołów w wielkiej izbie domu Amaty i Orfea, połało się strumieniem wino. Wuj Guido chyba całą jego piwnicę przywiózł ze sobą z Coldimezzo. Słudzy mieszały się z woźnicami, kupcami i szlachetniejszymi 501

gośćmi, pieśni i toasty szybko przeszły ze swawolnych w sprośne.

Amata, rozejrzawszy się po tańcujących, obściskujących się na ławach, szepecących, zarumienionych parach, przepowiedziała Orfeowi, Őe przed końcem tej nocy dojdzie zapewne do niejednych oświadczeń, i pozostaje tylko Őywić nadzieję, iŐ za dnia, po otrzeźwieniu, nie zostaną odwołane.

Jedna z takich par próbowała wymknąć się niepostrzeŐenie i poszukać samotności w izbie na piętrze, gdzie po poŐarze dostać się było moŐna tylko po drabinie. Nie udało się. Kobieta trzymała się kurczowo szczytu drabiny, a kilku podpitych męŐczyzn na dole starało się ścia-

gnąć za nogi podąŐającego za nią towarzysza. Temu ostatniemu udało się wreszcie od nich uwolnić i wspiąć na samą górę. Goście zgotowali mu gorącą owację, kiedy wyrwał drabinę prześladowcom i wciągnął ją za sobą na piętro. W powstałym zamieszaniu Orfeo szepnął Amacie na ucho, Őe to idealny moment, by i oni opuścili juŐ dyskretnie gości.

Dzień był niezwykle duszny, jak na połowę września, najlŐejszy wietrzyk nie poruszał zasłonami ich łoŐa z baldachimem. Amacie to nie przeszkadzało, wprost przeciwnie, rada była, Őe dzięki temu nie będą musieli okrywać niczym w tę szczególną noc swej nagości. Pomarań-

cowy blask jedynej świecy był dla kochanków w sam raz, na tyle sła-by, by ukryć wszelkie wady

urody, wystarczająco jasny, by uwypuklić cieniami kobiece krągłości tudzieś grę mięśni na męskim ramieniu.

Przez zasłonięte śaluzjami okna wpływał do izby słodki zapach kapry-folium.

Amata rozwiązała złoty sznur ściągający w talii jej długą białą suknię i zerwała wianek z głowy. Rozpuszczone czarne włosy spłynęły puklami na ramiona. Orfeo, wciąż trzymając puchar z winem, pośrał

ją wzrokiem, kiedy zdejmowała suknię przez głowę. Uwolniwszy się z niej do połowy, powiedziała, siląc się na swobodny ton:

— Pamiętasz, kochany, przypowieść o nowoścencach ze Starego 502

Testamentu, którzy pierwsze trzy noce po ślubie spędzili na modlitwie?

Mośe i my powinniśmy...

Pośałowała, śe powiedziała to przed rozebraniem się do końca, bo z suknią na głowie nie mogła widzieć jego miny. Usłyszała tylko, jak krztusi się winem, a ściągawszy wreszcie suknię, zobaczyła opryskane nim ściany. Orfeo pogroził jej palcem, ale nic nie powiedział, śeby się znowu nie zadławić. Uśmiechnęła się do niego przez ramię i zadzierając zapraszająco kuperek, wczołgała się na czworakach między zasłony łosa.

Orfeo zzuł buty, zdjął pas i wpełził tam za nią, ale wielobarwnej ślubnej tuniki nie ściągał.

— Orfeo, dlaczego się nie rozebrałeś? — spytała zawiedziona.

Patrzył na nią iskrzącymi się w półmroku oczyma.

— Musisz zapracować na tę tunikę, jak śona pewnego wodza nomadów — powiedział.

Droczył się z nią, wodząc palcem najpierw pod piersiami, potem wokół sutków.

— Słyszałaś przypowieść o błaznie Kareemie?

— Och, kochany, to nie pora na opowieści.

— Ta ci się spodoba, obiecuję. Każde zdanie będę kończył pocałunkiem... albo inną pieszczotą. — Rozniecał w niej powoli ogień, opowiadając, jak pewien sułtan nagroził Kareema za dowcip wykazany w targu o swoją bajecznie kolorową szatę, szatę, której zapragnęła śona wodza, kiedy zobaczyła go w niej z daleka.

— „Bądź ostrośna — ostrzegła ją słuśca. — Kareem nie jest taki głupi, na jakiego wygląda”. Ale zachłanna kobieta odprawiła słuśkę i zaprosiła Kareema do swojego namiotu. Najadłszy się do syta i napiwszy, Kareem oświadczył kobiecie, śe szatę skłonny jest oddać tylko za akt miłości, bo jej uroda obudziła w nim niespotykaną śądę.

śar ogarnął już wszystkie członki Amaty, miłosna wilgoć rosła obficie jej bramę Isztar, a każdy mięsień dygotał, zanim jeszcze Orfeo w 503

nią wszedł. Przez soczysty, błogosławiony, niezmierny czas nie mówił, doprowadzając ją na sam skraj, a kiedy, zdyszana i drżąca, już

miała eksplodować, on nagle znieruchomiał i wyciszył ją.

— A teraz zdejmuj tę przeklętą tunikę! — wykrztusiła.

— Dokładnie to samo wykrzyczała Sona nomady do Kareema —

odparł. — Ale błazen powiedział, że nie, że to, co do tej pory, było dla niej, bo on kocha ją bardziej niż jakąkolwiek kobietę, jaką zna. Za szatę będzie dopiero teraz.

Był tak samo pręży, jak kiedy zaczynali. Krótkimi mimowolnymi okrzykami podkreślała jego rytm, a on przyspieszał, by w końcu opaść na nią z głośnym przedłużonym jękiem. Oplotła go ramionami rada, że tak mu dogodziła.

— Szata?

— Ten raz był dla mnie — wyszeptał zdyszany Orfeo. — Obiecuję, że następny będzie za szatę.

Coś nieprawdopodobnego, on chciał jeszcze! Rano będzie go musia-

ła spytać, jak to robił, bo z tego, co wiedziała o mężczyznach, wynika-

ło, iż dokonał rzeczy fizycznie niemożliwej. Teraz nie chciała mu przerywać, wybijać ze stanu podniecenia, zaśpiewała więc tylko:

— Ale najpierw szata!

— I znowu powtarzasz słowa Sony nomady. — Roześmiał się, po czym z jej gorliwą pomocą ściągnął tunikę przez głowę i cisnął za sobą łosy.

Tors, ramiona i plecy miał tak szerokie, że Amata ledwie mogła je objąć. Każdy mężczyzna powinien spędzać pięć lat przy wiosle, przemknęło jej przez głowę, zanim zalewające ją raz po raz fale ekstazy nie pozbawiły jej zdolności myślenia, a Orfeo odwlekał w nieskończoność moment spełnienia.

— Ze mną, skończ razem ze mną — poprosiła.

— Tak się stanie — odparł cicho — ale na razie znajduję rozkosz w dawaniu rozkoszy tobie.

Zatraciła się zupełnie, tonąc, pływając, szybując, a ogarniający ją słodki ból stał się nie do zniesienia. Orfeo oddychał coraz szybciej i głębiej, 504

pojękując przy tym, jakby i on był już u kresu, i tym razem szczytowali jednocześnie.

Przez długą chwilę leżeli w milczeniu. Amata przyciskała dłonie do brzucha, czując, że przed chwilą, w momencie wspólnego spełnienia, w jej łonie zasiane zostało nowe życie — ale pozostanie to jej tajemnicą, dopóki nie nabierze całkowitej pewności. Orfeo uniósł się w końcu na łokciu i uśmiechając się, jął odgarniać jej ze spoconego czoła wilgotne kosmyki włosów. Pieszczota w jego dotyku podniecała ją tak samo, jak fizyczne doznania.

Doszedłszy do siebie, zachichotała i zawołała z nutką triumfu w głosie:

— Tunika moja!

— Ty też nie doceniasz Kareema — odparł cicho Orfeo. Przetoczył

się na krawędź łóżka, usiadł i rozsunął zasłony. — „Gorący dziś dzień.

Jestem spragniony”, powiedział Kareem do kobiety, kiedy ta, w zamian za jego szatę, dała mu starą szatę mężczyzny. — Orfeo wstał i sięgnął po pucharek z winem. — Usiadł na ziemi przed namiotem z miską wody, którą mu dała, i pił. Zobaczył z daleka jej wracającego mężczyznę, ale zanim ten się zbliżył...

Pucharek wysliznął się z ręki Orfeusza i roztrzaskał o podłogę.

— Och, Orfeo, uważaj! — krzyknęła Amata, ale on uśmiechnął się tylko przekornie.

— ...Kareem też stłukł swoją miskę i zaczął płakać. Wódz zsiadł z konia i zapytał, co go tak zasmuciło. Kareem wyjaśnił, że Sona wodza, za to, że stłukł tę zwyczajną glinianą miskę na wodę, zabrała mu piękną szatę, którą dostał w podarku od sułtana. Wódz, wściekły na Sonę, że tak potraktowała błazna — bo uważał gościnnosć za swój święty obowiązek — wpadł do namiotu i zagroził Sonie, że ją obije, jeśli natychmiast nie zwróci szaty.

— A ona...?

— A ona wykazała się rozsądkiem i bez oporu szatę oddała.

— Ale Kareem — zauważyła Amata — kochając się z takim

zapamiętaniem z Soną wodza, mógł coś zapoczątkować. Prawdopodobnie nawiedzał ją potem przez lata w snach.

Amata miała do wymazania swój własny koszmar, własną przypowieść, której dotąd nie dokończyła. Kiedy Orfeo znowu się obok niej położył, zaczęła mu opowiadać historię pustelnika Rustica i młodej Alibech, tę samą, której nie dane było dosłuchać do końca Enricowi tam, w lesie, kiedy zostali napadnięci. Powtórzyła jeszcze raz, jak to eremita przecenił swoją odporność na wdzięki dziewczyny i jak w koń-

cu nauczył ją wpychać diabła do piekła. W pewnym momencie musiała przerwać, bo Orfeo tak wczuł

się w fabułę, Œe jął aktywnie i z zapalem odgrywać rolę pustelnika. Ale nawet tuląc się do niego, Amata nie mogła zapomnieć nieszczęsnego Rica, który nigdy nie będzie miał juŒ

okazji zaznać takiego szczęścia, jakie ona dzieliła z Orfeem. MoŒe z pomocą Orfea uda jej się wreszcie przynieść ukojenie jego duszy?

Kiedy Orfeo stoczył się z niej wyczerpany i legł obok na wznak, Amata dosiadła go, wyobraŒając sobie, Œe ściska udami muskularnego wołu.

— Rustico — podjęła zdyszana — dlaczego tracimy czas na odpoczywanie, zamiast wpychać diabła do piekła?

Orfeo spojrział na nią spod cięŒkich powiek.

— Myślałem, Œe chcesz dokończyć swoją przypowieść.

Dostrzegła w tym spojrzeniu cień obawy i to jeszcze bardziej zmotywowało ją do kontynuowania.

— Ona nie ma końca — ostrzegła. — Z początku piekło wydawało się Alibech nad wyraz niegościnnym miejscem, bo diabeł Rustica zadał

jej wiele bólu. Ale im dłuŒej trwał ów akt poświęcenia, tym bardziej się w nim rozsmakowywała. Słusznie powiada Pan: Albowiem jarzmo moje jest słodkie, a moje brzemieŒ lekkie *, myślała. Dziwiła się nawet, dlaczego wszystkie kobiety nie porzucają miast, by tak jak ona słuŒyć Bogu na odludziu.

* Mateusz 11,30.

506

Amata, ze smutną miną, masowała tors i barki Orfea.

— Niestety, im bardziej skore do wchłaniania i więzienia diabła Rustica stawało się piekło dziewczyny, tym skwapliwiej diabeł jej unikał, aŒ w końcu poskarŒyła się: „Ojczy, przysłaam tu słuŒyć Bogu, nie próŒ-

nować”. Pustelnik, który Œywił się samymi korzonkami i pijał tylko wodę, przez co nie miał doŒć sił, by być na kaŒde jej zawołanie, tłumaczył, Œe musi teŒ zajmować się swoim ogródkiem, a diabeł zasługuje na wtrącenie do piekła tylko wtedy, kiedy unosi dumnie głowę. Młodzian rychło zrozumiał, Œe do pełnego zaspokojenia jej piekła trzeba co nie-miara diabłów, i chociaŒ z początku udawało mu się ją zadowalać, to z czasem zdarzało się to coraz rzadziej, aŒ w końcu jego starania zaczęły przynosić równie mierny skutek, co fasolki wrzucane w rozdziawioną paszczę wygłodniałej lwicy.

Œwieca wypaliła się i zgasła. Orfeo zachichotał w ciemności i uniósł

się na łokciach. Siedząca wciąŒ na nim Amata ujęła oburącz jego głowę i przycisnęła ją sobie do piersi. BoŒe, nigdy nie skończę tej przypowie-

ści, pomyślała, będą ją opowiadała noc w noc. No ale sama przecieś

powiedziała, że ona nie ma końca.

— Kiedy trwała ta debata pomiędzy Alibech i jej piekłem a Rusti-kiem i jego diabłem — powiedziała szybko — przy czym jedna strona uskarżała się na niezaspokojenie, a druga na brak sił... — Nie skończyła jednak, albowiem diabeł Orfea znowu uniósł pod nią łeb i wtargnął w jej piekło, i tym razem nie ugiął swojego sztywnego karku aż do pierwszego brzasku.

W szarówce przedświt Amata błogosławiła w duchu kurtyzany z Akki, Wenecji czy skąd tam jeszcze, że wtajemniczyły Orfea w te nie-zliczone subtelne sekrety miłości i nauczyły cierpliwości i wytrzymało-

ści, by mógł je stosować w praktyce. W ramionach tego mężczyzny, pachnącego morzem i gorącym Lewantem, zasypanymi śniegiem górskimi przełęczami i wschodnimi bazarami, po raz pierwszy uzmysłowi-

ła sobie seksualny potencjał swego ciała, radość, dla przeżywania której się urodziła.

507

W kącikach jej oczu zebrały się łzy zaspokojenia.

— Jestem szczęśliwa jak nigdy — szepnęła, a w duchu dodała: I tak się cieszę, że cię nie zabiłam. Położyła głowę na ramieniu Orfea i gładziła dłonią jego brzuch, dopóki nie rozległo się pukanie do drzwi sypialni.

— Scusami signore, signora . Zaraz rusza procesja na świętego Franciszka. Kazaliście się obudzić.
— Kroki oddaliły się korytarzem, a za oknem rozbrzmiał dźwięk trąbki.

Mile zabrzmiała Amacie w uchu ta signora .

Przez całą noc w lasach otaczających Porcjunkulę skwierczały i sy-czały żywiczne pochodnie. Kiedy niebo na wschodzie zaczęło jaśnieć, Konrad wyszedł z małej kapliczki i zobaczył korowód dalszych pochodni spływający ze wzgórza. To członkowie gildii stawili się w pełnej sile i kiedy rąbek słońca wychynał zza góry Subasio, przy wygrywanych na trąbkach fanfarach rozwinęli proporce swoich rzemiosł.

Konrada, lubującego się w samotności, odzianego w niepozorny szary habit, otoczył nagle wir barw. Wraz z zakonnikami, którzy zebrali się przy kaplicy, ruszył pod górę za oddziałem rycerzy i straży miejskiej, za nimi kroczyli członkowie gildii ze sztandarami, przed nimi kler—

biedni wiejscy księża w przetartych, wyświeconych, czarnych sutannach i białych komwach, biskupi i kardynałowie w szkarłatach i gronostajach — a gdzieś tam, na samym przedzie procesji, papież Grzegorz.

Kiedy ruszyli, od bram miasta rzucił im się hurmem na spotkanie wielobarwny rozwrzeszczany tłum

mieszczan. W szale ciŚba odarła z najniŚszych gałęzi drzewka oliwne w gaju, przez który przebiegała droga, gaju, w którym Konrad przed trzema laty dziurawił kupę niedojrza-

łego kompostu. Falujące liście utworzyły bladozielone tło dla sztandarów gildii i przywodziły na myśl morską pianę rozbijającą się o namiot na plaŚy. Compagnia di San Stefano, zespół śpiewających naboŚne pieśni biczowników z AsyŚu, zaintonował hymn do stygmatów.

508

Sia laudata San Francesco,

Quel caparve en crocefisso,

Como redentore...

Pochwalon niech będzie święty Franciszek,

Który wyglądał na ukrzyŚowanego

Jak Zbawiciel...

Rycerze z trudem panowali nad wierzchowcami spłoszonymi przez płonące pochodnie i zgiełk. Konrad, czując unoszący się nad drogą zapach świeŚego końskiego łajna, stapał ostroŚnie, zerkając pod nogi.

Niebo bez jednej chmurki jaśniało, z szarego zrobiło się purpurowe, potem fioletowe, by po godzinie, kiedy procesja dotarła do miejskich murów, przyjąć barwę czystego błękitu. Za bramą San Pietro tłum się rozdzielił — mnisi i prałaci szli dalej do dolnego kościoła bazyliki, rzesze świeckich skierowały się do kościoła górnego i zalały Piazza di San Francesco. Konrad odłączył się od obu grup, doszedłszy tylko do południowego skraju piazza, skąd miał lepszy widok na zgromadzenie.

Na główną ceremonię w dolnym kościele zaproszono kilku znacz-nych mieszczan: wysokiej rangi przedstawicieli władz oraz miejsco-wych darczyńców. Konrad wypatrzył w tej grupce zaspanego Orfea i ziewającą Amatę. Domyślił się, Śe Amata ufundowała zapewne grobowiec donny Giacomy. Do tego jej mąŚ był nie tylko bliskim przyjacielem papieŚa, ale i krewnym świętego.

Stojący z nimi, nieco wyŚszy i szczuplejszy od Orfea męŚczyzna, to pewnie jego brat i od niedawna wspólnik w interesach, Piccardo. Amata przykucnęła przy noszach niesionych przez czterech słuŚących. Twarz jednego z nich wydała się Konradowi znajoma, ale wzrok i pamięć nie dopisywały mu juŚ na tyle, by rozpoznać go z tej odległości. Na noszach leŚała inwalidka w fałdzistej szacie, kobieta przybywająca dziś do bazyliki w nadziei na cudowne uleczenie, i Amata widocznie ją znała.

Konrad przygryzł dolną wargę, zde gustowany łatwowie rnoŚcią falującego 509

wokół tłumy. Frustrowała go myśl, Śe tylko on i Girolamo w pełni pojmują fałsz, na którym wyrosły płonne nadzieje tej kobiety.

Amata podniosła się i przesunęła wzrokiem po szeregu zakonników wchodzących do kościoła. Konrad teŹ na nich spojrział. Wydało mu się, Źe w jednym z zakapturzonych mnichów po niezbornych ruchach poznaje Zefferina. Wywabienie dozorczy z lochu pod Sacro Convento okazało się błędem, ten dawny towarzysz jeszcze bardziej zamknął się w sobie. Zobaczył teŹ Ubertina, chłopca, który przed dwoma laty ostrzegł

go przed niebezpieczeństwem. Młodzieniec zdawał się śpiewać szczerze, ale oczy latały mu na wszystkie strony, bystre jak zawsze. Konrad ciekaw był, czy któryś z braci spirytualnych zaryzykuje i wejdzie do kościoła, czy teŹ będą woleli uczcić to święto gdzie indziej, w bezpiecznym zaciszu swoich grot, chat i miejsc tajnych spotkań w górach.

Z zakonników, których tu widział, Źaden nie wyglądał mu na obdarte-go, niedoŹywionego miłośnika ubóstwa.

I nagle Konrad dostrzegł człowieka, którego szukał. W procesji, niezwykle powaŹny, z rękoma splecionymi na wydatnym brzuchu, siedł w parze z chudym Lodovikiem brat Salimbene. Konrada ogarnęła nieprzeparła pokusa porozmawiania z nimi o zwoju Leona tu i teraz, w trakcie ceremonii. Ruszył po schodach w stronę dolnego kościoła.

Przydybanie ich poza murami klasztoru mogło być jedyną szansą na dowiedzenie się, czy kronika nadal istnieje, czy teŹ strawił ją ogień.

Chciał ufać Girolamowi, ale wspomnienie dwóch lat spędzonych w piekle było jeszcze zbyt świeŹe; wiedział, Źe upłyną lata, zanim przemoŹe się i wejdzie znowu do Sacro Convento.

Był juŹ parę kroków od zakonników, kiedy drogę zastąpił mu strażnik miejski i trzymaną poziomo piką odepchnął wraz z innymi pod mur.

— Przejście dla doŹy Wenecji — warknął.

Na widok strojnie odzianego szlachcica wysiadającego z lektyki tłum przycichł. MęŹczyzna kiwnął głową gapiom po obu stronach i ruszył

510

w kierunku wejścia do kościoła. Ledwie uszedł kilka kroków, wrzawa znowu się podniosła.

Procesja mnichów teŹ ruszyła dalej. Ścisk zrobił się taki, Źe Konradowi zaczynało brakować tchu. Rozmowę z Salimbene trzeba będzie odłoŹyć. Wycofał się z ciŹby i kiedy znowu wchodził po schodach, rozglądając się za jakimś dogodnym miejscem do obserwacji, usłyszał

za sobą głos Amaty:

— Bracie Konradzie! Jesteś! Przyjdź do nas na wieczerzę.

— Jeśli będę mógł! — odkrzyknął. — Wpierw muszę porozmawiać z bratem Girolamem.

— Musisz! — zawołała, pokazując kobietę na noszach, ale reszty nie dosłyszał, bo tłum porwał go ze sobą i poniósł w górę schodów.

Przyłożył dłoń do ucha i zamachał bezradnie ręką. Amata złożyła dłonie w błagalnym geście. Widząc to, skinął głową, że tak, spróbuje przyjść.

Znalazł sobie miejsce na skraju piazza, gdzie nie było tak tłoczno.

Od tłumy odłączyli się i podeszli do niego maestro Roberto oraz hrabia Guido z wnuczką. Sługa uśmiechnął się i zatoczył ręką szeroki łuk.

— Widziałeś kiedy coś takiego, bracie?

Konrad rozejrzał się po placu. Większość ze zgromadzonych na nim ludzi patrzyła na bazylikę, niektórzy płakali, bili się w piersi i wyciągali ręce do nieba. Inni śmiali się i ściskali z sąsiadami. Konrad podsłuchał, jak dwóch mężczyzn przeprasza się za dawne przewiny, których się wobec siebie dopuścili. Wśród tłumy kręcili się jak zawsze przekupnie z pasztecikami i ciastkami. Na uboczu klęczał ze spuszczoną głową jakiś mężczyzna odziany, mimo iż ranek był ciepły, w grubą czarną opończę. Z sylwetki i szerokich ramion przypominał Konradowi pokutnika, byłego notariusza Jacopone, zanoszącego modły do fałszywego napletka. Czymże różnił się Jacopone od tego człowieka czczącego stygmaty, które nigdy nie istniały?

Natłok emocji — współczucie dla tych ludzi ulegających zbiorowej iluzji, udzielające się podniecenie tłumy, oburzenie, że dawne kłamstwo Eliasza przyniosło taki skutek — wyczerpały Konrada.

511

Lud uwielbia widowiskowe cuda, a im są fantastyczniejsze, tym lepiej, pomyślał, wspominając swoją rozmowę z Amatą na wzgórzu pod Gubbio, kiedy opisywał jej drużyny pnące się na wyścigi pod Mont'Inginio z wielkimi posągami świętych. „Prosty lud potrzebuje prostych symboli, które podsycają jego wiarę bardziej niż kazania i uczone traktaty”.

Symboli takich, jak pokorny święty z ranami Chrystusa na ciele!

Jakże gorzkimi były dla niego teraz te słowa! Czy te rany były prawdziwe czy nie, jedno Konrad musiał przyznać: stygmaty świętego Franciszka rozpałały wyobraźnię i religijność wiernych z każdej warstwy społecznej, choćby tylko tego poświęconego im dnia. Czy miał prawo albo obowiązek pozbawiać ludzi takiej wiary, nawet gdyby potrafił

przekonać do swych racji tych fanatycznych dewotów?

Klęczący mężczyzna wstał i patrzył pustym wzrokiem ponad głowami otaczających go ludzi. Oczy miał zaczerwienione od płaczu, po-zlepiane w strąki, piaskowe włosy w nieładzie. Modlił się, nie zważając na tumult, i nie przerwał modlitwy, nawet kiedy mała Teresina, która też go teraz zauważyła, podbiegła doń i szarpiąc za opończę, krzyknęła:

— Tato! To ty! Wszędzie cię szukaliśmy!

Publiczna celebracja stygmatów przeciągnęła się do późnego popo-

łudnia i Konrad musiał czekać na audiencję aż do zakończenia nieszpórów. Kiedy wszedł do zakrystii górnego kościoła, gdzie zgodził się go przyjąć Girolamo, zamiast generała zakonu zastał tam wysokiego mę-

czyznę w białej sutannie i piusce. Stał twarzą do okna, z założonymi na plecach rękoma. Na szczupłych palcach połyskiwały pierścienie wysokiego urzędu.

Męszczyzna odwrócił się powoli. Twarz miał szczupłą, ślota skóra obciągała wydatne kości policzkowe jak stary welin. Miał sinawe wory pod oczami i przez chwilę przyglądał się Konradowi w milczeniu spod ciężkich powiek.

— Witaj, bracie — odezwał się w końcu majestatycznym tonem, który kontrastował ze świszczącym oddechem. — Twój generał za-dośćuczynił naszemu Syczeniu poznania zakonnika, którego dociekliwość zaprowadziła do więzienia. Naszą ciekawość co do twojej osoby obudziło wstawiennictwo Orfea di Bernardone.

Konrad padł na kolana i zgiął kark.

513

— ście zawdzięczam Waszej Świątobliwości. — Trwał w tej po-kornej pozycji, dopóki nie poczuł na głowie delikatnego dotyku dłoni papieża, wypowiadającego ściszym głosem łacińskie błogosławień-

stwo. Potem Grzegorz wziął go za ramiona i kazał wstać.

— Brat Girolamo nie może nam towarzyszyć. Gotuje się do podró-

ży z doś, który wraca jutro do Wenecji. — Papież wskazał zakonnikowi krzesło i sam usiadł naprzeciwko niego. — Widzisz — podjął —

potrzebny nam jest bardziej niż waszemu zakonowi. Poprosiliśmy go, by wrócił do Bizancjum i dopracował detale dzieła ponownego zjednoczenia Kościoła.

Konrad zastanawiał się, co Girolamo powiedział o nim papieżowi.

Czy podejmując się owej misji na Wschodzie, nie poprosił aby najwyż-

szego autorytetu Kościoła o dopilnowanie w zamian, by on, Konrad, nie rozgłosił, że świętego Franciszka toczył trąd?

— Jedność między członkami mistycznego ciała Chrystusa jest błogosławieństwem od Boga —

ciągnął Grzegorz — zwłaszcza zaś jedność między braćmi. Brat Girolamo przedstawił nam swój plan wyko-rzystania cię w charakterze pośrednika w leczeniu rozłamu w twoim zakonie. Oczywiście, kiedy juŜ sam wyleczysz się ze swoich dolegliwości. Wniosło to i ogromne zadanie. Teraz, kiedy obarczyliśmy go naszą misją, będzie musiał w większym niŜ zamierzał stopniu zdać się na zakonników takich jak ty. Mówiąc między nami, jak równieŜ

w imieniu Kościoła, uważalibyśmy to za wystarczający dowód wdzięczności za zwrócenie ci wolności.

PapieŜ przyglądał się bacznie twarzy Konrada, a ten starał się nie okazywać Őadnych emocji. Nie otrząsnął się jeszcze z zaskoczenia, a poza tym do propozycji Grzegorza zamierzał ustosunkować się odpowiednio dopiero po wysłuchaniu jej do końca.

— Brat Girolamo sympatyzuje bardzo z twoimi spirytualnymi przyjaciółmi. Dorastał w Ascoli, w Marches, gdzie się ukrywają. Ale rozumie przy tym, Őe umiarkowani, pragmatyczni bracia są do przeprowadzenia 514

planu świętego Franciszka i zreformowania Kościoła — usunięcia barier dzielących księŜy od ludu — przygotowani lepiej niŜ bardziej orto-doksyjni członkowie zakonu. Moim zdaniem wasz zakon powinien kłaść mniejszy nacisk na ubóstwo, większy zaś na prostotę, mniejszy na ascezę, większy na skromność. Nie zmieni to zbyt zasadniczej idei, a przemówi do większej liczby wiernych niŜ bezkompromisowość twoich przyjaciół. — PapieŜ wskazał habit Konrada. — Skoro juŜ o tym mowa, wolimy widzieć zakonnika w habitcie z porządnego grubego materiału, który posłuŜy mu wiele lat i nie będzie rozpraszał podczas modlitwy w chłodnej bazylice, niŜ oglądać go odzianego w łachmany. Mamy nadzieję, Őe po zastanowieniu przyznasz mi rację.

Grzegorz podniósł się z krzesła, podszedł znowu do okna i stanął

przy nim plecami do Konrada. Konrad wygładził połatane rękawy habitu. Dyskutował juŜ na ten temat z donną Giacomą i czuł teraz, Őe policzki krasi mu rumieniec.

— Brat Girolamo twierdzi — podjął Grzegorz — Őe chciałbyś słu-

Őyć w leprozorium, ale w naszym przekonaniu Bóg przewidział dla ciebie donioŐlejsze zadanie. Zasugerowaliśmy twojemu generałowi, byś spędził czas jakiś w klasztorze na Alwerni, medytując o głębszym sensie Őycia świętego Franciszka, o jego misji w słuŜbie Kościoła jako całości, wszystkim wiernym.

Aha, a więc chcą mnie uciszyć.

— Dlaczego akurat na górze Alwernia? — spytał, udając, Őe nie kojarzy faktu, iŜ to tam właśnie u Franciszka po raz pierwszy pojawiły się liszaje. Grzegorz i Girolamo kpili sobie z niego. — CzyŜ prawda nie pozostaje ta sama i niezmienna wszędzie? — dorzucił pewny juŜ, Őe papieŜ wie, do jakiej prawdy nawiązuje.

PapieŜ zauwaŜalnie zeszywniał.

— Quid est veritas?, spytał Piłat naszego Pana. Cóż to jest prawda?

Na nieszczęście dla całej ludzkości nie zczekał, aŜ Jezus mu odpowie.

Bo cała ludzkość chciałaby to usłyszeć.

515

PrzeŜyliŝmy na tym Ŝwiecie dwakroć tyle lat, co ty, bracie Konradzie, a wiele z nich spędziłem nad kronikami i opisami historii uznawanymi powszechnie za prawdziwe. ZauwaŜyliŝmy, Ŝe gęsie pióra skrybów potrafią wykuwać categoryczne i giętkie prawdy z taką łatwo-

ścią jak młoty płatnerzy miecze.

— Ale to absolutna prawda, Ŝe Ŝwięty Franciszek dotknięty był trądem.

Grzegorz odwrócił głowę. Twarz miał Ŝciągniętą, jakby bezpośrednioŝ Konrada sprawiła mu ból. On na ten temat wyraźnie wolał

rozmawiać ogródkami.

— Pewien mędrzec wyobraził sobie kiedyŝ, Ŝe Bóg podaje mu prawą ręką całą prawdę o wszechŜwiecie. W lewej ręce Stwórcy trzymał

tylko aktywne poszukiwanie prawdy, wraz z warunkiem, Ŝe w tym poszukiwaniu człowiek zawsze będzie błądził. I powiedział do mędrca: Wybieraj! Człowiek pokornie ujął lewą rękę Boga i powiedział: Boski Ojczy, wybieram tę, albowiem prawda absolutna naleŜy tylko do Ciebie.

PapieŜ zamilkł na chwilę, a potem Ŝwiszczącym łamiącym się głosem dodał:

— Z pewnością zauwaŜyłeś dzisiaj na piazza, Ŝe prawda, przy któ-

rej obstajesz, nie jest wcale taka prosta, taka absolutna. Twoja prawda byłaby włócznie, która przebija serce wiary ludu.

Konrad spuścił głowę. ZaŜlepiony swoimi przekonaniem, przekroczył granicę. Winien był pierwszemu kapłanowi posłuszeństwo, nie mówiąc juŜ o wdzięczności.

— Wybacz mi, Ojczy Ŝwięty, moją pychę — powiedział. Zamknął

oko, serce omal nie wyskoczyło mu z piersi. Cichym głosem podjął: —

Obserwując tłum, doszedłem do tego samego wniosku, co Wasza Ŝwią-

tobliwość, i nie darowałbym sobie nigdy, gdybym podkopał w tych ludziach wiarę. Zaprawdę, nie

jest to czas na takie rewelacje, powiedziałem sobie. Czy jednak, z szacunku dla tej^ŹSe prawdy, nie powinni-

śmy zamieścić w którejś z kronik wzmianki o niej dla tych, którzy przyjdą po nas?

— Nie. — Słowo to wypowiedziane zostało cichym, lecz stanow-czym głosem i na jego ramieniu spoczęła dłoń papieŜa. — Nie, mój synu.

516

— Konrad, zdumiony czułym tonem Ojca Świętego, uniósł głowę. —

Ale jesteśmy ci coś winni za to, co wycierpiałeś i za to... za to, co tu ukrywać, za to, Źe razem z bratem Girolamem skłonni jesteśmy przyznać ci rację. Twoje odkrycie powinno umrzeć tylko... tymczasową śmiercią. Bóg, kiedy uzna to za stosowne, wskrzesi je, tak jak wskrzesił

Swego Syna. Zawieramy zatem następujący kompromis: udasz się z bratem towarzyszem na Alwernię. Od niego moŜesz zapoczątkować tradycję ustnego przekazywania z pokolenia na pokolenie prawdy o swoim Francesco Lebbroso . Ustnie, nie na piśmie! Resztę pozostaw Bogu.

— A czy tego towarzysza będę mógł sobie wybrać?

PapieŜ skinął głową.

— Pod warunkiem, Źe wasz generał zatwierdzi twój wybór.

Da Bóg, Źe zatwierdzi, pomyślał Konrad. Zajaśniała w nim nagle iskierka nadziei. A wraz z nią spłynął na niego niespodziewany spokój, poczucie pewności, Źe jakiś zakonnik, z jakiegoś przyszelego pokolenia ujawni wreszcie mistyfikację Eliasza. Wracała mu pewność siebie, ale wolał nie okazywać tego przed papieŜem.

— Gdyby był tu brat Girolamo, poprosiłbym go równieŜ o zwolnie-nie na ten wieczór, Źebym mógł odwiedzić Orfeę i jego nowo poślubioną Źonę. Obiecałem, Źe przyjdę do nich na wieczerzę.

— Nie widzę przeszkód, bracie. I do swoich dołącz gratulacje ode mnie, bo szczerze go kocham. — Grzegorz urwał i uśmiechnął się. —

Kiedy przyjdiesz po swojego towarzysza?

— Gdyby mógł czekać na mnie przy Porta di Murorupto jutro rano po tercji...

PapieŜ skinął głową, obiecał przekazać jego prośbę i odprowadził

Konrada do frontowych drzwi bazyliki. I tak dylemat, który nie dawał

Konradowi spokoju od spotkania z bratem Girolamem, rozwiązał się sam z ostatecznością i niepodwaŜalnością papieskiego dekretu.

W czasie gdy Konrad rozmawiał z papieżem, ludzie rozeszli się do 517

domów na wieczerzę i Piazza di San Francesco opustoszała. Samotny kundel Źywiący się odpadkami pozostawionymi przez pielgrzymów podbiegł, obwąchał mu stopy i towarzyszył aŹ na skraj placu. Konrad po raz kolejny zapragnął znaleźć się z powrotem wśród swoich leśnych przyjaciół i zapomnieć o ostatnich trzech latach. Poglaskał psa po łbie i obudziła się w nim tęsknota za Chiarą, łanią, która podchodziła pod jego chatę. Odpędził od siebie psa i ruszył dalej sam.

Bez odpowiedzi pozostawało jeszcze tylko pytanie, czy kronika Leona nadal istnieje, a jeśli tak, to gdzie się znajduje. Konrad chciał spytać o to brata Girolama, lecz generał opuszczał Wenecję i nie było na to szans. Należało zaś wąpić, Źe brat Salimbene albo bibliotekarz, nawet gdyby udało mu się przycisnąć ich w tej sprawie do muru, powiedzieli-by prawdę. Źeby zyskać całkowitą pewność, musiałby znowu włamywać się pod osłoną nocy do szafek w klasztornej bibliotece, a tego nie brał nawet pod uwagę. Ale moŹe zakonnik, który miał mu towarzyszyć w drodze na Alwernię... wtajemniczony przez niego w prawdziwą naturę stygmatów Franciszka... podejmie poszukiwania kroniki Leona?

Wspinając się znajomymi schodami prowadzącymi do domu Amaty, Konrad uświadamiał sobie, Źe nagły zwrot wydarzeń przyniósł mu spokój i ulgę. Treść listu Leona przez trzy lata ciąŹyła mu na duszy niczym gruba pokrywa śniegu, pod którą omal się nie załamał. Źar autorytetu Grzegorza stopił w końcu to brzemię i znów mógł się swobodnie wyprostować. Zaginiony manuskrypt brata Leona reprezentował jeszcze jeden cięŹar, który z ochotą powierzał teraz Bogu. Zaczynał juŹ tęsknić za znalezieniem się na górze Alwernia; tyle warstw podobnych brzemion miał jeszcze do zrzucenia.

W domu Amaty zastał wszystkich w wielkiej izbie jedzących wie-czorny posiłek. Przy stole dla słuŹby siedzieli ci sami czterej męŹczyź-

ni, których widział rano przy noszach przed dolnym kościołem. Teraz, 518

z bliska, rozpoznał wreszcie tego, który wydał mu się wtedy znajomy.

Człowiek Rosanny, sługa, który co tydzień przynosił mu prowiant do górskiej chaty.

Konrad podbiegł z nadzieją w sercu do stołu dla rodziny i specjalnych gości, ale Rosanny tam nie było. Poczul ten sam zawód, co dawno temu, kiedy odchodząc do klasztoru, nie mógł się z Rosanną poŹegnać.

Amata zaprosiła go gestem do zajęcia wolnego miejsca między nią a hrabią Guidem. Guido powitał serdecznie zakonnika, a Amata dała znak pomocy kuchennej, Źe potrzebny jest jeszcze jeden talerz. Konradowi przypomniał się rezolutny młodzieniaszek, który wrzucając sobie do ust winogrona, besztal go w jego własnej chacie. Siedząca teraz obok niego młoda kobieta była Źywym dowodem mądrości i cierpliwo-

ści donny Giacomy.

— Obiecałam ci niespodziankę, Konradzie! — powiedziała Amata.

— Nie wiedząc o jej chorobie, zaprosiłam do Asyŝu na dzień świętego Monnę Rosannę. Mamy nadzieję, ŝe dzięki wstawiennictwu świętego Franciszka jej zdrowie się poprawi.

— To jakaś powaŝna choroba? — spytał Konrad.

Twarz Amaty pociemniała.

— Bardzo powaŝna. Medyk mówi, ŝe bez jakiegoŝ cudu długo juŝ

nie poŝyje. Za duŝo porodów. Błogosławieństwo i przekleństwo naszej płci. — Zdobyła się na blady uŝmiejch na myśl, ŝe wkrótce i jej ŝyciu zagroŝą ŝmiertelnie ciąŝa i poród.

Konrad ukrył twarz w dłoniach i zacisnął zęby. Najdroŝsza towa-rzyszka jego dzieciństwa cierpi, bo jej mąŝ zachowuje się jak samiec w rui. Rodziła rok w rok. Ale pomimo frustracji i gniewu przyznać musiał, ŝe Rosanna i Quinto wypełniali tylko biblijny nakaz, by ŝyc i się rozmnaŝać. Czy jej ŝycie byłoby choć trochę inne, gdyby poŝlubiała męŝczyznę takiego jak on?

Amata upiła łyżek wina z pucharka, a potem połoŝyła mu dłoń na ramieniu i powiedziała:

— Pyta o ciebie od dnia przyjazdu.

519

Zakonnik, nie bacząc, ŝe sługa postawił wlaŝnie przed nim talerz z jedzeniem, chciał zerwać się z miejsca, lecz Amata przytrzymała go za rękaw habitu.

— Ona teraz odpoczywa, Konradzie. Zjedz wpierw wieczerzę i opowiedz nam, co zamierzasz. Mamy nadzieję, ŝe zostaniesz u nas jakiś czas. Jacopone teŝ przydałoby się twoje towarzystwo.

Wskazała głową stół pod jednym z gobelinów zdobiących ŝciany.

Teresina, która skończyła juŝ posiłek, siedziała obok ojca, opierając główkę o jego ramię, i ŝcisła małymi rączkami wielką dłoń. Pokutnik kręcił ospale głową.

Ten widomy dowód nawrotu choroby przygnębił Konrada. Na chwilę zakrył dłonią twarz, a potem wyjaŝnił, ŝe nazajutrz musi ruszać w drogę.

— Mogę udzielić ci tylko rady, Amatino — powiedział. — Posadź

go do pisania, niech prowadzi twoje rachunki, niech zapisuje swoje wiersze, kopiuje, cokolwiek. On ma wraŝliwość artysty. Dla takich umęczonych dusz pisanie jest najlepszym, a moŝe nawet jedynym le-kiem oczyszczającym. Mógłby nawet zamieszkać w naszym klasztorze w Todi. Znają go tam i był bardzo szanowany, zanim oszalał z ŝalu.

Konrad widział, ŝe jego odpowiedź rozczarowała Amatę, ale taka była wola papieŝa, a zresztą czuł, ŝe i jego dusza potrzebuje wyciszenia.

Będzie mu brakowało tych uroczych ludzi, ale wiedział, że musi ich opuścić. Stał na kolejnym rozdrożu, przed nim kolejna nieodwołalna zmiana kierunku. Jedząc zupę, wrócił myślami do Rosanny, którą opu-

ścił już dwa razy — kiedy dostał w klasztorze wiadomość o jej zaręczynach, a potem kiedy porzucił swoją pustelnię, by powrócić do Asyżu.

Teraz musi opuścić ją po raz trzeci i kto wie, czy tym razem nie na zawsze.

Tego wieczoru jedzenie nie miało dla niego aromatu ani smaku, prawie nie słyszał gwaru toczonych wokół rozmów. Myślami był już daleko, w jakiejś ciemnej nocy, a te wabiły jego duszę, by podążył ich śladem, i to bez zwłoki. Sparafrazował w myślach linijkę ze znanego wiersza: śgnając przyjaciół, wkroczyłem w jesień Alwerni .

520

Goście opuścili już wielką izbę, udając się na spoczynek, ale Amata nie wstawiała od stołu.

— Konradzie — powiedziała cicho — skoro nie masz apetytu, odwiedźmy może teraz Rosannę. Zanim jednak powiemy sobie dobranoc, obiecaj mi, że nie wymkniesz się rankiem bez pośnięcia, jak ostatnio, kiedy udawałeś się do San Lazzaro.

— Obiecuję, Amatino. — Zawiesił głos i po chwili dodał: — Mam nadzieję, że Bóg skieruje tu kiedyś me kroki, ale w tej chwili moim jedynym celem jest Alwernia.

Szukał słów, które wypadaloby w takiej chwili powiedzieć.

— Będzie mi was wszystkich strasznie brakowało, ale łatwiej mi będzie znosić rozłąkę, kiedy wiem, że żyjecz wreszcie w spokoju, któ-

rego pragnęła dla ciebie donna Giacomina, którego wszyscy dla ciebie pragnęliśmy. — Podejrzewał jednak, że nie będzie mu wcale tak łatwo, jak mówił. Rozstanie z Amata mogło okazać się tak samo rozdzierające, jak to drugie, przed którym właśnie stał.

Nie opierał się, kiedy wzięła go za rękę i poprowadziła do izby, gdzie kiedyś ślęczał nad manuskryptami. Zatrzymał się w progu, a Amata, szepnąwszy: „Orfeo na mnie czeka”, wycofała się dyskretnie na korytarz. Dym z kominka snuł się ku sufitowi, ale kobieta leżąca na posłaniu oddychała swobodnie. Zatrzepotała powiekami i zauważywszy go w progu, szeroko otworzyła oczy.

— To ja. Konrad — powiedział.

Pomarańczowa poświata ognia odbiła się w powleczonej warstewką wilgoci oczach kobiety.

— Co oni zrobili mojemu przyjacielowi? Amata uprzedzała mnie, że bardzo się zmieniłeś w więzieniu, ale nie spodziewałam się...

Konrad ukląkł przy posłaniu i położył palec na ustach.

— Powiadają, że Bóg srogo obchodzi się z tymi, których kocha, traktuje ich jak dzieci traktują swoje ulubione zabawki. Nas bardzo musi kochać, Rosanno. — Zdziwiasz sam siebie, ujął ją bezwiednie za rękę, jakby znowu mieli po dziesięć lat. — Amata powiedziała mi, że na mnie czekałaś.

521

Przekręciła głowę na poduszce i zapatrzyła się w dym.

— Chciałam cię prosić o modlitwę za oczyszczenie mej duszy i za łaskę dla mojego męża i dzieci, kiedy odejdę. Bo wiem, że odchodzę, Konradzie. — Ledwo poczuł delikatny uścisk jej palców na swej dłoni.

— Chcę się też wyświadczyć — dodała.

Konrad puścił jej rękę i usiadł prosto na podłodze. Rosanna roze-

śmiała się cicho w półmroku.

— Nie, nie. Nie tak formalnie. Przed wyruszeniem z Ankony wyświadczałam się już księdzu na wypadek, gdybym nie przetrzymała podróży. Tobie wyświadcę tylko jak przyjaciółka przyjacielowi.

Weź mnie znowu za rękę, proszę.

Uczył to, ale tym razem już bardziej świadomie.

— Przez wszystkie lata małżeństwa z sior Quintem — zaczęła —

kochałam innego mężczyznę. Czy cię to nie oburza?

Konrad stracił na moment oddech. Gdyby nie była taka osłabiona, puściłby znowu jej rękę. Chociaż nazywała to oczyszczenie sumienia nieformalnym, on zareagował jak surowy pastor.

— Czy kochałaś go w sensie cielesnym? — spytał i natychmiast poślał to pytanie.

Rosanna zachichotała urywanie.

— Nie. Jedynie w dziewczęcych fantazjach, no i teraz, już jako matrona, uważam go za najbardziej naiwnego głupka pod słońcem, skoro dotąd niczego nie zauważył.

— Znałaś go już jako młódka? Dlaczego więc, zamiast wyznać mu, co do niego czujesz, wyszłaś za innego?

— Przecież wiesz, że córki nie mają w tych sprawach nic do powiedzenia, Konradzie. Wyznałam rodzicom, że go kocham, w dniu, kiedy oznajmili mi, że zaręczają mnie z Quintem. Urządziłam niewyobrażalną awanturę i przysięgam, że poślubię tylko... ciebie. Myślisz, że dlatego ni z tego, ni z owego oddali cię do klasztoru? — Siennik zaszeleścił, kiedy obracała się z trudem na bok. — I

popatrz, na co nam przyszło.

Dwie stare, sterane Syciem szmaciane lalki, którym nie pozwolono stworzyć najszcześniejszego na świecie małżeństwa. Wiem, że i ty mnie

kochałeś, chociaż była to miłość młodzieńcza.

Konradowi gardło tak się ścisnęło, że nie mógł odpowiedzieć. Kąt izby oświetlił blask wschodzącego księżyca. W tej bladej smudze rozpoznał nagle samotność swojego Sycia.

— Powiedz to, Konradzie. Niech poświęcę się z tobą w pokoju.

Ujął w dłonie jej rękę i jął wodzić opuszkami palców po jej palcach.

— Wiemy, że nasze dusze nie umrą, Rosanno — powiedział zduszonym głosem. — Nie wolno nam się poświęcać. Spotkamy się jeszcze pewnego dnia, w bardziej szczęśliwym miejscu.

— Powiedz to, Konradzie. Proszę.

Chciał wstać, ale go przytrzymała.

— Konradzie!

Puścił jej rękę, a ona położyła ją sobie na brzuchu

— Bóg mi świadkiem, że cię kochałem, Rosanno, Bóg mi świadkiem, że nadal cię Kocham. Właśnie to sobie uświadomiłem. —

Uśmiechnął się. — To chyba najlepszy dowód, że w istocie naiwny głupek, jakiegoś mnie przed chwilą nazwała.

Dotknął wargami jej wilgotnego czoła, po czym wsunął rękę pod jej plecy i uniósł na posłaniu. Długo tulił ją do piersi, powstrzymując łzy, które, wiedział to, zaraz popłyną mu z oczu. Położył ją ostrożnie na sienniku i tym razem musnął wargami jej usta.

— Dziękuję, Konradzie — szepnęła.

— Addio, Rosanno. Do widzenia, przyjaciółko.

Podniósł się z podłogi i podszedł do drzwi. Tam zatrzymał się i opierając o framugę, popatrzył spod krzyżanki na rozgwieżdżone niebo.

Skinął gwiazdom głową i powiedział:

— Tam się niebawem spotkamy.

Konrad zdecydowanym krokiem wyszedł na skąpany w blasku księ-

ćmy, które otoczyły mu całą chmarą głowę, przysiadając na włosach.

Najchętniej zapuściłby tu, pośród tego pogorzelniska, korzenie, i obrósł

mchem jak sędziwy dąb, siedlisko miliona owadów, ocieniając gościnny dom Amaty swoimi liśćmi i uśycząc konarów jej Śywotnym bambini .

Ale jego pielgrzymka nie pozwalała na taki luksus. Miał misję do spełnienia. I nie kończyła się ona na Alwerni. To był tylko przystanek na drodze ku Królestwu Niebieskiemu, które, zgodnie z kazaniem Jezusa, kryło się w nim.

Jutro przekaże brzemie Leona towarzyszowi, którego sobie wybrał, zakonnikowi nowego pokolenia, bratu Ubertino. Nie odnalazł Boga w całej tej kweście ani w połatanym szarym habicie, który okrywał teraz jego drżące ciało. Wiedział, że Ojciec mieszka o wiele głębiej, niż się

gają wszystkie ludzkie rozterki, niż ten strzęp opalonego pergaminu w jego kieszeni i czysta dusza zakonu, który reprezentował, a nawet głę-

biej niż ogromna bazylika, która odebrała mu spokój ducha. O wiele głębiej niż jakkolwiek rzecz, którą Konrad potrafił nazwać albo sobie wyobrazić, głębiej niż jego najszczerze pojmowanie Boga, które jest tylko wytworem umysłu.

Był pewny, że droga do Boga rozmyje się w tajemnicy, być może w nicości, ale nie w nicości zupełnej, nie w całkowitej pustce — bo na jej końcu będzie miłość. Przepowiedział to w natchnieniu jeden z aposto-

łów: Bóg jest Miłością .

I Konrad wiedział, że tam, u źródła Miłości, znowu spotka Rosannę.

EPILOG

Po zejściu z Alwerni brat Konrad da Offida zyskał sławę wędrownego kaznodziei i wizjonera. Do końca wierny swojej spirytualnej frakcji zakonu, zmarł w klasztorze Santa Croce w Bastii w roku 1306 i został

potem beatyfikowany. Współczesny mu brat Clareno zeznał, że Konrad z uporem i samozaparciem przez pięćdziesiąt lat nosił ten sam habit.

Szesnaście lat po jego śmierci grupa rycerzy z Perugii wykradła kości błogosławionego Konrada i uczyniła z nich relikwię swojego miasta.

Ubertino da Castale pod koniec trzynastego wieku stał się przywódcą spirytuałów. W swojej księdze Arbor Vitae (Drzewo Życia) wspomina o manuskrypcie Leona. Ubertino cytował fragmenty manuskryptu zasłyszane od brata Konrada, lecz okrzyknięto go kłamcą, albowiem nikt nie widział oryginału. A tego nie odnaleziono po dziś dzień.

W roku 1294 kardynał Benedetto Gaetani wybrany został na papieża i przyjął imię Bonifacy VIII. Za jego pontyfikatu papiestwo popadło w najdłuższy i najgorszy kryzys w dziejach.

525

Jeśli przyjąć teorię Konrada, że proroctwa Joachima z Fiore rzeczywiście odnosiły się do roku 1293, można dojść do wniosku, że właśnie Bonifacy uosabiał Ohydę Spustoszenia przepowiedzianą przez opata.

Jacopone da Todi w roku 1278 wstąpił do zakonu franciszkanów.

On również stał się wiodącą postacią wśród spirytuałów. Swoimi poetyckimi hymnami pochwalnymi, pisanymi prostym językiem, zaskarbił

sobie uwielbienie ludu i wzbudził zazdrość u rywalizującego z nim poety, Dantego Alighieri. Za otwarte piętnowanie zepsucia szerzącego się w łonie Kościoła, papież Bonifacy VIII wtrącił Jacopone do papieskiego lochu. Ale to już zupełnie inna historia.

Rok po wstąpieniu ojca do zakonu nastoletnia Teresina przeniosła się z Orfeem, Amata i ich czworgiem dzieci do Palermo na Sycylii.

Orfeo założył tam faktorię i handlował z Lewantem przez tych kilka lat, jakie pozostały do Nieszporów Sycylijskich — ale to też zupełnie inna historia.

14 kwietnia 1482 roku papież Sykstus IV kanonizował byłego ministra generalnego, brata Bonawenturę. W roku 1588 Sykstus V ogłosił

świętego Doktorem Kościoła i nadał mu specyficzny tytuł Doktora Seraficznego.

W roku 1818 robotnicy rozkopujący krypty pod dolnym kościołem Bazyliki Świętego Franciszka natrafili na szczątki świętego Franciszka

— pięćset pięćdziesiąt lat po ich zniknięciu. Nigdy nie zbadano, czy są na nich oznaki trądu.

Spis treści

Postaci.....	
9	
Prolog.....	13
Część pierwsza: GRYF	21
Część druga: BIEDACZEK CHRYSTUSA	319
Epilog.....	525